



Santa Montefiore



Cygańska madonna

Z angielskiego przełożyła: Anna Dobrzańska-Gadozoska

Mojej siostrze Tarze, Z wyrazami miłości

Ze wszystkich książek, które napisałam, właśnie ta okazała się dla mnie największym wyzwaniem. Jednak dzięki mojemu mężowi Sebagowi, współnikowi, któremu całkowicie ufam i który pomógł mi zaplanować wątek nad szklaneczką różowego wina w czasie naszych corocznych wakacji we Francji, jej pisanie dało mi także najwięcej radości. Dwa umysły działają znacznie lepiej niż jeden i muszę przyznać, że bez Sebaga nie zdołałabym stworzyć tej powieści.

Kiedy stanęłam wobec konieczności sięgnięcia do wojennej historii Bordeaux, zwróciłam się do moich drogich przyjaciół, Sue i Alana Johnson-Hilla, którzy mieszkają w najpiękniejszym chateau pod słońcem i z niezwykłą serdecznością podzielili się ze mną swoimi doświadczeniami, chociaż, co śpieszę dodać, żadne z nich nie jest w takim wieku, aby mogli pamiętać czasy drugiej wojny światowej. Alan chętnie poprawiał moje błędy we francuskim, a Sue stale utrzymywała ze mną kontakt e-mailowy, podsuwając mi rozmaite sugestie i cierpliwie odpowiadając na niekończące się pytania. Dziękuję im obojgu.

Pragnę również podziękować jeszcze jednemu przyjacielowi, Ericowi Villainowi, który wychował się w Bordeaux. Zależało mi, żeby zobaczyć ten region oczami dziecka, więc zaprosiłam go na lunch, nalałam mu dużą szklaneczkę wina (francuskiego, naturalnie) i wyjęłam notes, a on zaczął snuć wspomnienia z okresu dzieciństwa. Eric jest chodzącą encyklopedią, jeśli chodzi o Bordeaux, a poza tym bardzo sympatycznym, błyskotliwym rozmówcą. Dziękuję ci, Ericu.

W czasie pisania książki odwiedziłam nie tylko Bordeaux, ale także Nowy Jork i Wirginię. Oczywiście na przewodnika wybrałam najprzystojniejszego Amerykanina, jakiego znam, Gordona Raineya. Dziękuję ci, Gordonie, za pomoc i zabawne e-maile, dzięki którym praca z tobą była także przyjemną rozrywką.

Pisząc o nagłym pojawieniu się na rynku obrazu Tycjana, poprosiłam o wskazówki najbardziej kompetentnych pracowników National Gallery. Jestem bezgranicznie wdzięczna zarówno Colinowi McKenzie, dyrektorowi muzealnego działu rozwoju, jak i Davidowi Jaffe, głównemu kustoszowi, za ich

rady, anegdoty, wsparcie, błyskotliwy dowcip i wspaniałe towarzystwo, które stały się moim udziałem w czasie pracy nad Cygańską Madonną. Pisanie tej części książki, której najbardziej się obawiałam, dzięki nim stało się najprzyjemniejszym doświadczeniem.

Dziewczyna, która spędza większość dnia zgarbiona nad laptopem, musi dbać o formę, prawda? Dlatego chciałabym skorzystać z tej okazji, aby podziękować mojemu trenerowi kick-boxingu, Stewartowi Taylorowi, ze studia fitness Body-architecture.co.uk, który ćwiczył ze mną ciosy i uniki na sali gimnastycznej, ale także, w przerwach, wysłuchiwał moich wątpliwości co do niektórych zwrotów akcji i cech bohaterów powieści.

Dziękuję moim rodzicom, Charliemu i Patty Palmer-Tomkinson, za nieustające wsparcie oraz zachętę, a zwłaszcza mojej mamie, która przeczytała pierwszy szkic książki i udzieliła mi bardzo potrzebnych rad i wskazówek. Dziękuję też moim teściom, Stephenowi i April Sebag-Montefiore, za ogromne zainteresowanie moimi książkami, entuzjazm oraz pochwały, które dodają mi sił do pracy.

Jestem także wciąż tak samo wdzięczna Kate Rock, która przed pięciu laty pomogła mi wystartować, oraz Jo Frank, która sprzedała moją pierwszą powieść wydawnictwu Hodder&Stoughton. Dziś pragnę również podziękować wydawnictwu Hodder&Stoughton za publikację mojej szóstej książki i podpisanie ze mną umowy na cztery następne. Bóg zapłać za wszystko!

Serdecznie dziękuję Lindzie Shaughnessy, która sprzedaje moje powieści na całym świecie, i Robertowi Kraittowi, mojemu agentowi filmowemu, wiecznemu optymiście.

Sheila Crowley, moja agentka literacka, jest najbardziej dynamiczną, kompetentną i pozytywnie nastawioną do świata i ludzi osobą, jaką znam. Sheila nie zna takiego pojęcia jak „zbyt wielkie wyzwanie”. Moja droga, z całego serca dziękuję ci za to, że mnie reprezentujesz - proszę, opiekuj się mną także i w czasie pisania czterech następnych książek!

I wreszcie dziękuję mojej redaktorce, Susan Fletcher, za ciężką pracę i olbrzymią cierpliwość. Twoje krytyczne uwagi, Susan, są po prostu nieocenione, a pochwały stają się paliwem, które napędza moją pracę. Oby nasze wielce produktywne partnerstwo trwało jak najdłużej!

Cygańska Madonna

Madonna z Dzieciątkiem (obraz znany także jako Cygańska Madonna)

Namalowany około 1511 roku

Farba olejna na desce, 65,8 cm x 83,8 cm

Metropolitan Museum, Nowy Jork

Młodziutka Dziewica Matka pędzla Tycjana od dawna zwana jest Cygańską Madonną ze względu na ciemną cerę, włosy i oczy. Maryja, sama jeszcze prawie dziecko, podtrzymuje malutkiego synka, który niepewnie stoi na parapecie. Zarówno matka, jak i syn sprawiają wrażenie głęboko zamyślonych, lecz łącząca ich więź nie wymaga werbalnej manifestacji; lewą rączką, w bardzo naturalny i czuły u tak małego dziecka sposób, Chrystus bawi się palcami matki, prawą zaś gładzi złocistozieloną tkaninę podszewki jej płaszcza.

CZEŚĆ PIERWSZA

Kiedy szedłem ulicami Laredo
Gdy raz szedłem przez Laredo
Ujrzałem młodego kowboja
Przystojnego młodego kowboja
W stroju z białego płótna
Zimnego jak mokra glina
Po twoim stroju widać
Że też jesteś kowbojem
Odezwał się do mnie
Gdy śmiało go mijałem
Usiądź obok mnie, proszę
I posłuchaj mojej smutnej historii
Bo postrzelili mnie w pierś
I teraz muszę umrzeć

Prolog

Nowy Jork, 1985

Byłem równie zdziwiony jak wszyscy, kiedy, na krótko przed śmiercią moja matka oddała obraz Tycjana. W pierwszej chwili wydawało się, że jest to posunięcie osoby, która już nie do końca panuje nad swoim umysłem. Z wiekiem matka stawiała się coraz bardziej uparta i apodyktyczna, więc po prostu przekazała obraz do Metropolitan Museum i oświadczyła, że nie chce o tym rozmawiać z nikim, nawet ze mną. Taka była. Pozornie chłodna i energiczna, całkowicie opanowana i trochę wyniosła, co przypisywano często jej francuskiemu pochodzeniu, jednak jeżeli ktoś zadał sobie trud i zdobył jej zaufanie, pod kolcami znajdował rzadki, delikatny kwiat, podobny do dzikiej róży. Tak czy inaczej, mimo wszystkich wysiłków, każdy dziennikarz, który zwracał się do niej z prośbą o wywiad, spotykał się ze zdecydowaną odmową. Naciski rosły, lecz ona nie ustępowała, nawet odrobinę.

Nie była szalona, lecz oszalała. W tych gorączkowo błyszczących, niespokojnych oczach ujrzałem głęboką, drażącą potrzebę, której nie byłem w stanie zrozumieć. Umierała. Wiedziała, że ma niewiele czasu. Umierających często ogarnia pragnienie załatwienia niezłatwionych spraw, aby mogli umrzeć w spokoju, z czystym sumieniem, lecz potrzeba mojej matki była czymś więcej niż dążeniem do zakończenia ziemskich przedsięwzięć przed wyruszeniem w podróż.

- Nie rozumiesz, Mischa - powiedziała dziwnie udreńczonym głosem. - Ja muszę zwrócić ten obraz...

Miała rację, nie rozumiałem jej. Jak miałem ją zrozumieć?

Byłem wściekły. Dzieliliśmy w życiu wszystko, moja mama i ja. Byliśmy sobie bliżsi niż inni synowie i matki, ponieważ tak dużo przeżyliśmy razem, tylko we dwoje. My przeciwko całemu światu, maman i jej mały rycerz. Naprawdę, jako dziecko marzyłem, aby mieć miecz na tyle wielki i potężny, żebym mógł zabić wszystkich jej wrogów. Jednak nigdy nie powiedziała mi o Tycjanie.

Teraz nie żyje, jej wargi pozostaną na wieki zamknięte i opieczętowane, jej oddech porwał wiatr, słowa są szeptami, które wracają do mnie w snach. Pewnej nocy odeszła, zabierając ze sobą wszystkie swoje sekrety, w każdym razie tak mi się wydawało. Dopiero później, wracając ścieżką pamięci do lat dzieciństwa, odkrywałem jej tajemnice, jedną po drugiej. Czekwały tam na mnie, musiałem tylko zdobyć się na to, aby przejść przez ogień i je odnaleźć. W tej podróży doświadczyłem cierpienia i radości, lecz najczęściej doznawałem zdumienia. Jako mały chłopiec interpretowałem wszystko młodym, niewinnym umysłem; teraz, jako mężczyzna po czterdziestce, uzbrojony w mądrość zdobytą w ciągu wielu lat, widzę rzeczy takimi, jakimi naprawdę były. Oczekiwałem, że znajdę świadectwo pochodzenia obrazu Tycjana, lecz nigdy nie spodziewałem się, że znajdę siebie.

1

Wszystko zaczęło się pewnego śnieżnego styczniowego dnia. W Nowym Jorku styczeń jest ponury i mroczny. Drzewa są nagie, świętowanie już się skończyło, z choinek zdejmują się lampki i chowa do pudełek, aby wyjąć je dopiero przed następnym Bożym Narodzeniem. Gnający ulicami wiatr tchnie lodem. Szedłem szybko, z rękami wciśniętymi w kieszenie, ze spuszczoną głową i oczami wbitymi w trotuar, zagubiony w myślach. Nie myślałem o niczym szczególnym, ot, po prostu o codziennych zajęciach. Starłem się nie myśleć o matce. Jestem „unikaczem”. Jeżeli coś sprawia mi ból, nie myślę o tym, a jeśli o czymś nie myślę, to tego czegoś nie ma, prawda? Mama zmarła tydzień wcześniej, było już po pogrzebie. Tylko dziennikarze kręcili się wokół mnie jak natrętne muchy, koniecznie chcąc się dowiedzieć, dlaczego niewzględzony w żadnym katalogu, nieznany Tycjan takiej wagi dopiero teraz ujrzał światło dzienne. Nie rozumieli, że ja wiem równie mało jak oni? Jeżeli oni poruszali się w ciemności, to ja błądziłem w przestrzeni kosmicznej.

Dotarłem do biura. Zajmowałem budynek z czerwonej cegły w West Yillage, ze sklepem z antykami na parterze. Zebedee Halpstein, ekscentryczny zegarmistrz, pracował w swoim warsztacie w sąsiednim domu wśród niestrojnej orkiestry tykania. Z trudem wyłowilem klucz z kieszeni, bo palce zupełnie mi zgrabiwały. Zapomniałem włożyć rękawiczki. Chwilę wpatrywałem się w swoje odbicie w szybie. Udręczona twarz mężczyzny, który wyglądał na starszego niż był, patrzyła na mnie ponuro. Otrząsałem się ze smutku i wszedłem do środka, strząsając śnieg z ramion. Stanley jeszcze nie przyszedł, nie było też Esther, która odbierała telefony i sprzątała. Wspiąłem się na piętro, ciężko stąpając. W półmroku wyraźnie czułem zapach starego drewna i politurę do mebli. Otworzyłem drzwi do mojego gabinetu. W kącie siedział na krześle jakiś włóczęga.

O mało nie wyskoczyłem ze skóry. Z wściekłością w głosie zapytałem, co tu robi i jak dostał się do budynku. Okna były przecież zamknięte, frontowe drzwi także. Na moment ogarnął mnie strach, lecz wtedy nieznajomy odwrócił się ku mnie z lekkim uśmiechem. Od razu zwróciłem uwagę na niezwykle kolor jego oczu, które lśniły w pobrużdżonej i zarośniętej twarzy jak dwa kawałki akwamaryny osadzone w skale. Zmarszczyłem brwi, pewny, że kiedyś już widziałem te oczy, ale to wrażenie szybko minęło. Mężczyzna siedział otulony paltem, na głowie miał filcowy kapelusz. Zauważyłem, że buty były zabłocone i zniszczone, na jednym palcu ziała dziura. Zmierzył mnie taksującym

spojrzeniem, a ja z trudem pohamowałem furie, jaką wzbudziła we mnie jego impertynencja.

- Wyrosłeś na przystojnego młodego człowieka... - z uznaniem pokiwał głową.

Milczałem. Nie miałem pojęcia, jak zareagować.

- Nie wiesz, kim jestem? - zapytał.

Pod warstwą uśmiechu dostrzegłem wtedy cień smutku.

- Oczywiście, że nie - odparłem. - Proszę stąd wyjść... Skinął głową i wzruszył ramionami.

- Cholera, nie ma przecież powodu, dlaczego miałbyś pamiętać... Miałem nadzieję... No, cóż... Mogę zapalić, zanim wyjdę na ten ziab?

Miał południowy akcent. Brzmienie jego głosu nie wiadomo dlaczego przyprawiło mnie o gęsią skórę.

Zanim zdążyłem zaprotestować, wyjął gauloise'a i zapalił. Od zapachu dymu zakręciło mi się w głowie. Nie mogłem powstrzymać fali wspomnień, która mnie nagle zalała. Popatrzyłem na niego uważnie, lecz zaraz odrzuciłem tę myśl jako absurdalną. Zdjąłem płaszcz i powiesiłem go na drzwiach, aby ukryć twarz i zyskać na czasie. Potem usiadłem za biurkiem. Stary mężczyzna z wyraźną przyjemnością zaciągał się dymem, ale ani na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku. Ani na chwilę.

- Kim pan jest? - zapytałem, gotowy usłyszeć odpowiedź, której mimo wszystko się spodziewałem.

Niemożliwe, powtarzałem sobie. Nie po tylu latach... Nie chciałem, żeby to był on, nie ten tramp, cuchnący starym papierosowym dymem i potem. Uśmiechnął się i dmuchnął dymem z kącika ust.

- Jack Magellan... Mówi ci to coś?

Zawahałem się. W gardle zaschło mi ze zdenerwowania. Uniósł strzępiastą brew i pochylił się nad blatem biurka.

- A może mówi ci coś imię Coyote, Juniorze?

Szczęka mi opadła, dosłownie. Wbiłem spojrzenie w jego twarz, szukając w niej człowieka, który kiedyś trzymał moją miłość na otwartej dłoni, ale zobaczyłem tylko ciemną, miejscami siwiejącą brodę i głębokie zmarszczki w grubej, ogorzalej skórze. Nie dostrzegłem nic, co stanowiłoby dowód jego niedysiejszej młodości i magii. Przystojny Amerykanin, który obiecywał nam szczęście, umarł dawno temu. Musiał umrzeć, bo przecież inaczej na pewno wróciłby o wiele wcześniej, wtedy, gdy wciąż na niego czekaliśmy...

- Czego pan chce?

- Przeczytałem w gazetach o twojej matce. Przyjechałem się z nią zobaczyć.

- Umarła - powiedziałem brutalnie, wypatrując jego reakcji.

Chciałem go zranić. Miałem nadzieję, że będzie cierpiał. Nic nie byłem mu winien, absolutnie nic, natomiast on był mi winien wyjaśnienie i trzydzieści lat. Z satysfakcją patrzyłem, jak jego oczy wypełniają się łzami, jak ze smutkiem pochyła głowę. Zaraz jednak podniósł ją i spojrzał na mnie z przerażeniem. Obserwowałem go, a on obserwował mnie. Nie próbowałem ignorować szarpających nim emocji, po prostu zostawiłem go jak miotającą się na piasku rybę, która z trudem chwytą powietrze.

- Umarła... - powtórzył łamiącym się głosem. - Kiedy?

- W zeszłym tygodniu.

- W zeszłym tygodniu... - potrząsnął głową. - Gdyby tylko...

Znowu zaciągnął się i wypuścił dym z ust - jego zapach otoczył mnie ze wszystkich stron jak ruchome piaski pamięci. Zmarszczyłem brwi i odwróciłem się. Oczami wyobraźni ujrzałem długie, zielone szeregi krzewów winorośli i cyprysów oraz nagrzane słońcem mury chateau, który kiedyś był moim domem. Jasnoniebieskie okiennice były otwarte, wiatr niósł zapach sosny i jaśminu, a gdzieś daleko, na obrzeżach mojej pamięci, piękny, nietuzinkowy głos śpiewał Laredo.

- Twoja matka była wyjątkową kobietą - powiedział tramp ze smutkiem. - Bardzo żałuję, że nie zobaczyłem się z nią przed śmiercią...

Miałem ogromną ochotę uświadomić mu, że prawie do końca życia trzymała się nadziei, iż on pewnego dnia wróci. I że w ciągu trzech dziesięcioleci, które minęły od jego odejścia, nigdy w niego nie zwątpiła. Dopiero u kresu swojej drogi z rezygnacją przyjęła prawdę - nabrała pewności, że jednak już go nie zobaczy. Chciałem nawrzeszczyć na niego, chwycić go za kołnierz palta i poderwać na nogi, ale nie zrobiłem tego. Zachowałem spokój. Patrzyłem tylko na niego z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytałem.

- Przeczytałem o Tycjanie - odrzekł.

Ach, Tycjan, pomyślałem. To o to mu chodzi...

Zdusił papierosa i zaśmiał się cicho.

- Podobno przekazała obraz miejskiemu muzeum...

- Co cię to obchodzi? Wzruszył ramionami.

- Jest wart fortunę.

- Więc dlatego tu jesteś... - mruknąłem. - Dla pieniędzy... Znowu pochylił się do przodu i utkwiał we mnie przenikliwe spojrzenie hipnotycznie niebieskich oczu.

- Nie przyszedłem prosić o pieniądze - oburzył się. - O nic nie proszę. Szczerze mówiąc, jestem starym idiotą i sam się dziwię, że przyszedłem. Nie ma tu już nic, na czym mogłoby mi zależeć.

- Więc po co przyszedłeś?

Teraz uśmiechnął się, odsłaniając poczerwiałe, zżarte przez próchnicę zęby. Poczułem się nieswojo, bo jego uśmiech do złudzenia przypominał grymas bólu.

- Gonię za tęczą, Juniorze, ot, co... Zawsze goniłem za tęczą, ale ty tego nie zrozumiesz...

Patrzyłem przez okno, jak utykając, idzie ulicą, przygarbiony, w kapeluszu zsuniętym nisko na czoło. Podrapałem się po brodzie i poczułem pod palcami sztywne włoski. Przez chwilę wydawało mi się, że on śpiewa, że wiatr niesie jego głos. Kiedy szedłem ulicami Laredo...

Nie mogłem tego wytrzymać. Zdarłem płaszcz z wieszaka na drzwiach i zbiegłem na dół. Drzwi się otworzyły, dosłownie centymetr przed moim nosem, i do środka wszedł Stanley. Zdziwił się na mój widok.

- Wychodzę - rzuciłem, nie siląc się na wyjaśnienia.

Wybiegłem na jezdnię. Sypał śnieg, gęsty i mokry. Ruszyłem przed siebie po jego śladach. Nie wiedziałem, co mu powiem, kiedy go dogonię, rozumiałem jednak, dlaczego mój gniew został pokonany przez coś, co tkwiło na dnie serca, coś, co można by określić mianem pierwotnego uczucia. Trudno to wytłumaczyć, ale ten człowiek przekazał mi dar, jedyny w swoim rodzaju. Dar, którego nie mógłbym otrzymać od nikogo innego, nawet od matki. I mimo bólu, jaki z sobą przyniósł, łącząca nas więź była wyjątkowo trwała, nierozzerwalna.

Przez pewien czas widziałem przed sobą jego ślady, lecz wkrótce szlak zniknął, zatarł się wśród milionów innych, pozostawionych przez anonimowych mieszkańców Nowego Jorku. Nagle na samym dnie mojej duszy narodził się ostry ból, żal za czymś, co bezpowrotnie stracone. Rozglądałem się dookoła, szukając starego, kulejącego mężczyzny, ale w gruncie rzeczy pragnąłem znaleźć kogoś zupełnie innego. Tamten był przystojny, miał jasne włosy i przenikliwe błękitne oczy koloru tropikalnego morza. Kiedy się uśmiechał, oczy połyskiwały żartobliwie, a uśmiech rozciągał i wydłużał białe kurze stopki, wyraźnie rysujące się na tle opalonej skóry. Kąciki jego ust były lekko uniesione nawet wtedy, gdy był poważny, zupełnie jakby uśmiech był naturalnym, przyrodzonym wyrazem jego twarzy i jakby powaga sporo go kosztowała. Poruszał się lekkim, sprężystym krokiem, z wysoko uniesionym podbródkiem, wyprostowany, roztaczając wokół chłopięcy, łobuzerski urok,

dość silny, aby zmiękczyć serce nawet najbardziej zdeterminowanego cynika. Taki był Coyote, którego znałem. Mój Coyote nie miał nic wspólnego z tym starym, śmierdzącym włóczęgą, który jak sęp przyleciał rozgrzebywać dziobem szczątki kochającej go kobiety.

Długą chwilę tępo wpatrywałem się w śnieg, wreszcie odwróciłem się i poszedłem do sklepu. Moje wcześniejsze ślady prawie zasypało. A odciski jego butów? Także znikły, jakby w ogóle ich nie było, jakby tramp nigdy się nie pojawił.

2

Bordeaux, Francja, 1948

- Och, Dianę, popatrz, to znowu ten uroczy chłopaczek!

Joy Springtoe schyliła się i pieszczotliwie uszczypnęła mnie w policzek. Poczułem słodki zapach jej perfum i zaczerwieniłem się. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Jej włosy były grzywą jasnych loków, oczy miały kolor piór synogarlic, które gruchały na dachu chateau, skóra wydawała się miękka i delikatna jak najdroższy zamsz. Elegancka w tym nieco przesadnym amerykańskim stylu, który Francuzki uważają za wulgarny, mnie bardzo się jednak podobała. Była barwna. Kiedy się śmiała, miałem ochotę jej wtórować, tyle że nigdy tego nie robiłem. Nie mogłem. Uśmiechałem się tylko nieśmiało i pozwalałem, aby głaskała mnie po głowie, a moje młode serce wzbierało uczuciem wielkiej wdzięczności.

- Jesteś bardzo przystojny jak na tak małego chłopca... Masz najwyżej sześć, no, może siedem lat, prawda? Gdzie twoi rodzice? Bardzo chciałabym ich poznać! Czy są równie urodziwi jak ty?

Podeszła do nas jej przyjaciółka Dianę. Była krępa i przysadzista jak czajnik do herbaty, miała różowe policzki i łagodne brązowe oczy. Choć ubrana w bluzkę w czerwone kwiaty, w porównaniu z Joy wyglądała dziwnie szaro i niepozornie, jakby Bóg, malując Joy, trochę się zagalopował i zużył na nią prawie wszystkie farby.

- Ma na imię Mischa - powiedziała Dianę. - Jest Francuzem.

- Nie wyglądasz na Francuza, mały... - zamruczała Joy. - Nie z tymi jasnymi włosami i pięknymi niebieskimi oczami... Nie, wcale nie wyglądasz na Francuza...

- Jego matka pracuje w hotelu - dodała Dianę. Joy pytająco uniosła brwi.

- Byłam ciekawa, więc zapytałam. - Dianę wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do mnie przepraszająco.

- Nie chodzisz do szkoły, mały? - zapytała Joy. - Estce que tu ne vas pas a l'ecole?

- Chłopiec jest niemową, Joy.

Joy wyprostowała się i obrzuciła przyjaciółkę przerażonym spojrzeniem. Kiedy odwróciła się do mnie, na jej twarzy malowało się ogromne współczucie.

- Nie mówi? - powtórzyła, gładząc mój policzek. - Kto ukradł ci głos, mały?

W tym momencie, w chwili, gdy delektowałem się nieskrywaną czułością Joy, zza rogu wyłoniła się madame Duval. Na mój widok jej twarz stała się mroczna niczym burzowa chmura, lecz madame błyskawicznie się opanowała.

- Bonjour... - zwróciła się do swoich gości uprzejmym, ociekającym słodyczą głosem.

Zamarłem, zupełnie jak schwyтана w pułapkę mysz.

- Mam nadzieję, że dobrze panie spały?

Joy podniosła głowę i przeczesła włosy palcami.

- Och, tak - odparła. - Jest tu tak pięknie... Moje okno wychodzi na winnicę i dziś rano krzewy po prostu lśniły w promieniach słońca.

- Bardzo się cieszę, że są panie zadowolone - uśmiechnęła się madame Duval. - W jadalni właśnie podają śniadanie...

Joy spojrzała na mnie. Z wyrazu jej twarzy wyczytałem, że dostrzegła moje przerażenie. Poklepała mnie po głowie i mrugnęła, potem razem z Dianę ruszyły korytarzem w kierunku schodów. Kiedy zniknęły, twarz madame Duval zlodowaciała w jednej chwili, jak ogarnięta mroźnym podmuchem woda.

- Co robisz w tej części domu? - syknęła. - Zmiataj stąd, ale już! Natychmiast!

Przegoniła mnie machnięciem dłoni. Moje serce, chwilę wcześniej tak otwarte, teraz się zatrzasnęło. Rzuciłem się do ucieczki, zanim madame zdążyła mnie uderzyć.

Matka czyściła srebra w spiżarni i kiedy stanąłem w drzwiach, niespokojnie podniosła głowę znad wielkiej tacy.

- Och, Mischa! - zawołała, chwytając mnie w ramiona i całując w skroń. - Wszystko w porządku? Nikt cię nie skrzywdził? - Zajrzała mi w twarz i zrozumiała, co się stało. - Kochanie, nie możesz chodzić do tamtej części zamku, teraz jest tam hotel, to nie twój dom...

Moje łzy powoli wsiąkały w jej fartuch.

- Wiem, że trudno ci to zrozumieć - ciągnęła. - Ale teraz po prostu tak jest, musisz się z tym pogodzić i zachowywać jak należy, ze względu na nas oboje. Madame Duval okazała nam dużo serca...

Odsunąłem się i gniewnie pokręciłem głową. Ku mojemu zawstydzeniu znowu się rozplakałem. Kiedy mama próbowała mnie objąć, strząsnąłem jej rękę z ramion i tupnąłem nogą. Nienawidzę jej, nienawidzę, nienawidzę, krzychałem, świadomy, że nawet matka nie jest w stanie usłyszeć mojego wewnętrznego głosu.

- Uspokój się, kochanie - szepnęła. - Rozumiem cię. Maman wie, co czujesz...

Niezdolny oprzeć się kojącej mocy jej pocałunków, pozwoliłem, aby posadziła mnie sobie na kolanach i przytuliłem się do niej. Zamknąłem oczy, oddychałem cytrynowym zapachem jej skóry. Jej wargi spoczywały na moim policzku, czułem jej oddech na twarzy i miłość, która ogarniała mnie całego. To uczucie było gorące i bezwarunkowe, a ja piłem je, spragniony czułości i uwagi.

Matka była moim najlepszym przyjacielem, lecz tamten okropny epizod, który miał miejsce pod koniec wojny, dał mi jeszcze kogoś, kogoś wyjątkowego, kto należał wyłącznie do mnie. Nosił imię Pistou i był niewidzialny dla wszystkich poza mną. Był mniej więcej w moim wieku, lecz zupełnie do mnie niepodobny - miał ciemne, niesforne włosy, oliwkową skórę i głęboko osadzone brązowe oczy. Słyszał mój wewnętrzny głos, więc nie musiałem mu nic tłumaczyć. Jak na małego chłopca, był bardzo mądry.

Pierwszy raz zobaczyłem go w nocy. Od zakończenia wojny sypiałem z matką. Przytulaliśmy się do siebie mocno i czułem się wtedy bezpieczniejszy niż kiedykolwiek. Miewałem koszarne sny. Straszne sny, po których budziłem się zapłakany i przerażony. Mama gładziła wtedy moje czoło i całowała mnie sennie. Nie umiałem jej wyjaśnić charakteru tych snów i później długo leżałem, wpatrując się w ciemność, pełen obaw, że jeśli tylko zamknę oczy, straszne obrazy powrócą i pochłoną mnie całego. Właśnie w takim momencie pojawił się Pistou. Usiadł na brzegu łóżka i uśmiechnął się do mnie. Jego buzia była tak pogodna, a w oczach ujrzałem tyle ciepłego zrozumienia, że od razu odgadłem, iż zostaniemy przyjaciółmi. Zorientowałem się też, że Pistou zna dręczące mnie koszmary i lęki. Matka spała, a ja leżałem spokojnie i rozmawiałem z Pistou, aż wreszcie zmęczenie pokonało strach i znowu zapadłem w sen.

Po pierwszych spotkaniach w środku nocy Pistou zaczął pojawiać się także za dnia. Szybko zdałem sobie sprawę, że widzę go tylko ja - inni patrzyli poprzez niego, jakby był szklaną taflą. Pistou biegał między dorosłymi i pozwalał sobie na drobne żarciki. Czasami szczypał starsze panie w pośladki, przekrzywiał im kapelusze i pokazywał język. Nawet moja mama pocierała czoło i marszczyła brwi, kiedy bawiłem się z przyjacielem w naszym małym pokoju nad stajniami. Oczywiście nie mogłem opowiedzieć jej o Pistou, nawet gdybym bardzo chciał.

Nie chodziłem do szkoły. Nie dlatego, że byłem niemową, ale dlatego, że nie chcieli mnie przyjąć. Mama próbowała mnie uczyć, lecz było jej naprawdę ciężko. Do późna pracowała w chateau i wracała wieczorem kompletnie wyczerpana. Mimo tego, zwykle poświęcała jeszcze trochę czasu, aby nauczyć

mnie pisać. Z powodu mojej niemożności porozumiewania się był to bardzo frustrujący proces, ale jakoś dawaliśmy sobie radę. Zawsze my dwoje, tylko my - no i Pistou.

Wiedziałem, że matka się martwi, iż nie mam żadnych kolegów. Wiedziałem wiele rzeczy, a ona nawet nie podejrzewała, że o nich wiem. Często myślała na głos, zupełnie jakbym nie tylko nie mówił, ale też nie słyszał. Siadała przy toalecie, aby wyszczotkować długie, brązowe włosy, i wpatrywała się w odbicie swojej poważnej twarzy, gdy ja tymczasem udawałem, że śpię w żelaznym łóżku, chociaż tak naprawdę słuchałem uważnie wszystkiego, co mówiła.

- Tak się o ciebie boję, Mischa... - mówiła. - Wydałam cię na ten świat, ale nie mogę cię przed nim ochronić. Robię, co mogę, lecz to nie wystarczy...

Czasami kładła się obok mnie i szeptała mi do ucha.

- Jesteś wszystkim, co mam, skarbie... Mamy tylko siebie, jesteśmy sami. Maman i jej mały chevalier...

Dorastałem wśród wrogów. Mama i ja byliśmy jak wyspa na morzu pełnym rekinów, jednak w moich oczach żaden wróg nie był równie przerażający jak madame Duval.

Właśnie z powodu madame Duval musieliśmy wyprowadzić się z chateau do pokoju nad stajniami. Matka mawiała, że madame była dla nas dobra, zawsze odnosiła się do niej z szacunkiem i wdzięcznością, całkiem jakbyśmy zawdzięczali jej życie, ale ona nigdy się do nas nie uśmiechała ani nawet nie odzywała się do mamy w uprzejmy sposób. Patrzyła na moją matkę spod zmrużonych powiek, z nieukrywaną wyższością, mnie zaś uważała za stworzenie jeszcze gorszego gatunku niż szczury, na które zastawiano pułapki w piwnicy. Byłem dla niej czymś w rodzaju robaka budzącego najgłębszą odrazę. Już sam widok madame Duval wywoływał we mnie przerażenie. Kiedy otwarto hotel, wyszedłem przed wejście, zachwycony lśniącymi samochodami, które zatrzymywały się na zwirowanym podjeździe, prowadzone przez poważnych, dostojnych kierowców w kapeluszach i rękawiczkach. Madame złapała mnie wtedy za ucho, zawlokła do kuchni i tam zbiła po głowie tak mocno, że upadłem na podłogę. Jej ostry głos przyciągnął uwagę kucharki Yvette oraz jej małej armii - wszyscy stłoczyli się dookoła, żeby zobaczyć, co się dzieje, lecz nikt nie pośpieszył mi na pomoc. Leżałem skulony ze strachu, tak jak kiedyś wcześniej, ponieważ ich twarze były takie jak wtedy: pełne nienawiści.

Tylko matka przytuliła mnie do siebie, łzami udowadniając swoją miłość na przekór wszystkiemu.

Nie byłem w stanie porozumieć się z ludźmi i bałem się ich, więc zamknąłem się w sobie, w swoim tajemnym świecie. Razem z Pistou całymi godzinami bawiłem się w chowanego między długimi rzędami winnych krzewów. Pistou często wyskakiwał nagle zza krzaków, a potem śmiał się aż do bólu brzucha. Widok jego trzęsących się ramion bardzo mnie bawił, dlatego zaczynałem go naśladować, co sprawiało, że śmiał się jeszcze mocniej. Siadaliśmy na kamiennym mostku i rzucaliśmy kamyczki do wody. Pistou umiał rzucać je w taki sposób, aby wielokrotnie podskakiwały, odbijając się od powierzchni na podobieństwo gumowej piłeczki, którą nosiłem w kieszeni.

Tę piłeczkę podarował mi ojciec, dlatego była moim największym skarbem, jedyną pamiątką, jaka mi po nim została. Pistou i ja rzucaliśmy ją do siebie, i bawiliśmy się nią jak małe foki. Raz z donośnym pluskiem wpadła do wody, ale w przeciwieństwie do kamieni nie poszła na dno, tylko zaczęła podskakiwać na powierzchni, podtrzymywana siłą prądu. Natychmiast skoczyłem za nią i dopiero w wodzie przypomniałem sobie, że przecież nie umiem pływać. Ciężko dysząc z przerażenia, złapałem piłkę i przez szlam i wodorosty przedarłem się na brzeg. Pistou bynajmniej się tym nie przejął. Oparł ręce na biodrach i śmiał się z mojej głupoty. Wyczołgałem się na trawę, ociekający wodą i wciąż jeszcze wystraszony, ale szczęśliwy. Odzyskałem piłkę. Uczucie ulgi nappełniło mnie dziką radością. Aby uczcić mój wyczyn, odtańczyliśmy na trawie indiański taniec, wymachując rękami i wybijając stopami szybki rytm. Mocno zacisnąłem piłkę w dłoni i przysięgłem sobie, że już nigdy nie będę tak nieostrożny.

Kiedy Duwalowie kupili zamek i przerobili go na hotel, zaczęliśmy podglądać gości. Sam budynek i teren wokół chateau znałem jak własną kieszeń, z pewnością lepiej niż nowi właściciele. Spędziłem tam całe dzieciństwo, zamek był moim domem. Znałem wszystkie kryjówki, wiedziałem, za którymi drzwiami można się ukryć i które uciekać przed ewentualną pogonią. Nie chowałem się przed takimi gośćmi jak Joy Springtoe, która umiała dochować tajemnicy. Ukrywałem się przed madame Duval i jej podobnym do ropuchy mężem, który palił cygara i za plecami żony obcałowywał pokojówki. Pistou także nie znosił Duwalów. Jego ulubioną zabawą było ukrywanie rozmaitych rzeczy. Chował cygara monsieur Duvala czy okulary do czytania madame, a potem obserwowaliśmy z ukrycia, jak miotają się ze złością w poszukiwaniu zguby.

Moje zauroczenie Joy Springtoe przemogło strach przed madame Duval. Miałem zaledwie sześć lat i dziewięć miesięcy, kiedy zakochałem się bez pamięci. Tak bardzo pragnąłem chociaż raz dziennie popatrzeć na Joy, że wciąż

podejmowałem ryzyko. Zakradałem się do hotelu i ukrywałem między meblami i roślinami doniczkowymi. W zamku było mnóstwo wąskich korytarzyków, zakamarków i kątów, idealnych dla takiego dziecka jak ja. W ciągu dnia madame Duval spędzała dużo czasu w swoim biurze na parterze. Na dużych, kwadratowych kamiennych płytach, po których skakałem jako zupełny malec, położyli paskudny niebiesko-złocisty dywan, którego nienawidziłem z całego serca. Hol był jaskinią madame - niczym wielki pajak czyhała tam na gości, którzy przyjeżdżali z Anglii i Ameryki z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi. Podczas gdy ona rozsnuwała przed nimi swój fałszywy urok, ja zakradałem się na górę, żeby chociaż chwilę popatrzeć na Joy Springtoe.

Obserwowałem gości zza szerokiego oparcia krzesła, stojącego w kącie pod oknem. Był ranek. Jasny blask letniego słońca zalewał przykrytą dywanem posadzkę i białe ściany, na zewnątrz ptaki śpiewały ze wszystkich sił. Pierwsze pojawiały się Trzy Bażancice, jak nazywała je mama - trzy starsze damy z Anglii, które przyjeżdżały do chateau, aby malować. Lubiałem cudzoziemców, natomiast nienawidziłem Francuzów, wszystkich Francuzów poza Jakiem Reynardem, który zarządzał winnicą, jedynym, który był dla mnie dobry. Świetnie się bawiłem, obserwując Trzy Bażancice, ponieważ zawsze się spierały. Przyjeżdżały na kilka tygodni. Wyobrażałem sobie, że ich pokoje są pełne rozmaitych obrazów. Najwyższa miała na imię Gertie, była Bażancicą o długiej szyi i bardzo starała się upodobnić do łabędzia. Miała siwe włosy, pociągłą, chudą twarz i małe czarne oczka. Jej obfity biust kołysał się, kiedy szła, co zawsze przywodziło mi na myśl trzęsące się jajka „w koszulkach”. Wąską talię ścisnęła paskiem, a niżej ciało rozlewało się szeroko, zupełnie jakby cała masa tłuszczu ze środkowej części ciała przemieściła się niżej, w biodra i pośladki. Długie, białe palce bawiły się perłowym naszyjnikiem, który sięgał jej aż do pasa. Gertie wygłaszała swoje opinie jako pierwsza, bez chwili wahania.

Moją ulubienicą była Daphne, kobieta z piórami we włosach. Daphne była ekscentryczką. Jej suknie sprzeciwiały się obowiązującej modzie; niektóre były ozdobione koronką, inne czymś, co do złudzenia przypominało frędzle do obszywania zasłon. Twarz miała okrągłą i różową jak dojrziała brzoskwinia, pełne wargi zawsze skore do uśmiechu, jakby spierała się z przyjaciółkami wyłącznie dla zabawy. Ciągłe dźwigała na rękach małego, kudłatego pieska, którego jakimś sposobem przeszmurowała do Francji. Jasnobrązowa sierść zupełnie zasłaniała mu mordkę, więc nigdy nie wiedziałem, gdzie jest głowa, a gdzie zadek. Kiedyś pomachałem przed nim ciastkiem i wtedy okazało się, że to, co uważałem za głowę, jest tyłeczkiem. Daphne miała niski, gęsty,

przydymiony głos i mówiła powoli, żebym mógł ją zrozumieć, chociaż nie było to potrzebne, bo osłuchalem się z angielskim od pierwszych lat życia. Najbardziej ze wszystkiego podobały mi się pantofle Daphne. Wydawało mi się, że ma ich tyle, iż mogłaby codziennie wkładać inną parę, przy czym każda była bardziej kolorowa od poprzedniej. Nosiła różowe aksamitne pantofelki, fioletowe czółenka z satyny, buciki na niskim obcasie, na zupełnie płaskim, z ostrymi, lekko zadartymi czubami, z paskami zapinanymi w kostce i na podbiciu, z klamerkami ozdobionymi koralikami i piórkami. Daphne była pulchna i krągła, a jej stopy były bardzo drobniutkie.

Następna była Debo, smukła i wiotka, w sukniach z cienkich, kwiecistych materiałów. Czarne, lśniące włosy nosiła przycięte do ucha - ta fryzura podkreślała ostrą linię szczęki i piękny rysunek zawsze starannie umalowanych szkarłatną szminką ust. Miała szeroko osadzone oczy w najjaśniejszym odcieniu zieleni. Wciąż jeszcze była piękna. Mama mówiła, że Debo farbuje włosy, bo kobieta w tym wieku po prostu musi siwieć. Kilka razy powiedziała też, że trzy Angielki ubierają się w stylu innej epoki, lecz ja miałem dopiero niecałe siedem lat i nie wiedziałem, o jaką epokę jej chodzi. Tak czy inaczej, zdawałem sobie sprawę, że damy z Anglii ubierały się inaczej. Debo ciągle paliła. Zasysała dym przez cygarniczkę z kości słoniowej i wtedy koniuszek papierosa rozżarzał się jak robaczek świętojański. Potem albo powoli wypuszczała dym kącikiem ust, albo wydmuchiwała go jednym długim strumieniem. Zawsze bawiła się dymem i sprawiało jej to widoczną przyjemność. Głos miała dość piskliwy, w przeciwieństwie do Daphne, a śmiech dziwnie gdaczący. Kiedy mówiła, można było odnieść wrażenie, że ma pełne usta, ponieważ jej szczeka była sztywna i nieruchoma.

- Nie zaglądalejcie za krzesła, dziewczęta! - ostrzegła Daphne donośnym szeptem. - Ten miły chłopiec znowu się tam chowa...

- Przed nami nie musi się przecież ukrywać... - chichotała Debo. - Czy nikt nie powiedział mu, że nie gryziemy?

- On się chowa przed tą okropną „panią Danvers” - wyjaśniła Daphne. - I wcale mu się nie dziwię... Zauważyłyście, że ona naprawdę przypomina panią Danvers z Rebeci Daphne du Maurier?

- Moim zdaniem to urocza kobieta! - zaprotestowała Gertie.

- Byłam pewna, że tak uważasz - kąciki szkarłatnych warg Debo uniosły się w uśmiechu.

- Zupełnie nie znasz się na ludziach, Gertie! - wykrzyknęła Daphne. - To okropna baba, nie urocza kobieta!

Kiedy znikły za rogiem, usadowiłem się wygodniej i postanowiłem zaczekać na Joy Springtoe. Obok przeszło dwóch mężczyzn, ale nie zauważyli mnie. Po pewnym czasie zacząłem już tracić nadzieję, ale właśnie wtedy Joy wyszła ze swego pokoju i ruszyła w moją stronę. Poruszała się tak, jakby na jej barkach spoczywał niewidzialny ciężar, zauważyłem też, że płakała. Poruszony jej łzami, zaryzykowałem spotkanie z madame Duval i opuściłem kryjówkę.

- Och, przestraszyłeś mnie, Mischa! - Poderwała rękę do piersi, uśmiechnęła się słabo i pośpiesznie osuszyła oczy chusteczką. - Czekaleś na mnie, naprawdę? - Lekko ściągnęła brwi. - Chodźmy stąd, chciałabym ci coś pokazać...

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do swojego pokoju. Serce biło mi z podniecenia jak szalone, bo nigdy wcześniej mnie nie dotykała.

Powietrze w pokoju przesycone było jakąś słodką nutą. Szeroko otwarte okna wychodziły na ogród i winnicę, wiatr niósł zapach świeżo skoszonej trawy. Na przykrytym narzutą szerokim łóżku leżała koszula nocna z różowego jedwabiu, poduszka nadal miała zagłębienie w miejscu, gdzie opierała się głowa Joy. Dziewczyna zamknęła za mną drzwi i podeszła do nocnej szafki, na której stała fotografia w ramce. Joy wzięła ją, usiadła na brzegu łóżka i wskazała mi miejsce obok siebie. Nieśmiało spełniłem jej prośbę. Nigdy wcześniej nie przebywałem w sypialni kobiety, oczywiście nie licząc matki, i nagle ogarnął mnie lęk, jakby ktoś miał wtargnąć do pokoju, złapać mnie za ucho i zbić.

Zdjęcie przedstawiało mężczyznę w mundurze.

- To był mój ukochany, wiesz? - Joy westchnęła, pieszcząc wzrokiem twarz mężczyzny. - Marzyłam, że wyjdę za niego i urodzę chłopca, takiego jak ty... - zaśmiała się cicho. - Pewnie nie rozumiesz, co mówię, prawda? Mój francuski jest raczej marny, ale jakie to ma znaczenie... - objęła mnie i pocałowała w głowę.

Na moje policzki natychmiast wypełził krwisty rumieniec. Miałem nadzieję, że Joy go nie widzi.

- Zginął tutaj, w Bordeaux, pod koniec wojny - ciągnęła. - , Był dzielnym człowiekiem... Obyś ty nigdy nie musiał iść na wojnę, bo to naprawdę straszna rzecz... Walczył o życie i wszystko stracił, wyobrażasz sobie? Okropne... Mój Billy zginął w walce, bijąc się za wolność obcego kraju. Czasami myślę jednak, że może jego ofiara ocaliła ciebie, kto wie... Gdyby Ameryka nie włączyła się do wojny, Niemcy mogliby wygrać i co stałoby się z takimi dziećmi jak ty? Bardzo chciałabym mieć kiedyś takiego synka, ślicznego małego chłopca z jasnymi włosami i niebieskimi oczami...

Pieszczotliwie potargała mi włosy nad czołem i pociągnęła nosem. Poczulem jej wzrok na swojej twarzy i zaczerwieniłem się jeszcze mocniej. Rozbawiło ją to chyba, bo uśmiechnęła się lekko. Z wrażenia zaparło mi dech w piersiach - nawet gdybym nagle odzyskał głos, i tak nie byłbym w stanie wykrztusić ani słowa.

Kiedy zeszła na dół, do jadalni, już nie płakała. Wróciłem do pokoju nad stajnią. Była niedziela, dla mojej matki dzień wolny od pracy. W każdą niedzielę chodziłem z mamą na mszę do kościoła. Nienawidziłem tego obowiązku, lecz wrogość, jaką darzyli nas mieszkańcy miasteczka, była tak wielka, że bałem się puścić matkę samą.

Znalazłem ją przy toalecie, piękną i elegancką w czarnej sukni oraz rozpinanym swetrze, w czarnym kapeluszu na głowie. Od razu poczuła zapach Joy Springtoe - chwyciła mnie w ramiona i żartobliwie obwąchała szyję.

- Masz inną kobietę? - zawołała z rozbawieniem. - Jestem zazdrosna!

Uśmiechnąłem się szeroko, a ona znowu mnie powąchała, tym razem głośno wciągając powietrze.

- Jest ładna. Pachnie kwiatami, chyba gardenią... To nie Francuzka... - zawahała się, żeby mnie rozśmieszyć. - Nie, to Amerykanka! Ma szare oczy, jasne włosy i bardzo zaraźliwy śmiech. Wydaje mi się, że jesteś w niej zakochany, Mischa...

Spuściłem oczy, przekonany, że naprawdę straciłem serce, tak jak zdarza się to dorosłym mężczyznom.

- Czy ona o tym wie? Bezradnie wzruszyłem ramionami.

- Och, język miłości przekracza granice słów... - mama musnęła mi wargami czoło. - Myślę, że ona wie i chyba bardzo cię lubi...

Kiedy schodziliśmy do miasta ścieżką przez pola, moje serce było tak lekkie, że prawie unosiłem się nad ziemią. Myśli o Joy Springtoe pomogły mi pokonać strach przed pójściem na mszę. Wciąż miałem przed oczyma jej zapłakaną twarz i powtarzałem sobie, że to moja obecność i bliskość osuszyły jej łzy. Mama miała rację, Joy naprawdę mnie lubiła.

Drobne muszki fruwały w gorącym powietrzu, łowiąc skrzydełkami promienie słońca i odbijając je. Lekki wiatr przemykał między cyprysami, wprawiając je w taneczny ruch. Trzymałem w ręku kij i waliłem nim w leżące na ścieżce kamienie. Szliśmy w milczeniu, słuchając śpiewu ptaków i szelestu liści. Niebo było pogodne, słońce świeciło jasno, lecz jeszcze nie nazbyt intensywnie. Nagle usłyszałem smętny odgłos kościelnych dzwonów i zza drzew wyłoniły się różowawe dachy miasta. Wziąłem matkę za rękę.

Kościół św. Wincentego a Paulo górował nad miasteczkiem Mauriac. Moim zdaniem był to jak najbardziej odpowiedni dom dla księdza Abla-Louisa, którego surowe, oskarżycielskie spojrzenie prześladowało mnie w okropnych snach, ale nie dla Boga. Jeżeli nawet kiedyś Bóg tam mieszkał, wyprowadził się już dawno, a jego gniazdo zawłaszczył podobny do kukułki ksiądz Abel-Louis. Kościół był zbudowany z tego samego jasnego kamienia co większość domów w mieście, miał dach kryty różowawopomarańczową dachówką, wyblakłą na słońcu oraz wysoką, wąską wieżę. Nieco niżej rozpościerał się plac, place de l'Eglise, wokół którego zbudowano miasto. Przy placu znajdował się sklep mięsny, boucherie z czerwonymi i białymi markizami oraz podłogą z błyszczących kafelków, gdzie długie sznury kiełbasek zwisały z sufitu obok wędzonych polci mięsa, na których z rozkoszą sadowiły się tłuste muchy. Piekarnia i ciastkarnia, boulangerie patisserie, roztaczała zapachy świeżo upieczonego chleba i ciastek, kusząco wystawionych w oknie. Gdybym był taki jak inne dzieci, pędem zbiegłbym na plac i wydał parę franków od matki na chocolatine oraz tourtiere, lecz nie zrobiłem tego, ponieważ nie byłem mile widziany w miasteczku. W pobliżu była także apteka, pharmacie, gdzie mama kupowała dla mnie maść na egzeme, oraz mała kawiarnia i trzy restauracje, które wylewały się na chodnik, osłonięte markizami w kolorach francuskiej flagi. Jestem pewny, że Bazancice nieraz wpadały tam na lunch złożony z pieczonej kaczki fois gras, popijając te smakołyki winem z zamku; całkiem możliwe też, że Joy Springtoe kupowała pyszną szarlotkę w piekarni, wyglądała bowiem na kobietę, która przepada za słodyczami.

Zeszliśmy w dół ocienioną stroną ulicy, jakby mama miała ochotę ukryć się przed zaciekawionymi i wrogimi spojrzeniami. Kiedy weszliśmy na plac, mocniej ścisnęła mi rękę. Chociaż nie odrywałem oczu od chodnika oraz maminych czarnych bucików z klamerkami i białych skarpetek, czułem na sobie spojrzenia ludzi z miasteczka. Gardło ścisnęło mi się ze strachu i nawet myśli o Joy Springtoe nie mogły pomóc. Przysunąłem się do matki i zerknąłem na nią ostrożnie. Głowę uniosła wysoko, dumnie, mimo że mięśnie szyi miała napięte i oddychała szybko, płytko.

Wszystko to dla mnie było przykre i przerażające, ale, o ile pamiętam, mama opuściła tylko jedną niedzielą mszę - kiedy zachorowałem i miałem wysoką gorączkę. Poza tym zawsze była na mszy, tak samo jak przed wojną i w czasie jej trwania. Mawiała, że w kościele czuje się bezpieczna i że nic nie powstrzyma ją przed oddawaniem czci Bogu. Czyżby nie wiedziała, że Boga tam nie ma?

Weszliśmy do środka i ruszyliśmy w kierunku ołtarza po ułożonych w szachownicę kamiennych płytach, mijając wrogo do nas nastawionych wiernych oraz figury świętych o surowych, zimnych twarzach, i jak zwykle usiedliśmy na krzesłach z przodu. Matka od razu osunęła się na kolana i ukryła twarz w dłoniach, natomiast ja ośmieliłem się rozejrzeć dookoła. Ludzie szeptali i gapili się na nas, a starsze kobiety kiwały głowami, jakby chciały otwarcie potwierdzić, że moja mama rzeczywiście powinna na kolanach błagać o przebaczenie. Gdy jedna z nich pochwyciła moje spojrzenie, szybko odwróciłem głowę, ponieważ ich oczy były kłujące jak żądła os.

Przed ołtarzem pojawił się ksiądz Abel-Louis i szepty ucichły. Ubrany w szkarłatny ornat, przypominał mi jakiegoś przerażającego ptaka. Skrzywiłem się, bo wiedziałem, że wcześniej czy później jego wzrok spocznie na nas i wtedy w pełni odczuję ciężar dezaprobaty. Mama usiadła. Jej ruch wśród tłumu nieruchomych wiernych na pewno przyciągnąłby uwagę księdza, gdyby nie to, że zawsze siedzieliśmy w tym samym miejscu, pod figurą Dziewicy Maryi o poważnej, skupionej twarzy. Ksiądz Abel-Louis zwrócił na nas swoje płonące oczy dopiero po chwili, a gdy przemówił, po plecach przebiegł mi dreszcz. Wciąż zadawałem sobie pytanie, dlaczego moja matka nie widzi, że ten kościół już od dawna, nie jest Domem Bożym.

Wyjąłem z kieszeni gumową piłeczkę i zacząłem obracać ją w ręku. Tylko w ten sposób potrafiłem oderwać się od swoich lęków - kiedy czułem ją na dłoni, myślałem o ojcu. Gdyby żył, nigdy by nie dopuścił, żebym się bał. Kazałby przywiązać księdza do słupa na placu i wybatożyć go za złe uczynki. Nikt nie był ważniejszy od mojego ojca, nawet ksiądz Abel-Louis, który uważał się za Boga. Jakże pragnąłem, aby ojciec mógł nas obronić... Nie śmiałem podnieść wzroku, żeby ksiądz nie odczytał moich myśli, poza tym nie chciałem widzieć pogardy, malującej się na jego twarzy. Najlepszym wyjściem było omijanie go wzrokiem. Jeżeli go nie widziałem, to przecież nie mógł mi wyrządzić żadnej krzywdy. Jeżeli nie dopuszczałem jego głosu do świadomości, mogłem udawać, że nie ma go w kościele. Prawie.

W końcu zegar wybił dwunastą i ksiądz zaczął udzielać komunii. W tym momencie zawsze wychodziliśmy. Zerwałem się z krzesła i ruszyłem za matką do wyjścia. Obcasy jej bucików głośno stukały o posadzkę. Zawsze pragnąłem, żeby wychodziła w bardziej dyskretny sposób, najlepiej niezauważona przez nikogo, tymczasem ona zachowywała się tak, jakby chciała, żeby wszyscy słyszeli jej kroki. Czułem oczy księdza, wwiercające się w moje plecy. Jego gniew przesycił powietrze jak gęsty dym, lecz mimo tego szedłem za mamą i

nie oglądałem się. Uparcie wpatrywałem się w jej białe skarpetki, w których wyglądała bardziej na młodą dziewczynę niż kobietę.

W drodze powrotnej szalałem z radości jak pies wypuszczony na rozslonecznione pole z ciemnej klatki. Msza się skończyła, następna była dopiero za tydzień. Uganiałem się za motylami, kopałem kamienie, przeskakiwałem cienie rzucane przez wysokie cyprysy. Kiedy wreszcie ujrzeliśmy przed sobą zamek, moje serce zalała fala ulgi. Te mury z piaskowca, wysokie połyskujące szyby i jasnoniebieskie okiennice były dla mnie symbolem miejsca, które uważałem za dom. Imponująca żelazna brama i milczące lwy na niskich kolumnach po obu jej stronach chroniły nas przed nieprzyjaznym światem. To był jedyny dom, jaki miałem.

3

Yvette była niemiła dla wszystkich. W jej oczach zawsze kłębiła się wściekłość, szerokie czoło było zmarszczone, a wąskie, wysuszone wargi przecinały twarz bezbarwną jak gruda surowego ciasta. Jako kobieta pokąźnych kształtów, dominowała w kuchni z determinacją sadystki spragnionej widoku cierpienia innych. Wrzeszczała, waliła pięścią w stół i dyszała jak rozwścieczony buhaj, aż niemal dymiło jej z nozdrzy. Tylko w obecności madame Duval Yvette chyliła głowę przed większą siłą i nerwowo wykręcała palce, ale i tak nigdy się nie uśmiechała. Nigdy, przenigdy. Byłem ulubionym celem jej ataków furii, a ponieważ byłem mały, stałem się wręcz kozłem ofiarnym.

Nie lubiłem zaglądać do kuchni, lecz często było to nie do uniknięcia. Madame Duval uważała, że chłopiec w moim wieku nie powinien całymi dniami biegać po posiadłości i kazała Yvette znaleźć odpowiednie dla mnie zajęcia. Tak to zostałem zapędzony do pracy. Na czworakach szorowałem kamienną podłogę w kuchni, aż z podrapanych kolan zaczynała mi się sączyć krew. Pomagałem wycierać naczynia, bardzo starając się nic nie stłuc, bo silne uderzenie ręki Yvette było dużo dotkliwsze niż klaps wymierzony przez madame Duval. Płukałem warzywa, obierałem je i kroilem, podbierałem jajka kurom i doilem krowy. Pracowałem dużo i pilnie, a jednak tamtego lata stałem się niezastąpiony z trudnego do wyobrażenia powodu. Kara stała się nieoczekiwaną nagrodą.

Kuchnia w zamku była duża i wysoko sklepiona, z miedzianymi garnkami, rondlami i przyborami wieszanymi pod sufitem i na ścianach, ze zwisającymi przy oknach warkoczami cebuli, czosnku oraz bukietami suszonych ziół. Aby ich dosięgnąć, Yvette musiała wchodzić na drabinę, ponieważ mimo całej zajadłości swego charakteru, nie należała do osób wysokich. Prawdziwym cudem było to, że szczeble drabiny nie popękały pod jej ciężarem. Yvette była stara - w każdym razie w moich oczach - i stawy jej dokuczały, a obrączki tłuszczu na kostkach nóg dygotały już na pierwszym szczeblu. Co więcej, Yvette cierpiała na lęk wysokości i często wołała na pomoc Armande'a lub Pierre'a. Jednak pewnego dnia jej oczy spoczęły na mnie i nagle rozjarzyły się błyskiem inspiracji.

- Chodź tutaj, chłopcze! - zawołała.

Podbiegłem, przestraszony, że może podłoga nie jest wystarczająco lśniąca, albo że oskrobałem nie te marchewki co trzeba. Yvette tłustą dłonią schwyciła

mnie za kołnierz koszuli, z tyłu, i podniosła w górę. Trzymała mnie nad ziemią niczym kurczaka, któremu należy jak najszybciej skrócić kark, ja zaś wiłem się jak wąż i kopałem na oślep.

- Przestań, głupku! - warknęła Yvette. - Chcę tylko, żebyś ściągnął mi tamten rondel!

Posłusznie zdjąłem rondel z haka na ścianie i odetchnąłem z ulgą, kiedy moje stopy dotknęły podłogi. Wtedy kucharka położyła mi rękę na głowie i w geście wdzięczności, który najprawdopodobniej zaskoczył ją tak samo jak mnie, delikatnie mnie poklepała. Od tej chwili przestałem być harującym w mroku niewolnikiem i przeistoczyłem się w użyteczne narzędzie. Yvette była bardzo zadowolona ze swojego pomysłu i ciągle mnie używała, szczerze mówiąc częściej, niż było to konieczne. Ja ze swej strony polubiłem te nagłe wycieczki w powietrze i byłem dumny z nowej roli. Yvette już mnie nie biła, nawet jeżeli coś upadło mi na podłogę, ponieważ byłem jej specjalnym „łapaczem”. Kilka razy wydawało mi się nawet, że słyszałem jej cichy śmiech, kiedy wyciągałem ramiona i machałem nogami, sięgając po najwyżej zawieszane przedmioty.

Moim ulubionym zajęciem było pomaganie Lucie w sprzątaniu pokoi. Hotel był niewielki, piętnastopokojowy, a niektórzy goście, na przykład Bazancice, przyjeżdżali na długie tygodnie. Nie wiedziałem, od jak dawna Joy Springtoe spędza u nas wakacje. Matka powiedziała mi, że Joy zjawia się w Mauriac co roku, bo jej narzeczony zginął tu w walce już po wyzwoleniu miasteczka. Joy nie mogła pogodzić się z faktem, że Billy poległ pod sam koniec wojny, kiedy Niemcy wycofywali się z Francji.

Lucie nie była tak ładna jak Joy. Miała ciemnobrązowe włosy, które splatała w warkocz, a jej okrągła twarz była przeciętna i bezbarwna jak nieudekorowane ciasto. Nie była rozmowna, a ponieważ ja w ogóle nie mówiłem, prawdopodobnie przyjęła, podobnie jak wiele innych osób, że również nie słyszę. Pomagałem jej słać łóżka i sprzątać łazienki. Przydzielała mi zajęcia, których sama nie lubiła, lecz mnie wcale to nie przeszkadzało, gdyż przebywając w tej części chateau, zawsze miałem szansę niby przypadkiem wpaść na Joy Springtoe oraz wiarygodną wymówkę dla swojej obecności.

Jednak pewnego ranka monsieur Duval pewnym krokiem wszedł do pokoju, który właśnie sprzątaaliśmy. Pośpiesznie cofnąłem się do łazienki, przerażony, że na mój widok właściciel hotelu wpadnie w złość. Przez szczelinę w drzwiach ujrzałem wtedy zupełnie niezwykły obraz. Lucie stała przy łóżku. Oboje nie odezwali się do siebie ani słowem. Monsieur Duval popchnął pokójówkę na materac i rzucił się na nią. Chwilę gmerał przy pasku od spodni,

wtulając twarz w szyję kobiety. Lucie odwróciła głowę w moją stronę - wydawało mi się, że patrzy na mnie. Cofnąłem się głębiej, zawstydzony, że przyłapała mnie na podglądaniu, ale ciekawość kazała mi znowu wyjrzeć z łazienki. Lucie wciąż wpatrywała się w drzwi łazienki, lecz oczy miała teraz lekko przymknięte, a zwykle blade policzki pokryły się gorączkowym rumieńcem. Monsieur Duval pompował biodrami, zupełnie jak psy na chwilę przed tym, zanim ktoś rozdzielił je mocnym kopniakiem. Jęczał i pomrukiwał, mamrotał jakieś niezrozumiałe słowa, Lucie zaś leżała z szeroko rozłożonymi nogami, gładząc dłonią jego sztywne włosy. Nie przeszkadzało jej, że wszystko widzę, bo przecież nie miałem głosu i nikomu nie mogłem nic powiedzieć. Lucie nie zdawała sobie tylko sprawy, że potrafię pisać.

Tego wieczoru opisałem matce, co mi się przydarzyło. Kiedy przeczytała o Lucie, nie wydawała się zaskoczona. Uniosła brwi i pokręciła głową.

- Są rzeczy, których taki mały chłopiec nie powinien oglądać - powiedziała, odgarniając mi włosy z czoła. - To nie był akt miłości, skarbie, raczej coś takiego, jakby pies obsikał drzewo... Lucie była najbliższym drzewem, to wszystko... - delikatnie ujęła moje dłonie i jej brązowe oczy wypełniły się łzami. - Kiedy mężczyzna naprawdę kocha kobietę, tak jak twój ojciec kochał mnie, a ja jego, obejmują się, całują i przytulają z czułością, bo nie chcą się rozstać i pragną na zawsze pozostać blisko siebie... Wtedy akt miłości jest czymś wyjątkowym, a serca przepelnia miłość... Jest jej tyle, że prawie nie możesz oddychać... - nagle parsknęła drwiącym śmiechem. - Monsieur Duval jest gorszy niż pies, to najzwyczajniejsza świnią...

Chrząknęła kilka razy, zmarszczyła nos i połaskotała mnie w brzuch, aż zacząłem zwijać się ze śmiechu.

- Czy ten chłopiec ma ojca? - zapytała Debo.

Pędził w jej dłoni wisiał nad czystą kartką już co najmniej piętnaście minut. W drugiej ręce trzymała papierosa w cygarniczce z kości słoniowej; co jakiś czas podnosiła go do ust i zaciągała się dymem.

- Widziałam jego matkę - dodała. - To prawdziwa, naturalna piękność...

- Ojciec prawdopodobnie zginął na wojnie - powiedziała Daphne, której krajobraz był już na etapie kolorowania drzew i winnic. - Tylu mężczyzn poległo...

Leżałem na ziemi, przeglądając książkę z fotografiami, którą przyniosła mi Daphne, a obok mnie drzemał jej pies Rex. Kilka dni wcześniej Daphne i Rex znaleźli mnie na mostku, kiedy bawiłem się z Pistou, i zabrali ze sobą na piknik. Polubiłem ich oboje, najbardziej zaś spodobała mi się książka ze zdjęciami Anglii. Teraz z zaciekawieniem zerkałem na stopy Daphne, obute w

pantofelki z ciemnozielonego, mięsistego zamszu, z malutkimi złocistymi dzwoneczkami przyszytymi do sznurowadeł.

- Dziwny sposób wychowania dziecka... - mruknęła Gertie, mierząc odległość pędzlem i mrużąc oczy przed słońcem.

Miała na głowie słomiany kapelusz, a jej upięte w kok włosy wymykały się spod spinek drobnymi kosmykami, które tańczyły na wietrze.

- Chłopiec nie mówi, więc raczej nie może uczyć się w normalnej szkole - odparła Debo. - Poza tym Francja to nie Anglia, prawda?

- Sugerujesz, że Francja jest zacofana? - zapytała złośliwie Daphne. - Osobiście nie sądzę, aby nieme dziecko miało większe szanse na przyzwoite wykształcenie właśnie w Anglii, na przykład w Devonie...

- Nie bądź śmieszna! - zawołała Gertie. - Nie zamierzasz chyba porównywać Mauriac z Devonem, co?

- Mały raczej nie zostanie wziętym prawnikiem - rzekła Debo. - Najprawdopodobniej całe życie będzie pracował w tutejszej winnicy, a do tego nie trzeba wyższego wykształcenia...

- Naturalnie ty wiesz wszystko o winnicach, Debo! - prychnęła Daphne. - Taka praca to nie tylko wygniatanie winogron i przelewanie sfermentowanego soku do butelek!

- Źle mnie zrozumiałaś. Mam na myśli zbieranie winogron, nie sztukę przeistaczania ich w wino.

- To urocze miejsce do wychowywania dzieci - podjęła Daphne. - Wielka winnica, piękny zamek nad strumieniem, cudne miasteczko... No i oczywiście ludzie tacy jak my, którzy przyjeżdżają tu na jakiś czas... Powiedziałabym, że życie tego chłopca jest dosyć barwne.

Na moment zapadła cisza, gdyż wszystkie trzy skupiły uwagę na swoich obrazach. W końcu Daphne odchyliła się do tyłu i uśmiechnęła do mnie spod ronda zielonego kapelusza.

- Taki z niego miły dzieciak... - westchnęła. - W jego oczach jest jednak coś dziwnego...

Odwróciłem głowę i pogłaskałem Rekxa.

- Są pełne smutku - dokończyła.

- Cóż, mały urodził się w czasie wojny, biedactwo - odezwała się Debo. - Francja była wtedy okupowana. Wyobraźcie sobie tylko, co musieli przeżywać tutejsi ludzie, gdy patrzyli na tych okropnych Niemców, maszerujących przez ich kraj i wyrzaskujących: „Heil Hitler”... Coś strasznego, słowo daję!

- Niemcy zabrali im wszystko, co najlepsze. - Daphne pokiwała głową, zupełnie jakby mówiła do siebie. - Najlepsze wina, najwspanialsze dzieła

sztuki, po prostu wyssali krew z Francji... I jakby tego było mało, biedni młodzi Francuzi musieli walczyć za Niemcy. Ojca tego nieszczęsnego chłopca na pewno spotkał właśnie taki los...

- Wiecie, że podobno właściciele najślawniejszych winnic zamuroywali najlepsze wina? - rzekła Gertie. - Czytałam gdzieś o tym... Łapali pająki i wpuszczali je do piwnic, aby pokrywały świeżo wymurowane ściany swoimi sieciami, nadając im w ten sposób patynę wieku... Sprytne, prawda?

- Jednak takie sztuczki nie powstrzymały Hitlera przed wywiezieniem stąd naprawdę wspaniałych obrazów - powiedziała Debo. - Może Francuzi nie zdążyli ich zamurować...

- Kiedy alianci weszli do Orlego Gniazda, znaleźli tam pół miliona butelek najlepszych francuskich win i szampana! - zawołała Gertie. - A przecież Hitler w ogóle nie pił alkoholu! Francuzi znosili je z góry na noszach, wyobrażacie sobie? Cóż, dla nich wino jest ważniejsze niż ludzie...

Siedziały tak, malując i dyskutując, aż do podwieczorku. Potem rozłożyły wełniany koc w szkocką kratę i otworzyły kosz z jedzeniem, w którym były herbatniki, ciasteczka i termos z herbatą. Pomyślałem o piekarni w miasteczku, gdzie na wystawie można było zwykle zobaczyć najbardziej smakowite wypieki, i nagle poczułem głód. Daphne trafnie odczytała wyraz mojej twarzy i podsunęła mi talerz.

- Poczęstuj się, skarbie - powiedziała po francusku.

Wyciągnąłem rękę i wziąłem brioszkę. Daphne uśmiechnęła się do mnie z zadowoleniem. Patrzyła trochę tak jak matka, z czułością i smutkiem. Uśmiechnąłem się w odpowiedzi, pośpiesznie przełykając kawałek drożdżowego ciasta.

4

Joy Springtoe była moją pierwszą miłością. Błąkałem się po korytarzach chateau niczym zagubiony psiak, z nadzieją, że znowu uda mi się ją zobaczyć, że Joy weźmie mnie za rękę i jeszcze raz zaprosi do swojego pokoju. Moja szansa pojawiła się pewnego wieczoru, gdy mama poszła do miasteczka, a ja zakradłem się do hotelu od strony ogrodu. Mogłem tam wchodzić jedynie wtedy, gdy pomagałem Lucie - kiedy indziej ciągle się bałem, że madame Duval zauważy mnie i wyrzuci. Tamtego dnia, ukryty w swoim zwykłym miejscu za krzesłem, uważnie obserwowałem korytarz, nasłuchując głosów i kroków. Co jakiś czas ogarniała mnie radość, bo wydawało mi się, że słyszę Joy, ale zaraz potem znowu chowałem się za oparciem.

Kiedy w końcu pojawiła się, razem ze swoją przyjaciółką Dianę, szybko wyczołgałem się z za krzesła.

- Ach, to mój mały przyjaciel! - roześmiała się Joy.

Ku mojemu wielkiemu zadowoleniu wręczyła torby z zakupami Dianę i wzięła mnie za rękę.

- Chodź, pokażę ci, co kupiłam - powiedziała. - Bardzo Przyda mi się opinia mężczyzny...

Znowu zaczerwieniłem się i uśmiechnąłem. W podnieceni rozluźniłem pięść i gumowa piłeczka potoczyła się po podłodze, znikając pod komodą. Chciałem rzucić się za nią, ale było mi strasznie wstyd, że ją upuściłem. Pomyślałem, że następnego dnia rano wrócę tu z Lucie i wyciągnę piłkę spod komody. Z moim sercem sprawa wyglądała zupełnie inaczej - Joy Springtoe trzymała je w dłoni, a ja wcale nie pragnąłem go odzyskać. Nigdy.

Następnego ranka, po niespokojnej nocy pełnej męczących snów o zgubionej piłeczce, poszedłem za Lucie do hotelu. Pokój Joy Springtoe znajdował się na samym końcu korytarza, natomiast my zaczęliśmy od części tuż przy schodach. Bałem się, że Yvette zawoła mnie do kuchni, żebym zdjął dla niej jakiś rondel, zanim uda mi się odzyskać piłkę, która naprawdę była najcenniejszą rzeczą, jaką posiadałem. Tego dnia Lucie była wyjątkowo niechętnie nastawiona do świata; powarkiwiała na mnie i z irytacją cmokała. Zależało mi, żeby jak najszybciej przejść do następnego pokoju, podczas gdy Lucie bynajmniej się nie śpieszyło. Wreszcie dotarliśmy do pokoju Joy Springtoe. Już miałem zajrzeć pod komodę, kiedy nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął monsieur Duval, cuchnący tytoniem i potem.

Na mój widok na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia i niedowierzania.

- Co on tutaj robi?! - szczechnął, wskazując mnie palcem. - Wynoś się stąd, gówniarzu! No, już, wynocha!

Ruszył ku mnie z podniesioną ręką, skuliłem się więc i wypadłem na korytarz, zostawiając piłeczkę w pokoju Joy. Biegłem przed siebie, a w uszach dzwonił mi ich drwiący śmiech. Nienawidziłem ich. Nienawidziłem z całego serca.

W naszym pokoju nad stajnią rzuciłem się na łóżko i przykryłem głowę poduszką, żeby dłużej nie słyszeć ich śmiechu. Niestety, to nie wystarczyło. Ich drwiny wciąż tkwiły w mojej głowie, w mojej pamięci, przeistaczając się w gromki śmiech, wydobywający się z wielu gardeł. Rozbolała mnie głowa, serce dudniło w piersi, a miłość, która je przepęłniała, zmieniła się w lęk. Dygotałem z wysiłku, starając się uciec przed tym ogłuszającym śmiechem, ale wciąż go słyszałem. Kiedy zrozumiałem, że nie zniosę go ani chwili dłużej, ktoś wyrwał mi poduszkę z rąk i zobaczyłem pochyloną nade mną zatroskaną matkę. Chwyciła mnie w objęcia, głaskała po włosach i całowała.

- Wszystko w porządku, kochanie... Maman jest tutaj, nigdy cię nie opuści... Nigdy, skarbie. Nigdy nie zostawię mojego małego chevalier... Jesteś mi potrzebny. Oddychaj, kochanie, oddychaj głęboko, no, już...

Moje ciało płonęło, mama także to poczuła, gdy tuliła mnie do siebie. Coś takiego zdarzyło mi się już wcześniej, więc obydwójce wiedzieliśmy, że czeka mnie tydzień dziwnej choroby, charakteryzującej się wysoką gorączką i ostrym bólem głowy.

- Co się stało? - cicho zapytała matka. - Kto skrzywdził cię tym razem?

Ale ja nie mogłem odpowiedzieć. Oczy paliły mnie od łez bezsilności. Tak bardzo pragnąłem wyjaśnić jej, co się zdarzyło...

Następny tydzień minął mi jak w gęstych oparach mgły. Pociłem się, potem robiło mi się zimno, a czasami, kiedy z trudem podnosiłem powieki, miałem wrażenie, że pokój rozciągnął się i przeciwległy róg dziwnie oddalił się i zmałał. Pamiętam, że matka ciągle była przy mnie, gładziła po głowie i opowiadała bajki. Pamiętam także, jak płakała z twarzą wtuloną w moją szyję.

- Jesteś wszystkim, co mam, synku - szlochała. - Nie zostawiaj mnie...

Nie jestem jednak do końca pewny, czy to nie był sen.

Wreszcie gorączka minęła i mogłem usiąść na łóżku. Mama weszła do pokoju, a jej poszarzała z niepokoju twarz teraz jaśniała wielką radością.

- Przeprowadziłam ci kogoś, kto bardzo chce się z tobą zobaczyć - powiedziała.

Odsunęła się i do mojego łóżka podeszła Joy Springtoe w ślicznej różowo-niebieskiej sukience, z małą torebką w ręku.

- Słyszałam, że zachorowałeś - uśmiechnęła się, siadając na łóżku.

Poczułem zapach jej perfum i odpowiedziałem szerokim uśmiechem, szczęśliwy jak nigdy dotąd.

- Mam tu coś, co zgubiłeś, i coś, co chciałabym ci podarować...

Podowała mi torebkę, a ja długą chwilę wpatrywałem się w nią w oszołomieniu. Prezent, dla mnie? Zajrzałem do środka. Na dnie, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, leżała mała gumowa piłeczka. Wyjąłem ją i mocno zacisnąłem w dłoni. Nikt poza mamą nie wiedział, jak bardzo była dla mnie cenna. Ścisnąłem ją, czując, jak fragmenty mojego potrzaskanego na kawałki świata znowu układają się w zrozumiałą całość. Potem jeszcze raz zajrzałem do torebki. Mama stała przy drzwiach z założonymi rękami, promieniejąca miłością i dumą. Z zapartym tchem, zachwycony i poruszony, powoli wyciągnąłem z torby miniaturkę samochodu Citroen Beux Chevaux, żółciutką jak cytryna. Koła obracały się, a pod podnoszoną klapą maski był maleńki srebrzysty silnik. Dotknąłem go drżącymi palcami i nagle ogarnęło mnie gorączkowe pragnienie, aby kamienna podłoga w holu nie była przykryta dywanem, bo wtedy mógłbym swobodnie puszczać tam swojego citroena. Z sercem przepelnionym wdzięcznością i miłością zarzuciłem ramiona na szyję Joy, kładąc głowę na jej ramieniu. Objęła mnie mocno. Wydawało mi się, że trwało to długo, ale wcale nie miałem ochoty uwolnić się z jej ramion i ona chyba także nie szukała pretekstu, aby odejść.

- Jesteś wyjątkowym małym chłopcem - powiedziała, przesuwając palcem po moim policzku. - Nie zapomnę o tobie...

Jej oczy lśniły od łez.

Nigdy więcej nie zobaczyłem Jój Springtoe.

5

Joy Springtoe wyjechała i chateau rozbrzmiewał teraz echem jej nieobecności. Moje serce było ociążałe ze smutku i tęsknoty. Włóczyłem się po ogrodzie i winnicy i bezmyślnie wrzucałem kamienie do strumyka, nawet nie starając się, aby podskoczyły na powierzchni. Całymi godzinami wpatrywałem się w żółtego citroena, podnosiłem i opuszczałem maskę, i przypominałem sobie twarz Joy i jej zapach. Nawet Pistou nie potrafił poprawić mojego nastroju. Byłem niepokieszony. Ludzie sądzą, że ktoś tak młody nie jest zdolny do prawdziwie głębokich uczuć (ostatecznie miałem zaledwie sześć lat i dziewięć miesięcy), ale Joy Springtoe wzięła moje serce w dłonie i potraktowała je z czułością, dlatego postanowiłem zostawić je tam na zawsze.

Monsieur Duval zabronił mi pomagać Lucie, lecz jego decyzja nie mogła mnie już dotknąć. Nie widziałem najmniejszego sensu w kręceniu się po hotelu, skoro Joy tam nie było, a poza tym Lucie zrobiła się okropnie humorzasta. Bazancice nadal cieszyły się moją sympatią, ale popołudnia spędzane na obserwacji ich postępów w sztuce malarstwa także przestały mnie pociągać. Chodziłem dookoła zamku, trzymając w ręku piłeczkę, która teraz zyskała w moich oczach dodatkową wartość, ponieważ zwróciła mi ją właśnie Joy.

Często chowałem się w piwnicy pod chateau, gdzie zawsze było wilgotno i zimno. Spoczywające na specjalnych stojakach rzędy butelek kojarzyły mi się ze złożonymi w katakumbach zwłokami. Mur był tu wiecznie mokry, pokryty pleśnią, powietrze zatechłe i nieruchome. Biegałem między stojakami, aż pewnego dnia natknąłem się na małe, ciasne pomieszczenie. Było w nim coś niesamowitego, niewytłumaczalnie tajemniczego. Stało tu tylko jedno krzesło, lecz ja natychmiast wyczułem dziwne ciepło, zupełnie jakby ktoś kiedyś mieszkał w tym niepokojącym miejscu. Zaciekawiony, wszedłem do środka i usiadłem. Rozejrzałem się dookoła. Zacząłem się właśnie zastanawiać, w jakim celu wykorzystywano tę dziwną klitkę, kiedy dostrzegłem kilka imion, wrytych obok siebie na kamiennej ścianie. Wstałem, żeby przyjrzeć się im z bliska. Leon, Marthe, Felix, Benjamin, Oriane - przeczytałem. Przesunąłem palcami po zagłębieniach w murze. Krawędzie liter wydawały się ostre, wydrapano je chyba stosunkowo niedawno. Pomyślałem, że może niegodziwy monsieur Duval przetrzymywał tu więźniów, i nagle zrobiło mi się lżej na sercu. Ogarnięty poczuciem wspólnoty przeżyć, znalazłem mały kamyk i obok tamtych drukowanymi literami wryłem swoje imię, Mischa. Ja także byłem przecież więźniem, niewolnikiem miłości i milczenia.

Nie miałem już gorączki, ale nadal byłem osłabiony. Matka obserwowała mnie czujnie, a w nocy przytulała mocno do siebie, jakby w obawie, że jakiś demon wyłoni się z ciemności i wyrwie mnie z jej ramion. Koszmary senne nękały mnie teraz częściej niż kiedykolwiek, tyle że zamiast twarzy matki, widywałem w nich twarz Joy. Budziłem się zlany potem, przestraszony i zapłakany. Ulgę przynosiła mi dopiero świadomość, że co prawda Joy zostawiła mnie, ale mama nadal jest obok.

Pewnej nocy obudził mnie odgłos świszczącego za oknem wiatru. Wichura szarpała drzewa i siekła wszystko dookoła ulewnym, zimnym deszczem. Jak na lato, było to zjawisko dość niezwykle. Mama także się obudziła i oboje usiedliśmy na parapecie okna, przyglądając się rozszalałej burzy.

- Wiesz, Mischa, moja matka, a twoja babka, zawsze powtarzała, że gwałtowna letnia burza zwiastuje zmiany... - Przechyliła głowę na ramię i spojrzała na mnie z dziecinnym uśmiechem. - Była bardzo przesądna i oczywiście zwykle miała rację... Bardzo rzadko się myliła - westchnęła, jej brązowe oczy pociemniały od łez. - Ciekawe, co by powiedziała, gdyby mnie teraz zobaczyła... Myślisz, że widzi mnie stamtąd, z nieba? Wyobrażam sobie jak splata ramiona na piersi i cmoka z niezadowoleniem... Ale ty na pewno od razu podbiłbyś jej serce, mój mały chevalier... Och, tak, byłaby z ciebie bardzo dumna! - Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej. - Wiem, że pokochałeś Joy Springtoe, skarbie. Ja też bardzo żałuję, że wyjechała. Wniosła do tego domu dużo słońca. Pamiętaj, że cię rozumiem. Miłość boli, kochanie. Boli, kiedy ukochana osoba jest z tobą, boli, kiedy jej nie ma, a najdotkliwiej boli wtedy, gdy wiesz, że już nigdy nie ujrzysz ukochanej czy ukochanego... Mimo tego warto płacić cierpieniem za te kilka chwil szczęścia. Za jakiś czas będziesz wspominał Joy bez bólu, wierz mi. Poza tym, bardzo możliwe, że ona przyjedzie tu znowu w przyszłym roku. Jej narzeczony zginął, wyzwalaając nasze miasto. Był bohaterem, a Joy przyjeżdża, żeby uczcić jego pamięć. Myślę, że ona też zatęskni za tobą...

Z trudem przywołałem uśmiech i odwróciłem się do okna, aby popatrzeć na drzewa, które porywisty wiatr przyginał do ziemi.

- Mam nadzieję, że ta burza naprawdę przyniesie zmianę - dodała mama, zupełnie jakby czytała w moich myślach. - Dla nas obojga...

Następnego dnia była sobota. Matka nie pracowała i zaproponowała, żebyśmy wybrali się do miasta. W odpowiedzi przygarbiłem się i zrobiłem zniechęconą minę, ale mama najwyraźniej wołała, abym stanął twarzą w twarz ze swoimi lękami i je pokonał.

- Żaden cheualier nie nauczy się walczyć i zwyciężać, jeśli nie będzie ćwiczył - powiedziała.

Powoli zszedłem za nią po drewnianych schodach, prowadzących na dziedziniec. Zanim zamek przeistoczył się w hotel, w stajniach zawsze było dużo koni, pięknych, lśniących, wspaniale umięśnionych zwierząt. Byłem wtedy bardzo mały, lecz ojciec sadzał mnie czasem na siodle i prowadził dookoła podwórka, mocno trzymając wodze. Doskonale zapamiętałem uczucie podniecenia, towarzyszące ruchowi konia i stukotowi jego kopyt o bruk. Teraz w stajniach mieszkały tylko dwa konie, duże, pozbawione gracji i elegancji stworzenia, wykorzystywane wyłącznie do pracy w winnicy. Jacques Reynard nauczył je chodzić w linii prostej między szeregami winnych krzewów i ciągnąć na tyle mocno, aby pług wczepiał się w ziemię i wyrywał z niej chwasty, lecz nie korzenie winorośli.

Kiedy szliśmy ścieżką do miasta, żołądek rytmicznie kurczył mi się ze strachu. W ogóle nie czułem się jak mały cheualier. Miałem ochotę odwrócić się i rzucić do ucieczki, powstrzymywała mnie jedynie myśl o matce, osamotnionej wśród tyłu wrogów. Nocna burza odeszła, pozostawiając moką ziemię i błyszczące wilgocią liście na drzewach, trochę poszarpane wichurą, ale wciąż żywe i świeże. Zdążyłem już zapomnieć o przepowiedni mojej babki, myślę zresztą, że mama także o niej zapomniała, bo rano nie wracała już do tematu czekających nas zmian.

Jak zawsze byliśmy przygotowani na wrogie spojrzenia zza koronkowych firanek. Dawniej, na początku, musieliśmy też słuchać rozmaitych okrzyków - dziwka, szwabski bękart, zdzira, zdrajczyni, mały hitlerowiec. Teraz obraźliwe określenia zastąpiły nieprzyjazne pomruki i pełne wściekłości prychnięcia. Zawsze zwracałem uwagę na reakcje dzieci. Większość z nich naśladowała rodziców i na pewno dlatego mroziła mnie płonącymi nienawiścią oczami. Czasami któreś ze zmieszaniem marszczyło brwi, a tamtego dnia, ku mojemu zdumieniu, ładna mała dziewczynka uśmiechnęła się do mnie ze współczuciem. Miała błyszczące brązowe włosy, różowe policzki i ostrożny, lecz miły szczerbaty uśmiech. Pragnąłem go odwzajemnić, ale nie mogłem, ponieważ strach sparaliżował mi mięśnie twarzy, unieruchamiając usta w sztywnym grymasie. Matka zatrzymała się przed boulangerie. Nienawidziłem tego miejsca. Ślina napływała mi do ust na widok ułożonych na wystawie smakołyków, lecz panicznie bałem się potężnie zbudowanego, grubego mężczyzny, który był właścicielem lokalu. Jego twarz zawsze prześladowała mnie w złych snach.

Mama mocniej ścisnęła moją rękę i wzięła głęboki oddech, jakby szykowałą się do skoku na głęboką wodę. Później weszliśmy do środka. Mały dzwoneczek na drzwiach zabrzączał, informując właściciela o naszej obecności. Monsieur Cezade wyłonił się zza zasłony z koralików. Miał na sobie biały fartuch, który ledwo dopinał się na brzuchu. Gdy nas zobaczył, twarz mu poszarzała, a na czole zarysowały się dwie pionowe zmarszczki.

- Bonjour, monsieur - uprzejmie odezwała się mama. Pan Cezade mruknął coś niewyraźnie.

- Na co masz ochotę, Mischa? - spytała pogodnie, zupełnie jakbyśmy byli normalnymi klientami, którzy niczym, ale to niczym nie różnią się od innych.

Czułem na sobie jego ciężkie spojrzenie. Kąciki ust mu opadły, nie miałem cienia wątpliwości, że budzę w nim najgłębsze obrzydzenie. Przestraszony, zawahałem się i przysunąłem do matki. W tym momencie drzwi się otworzyły i mały dzwonek znowu zabrzączał, odwracając uwagę monsieur Cezade'a, który przeniósł wzrok na nowego klienta, tym samym uwalniając mnie z gęstej sieci zaklęcia.

- Bonjour, monsieur - powiedział pan Cezade, swoim entuzjazmem podkreślając lekceważenie, jakie nam okazywał.

- Bonjour - odparł mężczyzna.

Mówił z bardzo wyraźnym obcym akcentem, podobnym do akcentu Joy Springtoe. Spojrzałem na niego i mój strach zniknął w jednej chwili. Był to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałem.

- Witaj, Juniorze - rzekł z uśmiechem.

Od razu go polubiłem. Otaczała go niewidzialna aura, ciepła i przyjazna. Kiedy się uśmiechał, w jego intensywnie błękitnych oczach pojawiał się łobuzerski ogień, a kąciki ust unosiły się, co sprawiało, że policzki fałdowały się komicznie, trochę jak akordeon.

- Co wybierasz? - zapytał, powtarzając pytanie, które parę chwil wcześniej zadała mi matka.

- On nie mówi - odezwał się monsieur Cezade twardym tonem, jakby obwieszczał wyrok. - To niemowa.

Amerykanin popatrzył na mamę i uśmiechnął się miło.

- Ma wyjątkowo ładną twarz, więc wcale nie musi mówić... Policzki mamy przybrały odcień czerwonej papryki. Spuściła oczy, jej dłoń stała się gorąca i wilgotna.

- Coyote Magellan - nieznajomy wyciągnął rękę. Uścisnęła ją w milczeniu.

- Może moglibyście mi pomóc - ciągnął. - Które z tych ciastek jest najlepsze?

Mówił po angielsku. Ojciec mojej matki był Irlandczykiem, dlatego władała tym językiem prawie tak dobrze jak francuskim. Miałem nadzieję, że monsieur Cezade nie rozumie ani słowa.

- Mój syn lubi chokolatine - odparła, wskazując ciastka wystawione na tacy w oknie.

- Ja także uwielbiam czekoladowe - uśmiechnął się, wyraźnie ucieszony, że mama mówi jego językiem.

- J'en prendmi trois, s'il vous plait, poproszę trzy - zwrócił się do pana Cezade'a, który obserwował nas z nieco ogłupiałą miną.

Piekarz westchnął ciężko i włożył ciastka do torby z brązowego papieru. Na pewno się zastanawiał, dlaczego Amerykanin kupił aż trzy. Coyote znowu spojrzał na moją mamę.

- Zapraszam was do kawiarni obok - powiedział. - Sam nie podołam tym ciastkom, nawet gdybym bardzo chciał...

Jestem pewny, że gdyby nie monsieur Cezade, odmówiłaby bez wahania, ale w takiej sytuacji, w obecności człowieka, który publicznie ją upokorzył, zaproszenie ze strony przystojnego, obdarzonego charyzmą Amerykanina pochlebilo jej i sprawiło przyjemność. Musiało to także w jakiś sposób przemówić do jej buntowniczego ducha, bo przecież zgodziła się pójść na kawę z mężczyzną, o którym zupełnie nic nie wiedziała.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparła, dumnie unosząc głowę.

Coyote podziękował panu Cezade'owi i razem wyszliśmy z piekarni. Gdybym w tamtej chwili miał szpadę, pokazałbym mamie, że potrafię posługiwać się nią w jej obronie.

Nie bywaliśmy w kawiarni, więc nasze wejście mocno zaskoczyło i poruszyło obecnych. Wszyscy umilkli, nawet kelnerzy przystanęli ze zdziwienia. W okolicy nie było chyba nikogo, kto nie wiedziałby o mojej osławionej matce. Ktoś mógłby pomyśleć, że powinna zdecydować się na opuszczenie chateau i wyjazd z Mauriac, ale przecież właśnie tam poślubiła mojego ojca - to był jej dom. Dokąd mieliśmy jechać? Kto zechciałby się nami opiekować?

Coyote zachował się tak, jakby nie zauważył reakcji mieszkańców Mauriac na nasze pojawienie się i z rozbajającym uśmiechem poprowadził nas do okrągłego stolika w rogu. Mięśnie policzków mojej matki były napięte - za żadne skarby świata nie chciała okazać, jak bardzo bolały ją pogardliwe spojrzenia, natomiast ja byłem tak zachwycony tym niezwykłym mężczyzną, że po raz pierwszy od tamtego straszego dnia kompletnie się nie bałem.

- Czego się pani napije, panno Anouk? - spytał Coyote, , kiedy usiedliśmy. - Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, - iż tak się do pani zwracam...

Mama była zaskoczona, bo przecież mu się nie przedstawiła.

- Muszę się pani do czegoś przyznać - Coyote zniżył głos. - Już wcześniej zobaczyłem panią i pani synka na ulicy. Jest pani piękną kobietą, a ja jestem mężczyzną, więc zapytałem, jak się pani nazywa... - Wzruszył lekko ramionami i sięgnął do kieszeni koszuli po papierosa. - Zapali pani?

Pokręciła głową, przyglądając mu się czujnie.

- Zorientowałem się, że ten tłusty wieprz w piekarni nie traktuje was jak należy - dodał. - Chyba nie ma mi pani za złe, że się wtrąciłem...

Jego spojrzenie było tak szczere, że matka nie potrafiła się zezłościć.

- Poza tym pani synek wygląda tak, jakby trzeba go trochę podkarmić - mrugnął do mnie.

- Mischa był chory - powiedziała mama. - Chętnie napije się lemoniady, a ja kawy...

- Ile Mischa ma lat?

- Sześć.

I dziewięć miesięcy, dodałem bezgłośnie.

- Jesteś bardzo przystojnym chłopcem - rzekł Coyote, odwracając się do mnie.

- Jest podobny do ojca...

Patrzyła na niego spokojnie, sprawdzała go. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że być może nigdy nie wypiję tej lemoniady i nawet nie spróbuję wymarzonej chokolatiny. Przygarbiłem się, spuściłem głowę i czekałem na wyrok.

- A więc w oczach Francuzów dopuściła się pani zdrady... - Coyote potrząsnął głową. - Oto jedna z tragedii wojny...

- Miłość nie uznaje granic - odpowiedziała.

Jej twarz złagodniała. Wiedziałem, że moje szanse na pyszne ciastko i napój rosną z każdą chwilą. Coyote zapalił papierosa, gauloise'a, zmrużył oczy i rozejrzał się po sali.

- To tylko mały chłopiec - rzekł miękko. - Co z tego, że jego ojciec jest Niemcem... Wojna już się skończyła, czas wybaczyć błędy...

- Jego ojciec był Niemcem - sprostowała matka. - Mój mąż zginął.

Podszedł kelner z tacą z napojami i Coyote otworzył papierową torbę. Podał mi moje czekoladowe ciastko.

- Trzeba cię dobrze karmić, żebyś był duży i silny - zaśmiał się cicho. - Czy Mischa umie pisać? - zwrócił się do mamy.

- Tak. - Posłała mi czuły uśmiech. Nie znosiła, gdy ludzie mówili o mnie tak, jakbym nie mógł ich zrozumieć. - Stracił mowę, ale nie rozum - powiedziała, jak zwykle w takich wypadkach.

Coyote poprosił kelnera o kartkę i ołówek i ugryzł spory kęs swojej chokolatiny.

- Smakuje równie dobrze jak wygląda - rzekł. - A twoja? Kiwnąłem głową, przełykając pyszne czekoladowe ciasto.

- We Francji jedzenie jest znacznie lepsze - uśmiechnął się Coyote.

Mama powoli popijała kawę.

- Skąd pan pochodzi? - zapytała.

- Z południa, z Wirginii. Zatrzymałem się w chateau.

- Pracuję tam - powiedziała.

- To piękne miejsce, chociaż szkoda, że właściciele przerobili je na hotel. Jako dom musiało być naprawdę cudowne.

- Teraz trudno to sobie wyobrazić - westchnęła. - To był wspaniały, elegancki dom, urządzone w najlepszym guście. Poprzedni właściciele... Och, byli dobrymi, godnymi szacunku ludźmi, cóż więcej można powiedzieć... Praca dla nich była prawdziwym zaszczytem.

Kelner wrócił z ołówkiem i czystą kartką, które Coyote położył przede mną.

- Nie lubię, kiedy nie mogę się z kimś porozumieć - rzekł. - Zwłaszcza gdy chodzi o tak pełnego energii młodego człowieka jak ty. Jeżeli będziesz chciał coś powiedzieć, Juniorze, po prostu to napisz, bo chciałbym wiedzieć, co myślisz.

Podeksytowany tak otwartą zachętą, natychmiast zacząłem pisać. Zależało mi, żeby Coyote się przekonał, iż naprawdę umiem podzielić się z nim swoimi myślami.

Dziękuję za ciastko, napisałem po francusku. Coyote przeczytał i uśmiechnął się szeroko.

- Nie, to ja dziękuję wam za towarzystwo - lekko zwichrzył mi włosy nad czołem. - Samotność to marna rozrywka.

Mieszkamy nad stajnią, napisałem.

- Nad prawdziwą stajnią? Są tam konie? Podniosłem dwa palce i wzruszyłem ramionami. Konie robocze, napisałem. Jak długo pan tu zostanie, dodałem impulsywnie.

- Na razie nie wiem - odparł z uśmiechem, spoglądając na mamę. - Podobają mi się tutaj. Tak czy inaczej, w najbliższym czasie nigdzie się nie wybieram.

6

Do chateau wróciliśmy razem. Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie, ptaki śpiewały wśród gałęzi drzew i krzewów, w gęstej trawie grały cykady. Powietrze przesycone było słodkim aromatem tymianku. Byłem w doskonałym nastroju. Szedłem lekko, jakby nogi same mnie niosły, co jakiś czas podrywając się do biegu w pogoni za jakimś pięknym motylem. Wiedziałem, że Coyote patrzy na mnie i chciałem zrobić na nim wrażenie. Matka szła obok niego powoli, jakby jej także zależało, aby ten spacer trwał jak najdłużej. Jej policzki promieniały, oczy błyszczały, śmiała się cicho, z wyraźnym zadowoleniem. Bawiła się kwiatkiem, obracała w palcach jego łodygę, potem zaczęła obrywać płatki i rzucać je na ziemię.

Nigdy jej takiej nie widziałem, a w każdym razie nie pamiętałem. Idąc, lekko kołysała biodrami, wprawiając w subtelny taniec sukienkę. Wyglądała przepięknie i chyba była szczęśliwa. Kiedy dotarliśmy do zamku, nadal z ożywieniem rozmawiała z naszym nowym znajomym. Konie pracowały w winnicy pod okiem Jacques'a Reynarda, ale od stajni bił zapach ich potu, siana i nawozu, zapach, który później, kiedy przepłynąłem Atlantyk, aby zapuścić korzenie w obcej ziemi, zawsze budził we mnie nostalgię.

Wdrapałem się na płot i przysiadłem na szczycie, obserwując ich oboje z zaciekawieniem godnym małpki, przyglądającej się przedstawicielom innych gatunków. Zawsze lubiłem obserwować ludzi, a oni rzadko zwracali na mnie uwagę, ponieważ nie mówiłem. Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo takiego jak Coyote, który potraktował mnie jak normalnego człowieka, tyle że małego. Uznał moje upośledzenie za coś barwnego, za cechę, która może stać się czymś wyjątkowym. W przeciwieństwie do madame Duval i mieszkańców Mauriac, nie widział we mnie wioskowego idioty czy szatańskiego pomiotu. Dla niego byłem chłopcem, który nie umie mówić, czymś w rodzaju pingwina, ptaka, który nie umie fruwać. Dał mi kartkę papieru i ołówek, i z przyjemnością prowadził ze mną „rozmowę”. Byłem zachwycony, pełen entuzjazmu. Do tej pory porozumiewałem się tak tylko z matką. Coyote chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że w ten prosty sposób zdobył moją dozgonną przyjaźń.

W końcu pożegnał się i poszedł do zamku. Mama patrzyła za nim z niedowierzającym uśmiechem na twarzy. Musnęła wargi czubkami palców, na moment zagubiona w myślach. Potem westchnęła i się przygarbiła.

- Chodź, Mischa - odezwała się. - Idziemy do siebie... Zerknęła na mnie. Nie udało mi się powstrzymać uśmiechu, który nagle uniósł ku górze kąci moich ust.

- Akurat w tej chwili bardzo się cieszę, że nie mówisz! - rzuciła żartobliwie, zanurzając się w cieniu.

Podbiegłem do niej i pociągnąłem ją za rękę, żeby znowu na mnie popatrzyła. Myślę, że moje oczy powiedziały jej wszystko, czego nie mogłem wyrazić słowami.

- Tak, ja także go polubiłam - kiwnęła głową. - Był dla nas bardzo miły, ale nie możemy przywiązywać do tego zbyt dużej wagi...

Jednak ja wiedziałem, że było to coś więcej niż zwykła uprzejmość. Coyote poczuł do nas sympatię. Do nas obojga.

Wieczorem mama bardzo długo siedziała przy toalecie, wpatrzona w swoje odbicie. Rozpuszczone gęste loki w kolorze ciemnej czekolady opadały jej na ramiona i plecy. Odgarnęła je do tyłu, tak że wyraźnie widziałem rysujący się na środku jej czoła ząbek jaskółczej czapeczki. Skórę miała wyzłoconą słońcem, policzki ciemnoróżowe jak morele. Przyglądałem się jej uważnie. Dla mnie zawsze była po prostu mamą, ani młodą, ani starą, lecz teraz patrzyłem na nią jak na kobietę. Młodą kobietę, bo przecież miała dopiero trzydzieści jeden lat. Staralem się zobaczyć ją taką, jaką widział Coyote. Przyszło mi do głowy, że może się pobiorą i znowu będę miał ojca. Nikt nie mógłby mieć nic przeciwko niemu - był Amerykaninem.

- Nigdy nie przestanę kochać twojego ojca, Mischa - powiedziała, pochwywszy moje spojrzenie. Była poważna, jej oczy lśniły w przyćmionym świetle nagiej żarówki, zwisającej pod sufitem. - Może zrobiłam źle, zakochując się we wrogu, ale dla mnie on nie był wrogiem... Miał dobre serce. Zawsze był dżentelmenem i nie wierzę, aby kiedykolwiek kogoś skrzywdził. Nie ma znaczenia, skąd człowiek pochodzi, jaki ma kolor skóry, jaki mundur nosi i po której stronie walczy. Wszyscy jesteśmy ludźmi i tylko to się liczy. Różni nas to, co nosimy w sercu. Twój ojciec był dobrym człowiekiem, nigdy o tym nie zapominaj. Nie pozwól, aby ktoś wmówił ci coś innego. Kierował się honorem. Gdyby mogli zobaczyć go takim, jakim ja go widziałam, na pewno by mnie zrozumieli...

Wysunęła szufladę toaletki i wyjęła oprawione w ramkę zdjęcie.

- Był przystojny - powiedziała miękko, gładząc szkło.

Widziałem tę fotografię wiele razy. Wyjmowałem ją z szuflady, kiedy byłem sam i wpatrywałem się w nią w skupieniu, usiłując wydobyć jakieś obrazy z wewnętrznej warstwy pamięci, wtedy jeszcze zbyt młodej i płytkiej.

Zachowałem tylko kilka wspomnień o ojcu i wszystkie były dla mnie bardzo cenne, równie cenne jak gumowa piłeczka, którą od niego dostałem.

- Jesteś do niego podobny — ciągnęła matka. - Zawsze, gdy na ciebie patrzę, myślę o nim. Te same jasne włosy, te same niebieskie oczy, wrażliwe usta... Był z ciebie taki dumny, tak kochał swojego synka... Serce mi pęka na myśl, że nigdy nie zobaczy, jak dorastasz... - głos jej zadrżał, spuściła głowę. - Wyrośniesz na dobrego, honorowego człowieka, kochanie, takiego jak on... Twój ojciec zginął, ale ty jesteś jego częścią i żyjesz, więc on także żyje...

Odłożyła zdjęcie do szuflady i zaczęła szcztokować włosy.

Kiedy się położyła, już prawie spałem. Jej ciało było zimne, więc pomyślałem, że musiała długo siedzieć na parapecie okna i wpatrywać się w gwiazdy. Może miała nadzieję, że ujrzy wśród nich mojego ojca albo zastanawiała się nad zmianą, jaką przyniosła wichura. Kto wie, czy to nie ta burza przywiała do Mauriac Coyote'a Magellana... Miałem nadzieję, że Amerykanin zostanie z nami na dłużej, może na zawsze, a jednocześnie bałem się, że wyjedzie, tak jak Joy Springtoe. Czułem strach, że znowu zostaniemy sami, matka i ja. Zawsze tylko we dwoje.

Tamtej nocy powtórnie dopadł mnie koszmarne sen. W tym śnie zawsze jestem na rynku. Matka trzyma mnie w ramionach, a ja tulę się do niej mocno, z całej siły. Boję się. Słyszę krzyki, śpiew, oklaski. Ludzie śpiewają, cieszą się, lecz niektórzy ujadają jak psy, ich twarze są fioletowe ze złości. Nie mogą doczekać się zemsty. Widzę monsieur Cezade'a, którego rybie oczy są szalone i zupełnie obce. Widzę księdza Abla-Louisa. Jego twarz jest zimna, obojętna. Stoi z boku i pozwala im odebrać mnie matce. Nie robi nic, aby zapobiec horrorowi, który rozgrywa się na jego oczach. Palce zaciska na krzyżu, który wisi na jego piersi. Udaje sługę Boga, ale nie sprzeciwia się grozie.

Wyrywają mnie z ramion matki jak młodą sadzonkę z ziemi. Krzyczę, wyciągam do niej ramiona, palce mam rozczapierzone i sztywne z przerażenia. Czyjeś silne ramię przygniata mój brzuch i chociaż kopię i biję w nie pięściami, jestem za mały i za słaby. Mam dopiero dwa i pół roku. Nie rozumiem, co się dzieje, ani dlaczego. Ludzie wrzeszczą: „Dziwka!” i „Zdrajczyni!”. Obce, wrogie palce szarpią ubranie na mojej matce, zdzierają je z niej. W końcu mama staje na środku rynku naga i blada jak obdarty ze skóry królik. Powalają ją na kolana i wtedy kobiety, trzy kobiety zaczynają obcinać jej włosy nożami. Mama nie płacze. Milczy i nie spuszcza wzroku z mojej twarzy, próbuje dodać mi odwagi, lecz ja czuję jej lęk i mój bezpieczny świat wali się w gruzy.

- Maman! - krzyczę rozpaczliwie.

Mój krzyk ginie wśród wrzasków tych, którzy aż palą się, żeby wymierzyć jej karę. Patrzą, jak jej włosy opadają na ziemię grubymi pasmami, podobne do ciemnych piór. Spod włosów wylania się naga skóra, jasna i pokrwawiona.

- Nie róbcie krzywdy mojemu synowi - błaga raz po raz. Jej głos jest spokojny, twardy i obco brzmi w moich

uszach. Tłum szaleje, ogarnięty atakiem nienawiści, zdolny do wszystkiego.

- Szwabski bękart! - krzyczą i podrywają mnie wysoko do góry, żeby wszyscy mogli mnie obejrzyć.

- To tylko dziecko, nie krzywdźcie go, proszę! - Teraz jej ramiona zaczynają dygotać, z oczu płyną łzy. - Nie krzywdźcie mojego synka! Proszę, nie... Weźcie mnie, ale oszczędźcie moje dziecko...

Ręce, które trzymały mnie w górze, teraz rzucają na ziemię. Oszołomiony i przerażony, zaczynam czołgać się ku matce. Moje życie zależy od tego, czy do niej dotrę. Wydaje się tak odległa, kamienie ranią mi kolana, lecz w końcu czuję na sobie jej dłonie. Jestem bezpieczny. Mama chwyta mnie w ramiona i czuję, jak jej ciałem wstrząsa szloch. Kołysze mnie, całuje w czoło, przytula policzek do mojego. Słyszę jej zdyszany głos.

- Nigdy cię nie opuszczę... - szepcze. - Nigdy cię nie opuszczę, mój mały chevalier...

Nagle przez tłum przedziera się wysoki mężczyzna. Mieszkańcy Mauriac rozstępują się, powoli znikają w bocznych uliczkach. Przybysz ma na sobie mundur, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem, oliwkowozielony. Zdejmuje kurtkę i narzuca ją na ramiona mojej matki.

- Powinniście się wstydić! - woła. - Jak możecie zwracać się przeciwko swoim rodakom!

Ale oni już go nie słyszą. Uciekają. Mężczyzna kładzie dłoń na mojej głowie.

- Nic ci nie będzie, mały...

Próbuję odpowiedzieć. Otwieram usta, ale nie jestem w stanie wydobyć z nich żadnego dźwięku. Ukradli mi głos...

Budzę się. Mama gładzi mnie po włosach, całuje w czoło.

- Znowu ten sen? - pyta cicho.

Kiwam głową i wtulam się w załomek między jej ramieniem i szyją.

- Nikt cię nie skrzywdzi, skarbie. Nic ci nie grozi... Powoli znowu zapadam w sen, gdy mama przytula mnie mocniej.

- Nie pójdziemy jutro na mszę, Mischa. Najwyższy czas, żebyśmy stawili czoło temu draniowi w sutannie...

Nie wierzę własnym uszom. Zapominam o koszmarze i całuję ją, aby okazać jej wdzięczność za tę decyzję. Matka przyciska wargi do mojego czoła i wzdycha.

- To tylko słaby, przerażony człowiek, kochanie - szepcze. - Taki wilk bez kłów. Wiem, co mówię, wierz mi...

Następnego dnia rano budzę się z ciepłym uczuciem wyczekiwania. W hotelu zamieszkał Coyote Magellan i nadszedł czas zmian. Wiedziałem, że zmiany są blisko, ponieważ wierzyłem w wiatr. Myślę, że mama miała podobne odczucia, bo nuciła cicho, kiedy się ubierała, a nigdy wcześniej tego nie robiła. Chwilę bawiła się włosami przed lustrem, a gdy wstała, jej ciało kołysało się, jakby myślami była zupełnie gdzie indziej. Potem umalowała się, spryskała wodą kolońską, przykucnęła i pocałowała mnie w czubek nosa. Ogarnął mnie obłok cytrynowego aromatu.

- Bądź dzisiaj grzeczny, Mischa. Nie biegaj za dużo, bo jesteś jeszcze osłabiony po chorobie.

Leciutko dotknąłem jej włosów. Ładnie wyglądasz, powiedziałem spojrzeniem. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, musnęła mój nos palcem i wyszła.

Pistou czekał na mnie na dziedzińcu. Po raz pierwszy od wyjazdu Joy Springtoe czułem się szczęśliwy. Sprawdziłem, czy mam w kieszeni piłeczkę i żółtego citroena i pobiegliśmy do ogrodu. Było tam mnóstwo kryjówek - wielkie kule zielonych tuj, mocno pachnące krzaki gardenii oraz wiele innych rozłożystych drzew i krzewów, wśród których mogliśmy się bawić. W ogrodzie rosły eukaliptusy, płaczące wierzby oraz wysokie lilie w dużych glinianych donicach. Z tej strony zamku był też duży taras, gdzie goście mogli siedzieć w słońcu i czytać albo popijać kawę i gawędzić przy małych okrągłych stolikach pod wąskimi drewnianymi pergolami, po których pięły się białe róże. Pistou nie musiał się chować, ponieważ i tak nikt go nie widział, lecz ja mogłem obserwować taras wyłącznie z ukrycia. Ku mojej radości, Coyote siedział przy jednym ze stolików i czytał gazetę. O krzesło obok oparta była gitara. Coyote miał na sobie płócienną koszulę z krótkim rękawem, jasne spodnie i mokasyny z brązowej skóry. Siedział z jedną nogą opartą na kolanie drugiej, z twarzą częściowo zasłoniętą rondem słomkowego kapelusza, z dymiącym gauloise'em między palcami. Wyglądał, jakby się uśmiechał, bo kąciki jego ust były lekko uniesione w wyrazie trochę kociego zadowolenia. Przy sąsiednim stoliku tkwiły pogrążone w rozmowie Bazancice, a mały Rex Daphne gryzł herbatnik u stóp swojej pani. Pistou był w żartobliwym nastroju i niepostrzeżenie wsypał łyżeczkę cukru do herbaty Gertie. Potem chichotaliśmy cicho, zasłaniając usta

dłońmi, kiedy pociągnęła mały łyczek i zmarszczyła brwi, wpatrując się ze zdumieniem w filiżankę. Nic nie powiedziała, bo niby co mogłaby powiedzieć? Wiedziała przecież, że ani Daphne, ani Debo nie splątały jej tego figla. Gertie nie znosiła cukru.

Po chwili Coyote wstał, złożył gazetę i grzecznie uchylił kapelusza, pozdrawiając Bażancice. Oczarowane nim, z uśmiechem skinęły głowami. Wydawało się, że kompletnie zapomniały o swoim wieku, bo wachlowały się rzęsami jak onieśmiałe dziewczęta. Zauważyłem, że poruszały się z większą gracją niż zwykle, jakby pod wpływem obecności Coyote'a ich ciała wypełniły się bąbelkami powietrza. Były bardzo ożywione, a ich śmiech niósł się po ogrodzie jak dźwięk wesołych dzwoneczków. Wiatr odmienił także i ich życie. Nawet powietrze pachniało inaczej, naładowane magią, której nie rozumiałem. Było tak, jakby jakaś potężna dłoń zdjęła ciemny woal z zamku, pozwalając nam do woli wygrzewać się w słońcu.

Skrzywiłem się z rozczarowaniem, kiedy Coyote ruszył w stronę wejścia do hotelu. Bażancice patrzyły za nim chwilę.

- Cóż za uroczy człowiek - odezwała się Gertie, zapominając o słodkiej herbacie i pociągając następny łyk.

- Gdybym była dziesięć lat młodsza... - westchnęła Daphne.

- Chyba raczej pięćdziesiąt, staruszek - mruknęła Gertie.

- Nigdy nie myślałam o sobie jako o starej kobiecie. - Daphne bezradnie pokręciła głową. - Wcale nie czuję się stara, wiecie? Moje serce nadal jest młode...

- Vecchio polio fa buon brodo... - rzekła Debo, wsuwając cygarniczkę między szkarłatne wargi i pocierając zapalną. - Na starej kurze ugotujesz dobrą zupę - przetłumaczyła na angielski.

Trzy Bażancice zatrzęśły się ze śmiechu. Wyszedłem z cienia i zbliżyłem się do ich stolika.

- Mischa! - zawołała Daphne. - Mój drogi chłopcze, jesteś strasznie blady!

Przykucnąłem, żeby pogłaskać Reksa. Jego mały ogonek poruszył się kilka razy, dzięki czemu mogłem się zorientować, gdzie ma zad, a gdzie głowę.

- Rex tęsknił za tobą, zresztą my także. Nie widziałyśmy cię co najmniej tydzień!

- Założę się, że madame zamknęła go w piwnicy - wymamrotała Debo. - To by tłumaczyło, dlaczego jest taki blady...

- Chłopiec był chory - powiedziała Gertie, odstawiając filiżankę z niedopitą herbatą na środek stołu. - Któregoś dnia spotkałam jego matkę i pozwoliłam sobie zapytać, co się z nim dzieje. Była szara ze zmartwienia, biedactwo... Jakie

to smutne, że musi sama wychowywać małego... Tym większy to dla niej ciężar, że chłopak jest kaleką.

- Wcale nie jest kaleką! - zdenerwowała się Daphne. - Dzieciak nie mówi, ty głupia, to nie kalectwo! Nie jest garbaty, nie kuleje ani... Och, zresztą co za różnica! Nie jest kaleką, tylko po prostu nie mówi, rozumiesz? To bardzo inteligentny chłopiec, mówię ci. Powinnaś się wstydzić, słowo daję!

Gertie długo milczała. Kilka razy otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odważyła się. Pobladła, jej skóra wydawała się prawie szara. Daphne nigdy się tak nie denerwowała. Przestałem głaskać Rekxa i popatrzyłem na nią ze zdziwieniem. Daphne spojrzała na mnie szybko i poklepała mnie po głowie.

- Kochany chłopiec... - powiedziała cicho. Zauważyłem, że Debo zerknęła na Gertie i lekko dotknęła dłoni Daphne, która uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. Między dwiema kobietami przemknął jakiś cień, coś, czego nie byłem w stanie odczytać. Nagle przyszło mi do głowy, że może Daphne ma dzieci albo wnuki i że łzy, które nagle wezbrały w jej oczach, są wyrazem tęsknoty za nimi. Tęsknoty wykraczającej poza granice zrozumienia małego chłopca.

Nagle w wychodzących na taras drzwiach stanął Coyote, a za nim wyłoniła się madame Duval. Daphne pośpiesznie wepchnęła mnie pod stół. W ostatniej chwili chwyciłem Rekxa i wciągnąłem go pod obrus. Pistou zniknął, a mnie przed wzrokiem madame zasłoniły Bażancice i jasnoniebieskie płótno. Ze swojej kryjówki obserwowałem, jak właścicielka hotelu oprowadza Amerykanina po ogrodzie, co parę kroków przystając, aby pokazać mu jakąś roślinę i zamienić z nim parę słów. Coyote sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego i z podziwem rozglądał się dookoła. Ja znałem to wszystko na pamięć i wiedziałem, że zamek jest naprawdę piękny, ale obecność Coyote'a dodała mu jakiejś nieznanej, nowej aury. Nawet madame Duval była przyjemnie podekscytowana i poruszała się lekkim, sprężystym krokiem.

Bażancice wróciły do rozmowy o nowym gościu. Mówiły, że chodzi wyprostowany, jakby służył w wojsku, a także o tym, że odgarnia jasne włosy z czoła chłopięcym, pełnym uroku gestem. Najwięcej uwagi poświęciły jego oczom.

- Błękitne jak niezapominajki - powiedziała Daphne, a przyjaciółki całkowicie się z nią zgodziły.

Od czasu do czasu wyglądałem z Reksem spod obrusa. Daphne podała mi herbatnik, którym podzieliłem się z psem.

I właśnie wtedy wydarzyła się najbardziej niezwykła rzecz pod słońcem. Na trawniku pojawił się Pistou. Kopał białą piłkę i uśmiechał się do mnie. Wyglądał się, bo wiedział, że i tak nikt go nie zobaczy. Biegając za piłką, uszczypnął madame Duval w pupę, ona zaś drgnęła, pośpiesznie zakryła to miejsce dłonią i ze zdziwieniem spojrzała na Coyote'a. Najwyraźniej zupełnie nie wiedziała, co o tym myśleć. Jej wargi wykrzywił zalotny uśmieszek, lecz mimo tego nadal była brzydka jak noc.

Popatrzyłem na Coyote'a i nagle zapało mi dech w piersiach. Coyote przyglądał się Pistou. Och, tak, widział mojego przyjaciela, nie miałem co do tego cienia wątpliwości! Podążał wzrokiem za małym chłopcem, który wesoło skakał po trawie. Potem Pistou stanął jak wryty, a biała piłka znikła. Pistou stał nieruchomo i gapił się na Amerykanina, ten zaś nie spuszczał wzroku z mojego kumpla, nie zwracając uwagi na madame Duval, która wciąż coś mówiła. Coyote uśmiechnął się i mrugnął. Pistou tak się przestraszył, że nie parsknął śmiechem, co na pewno zrobiłby w innych okolicznościach, ale zniknął. Coyote spokojnie odwrócił się i podjął rozmowę z madame, zupełnie jakby nic się nie stało. Zacząłem się zastanawiać, czy może tylko wyobraziłem sobie całą tę scenę, czy też Coyote i ja posiadaliśmy pewną wspólną, wyjątkową cechę, umiejętność, której nie miał nikt poza nami.

7

Madame Duval i Coyote zeszli po schodach prowadzących do wodnego ogrodu i dalej do winnicy. Rex i ja ostrożnie wychynęliśmy z kryjówki pod stołem.

- Monsieur Duval powinien lepiej pilnować żony - zauważyła Gertie, patrząc za nimi spod zmrużonych powiek.

- Dobry Boże, przecież ta kobieta mogłaby być matką Amerykanina! - oburzyła się Debo.

- A tobie się wydaje, że po co on tu przyjechał? - zagadnęła Daphne, podnosząc Reksa z ziemi i sadzając go sobie na kolanach. - Młody mężczyzna, wolny, o ile nam wiadomo, chyba raczej niezajęty interesami... I przyjechał aż z Ameryki...

- Bo postanowił zafundować sobie wakacje - weszła jej w słowo Gertie. - Koniecznie musi mieć jakąś misję?

- Prawdopodobnie przyjechał ze względu na wino - Debo ściągnęła brwi. - Znacie tę przypowieść? Jak to było... »Bóg stworzył człowieka, kruchego jak bańka mydlana; Bóg stworzył miłość, a miłość stworzyła kłopoty; Bóg stworzył winorośl - czy to grzech, że człowiek stworzył wino, aby topić w nim kłopoty?" - parsknęła gardłowym śmiechem. - Moim zdaniem skusiło go wino, naprawdę!

- Ależ oczywiście! - zawołała Gertie. - Masz całkowitą rację, moja droga! Po co przyjeżdżałby tutaj ktoś, kto nie interesuje się winem?

- Mnie wydaje się to trochę dziwne, i tyle.

- Nie ma w tym absolutnie nic dziwnego, Daphne - oznajmiła z naciskiem Gertie. - Jesteś stanowczo zbyt romantyczna i na tym polega twój problem. Czytasz za dużo powieści, skarbie. Czy człowiek nie może zrobić sobie wakacji ot, tak, bez żadnego szczególnego powodu? Musisz od razu przypisywać mu rozmaite dziwne motywy i komponować intrygę?

- Może przed kimś ucieka. - Debo w zamyśleniu pociągnęła łyk herbaty. Nagle kąci jej ust zadrgały i twarz rozjaśnił uśmiech. - A może kogoś tu szuka... - dodała teatralnym, mrocznym szeptem. - Może chodzi o straconą miłość...

- Naturalnie - Daphne kiwnęła głową i podsunęła Reksowi kolejny herbatnik. - A ty co o tym myślisz, Mischa?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem pojęcia, dlaczego Coyote przyjechał do Mauriac i nic mnie to nie obchodziło. Interesowało mnie tylko, jak długo zostanie.

- Zaproponujmy mu, żeby zjadł z nami obiad - powiedziała Debo. - Wtedy na pewno dotrzemy do sedna sprawy...

- Wspaniały pomysł! - ucieszyła się Daphne. - Mówię ci, Gertie, że za tym wszystkim kryje się coś więcej, niż wskazują pozory. Wakacje, też mi coś! On wcale nie wygląda na takiego, co to potrzebowałby odpoczynku. Jest zdecydowanie zbyt... zbyt... - zmrużyła oczy, szukając właściwego słowa. - Zbyt skupiony i energiczny...

Zaraz potem zmieniły temat i zaczęły rozmawiać o planowanej wycieczce w poszukiwaniu interesujących pejzaży, a ja poszedłem poszukać Pistou. Znalazłem go nad rzeką. Siedział na brzegu i przyglądał się motylowi, który przysiadł na jego dłoni. Usiadłem ostrożnie, żeby nie spłoszyć motyla i obaj obserwowaliśmy go chwilę, zanim rozłożył cudownie kolorowe skrzydła i odfrunął, poruszając się trochę chwiejnie, jakby napił się wina.

Zostałem nad rzeką do końca poranka. Rzucaliśmy kamieniami, strasząc ryby, brodziliśmy w zimnej wodzie i wygrzewaliśmy się na słońcu. Opowiedziałem Pistou o Amerykaninie.

- Naprawdę cię widział - oświadczyłem poważnie. - Może wpuszczę go do naszego świata... Może... - powtórzyłem. - Zobaczą, jak to będzie.

Mówiłem o tym niby od niechcienia, ale całym sercem pragnąłem, aby Coyote zasłużył na taki zaszczyt. Nawet moja matka nigdy nie spotkała Pistou.

Musiałem zasnąć, bo obudził mnie głos, śpiewający przy akompaniamencie gitary. Usiadłem i podrapałem się po głowie. Byłem nieprzytomny i spocony. Pistou zniknął, zostawił mnie samego na brzegu. Długą chwilę siedziałem bez ruchu, słuchając nieznannej piosenki. Była smutna, a głos męczyzny miał głębokie, łagodne brzmienie. Podniosłem się z ziemi i podążyłem za melodią w kierunku małej polanki. Tam w cieniu wielkiego kasztanowca siedział Coyote.

Zobaczył mnie, ale nie przestał śpiewać. Wzrokiem zaprosił, żebym się do niego przyłączył, więc usiadłem naprzeciwko i zacząłem obserwować, jak jego palce bawią się strunami. Opierał się plecami o pień drzewa, gitarę położył na kolanie, twarz ocieniało rondo słomkowego kapelusza. Zauważyłem, że miał długie rzęsy i zarost na policzkach oraz podbródka. Jego górne kły były duże i trochę nierówne, i chyba przez to skojarzył mi się z wilkiem. Jacques Reynard twierdził, że przed wojną w Bordeaux były wilki, ale nikt mu nie wierzył. Coyote śpiewał dla mnie, bo jego oczy ani na chwilę nie opuszczały mojej twarzy. Czuję, jak ciepło jego uczucia obmywa mnie niczym łagodna fala.

Miałem wrażenie, że moje serce rośnie, staje się coraz większe, aby przyjąć przyjaźń, którą obdarzał mnie Coyote. Uśmiechnąłem się do niego. Uświadomiłem sobie, że chociaż formalnie nie zaprosiłem go do mojego sekretnego świata, on już tam był. Jego piosenka docierała do najmroczniejszych zakamarków mojego serca, nawet tych zupełnie skamieniałych.

Och, bijcie w bęben powoli I cicho grajcie na kobzie... Grajcie marsz żałobny I nieście mnie ostrożnie... Zanieście mnie na cmentarz I przykryjcie mnie grudkami ziemi Bo jestem tylko biednym kowbojem I wiem, że wiele złego zrobiłem...

Siedzieliśmy na tej polance, Coyote i ja, bardzo długo, w każdym razie tak mi się wydawało. Coyote zaśpiewał jeszcze kilka piosenek, jedną po drugiej. Kołysałem się w ich rytm, klaskałem w dłonie, gdy wydobywał ze strun wesołą melodię, a smutnych słuchałem spokojnie, w skupieniu. Chciałem śpiewać razem z nim i starałem się wtórować mu w myśli, więc może mnie słyszał, nie wiem. Ja słyszałem swój głos, czysty i jasny jak srebro.

W końcu Coyote opuścił ręce.

- Trochę zgłodniałem - powiedział. - A ty, Juniorze? Kiwnąłem głową, chociaż chciałem, żeby śpiewał dalej, najlepiej aż do wieczora. Nie miałem ochoty wracać do domu. Tu, na polanie, przebywaliśmy w innym świecie, tylko my dwaj. W moim świecie.

- Zjesz coś ze mną?

Znowu kiwnąłem głową, chociaż nawet nie podejrzewałem, że Coyote zamierza zabrać mnie do miasta.

Bąłem się. Szedłem u jego boku, lecz mimo tego czułem strach. Pragnąłem wziąć go za rękę, ale lękałem się, że uzna mnie za mięczaka. Zawsze chodziłem do miasta z matką, która mocno ścisnęła moją rękę w dłoni. Coyote szybko wyczuł mój niepokój i lekko poklepał mnie po głowie.

- Wszystko w porządku, Juniorze?

Spojrzałem na niego i nawet udało mi się uśmiechnąć. Coyote odpowiedział mi w ten sam sposób, a wyraz całkowitej pewności siebie, malujący się na jego twarzy, dodał mi odwagi. Byliśmy już na ulicy. Niepewnie zerkąłem na domy z pozamykanymi okiennicami, żeby południowy upał nie dostał się do środka, i wyobrażałem sobie setki par oczu, obserwujących mnie nieprzyjaźnie. Czułem nienawiść, jak gęsty dym sącząca się przez szczeliny w drewnianych panelach.

Nagle Coyote zaczął mówić. Mówił i mówił, i nie przestawał. Opowiadał o Wirginii.

- Wirginia to południe Stanów, ale nie głębokie południe, rozumiesz?

Jego słowa przeniosły mnie w inne, odległe miejsce, na pole kukurydzy, otoczone starym kamiennym murem.

- Pod tym murem biwakował stary człowiek. Dałbym sobie rękę uciąć, że rozmawiał ze zwierzętami, bo jadły mu z ręki, zupełnie jakby znały go od dawna, od zawsze. Przychodziły do niego wiewiórki i zające, czasami preriowe pieski, no i oczywiście ptaki, mnóstwo ptaków. Jako chłopiec byłem podobny do ciebie, biegałem wszędzie i spędzałem całe dni na dworze, trochę jak dzikie zwierzę. Ja też przychodziłem do tego starca. Zjeździł cały świat, wiesz? Nie było chyba kraju, którego by nie odwiedził. Założę się, że był także tutaj, w tym chateau. Może pił wino, które tu robią, ponieważ uwielbiał dobre rzeczy...

Coyote mówił, a ja słuchałem. Jego opowieść pochłonęła mnie do tego stopnia, że kiedy znaleźliśmy się na rynku, nieprzytomnie rozejrzałem się dookoła, zdziwiony, że zaszliśmy tak daleko.

Coyote ruszył w stronę bistro. Szedłem w jego cieniu, z nadzieją, że nikt mnie nie zauważy, że jakimś cudem wtopię się w tło.

- No, dobrze, chyba usiadzimy na dworze - powiedział. - Co ty na to, Juniorze?

Przywołał kelnera, który spojrzał na niego, potem przeniósł wzrok na mnie i znowu popatrzył na Coyote'a. Amerykanin położył rękę na moim ramieniu i kelner zaprowadził nas do stolika osłoniętego błękitnym parasolem. W barze panował duży ruch, większość stolików była zajęta. Przestrzeń dookoła stolików zamknięto w kwadrat dużymi kamiennymi donicami, wylewały się z nich czerwone kwiaty geranium. Wcześniej nawet ich nie zauważyłem. Usiedliśmy i Coyote oparł gitarę o wolne krzesło. Po chwili kelner podszedł do nas z bloczkiem i ołówkiem w ręku. Dwie kobiety, siedzące przy dalej ustawionym stoliku, pomachały do Coyote'a, on zaś uchylił kapelusza i uśmiechnął się. Kobiety zarumieniły się i zaczęły z ożywieniem rozmawiać. Kiedy kelner podał Coyote'owi menu, Amerykanin podziękował mu po francusku i poprosił o jeszcze jedno, pour mon petit ami, „dla mojego małego przyjaciela”, jak powiedział. Zaczerwieniłem się, zupełnie jak tamte dwie panie, ponieważ Coyote' nazwał mnie swoim przyjacielem.

Gdy wziąłem menu do ręki, poczułem się bardzo dorosły. Przejrzałem je uważnie, rozumiejąc większość ważnych; słów, ale oczywiście nie umieszczone obok nich cyfry.

- Wybierz to, na co masz ochotę, Juniorze - rzekł Coyote. - Zrobimy sobie prawdziwą ucztę.

Pokazałem palcem stek, bo kiedy byłem chory, matka poszła do miasta specjalnie po mięso dla mnie. Powiedziała, że dobry stek doda mi sił i pomoże

szybciej wrócić do zdrowia. Teraz miałem już dosyć „zdrowienia” i nieustannego uważania, żeby nie biegać, nie zmęczyć się i nie spocic. Chciałem wreszcie być silny i w pełni sprawny.

Po złożeniu zamówienia sięgnąłem po kartkę, którą kelner zostawił na naszym stoliku. Proszę opowiedzieć mi coś jeszcze o tym starym człowieku, napisałem. Coyote spełnił moją prośbę z wyraźną przyjemnością. Popijałem lemoniadę, a on sączył wino i snuł najbardziej niezwykłą opowieść, jaką słyszałem. Stary człowiek miał długi, sięgający do ziemi płaszcz. Płaszcz uszyty był z kolorowych łąt, przy czym każda pochodziła z innego kraju. Czerwona ze smokiem symbolizowała Chiny; potwór miał lśniące łuski i ział ogniem. Pomarańczową łatę z groźnym lwem i grupką wesołych dzieci o czarnych buziach starzec przywiózł z Afryki, niebieską, ozdobioną rysunkiem przedstawiającym mężczyzn na rozpedzonych koniach, z Argentyny, a żółtą, z morzem, z Brazylii. Każda łata opowiadała swoją historię, a każda historia była bardziej fascynująca niż poprzednia. Dania pojawiały się na stole, zjadaliśmy je i kelner zabierał puste talerze. Kiedy znowu rozejrzałem się dookoła, w bistro nie było już prawie nikogo. Miałem wrażenie, że spędziliśmy tam wiele godzin.

Po lunchu poszliśmy na place de l'Eglise i usiedliśmy przy fontannie. Czujnie zerknąłem na kościół, którego drzwi były zamknięte, jakby w wyrazie wyrzutu, a okna lśniły wrogo. Czuję zimną aurę tego miejsca, zupełnie jakby ksiądz Abel-Louis zbliżał się do mnie, pytając, dlaczego tego ranka nie przyszliśmy na mszę. Jak śmieliśmy mu się przeciwstawić? Grupa dzieci bawiła się w berka, wśród nich dziewczynka z kasztanowymi włosami, która poprzedniego dnia posłała mi uśmiech. Wesołe głosy rozbrzmiewały dookoła, gdy dzieciaki uganiały się między drzewami, wybuchając śmiechem, gdy któreś zostało złapane.

Coyote usiadł na obramowaniu basenu fontanny i zaczął grać na gitarze. Gdy zaśpiewał Laredo, natychmiast zapomniałem o kościele, księdzu i dzieciach, które nigdy nie chciały się ze mną bawić. Kiedy szedłem ulicami Laredo, śpiewał Coyote, a moja dusza rozkwitała powoli, jak pączek na gałęzi drzewa po długiej zimie. Ogarnęła mnie wielka, niepohamowana radość i uczucie, że jestem w stanie osiągnąć dosłownie wszystko.

Nagle spostrzegłem, że dzieci przerwały zabawę i podeszły bliżej, by posłuchać. Otoczyły nas półkolem, szeptały do siebie, uważnie obserwowały Coyote'a i co jakiś czas zerkały na mnie, trochę podobne do stadka zaciekawionych cielaków. Dziewczynka z kasztanowymi włosami stała całkiem blisko i teraz także uśmiechnęła się do mnie nieśmiało.

Więc jednak jej uśmiech wcale nie był dziełem mojej wyobraźni... Miała miłą, pogodną buzię. Ponieważ nie mogłem mówić, nauczyłem się porozumiewać mimiką i odczytywać nastroje innych. Chcę zostać twoją przyjaciółką, mówiły oczy dziewczynki. Me musisz się mnie obawiać. Uśmiechnąłem się w odpowiedzi, nie mogąc uwierzyć w jej dobroć.

Coyote śpiewał dalej i dzieci usiadły. Stłoczyliśmy się razem, całkiem jakbyśmy wszyscy byli przyjaciółmi, muzyka zjednoczyła nas, pomogła zbliżyć się do siebie. Poczulem, że dotykam ramieniem siedzącego obok chłopca, ale on nie odsunął się ani nawet nie skrzywił, więc zostałem na swoim miejscu, chociaż skóra piekła mnie ze zdenerwowania. Coyote zaśpiewał zabawną piosenkę i wszyscy śmialiśmy się głośno, a potem zdjął kapelusz i włożył mi go na głowę. Zaczerwieniłem się, bo dzieci znowu patrzyły na mnie. W tej samej chwili mój sąsiad, ten, którego dotykałem, chwycił kapelusz i włożył go, wywołując wesołe okrzyki swoich przyjaciół. Wkrótce wszyscy przymierzali kapelusz Coyote'a, podając go sobie z rąk do rąk, a on śpiewał, szeroko uśmiechnięty, i nie spuszczał wzroku z mojej twarzy.

Wreszcie kapelusz trafił do dziewczynki o kasztanowych włosach, która przepchnęła się między dziećmi i mi go oddała. Sekundę później, zanim zdążyłem zareagować, znowu zerwała mi go z głowy.

- Łap mnie! - pisnęła i pomknęła przez plac.

Nagle wszystkie dzieci rzuciły się w pogoń, a ja byłem między nimi, byłem jednym z nich i pędziłem razem z nimi, słysząc, jak stukot naszych butów odbija się echem od kościelnych murów. Coyote śpiewał i nadal mnie obserwował. Byłem szczęśliwy, bo liczyłem, że zaimponuję mu liczbą; swoich przyjaciół.

Biegłem szybko, tak szybko jak z Pistou, kiedy goniliśmy się między szeregami winnych krzewów. Ku mojej wielkiej radości okazało się, że jestem szybszy od innych chłopców. Byłem mniejszy i lżejszy, dzięki czemu wymijałem drzewa ze zwinnością małpki, przeskakującej z jednej gałęzi na drugą. Wkrótce dogoniłem dziewczynkę i wyrwałem jej kapelusz.

- Łapcie go! - krzyknęły pozostałe dzieci.

Pognały za mną jak sfora psów gończych. Na ułamek sekundy serce ścisnęło mi się z przerażenia. Pamięć podsunęła wspomnienie tamtego dnia, kiedy na czworakach pełzłem do matki, a tłum domagał się mojej krwi, ale kiedy się obejrzałem, zobaczyłem roześmiane, rozbawione twarze i usłyszałem radosne okrzyki.

Bawiliśmy się całe popołudnie, a wszystko to przy dźwiękach gitary. Czasami Coyote śpiewał, czasami tylko grał, ale wydobywająca się spod jego

palców muzyka bez przerwy wypełniała plac i odbijała się od murów kościoła oraz sąsiednich domów.

W końcu cienie się wydłużyły i imponujący kształt kościoła przesłonił plac, łapczywie pożerając ostatnie promienie słońca. Dzieci przerwały zabawę i zaczęły rozchodzić się do domów. Kilkoro poklepało mnie po plecach.

- Dobrze biegasz - powiedział ktoś z podziwem.

Z rozczarowaniem patrzyłem, jak znikają. Przeżyłem wspaniałe popołudnie, a teraz zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś zechcą się ze mną bawić, czy dopuszczą mnie do swego kręgu. I co by było, gdyby nie Coyote, który rzucił na dzieci czar swojej muzyki...

Amerykanin położył gitarę na obramowaniu fontanny i wstał. Dziewczynka z kasztanowymi włosami podbiegła i podała mu kapelusz.

- Bardzo dziękuję, monsieur! - zawołała i z uśmiechem odwróciła się do mnie. - Nazywam się Claudine Lamont. Wiem, że ty jesteś Mischa Fontaine i wcale nie obchodzi mnie, że nie mówisz. W ogóle mi to nie przeszkadza...

Znowu poczułem, jak moje serce robi się większe i pełne ciepła. Claudine zarumieniła się i utkwiała spojrzenie w czubkach swoich buczków.

- Szybko biegasz - oświadczyła, zerkając na mnie spod rzęs.

Dopiero teraz zobaczyłem, że jej oczy są zielone jak pędy winorośli.

- Dziękuję za piękne piosenki, proszę pana - dorzuciła. Potem pobiegła ku jasnobrązowym domom po drugiej stronie placu i zniknęła w wąskiej uliczce.

- Laurent! - dobiegł nas jeszcze jej głos. - Poczekaj na mnie!

- Wydaje mi się, że cię polubiła, Juniorze - zauważył Coyote, wkładając kapelusz. - Język miłości nie wymaga słów... - zaśmiał się cicho. - No, chodźmy, chyba już czas, żebym odprowadził cię do domu. Twoja mama na pewno niepokoi się, co się z tobą stało.

Wróciliśmy do chateau. Wieczorne słońce zalewało pola ciepłym bursztynowym blaskiem, ptaki odzywały się na drzewach, szykując się do snu. Ukryte w wysokiej trawie cykady głośno grały, dwa razy ścieżkę przebiegł nam zając. Coyote się nie odzywał, lecz jego milczenie wydawało mi się czymś najzupełniej naturalnym. Przywykłem do ciszy i lubiłem ją. Lubiłem słuchać głosów przyrody i własnych myśli.

Byłem naprawdę szczęśliwy. Bawiłem się z dziećmi, które wcześniej zawsze budziły mój głęboki lęk, a Claudine chciała zostać moją przyjaciółką. Spojrzałem na mojego towarzysza. Zamyślił się, był gdzieś daleko stąd. Moja babcia miała rację - wiatr rzeczywiście przyniósł zmiany. Nie mogłem się już doczekać, kiedy opowiem mamie, co spotkało mnie w mieście. Gdy byliśmy

blisko stajni, wybiegła nam na spotkanie. Coyote nie mylił się, martwiła się o mnie.

- Gdzie ty byłeś, Mischa? - krzyknęła, chwytając mnie w objęcia. - Nie wolno ci tak znikać! Nie na cały dzień, na miłość boską!

- Bardzo panią przepraszam - odezwał się Coyote. - Poszliśmy na lunch do miasta, a później Mischa bawił się z dziećmi na placu...

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Bawił się z dziećmi? - powtórzyła, strzepując kurz z mojej koszuli.

- Do upadłego, prawda, Juniorze?

Matka spojrzała na mnie, najpierw z lękiem, potem z ostrożnym, miękkim uśmiechem.

- Naprawdę? - wyszeptwała.

Skinąłem głową. Objęła mnie mocno i pocałowała w policzek.

- Och, synku, tak się cieszę... Odwróciła się do Coyote'a.

- To wszystko dzięki panu - powiedziała, zakładając kosmyk włosów za ucho. - Dziękuję, dziękuję panu...

Długo patrzyli na siebie, aż w końcu spojrzenie Coyote'a stało się chyba zbyt ciężkie, bo mama spuściła wzrok.

- Mischa to dzielny chevalier - Coyote na dobranoc poklepał mnie po głowie.

Mama uśmiechnęła się z wdzięcznością. Jeszcze chwilę staliśmy, patrząc, jak Amerykanin idzie w stronę zamku.

8

Następnego ranka mama znowu nucila. Włosy miała rozpuszczone, oczy błyszczące i zauważyłem, że idąc, kołysała biodrami, tak samo jak wtedy, gdy w sobotę wracaliśmy do domu razem z Coyote'em. Nie dałem się oszukać, wiedziałem, że spodobali się sobie. Wyczułem to od samego początku.

Byłem podekscytowany, ponieważ miałem pójść do zamku i złapać coś dla Yvette, a przecież zawsze istniała szansa, że uda mi się zobaczyć Coyote'a. Zamierzałem schować się gdzieś w korytarzu i poczekać na niego, tak samo jak dawniej czekałem na Joy Springtoe. Ubrałem się w wielkim pośpiechu i pochłonałem śniadanie, podczas gdy matka popijała kawę i mówiła. Cieszyła się, że znalazłem przyjaciół, i nalegała, żebym opisał jej wydarzenia poprzedniego dnia. Pisałem powoli, ale ona czekała cierpliwie, starając się wydobyć ode mnie wszystkie szczegóły, chociaż ich zapisanie trwało tak długo.

- To czarodziej - oświadczyła na koniec. - Nie ma innego wytłumaczenia...

Nagle zapragnąłem zwierzyć jej się ze swojej przyjaźni z Pistou i powiedzieć, że Coyote także go widział, lecz sama myśl o ślimaczym tempie przekazania jej tych wszystkich informacji zirytowała mnie tak bardzo, że wolałem się poddać.

Razem przeszliśmy przez wybrukowany dziedziniec chateau i skierowaliśmy się na tył hotelu, gdzie znajdowała się kuchnia. Było wcześnie. Kominy na dachu jaśniały brzoskwiowym różem pierwszych promieni słońca, zamek otrząsał się z nocnych cieni i przeciągał sennie. Matka miała na sobie sukienkę, którą zawsze wkładała do pracy, czarną w małe żółte i białe kwiatki. Bardzo ładnie wyglądała w niej z rozpuszczonymi włosami i pięknie pachniała cytryną. Nie miałem cienia wątpliwości, że ona również liczyła na spotkanie z Coyote'em.

W kuchni przywitała nas uśmiechnięta Yvette. Zaskoczył nas nie tylko pogodny wyraz jej twarzy, ale także dźwięki, jakie wydobywała z gardła. Yvette śpiewała, przy czym warto zaznaczyć, że głos miała okropny i drżący jak stary ptak, zbyt tłusty, aby wzbić się w powietrze. Na domiar złego wcale się go nie wstydziła - nie, wręcz przeciwnie, śpiewała z wielkim zapałem, a jej potężny biust wznosił się i opadał, gdy daremnie próbowała osiągnąć wysokie tony.

- Bonjour, Anouk, bonjour, Mischa! - zaśpiewała.

Przystanęliśmy w progu, mrugając ze zdziwienia. Nie bylibyśmy bardziej wstrząśnięci, gdyby kucharka przez noc wyhodowała sobie brodę i wąsy. Po

pierwsze, Yvette nigdy się z nikim nie witała, a już na pewno nie z nami. Po drugie, nigdy nie zwracała się do mnie po imieniu. Byłem dla niej po prostu „chłopcem”, chociaż odkąd zacząłem ściągać dla niej potrzebne sprzęty, czasami odnosiła się do mnie dość serdecznie. Teraz, odziana w białe fartuch, poruszała się po kuchni lekkim, tanecznym krokiem, a jej szerokie biodra zakółysały się wdzięcznie, gdy wyminęła kant wielkiego stołu pośrodku kuchni, obciążonego zakrwawioną ćwiartką krowy, z której trzeba było przygotować podstawowe dania obiadowe.

Matka zerknęła na mnie i zrobiła zabawną minę. Wszystko wskazywało na to, że Yvette była pijana - prawdopodobnie dokonała skoku na piwnicę, gdzie przechowywano wino. Nie widzieliśmy innego wytłumaczenia jej dziwnego zachowania. Patrzyliśmy, jak sunie do spiżarni, uśmiechając się do Pierre'a i Armande'a, którzy sprawiali wrażenie równie zaskoczonych jak my. Chyba nawet nie zauważyła utkwionych w jej twarzy zaskoczonych spojrzeń. Pierre potrząsnął ciemną głową w geście rezygnacji, jak ktoś, kto staje wobec niemożliwej do rozwiązania zagadki, i poszedł korytarzem do jadalni, niosąc tacę pełną srebrnych dzbanków do kawy, i a łysy Armande ruszył za nim z koszykami na pieczywo.

Powietrze w ciepłej kuchni pachniało grzankami i gorącym mlekiem. Na dużej fajercie gotowały się jajka. Na stole, przy którym zwykle kroilem warzywa, ktoś postawił wazonik z bukietem świeżych kwiatów, co także było niezwykłym; zjawiskiem. Pomyślałem, że wszystko to dzieje się z powodu wiatru, z powodu Coyote'a - popisy wokalne Yvette, kwiaty, nagła zmiana aury w zamku, która teraz wibrowała czymś łagodnym i przyjemnym. Yvette chwyciła mnie pod pachy i okręciła się ze mną dookoła, wydając głośny tryl w stylu śpiewaczek operowych. Wiedziałem, co było jej potrzebne, i szybko ściągnąłem rondel z haka. Yvette postawiła mnie na podłodze i poklepała po głowie w rytmie melodii, którą śpiewała.

Mama wycofała się do kredensu. Miała swoje rutynowe zajęcia i zawsze trzymała się planu dnia, starając się nie wchodzić nikomu w drogę. Fakt, że pracowała w chateau dłużej niż wszyscy pozostali, z wyjątkiem Jacques'a Reynarda, bardzo irytował resztę personelu - nie mogli znieść myśli, że może być od nich pod jakimkolwiek względem lepsza czy bardziej doświadczona. Właśnie dlatego przydzielali jej najtrudniejsze prace. Prała bieliznę pościelową, obrusy? i ścierki, cerowała i łatała, prasowała, czyściła srebra. Była! świetną krawcową, ale Duwalowie nie korzystali z jej talentu, oczywiście z czystej złośliwości, co wprawiało ją w przygnębienie, ponieważ uwielbiała szyć. Sukienki szyła sobie sama, najczęściej ze starych zasłon i prześcieradeł.

Kiedyś, w czasie wojny, uszyła sobie halkę ze spadochronu, który znalazła na polach za miastem. Mój ojciec często dawał jej piękne sukienki, gdy w okupowanej Francji takie rzeczy były praktycznie nieosiągalne, lecz teraz nigdy ich nie wkładała. Gdyby je nosiła, byłoby to demonstracyjnym przypomnieniem o kolaboracji, za którą została tak okrutnie ukarana, tak więc te stroje leżały ukryte w kufrze w korytarzyku nad stajnią, gdzie nikomu nawet nie przyszłoby do głowy ich szukać. Mama wyjmowała je od czasu do czasu, w nocy, kiedy myślała, że już śpię, i wtulała w nie twarz, chyba z nadzieją, że wciąż jeszcze drzemie w nich zapach mojego ojca. Może też gest ten był wyrazem tęsknoty za dobrymi czasami, gdy żyliśmy w dostatku, a wnętrza zamku rozbrzmiewały echem kroków ludzi w wysokich, lśniących czarnych oficerkach.

Yvette śpiewała przez cały ranek. Pierre i Armande umyli i wytarli naczynia po śniadaniu, a ja odłożyłem je na miejsce. Biegałem od zlewu do szaf i z powrotem, lecz służący prawie nie zwracali na mnie uwagi. Byłem dla nich kompletnie nieważny.

- Zakochała się! - prychnął Pierre.

Najwyraźniej uważał, że ktoś taki jak Yvette nie powinien poznać dotyku miłości, w przeciwieństwie do normalnych ludzi. Miałem poważne wątpliwości, czy Pierre lub Armande darzyli kogoś taką miłością, jaka połączyła moich rodziców - obaj byli zimni i ograniczeni, i zawsze dostrzegali tylko negatywne strony życia. Gdyby zechcieli, potrafiliby doszukać się skazy na skrzydle najpiękniejszego motyla na świecie, ponieważ wszędzie widzieli tylko plamy i brudy.

- Ja powiedziałbym raczej, że straciła rozum - monotonnym głosem zaprotestował Armande. - W końcu zamkną ją w zakładzie dla wariatów, zobaczysz.

- Ktoś powinien ją skłonić, żeby przestała śpiewać.

- To jej łabędzia pieśń! - Armande zaśmiał się głucho i podał mi następny talerz. - Musimy być dla niej pobłażliwi, bo to już nie potrwa długo!

- Ja tam wiem swoje - zakochała się, i już. Popatrz choćby na te kwiaty na stole...

- Zaraz zwiędną.

- Ale ona cały czas tańczy po kuchni! Nie wydaje ci się to dziwaczne?

- W średniowieczu ludzie płacili ciężkie pieniądze, żeby oglądać takie dziwadła... - Armande na moment przerwał pracę i zmrużył oczy. - Poza tym, niby w kim miałyby się zakochać? W Jacques'u Reynardzie?

- W tym Amerykaninie. Wygląda na to, że gość skradł serca wszystkich kobiet w zamku. - Pierre odął wargi, dając wyraz marnie skrywanej zazdrości.

Irytowało go, że mężczyzna może ot tak, bez specjalnego wysiłku, zdobyć uczucie kobiety, a fakt, iż ten konkretny mężczyzna był Amerykaninem, budził w nim prawdziwą wściekłość.

- Monsieur Magellan... - Armande pokiwał łysą głową. - No tak, wszyscy o nim mówią...

Pierre wyjął ręce z mętnej od mydła wody i osuszył je ścierką.

- Od jego przyjazdu wszystko się zmieniło - rzekł żałośnie. - Spójrz choćby na Yvette i Lucie - lepiej już było, kiedy były nieszczęśliwe i wiecznie rozżłoszczone, człowiek przynajmniej wiedział, na czym stoi...

- Teraz Lucie chodzi uśmiechnięta, a monsieur Duval wścieka się jak byk, który nie dostał codziennej porcji paszy - Armande wzruszył ramionami. - Ona go unika, a to doprowadza go do furii... Za taki stan rzeczy należałoby podziękować monsieur Magellanowi...

- Ja byłbym mu szczerze wdzięczny, gdyby wreszcie wyjechał. Nie znoszę zmian, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety. Trudno znaleźć coś bardziej denerwującego niż zakochana kobieta...

Armande z roztargnieniem potarł bruzdę na czole.

- Jesteśmy świadkami ataku prawdziwej plagi, Pierre. Madame Duval obnosi twarz wymalowaną jak u lalki... I wydaje im się, że my tego nie widzimy! Głupie baby! Jedna przez drugą flirtują z mężczyzną, który mógłby być ich synem, na miłość boską! To żalosne!

- Nie jest nawet specjalnie przystojny!

- I fatalnie mówi po francusku.

- Moim zdaniem, chodzi tu o wdzięczność, Armande. Gdyby Amerykanie nie włączyli się do wojny, teraz wszyscy szwargotalibyśmy po niemiecku...

Ich oczy spoczęły na mnie. Szybko wycofałem się w cień. Usta Armande'a rozciągnęły się w zjadliwym uśmiechu.

- Gdyby chłopak mógł mówić, mówiłby po niemiecku - warknął z zimną pogardą.

- W takim razie powinien dziękować Bogu, że nie mówi.

- Tak, Pan Bóg jest dla niego naprawdę łaskawy! - parsknął Armande. - Gdyby gadał, wyszorowałbym mu tę jego szwabską gębę szarym mydłem...

Ze złowrogim błyskiem w oku wyciągnął rękę w kierunku kostki mydła, więc rzuciłem się do ucieczki. Ich drwiący śmiech ścigał mnie jeszcze w korytarzu.

Matki nie było w kredensie ani w pralni. Z mocno bijącym sercem obiegłem wszystkie miejsca, gdzie mógłbym ją znaleźć. Kiedy się bałem, ramiona mamy były moim jedynym schronieniem. Po drodze musiałem się dwukrotnie ukryć, raz, kiedy madame Duval przemaszerowała wykładanym kamiennymi płytami korytarzem do kuchni, kościstą dłonią bawiąc się wiszącymi na jej piersi okularami i rzucając polecenia Etiennette, swojej sekretarce, i drugi, gdy Yvette jak burza wpadła do pralni, najprawdopodobniej także szukając mojej matki. Przystanęła na chwilę, ogarnęła całe pomieszczenie byстрыm spojrzeniem małych czarnych oczu i zanim zamknęła za sobą drzwi, znowu zaczęła śpiewać. Nie śmiałem wyjść tą samą drogą, więc wyślizgnąłem się przez okienko.

Matkę znalazłem w kuchennym ogródku. Rozmawiała z Coyote'em. Zakradłem się do warzywniaka przez dziurę w płocie i przycupnąłem pod murem. Zasłaniały mnie rzędy tyczek fasoli, ale sam świetnie ich widziałem. Mama na kolanach wrywała marchewki i otrząsała je z grudek ziemi. Pożałowałem, że miała na głowie chustkę, ponieważ jej włosy były naprawdę piękne, kiedy opadały luźnymi falami, a ja chciałem, żeby Coyote mógł je podziwiać. Jej sukienka była zasłonięta poplamionym starym fartuchem, ale chyba wcale jej to nie przeszkadzało.

Coyote siedział na trawie i palił. Zdjął kapelusz, wystawiając na promienie słońca jasne włosy, gęste, sztywne i zmierzwione, trochę podobne do psiej sierści. Ze swojej kryjówki widziałem jego intensywnie niebieskie oczy, tak przejrzyste i błyszczące, że wydawały się rozświetlone od wewnątrz. Śmiał się, przez co jego policzki były zabawnie pomarszczone, a kurze stopki w kącikach oczu i na skroniach bardziej widoczne niż zwykle. I tym razem poczułem, jak ciepła fala obmywa i ogrzewa moje zziębnięte serce. Uczucie to rosło i rosło, aż wreszcie prawie nie mogłem oddychać ze wzruszenia.

Podczołgałem się bliżej, żeby słyszeć, co mówią. Umiałem nie zwracać na siebie uwagi, byłem w tym mistrzem.

- Pracuję tutaj, odkąd skończyłam dwadzieścia jeden lat - powiedziała moja matka, ocierając czoło wierzchem dłoni. - Oczywiście od wojny wszystko się tu zmieniło...

- Co stało się z rodziną właścicieli? - spytał Coyote, zaciągając się papierosem.

Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z mamy.

- Nie wiem. Kiedy przyszli Niemcy, musieli wyjechać. Wcześniej wspominali, że może wyjadą do Anglii, mieli tam krewnych, ale ciągle odkładali decyzję. Chdteau, winnica, Mauriac - tu był ich dom. Nie mogli

znieść myśli, że muszą to wszystko zostawić, poza tym, chyba nie wyobrażali sobie, że marszałek Petain podpisze kapitulację. To był potworny szok. Ci ludzie chcieli walczyć, nie poddawać się. Przeżyli wstrząs, ale nie mieli wyboru. Poprosili nas, żebyśmy zostali tu i opiekowali się ich majątkiem. Nie wiem, czy faktycznie udało im się dotrzeć do Anglii, nigdy nie dali znaku życia...

- Myślę, że zginęli.

- Byliby naprawdę nieszczęśliwi, gdyby zobaczyli, co Duyalowie zrobili z ich domem - westchnęła mama.

- Ale pani zdecydowała się tu zostać?

- Tak, mimo wszystko... - Spuściła głowę i znowu zaczęła kopać.

- Dla Juniora to dom, prawda?

- Dla mnie także. - Wrzuciła pęk marchewek do koszyka i podniosła się. - Poza tym, nie mam dokąd iść...

Nagle zaswędziało mnie w nosie i zanim zdążyłem ukryć twarz w dłoniach, kichnąłem jak z armaty. Matka odwróciła się, wyraźnie zaskoczona, natomiast Coyote tylko się uśmiechnął.

- Halo, Juniorze - rzekł lakonicznie. - Szkoda, że nie mieliśmy takich zdolnych szpiegów w czasie wojny...

- Mischa! - zawołała mama, trochę zdenerwowana. - Nie powinieneś tak się podkradać!

Powoli wyszedłem zza tyczek fasoli. Jej twarz natychmiast złagodniała i rozjaśniła się uśmiechem.

- Wszystko w porządku? - zagadnęła. Kiwnąłem głową.

- Yvette wciąż śpiewa? Znowu przytaknąłem.

- Dobry Boże... - westchnęła, odwracając się do Coyote'a. - Wszystko staje na głowie...

- W hotelu mieszka mnóstwo ekscentryków - zauważył. - Choćby te Angielki... To dopiero interesujące damy! Zaprosiły mnie dzisiaj na obiad i dam sobie rękę uciąć, że nie będzie to nudne przeżycie... - Zdusił papieros w ziemi i przydeptał go. - Co zamierzasz teraz robić, Juniorze?

- Mógłby pomóc mi zanieść marchew do kuchni - matka ruchem głowy wskazała stojący na trawie kosz.

- Moim zdaniem, to czyste niewolnictwo! - zażartował Coyote. - Nie wolałbyś wyruszyć ze mną na wyprawę badawczą, Juniorze?

- Naprawdę nie wydaje mi się, żeby to był...

Mama nie dokończyła, powstrzymał ją widok mojej smętej miny. Rzadko była w stanie mi czegoś odmówić.

- No, może dziś po południu - zgodziła się.

- Zabiorę gitarę i trochę sobie pośpiewamy - powiedział Coyote. - W porządku, Juniorze?

Odwrócił się do mamy i spojrzał jej prosto w oczy. Zauważyłem, że na jego twarzy odmalował się wyraz pełnego czułości zaskoczenia, jakby wreszcie znalazł bezpieczne schronienie.

- Może chciałaby pani przyłączyć się do nas?

Na policzki mamy wypełził rumieniec. Przechyliła głowę na prawe ramię, jak zwykle, gdy była zmieszana.

- Sama nie wiem, czy...

- Jestem gościem tego hotelu i proszę o pani towarzystwo - przerwał jej z uśmiechem. - Do diabła, płacę majątek za pokój, więc chyba przez parę godzin mogliby obyć się bez pani...

- Może... - odparła.

Z wyrazu jej oczu wyczytałem, że już powzięła decyzję, nie chciała tylko poddać się tak łatwo. Myślę, że Coyote także zdał sobie z tego sprawę, bo lekko unióśł brwi.

- Będziemy na panią czekać na kamiennym moście - mrugnął do mnie. - To nasze specjalne miejsce, mam rację, Juniorze?

W kuchni ze zdwojoną energią zabrałem się do mycia i skrobania marchwi. Mogłem myśleć wyłącznie o popołudniu, które miałem spędzić razem z Coyote'em. Yvette nadal śpiewała na całe gardło, co jakiś czas postukując w rondle drewnianą chochlą. Pierre i Armande przewracali oczami, słysząc, jak fałszuje, i przyciszonym głosem wymieniali nieprzychylne komentarze o jej głosie. Kucharka parę razy zajrzała mi przez ramię, opierając umąconą rękę na moich plecach i wydobywając z siebie aprobujące trele, zupełnie jakby niezwykle zapał, jakim się wykazywałem, był dziełem tych samych czarów, które wprawiły ją w tak wyśmienity nastrój.

Do tej pory Yvette traktowała moją matkę z najwyższą pogardą, lecz teraz podziękowała jej za przyniesienie warzyw i zapytała, czy mogłaby zebrać trochę malin na deser. Mama nie wiedziała, jak zareagować na nietypowe zachowanie Yvette. Nie ufała kucharce, przekonana, że ta lada chwila znowu zamieni się w potwora, starała się więc pracować jak zwykle i udawała, że niczego nie zauważyła. Jeżeli nawet Yvette wiedziała, że wywołuje burzę, co tam burzę, skandal, to nie dawała tego po sobie poznać, podejrzewam jednak, że doskonale zdawała sobie sprawę, co się dzieje, bo w czasie krótkich przerw między piosenkami kąciki jej ust unosiły się lekko w łobuzerskim uśmiešku.

Skończyłem z marchewkami. Yvette wyszła z kuchni, zabierając z sobą kolejną piosenkę, Armande i Pierre poszli podawać lunch w jadalni, a moja matka najprawdopodobniej harowała w pralni. Postanowiłem zakraść się do hotelu i odszukać Coyote'a. Podobało mi się to wyzwanie - niespodziewanie polubiłem smak ryzyka, ponieważ Coyote natchnął mnie odwagą i pewnością siebie. Naprawdę uwierzyłem, że byłbym dobrym szpiegiem. Przekradałem się korytarzami cicho jak kot, chowając się za meblami, kiedy tylko usłyszałem, że ktoś nadchodzi.

Jadalnia rozbrzmiewała ożywionymi głosami, brzękiem sztućców i porcelany. Wysoko sklepiona sala miała duże francuskie okna wychodzące na skąpany w słońcu ogród, dzięki czemu była bardzo jasna, a starannie wypastowane deski podłogi aż lśniły. Wiedziałem od mamy, że kiedyś był to salon pani zamku, z którego przechodziło się do oranżerii, a stamtąd na trawnik. Na samym początku okupacji Niemcy przekształcili salon w salę konferencyjną.

Wymknąłem się na zewnątrz i zajrzałem do środka przez okno. Od razu wypatrzyłem Coyote'a. Siedział przy stoliku z jakąś parą, której wcześniej nie widziałem. Wszyscy troje rozmawiali i śmiali się wesoło. Sąsiedni stolik zajęły Bażancice. Daphne trzymała na kolanach Reksa, który przeżuwał kawałek chleba. Ostatnio zauważyłem, że i pies, i jego pani przybrali na wadze. Daphne miała na sobie fioletową suknię z dekoltem w szpic, obszytym złocistą taśmą. Jej uszy zdobiły ciężkie kolczyki z barwnymi kamkami, takimi samymi jak te w naszymytniku, opadającym w dolinę między pierściami. Jej pulchne stopy tkwiły w pantofelkach z fioletowego aksamitu, ozdobionymi różowymi piórkami i błyszczącymi perełkami. Bez trudu zorientowałem się, że trzy damy są znacznie bardziej zainteresowane rozmową, którą prowadził Coyote, niż tym, co same miały sobie do powiedzenia.

Nagle do jadalni wkroczyła Yvette. Zdjęła fartuch, żeby pokazać światu ładną jasnoniebieską sukienkę w białe stokrotki. Przesuwając się między stolikami, rozdawała na prawo i lewo łaskawe uśmiechy. Wdzięcznie przyjmowała wypowiedane przez gości pochwały jej kulinarnego talentu i zatrzymywała się tu i ówdzie, aby zamienić z kimś parę słów. Zmiana w jej sposobie bycia była po prostu niewiarygodna. U kobiety, która uśmiechała się niezwykle rzadko, czerpała przyjemność z dręczenia innych i z byle powodu wpadała w złość, taka uprzejmość wydawała się najprawdziwszym dziwactwem. Żałowałem, że mama nie ogląda ze mną tego spektaklu, a przede wszystkim wyrazu całkowitego oszołomienia na bladej jak prześcieradło twarzy madame Duval.

Kiedy w końcu dotarła do stolika Coyote'a, zatrzymała się przy nim na długą, długą chwilę. Położyła dłoń na oparciu jego krzesła i rozmawiała z nim, śmiejąc się tak głośno i serdecznie, że jej obfity biust kołysał się jak łódź na rozszalałym morzu. Myślałem, że Coyote uzna jej zachowanie za impertynenckie wścibstwo, bo przecież przerwała mu wyraźnie interesującą rozmowę ze znajomymi, lecz ku mojemu zaskoczeniu Amerykanin wcale nie przewracał oczami ani nie prychał ze zniecierpliwieniem jak Armande i Pierre. Uśmiechał się szeroko, odsłaniając lśniące białe zęby, razem z ostrymi górnymi kłami, które kojarzyły mi się z dzikim wilkiem. Jego oczy błyszczały wesoło, gdy przerzucał się żarcikami z Yvette i towarzyszącą mu parą. Starąłem się doszukać fałszu w jego twarzy, nieszczerości w serdecznym, otwartym spojrzeniu, czegokolwiek, co później pomogłoby mi uwieść, że nie lubił Yvette równie mocno jak ja, znalazłem jednak tylko naturalny urok i pogodę ducha.

Przypomniałem sobie wtedy, jak uprzejmie zwracał się do pana Cezade'a i pozdrawiał gości bistro, gdy zaprosił mnie na lunch; łagodny, sympatyczny ton głosu, jakim odzywał się do wszystkich, pewnie nawet do tych, których nie darzył sympatią. Zapragnąłem się dowiedzieć, dlaczego tak się zachowywał. Raz po raz zadawałem sobie pytanie, jak można być miłym dla wszystkich.

9

Razem z matką szliśmy ścieżką przez pola w stronę rzeki. Popołudnie było upalne. W nagrzanym powietrzu unosiły się roje malutkich muszek, cykady grały głośno. Mama zdjęła chustkę i fartuch, cienka letnia sukienka tańczyła wokół jej nóg. Wachlowała się słomkowym kapeluszem i co chwilę zakładała grube pasmo włosów za ucho, oczywiście najzupełniej niepotrzebnie, bo powiew wiatru i tak zaraz rzucał lok na jej szyję i policzek. Szła lekko, prawie płynęła nad ziemią, kołysała biodrami i raz po raz zerknęła na mnie spod oka, starając się odczytać moje myśli.

Chciałem jej powiedzieć, że wiem, iż lubi Coyote'a. Odgadłem to od razu, widziałem przecież, jak rumieniec oblewa jej twarz, i czułem, jak jej dłoń staje się gorąca niczym rozżarzony węgiel. Miałem ochotę zapytać, jak rozmawiało się jej z nim tego ranka w warzywniaku, ale przede wszystkim pragnąłem opowiedzieć jej o pojawieniu się Yvette w jadalni. Wiatr naprawdę przyniósł wielkie zmiany. Zabrał Joy Springtoe, ale w zamian dał mi Coyote'a. Bałem się myśleć o jego wyjeździe. Matka musiała chyba mieć podobne odczucia, bo jak ja koncentrowała się na teraźniejszości, nie zastanawiając się nad niepewną i być może pełną rozczarowań przyszłością.

- O czym myślisz, Mischa? - zapytała, uśmiechając się do mnie z czułością.

Podniosłem wzrok i popatrzyłem na nią uważnie.

- Ach, uważasz, że umiesz czytać w moich myślach, ponieważ jesteś doskonałym szpiegiem? - zaśmiała się. - To miły człowiek, poza Jakiem chyba jedyny, który w ostatnich latach okazał nam serce. Może jestem głupia, nie wiem... Dużo wycierpieliśmy, ludzie byli wobec nas okrutni. Nie sądzisz, że zasłużyliśmy na odrobinę szczęścia? Zdajesz sobie chyba sprawę, że oni wszyscy bardzo mylą się co do twojego ojca, prawda? To był dobry człowiek, najlepszy pod słońcem, ale nie ma go już, nie może nas chronić... Sami musimy o siebie zadbać, opiekować się sobą nawzajem. Nigdy nie myślałam, że znowu się zakocham. Po śmierci twojego ojca moje serce zamieniło się w śnieżną grudkę. Tylko jego część pozostała żywa i ciepła - ta, która należy do ciebie, kochanie... - Położyła mi rękę na ramieniu i przyciągnęła bliżej do siebie. - Boję się, mój mały cheualier... - wyznała cicho. - Boję się znowu zakochać...

Usłyszeliśmy Coyote'a na długo, zanim go zobaczyliśmy. Jego głos i dźwięki gitary wyływały z lasu i ogarniały nas przesyconą zapachem żywicy falą. Matka włożyła słomkowy kapelusz, a ja pobiegłem przodem, jak pies, który wytropił królika. Znalazłem Coyote'a na tej samej polanie co

poprzedniego dnia, dokładnie w tej samej pozycji. Siedział oparty o pień kasztanowca, w kapeluszu na bakier. Uśmiechnął się do mnie też niesymetrycznie, jedną stroną ust i, podobnie jak poprzednio, nie przestał śpiewać, nawet na widok mamy.

- Kiedy szedłem ulicami Laredo... - śpiewał.

Mama usiadła na trawie, skupiona, zasłuchana. Coyote miał niski, łagodny głos, gęsty i grudkowaty jak rozgrzany na patelni karmel. W jego zachowaniu nie wyczułem choćby cienia zmieszania czy pretensjonalności, jakby śpiew i gra na gitarze były dla niego równie naturalne, jak to pierwsze dla siedzącego na gałęzi drzewa ptaka. Przeniósł wzrok na moją matkę i oboje zatonęli w swoich oczach. Spojrzenia, jakie wymienili, były czułe i intymne, jakby od dawna łączyło ich namiętne uczucie. To milczące porozumienie wydawało się nie mieć żadnych ograniczeń w czasie, zawierało w sobie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, było tajemnicze, lecz j dla nich całkowicie czytelne. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale już sama obecność mamy odsłaniała intencje jej serca. Zakochała się. Rozkołysane biodra, rozplamione policzki, złagodzenie krawędzi, zaostrzonych przez tragedię, którą przeżyła, wszystko to wskazywało, co czuła, lecz najbardziej znaczące było to spojrzenie. Mówiło wszystko, obnażało jej duszę.

Przyszło mi do głowy, że może w ciągu ostatnich dni widywali się częściej, niż przypuszczałem. Kiedy ja zdejmowałem z haków rondle dla Yvette i biegałem po winnicy z Pistou, oni prawdopodobnie spotykali się w sekrecie, może w warzywniaku, a może gdzie indziej. Spojrzenie mojej matki mówiło, że widzieli się wiele razy. Może to dziwne, ale wcale nie poczułem się wykluczony, odrzucony - wręcz przeciwnie, cieszyłem się, pragnąłem, żeby pobrali się i żyli długo i szczęśliwie. Coyote był księciem z bajki, w którą byłem skłonny uwierzyć.

Śpiewał dalej. Mama zerwała mały niebieski kwiatek i zaczęła obracać łodyżkę w palcach. Coyote na chwilę oderwał od niej wzrok tylko po to, żeby spojrzeć na mnie. Rozkwitłem niczym słonecznik pod wpływem ciepłych promieni. Uśmiechnąłem się do niego, nie ukrywając ufności, jaką go obdarzyłem. Ciepło, które ogrzewało moje ciało, sięgało głęboko, aż do zimnego kamyka duszy. Serce zadrżało mi z tęsknoty za człowiekiem, który kiedyś patrzył na mnie z taką samą czułością, łązy zakręciły mi się w oczach. Zawstydzony, pośpiesznie spuściłem głowę, a gdy znowu ją podniosłem, Coyote nadal śpiewał specjalnie dla mnie.

Mama była tak oczarowana, że w ogóle nie zwracała na mnie uwagi. Jej długie, falujące włosy spływały na ramiona i plecy, wiatr podnosił je i bawił się

nimi. Wyglądała nie tyle na matkę prawie siedmioletniego chłopca, ile na młodą dziewczynę; nie wiem zresztą, może w tamtej chwili widziałem ją oczami Coyote'a, który rozchylił stwardniałe, ostre płatki jej serca i dotknął jego środka. Kiedy przestał grać, mama długo biła brawo.

- To było piękne! - zawołała.

- Nic skuteczniej nie dopinguje mężczyzny w biegu do wielkości niż obecność pięknej kobiety - odparł Coyote, a matka zaśmiała się gardłowo. - Chciałbyś nauczyć się śpiewać, Juniorze?

Pomyślałem, że chyba zapomniał o moim upośledzeniu, lecz on pokręcił głową.

- Usiądź obok mnie, a ja pokażę ci, jak to zrobić - powiedział.

Spełniłem jego prośbę. Położył mi gitarę na kolanach, objął mnie jedną ręką, drugą ułożył moje palce na gryfie i pokazał mi chwyt G. Miałem małe dłonie i wydawało mi się, że nie dam sobie rady ze strunami, ale z pomocą Coyote'a jakoś mi się udało. Tego popołudnia opanowałem chwyt C, G oraz F. Nie mogłem uwierzyć, ile piosenek można zaśpiewać, korzystając tylko z tych trzech akordów. Coyote zaśpiewał mi chyba wszystkie.

Bardzo pragnąłem śpiewać. Głos wzbierał w mojej piersi jak lawa, podnosił się i wrzał. Czulem, jak na grzbiecie nosa gromadzą się kropelki potu. Byłem gotowy wybuchnąć śpiewem, lecz nieznośna blokada w krtani pozostała - nadal byłem pingwinem, ptakiem, który nie potrafi fruwać.

Złagodniałe słońce utonęło pod linią drzew, pogrążając nas w głębszym cieniu. Coyote brzdąkał na gitarze i rozmawiał z mamą, ja siedziałem obok niego i z bliska obserwowałem jego palce, z podnieceniem dotykając jego dłoni za każdym razem, gdy wydobywał z instrumentu jeden z akordów, których się nauczyłem. Coyote opowiadał nam o swoim dzieciństwie w Wirginii i starym człowieku, z którym zaprzyjaźnił się na polu kukurydzy.

- To on nauczył mnie grać - powiedział, lekko poklepując pudło gitary. - Uświadomił mi, że muzyka jest wspaniałym lekarzem. Siadaliśmy na wzgórzu, oparci o kamienny mur, patrzyliśmy, jak słońce ginie za horyzontem, a on śpiewał. Miał bardzo głęboki głos, bas o smutnym brzmieniu. Było w nim jakieś pęknięcie i czasami miałem wrażenie, że jego dusza próbuje wyrwać się przez tę szczelinę... Kiedy go słuchałem, oczy miałem pełne łez, chociaż jego wielkie ciemne dłonie tańczyły po strunach pogodnie, z radością, jakby próbowały zasklepić ranę...

Mama nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Nie widziałem tego, co ona - zaniedbanego, samotnego małego chłopca, który biegał boso po polach, podobny do bezpańskiego psa, szukającego choćby odrobiny miłości. Patrzyła

na niego oczami matki, wyczuwała lęk przed samotnością i pragnienie uczucia, zupełnie jakby można ich było dotknąć, słyszała je, jakby były krzykiem dziecka w ciemności. Nie mogę powiedzieć, żebym wtedy rozumiał Coyote'a - byłem na to za mały.

W moich oczach Coyote był czarodziejem. Uśmiechał się do wszystkich i nikt nie potrafił mu się oprzeć. Uratował moją matkę i mnie, wyrwał nas z ciemnego miejsca i wyprowadził na słońce. Swoją muzyką i głosem zaczarował Yvette oraz madame Duval. Nawet dzieci z miasteczka zapomniały, że mną gardzą, i przyjęły mnie do swego grona. Zjawił się tak niespodziewanie, z sercem pełnym współczucia i zrozumienia, i wszyscy poddali się jego urokowi. Nie zastanawiałem się, dlaczego przyjechał, nie czułem takiej potrzeby. Nie miałem cienia wątpliwości, że to tamta letnia wichura przywiała go do Mauriac.

Mama i Coyote rozmawiali z ożywieniem, a ja pozwoliłem, aby moje myśli powoli skupiły się na Pistou. Wiedziałem, że mój przyjaciel czeka na mnie na mostku nad rzeką. Znudziło mi się już siedzenie z dorosłymi, miałem ochotę pobiegać i pobawić się piłeczką. Spojrzałem na matkę - słuchała Coyote'a jak zaczarowana. Jej skóra promieniała, rozświetlona wewnętrznym ogniem. Oboje mieli oczy tylko dla siebie. Chwilami milkli i wtedy Coyote delikatnie trącał struny, wpatrując się w nią rozleniwionymi oczami. W takich momentach czułem się trochę nieswojo i nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy. W końcu oddaliłem się, świadomy, że chcą zostać sami.

Kiedy dobiegłem do mostku, ze zdziwieniem zobaczyłem nie Pistou, lecz Claudine. W pierwszej chwili nie byłem pewny, czy podejść bliżej. Stała oparta o barierę i patrzyła na wodę, długie ciemne włosy opadały jak zasłony po obu stronach jej twarzy, na głowie miała słomkowy kapelusz. Na szczęście przypomniałem sobie jej przyjazny uśmiech i to dodało mi odwagi. Gdy wyszedłem pomiędzy drzew, nadepnałem na gałązkę i Claudine odwróciła się gwałtownie, jakby przyłapana na czymś, czego nie powinna robić. Na mój widok wyraz przestrawienia zniknął z jej twarzy. Uśmiechnęła się słodko.

- Och, to ty... - powiedziała. Zmarszczyłem brwi i zbliżyłem się do niej.

- Nie powinnam tu przychodzić - wyjaśniła w odpowiedzi na moje milczące pytanie. - Nie było cię na mszy - dodała z wyraźnym podziwem.

Przechyliłem się przez barierkę i spojrzałem w dół. Wydało mi się, że widzę w wodzie twarz księdza Abla-Louisa i aż skuliłem się ze strachu.

Nie chciałem myśleć o księdzu i nie chciałem, żeby Claudine wyczuła mój lęk. Odwróciłem się i błyskawicznym ruchem zerwałem kapelusik z jej głowy. Zapiszczała radośnie i wyciągnęła obie ręce, aby go odzyskać, lecz ja

wykonałem zgrabny unik i pogałem przed siebie brzegiem rzeki. Ruszyła za mną, protestując bez przekonania i zanosząc się śmiechem.

- Mischa! - wołała. - Wracaj tu!

Ostatecznie pozwoliłem jej się złapać. Włożyła kapelusz i związała potargane włosy w koński ogon. Jej policzki były zarumienione, oczy błyszczące. Zauważyłem, że ich zewnętrzne kąci były leciutko ściągnięte w dół, co nadawało jej buzi wyraz smutku, chociaż szeroki uśmiech, odsłaniający duże, trochę wystające zęby zadawał temu kłam.

- Ach, ty potworze! - prychnęła.

Wiedziałem jednak, że wcale nie uważa mnie za potwora. Pokazałem jej miejsce na brzegu rzeki, gdzie zwykle spędzałem czas z Pistou, rzucając kamyki do wody. Usiedliśmy. Słońce, wiszące nisko nad horyzontem i podobne do czerwonej pomarańczy, ciągle jeszcze grzało. Wyjąłem z kieszeni notes i zacząłem pisać.

Amerykanin uczy mnie grać na gitarze.

Claudine uniosła brwi. Była pod wrażeniem, a ja odkryłem, że rozmowa z nią sprawia mi przyjemność.

- Wszyscy o nim mówią - powiedziała. - Codziennie przychodzi do miasta, zamawia kawę, czyta gazety... Jest przystojny.

To czarodziej.

- Pięknie śpiewa. Tamtego dnia nawet chłopcy przestali się szarpać, żeby go posłuchać. Może rzeczywiście jest czarodziejem. Tak naprawdę nikt nic o nim nie wie, więc ludzie wciąż coś gadają...

Wszystkie dziewczyny się w nim kochają.

- To prawda. Madame Bonchance z kiosku zaczęła się malować, używa jaskrawoczerwonej szminki, która potwornie gryzie się z odcieniem jej włosów. Ten twój Amerykanin jest miły dla wszystkich, nawet dla pana Cezade'a.

Nie lubię, pana Cezade'a! Claudine zachichotała.

- Nikt go nie lubi. Przypomina wielką, tłustą czerwoną świnię.

Ile masz lat?

- Siedem, a ty?

Sześć i dziewięć miesięcy. W październiku skończę siedem.

- Nie chodzisz do szkoły...

Nigdy wcześniej nie rozmawiałem z nikim o tym, że stałem się wyrzutkiem. Pełne współczucia oczy Claudine przemknęły po mojej twarzy i nagle wszystko stało się dla mnie jasne jak słońce. Zrozumiałem, że mogę jej opowiedzieć całe moje życie, a ona wcale nie zacznie mną gardzić.

Nie chcą mnie, napisałem. Mój ojciec...

Szybko położyła rękę na mojej dłoni.

- Wiem, twój ojciec był Niemcem. W porządku, mnie to nie przeszkadza. Nie ma dla mnie znaczenia, kim był twój ojciec, zresztą on był dobrym Niemcem, prawda? W przeciwnym razie twoja mama na pewno by go nie pokochała...

Oczy zaczęły mnie szczypać, więc pośpiesznie przełknąłem ślinę, żeby powstrzymać łzy. Claudine przedstawiła to w tak prosty, nieskomplikowany sposób... Popatrzyłem na zdanie, którego nie dokończyłem i na jej dłoń, spoczywającą na mojej.

- Czy to dlatego nie możesz mówić? - zapytała.

Jak miałem jej wytłumaczyć, że tamci ukradli mi głos?

- Pewnego dnia znowu zaczniesz mówić - oświadczyła z przekonaniem.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Przywykłem już do tego, że nie mówię, że słucham swojego wewnętrznego głosu. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak brzmiałby mój prawdziwy głos.

- Ludzie są czasem tacy okrutni... Potraktowali ciebie i twoją matkę w najbardziej niesprawiedliwy sposób! Księżulo gada o przebaczeniu, ale sam nie znajduje go w swoim sercu. Jego słowa są puste, pozbawione znaczenia...

Mówiła jak osoba dorosła, wcale nie jak dziecko. Podniosła rękę i odgarnęła włosy, które opadały jej na czoło. Dlaczego ty jesteś inna? Roześmiała się cicho.

- Bo mam serce i nie pędzę razem ze stadem. No i w przeciwieństwie do innych w ogóle nie boję się księdza, nawet odrobinę... Podzielę się z tobą pewnym sekretem, bo i tak nikomu go nie zdradzisz. Księżulo pije, czasami dużo, na umór. Widziałam przez okno plebanii, jak zataczał się od ściany do ściany. Śledziliśmy go, ja i Laurent. Powiedziałam o tym matce, ale nie chciała wierzyć, narobiłam sobie tylko kłopotów. Nakrzyczała na mnie i zamknęła mnie w pokoju. Groziła, że wypuści mnie dopiero wtedy, jak przeproszę ją, że skłamałam, lecz ja oczywiście jej nie przeprosiłam, bo nie miałam za co, więc w końcu otworzyła drzwi. Powiedziała, że Bóg mnie ukarze... - Claudine zaśmiała się kpiąco. - Nadal czekam na karę... Jesteś odważna.

- Nie, Mischa, to ty jesteś odważny. Co niedzielę przychodzisz z matką na mszę, a księżulo za każdym razem stara się was upokorzyć. Ludzie... Cóż, sam wiesz, jak to jest... Mimo tego wszystkiego nie uciekacie z Mauriac. To jest odwaga.

Tu jest nasz dom, napisałem, powtarzając słowa matki.

- Gdyby twój ojciec nie był Niemcem, nie byłbyś taki przystojny - uśmiechnęła się Claudine.

Zamrugalem ze zdziwienia. Zawsze strasznie wstydzilem sie swojej powierzchownosci. Niebieskie oczy i jasne wlosy przypominaly wszystkim, kto jest moim ojcem i dlaczego zostalem odrzucony przez mieszkancow miasteczka. Nigdy bym nie pomyslal, ze jestem przystojny. A to dopiero...

- Jesteś jedynym jasnowłosym chłopcem w Mauriac, Mischa. Pewnego dnia okaże się, że to wielki plus, zobaczysz!

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Słońce skryło się już za horyzontem, niebo było jasnoszare, spod woalu wieczornej mgły mrugała do nas pierwsza gwiazda. Czułem ciepło bijące od Claudine. W ciągu tych dwóch, może trzech godzin! staliśmy się sobie bliscy. Miałem wrażenie, że nasza przyjaźń trwa od wielu lat. Claudine rozumiała mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Na dodatek lubiła mnie, mimo ojca Niemca, matki kolaborantki i naszego statusu społecznych wyrzutków. W mojej piersi wezbrała fala szczęścia. I wtedy, jakby na dopełnienie radości, jaką czułem, usłyszałem głos Coyote'a.

Kiedy szedłem ulicami Laredo...

- Mischa! Mischa!

Drgnąłem. Mama mnie wołała, ale ja wcale nie chciałem rozstać się z Claudine.

- Dobrze się dzisiaj bawiłam - powiedziała z uśmiechem.

Czy mogę być twoim sekretnym przyjacielem? Sam ledwo mogłem odczytać swoje bazgrały, tak śpieszyłem się, żeby przypieczętować naszą przyjaźń. Claudine potrząsnęła głową i zmarszczyła brwi.

- Sekretnym? - powtórzyła. - Nie wstydzę się twojej przyjaźni...

Znowu dobiegł nas głos mojej mamy.

- Lepiej już idź... - Claudine wzięła mój notes i z rozmachem przekreśliła słowo „sekretnym”.

Potem, dużymi, drukowanymi literami napisała odpowiedź na moje pytanie: TAK.

Mama i Coyote wciąż byli na polance. Zapadał zmierzch. Chyba myśleli, że bawiłem się sam, jak zwykle. Mama pracowicie wygładzała pogniecioną spódnicę i przeczesywała włosy palcami, zbyt pochłonięta myślami, aby zwrócić uwagę na mój nastrój. Coyote stał pod drzewem z gitarą zarzuconą na plecy, z jedną ręką w kieszeni spodni i zapalonym gauloise'em w drugiej.

- Miło spędziłeś popołudnie, Juniorze? - zagadnął. Kiwnąłem głową. Miałem nadzieję, że mój radosny uśmiech pozwoli mu się domyślić, że spotkało mnie coś niezwykłego.

- Na pewno jesteś głodny jak wilk, Mischa - odezwała się mama. - Chodźmy do domu...

- Muszę zjeść kolację z tymi Angielkami - zaśmiał się Coyote, kiedy wychodziliśmy z lasu.

- Ja nazywam je Bazancicami.

- Daphne Halifax przypomina bardziej rajskiego ptaka niż bażanta, nie sądzisz? Zauważyłaś, że codziennie wkłada inne pantofle, a każda para jest bardziej efektowna od poprzedniej? Jej buty mają własne życie, słowo daję!

Słuchałem ich rozmowy, ale tylko jednym uchem. Nie oczekiwali, że wezmę w niej czynny udział, więc mogłem pograć się w marzeniach. Przed oczami wciąż miałem łagodną buzię Claudine. Jej obraz nie zniknął nawet znacznie później, kiedy już układałem się do snu.

10

Mama się zmieniała. Ciągłe nucila, jej głos wznosił się i opadał w leniwym rytmie, przywodząc mi na myśl huśtawkę. Poruszała się inaczej, bez pośpiechu, jakby myślami przebywała zupełnie gdzie indziej. Odmłodziła. Ostre krawędzie i linie jej twarzy złagodniały, rozmyły się; było to trochę tak, jak z rysowaniem, kiedy Daphne palcem rozcierała nakreślone węglem fragmenty swoich szkiców. Policzki mamy miały kolor jabłek, które właśnie dojrzewały w sadzie, jej oczy były rozmarzone, utkwione gdzieś w dali, oczarowane widokiem przeznaczonym wyłącznie dla niej. Nasz świat zmieniał się wokół nas, a jej w ogóle to nie przeszkadzało. Wiatr zmienił także i ją, chociaż chyba nie zdawała sobie z tego sprawy.

Nadszedł początek września, skończył się długi i gorący sierpień. Teraz, gdy upał osłabł, światło stało się łagodniejsze, a długość dni zaczęła opadać jak fale w czasie odpływu i każda noc była coraz dłuższa.

Któregoś dnia zostawiłem matkę z jej marzeniami i poszedłem do zamku. Pistou czekał na mnie na dziedzińcu, z rękami w kieszeniach i włosami opadającymi na czoło niczym grzywa ognistego kasztanowego kucyka. Ruszyliśmy w stronę mostku, raz po raz rzucając do siebie piłkę. Zawsze gdy wyjmowałem ją z kieszeni, myślałem o Joy Springtoe. Zdarzało się, że w czasie ukradkowych wizyt w hotelu nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż czuję jej zapach, ten niezwykły aromat kwiatu gardenii, który wciąż unosił się tu w powietrzu mimo szeroko otwartych okien i długo trzymał się mojego ubrania po tym, jak objęła mnie i przytuliła do siebie. Przez ostatnie parę tygodni nie męczyły mnie złe sny, w miejsce tamtego koszmaru pojawiły się przyjemne, spokojne obrazy. W nocy nie przywierałem już rozpaczliwie do matki i rano budziłem się w swojej własnej przestrzeni, tylko z jej ramieniem obejmującym mnie w pasie.

Cały ranek bawiłem się z Pistou nad rzeką. Zbudowaliśmy obóz w lesie, niedaleko polanki, gdzie Coyote lubił śpiewać do wtóru gitary. Kiedy układaliśmy gałęzie na dachu szałasów i zatykaliśmy szczeliny kępkami trawy, usłyszałem w głowie głos śpiewający: Kiedy szedłem ulicami Laredo... Znałem już słowa piosenki na pamięć i w mojej piersi wzbierało pragnienie, aby ją zaśpiewać. Pistou, który słyszał mój wewnętrzny głos, był pod wrażeniem. Powiedział, że śpiewam czysto i pięknie. Zwierzyłem mu się, że uczę się grać na gitarze, i to także sprawiło go w podziw. Spojrzałem przez ramię na skapaną w promieniach słońca polankę, podświadomie spodziewając się, że

zobaczę Coyote'a w kapeluszu, z lekkim uśmiechem na twarzy, trącającego palcami struny gitary, i zrobiło mi się ciepło na sercu na myśl, że wciąż jeszcze jest w Mauriac.

Biegaliśmy wśród krzewów winorośli, bawiąc się w chowanego. Pomyślałem, że zbliża się czas winobrania, kiedy ochotnicy z miasta zaczną przychodzić dziesiątkami, z dużymi koszami na winogrona. Nigdy nie brałem udziału w zbieraniu winogron, nikt nie proponował mi, żebym przyłączył się do którejsz z grup. Zwykle przyglądałem się z boku i razem z Pistou liczyliśmy, ile razy zbierający wkładają sobie pyszne owoce do ust, zamiast do kosza.

Tuż przed lunchem znaleźliśmy się w pobliżu starej zaniedbanej altany, zarośniętej trawą i pnączami, rozsypującej się powoli, zupełnie jak piernikowy domek Jasia i Małgosi. Często bawiliśmy się w tym miejscu, ponieważ nikt tu nie zaglądał. Mama mówiła mi, że przed wojną organizowano w altanie pikniki. Usytuowana na wzgórzu, z którego roztaczał się wspaniały widok na całą winnicę i rzekę, była teraz zapomniana i smutna, pełna zardzewiałych fragmentów maszyn i worków z niepotrzebnymi, zużytymi rzeczami, ocieniona grubymi gałęziami drzew orzechowych. Dla mnie było to niezwykle miejsce. Pod warstwą rozkładu dostrzegałem czasem błysk dawnej wspaniałości. Wyobrażałem sobie ludzi siedzących na werandzie, między kamiennymi filarami, podpierającymi dach altany, popijających kawę z porcelanowych filiżaneczek, patrzących na powoli zanurzające się w rzece czerwonopomarańczowe słońce. Może puszczała tu sobie płyty i tańczyli wśród coraz dłuższych i ciemniejszych cieni potężnych orzechów. Fascynowała mnie myśl, że ktoś zbudował taki duży, ozdobny budynek dla prostej przyjemności urządzania w nim pikników.

Dobiegliśmy na szczyt wzgórza zdyszani i złani potem. Cały czas rzucaliśmy do siebie piłeczkę i ani razu jej nie upuściliśmy. Kiedy zbliżaliśmy się, poczułem, że nie jesteśmy sami. Pistou także się zorientował, że jest tu ktoś jeszcze. Przestał się śmiać i wsunął ręce do kieszeni, węsząc w powietrzu jak pies. Pośpiesznie schowałem piłkę, przebiegłem na palcach kilka metrów dzielących nas od altany i przywarłem plecami do ściany. Ze środka dobiegały dziwne dźwięki - głuche jęki i postękiwanie, potem niespodziewany wybuch śmiechu. Od razu rozpoznałem ten śmiech, wysoki i piskliwy, bardziej podobny do gorączkowego pochrząkiwania podnieczonej maciory niż do kobiecego głosu. Uśmiechnąłem się do Pistou, a on znacząco uniósł brwi. Zbliżyliśmy głowy do okna.

Przez powleczoną zielonkawą pleśnią szybę ujrzałem niezwykle widok i natychmiast przypomniałem sobie rozmowę, którą jakiś czas temu toczyli

Pierre i Armande. „W kim niby miałyby się zakochać? W Jacques'u Reynardzie?”. Żartowali i kpili, a jednak teraz wyraźnie widziałem Yvette, której siwiejące włosy wymykały się spod spinek i w nieładzie opadały na twarz, otyłą, przysadzistą Yvette w rozpiętej sukni i fartuchu, siedzącą nie na kim innym, a właśnie na Jacques'u Reynardzie. Oboje byli zbyt pochłonięci tym, co robili, aby nas zauważyć. Jacques miał spodnie ściągnięte do kostek, jego buty były zakurzone, a owłosione, chude nogi podrygiwały rytmicznie i unosiły się w kolanach, kiedy Yvette ujeżdżała go jak konia.

Przycisnąłem nos do szyby, żeby lepiej widzieć. Nie raz miałem okazję obserwować kopulujące zwierzęta; ostatecznie wychowywałem się na wsi, w majątku, gdzie zawsze były świnie, krowy i kozy. Wiedziałem, co robią Yvette i Jacques, bo w końcu wyglądali i zachowywali się podobnie jak zwierzęta. To samo gorączkowe napięcie pchnięć, ta sama prymitywna gwałtowność, która neguje wszystko dookoła, ta sama bezmyślność - od zwierząt różniła ich tylko radość, jakiej najwyraźniej doświadczali. Na umęczonej twarzy Yvette malował się nieprzytomny uśmiech, twarz Jacques'a wykrzywiona była w radosnym grymasie. Pomyślałem o monsieur Duvalu i Lucie. Yvette i Jacques trwali tak jeszcze długą chwilę, szczepieni ze sobą jak dwa kawałki magnesu - Yvette unosiła się i opadała, a Jacques trzymał ją za pośladki, jakby chciał nią kierować, co z powodu masy jej ciała było oczywiście niewykonalne. Zachichotaliśmy, Pistou mrugnął do mnie. Zaraz potem przedstawienie dość gwałtownie dobiegło końca i Yvette osunęła się na pierś Jacques'a jak nieudany suflet. On objął ją mocno i uściskał. Był to moment zaskakującej czułości u pary, która kilka chwil wcześniej zachowywała się jak dzikie zwierzęta.

Nie chciałem, żeby mnie przyłapali, więc schowaliśmy się między drzewami. Wyciągnęliśmy się na brzuchach, w pozycji żołnierzy, którzy obserwują wroga. Byliśmy podekscytowani tym, co przed chwilą widzieliśmy, i faktem, że odkryliśmy tajemnicę tych dwojga. Znudzony oczekiwaniem, zacząłem rozgarniać źdźbła trawy i przyglądać się biegającym wśród nich insektom. Zastanawiałem się, czy Yvette i Jacques zasnęli i co pomyślałaby madame Duval, gdyby teraz natknęła się na nich. Zawsze nienawidziłem Yvette, bo traktowała mnie i mamę w podły sposób, ale odkąd zostałem jej „łapaczem”, zdecydowanie złagodniała i trochę przestałem się jej bać. Nagle z uśmiechem klepnąłem się w czoło. Wreszcie poznałem przyczynę transformacji Yvette i zrozumiałem, że nie czuję już do niej nienawiści. Musiała przecież mieć w sobie okrucieństwo, skoro Jacques ją pokochał; Claudine powiedziała coś podobnego o moim ojcu. Może Yvette zachowywała się tak podle, bo była nieszczęśliwa, a teraz Jacques ją uszczęśliwił. Czyżby życie naprawdę było

takie proste? Nieszczęśliwi ludzie zachowują się źle i zadają ból innym, a szczęśliwi są dobrzy?

W końcu kochankowie wynurzyli się z altany. Yvette jak zwykle spięła włosy w ciasny koczek i uporządkowała ubranie, Jacques podciągnął i zapiął spodnie. Oboje promieniali, zupełnie jakby przed chwilą wyszli z przyjemnie chłodnej wody albo wrócili ze spaceru. Trzymali się za ręce i co jakiś czas wymieniali pocałunki. Rude wąsy Jacques'a musiały drażnić skórę Yvette, ale chyba wcale jej to nie przeszkadzało. Lubiłem Jacques'a - miał szczerą, miłą twarz. Patrzył na Yvette z czułością, pożerał ją wzrokiem.

- Jesteś śliczna - powiedział, przesuwając palcami po jej policzku. - Zupełnie jak soczyste, dojrzałe winogrono...

Kiedy się rozstali, Jacques zszedł do winnicy, Yvette zaś szybkim krokiem skierowała się do zamku. Była już na dziedzińcu, gdy zaczęła śpiewać. Jej głos drżał, załamywał się i wręcz zgrzytał na wysokich nutach, a ja krzywiłem się boleśnie, bo teraz, gdy słyszałem Coyote'a, jakoś popisów wokalnych Yvette przeszkadzała mi jeszcze bardziej, ale znałem powód jej uniesień i dobrze ją rozumiałem.

Trochę później poszedłem do ogrodu i znalazłem tam Bazancice, które oczywiście malowały. Wskazówek udzielał im niezrównany monsieur Autruche. Wiedziałem, że państwo Duval wybrali się na cały dzień do Paryża, składając obowiązek opieki nad gośćmi na barki Etiennette; właśnie dlatego Yvette mogła się na tak długo wymknąć do altany. Sam także śmiało zapuściłem się na teren przy hotelu - czułem, że tego dnia nic mi nie grozi, wystarczy, abym zanadto nie rzucił się w oczy. Daphne bardzo ucieszyła się na mój widok.

- Mój drogi Mischa, nie widziałyśmy cię od niedzieli! - zawołała. - Gdzie się podziewałeś?

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się. Miałem jej naprawdę dużo do powiedzenia.

- Rex także tęsknił za tobą - dodała, wkładając pieska w moje ramiona.

Usiadłem na trawie i zacząłem się z nim bawić.

- Mamy szczęście, że znalazłyśmy pana Autruche'a - ciągnęła Daphne. - Podobno to najlepszy nauczyciel rysunku w Paryżu i, proszę, jest tu z nami... Wyobraź sobie tylko, jaki to wielki przywilej!

Uznałem, że monsieur Autruche (po francusku „Struś”) nosi najgłupsze nazwisko, jakie można sobie wyobrazić. W dodatku wcale nie wyglądał jak struś. Miał lśniące czarne włosy, zamyśloną, przystojną twarz i ciemnobrązowe oczy, które wpatrywały się we mnie tak intensywnie, że musiałem się

odwrócić. Monsieur przyjechał z Paryża, więc nic nie wiedział o moim pochodzeniu - dla niego równie dobrze mogłem być wnukiem Daphne. Patrzył na mnie bez cienia niechęci, lecz mimo wszystko jakoś dziwnie. Miał ostry nos z garbem, co upodabniało go do jastrzębia, i wystające kości policzkowe. Nosił spodnie z zakładkami w pasie i jedwabny szalik, żółty, idealnie dopasowany odcieniem do również żółtej kamizelki. Pomyślałem, że pewnie jest mu za gorąco, chociaż nie wyglądał na spoconego.

- Bonjour... - powiedział, skłaniając głowę z nieco staroświecką uprzejmością.

Nie uśmiechał się, wyraz jego twarzy był raczej poważny i chyba bardziej pompatyczny niż surowy.

- To jest Mischa - przedstawiła mnie Daphne. - Nie mówi, ale jest bardzo inteligentny.

- Ach, Mischa... - głos nauczyciela rysunku był miękki i nosowy. - Lubisz malować?

Znowu wzruszyłem ramionami. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy w ogóle kiedyś malowałem.

- Bon, w takim razie mam jeszcze jednego ucznia - rzekł monsieur Autruche, nie kryjąc zadowolenia.

Położył przede mną czystą kartkę i małe pudełko z farbami i wręczył mi pędzel. Zepchnąłem Reksa z kolan. Nauczyciel usiadł obok mnie, czułem zapach jego wody kolońskiej, ciężkawy i słodki, podobny do aromatu damskich perfum. Coyote nigdy nie użyłby takiej wody, nie miałem co do tego cienia wątpliwości.

- Chciałbym, żebyś trochę poeksperymentował z kolorami - podjął monsieur Autruche. - Nieważne, co namalujesz i jak ci to wyjdzie, spróbuj skoncentrować się na barwach. Używaj wszystkich, które ci się spodobają.

- Panie Autruche! - zawołała Debo. - To przekłete niebo wydaje mi się tak potwornie nudne! Nie wiem, co zrobić, żeby wyglądało ciekawiej, jest jak płaskie jezioro w Szwajcarii, niebieskie, niebieskie i jeszcze raz niebieskie...

Monsieur Autruche westchnął ze zniecierpliwieniem. Debo i Gertie na pewno były dość wymagającymi uczennicami.

Debo siedziała przy sztalugach i kopciła papierosa, zawiązany na głowie kolorowy szalik opadał jej na jedno ramię. Obie z Gertie były nadąsane jak małe dziewczynki i prawie się do siebie nie odzywały, jakby przed chwilą się pokłóciły. Nie zaskoczyło mnie to, bo Debo i Gertie często sobie dogryzały. Nauczyciel bez pośpiechu podszedł do Debo. Zauważyłem, że nie tyle szedł, co płynął nad ziemią, jakby pod podszewkami butów miał małe kółeczka.

- Sęk w tym, że wczoraj wieczorem za dużo wypiałś - powiedziała Gertie. - Gdybyś nie miała migreny, pewnie namalowałabyś niebo z większym wyczuciem...

- Bzdury! - zirytowała się Debo. - Wypiłam ze dwa kieliszki, nie więcej. Co powinnam zrobić, panie nauczycielu?

Gertie wymownie przewróciła oczami.

- Słowo daję, nie mogę się zdobyć, żeby nazywać go panem Strusiem... - wymamrotała Debo.

Gertie mlasnęła bezradnie i odwróciła głowę. Daphne spokojnie malowała dalej, zupełnie jakby nie słyszała ich sprzeczki.

- Uważam, że Jack jest absolutnie czarujący - powiedziała z namysłem. - Zachowuje się jak staroświecki dżentelmen. Człowieka poznaje się po tym, jak traktuje służbę.

- Z pewnością jest bardzo grzeczny - przytaknęła Debo, obserwując, jak monsieur Autruche przemalowuje jej niebo.

- Nie jest dzieckiem, żeby miał być grzeczny albo niegrzeczny... - warknęła Gertie.

Debo zignorowała jej uwagę.

- Musi pani szukać różnych odcieni, kolorów w kolorze - poinstruował pan Autruche.

Debo zmarszczyła nos.

- Ja widzę w błękitcie subtelne tony różu i żółci, a pani?

- Ja także, oczywiście - pośpieszyła z zapewnieniem Debo, chociaż chyba nie była to prawda. - Zwróciłyście uwagę, moje kochane, że Jack bardzo mało powiedział nam o swoim życiu? - zwróciła się do pozostałych Bażancie.

- Masz rację - zgodziła się Daphne. - Kiedy zadawałyśmy mu jakieś osobiste pytanie, odpowiadał tak, żebyśmy musiały mówić o sobie.

- Co on ukrywa? - Debo zaciągnęła się papierosem i wyprostowała ramiona.

Monsieur Autruche oddał jej pędzel i oddalił się. Niewątpliwie wyczuł, że Debo nie koncentruje się na swoim szkicu.

- Człowiek ma przecież prawo do prywatności, na miłość boską! - oburzyła się Gertie.

- A my mamy prawo w niej szperać! - odparowała ostro Debo.

- To fascynujący mężczyzna - westchnęła Daphne. - Powinien się do nas przyłączyć, jest ekspertem w dziedzinie sztuki...

- Jest ekspertem w każdej dziedzinie - sprostowała Gertie.

- Albo może wie o malarstwie niewiele więcej od nas - zasugerowała Debo. - Bo przecież nasza wiedza jest naprawdę skromna. Nie nazwałabym się wielką znawczynią dzieł mistrzów renesansu czy baroku...

- Ja prawie nic nie wiem o zwojach znad Morza Martwego - przyznała Daphne.

- A także o Piotrze Wielkim, Elginie, medycynie chińskiej i o tym, że biedronka rozpoczyna życie jako gąsieniczka! - zaśmiała się Debo. - Odniosłam wrażenie, że Jack wiedział o tym wszystkim wystarczająco dużo, żeby wprawić nas w podziw...

Gertie skrzywiła się ze złością.

- To wyłącznie jego sprawa, jeśli nie wie czegoś o sztuce i antykach! - prychnęła. - Jego wiedza na ten temat była bardzo szczegółowa, oczywiście moim skromnym zdaniem!

- Cóż, przecież to jego praca - pokiwała głową Debo. - Powinien znać się na antykach, nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Gertie zmierzyła ją nieprzyjaznym spojrzeniem.

- No, dalej, przyznaj się, że mu nie ufasz! - zawołała. Debo spokojnie wzruszyła ramionami.

- Jest zbyt doskonały, żeby mógł być prawdziwy - mruknęła. - Tylko bohaterowie powieści są tacy idealni...

- A ty jesteś okropną starą cyniczką! - wybuchnęła Gertie.

- Może, ale mam nosa do ludzi. Jack bardzo mi się podoba. Och, tak, niesamowicie mi się podoba... Jest zabawny, inteligentny, sprytny i miły, ale jest też... - zawiesiła głos, szukając najwłaściwszego słowa. - Po prostu jest nieprzenikniemy, jak aktor w sztuce. Zastanawiam się, jaki naprawdę jest Jack Magellan, kiedy zdejmuje ten uroczy uśmiech z twarzy...

- Sądzę, że byłabyś mocno rozczarowana, Debo - westchnęła Daphne.

Szkarłatne wargi Debo rozciągnęły się w pełnym zadowolenia z siebie uśmiechu.

- Och, nie, myślę, że wtedy dopiero byłabym oczarowana bez reszty... - zamruczała. - Podejrzewam, że ten prawdziwy Jack Magellan to jest dopiero ktoś...

Nanoszenie farb na papier sprawiało mi dużą przyjemność. Pociągałem pędzlem to w lewo, to w prawo, zanurzałem go w czerwieni, błękicie, żółci i zieleni. Zawsze lubiłem rysować, ale w domu nie miałem farb. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w chateau, często rysowałem kredkami. Prosiłem ojca, aby rysował dla mnie samoloty i czołgi, a on z niewyczerpaną cierpliwością realizował moje zamówienia. Robił nawet niemieckie bombowce z papieru i

uczył mnie, jak je rzucać, żeby przelatywały przez cały pokój. Uwielbiałem przyglądać się, jak długo szybują w powietrzu i lekko lądują na dywanie. Mama mówiła mi, że ojciec zawsze nosił jeden z moich rysunków w kieszeni kurtki munduru. Na pewno nie było to szczególnie udane dzieło - byłem przecież bardzo mały, ale mama powtarzała, że rysunek podobał się ojcu, ponieważ ja go zrobiłem. Ciekawe, co pomyślałby o obrazku, który malowałem teraz...

Monsieur Autruche pochylił się nade mną. Malowidło przedstawiało statek na morzu. Namalowałem też wielką żółtą kulę słońca i kilka ryb pod kadłubem. Byłem dumny ze swego osiągnięcia i bardzo ucieszyłem się, gdy nauczyciel z aprobatą pokiwał głową.

- Jak na małego chłopca masz niezłe wyczucie koloru - oświadczył.

Nie podobało mi się, że wciąż stoi pochyłony i zagląda mi przez ramię, ale cóż miałem zrobić... Po chwili znowu zabrałem się do malowania.

- Grał na gitarze jak czarodziej, prawda? - odezwała się Daphne.

Rex wrócił na jej kolana, więc pogłaskała go, nie wypuszczając z dłoni pędzla.

- I przepięknie śpiewał - ożywiła się Gertie. - To było bardzo romantyczne, kiedy tak siedzieliśmy na tarasie, pod gwiazdami...

Przechyliła głowę osadzoną na długiej białej szyi i przez chwilę wyglądała na zasmuconą.

- Nie mów o romantycznym nastroju, kochanie - cicho powiedziała Daphne.

- Wszystkie jesteśmy na to stanowczo za stare...

- Nonsens! - zaprotestowała Debo. - Każdy ma tyle lat, na ile się czuje!

- Ja czuję się staro - wyznała Daphne.

- Można też mierzyć swój wiek, zrównując się w latach z mężczyzną, którego dotykasz - zachichotała Debo.

- Słowo daję, jesteś za stara na takie komentarze - powiedziała Daphne, ale na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Harold umarł tak dawno, że już zapomniałam, jak to jest, gdy dotyka się mężczyzny - zauważyła ze smutkiem Gertie.

Debo wskazała ruchem głowy pana Autruche i znacząco uniosła brwi.

- Och, otrzeźwiej, Debo! - syknęła Daphne. - Moim zdaniem akurat ten tutaj bardziej interesuje się naszym młodym przyjacielem niż naszą młodszą siostrą!

Gertie poderwała dłoń do ust, a Debo uśmiechnęła się ironicznie i strząsnęła popiół z papierosa na trawę.

- Masz ci los... - mruknęła, zasysając policzek. - Uważaj na niego, Daphne. Mischa jest mały, ale wyjątkowo ładniutki...

Monsieur Autruche przestał zwracać uwagę na trzy kobiety i całkowicie skoncentrował się na moim pachnącym talencie. Zapach jego wody kolońskiej drażnił moje gardło, sama jego bliskość wydawała mi się obrzydliwa. W jego oczach spostrzegłem coś, co mocno mnie zaniepokoiło. Nie miałem pojęcia, co to takiego, ponieważ nigdy wcześniej nie czułem na sobie takich spojrzeń, ale wiedziałem, że stanowczo mi się to nie podoba. Po chwili odłożyłem pędzel i się podniosłem, już idziesz? - zdziwił się monsieur Autruche. Kiwnąłem głową, przynajmniej tym razem zadowolony, że nie mam głosu i nie muszę się tłumaczyć.

Kochałem Joy Springtoe całym sercem. Była to miłość jaśniejąca zachwytem i podziwem, taka, jaką darzy się tęczę albo złocisty zachód słońca, miłość, której obiekt jest odległy, nieosiągalny i wyidealizowany. I tęskniłem za nią jak potępieniec, ale teraz odkryłem nowy rodzaj miłości, którą mogłem wypełnić przepaść, jaka powstała w moim sercu po odjeździe Joy. Miłość zrodzona z wdzięczności i wykraczającego poza słowa zrozumienia - miłość do Claudine. Byliśmy dziećmi, a jednak myślałem o niej wiele razy w ciągu dnia, całkiem jak dorosły mężczyzna. Całymi godzinami kręciłem się w pobliżu mostku z nadzieją, że może Claudine przyjdzie, i często przychodziła, spełniając moje najgorętsze pragnienia. Kiedy nie spędzałem czasu z Coyote'em lub matką, byłem z Claudine, a gdy wieczorem kładłem się spać, jej wspomnienie odganiało ode mnie złe sny i przepełniało moje myśli jej niskim, podobnym do gruchania śmiechem i nieugiętym duchem.

Początkowo nie mogłem uwierzyć, że ze wszystkich dzieci w Mauriac na przyjaciela wybrała właśnie mnie. Cieszyła się dużą sympatią i popularnością, co zauważyłem już tamtego dnia, gdy na placu pod kościołem rozpoczęła zabawę w berka, chwytając kapelusz Coyote'a. Była atrakcyjna, bo chociaż niespecjalnie ładna, niczego się nie bała. Podczas gdy ja codziennie zmagalem się z moimi prywatnymi demonami, ona wydawała się nie znać lęku. Czasami miałem nawet wrażenie, że brakowało jej dramatycznych wydarzeń w życiu. Może nawet najpierw zwróciła na mnie uwagę dlatego, że przyjaźń z „małym szwabem” była zabroniona. Matka Claudine przykazała jej, aby nie bawiła się ze mną, a moja przyjaciółka z przyjemnością łamała narzucone przez rodziców zasady.

- Maman bardziej martwi się o pozory niż o to, co dzieje się naprawdę - powiedziała mi kiedyś Claudine. - Wszyscy musimy się uśmiechać, mieć czyste ręce i twarze i, broń Boże, nie szeptać. Mama nie znosi, kiedy szepczemy, ponieważ wtedy wymykamy się spod jej kontroli. Gdyby wiedziała, że się przyjaźnimy, chyba by umarła...

Jednak później nasza przyjaźń umocniła się i pogłębiła, a ja nie miałem żadnych wątpliwości, że Claudine lubi mnie ze względu na mnie samego, nie z innego powodu. Widziałem to w jej oczach, wyczuwałem w słowach i tonie głosu.

Claudine zrobiła dla mnie więcej, niż mogła sobie wyobrazić. Spotykaliśmy się w sekrecie popołudniami i bawiliśmy się. Na ostatnie urodziny dostała od

ojca zbiór angielskich gier w pięknej, ręcznie rzeźbionej szkatułce; była tam tarcza i rzutki, szachy, warcaby, domino, karty i wiele innych przyjemnych gier. Najbardziej polubiliśmy grę w węże i drabinki, i walczyliśmy do upadłego. W towarzystwie Claudine moje serce wzbierało radością. Jej obecność napełniała mnie taką ilością energii i zadowolenia, że cały mój organizm dosłownie pulsował. Często siedzieliśmy i rozmawialiśmy, ja z ołówkiem i notesem, ona gadając prawie bez przerwy, bez uprzedzenia przeskakując z tematu na temat i śmiejąc się z kompletnie idiotycznych rzeczy. Zdarzało się też, że po prostu siedzieliśmy w milczeniu. W tych cichych chwilach patrzyliśmy na rzekę, na stada muszek unoszących się tuż nad powierzchnią wody, i uśmiechaliśmy się do siebie w atmosferze całkowitego zrozumienia, bo Claudine także kochała przyrodę. Naturalnie, wykopywaliśmy z ziemi robaki, obserwowaliśmy mrowiska oraz króliki i próbowaliśmy łapać świerszcze polne i cykady, ale najbardziej lubiliśmy siedzieć nad rzeką i patrzeć, jak rośliny i zwierzęta żyją własnym życiem, zupełnie się nami nie przejmując.

Byłem jej wdzięczny za przyjaźń, ale nie sądziłem, żebym kiedyś miał okazję pokazać, jak wiele dla mnie znaczy. Pewnego dnia los podarował mi taką szansę. Nigdy nie uważałem się za odważnego, nie wierzyłem, że w razie konieczności naprawdę zdołam zdobyć szpady, lecz tamtego dnia zrobiłem coś więcej. Dziś rozumiem, że mój mały gest na zawsze utkwiał w pamięci Claudine.

Wszystko zaczęło się od zabawy. W opuszczonej szopie nad rzeką znaleźliśmy stare rybackie sieci i doszliśmy do wniosku, że spróbujemy je zarzucić. Szło nam po prostu fatalnie. Ryby przemykały tak szybko, że widzieliśmy tylko błysk światła na ich łuskach. Śmialiśmy się ze swojej nieporadności, ja udawałem, że chcę wepchnąć Claudine do wody, a potem łapałem ją w ostatniej chwili. Moja przyjaciółka pękała ze śmiechu. Cała zabawa mogła zakończyć się katastrofą, bo żadne z nas nie umiało pływać.

Nagle Claudine umilkła, znieruchomiała i utkwiała wzrok w wodzie. Podążyłem za jej spojrzeniem. W jednej sieci szarpała się ryba, nieduża, ale bardzo ruchliwa. Schyliłem się i razem podnieśliśmy sieć i położyliśmy ją na brzegu. Ryba jeszcze parę chwil rzucała się gwałtownie, potem znieruchomiała. Jej szeroko otwarte, wyłupiaste oczy lśniły. Dotknęliśmy jej łusek, ostrożnie przesuwając po nich palcami. Claudine podniosła dłoń do nosa i powąchała ją.

- Fuj, co za obrzydliwy smród! - zawołała. - Może powinnam natrzeć się tym śluzem przed pójściem na mszę, wtedy mamon wreszcie miałyby powód do narzekania!

Sięgnąłem po ołówek i notes.

Majtki madame Duval!

- Ohyda! - skrzywiła się Claudine, lecz moje skojarzenie chyba jednak jej się spodobało, bo zachichotała głośno. - Włóżmy tę rybę między rogaliki i ciastka pana Cezade'a! - wykrzyknęła z błyskiem w oku. - W tym upale wystarczy kilka minut, żeby cała piekarnia zaczęła cuchnąć jak rybny targ!

Roześmiałem się i z entuzjazmem kiwnąłem głową, ale szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że Claudine naprawdę chce to zrobić.

Ruszyliśmy w stronę miasta, rybę ukryłem w kieszeni. W drugiej spoczywała moja ukochana piłka - nie miałem najmniejszego zamiaru narazić ją na kontakt z rybim śluzem. Ostrzegłem Claudine, że ludzie zobaczą nas razem i na pewno doniosą jej matce, ale wcale się nie przejęła. Myślę, że chciała, aby jej maman dowiedziała się o nas - lubiła się buntować i pakować w kłopoty.

- Nienawidzę tłściocha Cezade'a! - powiedziała. - Jest opryskliwy, niemiły i pije z księdzem. Mówiłam ci, że widziałam księdza zataczającego się na plebanii, prawda? Niedawno widziałam też, jak o świcie szedł naszą ulicą, ledwo trzymając się na nogach, oczywiście razem z grubym Cezade'em. Przyjaźnią się. Moim zdaniem, są jak para obrzydliwych rekinów, a teraz Cezade będzie śmierdział jak zdechła ryba!

Szedłem za nią, trochę zaniepokojony. Bałem się pana Cezade'a i żałowałem, że nie ma z nami Coyote'a. Próbowałem pocieszać się myślą, że może teraz, kiedy piekarz wiedział, że Coyote i moja matka są przyjaciółmi, okaże mi odrobinę szacunku, ale w głębi duszy nie miałem wątpliwości, że Cezade raczej skopie mnie jak psa, korzystając z nieobecności mamy. Prawie wszyscy dorośli uważali, że skoro jestem niemową, to nikomu nie powiem, co mi się przydarzyło. Mylili się, i to bardzo.

Nasze pojawienie się na ulicy wzbudziło spore zainteresowanie. Starzy mężczyźni, którzy zwykle drzemali na ławeczkach, przyglądali nam się z zaciekawieniem, koronkowe firanki poruszały się w oknach, a grupki rozplotkowanych kobiet zaczynały nagle szeptać nad koszami pełnymi zakupów, niewątpliwie wyrażając ulgę, że Claudine nie jest ich córką. Moja pewność siebie skurczyła się w jednej chwili. Nawet u boku Claudine czułem się wyizolowany i samotny. Mieszkańcy Mauriac mogli krytykować moją przyjaciółkę, ale nie zmieniało to faktu, że była jedną z nich, gdy tymczasem ja od zawsze byłem wyrzutkiem.

Szliśmy dalej. Claudine wyprostowała się i wysoko uniosła głowę. Patrzyła przed siebie, na bladej twarzy miała uśmiech. Chwyciła moją dłoń i mocno ją ścisnęła.

- Damy staremu Cezade'owi nauczkę - powiedziała. - Dlaczego ci idioci tak się na nas gapią, co? Myślisz, że powinnam tupnąć i krzyknąć, żeby stąd uciekali?

Uśmiechnąłem się słabo. W głębi duszy wcale nie podzielałem jej buntowniczej wesołości.

Dotarliśmy do boulangerie patisserie. Podałem Claudine rybę. Wzięła ją i wepchnęła do rękawa bluzki. Zrobiło mi się niedobrze ze zdenerwowania. Sam już nie wiedziałem, czego boję się bardziej - konieczności wejścia do piekarni czy myśli, że chyba jednak nie dam rady przekroczyć progu królestwa pana Cezade'a. Moje przerażenie musiało być widoczne, bo Claudine dotknęła mnie i uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Lepiej trzymaj się z daleka - poradziła. - Jeśli Cezade cię zobaczy, od razu się domyśli, że coś knujemy.

Odetchnąłem z ulgą.

- Stań na straży...

Nie powiedziała, czego mam się spodziewać ani co robić, gdyby ktoś się zbliżał. Nie zdążyłem nawet sięgnąć po notes i ołówek, a ona już otworzyła drzwi i zdecydowanym krokiem weszła do środka. Zapanowała cisza, słyszałem tylko rytmiczne uderzenia kościelnych dzwonów.

Czekałem. Claudine powiedziała, że położy rybę w takim miejscu, aby pan Cezade nie znalazł jej zbyt szybko, a najlepiej wcale. Miała nadzieję, że okropny smród gnijącego rybiego mięsa zmusi piekarza do sprzedania lokalu i wyprowadzki z Mauriac. Ten plan bardzo przypadł mi do gustu. Może piekarnię kupiłby ktoś miły, kto nie miałby nic przeciwko temu, żebym przychodził do niego na ulubione ciastka z czekoladą.

Claudine długo nie wychodziła ze sklepu, w każdym razie tak mi się wydawało. Nerwowo bawiłem się piłeczką, którą miałem w czystej kieszeni. Ta druga była cała wymazana śluzem. Zastanawiałem się, czy mama to zauważy, gdy weźmie spodnie do prania. Nagle zobaczyłem grupę ludzi idących w moją stronę i wpadłem w panikę. Nie miałem pojęcia, dlaczego Claudine tak długo siedzi w piekarni, na domiar złego nie powiedziała mi, co powinienem zrobić, gdyby ktoś się pojawił.

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i Claudine wypadła na ulicę.

- Uciekaj! - krzyknęła.

Przywarłem do ściany. Monsieur Cezade wybiegł za Claudine, czerwony ze złości i rzucił się za nią w pogoń, tak szybko, jak pozwalało mu na to wielkie, rozkołysane brzuszysko. Claudine nie wykrzyknęła mojego imienia, była lojalna i nie chciała mnie zdradzić. W oszołomieniu patrzyłem, jak moja przyjaciółka i piekarz znikają w dole ulicy. Bałem się myśleć, co zrobi pan Cezade, jeśli ją złapie. Przypomniałem sobie donośne wrzaski rozwścieczonego tłumu i po plecach przebiegł mi zimny dreszcz przerażenia. Przestraszony, że Claudine znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, zareagowałem wbrew swojej naturze i pobiegłem za nimi.

Nie słuchałem rozsądku, lecz instynktu. Pamięć wciąż podsuwała mi mrozące krew w żyłach obrazy tamtych wydarzeń na rynku. Bałem się panicznie, ale tym razem byłem już większy i mogłem walczyć. Czułem się silniejszy. Biegłem jak szalony, powietrze parzyło mi gardło i płuca. Nie poddawałem się. Wkrótce zobaczyłem ich przed sobą. Piekarz doganiał Claudine - wielki, potężny mężczyzna usiłujący dopaść małe, chudziutkie dziecko... Obejrzała się. Oczy miała szalone ze strachu niczym królik, który wie, że i tak nie ucieknie rozwścieczonemu brytanowi. Chciałem krzyknąć, by wiedziała, że jestem już niedaleko, ale mogłem tylko biec, jakby od tego zależało moje życie.

W chwili, gdy dzieliła nas już naprawdę niewielka odległość, piekarz chwycił Claudine w swoje ogromne dłonie i dziewczynka z piskiem upadła na ziemię. Powietrze dosłownie zadrżało od głośnych zniewag, jakimi zasypał ją Cezade. Zobaczyłem, że podniósł rękę, ale gromadzący się już dookoła ludzie zupełnie ich zasłonili.

Oszalały ze strachu i gniewu z rozpędu skoczyłem w tłum i przedarłem się do środka, gdzie Cezade stał nad Claudine niczym kat nad dobrą duszą, wściekły i spocony. Claudine zobaczyła mnie i wzrokiem kazała uciekać jak najszybciej, ale ja wcisnąłem się między nich, zmuszając piekarza, aby puścił przegub jej dłoni.

- Co ty tutaj robisz? - zawarczał.

- Nie trzeba było tu przychodzić, Mischa! - syknęła Claudine.

Chciałem zapytać, czy nic jej się nie stało, ale mogłem jedynie patrzeć na nią bezradnie. Szybko się zorientowałem, że jest przerażona - blada, oczy błyszczały gorączkowo. Leżała na ziemi, ciężko dysząc, nikt nie próbował jej pomóc. Wszyscy gapili się na nią z otwartymi ustami. Zakręciło mi się w głowie od okropnych wspomnień; naprawdę się bałem, że coś jej zrobią.

I wtedy tłum rozstał się, robiąc przejście dla matki Claudine.

- Co tu się dzieje, do diabła? - zapytała ze złością i chwyciła córkę w objęcia.

Zauważyłem, że Claudine stłukła sobie kolano. Po jej łydce ciekła strużka krwi; zaczęła płakać.

- Ta mała diablica chciała wsadzić martwą rybę między moje ciastka, przyłapałem ją na tym! - odparł Cezade.

Jego twarz była nabrzmiała i spocona. Claudine nie odpowiedziała.

- Claudine? - W głosie matki mojej przyjaciółki usłyszałem teraz ostrą nutę.

Nie podobało mi się to. Wyjąłem notatnik i zacząłem szybko pisać.

- Zrobiłaś to, Claudine? Odpowiedz!

Claudine miała już spełnić polecenie, kiedy podsunąłem jej matce kartkę. Madame Lamont obrzuciła mnie pełnym przerażenia i obrzydzenia wzrokiem, jakby uważała mnie za coś znacznie gorszego od zdechłej ryby.

- Ty! - wybuchnęła, ale jednak przeczytała, co napisałem. Na pewno czuła, że moje słowa uwolnią od winy jej córkę.

- To był twój pomysł, tak? - warknęła. - Mogłam zgadnąć... Skąd niby moja Claudine wzięłaby zdechłą rybę?

- To nieprawda! - zaprotestowała gorąco Claudine. - Mischa nie miał z tym nic wspólnego!

Oczywiście nikt nie chciał jej słuchać. Znaleźli przestępcę, którego szukali, i byli zachwyceni.

- Więc to ten mały szwabski bękart... - Gruby Cezade z namysłem pokiwał głową. - Jesteś prawdziwym wrzodem na dupie, wiesz?

Wpatrywał się we mnie z nienawiścią, lecz ja nie spuściłem wzroku.

- A wiesz może, co robi się z takimi jak ty?

Czułem na sobie wrogie spojrzenia tych wszystkich ludzi, a mimo to, po raz pierwszy w życiu, świadomie stłumiłem strach. Nigdy dotąd nie postawiłem się nikomu. Ale teraz stanąłem w obronie kogoś innego i właśnie to stało się źródłem mojej siły.

- Wymierza się im karę, i to taką, żeby nigdy więcej nie ośmielili się nikomu szkodzić! - wrzasnął Cezade, opryskując mnie śliną.

- Jak śmiesz namawiać do złego moją córkę?! - Madame Lamont wyprostowała się i podniosła Claudine.

- On tego nie zrobił! - Claudine do końca próbowała mnie bronić, chociaż i tak nie miało to sensu.

Jej matka tylko potrząsnęła głową, jakby wreszcie z ulgą odkryła przyczynę nieposłuszeństwa i złego zachowania córki.

- Trzymaj się od nas z daleka! - rzuciła w moją stronę. - Chodź, Claudine...

Patrzyłem, jak tłum rozstępuje się, przepuszcza je i znowu zamyka krąg. W ostatniej chwili Claudine posłała mi spojrzenie pełne wdzięczności i żalu. Uznała mnie za odważnego i wiernego przyjaciela, i tamtego dnia chyba rzeczywiście taki byłem. Jednak w głębi duszy doskonale wiedziałem, że wziąłem na siebie winę, bo miałem w sobie wiele cech kozła ofiarnego. Byłem i zawsze miałem być wyrzutkiem, więc po co z tym walczyć... Przecież i tak nie byłem w stanie tego zmienić. Zresztą ja zaraz wrócę do chateau, a Claudine zostanie tu, między tymi ludźmi. W przeciwieństwie do mnie, musiała się dopasować do życia w miasteczku, i nic nie mogliśmy na to poradzić. Najbardziej bolało mnie, że za tę głupią zabawę przyszło nam zapłacić naszą przyjaźnią. Serce pękało mi z żalu.

Nie słyszałem wrzasków grubego Cezade'a, a kiedy z całej siły trzepnął mnie wierzchem dłoni w głowę, prawie tego nie poczułem. Odszedłem z godnością - nie chciałem, żeby widzieli moje łzy.

Och, co ja bym zrobił, gdybym wtedy miał głos! Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej, byłem o tym głęboko przekonany.

12

Obudziłem się w środku nocy, wstałem i usiadłem na parapecie, z którego moja matka tak często wpatrywała się w nocne niebo. Zawsze mówiła, że jeśli zobaczę spadającą gwiazdę, powinienem wypowiedzieć życzenie. I tamtej nocy naprawdę zobaczyłem spadającą gwiazdę - mknęła w dół szybko jak rakieta. Dużym łukiem przecięła czarne niebo, w jednej chwili cudownie jasna, w następnej wchłonięta przez przestwór. Mocno zacisnąłem powieki i wypowiedziałem w myśli życzenie. Byłem dość duży, aby zdawać sobie sprawę, że nie warto prosić o powrót ojca, bo tego rodzaju życzenia nigdy się nie spełniają. Poprosiłem więc o swój głos.

Od przyjazdu Coyote'a wszystko się zmieniło. Notatnik i ołówek przestały mi wystarczać, a uczucie, że w mojej głowie dosłownie kłębi się od rozmaitych myśli, zaczęło być frustrujące i męczące. Czasami w sercu wzbierała tak potężna fala uczuć i wrażeń, że byłem pewny, iż lada chwila wyrwie się na zewnątrz niczym ptak, który nie wytrzymał życia w klatce. Tyle chciałem powiedzieć, a nie mogłem tego zrobić...

Patrzyłem w niebo i modliłem się, bym po przebudzeniu usłyszał własny głos. Marzyłem, że oto otwieram usta i odkrywam, że wreszcie znowu mogę normalnie porozumiewać się z ludźmi. Co za wspaniałe uczucie... Wyobrażałem sobie, że wkrótce już bym pewnie nie pamiętał, jak to było, kiedy nie mówiłem.

Matka spała, nieświadoma moich nocnych poczynań. Wyglądała na spokojną i szczęśliwą, jakby miłe sny przeniosły ją w jakieś lepsze miejsce. Pomyślałem o Claudine, zobaczyłem jej smutne oczy, szeroki uśmiech i trochę za duże zęby. Ogarnęła mnie tęsknota. Pierwszy raz w życiu zaprzyjaźniłem się z kimś w moim wieku, oczywiście nie licząc Pistou, ale przecież on był niewidzialny. Straciłem Claudine i nie potrafiłem się z tym pogodzić.

Gdy rano otworzyłem oczy, z rozczarowaniem przekonałem się, że moje życzenie się nie spełniło. Westchnąłem ciężko. Mama nuciła jak zwykle, czesząc włosy przed lustrem i starannie malując wargi. Uśmiechała się do swego odbicia i w ogóle nie dostrzegała mojego smutku.

Na domiar złego była to niedziela. Tydzień wcześniej nie poszliśmy do kościoła, wiedziałem jednak, że nie ma najmniejszych szans, by matka opuściła mszę dwa razy z rzędu, choćby letnia wichura przywiała nie wiadomo jakie zmiany. Zamknąłem się w łazience, usiadłem na toalecie i ukryłem twarz w

dłoniach. Pingwin nie umie latać, ale ma swoje miejsce na świecie, pomyślałem. Ja nie.

Coyote i Claudine podjęli wysiłek porozumienia się ze mną, ale oni byli naprawdę niezwykli. Innym nigdy by się nie chciało. Nie miałem cienia wątpliwości, że jestem skazany na życie za szklaną taflą, na wieczną obserwację świata w całkowitym milczeniu, na egzystencję wyrzutka.

Przed tamtą burzą właściwie nie przeszkadzało mi, że nie mówię i bawię się tylko z Pistou. Zaakceptowałem to, przyzwyczaiałem się do takiego stanu rzeczy. Nie skarżyłem się. Po prostu miałem tylko matkę i Pistou. Ale teraz Coyote otworzył moje serce, a Claudine wyciągnęła do mnie obie ręce. Pragnąłem zaśpiewać z radości i własnym głosem stłuc dzielącą mnie od nich szybę, sprawić, aby mogli usłyszeć moje słowa. Nie chciałem dłużej być outsiderem.

Poczułem gorące łzy na policzkach i otarłem je ze złością. Usłyszałem pukanie do drzwi.

- Mischa? Nic ci nie jest?

Wściekłość zwinęła się w twardą kulę w moim gardle i trudno mi było oddychać. Ponieważ nie mogłem odpowiedzieć, chwyciłem mydelniczkę i z rozmachem wrzuciłem do wanny, gdzie wylądowała z zadowalająco głośnym brzękiem.

- Mischa! - w głosie matki zabrzmiał niepokój, szarpnęła klamką. - Wpuść mnie, kochanie!

Zerwałem się z miejsca i z całej siły kopnąłem wannę, raz, drugi, trzeci. Zacząłem szlochać. Matka musiała usłyszeć, jak ciężko dyszę, bo uderzyła czymś w drzwi, usiłując chyba wyłamać zamek. Wpadłem w bezsilną furję. Zacząłem rzucać wszystkim, co wpadło mi w ręce. Kątem oka zobaczyłem odbicie swojej twarzy w lusterku nad umywalką. Nie poznałem jej, była twarzą kogoś obcego.

Byłem tak rozjuszony i zdyszany, że nie zwróciłem uwagi na ciszę, która zapadła po drugiej stronie drzwi. Nagle drzwi otworzyły się i do łazienki wpadł Coyote. Za nim stała moja matka, nieprzytomna z niepokojem, z policzkami mokrymi od łez i załamanyimi rękami. Coyote nie pytał, co się stało - po prostu chwycił mnie w ramiona i mocno przytulił.

- Wszystko w porządku, Juniorze - powiedział. - Wszystko w porządku...

Jego zarost drażnił mi skórę, bijące od niego ciepło przenikało ciało i gniew zniknął jak brudna woda w odpływie umywalki.

Szlochałem jak dziecko, zanosilem się płaczem, ale nie wstydzilem się tego. Nie wstydzilem się Coyote'a. Mój ból stępsiał, osłabł. Dobrze mi było w ramionach mężczyzny, czułem się trochę tak, jakbym wrócił do domu.

Przeszliśmy do kuchni i usiedliśmy przy stole. Matka położyła przede mną notatnik i ołówek.

- O co chodzi, Mischa? - zapytała. Jej smutne oczy błagały o odpowiedź.

Me chcę już być inny od wszystkich, nabazgrałem. Nie mogłem się przemóc, aby powiedzieć im o moim nocnym życzeniu, nagle wydało mi się dziecinne i głupie. Matka spojrzała na Coyote'a. Patrzyli na siebie długo, zanim on odwrócił się do mnie.

- Każdy człowiek jest inny, synu - rzekł łagodnie. - Każdy jest wyjątkowy, niepowtarzalny...

Ze zniecierpliwieniem postukałem końcem ołówka w kartkę. Nie o to mi chodziło. Ja byłem bardziej inny. Widziałem, że mama zмага się ze sobą. Ściągnęła brwi, jej rysy się napięły, zmieniły. Miała świadomość, że to wszystko jej wina. Wyrzuty sumienia nadały jej twarzy wyraz zmęczenia. Zacisnęła palce na przegubie mojej dłoni.

- Tak mi przykro... - szepnęła.

Coyote uśmiechnął się, ale widziałem, że rozumie, co czuje mama, bo w oczach miał smutek.

- Jesteś walecznym rycerzem, Juniorze - powiedział. - Rycerz nie ucieka z pola bitwy. Rycerz walczy do końca, aż do zwycięstwa.

Chcę odzyskać głos!

Litery były niewyraźne, trudne do odczytania. Coyote wpatrywał się w nie długą chwilę.

- Odzyskasz go - rzekł z głębokim przekonaniem.

Jego pewność zupełnie mnie zaskoczyła. Czy rzeczywiście mogłem mieć nadzieję? Czy mogłem śmiało patrzeć w przyszłość?

- Któregoś dnia naprawdę go odzyskasz - powtórzył. - Musisz tylko zdobyć się na jeszcze trochę cierpliwości...

Duża, ciepła łza kapnęła na papier, rozmazując słowa. Coyote nie miał pojęcia, że w nocy wypowiedziałem życzenie i że się nie spełniło.

Me chcę iść na mszę, napisałem.

- Pójdziemy wszyscy razem - zaproponował z uśmiechem. - Wszyscy troje. Dobrze, Anouk?

Matka wpatrywała się w niego długo, a w jej oczach było coś, czego wtedy nie potrafiłem zrozumieć. Dopiero po chwili jej twarz rozjaśnił piękny uśmiech, który sprawił, że na moment przestałem myśleć o sobie.

- Tak, pójdziemy we trójkę - przytaknęła. - To powinno ich zaskoczyć, prawda?

Przygarbiłem się i odłożyłem ołówek. Przestałem już wierzyć w życzenia.

Poszliśmy do miasta piaszczystą wąską ścieżką. Niebo było szare i o ciężałe, wiatr od morza niósł lekką mżawkę. Szedłem przed nimi, odizolowany na mojej własnej wyspie milczenia, z głową pełną mrocznych, rozbieganych myśli. Chwilę kopałem jakiś kamyk, potem bawiłem się piłką od ojca, którą trzymałem w kieszeni. Mama i Coyote rozmawiali cicho. Kiedy się nie przysłuchiwałem, ich angielski był dla mnie równie niezrozumiały, jak japoński. Skupiłem się na piętach i na uzalaniu się nad sobą. Nagle usłyszałem kilka słów i drgnąłem, zupełnie jak pogrążony w drzemce rybak, który przytomnieje, gdy w sieci zaczyna rzucać się jakaś większa sztuka. Może zainteresowała mnie zmiana tonu rozmowy, nie wiem. Ich przyciszone głosy były pełne intymnej czułości. Najwidoczniej doszli do wniosku, że ich nie słucham, bo zapomnieli o ostrożności.

- Zabiorę was stąd - powiedział Coyote.

Po plecach przebiegł mi dreszcz podniecenia. Moje ponure myśli zalało światło, a nastrój poprawił się tak szybko, jakby ktoś jednym ruchem wyciągnął mnie z bagna, w którym stopniowo się pogrążałem. Udając, że nic nie słyszę, zacząłem kopać jakiś kamyk, nie wyjmując rąk z kieszeni. Moje policzki zalał rumieniec, serce biło w rytmie nadziei.

Gdy dotarliśmy do Mauriac, zostawiłem kamyk z boku ścieżki, żeby pobawić się nim w drodze powrotnej i cofnąłem się, by wziąć matkę za rękę. Ludzie wychodzili z domów ubrani w świąteczne stroje, kobiety w sukienkach i kapeluszach, mężczyźni w garniturach i beretach, dzieci wyszorowane do czysta, ze starannie wyszczotkowanymi włosami. Od razu zauważyłem zmianę atmosfery, która tego dnia wibrowała nie złowrogą niechęcią, lecz zaciekawieniem. Wszyscy ogarniali spojrzeniem mamę i Coyote'a, który uprzejmie uchylał kapelusza, witając mieszkańców Mauriac przyjaznym gestem dłoni i uśmiechem. Jego spokojna pewność siebie była nieodparcie czarująca, miłe podejście do ludzi podbijało najbardziej odporne serca. Kobiety czerwieniły się i spuszczały oczy, nie mogąc powstrzymać leciutkich uśmiezków, które unosiły kąciki ich warg, mężczyźni odwzajemniali powitanie Coyote'a, ponieważ w żadnym razie nie chcieli wydać się nieuprzejmi tak sympatycznemu człowiekowi. Dzieci, z którymi bawiłem się na placu, machały do mnie z zapalem. Ich zaciekawione buzie mówiły wyraźnie, że Coyote zrobił na nich duże wrażenie. Fakt, że szedłem u jego boku, poważnie podnosił mój status. Wyprostowałem się, podniosłem głowę i

próbowałem naśladować jego krok, jego sposób poruszania się. Wsunąłem obie ręce do kieszeni i uśmiechnąłem się do moich kolegów. Nie wiedzieli, nie mogli wiedzieć, ile znaczą dla mnie ich gesty przyjaźni. Cieszyłem się nimi, ale w głębi serca wciąż pragnąłem ujrzeć tylko jedną osobę i zastanawiałem się, czy pojawi się w kościele.

Coyote znał niektórych mieszkańców miasteczka po imieniu. Jego francuski nie był płynny, ale Amerykanin starał się zamienić z każdym chociaż parę słów - pochwalił piękną sukienkę jakiejś kobiety, wyraził uznanie dla sposobu prowadzenia sklepu przez innego znajomego, tego zapytał o samopoczucie chorego siostrzeńca, tamtego o zdrowie matki staruszki. Ograniczona znajomość języka w żadnym stopniu nie ograniczała jego dążeń do nawiązania przyjaznych stosunków. Zachwycił się nawet smakiem chokolaines pana Cezade'a, który, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, uśmiechnął się w odpowiedzi. Zauważyłem jednak, że nikt nie witał się z moją matką.

Kiedy przechodziliśmy przez Place de l'Eglise, dostrzegłem Claudine i moje serce zabiło radośnie. Przyśpieszyłem kroku. Wiedziałem, że matka zabroniła jej spotykać się ze mną, ale madame Lamont nie mogła przecież zabronić mi przychodzenia na mszę. Zauważyłem usztywniający opatrunek na kolanie Claudine oraz zabandażowany łokieć. Szedłem za nią, musiała wyczuć moją obecność, bo się odwróciła. Na jej twarzy pojawiło się wahanie - sympatia do mnie walczyła z pragnieniem zastosowania się do polecenia matki. Zwyciężyło to pierwsze. Madame Lamont nie mogła wiedzieć, że Claudine i mnie łączy niezwykle silna więź. Dostyc często się zdarza, że najmocniejsze, najtrwalsze przyjaźnie rodzą się właśnie w dzieciństwie, i tak było w naszym przypadku. Claudine też zdawała sobie z tego sprawę, bo i tym razem sprzeciwiła się matce. Oderwała się od grupki swoich braci i sióstr i podbiegła do mnie. Była to bardzo otwarta, publiczna manifestacja przyjaźni. Nikt nigdy nie okazał mi takiej lojalności, lecz Claudine nie miała wątpliwości, że tak powinna postąpić.

- Dziękuję ci, Mischa - powiedziała ze szczerym, szerokim uśmiechem, odsłaniając komicznie duże zęby. - Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś!

Nie mogłem odpowiedzieć, ale serce biło mi jak szalone. Miałem już dosyć tego wiecznego milczenia, zwłaszcza w takiej sytuacji.

- Bonjour, madame - Claudine pogodnie skinęła głową mojej mamie.

Matka była najwyraźniej równie zaskoczona jak ja, bo zapomniała się uśmiechnąć. Madame Lamont zawołała Claudine, lecz moja przyjaciółka nie usłuchała. Mrugnęła do mnie, jakby chciała przypomnieć o złożonej obietnicy. Chciałem powiedzieć jej, że zachowałem kartkę, na której przekreśliła słowa „w sekrecie” i dużymi literami napisała „TAK”.

- Claudine! - krzyknęła madame Lamont ze złością. - Chodź tutaj, ale już!

Nerwowo rozejrzała się dookoła, przestraszona, co mała społeczność miasteczka pomyśli o przyjaźni jej córki ze „szwabskim bękartem”.

- Zobaczmy się później! - szepnęła Claudine i wróciła do rodziny.

Matka zrugła ją przyciszonym głosem, lecz dziewczynka ani na chwilę nie przestała się uśmiechać.

W kościele aż szumiało od plotek. Oczy wszystkich zwrócone były na moją mamę i Coyote'a, między ławkami przebiegały szepty, kobiety podnosiły woalki i wymieniały uwagi z sąsiadkami, zasłaniając usta dłońmi. Wtedy nie rozumiałem tego, ale obecność mamy i Coyote'a na mszy wydobyła ich związek na światło dzienne, stała się formalnym obwieszczeniem faktu, że tworzą parę. To Coyote zdecydował, że przyszedł na to czas. Był zakochany i pragnął, aby wszyscy darzyli moją matkę ciepłymi uczuciami.

Serce miałem pełne radości, dumy i miłości. Podekscytowany i szczęśliwy, siedziałem między mamą i Coyote'em. Wyczuwałem napięcie między nimi. Matka była niespokojna, lecz zdecydowana wytrwać. Głowę trzymała wysoko, ramiona miała wyprostowane; zauważyłem, że nie ukłękła, aby się pomodlić. Bliskość Coyote'a dodawała jej odwagi - znałem to uczucie. Tworzyliśmy imponujące trio. Coyote wydawał się nie dostrzegać plotkarek i odpowiadał na ich spojrzenia lśniąco białym uśmiechem oraz uprzejmym skinieniem głowy. Kiedy do bocznej nawy wkroczył ksiądz Abel-Louis w sutannie i ornacie, tańczącym wokół niego niczym demony, skuliłem się ze strachu, przerażony, jak duchowny zareaguje na przyjaźń mojej matki z Coyote'em.

Nigdy nie zapomnę obojętnej, surowej twarzy księdza Abła-Louisa. Wryła się w moją pamięć raz na zawsze. Pozwolił tłumowi dręczyć mnie i matkę, chociaż z łatwością mógł temu zapobiec. W moich oczach był postacią mroczną, budzącą najwyższe przerażenie, najpotężniejszą ze wszystkich ludzkich istot. Gdy matka opowiadała mi o Bogu i szatanie, automatycznie przypisałem księdzu rolę diabła i uwierzyłem, że rzeczywiście nim był. Wygnał Boga z Jego własnego domu i nastawił tłum przeciwko nam. W mojej dziecięcej wyobraźni obawiałem się, że przegna Boga nawet z nieba, i kiedy umrę, nie będę miał dokąd pójść.

Przygarbiłem się i pochyliłem głowę, gotowy zrobić wszystko, byle tylko ksiądz Abel-Louis mnie nie zobaczył, lecz jego kamienne oczy spoczęły na nas od razu, może dlatego, że tydzień wcześniej nie byliśmy w kościele. Ku mojemu zdumieniu nie wyglądał wcale na zagniewanego, czego się spodziewałem, lecz na zaniepokojonego i zbitego z tropu. Jego wąskie blade wargi zadrżały nerwowo, wzrok zatrzymał się na Coyocie. Długą chwilę obaj

patrzyli na siebie w milczeniu. Ksiądz Abel-Louis przypominał szczura zahipnotyzowanego przez węża. Był przerażony, chociaż zupełnie nie wiedziałem, co było tego przyczyną. Odwróciłem głowę, żeby zobaczyć, co maluje się na twarzy Coyote'a, chociaż w gruncie rzeczy wcale nie musiałem tego robić. Zgodnie ze swoimi oczekiwaniami, ujrzałem wyczekujący, pełen szacunku i jednocześnie pewności siebie uśmiech mojego przyjaciela. Księżulo stracił całą swoją siłę, ale dlaczego... Cóż, niezależnie od powodu, z całego serca cieszyłem się z odniesionego tego dnia małego zwycięstwa.

Ksiądz Abel-Louis wyrwał się z transu i przywitał zgromadzonych parafian. Nie spojrzał już na nas ani razu; zachowywał się tak, jakby nas w ogóle nie widział. Robił wrażenie mniejszego niż zwykle i znacznie mniej groźnego. Może zdał sobie sprawę, że Coyote przejrzał go i uznał za uzurpatora, który nie ma prawa przebywać w Domu Bożym, i ta świadomość pozbawiła go siły.

Zrozumiałem wtedy, że niebiosy są bezpieczne i że po śmierci zastanę tam czekającego na mnie ojca.

Tego ranka myślałem o Bogu więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Po raz pierwszy czułem Jego obecność w kościele. Jego światło było potężniejsze od ciemności otaczającej księdza Abla-Louisa, a Jego miłość wchłonęła mój strach, uwalniając mnie od wszelkich obaw.

Myślałem o ojcu. Pamiętałem jego twarz, jego oczy o chłodnym odcieniu błękitu i dobry, łagodny uśmiech. Pamiętałem, jak powoli i ostrożnie tańczył ze mną po pokoju, trzymając mnie mocno w ramionach, z policzkiem przytulonym do mojego, i jak płynąca z tuby gramofonu muzyka niosła nas na strunach skrzypiec. Kiedy wyteżyłem pamięć, prawie czułem, jak śmiech wibrował mu w piersi. Sam także miałem ochotę się śmiać tak jak wtedy, razem z moim ojcem, głośno niczym rozbujany dzwon.

Obserwowałem księdza Abla-Louisa z tą samą wewnętrzną siłą, jaką znalazłem w sobie kilka dni wcześniej, w obliczu grubego Cezade'a i wrogo nastawionego tłumu. Nie chciałem dłużej kulić się i udawać, że mnie nie ma. Czułem, że z Coyote'em u boku mógłbym pokonać każdego. Zerknąłem w prawo, na Claudine. Patrzyła na mnie, a jej oczy lśniły dumą. Wiedziałem, że nienawidzi księdza tak samo jak ja. Musiała dostrzec jego wahanie, bo uśmiechnęła się i mrugnęła, ciesząc się z naszego triumfu. W piersi znowu wezbrała mi ciepła fala i tkwiący w głębi kamień rozpekał, sprawiając, że trudno mi było oddychać.

Wierni odmówili Modlitwę Pańską i ksiądz Abel-Louis cienkim, niepewnym głosem zaczął wyśpiewywać odpowiedzi.

- Pax domini...

Dziwne mrowienie przebiegło po całym moim ciele i nagle poczułem się tak, jakbym miał zrzucić skórę. Zakręciło mi się w głowie ze szczęścia, chociaż nie wiedziałem dlaczego. Pędzące po niebie chmury musiały się rozstąpić, bo przez wysokie okna do wnętrza kościoła wpadło słońce, zalewając wszystko cudownym blaskiem. I wtedy, ogarnięty niezwykłym światłem, w samym jego środku, usłyszałem głos. Był to piękny głos, czysty i jasny jak dźwięk fletu. Usłyszało go także całe zgromadzenie. Ludzie stopniowo przestawali śpiewać, zasłuchani we wznoszący się wysoko głos.

- Et cum spiritu tuo...

Dopiero po paru chwilach uświadomiłem sobie, że ten anielski głos należy do mnie.

13

Zaskoczony przerażeniem, malującym się na twarzy księdza, wstrzymałem oddech. Przestałem śpiewać. W kościele zapanowała cisza jak makiem zasiał. Nikt nawet nie drgnął, nikt nie westchnął. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że są świadkami wydarzenia, które śmiało można nazwać cudem. Czuję na sobie spojrzenia co najmniej stu par oczu i kolana ugięły się pode mną. Nawet moja matka i Coyote milczeli jak zakłęci.

Ksiądz Abel-Louis stał w kaskadzie słońca, wlewającej się przez okno. Krew odpłynęła mu z twarzy, skórę miał bladą jak u wiszącej u rzeźnika martwej świni, wąskie wargi dygotały spazmatycznie. Na moment zupełnie się zagubił. Bóg przemówił i Jego głos okazał się nieskończenie potężniejszy od głosu kapłana, nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Potem, pragnąc przywłaszczyć sobie cud, ruszył ku mnie z pełną napięcia twarzą. Byłem tak wstrząśnięty dźwiękiem swego głosu, że nie skuliłem się ani nie usiadłem. Bałem się przemówić, pełen lęku, że nie zdołam wykrztusić ani słowa. Ksiądz zatrzymał się przy mnie. Czuję odór, który przylgnał do jego sutanny, mieszankę alkoholu i potu, i cofnąłem się z obrzydzeniem. Duchowny powoli wyciągnął do mnie rękę. Zahałem się, ponieważ nienawiść, jaką do niego czuję, tkwiła tak głęboko w moim sercu, że bałem się go dotknąć, lecz świdrujące spojrzenie czarnych oczu w końcu mnie pokonało. Wstydzilem się tego, ale jakaś maleńka cząstka mojej duszy mimo wszystko pragnęła akceptacji. Ostrożnie położyłem dłoń na jego ręce. Spodziewałem się, że skóra sparzy mnie niczym piekielny ogień, lecz poczułem tylko pot na jego miękkiej, gąbczastej dłoni.

- Bóg pobłogosławił dziś ten dom cudem - oznajmił ksiądz. - Chłopiec przemówił. Musimy teraz znaleźć w sobie dość siły, aby pójść za przykładem Pana i przebaczyć...

Jego głos był donośny i rozkazujący. Ksiądz Abel-Louis znowu odzyskał kontrolę nad swoim kościołem i wiernymi. Na jego wargach pojawił się pełen satysfakcji uśmiech, jakby chciał powiedzieć: Ja jestem łącznikiem między wami, prostym ludem, a Panem, niech więc nikt nie śmie wyobrazić sobie, że uda mu się dotrzeć do Boga beze mnie... Policzki mnie piekły, serce galopowało. Pamięć podsunęła obraz ryczącego z wściekłości tłumu i o mało nie krzyknąłem ze strachu. Na szczęście mój wzrok padł na Claudine, która patrzyła na mnie rozszerzonymi ze zdziwienia oczami i uśmiechała się uspokajająco.

- Mischa!

Matka zignorowała księdza i osunęła się na ławkę. Zacisnęła dłonie na moich ramionach i utkwiała ostre spojrzenie w mojej twarzy.

- Mischa... - powtórzyła szeptem.

Dostrzegłem cień wątpliwości w jej oczach i czający się w głębi lęk. Nie śmiała wierzyć w cud, bała się, że okaże się złudzeniem.

- To prawda? - zapytała z niedowierzaniem. - Możesz mówić?

Z trudem przełknąłem ślinę, gardło miałem boleśnie ściśnięte. Całe zgromadzenie czekało teraz na twierdzącą odpowiedź, na oczywisty dowód. Równie zaskoczony jak oni, miałem też całkowitą świadomość, że jeśli zawiodę, padnę ofiarą jeszcze ostrzejszego niż dotąd ostracyzmu oraz licznych oskarżeń o kłamstwo. Pomyślałem o spadającej z nieba gwiazdzie i o moim największym życzeniu. Nie wiedziałem, czy rzeczywiście zostało spełnione, czy może, co wydawało mi się bardziej prawdopodobne, wszystko to było rezultatem przybycia Coyote'a, którego przyniósł tu wiatr zmiany. Wziąłem głęboki oddech.

- Maman... - wychrypiałem.

Otworzyła usta ze zdziwienia, w jej oczach wyczytałem ogromną ulgę. Odchrząknąłem i spróbowałem jeszcze raz.

- Moglibyśmy wrócić teraz do domu?

Chwyciła mnie w objęcia i mocno przytuliła do siebie.

- Mój synek, mój synek... - powtarzała, zasypując mnie pocałunkami.

Poczułem dotyk dłoni Coyote'a. Zwichrzył mi włosy i w ten sposób tchnął nowe ciepło w moje ciało.

- Oczywiście, zaraz wrócimy do domu - powiedziała mama, podnosząc się z ławki.

- Przyjmij komunię, moje dziecko - ksiądz Abel-Louis wyciągnął rękę do mojej matki.

Ale ona nie była tak słaba jak ja. Żadna część jej duszy nie szukała akceptacji księdza. Uważała, że nie zrobiła nic złego i nie potrafiła znaleźć w sobie siły, która pozwoliłaby jej przebaczyć i zapomnieć.

Coyote poszedł przodem, mama i ja tuż za nim. Siła religii była naprawdę wielka - mieszkańcy Mauriac uwierzyli, że Bóg rzeczywiście przemówił do nich tego niedzielnego ranka. Wyciągali ręce, żeby mnie dotknąć, pełni nadziei, że łaska Boga, która spoczęła na mnie, przyniesie im szczęście. Uśmiechali się, robili znak krzyża i pochylali głowy, podczas gdy ksiądz Abel-Louis błogosławił mnie, zdecydowany stać się uczestnikiem cudu, mimo bardzo chłodnej reakcji mojej matki. A Claudine po prostu uśmiechała się do mnie triumfanie. Mówiła mi przecież, że pewnego dnia odzyskam głos, prawda?

Kiedy wyszliśmy na plac, kościelne dzwony zaczęły uroczyście bić. Matka nie chciała mieć nic wspólnego z księdzem i szybkim krokiem skierowała się ku ścieżce, prawie ciągnąc mnie za sobą.

- Ksiądz najchętniej by nas teraz porwał... - mamrotała ze złością. - I to po wszystkim, co zrobił... O, nie, nie pozwolę na to! Nie pozwolę mu, jak Bóg mi świadkiem!

Coyote kroczył obok nas, z rękami w kieszeniach, w kapeluszu włożonym trochę na bakier. Podczas gdy mama dyszała ze złości, my dwaj szliśmy w milczeniu. Po tylu latach przeżytych bez głosu, za to z głową ciężką od myśli, teraz zabrakło mi słów. W końcu Coyote postanowił przerwać milczenie.

- Będziemy mogli śpiewać razem - powiedział.

Lekki ton utwierdził mnie w przekonaniu o jego udziale w cudzie. W głosie Coyote'a brzmiała nutka nonszalancji, jakby spodziewał się właśnie takiego rozwoju wydarzeń. Wszyscy mieszkańcy Mauriac byli kompletnie oszołomieni, natomiast Coyote chyba nie uważał tego za cud.

- Cieszę się, że nie zapomniałeś, jak śpiewać - rzucił. Uśmiechnąłem się do niego.

- Nigdy nie przestałem śpiewać - odparłem. - Po prostu do tej pory nikt mnie nie słyszał...

Wibracje, jakie czułem w piersi, kiedy mówiłem, były dla mnie całkowicie obcym, nieznanym zjawiskiem. Byłem przyzwyczajony do dźwięku swoich myśli.

- Zaskoczyliście ich, co? - zaśmiałem się. - Claudine mówiła, że któregoś dnia odzyskam głos, i miała rację...

- Claudine? - Mama lekko uniosła brwi.

Jej gniew zniknął, odsunięty w niepamięć radością, z jaką słuchała mojego głosu.

- To moja przyjaciółka - oznajmiłem z dumą.

- Dziewczynka z dużymi zębami - wyjaśnił Coyote. Mama się uśmiechnęła.

- Co jeszcze wy dwaj macie na sumieniu?

- Ja i Junior? - roześmiał się Coyote. - Całe drugie życie, które starannie ukrywamy, prawda, Juniorze?

- Nauczysz mnie śpiewać te kowbojskie piosenki? - spytałem. - I chciałbym też grać je na gitarze...

Znalazłem kamyk, który zostawiłem obok ścieżki i kopnąłem go mocno.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Coyote, patrząc, jak biegnę za kamykiem. - Twardy gość z tego chłopaka - zwrócił się do mamy. - Twardszy, niż sądzisz...

Nie minęło parę godzin, a już wszyscy rozmawiali wyłącznie o cudzie. W chateau szumiało jak w ulu, a sama królowa pszczoł, która rano nie była na mszy, była najbardziej zaintrygowana. Kiedy wróciliśmy, Lucie czekała na nas przed stajnią.

- Madame Duval chce się z wami zobaczyć - poinformowała nas, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z mojej twarzy. - Naprawdę możesz teraz mówić, Mischa?

Wyglądała na mocno zdenerwowaną i nie należało się temu dziwić, biorąc pod uwagę sceny między nią i panem Duvałem, których byłem świadkiem.

- Naprawdę - odparłem.

Powoli zaczynałem zdawać sobie sprawę, jaką władzę daje mi odzyskany głos. Podniosłem głowę i zmierzyłem Lucie uważnym spojrzeniem. Wydawało mi się, że skuliła się trochę, a przecież nigdy nie była wysoka.

- Pani jest w bibliotece - dodała.

Potem odwróciła się na pięcie i pośpieszyła przez dziedziniec do kuchni. Uśmiechnąłem się do siebie. Przyszło mi do głowy, że może nie tylko Lucie zacnie się mnie bać teraz, gdy zgodnie z powszechną opinią zostałem dotknięty przez Boga.

- Najlepiej idźcie od razu - poradził Coyote, pieszczotliwie dotykając ramienia mamy.

Nie cofnęła ręki i przywarła do niego bokiem. Jej wargi wygiął nieśmiały uśmiech, zbyt tajemniczy, aby mógł go zrozumieć chłopiec w moim wieku. Poprzednie kilka lat przeżyłem na marginesie życia, bo nie mogłem normalnie porozumiewać się z ludźmi, sens informacji, które Coyote i moja matka przekazywali sobie wzrokiem i uśmiechami, wykraczał poza moje możliwości.

- Spędźmy popołudnie na plaży - zaproponował Coyote.

- Bardzo chętnie - odparła mama. - Pójdiesz z nami, kochanie, prawda? - zwróciła się do mnie.

- Będziesz musiał uciekać przed pielgrzymami! - prychnął Coyote. - Niedługo zaczną przyjeżdżać z całej Francji, żeby cię choćby dotknąć. Chorzy, umierający, samotni, ubodzy... Niech ręka boska broni cię przed takim losem! - zaśmiał się cynicznie. - Trzeba będzie w tajemnicy wywieźć cię z kraju, zanim zbudują ci kapliczkę w stajni...

Mama także roześmiała się głośno, ale wyłącznie dlatego, że uważała jego uwagi za zabawne, nie dlatego, by sama miała wątpić w cud. Nie wiedziała, że to Coyote oddał mi mój głos, chyba naprawdę wierzyła, podobnie jak reszta wiernych z Mauriac, iż był to dar Boga. Tylko Coyote i ja znaleźliśmy prawdę.

Postanowiłem nie niszczyć jej złudzeń i zachować tajemnicę. Nie miałem wątpliwości, że Coyote właśnie tego chciał.

- Poproszę Yvette, żeby przygotowała bagietki - ciągnął. - Może zapakować dla nas trochę jedzenia na piknik... - jego roześmiane oczy spoczęły na mnie. - Na pewno zrobi coś specjalnego, bo przecież właśnie zostałeś świętym... - dodał, lekko poklepując mnie po ramieniu.

Razem z matką czekałem na madame Duval w bibliotece. Podejrzywałem, że właścicielce hotelu sprawiało to najprawdziwszą przyjemność - w ten sposób demonstrowała przecież swoją władzę nad nami. Mama nie usiadła, a kiedy ja klapnąłem na krzesło w kącie, łagodnie mnie skarciła. Miałem ogromną ochotę przekonać się, jak dużo może ująć mi na sucho. Ostatecznie byłem świętym i mogłem robić, co mi się podoba, prawda? Mama wyglądała jednak na tak zdenerwowaną, że niechętnie usłuchałem.

Madame Duval szybkim krokiem weszła do biblioteki. Tuż za nią prawie biegła Etiennette.

- Bonjour - powiedziała madame. - Usiądź - rzuciła pod adresem mojej matki.

Zająłem miejsce obok mamy, nie czekając na zaproszenie.

- Czy prawdą jest to, co mi doniesiono? - spytała pompatycznie. - Chłopiec przemówił?

Me uśmiechnęła się nawet, patrzyła tylko na mnie tak, jakbym wydzielał mocno nieprzyjemny zapach.

- To prawda - odparłem spokojnie, ani odrobinę nie zbity z tropu.

Madame zeszywniała. Szczeka jej się rozluźniła i opadła, zupełnie jakby była umocowana na zepsutych zawiasach.

- Dobry Boże! - wyszeptała, robiąc znak krzyża. - Więc to naprawdę cud...

- Bóg okazał nam swoją dobroć i łaskę, madame - odezwała się moja matka.

Jej pełen szacunku i uniżoności ton bardzo mnie zirytował, więc zdecydowałem, że trochę się zabawię.

- Ujrzałem światło, madame - zacząłem. - Było jaśniejsze od słońca. Głos proboszcza słyszałem z daleka, jakby nagle znalazł się w innym miejscu, gdzieś daleko...

Wzrok mamy mówił mi, żebym natychmiast przestał stroić sobie żarty, ale zignorowałem to. Jeśli mam być szczery, to muszę przyznać, że jej zaniepokojenie tylko zachęciło mnie do kontynuacji „występu”. Nie miałem pojęcia, dlaczego pozwoliliśmy, aby ta kobieta tak nami pomiatała.

- Mów dalej - powiedziała madame przyciszonym z zaciekawienia głosem.

Etiennette przycupnęła na brzegu krzesła obok fotela pani Duval. Wpatrywała się we mnie tak, jakbym roztaczał wokół siebie niebiański blask.

- Słyszałem głosy...

- Jakie głosy?

- Jestem pewny, że były to głosy aniołów - oświadczyłem, przybierając bardzo pobożny wyraz twarzy. – Piękne głosy, które otaczały mnie ze wszystkich stron... Fotem zobaczyłem... Zobaczyłem Jego.

- Jego?

- Jezusa! - szepnąłem przenikliwie, dla wzmocnienia efektu.

Madame Duval nachyliła się ku mnie, nie chcąc stracić ani jednego słowa.

- Jezusa? - powtórzyła, wyraźnie wstrząśnięta i pełna podziwu dla mnie. - Miałeś wizję?

- Stał przede mną, w obłoku oślepiającego światła. Wyciągał do mnie ramiona, twarz miał pełną miłości... - zamrugalem gwałtownie, markując wzruszenie.

- Powiedział coś?

- Tak - zawahałem się i wziąłem głęboki oddech. - Powiedział... Powiedział: Przemów, mój synu, żebym przez ciebie mógł przemówić do mieszkańców Mauriac. Zaśpiewaj, żeby przez ciebie słyszeli mój głos z bliska i z daleka... Głos słowa Chrystusa, a na wieki zasiądziesz po mojej prawicy... Otworzyłem więc usta i zaśpiewałem dla Niego.

- Mój Boże! - wykrzyknęła madame. - Więc to rzeczywiście był cud!

Nagle jej oczy napełniły się łzami. Chwyciła moją dłoń i z całej siły ścisnęła ją kościstymi, zimnymi palcami.

- Wybacz mi, Mischa... - powiedziała łamiącym się głosem. - Byłam głupia, niech Bóg mi wybaczy... Robiłam to, co uważałam za dobre... Nigdy nie powinnam była...

Umilkła. Moja matka odchrząknęła, zażenowana wspaniałym popisem moich zdolności teatralnych, i postanowiła czym prędzej ją pocieszyć.

- Pani była dla nas dobra, madame... Proszę nie płakać, przecież pani pozwoliła nam nadal tu mieszkać, nikt inny nie przyjąłby nas pod swój dach... I dała mi pani pracę. Była pani naprawdę dobra i wyrozumiała. Czujemy do pani jedynie wdzięczność...

Madame Duval puściła moją rękę i wyciągnęła chusteczkę z kieszeni spódnicy. Pociągnęła nosem, otarła oczy. Jej drżące wargi były nieładnie wykrzywione, kąciki opadały ku dołowi, jakby ktoś przywiązał do nich ciężarki.

- Porozmawiam z madame Balmain i poproszę ją, żeby przyjęła Mischę. Skoro mówi, powinien jak najszybciej zacząć chodzić do szkoły...

- Dziękuję pani! - ucieszyła się mama.

Ja nie czułem nic oprócz nienawiści do kobiety, która zawsze traktowała mnie z pogardą.

- Bóg pobłogosławił ci, Mischa - odezwała się. Zauważyłem, że ręce jej dygoczą. Wcale mnie to nie zdziwiło, bo przecież droga, którą szła, zmierzała prosto do piekła.

- Zostawcie mnie teraz samą, bardzo proszę - powiedziała. - Ty też, Etiennette...

Nie spojrzała już na mnie. Wiedziałem, że się mnie boi, dostrzegłem lęk w jej oczach. Pewnym siebie krokiem wyszedłem za matką z biblioteki, bardzo z siebie zadowolony.

W korytarzu mama przystanęła i złapała mnie za rękę.

- Na wieki po prawicy Chrystusa, co?! - syknęła. - Na miłość boską, jeśli nie będziesz uważał, po śmierci trafisz tam, gdzie ona!

Podniosłem głowę i popatrzyłem na nią. Nie była w stanie ukryć dumy, jaką lśniły jej oczy, ani lekkiego, żartobliwego uśmiechu.

- Chyba lepiej już było, kiedy nie mogłeś mówić - dodała. Przeszliśmy przez kuchnię, mijając Yvette, Armande'a i Pierre'a, którzy przestali plotkować i utkwili w nas spojrzenia pełne słabo skrywanej fascynacji. Matka dumnie uniosła głowę i przywitała się z nimi uprzejmie. Zachwycony swoim świeżo odnalezionym poczuciem władzy, podbiegłem do Yvette.

- Czy to prawda? - spytała. - Mój mały „łapacz” umie mówić?

Grube pasma włosów wymknęły jej się spod szpilek, policzki płonęły szkarłatem. Nie miałem cienia wątpliwości, że znowu zabawiała się na sianie z Jakiem Reynardem.

- Prawda - pokiwałem głową. - Pięknie pani wygląda, madame - dorzuciłem, po prostu nie mogąc się powstrzymać. - Jak soczyste winogrono...

Krew w jednej chwili odpłynęła z jej policzków. Patrzyła na mnie z absolutnym zdziwieniem, lecz ja w odpowiedzi zamrugąłem niewinnie.

- Słabo mi... - jęknęła. - Armande, podaj mi krzesło... Armande pośpiesznie spełnił jej polecenie. Yvette ciężko osunęła się na siedzenie. Armande i Pierre zinterpretowali jej nagłą słabość jako potwierdzenie cudu i popatrzyli na mnie lękliwie.

- Jak słyszycie, mówię po francusku - oświadczyłem. - I jeżeli komuś tutaj przydałoby się wyszorować gębę szarym mydłem, to z pewnością wam, nie mnie!

Armande otworzył usta, ale wydobył się z nich tylko syk uchodzącego powietrza.

- Mój ojciec był dobrym człowiekiem - ciągnąłem. - Siedzi po prawicy Boga. Wiem, bo widziałem go tam w czasie mojej wizji.

Zdawałem sobie sprawę, że posunąłem się za daleko, lecz nic nie mogłem na to poradzić. Z przyjemnością obserwowałem, jak kulą się i nerwowo splatają ręce. Pograżeni w swojej fałszywej religijności, wcale nie wątpili w moje słowa, ani przez chwilę. Zmierzyłem ich triumfującym spojrzeniem i wyszedłem na słońce, gdzie czekała na mnie mama.

Lśniący kabriolet stał pod stajniami. Zgodnie z obietnicą Coyote'a, Yvette przygotowała piknikowy kosz, a w nim pieczeń na zimno, ser, bagietki, śliwki oraz butelkę białego wina. Coyote zwichrzył mi włosy nad czołem i uśmiechnął się porozumiewawczo, jakby wiedział wszystko o mojej grze i uważał ją za zabawną. Ruszyliśmy długim podjazdem, potem przejechaliśmy kasztanową aleją, w której żwir usiany był małymi plamami słońca. Na otwartej drodze wiatr musnął mi włosy i wypełnił nozdrza cudownym zapachem sosnowych igieł i wilgotnej ziemi. Byłem naprawdę szczęśliwy. Usadowiłem się wygodnie i zamknąłem oczy. Promienie słońca grzały moją skórę, chociaż w powietrzu czaił się już jesienny chłód. Zdążyłem niemal zapomnieć, jak to jest być niemową, mój głos brzmiał zupełnie naturalnie. Wiatr zmian przyniósł mi Coyote'a... Jak miałem podziękować mu za ten niezwykły dar?

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem dłoń Coyote'a na nodze mojej matki. Nie odepchnęła jego ręki. Ku mojemu zaskoczeniu przykryła ją własną i lekko pogłaskała. Rozmawiali, ale wiatr gwizdał mi w uszach, więc nie rozumiałem, co mówili. Co jakiś czas mama odchyłała głowę do tyłu i wybuchała śmiechem, przytrzymując kapelusz. Wyglądali jak zakochana para. Zastanawiałem się, czy mama siedziała tak przy moim ojcu, trzymając go za rękę i śmiejąc się głośno. I co myślał tata, jeśli teraz patrzył na nas z niebios? Czy był smutny, bo znowu się zakochała, czy raczej cieszył się jej szczęściem? Wiedziałem, że mama walczyła z nowym uczuciem, bo kilka razy widziałem w nocy, jak wpatrywała się w uwiecznione na zdjęciu rysy mojego ojca, zresztą sama mi powiedziała, że boi się pokochać jeszcze raz. Może bała się zdradzić pamięć ojca, nie wiem. Tak czy inaczej, miałem świadomość, że istnieją różne rodzaje miłości i nie mogłem dopatrzeć się niczego złego w fakcie, że pokochała innego mężczyznę. Byłem też głęboko przekonany, że ojciec nie ma nic przeciwko temu - ostatecznie odszedł już z tego świata i nie mógł się nią opiekować.

Rozłożyliśmy koc na piasku, w miejscu osłoniętym od wiatru przez skały. Atlantyckie rozciągał przed naszymi oczami swoją niezmierną przestrzeń,

ograniczoną tylko zamazaną linią horyzontu. Ocean był wzburzony, fale wznosiły się i opadały jak noże. Wiatr od morza chłodził skórę, ale my siedzieliśmy w słońcu i było nam ciepło. Szybko zjedliśmy bagietki, zgłodnieli po ekscytujących wydarzeniach poranka. Coyote grał na gitarze, chórem śpiewaliśmy jego kowbojskie piosenki. Mój głos był taki, jak opisał go Pistou – czysty niczym dźwięk fletu. Mama także śpiewała, ponieważ oboje znaleźliśmy już słowa piosenek na pamięć. Potem Coyote podał mi gitarę, przypomniał parę akordów i obserwował, jak gram, najpierw z wahaniem, później z coraz większą pewnością siebie.

- Będzie jeszcze z ciebie niezły kowboj, Juniorze! - zaśmiał się, pociągając łyk wina.

Po lunchu ułożyliśmy się wygodnie na plecach i z zamkniętymi oczami słuchaliśmy, jak Coyote opowiada o starcu z Wirginii. Musiałem zasnąć, bo kiedy podniosłem powieki, Anouk i Coyote szli przed siebie plażą, trzymając się za ręce. Sukienka mojej matki tańczyła wokół jej nóg, a ona wolną ręką przytrzymała kapelusz. Przyglądałem się im chwilę, lecz szybko znudziło mi się to zajęcie i postanowiłem poszukać muszelek. Zastanawiałem się, gdzie podział się Pistou. Nie widziałem go od poprzedniego wieczoru. Chciałem opowiedzieć o odzyskaniu głosu, o madame Duval oraz Yvette, ale on nie chciał się pojawić.

Zdjąłem buty i pozwoliłem, by zimne fale obmyły mi stopy. Znalazłem mnóstwo muszelek i pole bitwy zasłane martwymi, galaretowatymi ciałami meduz, które poruszały się w płytkiej wodzie w tę i z powrotem. Nawet nie zauważyłem, że znalazłem się za zakrętem, tak bardzo pochłonęło mnie poszukiwanie morskich skarbów. Zacząłem śpiewać. Podobał mi się dźwięk własnego głosu i uczucie przyjemnego wibrowania w klatce piersiowej. Kręciło mi się w głowie ze szczęścia, nie bałem się już niczego. Mały chevalier nauczył się władać szpadą. Zajęty zabawą, nie zwróciłem uwagi, że słońce stoi już bardzo nisko na niebie i zalewa morze falą miedzianego blasku.

Kiedy w końcu wróciłem do naszej kryjówki, przywitał mnie zaskakujący widok. Przystanąłem za skałami, żeby popatrzeć. Coyote całował moją matkę. Leżeli na kocu, obejmowali się i z czułością przytulali policzkami. Nie było to w niczym podobne do tego, co robili Yvette i Jacques Reynard. Mama i Coyote wcale nie zachowywali się jak zwierzęta, nie stękali i nie jęczeli. Po prostu całowali się, śmiali, gawędzili i pieszczotliwie dotykali.

Moje serce wezbrało radością. Skoro już się pocałowali, to niewątpliwie wkrótce się pobiorą. Przypomniałem sobie podsłuchaną uwagę Coyote'a o tym,

że zabierze nas ze sobą. Może faktycznie to zrobi, pomyślałem. Potrzebna nam tylko następna wichura.

Zawsze uwielbiałem czas winobrania, a teraz czekałem na ten okres z większą niecierpliwością niż kiedykolwiek. Zwykle ukrywałem się z Pistou między krzewami i patrzyliśmy, jak zbierający chodzą równo wytyczonymi alejkami, powoli napęlniając kosze winogronami. Kiedy były już pełne, zsypywali je do wielkich kadzi ustawionych na zaprzężonych w woły wozach. Kadzie osłaniały drewniane ścianki z daszkami, które chroniły cenne owoce przed jesiennymi wiatrami oraz deszczem. Podglądaliśmy dziewczęta, które podwijały spódnice wysoko, aż do bioder, wchodziły do kadzi i ugniatały winogrona bosymi stopami. Ich odsłonięte nogi były opalone i gładkie. Bardzo lubiliśmy obserwować odbywające się w stodole fety na zakończenie winobrania - na stołach nakrytych obrusami w biało-czerwona kratkę ustawiano potężne pasztety, olbrzymie wazy z zupami i dzbany z winem. Monsieur i madame Duval prezydowali przy głównym stole niczym królewska para, ludzie śpiewali, tańczyli, rozmawiali i żartowali. Tylko Jacques Reynard wyglądał smutno i przypominał brązowy, zeschnięty liść, którym wiatr bawi się na pustej drodze. Wszyscy brali jego smutek za opryskliwość, ale bardzo się mylili. Jacques kochał pola i winnice, był głęboko zakorzeniony w tej ziemi, którą jako pierwszy zaczął uprawiać jego pradziadek. Stanowił część zamku, tak samo jak mury i dachy. Kiedy zapytałem matkę, dlaczego Jacques zawsze jest smutny, w zamyśleniu pogładziła mnie po głowie.

- Niektórzy ludzie nie są w stanie zapomnieć o wojnie i tragediach, jakie przyniosła, skarbie - odparła z czułością. - Jesteś za młody, żeby to zrozumieć...

Jacques Reynard był zawsze miły dla mamy i dla mnie. Nas troje łączyła trudna do określenia więź. Nigdy nie słyszałem, żeby mama skarżyła mu się na pogardliwe zachowanie madame Duval czy na to, że wszyscy traktują mnie jak robaka. Nigdy nie rozmawiali też o wojnie, moim ojcu, niemieckiej okupacji Mauriac czy rodzinie, która dawniej tu mieszkała. Wyglądało to tak, jakby te sprawy były zbyt bolesne i jakby chcieli o nich zapomnieć, lecz wyraz oczu Jacques'a, gdy patrzył na mamę, zawsze był serdeczny i pełen współczucia. Jacques nie odmawiał, kiedy przychodziłem do niego z prośbą o pomoc, i powierzał mi zadania, które potrafiłem wykonać. Praca u boku Jacques'a sprawiała, że byłem dumny z siebie, natomiast po pracach w kuchni, pod okiem Armande'a i Pierre'a, zawsze czułem się bezużyteczny i pusty.

Od przyjazdu Coyote'a rzadko widywałem Jacques'a. Byliśmy zbyt zajęci śpiewaniem Laredo, Jacques'a zaś pochłaniały przygotowania do zbiorów. W

poniedziałek odszukałem go w warsztacie. Siedział na pieńku i naprawiał duże koło. Beret przykrywał łysiejącą głowę, zostawiając odsłonięte włosy po bokach głowy i z tyłu. Kiedyś Jacques miał rude włosy, teraz z każdym miesiącem coraz bardziej siwe, lecz dzięki beretowi tworzył iluzję, że wciąż ma gęstą czuprynę. Jego wąsy drgały, gdy z całej siły zaciskał zęby, wbijając gwoździe młotkiem. Miał na sobie te same co zwykle ciemnobrązowe spodnie, zamszową kamizelkę i białą koszulę. Podwinięte rękawy odsłaniały silne, opalone ramiona i sprawne ręce. Na mój widok jego ponurą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Bonjour, monsieur Reynard - odezwałem się z równie szerokim uśmiechem.

- A więc to prawda, co? - Jacques oparł młotek na kolanie. Skinąłem głową. W jego oczach zalśniły iskierki rozbawienia.

- I teraz jesteś świętym... - lekko wzruszył ramionami. - Święty Mischa... To nawet dość ładnie brzmi.

Podszedłem bliżej, nie wyjmując rąk z kieszeni. Przed Jakiem po prostu nie mogłem udawać.

- Ale to nie był cud... - powiedziałem nieśmiało. Spuściłem głowę i grzywka opadła mi na oczy.

- W takim razie, jak to się stało?

- To dzięki Coyote'owi.

- Komu?

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem. Niemożliwe, żeby nie słyszał o Coyocie, bo przecież wszyscy ciągle o nim mówili...

- Dzięki Amerykaninowi...

- Ach, więc to tak nazywają teraz Boga? - Jacques zaśmiał się i sięgnął po śrubę i nakrętkę. - Myślę, że Bogu bardziej odpowiada taki wizerunek niż to, żeby ludzie dopatrywali się podobieństwa do Niego w Ablu-Louisie...

- Coyote nie jest Bogiem, tylko czarodziejem.

- Naprawdę?

- Przyniósł go tu wiatr, słowo daję. Od jego przyjazdu wszystko zmieniło się na lepsze.

Usiłowałem mu to wytłumaczyć, ale widziałem, że raczej mi nie wierzy. Dlaczego nie zauważył zmiany w Yvette?

- Świetnie! W takim razie na pewno będziemy mieli obfite zbiory...

- Powiedziałem madame Duval, że widziałem Jezusa. Podniósł głowę i spojrzał na mnie z rozbawieniem, przesuwając śrubę między mokrymi od smaru palcami.

- I co ona na to?
- Rozplakała się - uśmiechnąłem się z dumą. - Prosiła, żebym jej wybaczył...
- Wybaczenie nie uratuje ją przed potępieniem - mruknął Jacques. - Czasami wybaczenie naprawdę nie wystarczy!

- Ksiądz Abel-Louis pozwolił mamie przyjąć komunię. Zacisnął wargi i pokręcił głową.

- Jakżeby inaczej... Twoja matka odmówiła, prawda?

- Tak.

- Dlaczego miałyby przyjmować cokolwiek z rąk człowieka, który należy do szatana, nie do Boga... Powinien wstydzić się wszystkiego, co zrobił. - Jacques otarł czoło wierzchem dłoni, zostawiając smugę smaru na skórze. - Założę się, że wziął cię za rękę i przywitał jak marnotrawnego syna... Tak, to w jego stylu, wykorzystać cud, aby umocnić swoją władzę nad tym stadem bezmyślnych krów... Twoja matka nie powinna chodzić tam na mszę, mówiłem jej już o tym wiele lat temu, po tym, jak... - wziął głęboki oddech, twarz mu pociemniała. - Cóż, kiedy ona jest potwornie uparta, ta twoja matka... Czasami myślę, że chodzi tam tylko po to, aby go dręczyć. Anouk nie boi się nikogo... - Długą chwilę patrzył mi prosto w oczy. - Twój ojciec był dobrym człowiekiem - dodał łagodniejszym tonem. - Nie pozwól sobie wmówić, że był zły...

Powoli obracałem w palcach małą gumową piłeczkę.

- Myśli pan, że zdarzył się cud? - spytałem.

- Może... - wzruszył ramionami i podkręcił wąsa. - Miłość jest cudem. Fakt, że odzyskałeś głos także jest cudem, bo sprawiła to miłość twojej matki. Widzisz, chłopcze, tak naprawdę nigdy nie straciłeś głosu, on tylko zamarzł jak nasionko zimą. Jeśli wiosną da mu się sporo słońca i wody, ożywa i zaczyna wzrastać.

- Teraz każdy chce mnie dotknąć. Uważają, że to przyniesie im szczęście.

- To średniowieczne bydło, wyjątkowo prymitywni ludzie. Na twoim miejscu korzystałbym z tego, ile wlezie. Zasłużyłeś na to. Oni wszyscy powinni się wstydzić.

- Był pan kiedyś zakochany? - zapytałem nagle i zaraz zaczerwieniłem się gwałtownie.

Nie zdążyłem jeszcze przywyknąć do niewypowładania na głos myśli, które tłoczyły się w mojej głowie. Teraz chodziło mi o Yvette, lecz Jacques Reynard najwyraźniej myślał o kimś innym.

- Zakochałem się kiedyś w pewnej dziewczynie, ale ona nie odwzajemniła mojego uczucia. Sądziłem, że nie ma to znaczenia, bo mojej miłości wystarczy

dla nas dwojga... No i miałem nadzieję, że z czasem mnie pokocha. Może i kochała na swój sposób, ale okazało się to za mało...

- Co się stało?

- Zakochała się w kimś innym. Z miłością jest tak, że nie da się zakręcić jej jak kurka z wodą... - w oczach Jacques'a pojawiła się tęsknota. - Zawsze będę ją kochał, mimo wszystko... - dodał cicho. - Nigdy nie przestanę, bo po prostu nie potrafię...

Bezradnie wzruszył ramionami, jakby dziwił się własnej głupocie.

- Gdzie ona teraz jest?

- Wszystko to wydarzyło się dawno temu - westchnął. - Teraz ta dziewczyna mieszka we wspomnieniach. Poza tym, naprawdę istnieje wiele rodzajów miłości, z wiekiem nauczyłem się i tego...

Chciałem zagadnąć go o Yvette, ale czułem, że posunąlbym się za daleko.

Jacques wstał, przytrzymując koło jedną ręką.

- Nie stój tak, leniuchu, pomóż mi założyć koło, bo inaczej sami będziemy musieli dźwigać kadzie do stodoły - powiedział z uśmiechem.

Pomagałem mu przez cały ranek. Zawsze lubiłem jego towarzystwo. Był miły, naturalny i łagodny. Przy nim nie odczuwałem potrzeby, aby mówić - rozumieliśmy się bez słów.

Po pikniku z matką i Coyote'em nad rzeką zostawiłem ich samych i wyruszyłem na poszukiwanie Bażancie. Daphne znalazłem na tarasie. Była sama, tylko z Reksem, i wyglądała na zasmuconą.

- Dzień dobry, pani Halifax - odezwałem się, zmierzając ku niej przez trawnik.

Jej twarz natychmiast otworzyła się jak dotknięty ciepłymi promieniami kwiat słonecznika.

- Mój drogi chłopcze, więc to prawda, co mówią! Jesteś chodzącym cudem! Bogu niech będą dzięki...

- Dlaczego siedzi tu pani sama?

- Dobry Boże, na dodatek mówisz po angielsku, a my byłyśmy pewne, że nas nie rozumiesz! Ciekawe, co też przy tobie wygadywałyśmy... - Zarumieniła się, ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy. - Chodź tutaj i usiądź przy mnie. Wreszcie możemy normalnie porozmawiać. Skąd znasz angielski, młody człowieku?

- Mój dziadek był Irlandczykiem, a moi rodzice też rozmawiali ze sobą po angielsku - lekko wzruszyłem ramionami. - Chyba po prostu osłuchałem się z tym językiem...

- Bystry z ciebie chłopiec... Zawsze wiedziałam, że jesteś wybitnie inteligentny, zresztą mówiłam ci o tym, prawda? Przestałeś się ukrywać, mój drogi?

- Madame Duval uważa, że to Bóg dotknął mnie swoją ręką i teraz się mnie boi.

Daphne zachichotała.

- Od początku jej nie lubiłam - syknęła. - To zimna kobieta. Nie ma w niej ani odrobiny ciepła i dobroci, ani odrobiny...

- Dlaczego nic pani nie maluje?

- Dzisiaj jakoś nie mam ochoty... - westchnęła ciężko.

- Jest pani smutna?

- Troszeczkę. Czy to widać?

- Teraz już mniej.

- Bo teraz prawie nie czuję smutku, mogę przecież porozmawiać z tobą. Zawsze darzyłam cię sympatią, mój drogi, ale przecież ty doskonale o tym wiesz...

Kiwnąłem głową.

- Ja też zawsze lubiłem panią i Reksa. I uwielbiam patrzeć na pani pantofle.

Wysunęła jedną stopę do przodu i pokręciła nią.

- Mam słabość do tych buczków - wyznała.

Były to czólenka ze szkarłatnego aksamitu z dużą różową różą na czubku.

- Bardzo lubię połączenie czerwieni i różu - dodała. - Jest naprawdę rzadko spotykane, a wyjątkowo efektowne...

- Nie może być pani smutna, kiedy nosi pani takie pantofelki.

- Tak uważasz? Cóż, mój drogi... - zamyśliła się na chwilę. - Jutro wyjeżdżamy - podjęła cicho, nie odrywając wzroku od zielonego trawnika i krzewów winorośli. - Nie chcę stąd wyjeżdżać...

Nagle ogarnął mnie smutek.

- Tak bym chciał, żeby pani została! - zawołałem szczerze. - Musi pani jechać?

- Obawiam się, że nie możemy zostać tu na zawsze, kochany chłopcze. Spędziłyśmy w chateau kilka tygodni, a nie są to tanie wakacje. Widzisz, Anglia jest teraz dość biednym krajem. Żywność i inne produkty nadal są na kartki, Londyn wydaje się potwornie szary, zresztą spora część miasta jest w ruinach. Oczywiście ja nie mieszkam w centrum, ale widok tych zniszczeń łamie mi serce. Tyle ludzi zginęło, tyle rodzin oplakuje swoich poległych, tymczasem tutaj jest mnóstwo zieleni, słońca, zapachów... W takim zaczarowanym miejscu można zapomnieć o smutku i cierpieniu.

- Ma pani dzieci?

Nie mam pojęcia, dlaczego zadałem to pytanie. Chyba po prostu wyskoczyło mi z ust.

Daphne odwróciła się do mnie. Jej twarz w jednej chwili postarzała się o całe lata, policzki zapadły się, bruzdy, zmarszczki i worki pod oczami stały się bardziej widoczne.

- Miałam małego synka, takiego jak ty, Mischa.

- Co się z nim stało? - wyszeptalem, wyczuwając tragedię, jeszcze zanim odpowiedziała.

- Zachorował na polio, biedactwo. Z trudem chodził, był kulawy. Bóg dał mi go tylko na krótki czas i zabrał do siebie... Mój synek był tak niezwykłym chłopcem, że chyba Bóg chciał jak najszybciej znowu mieć go przy sobie... Błagałam Go, żeby zostawił mi moje dziecko jeszcze trochę, ale się nie zgodził... Teraz noszę mojego chłopca tutaj - przycisnęła pomarszczoną rękę do piersi i zmusiła się do uśmiechu, chociaż jej oczy pozostały otepiąle z rozpaczy.

- Mam go tutaj, na zawsze.

Wyciągnąłem rękę i ostrożnie dotknąłem jej dłoni. Drżała. Dopiero po chwili lekko ścisnęła moje palce.

- Ty też jesteś wyjątkowym chłopcem, mój drogi. W niczym nie przypominasz innych dzieci, jesteś od nich dużo bardziej dojrzały. Kto by pomyślał, że masz dopiero sześć lat... Mój George był jedynakiem, tak jak ty. Bill i ja staraliśmy się mieć przynajmniej jeszcze jedno dziecko, ale nie było nam to dane. Ludzie wyobrażają sobie, że czas leczy rany. Jestem już stara, to wszystko zdarzyło się naprawdę dawno temu. Nie mam dzieci ani wnuków, lecz nadal jestem matką i nigdy nie przestanę nią być. I nie ma dnia, żebym nie myślała o moim synku...

- Jaki on był?

Wciąż trzymałem rękę Daphne, a ona nie próbowała uwolnić jej z mojej dłoni.

- Miał jasne włosy, jak ty, i był przystojny... - Jej skóra odzyskała jędrny wygląd, policzki znowu pokryły się delikatnym rumieńcem. - Miał brązowe oczy, jasnobrązowe, prawie złociste. Był żywym, pełnym energii dzieckiem. Uwielbiał kopać piłkę. Bill i George całymi godzinami grali w naszym ogrodzie w piłkę nożną. Doskonale się rozumieli. George mocno kulał, więc nie mógł grać z innymi dziećmi, ale Bill strasznie lubił rozgrywać z nim mecze. Był nie tylko ojcem George'a, lecz także jego najlepszym, najprawdziwszym przyjacielem. Kiedyś zapytałam George'a, czy nie przeszkadza mu, że nie ma

przyjaciół w swoim wieku, a on uśmiechnął się pogodnie i pokręcił głową. Tatuś jest moim przyjacielem, powiedział. Bardzo mnie to wzruszyło...

- Czy Bill czeka na panią w Anglii? To dlatego musi pani wracać do domu?

Z całego serca pragnąłem, żeby została w Mauriac.

- Nie, kochanie, Bill zmarł parę lat temu. Jest teraz z George'em, ta świadomość naprawdę mnie pociesza. Na pewno grają razem w futbol, a George jest zdrowy i silny... - Uwolniła dłoń spomiędzy moich palców i przesunęła nią po mojej twarzy. - A ja na razie jestem tutaj i mam Rekxa oraz wielu przyjaciół... Nie jestem samotna, broń Boże, bym miała tak uważać... Tak czy inaczej, będę za tobą tęskniła, mój drogi. I to nawet bardzo...

- Mnie też będzie pani brakowało, pani Halifax...

- Dobry Boże, mów mi po imieniu, chłopcze! Kiedy nazywasz mnie panią Halifax, czuję się potwornie staro!

Następnego dnia rano poszedłem do szkoły. Wyruszyłem z domu z mamą, bardzo dumny z nowego niebieskiego fartucha. Nie trzymałem mamy za rękę, lecz kroczyłem u jej boku, bawiąc się małą piłeczką, która zawsze niosła mi pociechę. Serce biło mi równie szybko jak każdej niedzieli, kiedy szliśmy na mszę do kościoła. Teraz ludzie interesowali się nami jeszcze bardziej niż wcześniej, bo przecież byłem chodzącym cudem, dla wielu żywym dowodem istnienia i działania Boga. Oczy, które obserwowały mnie zza cienkich firanek, były pełne wdzięczności, nie nienawiści. Jezus dał mieszkańcom Mauriac bardziej bezpośrednią i jasną lekcję o konieczności przebaczenia niż jakiegokolwiek kazanie księdza Abla-Louisa. Stary mężczyzna, siedzący na ławce przed domem w bladym świetle poranka i palący fajkę, skinął mi głową, a dwie staruszki w czerni, które minęliśmy po drodze, na mój widok zrobiły znak krzyża, potem zaś wycofały się w cień, podobne do smętnych wron, lecz pewniejsze niż kiedykolwiek, że śmierć, gdy nadejdzie, zabierze je w jakieś lepsze miejsce.

Z dziećmi w moim wieku sprawa przedstawiała się trochę inaczej. Dzieci raczej nie myślą o śmierci. Nie trzeba cudu, aby przekonać je o istnieniu siły wyższej, ponieważ same instynktownie wyczuwają jej obecność w świecie. Nie kierują się przykładem, jakim powinien być dla nich ksiądz czy rodzice. Obserwują siebie nawzajem, starają się upodobnić do siebie, a najsilniejszy w grupie staje się wzorcem. Często uciekają się do brutalności, co także podpowiada im instynkt - w grupie obowiązuje prawo dżungli, słabość zasługuje na najwyższą pogardę, na przetrwanie mogą liczyć tylko najsilniejsi, a odmieńcy, tacy jak ja, stają się wyrzutkami. Pamiętałem jednak, jak bawiliśmy się razem na placu przed kościołem, i miałem nadzieję, że mój związek z Coyote'em ochroni mnie przed ich okrucieństwem.

Widziałem, że mama jest niespokojna. Od samego rana miała zmarszczone czoło, skóra między jej brwiami ułożyła się w bruzdę, co sprawiało, że wyglądała na zirytowaną, ja jednak zdawałem sobie sprawę, że jej nastrój nie ma nic wspólnego ze złością czy zniecierpliwieniem. Od chwili, gdy odzyskałem głos, żyła w stanie zagubienia. Mama była osobą religijną. Dla niej, podobnie jak dla reszty parafian, moje uzdrowienie było dokonaniem przez Boga cudem. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że wierzyła w to całym sercem. Kilka razy widziałem, jak modliła się na kolanach przy łóżku, ze łzami dziękując Bogu za Jego łaskę. Tym, co budziło w jej sercu głęboką

niepewność, była zmiana stosunku do nas ze strony mieszkańców Mauriac. W gruncie rzeczy mama czuła się spokojniejsza i pewniejsza wcześniej, kiedy wiedziała, czego może się spodziewać. Teraz była oburzona. Jej zdaniem ludzie z Mauriac w żadnym razie nie powinni byli potraktować nas w tak okrutny sposób. Nie była w stanie zapomnieć tego, co wydarzyło się latem 1944 roku, i nie umiała im tego wybaczyć.

Kiedy przystanęliśmy przed szkolną bramą, przykucnęła, żeby wygładzić zagniecenia na moim fartuchu.

- Będzie dobrze - zapewniła mnie, całując w policzek. - Nauczysz się wielu nowych rzeczy, a poza tym i tak masz nad nimi przewagę, bo mówisz po angielsku...

- Nie martw się o mnie, maman. Potrafię o siebie zadbać.

- Wiem o tym - odparła z dumnym uśmiechem, który ożywił maskę powagi, osłaniającą dotąd jej twarz. - Jesteś moim chevalier...

Zwróciłem uwagę, że tym razem nie użyła określenia mały chevalier.

Wyprostowałem się, podniosłem głowę i razem z innymi dziećmi przekroczyłem bramę. Nikt się do mnie nie odezwał, lecz wszyscy patrzyli z bezwstydnym zaciekawieniem, jak to dzieci. Czułem się bardzo nieswojo, pewnie trochę jak ryba, która wypłynęła poza bezpieczne schronienie rafy koralowej i znalazła się na ogromnym, otwartym morzu, gdzie nigdzie nie można się schować. Nagle zobaczyłem śpieszącą ku mnie nauczycielkę.

- Chodź ze mną, Mischa - odezwała się miłym głosem. Miała proste kasztanowe włosy i oczy koloru ciemnego miodu, a jej uśmiech był szeroki i szczery.

- To twój pierwszy dzień w szkole, mój drogi. Na pewno bardzo się denerwujesz, ale niepotrzebnie. Nazywam się mademoiselle Rosnay i jestem twoją wychowawczynią...

Oparła dłoń między moimi łopatkami i poprowadziła mnie przez hałaśliwy tłumek prosto do klasy. W sporej salce były trzy rzędy drewnianych ławek, tablica, przypięte do ścian obrazki, namalowane przez uczniów, a powietrze przesycone było mocnym zapachem środka dezynfekcyjnego. Grupka chłopców stała przy ławce, pochłonięta grą w jo-jo. Kiedy wszedłem, przerwali zabawę i wszyscy odwrócili się w moją stronę. W sali zapadła cisza.

- Mischa!

Natychmiast rozpoznałem jej głos i odetchnąłem z ulgą.

- Claudine!

- Ach, więc masz tu przyjaciółkę! - powiedziała mademoiselle Rosnay. - Bardzo się cieszę!

- Jesteś w mojej klasie! - Claudine nie kryła radości. - Zaopiekuję się nim, proszę pani. Mogę?

- Oczywiście - odparła nauczycielka, prowadząc mnie do ławki. - Tu będziesz siedział...

Blat był zniszczony, pokryty plamami z atramentu i napisami wrytymi w drewnie przez wcześniejsze pokolenia uczniów, ale ja nie mogłem się nacieszyć, że mam w klasie swoje miejsce i byłem z tego naprawdę dumny. To była moja własna ławka, miałem prawo tu przebywać, tak jak wszystkie inne dzieci. Podniosłem pulpit, włożyłem do szuflady piórniki, który dostałem od mamy i zamknąłem wieko.

- Jestem taka szczęśliwa, że odzyskałeś głos! - Claudine dotknęła mojego ramienia. - Wiedziałam, że tak będzie...

- Ciągle jeszcze czuję się trochę dziwnie - oświadczyłem. Nie była to prawda, lecz nowa sytuacja zupełnie mnie przytłoczyła i nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

- Na pewno! Księżulo wpadł w szok, najpierw zbladł, potem zrobił się niebieski, później szary i wreszcie czerwony jak burak. Wyglądał, jakby był pijany. Wszyscy mówią teraz prawie wyłącznie o tym, co wydarzyło się w niedzielę. Jesteś świętym, wyobrażasz sobie? Moja mama mówi, że muszę cię dotknąć, bo to przyniesie szczęście, no, ale ona często zmienia zdanie...

- Chcesz powiedzieć, że teraz twoja matka nie ma nic przeciwko naszej przyjaźni?

- Właśnie! Zachęcała mnie nawet, żebym trzymała się jak najbliżej ciebie. Mam dotykać cię jak najczęściej, a wtedy przydarzy mi się mnóstwo cudownych rzeczy.

Mrugnąłem do niej porozumiewawczo.

- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to... - szepnąłem. - Tak naprawdę nie jestem żadnym świętym...

- Mnie to nie przeszkadza - uśmiechnęła się szeroko, pokazując za duże zęby. - Wolę cię takim, jakim jesteś. Święci są nudni jak flaki z olejem.

Parsknąłem śmiechem, a ona przyłączyła się do mnie.

- Przedstawię cię im, dobrze? - zaproponowała i ruchem dłoni przywołała zbitych w grupkę chłopców.

Zbliżyli się z pewnym wahaniem, z rękami w kieszeniach, przyglądając mi się czujnie spod długich grzywek.

- Więc jesteś wybrańcem Boga? - zapytał jeden.

- Bóg oddał mu głos - wyjaśniła Claudine. - Mischa miał wizję, wiecie?

- Wizję? - powtórzył powoli drugi.

- Naprawdę? - wykrzyknęli chórem. - Co widziałeś? Wyciągnęli ręce z kieszeni, odsunęli opadające na czoło włosy i popatrzyli na mnie z podziwem. Usiadłem na blacie ławki, z nogami opartymi na siedzeniu i przedstawiłem im wersję wymyśloną na użytek madame Duval. By osiągnąć lepszy efekt, przesadziłem jeszcze bardziej, rozochocony widokiem ich szeroko otwartych oczu i rozchylnych ust. Claudine wtórowała moim łgarstwom jak doświadczony współnik, podrzucając mi rozmaite sugestie. Tworzyliśmy zespół, i to zgrany zespół. Delektowałem się smakiem przyjaźni i przyjemnym ciepłem, które rozgrzewało mi serce.

Podeszło też do nas kilka dziewczynek, pragnących poznać moją historię ze szczegółami. Od niedzielnej mszy ich rodziny naprawdę nie rozmawiały o niczym innym, więc nie należało się dziwić, że chciały dowiedzieć się wszystkiego bezpośrednio ode mnie. Z ogromną gotowością powtórzyłem opowieść o cudzie. Mówiłem z dużym przekonaniem, bo sam prawie w nią uwierzyłem. Wszyscy zasypywali mnie pytaniami: Jak wyglądał Jezus? Czy widziałem Boga? Czy mój ojciec był w mundurze? Jak wygląda niebo? Odpowiadałem bez wahania, bezwstydnie czerpiąc natchnienie do kłamstw z tego, co mówiła mi matka oraz z religijnych obrazów, jakie widziałem w kościele. Moje wyjaśnienia musiały ich usatysfakcjonować, bo kiedy mademoiselle Rosnay klasnęła w ręce, każąc uczniom wracać do ławek, koledzy i koleżanki z zapalem poklepywali mnie po plecach.

- Bonjour, tout le monde - zaczęła nauczycielka, stając przed biurkiem.

- Bonjour, mademoiselle Rosnay - odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

Poszedłem za przykładem dzieci i usiadłem. Claudine, do której należała sąsiednia ławka, posłała mi wesoły uśmiech.

Zauważyłem, że ławka po drugiej ręce mojej przyjaciółki jest pusta.

- Chciałabym przywitać nowego członka naszej klasy, Mischę Fontaine'a. Bardzo proszę was wszystkich, abyście pomogli mu przyzwycząić się do szkoły i naszych zwyczajów...

Byłem nieprzytomnie szczęśliwy. Claudine chlubiła się naszą przyjaźnią, zdążyłem już także zaskarbić sobie szacunek i sympatię pozostałych uczniów. Cała ta przygoda ze świętością przyniosła mi same korzyści. Nie miałem najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu kłamstwa - ostatecznie, kto ośmieliłby się zanegować, że to Bóg przyłożył rękę do mojego uzdrowienia... Może Bóg odpowiadał też za tamtą letnią burzę, a więc i za pojawienie się Coyote'a. Poza tym, było przecież oczywiste, że robię Mu przysługę, umacniając wiarę mieszkańców Mauriac. Powtarzałem sobie, że łgarstwa to nic złego.

Bardzo chciałem się uczyć. Mama nauczyła mnie tyle, ile mogła, ale lekcje z nią nie mogły zastąpić prawdziwej szkoły, korzystania z podręczników i pomocy nauczycielki, która zapisywała na tablicy najważniejsze informacje oraz zadane do domu prace. Wszystko to razem było szalenie podniecające. Właśnie sięgnąłem po podręcznik i zacząłem przeglądać lekcję na ten dzień, kiedy drzwi się otworzyły i do sali wszedł dość niechlujnie wyglądający chłopak z ciemnymi włosami i oczami, o ciężkich, jakby opuchniętych powiekach. Mademoiselle Rosnay obrzuciła go niezadowolonym spojrzeniem, oparła ręce na biodrach i lekko wydeła wargi.

- Laurent, mam już dosyć twoich spóźnień - powiedziała. - Jeżeli nie zaczniesz przychodzić do szkoły punktualnie, będę wymierzać ci kary.

- Przepraszam... - wzruszył ramionami. - Miałem kłopoty w domu...

Mademoiselle z westchnieniem potrząsnęła głową.

- To nie jest żadna wymówka, a ty doskonale o tym wiesz! Siadaj i bierz się do pracy!

Kiedy mijiał moją ławkę, cofnął się na moment i popatrzył na mnie uważnie. Poznałem go od razu, to był chłopak, który po zabawie na placu przed kościołem poklepał mnie i pochwalił za szybkość. Teraz usiadł i szepnął coś do Claudine. Potem kątem oka kilka razy złowiłem jego spojrzenia, zresztą prawie cały czas czułem, że mi się przygląda, lecz w jego wzroku nie było ani podziwu, ani sympatii, jakie wyczuwałem ze strony reszty klasy.

W czasie przerwy wszyscy wybiegli na boisko. Claudine trzymała się blisko mnie i jako wierna konspiratorka szeptała mi do ucha wskazówki, jak uczynić moją historię jeszcze bardziej barwną. Zauważyłem, że Laurent został z tyłu. Obserwował nas z daleka ze zmarszczonym czołem i ponurą miną, ale szybko o nim zapomniałem, ponieważ natychmiast otoczyły mnie dzieci, które jeszcze nie słyszały mojej opowieści, i te, które chciały usłyszeć ją raz jeszcze. Odkryłem, że radzę sobie z tym jak aktor, który doskonale opanował swoją rolę i nauczył się już nawet, w których miejscach zawieszać głos dla osiągnięcia najlepszego efektu.

Claudine stała się moim menedżerem i kiedy wyczuła, że pytania zaczynają mnie męczyć, poprosiła o przerwę. Pobiegliśmy na szkolne schody i usiedliśmy na nich, aby spokojnie pośmiać się ze wspólnego sukcesu.

- Jesteś wspaniały! - zachwycała się Claudine. - Wszyscy dosłownie jedzą ci z ręki!

- Dobrze, że nie wszystko jest kłamstwem - powiedziałem.

Nie chciałem, by uznała mnie za wytrawnego kłamcę.

- Wiem - odparła. - I nie ma nic złego w tym, że dla rozrywki trochę ubarwiasz tę historię. Zawsze uważałam, że prawda nie powinna psuć ciekawej opowieści.

- Naprawdę coś wtedy czułem - oświadczyłem poważnie. - Nie widziałem Boga ani Jezusa, ale czułem ich obecność i bliskość mojego ojca. Kościół zalało światło, po plecach przebiegł mi dreszcz czy może raczej coś w rodzaju mrowienia... Tak to było, słowo daję. Nie mówiłem o tym nikomu, tylko tobie...

Uśmiechnęła się serdecznie.

- Wierzę ci, Mischa. Możemy śmiać się do rozpuku, ale nic nie zmieni faktu, że odzyskałeś głos. Takie cuda robi tylko Bóg, niezależnie od tego, czy towarzyszą im jakieś wizje, czy nie. Mówisz, a cała reszta nie ma najmniejszego znaczenia... - wzruszyła ramionami. - Nieważne, jak to się stało, liczy się tylko to...

- Laurent chyba mnie nie lubi - powiedziałem, myśląc o nadąsanym chłopaku, który wciąż siedział w klasie.

- Po prostu jest zazdrosny. Do tej pory zawsze robiliśmy wszystko razem, Laurent i ja, więc teraz trochę się wścieka. Poza tym, jego rodzice ciągle się kłócą, bo ojciec romansuje z różnymi kobietami...

- Romansuje? - doszedłem do wniosku, że jak na siedmiolatkę Claudine dysponuje bardzo bogatą wiedzą o życiu.

- Teraz jest zakochany w madame Bonchance, tej z kiosku, wiesz?

- Takiej rudej? Claudine zachichotała.

- Odkąd pieprzy się z ojcem Laurenta, zaczęła bardzo o siebie dbać. Używa jasnoczerwonej szminki, kręci sobie włosy i maluje oczy zielonymi cieniami. Wygląda potwornie, ale widać tata Laurenta jest innego zdania...

Pomyślałem o Yvette i Jacques'u Reynardzie, innej pozornie kompletnie niedopasowanej parze.

Kiedy wróciliśmy do klasy, Laurent rzucił nam ponure spojrzenie, całkiem jakby przez całą przerwę zadreślał się myślami o nowej przyjaźni Claudine. Zignorowałem go i kiedy podeszli do mnie chętni, znowu zacząłem odpowiadać na pytania dotyczące mojej wizji. Nagle Laurent zbliżył się do mojej ławki.

- Może i jesteś wybrańcem Boga, ale twój ojciec był nazistowską świnią! - oznajmił.

W sali zapadła cisza. Claudine zwróciła się ku mnie, gotowa interweniować, i to właśnie widok jej białej jak prześcieradło twarzy dodał mi odwagi, aby

wyciągnąć szpadę. Nie dorównywałem wzrostem Laurentowi, lecz wyprostowałem się i podniosłem głowę.

- Wiesz, dlaczego mój ojciec nie był prawdziwym nazistą? - odezwałem się z całą arogancją, na jaką było mnie stać. - Ponieważ nazizm to stan umysłu, nie narodowość. Ty, owszem, jesteś Francuzem, ale dużo większym nazistą niż on...

Moje policzki oblał rumieniec, byłem zadowolony z celności swojej odpowiedzi. Nie miałem pojęcia, skąd wzięły się te słowa w mojej głowie ani co naprawdę znaczyły, ale brzmiały imponująco. Świadczyła o tym także reakcja Laurenta - cofnął się, a jego twarz pociemniała z gniewu.

- Jak śmiesz tak mówić do Mischy! - zaatakowała go Claudine. - Myślałam, że jesteś porządnym człowiekiem, tymczasem ty wcale nie jesteś lepszy od swoich rodziców!

Gdy mademoiselle Rosnay weszła do klasy, wszyscy wróciliśmy do ławek. Ja byłem zaczerwieniony z radości, głowa Laurenta była nisko pochylona ze wstydu.

Tego popołudnia znowu obudził się wiatr. Zrywał liście z drzew, rzucał je wysoko w powietrze, ciskał na ziemię i wprawiał w bezsilny taniec. Nie rozmawiałem więcej z Laurentem, a Claudine usiłowała nawet na niego nie patrzeć, co musiało ją sporo kosztować, bo przycichła i posmutniała. Pod koniec dnia wróciłem do domu, lecz zwycięstwo miało teraz dla mnie gorzkawy smak. Opowiedziałem matce o mademoiselle Rosnay i Claudine, lecz ani słowem nie wspomniałem o moich przechwałkach i o kłótni z Laurentem.

Jeszcze przed wieczorem rozszalała się burza. Lało jak z cebra, deszcz grzmocił o ziemię, tworząc rozległe kałuże. Mama myślała o Jacques'u Reynardzie i winobranii, które miało rozpocząć się za tydzień, a ja myślałem o Coyocie. Podobna burza sprowadziła go do chateau. Jeżeli moja babka miała rację, to może ta wichura zwiastowała jego wyjazd... Poruszałem się na tym gruncie bardzo niepewnie, bo z jednej strony nie chciałem wierzyć w przesady, a z drugiej bałem się nie wierzyć. Leżałem w łóżku, słuchając regularnego, cichego oddechu matki i hałasu, jaki robiły walące o szyby krople. Wiatr był niczym wilk z opowieści Jacques'a Reynarda. Ciaśniej otuliłem się kocem, naciągnąłem go sobie na głowę i zapadłem w niespokojny sen. Najpierw przeżywałem sceny, w których obok mnie pojawiali się Laurent, Claudine, madame Duval oraz Yvette, potem powrócił mój dawny koszmar. Znałem go tak dokładnie, że nawet w stanie uśpionej świadomości zdawałem sobie sprawę, iż to tylko sen. Mimo tego towarzyszący mu strach był jak najbardziej

realny. Te same twarze, ta sama nienawiść, to samo przerażenie, lecz tym razem inny koniec...

Nagle na rynku pojawia się mężczyzna i tłum rozpierzcha się na wszystkie strony. Przybysz ma na sobie mundur, którego nigdy wcześniej nie widziałem, zielony jak oliwka. Zdejmuje kurtkę i narzucają na ramiona mojej matki. „Powinniście się wstydzić! - krzyczy, - jak możecie traktować w ten sposób swoich rodaków!”. Ale oni go nie słyszą. Mężczyzna w mundurze kładzie rękę na mojej głowie. „Wszystko będzie dobrze, mały” - mówi. Podnoszę głowę i patrzę na niego. Uśmiecha się, jego oczy wydają się turkusowe na tle mocno opalonej twarzy. Lekko wicherzy mi włosy nad czołem. „Wszystko będzie dobrze, Juniorze - powtarza. - Wszystko będzie dobrze”...

Otworzyłem oczy, gwałtownie łapiąc powietrze. Mama nadal spała obok, z leciutko zarumienioną twarzą i uśmiechem, który zdradzał charakter jej snów. Wyślizgnąłem się z łóżka i zacząłem po omacku szukać ubrania. W korytarzu paliło się światło, ale jakoś nie mogłem niczego znaleźć. Gdy otworzyłem szufladę, zobaczyłem, że jest pusta. Podrapałem się po głowie, próbując zmusić się do myślenia. Byłem przekonany, że to nie sen, czułem się jednak dziwnie zagubiony. W końcu włożyłem kurtkę i buty i, wciąż zdezorientowany i półprzytomny, zszedłem po schodach. Nadal mocno padało, lecz ja wiedziałem, że muszę pobiec do zamku, odnaleźć Coyote'a i poprosić, by nie wyjeżdżał bez nas. Mocno ściągnąłem kurtkę na piersiach i ze schyloną głową ruszyłem przed siebie. Biegłem, ale deszcz przemoczył ubranie w ciągu sekundy. Po plecach pociekły zimne, wąskie strużki. Trząsałem się jak osika i co chwilę ocierałem krople deszczu, które gromadziły się na rzęsach. Byłem zupełnie otepiały. Co stało się z moją koszulą i spodniami? Sam już nie wiedziałem, czy śnię, czy nie.

Dopałem kamiennych murów chateau i na moment schroniłem się pod nimi, wystawiając plecy na deszcz i uderzenia wichury. Czy Coyote był tutaj w 1944 roku, kiedy Amerykanie wyzwolili Mauriac? Czy to on uratował nas przed tłumem? Czy właśnie dlatego jego i moją matkę tak szybko połączyła silna więź? Czy jako jedyny widział Pistou dlatego, że naprawdę był czarodziejem? Zadrzałem, bo lodowate krople znowu popłynęły mi po plecach. Musiałem w jakiś sposób dostać się do hotelu, musiałem go znaleźć. Nie mogłem pozwolić, aby wyjechał bez nas.

Frontowe drzwi i wszystkie okiennice były zamknięte. Ciemność wydawała się gęstnieć, chociaż co jakiś czas chmury rozstępowały się, odsłaniając wiszący na niebie księżyc w pełni, panujący nad burzą i wiatrem. Zrozumiałem, że jeżeli chcę się dostać do zamku, muszę spróbować wejść przez oranżerię.

Kiedy chmury znowu się rozsunęły, przebiegłem na tył chateau przez ogród, na który wychodziły okna pokoju Joy Springtoe. Przemoknięty i zmarznięty przykucnąłem pod oszklonymi drzwiami oranżerii i osłoniłem głowę rękami, zastanawiając się, co robić dalej. Właśnie wtedy usłyszałem odgłos uderzającej w ziemię łopaty. Początkowo wydawało mi się, że to wiatr szarpie obluzowaną okiennicą, lecz im dłużej słuchałem, tym wyraźniej zdawałem sobie sprawę, że ktoś kopie w ogrodzie. Wytężyłem wzrok, usiłując wypatrzeć coś w ciemności, ale widziałem tylko gęsty, zacinający deszcz. Wstrzymałem oddech i znowu zacząłem nasłuchiwać. Serce biło mi tak mocno, że wszystko zagłuszało, ale po chwili znowu usłyszałem ten dźwięk, ostry i rytmiczny. Potem chmury się rozstały i na parę sekund jasny księżyc oświetlił miejsce na końcu ogrodu, pod murem. Jakiś człowiek na klęczkach kopał tam w ziemi. Wstrzymałem oddech z przerażenia, pewny, że ten ktoś usiłuje się pozbyć ciała ofiary morderstwa. Gdy znowu zapadła ciemność, rzuciłem się do ucieczki na uginających się ze strachu nogach. Bardzo się bałem. Myśli o Coyocie, wykradającym się z zamku w środku nocy zniknęły, pochłonięte płomieniem paniki. Zależało mi już tylko na tym, aby znaleźć się jak najdalej od chateau. Obawiałem się, że morderca także mnie zauważył i spróbuje pozbyć się niewygodnego świadka.

W końcu dobiegłem do stajni. W naszym pokoju było ciepło, powietrze pachniało cytrynową wodą toaletową i żywicą. Rozebrałem się i rozwiesiłem piżamę na drzwiach łazienki i nagi wsunąłem się pod kołdrę, starając się nie dotykać mamy, lecz jednocześnie rozgrzać się w jej ciepłe. Wkrótce zasnąłem, zbyt zmęczony, żeby dłużej martwić się, co robi morderca, którego widziałem w ogrodzie.

Kiedy mama obudziła mnie, było jeszcze ciemno, ale deszcz przestał już padać.

- Szszsz... - syknęła, ostrzegawczo kładąc palec na wargach.

Była ubrana, włosy miała spięte, oczy błyszczące zdecydowaniem. Jeżeli nawet zauważyła moją mokrą piżamę, nic nie powiedziała.

- Twoje ubranie jest na krześle - szepnęła. - Pośpiesz się!

- Jedziemy gdzieś? - zapytałem.

- Tak, do Ameryki - odparła z uśmiechem.

- Do Ameryki? - powtórzyłem z niedowierzaniem.

Ta noc naprawdę obfitowała w najdziwniejsze zdarzenia.

- Coyote czeka na nas w samochodzie. Nie rozmawiajmy teraz, skarbie, nie mamy czasu...

W rękę trzymała szarą kopertę. Zanim wsunęła ją do kieszeni płaszcza, zauważyłem, że wypisała na niej imię i nazwisko Jacques'a.

Zrobiłem, co mi poleciła. Dopiero teraz pojąłem, dlaczego szuflady były puste. Rozejrzałem się. Wszystkie nasze osobiste rzeczy zniknęły, pokój wyglądał tak, jakbyśmy nigdy tu nie mieszkali. Nagle ogarnęła mnie fala smutku. Mauriac było jedynym miejscem, jakie znałem, korytarzami chateau przechadzał się duch mojego ojca... Czasami słyszałem odgłos jego kroków na drewnianej podłodze, dźwięki muzyki z gramofonu, śmiech mojej matki, gdy w tańcu wirowała z ojcem po salonie. Serce ścisnęło mi się z bólu i lęku na myśl, że mam zostawić wszystko, co kochałem - zielone szeregi krzewów winorośli, czas winobrania, zachody słońca, które zalewały rzekę płynnym złotem, widok z altany na wzgórzu, Daphne Halifax, Jacques'a Reynarda... I Claudine. Duża, gorąca łza spłynęła mi po policzku.

- To normalne, że jesteś smutny, kochanie - powiedziała mama.

Podniosłem głowę i zobaczyłem, że ona również ma łzy w oczach.

- Stoimy na progu wielkiej przygody - ciągnęła. - Wyjeżdżamy do innego kraju. Mamy szansę zacząć wszystko od nowa...

- A co z tatą? - wychrypiałem.

Nie musiałem jej tłumaczyć, o co mi chodzi. Chwyliła mnie w objęcia i przytuliła.

- Taty tutaj nie ma, skarbie. - Trzymała mnie przed sobą, żebym mógł widzieć jej twarz. - Tata odszedł do nieba. Zabierzemy go ze sobą, bo przecież wspomnienie o nim nosimy w sercu. Zawsze będzie z nami, rozumiesz? Nie przestałam go kochać. Kocham Coyote'a, ale w inny sposób... Istnieje wiele rodzajów miłości, kochanie. Nasze serca posiadają nieograniczoną zdolność obdarzania miłością i przyjmowania jej. Wrócimy tutaj któregoś dnia, zobaczysz, ale jeśli teraz zostaniemy w Mauriac, nigdy nie uwolnimy się od przeszłości... - roześmiała się ze smutkiem. - Jesteś teraz świętym, mój drogi, a bardzo trudno jest sprostać wymaganiom, jakie stawia się świętym... Nie chcę cię tym obarczać, to byłoby niesprawiedliwe. No, chodź już, musimy się pośpieszyć. Tak będzie najlepiej, wierz mi. Mój chevalier stoczyj pojedynek i zwyciężył. Nie pozostało nam tu nic więcej do zrobienia.

CZEŚĆ DRUGA

Moi przyjaciele i krewni
Mieszkają gdzie indziej
I nawet nie wiedzą
Dokąd pojechał ich chłopiec
A ja przyjechałem do Teksasu
I nająłem się do pracy na ranchu jestem tylko ubogim kowbojem
I wiem, że źle postąpiłem
Niechże ktoś napisze list
Do mojej siwowłosej matki
I do mojej siostry
Tak bardzo mi drogiej
Ale jest jeszcze ktoś
Dużo mi droższy niż matka
Kto zalałby się gorzkimi łzami
Gdyby wiedział, że tutaj jestem

16

Nowy Jork, 1985

Stałem w śniegu, kompletnie bezsilny, jakbym znowu był małym chłopcem. Podrapałem się po pokrytym ostrym zarostem podbródka i utkwilem otepiały wzrok w ubranych w szare palta ludziach, szybko idących dokądś chodnikami. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jeszcze raz straciłem Coyote'a i serce ścisnęło mi się z żalu. Po co wrócił? Gdzie był przez ostatnie trzydzieści lat? Byłem wściekły na siebie, że pozwoliłem mu odejść i nie dałem szansy, aby wszystko wyjaśnił. Ostatnio ciągle byłem zły, podminowany - doskonale zdawałem sobie sprawę, że nawet Stanley co jakiś czas mierzy mnie czujnym spojrzeniem. Oczywiście nie dotyczyło to Esther, bo ona po prostu nie bała się nikogo i niczego. Potrząsnąłem głową, czując, jak rozpacz owija się wokół mnie niczym boa dusiciel. Z trudem łapiąc oddech ze zdenerwowania, wepchnąłem ręce do kieszeni i zawróciłem do biura. Starłem się za wszelką cenę stłumić szloch, który już od dawna usiłował wyrwać się z mojej piersi.

Miasto już się obudziło. Żółto-czarne taksówki przemykały ulicami przy dźwięku klaksonów, obsypując śpieszących do pracy przechodniów grudami zmarzniętego błota i tylko bezdomni dalej spali w kartonowych pudłach, głodni i zziębnięci, usiłując jak najdłużej uniknąć kontaktu z życiem. Przyszło mi do głowy, że może Coyote także upadł tak nisko, może także w tej chwili bezradnie szuka jakiegoś schronienia. Jak to możliwe, że tak się stoczył... Całym sercem pragnąłem trzymać się przeszłości, lecz czas niósł mnie jak rwąca rzeka i zmuszał, żebym się z nią pożegnał. Moje dzieciństwo w Bordeaux stało się odległym wspomnieniem, miejscem w górze rzeki, do którego nie miałem najmniejszych szans wrócić. Coyote, którego kochałem, też był już nieodwołalnie stracony.

Kiedy dotarłem do sklepu, byłem zły i skostniały z zimna. Musiałem wyglądać dość przerażająco - facet wzrostu metr dziewięćdziesiąt, z potarganymi włosami przysypanymi śniegiem, niebieskimi oczami pociemniałymi z wściekłości, ponuro zaciśniętymi wargami i szarą, nieogoloną twarzą, przygarbiony i zeszywniały. Stanley zdążył już otworzyć sklep. Mały dzwonek zabrzączał, gdy wszedłem do środka, a Stanley podniósł wzrok znad biurka i na mój widok wyraźnie drgnął.

- Dzień dobry... - powiedział.

Chrzaknąłem, minąłem go i wbiegłem po schodach na piętro, gdzie było moje biuro. Nienawidziłem siebie za to, że pozwoliłem ogarnąć się wściekłości, ale po prostu nie potrafiłem jej pohamować.

Długo tkwiłem przy biurku i z goryczą wpatrywałem się w miejsce, gdzie zaledwie godzinę wcześniej siedział Coyote. Ciągłe jeszcze czułem w powietrzu słodkawy aromat jego gauloise'ów, który zawsze przywoływał te same wspomnienia, wspomnienia sosnowego lasu, eukaliptusów i wilgotnego zapachu nawilżonej deszczem ziemi.

Nie chciałem przeglądać rzeczy matki. Bałem się tego, co mógłbym wśród nich znaleźć, obawiałem się wspomnień, które mogłyby się obudzić. Jej mieszkanie wciąż było dokładnie w takim stanie, w jakim je zostawiła. Nic stamtąd nie zabrano, wszystkie rzeczy wciąż były na swoim miejscu. Teraz jednak wrócił Coyote i zerwał bandażę, chroniącą ranę w moim sercu. Ta rana jeszcze się nie zagoiła, więcej, była równie otwarta i bolesna, jak w dniu, kiedy została zadana. Postanowiłem wziąć wolny dzień i pojechać do mieszkania matki. Nie mogłem czekać na dogodniejszą chwilę, było to bez sensu, poza tym doskonale wiedziałem, że jeśli będę dalej odkładał przykry obowiązek, nigdy w pełni nie odzyskam równowagi po jej śmierci.

Nagle pojawienie się Coyote'a rozbudziło moją ciekawość. Matka rzadko o nim mówiła, chociaż od czasu do czasu powtarzała, że Coyote pewnego dnia wróci. „A ja będę na niego czekać, kochanie” - powtarzała. Początkowo wierzyłem jej, lecz później, w miarę upływu lat, poddałem się i mój smutek przerodził się w gniew. Mama zawsze kładła nakrycie dla Coyote'a na stole, zupełnie jakby czekała na zabłąkanego proroka Eliasza; robiła to właściwie aż do ostatnich miesięcy życia. W tym ostatnim okresie siadała do stołu sama, jakby czuła zbliżającą się śmierć, jakby z oddali dobiegł ją gwizd nadjeżdżającego pociągu, który miał zawieźć ją do nieba, w którego istnienie mocno wierzyła. Jadała w samotności, a guz rósł w niej, wysysając nie tylko życie, ale także nadzieję.

Chwyciłem palto i zbiegłem na dół. Stanley stał wraz z klientem obok siedemnastowiecznego angielskiego sekretarzyka z orzecha i rozmawiał z nim przyciszonym głosem. Zobaczył mnie i obrzucił ostrożnym spojrzeniem znad opuszczonych na koniec nosa okularów. Esther siedziała przy biurku, ze słuchawką telefonu ukrytą pod grzywą kręconych szpakowatych włosów, otoczona rozsypującymi się stosami papierów i książek. Na mój widok odłożyła słuchawkę i przywitała mnie z tą samą serdecznością, jaką okazywała każdego ranka.

- Co za cudowny dzień! - ucieszyła się, całkowicie nieświadoma mojego fatalnego nastroju. - Uwielbiam śnieg! Zima zawsze była moją ulubioną porą roku, od dziecka!

Esther miała silny, charakterystyczny dla ludzi z New Jersey akcent, który zawsze przypominał mi miasteczko Jupiter, gdzie zamieszkaliśmy z Coyote'em po ucieczce z Francji.

- Masz ochotę na kawę, Mischa? - zapytała. - Wyglądasz na zmęczonego, pewnie znowu nie spałeś... Ja po śmierci mojej matki nie spałam przez cały miesiąc. Codziennie robiłam sobie kawę z dżinem, bo inaczej przewróciłabym się na nos.

- Robię sobie wolne - powiedziałem, wkładając palto.

- Dobry pomysł. Idź na spacer, naciesz się śniegiem, popatrz na świat, poodychaj świeżym powietrzem, zadzwoń do przyjaciela, zresztą zrób cokolwiek, na co masz ochotę. Zobacysz, że od razu poczujesz się lepiej.

- Dziękuję...

- Nie dziękuj mi, to ja się cieszę, że mogę ci coś poradzić. Spacer naprawdę poprawi ci humor, słowo.

- Dobrze mnie znasz - odparłem.

Wiedziałem, że moje słowa sprawią jej przyjemność i miałem wyrzuty sumienia, że narzucam swój zły nastrój tak pogodnej istocie.

- To prawda! - rozpromieniła się Esther. - Mój ojciec był urodzonym ponurakiem. Nigdy się nie uśmiechał, zawsze patrzył na nas niczym zbity pies i miał taką minę, jakby dźwigał na barkach troski całego świata. A kiedy ktoś próbował go rozweselić, wpadał w gniew i atakował. Właśnie dlatego przywykłam do takich ludzi jak ty i chyba już nic nie może mnie zaskoczyć...

- Dziękuję ci, Esther. Gdyby nie ty, czułbym się znacznie gorzej.

- Bardzo się cieszę. Wstaję codziennie rano wyłącznie dlatego, że wiem, iż dzięki mnie świat staje się lepszy...

Uśmiechnąłem się, chociaż w słowach Esther nie było cienia ironii.

Dzwonek się odezwał, gdy otworzyłem drzwi. Wyszedłem w śnieg. Czy naprawdę byłem tak okropny jak ojciec Esther? Kątem oka zauważyłem zegarmistrza Zebedee, który rozmawiał z listonoszem, stojąc na chodniku przed swoim zakładem. Zobaczył mnie i podniósł rękę w geście powitania. Odpowiedziałem mu w ten sam sposób, by nie okazać się ostatnim gburem.

- Piękny dzień! - zawołał ze śmiechem. - Szkoda tylko, że spadł śnieg!

Jego jasne oczy patrzyły na mnie spoza małych okularów, trzymających się na końcu nosa. Kiedy się śmiał, wyglądał jak ogrodowy krasnoludek. Szpakowate, mocno skręcone włosy otaczały wianuszką czaszkę,

pozostawiając odkryty łysy wierzch oraz duże, mięsiste uszy. Płatki śniegu lądowały na jego łysinie niczym piórka i natychmiast się roztopiały.

- Dziwnego miałeś dziś rano gościa - zauważył.

- Widziałeś go?

- Och, tak. W naszej okolicy ostatnio kręci się za dużo włóczęgów. Ktoś naprawdę powinien podjąć jakieś kroki w tej sprawie, zwłaszcza przy takiej pogodzie. Ci nieszczęśnicy pozamarzają na śmierć...

- Widziałeś go już wcześniej?

Zebedee podziękował listonoszowi, który ruszył w dalszą drogę, i lekko wzruszył ramionami.

- Dla mnie oni wszyscy wyglądają identycznie - powiedział.

- Zauważyłeś może, jak dostał się do środka?

- Wydawało mi się, że miał klucz, bo raczej nie szarpał się z drzwiami. W pierwszej chwili przyszło mi nawet do głowy, że to chyba jakiś angielski arystokrata, ponieważ oni zwykle wyglądają jak włóczędzy, w każdym razie tak pokazują ich w filmach...

- Nie miał klucza, Zeb. Włamał się, chociaż nie mam na to żadnych dowodów.

- A niech mnie... Ukradł coś? Potrząsnąłem głową.

- To prawdziwy cud! - wykrzyknął Zeb.

Minęło wiele lat od chwili, gdy ostatni raz słyszałem to zdanie.

Mieszkanie mojej matki znajdowało się w Upper West Side. Kiedy wszedłem, portier Marcello wyskoczył zza biurka, żeby mnie uściskać. Musiało to wyglądać dość komicznie, bo był ode mnie dużo niższy.

- Tak mi przykro! - rzekł niewyraźnie, ponieważ twarz miał wtuloną w klapy mojego palta. - Pana matka była dobrą kobietą, panie Fontaine...

- Dziękuję - odparłem, czując, jak gardło ściska mi się ze wzruszenia.

Mama z czasem stała się imponującą, wyniosłą damą, ale dla Marcella zawsze znajdowała uśmiech. Możliwe, że trochę przypominał jej Jacques'a Reynarda - miał rudawe włosy i otwartą, sympatyczną twarz.

- Odkładałem dla pana jej pocztę - powiedział, wracając za biurko. - Dużo listów, niektóre do pana. Pewnie z kondolencjami... Dziś pierwszy raz nic do niej nie przyszło. Wiadomości o śmierci szybko się rozchodzą, prawda?

- Dziękuję... - powtórzyłem powoli. Wziąłem stos listów i ruszyłem w stronę windy.

Nie mogłem zdobyć się na to, żeby przejrzeć pocztę. Nie byłem w stanie tego zrobić, jeszcze nie, więc położyłem wszystkie koperty na stole w holu. Powietrze w mieszkaniu nadal pachniało jej perfumami i mydłem, a także

aromatyzowanymi świecami, które często zapalała. Zasłony były zaciągnięte, więc wszędzie panował ponury półmrok. Stałem chwilę nieruchomo i myślałem, że czuję się jak w grobie. Żadnej muzyki, żadnego ruchu, żadnych kwiatów, tylko pustka i cisza. Brak życia. Nagle przez głowę przebiegła mi myśl, że mama odeszła stąd z ulgą. W atmosferze opuszczonego mieszkania nie wyczuwałem ani niepokoju, ani niewidzialnej obecności. Mama odeszła, byłem sam. Miałem ponad czterdzieści lat i tęskniłem za matką. Zawsze byliśmy razem, we dwoje, maman i jej mały chevalier. Teraz zostałem już tylko ja.

Przeszedłem przez wszystkie pokoje, przytłoczony uczuciem straty i pewnie bardziej niż zwykle przygarbiony. Mama zawsze lubiła proste, eleganckie rzeczy, nie znosiła ozdóbek i falbanek. Do końca życia zachowała francuski gust i szyk. Drewniane deski podłogi były ciemne, wypastowane i wyfroterowane, stare meble i sprzęty pochodziły z Francji i Anglii, tkaniny utrzymane w jasnych, neutralnych kolorach. W rogu salonu, pod półkami z równo poukładanymi książkami o sztuce i wystroju wewnątrz stał niewielki fortepian. Grywała na nim, chociaż nie miałem pojęcia, na jakim etapie życia zaczęła brać lekcje. Kiedy zasłony były odsunięte, mieszkanie zachwycało pełną światła przestrzenią. Mama uwielbiała kwiaty - lilie w wysokich wazonach i gardenie w doniczkach były jej ogrodem. Teraz ogród przestał istnieć, lecz w powietrzu nadal wisiał zapach kwiatów.

Zapamiętałem ją w każdym pokoju, na każdym metrze kwadratowym mieszkania. Jej nieobecność sprawiała, że wydawało się dużo większe i dziwnie obce. Odkryłem, że dostrzegam teraz rzeczy, na które wcześniej nie zwracałem uwagi - jakąś figurkę czy obraz, a także nieliczne pamiątki z naszego życia we Francji, na przykład malutki taboret, który moja babka zrobiła dla mamy, gdy ta była małą dziewczynką. Wyjechaliśmy z Francji prawie z niczym, w każdym razie tak myślałem do chwili, gdy w sypialni mamy natknąłem się na ustawiony na komodzie kufer.

Nie był duży, chociaż dziecku, jakim wtedy byłem, wydawał się spory. Wtedy poukładane w nim były sukienki, kapelusze i pończochy, które mój ojciec kupował mamie w czasie wojny. Przechowywała kufer w naszym pokoju nad stajnią i nigdy nie nosiła tych ubrań. Później, kiedy przyjechaliśmy do Ameryki, suknie nadal leżały w kufrze, bo wtedy stały się już dla niej świętymi pamiątkami. Tu mogła je śmiało nosić, ale najwyraźniej nie chciała. Były częścią rozdziału, który napisała razem z moim ojcem, rozdziału, do którego wracała tylko w snach, bo powierzyła swoje życie Coyote'owi i zaczęła wszystko od nowa. Tamten rozdział został zamknięty, a ja bałem się go otworzyć.

Postawiłem kufer na podłodze i poszedłem zrobić sobie drinka. Mama miała mały barek w korytarzyku obok salonu. Kryształowe karafki nadal stały równo na półkach, tak jak je zostawiła, alkohole przeświecały srebrzyście i złotawo przez ciętą w różne wzory powierzchnię. Nalałem sobie szklaneczkę dżinu i wziąłem garść orzeszków ziemnych leżących w oliwkowym wiaderku zdobionym ręcznie malowanymi scenami z polowania z chartami. Potem, wzmocniony alkoholem, usiadłem na dywanie w sypialni i podniosłem wieko kufra.

Od razu uderzył mnie aromat cytryn zmieszany z niepowtarzalnym zapachem mojej matki. Serce ścisnęło mi się ze smutku, wróciłem myślami do lat dzieciństwa. Ten zapach był dla mnie symbolem bezpiecznego schronienia, domu. Oddychałem nim, kiedy brała mnie w ramiona i sprawiała, że wszystko było dobrze.

Wyjąłem z kufra suknię z jasnozielonego szyfonu i wtuliłem w nią twarz. Ujrzałem mamę jako młodą kobietę, z włosami spływającymi gęstą falą na ramiona i plecy, o skórze delikatnej i gładkiej jak płatki kwiatów, w sukience tańczącej wokół nóg, kiedy leciutko kołysząc biodrami, szła piaszczystą drogą prowadzącą do chateau. Gdy umarła, miała sześćdziesiąt parę lat. Choroba pożerała jej ciało, więc kości z każdym tygodniem stawały się coraz bardziej widoczne, a policzki zapadnięte, przez co wyglądała na starszą. Tylko oczy, chociaż podkrążone i zmęczone, wciąż były oczami młodej dziewczyny, uwięzionej w rozkładającym się ciele.

Ostrożnie położyłem suknię na podłodze. W kufrze było ich jeszcze pięć, wszystkie w doskonałym stanie. Wyjąłem dwa kapelusze, których nigdy wcześniej nie widziałem, kilka par rękawiczek i pończoch, starannie zawiniętych w bibułę. Pod ubraniami leżały stare, pięknie oprawione książki: Hrabia Monte Christo Aleksandra Dumasa, Nana Zoli, parę angielskich książeczek dla dzieci i encyklopedia. Zastanawiałem się, czy są to pamiątki z dzieciństwa mamy, czy może podarunki od mojego ojca. Tylko w książeczkach dla dzieci znalazłem dedykację: Mojej najdroższej Anouk polecam te opowiadania o wrózkach i czarach, Tatuś. Ułożyłem je w niewielki stos obok sukienek i sięgnąłem głębiej.

Smutek ustąpił miejsca zafascynowaniu, kiedy znalazłem czarny album na zdjęcia, oprawiony w cienutką, wykwinną skórę, z kartkami z barwionego na czarno czerpanego papieru. Zdjęcia były małe, czarno-białe, pieczołowicie umieszczone w mocno przyklejonych białych narożnikach z kartonu. Matka podpisała je białym atramentem, pochyłym, ozdobnym dziewczęcym pismem, ale większość imion nic mi nie mówiła. Długo wpatrywałem się w zdjęcia

moich dziadków, próbując odnaleźć w ich twarzach rysy mamy. Bardzo niewiele opowiadała mi o swoim dzieciństwie. Wiedziałem, że wychowywała się w okolicach Bordeaux, że jej matka, a moja babka, właśnie tam poznała swojego przyszłego męża, Irlandczyka, który jako młody człowiek przyjechał do tego miasta, aby uczyć się sztuki hodowania winorośli i produkowania win. Poza tym, powiedziała mi kiedyś, że babcia wierzyła w magiczną potęgę wiatru. I to było wszystko.

Na kolejnych kartkach z dużą regularnością powtarzało się imię Michael. Tajemniczy Michael znajdował się na wszystkich grupowych rodzinnych zdjęciach, zwykle obok mamy. Im uważniej mu się przyglądałem, tym wyraźniej dostrzegałem łączące ich podobieństwo. Matka nigdy nie wspominała, że miała brata, ani razu nie wymieniła jego imienia. Cóż, rzadko wspominała też o swoich rodzicach... Powiedziała mi, że jej matka umarła w dość młodym wieku, nie miałem jednak pojęcia, co działo się później z moim dziadkiem. A co stało się z Michaelem, jej bratem? Może zginął w czasie wojny, a może, co chyba bardziej prawdopodobne, cała rodzina wyrzekła się mamy, kiedy poślubiła mojego ojca... Uderzyło mnie jedno - ze zdjęć wprost biła wzajemna miłość i ciepło. Nie miałem cienia wątpliwości, że tworzyli zżytą, kochającą się rodzinę. Biorąc to pod uwagę, wydało mi się dziwne, że nie odegrali żadnej roli w procesie mojego dorastania. Ale ponieważ moim ojcem był Niemiec, może jednak nie powinienem się temu dziwić...

Położyłem album z drugiej strony kufra, żebym nie zapomniał zabrać go do domu i jeszcze raz spokojnie przejrzeć zdjęcia, i znowu sięgnąłem do środka. Wyjąłem małą szkatułkę. Znajdowało się w niej kilka listów w kopertach, aksamitne pudełko, a w nim komplet biżuterii z brylantami, którego nigdy wcześniej nie widziałem, stare medale i odznaczenia oraz jeszcze jedna czarno-biała fotografia mojego ojca, nieoprawiona. Zdjęcie bardzo różniło się od tego, które matka przechowywała w szufladzie toaletki w naszym pokoju nad stajnią - było bardziej pogodne, radosne. Ojciec, ubrany w ciemnoszary sweter z kołnierzem polo i w spodnie, trzymał ręce w kieszeniach. Głowę miał lekko pochyloną, na przystojnej twarzy malował się szeroki uśmiech, krótkie jasne włosy zwichrzył wiatr. Serce ścisnęło mi się boleśnie, bo w jednej chwili dotarło do mnie, że równie dobrze mógłbym to być ja. Fotografia ojca mogłaby być moim odbiciem, tyle że ja już od dawna nie śmiałem się tak spontanicznie jak on.

Zaraz potem dostrzegłem leżącą na dnie kufra małą gumową piłeczkę. Nie pamiętałem już nawet, kiedy ostatni raz trzymałem ją w ręku. Pociągnąłem duży łyk dzinu. Alkohol gorącą strużką spłynął prosto do żołądka - było to

przyjemne uczucie. Ująłem piłkę w obie dłonie i zamyśliłem się. Oczyma wyobraźni ujrzałem Pistou, most nad rzeczka, równo wytyczone szeregi winnych krzewów, Jacques'a Reynarda, Daphne Halifax, Claudine i Joy Springtoe. Pamięć podsunęła mi obraz chateau z piaskowca o oknach z jasnoniebieskimi okiennicami, szeroko otwartymi, aby wpuścić do środka słońce, z poruszonymi wiatrem zasłonami z białego lnu. Zobaczyłem wysokie kasztanowce, bramę z pomalowanego czarną farbą żelaza, czuwające przy niej kamienne lwy oraz długi, kręty podjazd, wiodący na sam szczyt wzgórza, usłyszałem śpiew ptaków i muzykę cykad. Nie mogłem sobie przypomnieć, w jakim momencie życia zgubiłem piłeczkę, lecz teraz, gdy ją znalazłem, na nowo uświadomiłem sobie, jak bardzo była dla mnie ważna. Była nie tylko symbolem bezpieczeństwa, ale także jedyną namacalną więzią między ojcem i mną. Jak to się stało, że pozwoliłem, aby to ogniwo pękło? Jak i kiedy? Nie wiedziałem.

Medale i odznaczenia musiały należeć do ojca, komplet biżuterii z brylantami z pewnością był jego prezentem dla mamy. Nigdy nie widziałem jej w tym naszyjniku, kolczykach czy pierścionku. Najwidoczniej te rzeczy stały się dla niej świętymi pamiątkami, podobnie jak ubrania, zamknięte w kufrze wraz z rozdziałem życia, który postanowiła zakończyć. A listy? Nie wyobrażałem sobie, abym mógł przeczytać pełne żarliwej miłości słowa, które rodzice kierowali do siebie. Jeszcze nie teraz... Położyłem je obok piłeczki i albumu ze zdjęciami.

I wreszcie wyjąłem z kufra pudełko na buty, obwiązane sznurkiem. Na wieczku mama czarnym tuszem napisała jedno słowo: „Jupiter”. Oparłem pudełko na kolanie, rozsypałem sznurek i podniosłem tekturową przykrywkę. W środku spoczywały pamiątki z podróży do Nowego Jorku z Bordeaux, którą odbyliśmy na pokładzie statku „Phoenix”: karty z restauracyjnym menu, mydło w kolorowym opakowaniu, bilety na autobus i zasuszone kwiaty. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mama przechowywała tyle rzeczy... Zawsze była energiczna i praktycznie nastawiona do życia, po odejściu Coyote'a zajęta prowadzeniem biznesu. Nigdy bym nie pomyślał, że była tak bardzo sentymentalna... Jej kolekcja skarbów całkowicie mnie zaskoczyła.

Przejrzałem wszystkie. Każdy drobiazg łączył się z konkretną chwilą, każda z tych dawno minionych chwil wydawała mi się wspanialsza od poprzedniej... O większości zapomniałem, a przecież były dobre, prawdopodobnie najszcześniejsze w moim życiu... Jednak dopiero kiedy wziąłem do ręki długie zielone pióro, zasłona się rozsunęła, odsłaniając scenę w całej jej barwności i pięknie. Obracając pióro w palcach, poczułem nagle, że na mojej twarzy

pojawia się uśmiech. Przed oczami miałem napis na dużej tablicy, tak wyraźny jak wtedy, w dzieciństwie: SKLEP Z RÓŻNOŚCIAMI KAPITANA CRUMBLE'A.

17

Jupiter, New Jersey, 1949

- Więc kim jest twój młody przyjaciel? - zapytał Matias, bawiąc się długim zielonym piórem. Coyote zwichrzył mi włosy.

- Oto chevalier albo, co ostatnio bardziej adekwatne, święty Mischa - odparł z uśmiechem.

Matias wybuchnął śmiechem. Był to śmiech głęboki, donośny, wychodzący z brzucha i rozbrzmiewający w jego potężnej, podobnej do beczki klatce piersiowej.

- Widziałem już różnych świętych, ale ten tutaj w niczym nie przypomina żadnego z nich! Dios mio, a kiedyż to wygnano go za bramy niebios?

- Zdążyliśmy uciec, zanim do tego doszło - rzekł Coyote, siląc się na powagę. - W Mauriac wznoszą mu właśnie kapliczkę. Będą tam przyjeżdżać ludzie z całej Europy, chorzy i umierający, ale my obaj dobrze wiemy, jak to było z tą świętością, prawda, Juniorze?

No właśnie... Sumienie trochę mi dokuczało, kiedy wspominałem swoje bezwstydną kłamstwa, wypowiedane na szkolnym boisku. Rzuciłem Coyote'owi nieśmiały uśmiech.

- I jak podoba ci się nasz sklep, święty Mischo? - Matias włożył mi zielone pióro za ucho.

Od razu polubiłem Matiasa, a sklep wzbudził mój najgłębszy zachwyt. Matias był olbrzymem z dziką grzywą czarnych loków, łagodną twarzą i błyszczącymi oczami. Mówił po angielsku z wyraźnym akcentem - później się dowiedziałem, że pochodził z Chile. Pokazał mi ten kraj na mapie świata, przypiętej do ściany w biurze na tyłach sklepu.

- Ten mały skrawek świata jest długi i wąski, ale mieści się w nim wszystko, co najlepsze na kontynencie - góry, kaniony, jeziora, morze, pustynia, wyżyny i równiny. Pustynia Atacama jest najbardziej suchym miejscem na świecie, a jej rośliny rozkwitają tylko raz na dziesięć lat. Moje serce zostało w Chile i któregoś dnia, gdy będę już stary i brzydki, wrócę do Valparaiso i zajmę się hodowlą ptaków...

Matias mówił zwykle w taki sposób, że nawet rzeczy, które wcale nie miały być zabawne, takie właśnie się wydawały. Kiedyś mi powiedział, że ludzie spodziewają się po nim nieustającej wesołości z powodu jego brzucha.

- Grubi ludzie mają być zabawni, tego wszyscy oczekują. Gdybym schudł, nikt nie uważałby mnie już za śmiesznego.

Coyote i Matias kochali się jak bracia i nie ukrywali tego. Ciągłe poklepywali się po plecach, opowiadali sobie dowcipy, których nie rozumiałem i spiskowali niczym para złodziei, którzy pod udanym napadzie dzielą się obfitymi łupami. Świętowali sukcesy przy butelce szampana i tak samo opłakiwali porażki oraz straty - jedyna różnica kryła się w cenie szampana.

„Sklep z Różnościami Kapitana Crumble'a" był magazynem, znajdującym się na obrzeżach miasteczka Jupiter w stanie New Jersey. Z zewnątrz nie robił specjalnie imponującego wrażenia, był to zwyczajny pomalowany na biało drewniany budynek, osłonięty wysokimi drzewami, lecz jego wnętrze nieodmiennie kojarzyło mi się z jaskinią Aladyna. Były tu setki, co tam setki, tysiące niezwykłych rzeczy, które udało się kupić Coyote'owi i Matiasowi, od mebli po drobiazgi. Drewniane klatki z wypchanymi ptakami, bijące w bębunki pluszowe małpki, antyczne biurka z Anglii, ze wspaniałymi inkrustacjami z orzecha i skrytkami, włoskie lustra w bogato złożonych ramach, skórzane świnki z Niemiec, przepięknie tkane gobeliny z Francji, kolorowe jedwabne latarnie z Chin, dywany z Turcji, olbrzymie rzeźbione odrzwia z Maroka, szkło z czeskiej Pragi, drewniane zabawki z Bułgarii, skóra i zamsz z Argentyny, lapis-lazuli z Chile, srebro z Peru. W świetle, które wlewało się do środka przez umieszczone pod dachem okna, wszystko to lśniło jak najdroższe klejnoty. Dla małego chłopca była to kraina cudów, nigdy wcześniej nie widziałem tylu pięknych, niezwykłych rzeczy. Pierwszego dnia stanąłem przy wejściu jak zaczarowany, z oczami jak spodki. Trochę później, kiedy już przywykłem do tego niesamowitego widoku, spędzałem tam całe godziny, wdrapując się na stoły, skrzynie i komody, krzesła i szafki, i zaglądając w najciemniejsze kąty, gdzie zawsze można było znaleźć nowe skarby, ukryte przed ludzkim wzrokiem i często po prostu zapomniane.

Wszyscy wiedzieli o „Sklepie z Różnościami Kapitana Crumble'a" i przyjeżdżali do nas nawet z bardzo daleka. Nasze miasteczko było nadmorskim kurortem - w lecie ulicami przelewały się tłumy ludzi, lecz w miesiącach zimowych panował tu spokój i cisza. Niezależnie od pory roku, w sklepie Coyote'a nigdy nie brakowało klientów, dość często natomiast brakowało personelu, aby wszystkich sprawnie obsłużyć, dlatego w dni wolne od szkoły pomagałem Coyote'owi i Matiasowi, ogromnie dumny i szczęśliwy, że wreszcie nie jestem sam. Powoli narastało we mnie poczucie, że mam bliskich, mam rodzinę. Bardzo szybko poznałem tajniki sztuki marketingu, chociaż oczywiście nie byłem tego świadomy, i ku swemu zdumieniu odkryłem, że jestem zdolnym sprzedawcą.

Żyliśmy jak normalna rodzina, Coyote, mama i ja. My oboje przybyliśmy do Ameryki jak para świeżo przepoczwarczonych motyli - emocjonalny bagaż, który dźwigaliśmy w Mauriac, zostawiliśmy w doku w porcie Bordeaux. Nasza obecność w Jupiter stała się powodem do radości i świętowania. Tu nikt nie wiedział, że mój ojciec był Niemcem. Ludzi interesowało nie moje pochodzenie, lecz ładna buzia i psoty; wszyscy wręcz zachęcali mnie, abym się popisывał, a ja chętnie spełniałem ich życzenia, ponieważ kilka dni spędzonych w szkole w Mauriac dało mi posmak podziwu i uwielbienia. Chłonałem przyjazne i pełne zachwyty spojrzenia jak gąbka, jak chilijska pustynia Atacama, o której opowiadał mi Matias, ponieważ nie byłem przyzwyczajony do pozytywnie do mnie nastawionych znajomych. Powoli zapominałem o wrogości Mauriac, która wracała teraz tylko w opowiadanych z poczuciem humoru historyjkach o Pierre i Armande, Yvette i madame Duval oraz naszym drogim starym przyjacielu, Jacques'u Reynardzie.

Coyote wrócił z Francji niczym zwycięski cheualier i wszyscy wydawali przyjęcia na jego cześć. Mieszkańcy Jupiter chcieli poznać mamę i mnie i z radością słuchali, jak to Coyote podbił serce pięknej Francuzki swoim głosem i grą na gitarze. Cieszyliśmy się ostatnimi ciepłymi jesiennymi wieczorami na plaży, chociaż od morza ciągnął już zimny wiatr, a liście zachwycały imponującą gamą czerwieni, żółci i brązu. Codziennie zapraszano nas na grilla, na podwieczorki w ogrodach, wśród obwieszonych owocami jabłoni, gdzie psy traktowano jak ludzi, a mamę i mnie jak królową i książętko. Kiedy szliśmy Main Street, ludzie uśmiechali się do nas i machali, zupełnie jakby byli dumni, że nas znają. W miarę upływu czasu coraz rzadziej myślałem o Jacques'u Reynardzie i Daphne Halifax. Raz napisałem do Claudine - mama wysłała mój list - lecz szybko nawet ona stała się mglistym wspomnieniem, które przywoływałem tylko w chwilach smutku. Nie wracałem myślami do chateau i Mauriac, bo przeżywałem wielkie zauroczenie Ameryką, krainą mlekiem i miodem płynącą, ojczyznę Joy Springtoe.

Dorastałem. Nie spałem już w łóżku mamy, miałem swój własny pokój w naszym małym białym domku na Beachcomber Drive. We Francji cały mój majątek składał się z gumowej piłeczki od ojca, żółciutkiego citroena od Joy Springtoe i kilku drewnianych zabawek z wczesnego dzieciństwa. Mama miała niewiele pieniędzy i prawie wszystko wydawała na jedzenie i ubranie, nie byłem więc przyzwyczajony do zbytku. Kiedy przyjechaliśmy do Ameryki, całkowicie zaskoczyła mnie masa luksusowych przedmiotów. Amerykanie nie ucierpieli w czasie wojny tak bardzo jak Europejczycy szczerze mówiąc, nie dotknęły ich ograniczenia żywności, niczego nie racjonowano tu na kartki. Nie

brakowało masła, jajek ani mięsa. Na wystawach przy Main Street pyszniły się rozmaite wspaniałości - piękne zabawki, ubrania, sprzęty domowego użytku. Spacer tą krótką ulicą był prawdziwą ucztą dla oczu, a Coyote natychmiast zaczął wydawać na mnie pieniądze. Mój pokój błyskawicznie wypełnił się samochodzikami, wagonikami i innymi zabawkami, pojawiło się w nim biurko z przyborami do pisania oraz wielkie pudło z farbami, a także wesoła czerwono-niebieska narzuta na łóżko. W nocy nie tęskniłem za matką, ponieważ delectowałem się świeżo nabytą niezależnością. Koszmarne sny zostawiłem na nabrzeżu w Bordeaux, razem z moją starą, zużytą i paskudną skórą. Zostawiłem tam też Pistou i nawet się z nim nie pożegnałem.

Coyote rozpieszczał mamę z ekstrawagancją bardzo zamożnego człowieka, ja jednak zdawałem sobie sprawę, że nie byliśmy bogaci. Na pokładzie „Phoeniksa” podsłuchałem kiedyś, jak rozmawiali o naszej ucieczce z chateau i do rozpuku śmiali się z tego, że Coyote nie zapłacił rachunku za pobyt w hotelu. Wyobrażali sobie wściekłość madame Duval i po prostu zarykiwali się ze śmiechu. Mama miała czasami wyrzuty sumienia, bo wiedziała, że Duwalowie odegrają się na innych, lecz Coyote uśmiechał się tylko i wypuszczał z ust równiutkie kółka z dymu. Nie podróżowaliśmy pierwszą klasą - na ten poziom statku mogłem tylko patrzeć z daleka - a nasz dom przy Beachcomber Drive był bardzo skromny. Mimo tego Coyote ciągle kupował mamie nowe sukienki, kapelusze, rękawiczki, pantofle i jedwabne pończochy.

- Chcę, żeby moja dziewczyna była najlepiej ubraną damą w całym Jupiter - mawiał.

I była najlepiej ubrana, nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

We Francji mama sama myła swoje piękne włosy, suszyła je ręcznikiem i czesała. Teraz raz w tygodniu chodziła do zakładu fryzjerskiego „Salon Priscilli”. Priscilla Rubie była drobną, rudą kobietą, która żyła w różowym obłoczku perfum i marzeń i prawie nie oddychała, należało więc starannie i z namysłem wybierać chwile, kiedy można było odezwać się w jej obecności. Trochę przypominało to przechodzenie przez ruchliwą ulicę. Czasami Margaret, młoda kosmetyczka, malowała mamie paznokcie, podczas gdy pomocnica Priscilli nawijała jej włosy na wałki. Spacerując po Main Street, mama kołysała biodrami bardziej niż wcześniej, z aprobatą zerkając na swoje odbicie w oknach wystawowych i uśmiechała się lekko, a jej policzki rozgrzewał rumieniec miłości i wdzięczności.

Nigdy nie widziałem matki tak szczęśliwej, a jej szczęście było zaraźliwe. Co prawda odzyskałem głos, ale nadal byłem szpiegiem, agentem, i to naprawdę dobrym. Nie potrafiłem pozbyć się nawyku podsłuchiwania i

podglądania. Obserwowałem ludzi, ciekawy, jacy są w mojej obecności, a jacy wtedy, gdy myślą, że nie ma mnie w pobliżu. Moja matka i Coyote byli doskonałym przykładem powstających w takich okolicznościach różnic. Kiedy byłem z nimi, dotykali się tylko czasami, a jeszcze rzadziej wymieniali pocałunki, często natomiast śpiewali razem do wtóru gitary i śmiali się ze swoich żartów. Gdy ukrywałem się za drzwiami, zaglądałem przez szczeliny między deskami lub przez dziurki od klucza, albo gdy podsłuchiwałem, przyciskając ucho do ściany, zachowywali się dużo swobodniej. Powoli tańczyli w rytm muzyki z gramofonu w pokoju na dole, całowali się w korytarzu, a raz zobaczyłem nawet, jak Coyote wsuwa rękę pod bluzkę matki (wtedy pędem pobiegłem do swojego pokoju, zupełnie jak oparzony kot). W takich chwilach mama była bardziej dziewczyną niż kobietą. Chichotała i odrzucała włosy do tyłu, nieśmiało zerknęła na Coyote'a spod rzęs, drażniła go, leciutko przygryzając płatek jego ucha. Oboje bywali rozbrykani jak dzieci, śmiali się z najgłupszych rzeczy pod słońcem, rozmawiali ze sobą swoim własnym językiem, którego nie rozumiałem.

Miałem dopiero siedem lat, ale też chciałem się zakochać. W Jupiter chodziłem do szkoły jak inne dzieci i nikt nie znał mojej przeszłości, mogłem więc wymyślać absolutnie wszystko. Byłem jak czysta kartka papieru, która czeka na to, co się na niej pojawi, dlatego opowiadałem swoim nowym kolegom, że we Francji mieszkaliśmy w zamku, co było prawie zgodne z prawdą. Barwnymi słowami opisywałem winnice, winobranie, rzekę i stary kamienny mostek. Udawałem, że w Mauriac chodziłem z wysoko podniesioną głową, codziennie wpadałem na brioszki do kawiarni i gawędziłem z mieszkańcami miasteczka, którzy byli moimi przyjaciółmi. W moich opowieściach Daphne Halifax była moją babcią, Jacques Reynard dziadkiem, a ojciec... Cóż, mówiłem im tylko, że mój ojciec zginął na wojnie. Nie musieli przecież wiedzieć nic więcej.

Szybko zawierałem przyjaźnie. Nie było tu żadnego Laurenta o ciemnych oczach i czarnych włosach, który rzucałby na mnie nienawistne spojrzenia, ale nie było także żadnej Claudine. Dziewczeta były ładne, pogodne i uśmiechnięte. Sprawiały wrażenie dużo śmielszych niż dziewczynki z Mauriac, bardziej pewnych siebie i dorosłych, lecz mnie jednak brakowało Claudine z jej szerokim, odsłaniającym za duże zęby uśmiechem i łobuzerskim błyskiem w oczach. Żałowałem, że nie zdążyłem się z nią pożegnać i wyjaśnić, dlaczego wyjeżdżam. Zdarzało się, że przyłapywałem się na myślach, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę.

W Bordeaux od urodzenia naznaczony byłem piętnem, w Jupiter ludzie przyjmowali mnie takim, jakim byłem. Tutaj nikt nie nazywał mnie ani pomiotem grzesznicy, ani świętym. Nie byłem upośledzony, nie byłem też chodzącym cudem, byłem po prostu sobą, Mischą. Pierwszy raz w życiu zetknąłem się z tym, że ludzie reagują na moją twarz i moje usposobienie. Błyskawicznie stałem się popularny i lubiany. W szkole rówieśnicy uważali mnie za fajnego kolegę. Byłem trochę egzotyczny, bo pochodziłem z Francji i mówiłem po angielsku z obcym akcentem, ale byłem też dość przystojny i szybko zdałem sobie sprawę, jakim plusem jest dobry wygląd.

W pierwszą niedzielę poszliśmy do kościoła. W Jupiter nie było kościoła katolickiego, ale to nie miało znaczenia - Coyote powiedział mi, że chodzi o tego samego Boga, tylko inną świątynię. Poprzedniej nocy żołądek bolał mnie ze zdenerwowania. Świetnie pamiętałem wyprawy na mszę w niedzielne ranki. Pamiętałem, jak przygotowywałem się na prawie fizyczny napór nienawiści i jak przywierałem do nóg matki, trzymając ją za rękę drżącą dłonią. Pamięć podsunęła mi twarz księdza Abla-Louisa, brzydką i przerażającą jak maskaron, skrzywioną z wściekłości z powodu naszego zniknięcia oraz moich bezwstydných kłamstw. Znajdę was wszędzie, mówił głosem zimnym i twardym jak granit. Podciągnąłem kołdrę pod brodę i starałem się za wszelką cenę nie zasnąć, ponieważ bałem się, że jeśli tylko zmrużę oczy, natychmiast dopadnie mnie dawny koszmar. Co prawda, ostatecznie nic mi się nie śniło, ale rano obudziłem się ze ściśniętym ze strachu żołądkiem.

Coyote wyglądał niepokojąco elegancko w garniturze i kapeluszu, a mama włożyła nową jasnoniebieską sukienkę w drobne kwiatki. Podkreśliła końce lśniących włosów i w starannie nałożonym makijażu była piękna jak gwiazda filmowa. Po długim namyśle zdecydowała się też na szykowny kapelusz i sięgające prawie do łokcia rękawiczki. Kiedy spojrzała na mnie, na jej twarzy pojawił się dobrze mi znany wyraz zaniepokojenia, które chyba nigdy do końca jej nie opuściło.

- Dobrze się czujesz, skarbie? - spytała szybko.

Nie przyszło jej do głowy, że mogę być po prostu zdenerwowany.

- Nie chcę iść na mszę - powiedziałem.

- To nie będzie msza, kochanie - rzekła pośpiesznie, przyklękając i ujmując mnie za ramiona dłońmi w miękkich rękawiczkach. - Tutaj jest inaczej, zobaczysz...

Najwyraźniej spostrzegła, że mnie nie przekonała, bo uśmiechnęła się lekko.

- Pastor to bardzo miły człowiek, Mischa. I w ogóle niepodobny do księdza Abla-Louisa, możesz mi wierzyć...

- On nas tu nie znajdzie, prawda? - zapytałem nerwowo. Znowu uśmiechnęła się do mnie uspokajająco.

- Nie, nie ma takiej możliwości. Już nigdy go nie zobaczysz.

- Tak naprawdę nie widziałem nieba, ani taty, ani Jezusa, ani anioła - wyznałem gwałtownie, wreszcie uwalniając się od straszliwego sekretu. - Nie miałem żadnej wizji... Bóg nie miał nic wspólnego z moim głosem, to Coyote sprawił, że go odzyskałem!

Mama zmarszczyła brwi.

- Coyote? - podniosła głowę i spojrzała na niego. Coyote wyglądał na równie zaskoczonego jak ona.

- Jak to Coyote sprawił, że odzyskałeś głos? - powtórzyła powoli.

- Tak, bo jest czarodziejem! Widział Pistou...

- I to dlatego nie chcesz iść do kościoła? - spytała, ignorując moje słowa, które na pewno wydały jej się bezładną dziecięcą gadaniną. - Boisz się, że Bóg ukarze cię za kłamstwo?

- Tak! - wyrzuciłem z siebie.

Ulgę przyniosło mi już to, że podzieliłem się z kimś moim niepokojem.

- Cóż, oczywiście kłamstwo jest grzechem, ale myślę, że w tym wypadku Bóg nie ma ci tego za złe. Przywrócił ci przecież głos, niezależnie od tego, czy zrobił to z pomocą Coyote'a, czy nie... To był prawdziwy cud, skarbie, a cuda pochodzą wyłącznie od Boga, wszystko jedno, jak na to patrzemy...

- Więc wszystko będzie dobrze?

- Teraz wszystko jest inaczej, kochanie... - dotknęła palcem czubka mojego nosa, tak jak robiła to, gdy byłem zupełnie mały. - Poza tym wciąż jesteś moim cheualier, prawda? No, widzisz, a chevalier niczego się nie boi, czyż nie tak?

Spodziewałem się, że i ten kościół będzie mroczną, imponującą budowlą z kamienia, z wznoszącą się aż pod chmury wieżą, zobaczyłem jednak biały budynek, trochę podobny do naszego domu, usytuowany blisko morza, wśród małych kawiarenek i pensjonatów, w których w lecie roiło się od ludzi. Teraz panowała tu cisza, ponieważ wakacje się skończyły i turyści wrócili do swoich domów oraz codziennego życia. Miejscowi znali się doskonale. Na niedzielne nabożeństwo przywdziali najlepsze ubrania i szerokie uśmiechy, a wielebny Cole w czarnej szacie z białą koloratką stał w drzwiach, witając wszystkich serdecznym uściskiem dłoni i swobodnie wymienianymi przyjacielskimi żarcikami.

Priscilla Rubie podeszła, aby pochwalić nową sukienkę i kapelusz mamy, a jej mąż tylko uśmiechnął się do nas przeprasząco, ponieważ fryzjerka gadała bez chwili przerwy, jak nakręcona.

- Jaka śliczna sukienka! Świetnie, że ją wybrałaś! Ten kolor doskonale pasuje do twojej karnacji! Masz tę cudowną oliwkową skórę, której my, Amerykanie, tak zazdrościmy Francuzom! W porównaniu z tobą na pewno wyglądam blado i szaro, a przecież tak niedawno wygrzewaliśmy się w słońcu w naszym ogrodzie, prawda, Paul?

W odpowiedzi Paul ujął ją pod ramię i wprowadził do kościoła, zanim zdążyła zacząć następne zdanie.

Wielebny Cole na nasz widok uniósł brwi i uśmiechnął się, odsłaniając idealnie równe zęby.

- Witajcie w Jupiter! - zwrócił się do mamy.

Chwycił jej dłoń i mocno uściśnął. Miał dużą twarz, nieco za blisko osadzone, małe niebieskie oczka i duży orli nos. Jego włosy były szpakowate i lśniące jak ptasie pióra. Natychmiast sobie wyobraziłem, że woda nie przesiąka przez nie, tak samo jak przez piórka na grzbiecie kaczki.

- Dziękuję - odparła mama z czarującym uśmiechem. - Bardzo się cieszymy, że będziemy mieszkać właśnie tutaj...

- Coyote wybrał sobie idealną żonę - dodał wielebny. Mama oniemiała ze zdziwienia. Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

- Podobno wzięliście ślub w Paryżu - ciągnął pastor, odwracając się do Coyote'a. - Jakie to romantyczne...

- Staram się spełniać pokładane we mnie nadzieje - odparł gładko Coyote. - Juniorze, to jest wielebny Cole...

- Mój syn, Mischa... - wykrztusiła mama. Wyciągnąłem rękę i uściśnąłem dłoń pastora. Wiedziałem, że Coyote skłamał, ale nie byłem tym poruszony; zaprzyjaźniłem się z kłamstwem już w Bordeaux i z czasem staliśmy się najlepszymi, prawie nierozłącznymi kumplami. Bardzo ekscytowała mnie myśl, żeby pociągnąć tę historyjkę dalej i pomóc Coyote'owi. Wiedziałem, że będzie ze mnie zadowolony.

- Strasznie podobało mi się w Paryżu - zacząłem z entuzjazmem. - To był wspaniały ślub, do kościoła przyszło mnóstwo naszych przyjaciół. Mama i Coyote pobraliby się w Mauriac, gdyby nie ksiądz Abel-Louis, który tak naprawdę jest diabłem... Maman zależało, żeby na jej ślubie był Bóg, nie szatan, a w Mauriac nie ma Boga!

Wielebny Cole ściągnął brwi i popatrzył na mnie z zaciekawieniem, jakbym był interesującym przedmiotem ze sklepu Coyote'a.

Coyote parsknął śmiechem i zmierzwił mi włosy nad czołem.

- Ach, te dzieciaki... - pokręcił głową.

Kiedy weszliśmy do sieni kościoła, pochylił się nade mną.

- Gadasz bzdury, Juniorze, ale wiem, że jesteś moim sojusznikiem - powiedział.

Przeszedłem przez kościół z wysoko podniesioną głową. Za plecami słyszałem syczący, pełen złości głos matki, który w każdej chwili mógł przerodzić się w krzyk.

Nabożeństwo odprawione przez wielebnego Cole'a bardzo przypadło mi do gustu. Przede wszystkim wierni dużo śpiewali. Pulchna kobieta w okularach z zapalem grała na fortepianie, a zgromadzeni nie żalowali gardeł. Mama nie śpiewała i całkowicie ignorowała Coyote'a, który śpiewał głębokim, lekko zachrypniętym głosem. Niestety, nawet jego głos nie złagodził twardego wyrazu, jaki przybrała jej twarz.

Po nabożeństwie wszyscy poszliśmy na ciasteczka i napoje do domu pani Slade. Ponieważ przyjęliśmy zaproszenie już wcześniej, nie bardzo mogliśmy się wycofać, chociaż mama nie ukrywała, że wolałaby natychmiast wrócić do domu.

- Anouk czuje się trochę zmęczona - wyjaśnił Coyote gospodyni.

- Rzeczywiście wyglądasz blado, moja droga! - pani Slade szybko podała mamie kubek kawy. - To powinno podbudować twoje siły... - zaśmiała się.

Byłem zachwycony, bo jej śmiech do złudzenia przypominał pochrząkiwanie świnki. Nie zwracając uwagi na zły humor mamy, postanowiłem rozśmieszyć panią Slade, żeby znowu usłyszeć ten zabawny dźwięk.

- Ja wolałbym wino - oznajmiłem.

- Nie jesteś przypadkiem trochę za młody?! - zawołała.

- Wychowałem się w kraju, gdzie nawet niemowlętom daje się wino - powiedziałem poważnie.

- Och, ty mały diabełku... Chrum, chrum!

Roześmiałem się razem z nią i rzuciłem porozumiewawcze spojrzenie Coyote'owi, on jednak nie zareagował. Nie spuszczał zaniepokojonego wzroku z mojej matki.

- Wznieśmy toast kawą za was dwoje! - podjęła pani Slade. - Wypijmy za nowożeńców! - Lekko ścisnęła ramię mamy. - Wyglądasz uroczo, moja droga! I rumienisz się jak nieśmiała panna młoda!

- Raczej nie - odparła chłodno mama. - Nie pierwszy raz wyszłam za mąż...

- Ach, no tak! - pani Slade obdarzyła mnie szerokim uśmiechem.

- Mischa nie przyszedł na świat w wyniku niepokalanego poczęcia - dorzuciła mama.

W jej głosie brzmiała ostra nuta ironii, lecz pani Slade potraktowała tę uwagę jako dowcip.

- Nie przyszedł na świat w wyniku niepokalanego poczęcia... - powtórzyła z rozbawieniem. - Chrum, chrum!

Parsknąłem śmiechem, nie mogłem się powstrzymać.

- Jak sobie radzicie w nowym miejscu? - spytała pani Slade.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odrzekła mama.

- Pewnie na razie wszystko to trochę was przytłacza, prawda? Tyłu nowych znajomych, a każdy z nich chciałby przynajmniej zamienić z wami parę słów... Byłam dziś u Priscilli i słyszałam, że Gray Thistlewaite pragnie za wszelką cenę namówić was oboje na udział w swoim programie radiowym. Coyote może nie zdążył ci jeszcze powiedzieć, że Gray prowadzi lokalną stację radiową ze swojego salonu w domu przy Main Street. Ma godzinną audycję, w czasie której ludzie opowiadają swoje historie. Oczywiście, to nic specjalnego, bo w Jupiter nie dzieje się nic nadzwyczajnego, zwłaszcza o tej porze roku, więc wszyscy z tym większą przyjemnością posłuchają waszej historii... Powiedziałam już Gray, że to po prostu wspaniały pomysł. Całe Jupiter mówi wyłącznie o tobie, moja droga! Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale nigdy nie mieliśmy tu tak pięknej osoby jak ty, chyba że na ekranie w kinie!

Zachwyłt pani Slade pochlebił mojej matce. Uśmiechnęła się, chociaż widziałem, że zrobiła to niechętnie.

- Pokręćcie się trochę po salonie, moi drodzy - zachęciła gospodyni. - Nie wstyďte się, tutaj wszyscy jesteśmy przyjaciółmi...

W samochodzie mama i Coyote pokłócili się po raz pierwszy.

- Dlaczego powiedziałeś im, że jesteśmy małżeństwem?! - wybuchnęła matka. - Wszyscy pytają o nasz ślub w Paryżu! Jaki ślub w Paryżu, na miłość boską?!

- Uspokój się, kochanie... - zaczął Coyote.

- Nie mam zamiaru się uspokoić! Jak śmiałeś nie porozmawiać wcześniej ze mną?! Czuję się strasznie upokorzona. - Kiedy była zła, jej francuski akcent kaleczył angielskie słowa. - Masz dla mnie aż tak mało szacunku?! Aż tak mało?!

- Darzę cię ogromnym szacunkiem, Anouk - odparł Coyote. - I kocham cię...

Siedziałem z tyłu i żałowałem, że nie jestem niewidzialny. - Kochasz mnie? - powtórzyła. - Tak!

- Więc dlaczego nie ożenisz się ze mną naprawdę? - spytała cicho, głosem małej dziewczynki.

Mama zamknęła się w sypialni i przez trzy dni nie chciała wpuścić Coyote'a do środka. Kiedy próbował wejść, krzyczała na niego po francusku i rzucała w drzwi różnymi przedmiotami, które z trzaskiem rozbijały się o drewno. Wiedziałem, że mnie wpuściłaby na pewno, ale nie miałem najmniejszej ochoty z nią rozmawiać. Bałem się, że postanowi wrócić do Mauriac, a przecież ja przyzwyczailem się już do życia w Jupiter. Dlatego wolałem udawać, że wszystko jest w porządku. Zjadałem śniadanie razem z Coyote'em, pakowałem tornister i wsiadałem do dużego żółtego autobusu, pełnego uczniów szkoły podstawowej. Po lekcjach spędzałem trochę czasu z kolegami, a potem pieszo wracałem do domu, z przyjemnością patrząc na rude jak miedź drzewa. Nie rozmawiałem z Coyote'em o zachowaniu mamy. Wieczorami śpiewaliśmy piosenki i graliśmy w karty, widziałem jednak, że Coyote jest zaniepokojony. Pod oczami miał cienie, kąciki ust opadły, co nadawało mu wygląd smutnego clowna.

Nie rozumiałem ich kłótni. Nie przeszkadzało mi, że nie byli małżeństwem, zresztą i tak nikt przecież o tym nie wiedział. Pomysł ślubu w Paryżu wydawał mi się bardzo romantyczny. Nigdy nie byłem w stolicy Francji, ale oglądałem albumy ze zdjęciami tego miasta i znałem jego historię. Paryż był kulturalnym centrum Europy, najpiękniejszym miastem na świecie, więc nie miałem pojęcia, dlaczego mama nie życzy sobie, aby ludzie myśleli, że właśnie tam wyszła za męża.

Trzeciego dnia rano mama wyszła z pokoju. Wyglądała mizernie i blado, oczy miała smutne i zrezygnowane. Coyote zerwał się od stołu, lecz ona gestem kazała mu trzymać się na odległość.

- Nie zaprzeczę twoim kłamstwom - odezwała się cicho. - Niech Bóg mi dopomoże... Jestem głupia, ale co mogę zrobić? - Schyliła się i pocałowała mnie w czoło. - Mam tylko jeden warunek...

- Spełnię każdy - powiedział Coyote. Jego policzki płonęły ciemnym rumieńcem.

- Chcę mieć obrączkę.

- Oczywiście, jaką zechcesz!

- To kwestia moralności, Coyote. Nie robię tego dla siebie, ale dla mojego syna, rozumiesz?

- Tak...

- Nie będziemy o tym więcej rozmawiać. Chcę, żeby wszystko znowu było tak jak przedtem.

Gdy Coyote podsunął jej krzesło, usiadła i ujęła moją rękę.

- Jak się czujesz, skarbie?

- Dobrze - odparłem, przeżuając grzanekę.

- W szkole wszystko w porządku?

- Tak.

- To świetnie...

Coyote nalał jej kubek kawy, a ona wypila szybko, z zamkniętymi oczami, jakby chciała nacieszyć się smakiem napoju. Potem westchnęła z zadowoleniem.

Bardzo się cieszyłem, że w końcu się pogodzili, a jednym z najważniejszych powodów mojej radości było to, że Coyote znowu sprawiał wrażenie szczęśliwego. Poza tym oczywiście odetchnąłem z ulgą, że nie czeka mnie powrót do madame Duval i księdza Abla-Louisa. Do autobusu szedłem teraz sprężystym krokiem, nucąc piosenki Coyote'a i wystawiając twarz na działanie promieni słońca, przedzierających się przez z każdym dniem coraz bardziej suche liście. Czułem, że świat otwiera przede mną ramiona i obdarza nieskończonymi możliwościami oraz szansami. Kochałem Jupiter, moich nowych przyjaciół, małą społeczność nadmorskiego miasteczka, ale przede wszystkim kochałem chłopca, jakim się tu stałem. Pierwszy raz byłem szczęśliwy we własnej skórze.

Po szkole zwykle jechałem z mamą do „Sklepu z Różnościami Kapitana Crumble'a”. Na trzecim palcu jej lewej ręki błyszczała prosta złota obrączka, a nad nią pierścionek z małym brylantem. W jej oczach pojawił się dziwny, mroczny cień, którego wcześniej nie było, usta czasami układały się w ostrą, twardą linię. Mimo wszystkiego, co przeszła zaraz po wyzwoleniu Francji, zachowała niewinność, która teraz zniknęła. Jej miejsce zajął ten nowy wyraz światowej mądrości i cynizmu.

- Masz piękny pierścionek i obrączkę - powiedziałem któregoś dnia.

Zaczęliśmy rozmawiać po angielsku, nawet kiedy byliśmy sami. Mama używała teraz francuskiego tylko w sytuacjach, gdy była rozgniewana, zraniona lub bardzo czymś poruszona.

- Ładnie wyglądają, prawda? - odparła, poruszając dłonią i spoglądając na nią z westchnieniem.

- Czy teraz już wszystko będzie dobrze? - spytałem.

- Wszystko będzie w porządku, Mischa.

- Podoba mi się tutaj.

- Wiem...
- I lubię „Sklep z Różnościami” - oświadczyłem.
- Ja także.
- Chciałbym pomagać Coyote'owi i Matiasowi po szkole. Mogę?
- Oczywiście... Ja również będę im pomagać.
- Naprawdę? - ucieszyłem się.

Niby nie widziałem nic dziwnego w tym, że mama chce pracować, ostatecznie w chateau pracowała cały czas, ale jednak w jakiś sposób trochę mnie to zaskoczyło, może dlatego, że w swoich nowych sukienkach w ogóle nie wyglądała na pracującą kobietę. Może chodziło o wyraz zdecydowania, który zastąpił smutną rezygnację, jaka we Francji łagodziła jej rysy. Może tajemnica polegała na tym, że było tak, jakby matka w głębi serca dobrze wiedziała, że chociaż Coyote wyrwał nas ze szponów madame Duval, to jednak w gruncie rzeczy dalej jesteśmy zdani tylko na siebie, Maman i jej mały chevalier, tylko we dwoje, jak zawsze...

W sklepie Matias przywitał nas głębokim, donośnym głosem.

- Pomocnicy, co za radość! Coyote, przybyły posiłki! Wyjąłem z kieszeni spodni zielone pióro, które dostałem od niego zaraz po przyjeździe do Jupiter i wetknąłem je sobie za ucho. Matias uśmiechnął się do mnie, jego duża twarz promieniała entuzjazmem.

- Teraz wyglądasz, jakbyś wychował się tutaj, w Ameryce, wśród Indian - zauważył, wybuchając gromkim śmiechem.

- Gdzie Coyote? - zapytała mama.

- W biurze, zmaga się z jakimiś papierzyskami.

Coyote nienawidził papierkowej roboty, przede wszystkim dlatego, że nie był w stanie długo usiedzieć za biurkiem. Był wolnym duchem i czuł się dużo szczęśliwszy, kiedy mógł rozłożyć skrzydła. Praca biurowa ciążyła mu niczym ołowiana kula, matka zamierzała uwolnić go od tego przykrego obowiązku. Chciała pracować w sklepie, brać udział w zajęciach człowieka, którego kochała. Chciała wiedzieć, na czym polega jego praca i co się z nią wiąże.

Podczas gdy mama rozmawiała z Coyote'em, ja chodziłem za Matiasem po całym sklepie niczym pełen zachwyty szczeniak. Matias opowiedział mi, w jaki sposób zdobywają towary.

- Ściągamy te rzeczy z całego świata, Mischa, z Chile i z Rosji, i ze wszystkich krajów, które leżą między nimi...

- Na pewno dużo podróżujesz - zauważyłem, podnosząc zakrzywiony kiel.

- Mniej niż dawniej - rzekł, splatając ręce na brzuchu. - Dziś nie jest mi łatwo szybko się poruszać, sam widzisz... Kiedyś byłem chudy jak zapalka.

Może nie uwierzysz, ale miałem przydomek flaco, czyli chudzielec. Teraz podróżuje głównie Coyote i trzeba przyznać, że przywozi prawdziwe skarby...

- Cenne?

- Niektóre tak, inne nie - nachylił się do mojego ucha. - Mogę cię jednak zapewnić, że dla klienta wszystko jest cenne, rzadkie, niespotykane, kapujesz?

Kiwnąłem głową.

- Jeśli chcesz pracować w sklepie, w pierwszym rzędzie musisz się nauczyć, że każda rzecz jest bezcenna. Klient wymienia pieniądze na coś naprawdę wyjątkowego. Weźmy tę stopę słonia, na przykład - rzecz jedyna w swoim rodzaju, prawda? Pani Slade nie znajdzie czegoś takiego ani w salonie pani Gardner, ani w żadnym innym salonie w całym stanie New Jersey. To unikat.

- Czy gdzieś w Afryce albo w Indiach jakiś biedny słoń ma tylko trzy stopy? Matias zaśmiał się głośno.

- Raczej nie. Ten słoń tak czy inaczej już nie żyje.

- Do czego może służyć ta noga? Chilijczyk wzruszył potężnymi ramionami.

- Można ją wykorzystać jako kosz na śmieci, może jako stojak na parasole...

- A to? - wskazałem duży kiel.

Matias wziął go ode mnie i przyjrzał mu się badawczo.

- To róg, który kiedyś należał do nosorożca. Ostry, co? Można użyć go jako przedmiotu ozdobnego. To także rzecz jedyna w swoim rodzaju.

- W jaki sposób Coyote je wyszukuje? - wyobraziłem sobie Coyote'a ze strzelbą, polującego na zwierzęta w Afryce i mój podziw dla niego wzrósł jeszcze bardziej.

- Ma swoje metody. Sam nie wiem dokładnie jakie, bo w takich sprawach lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań. Coyote to zagadka, jest bardzo tajemniczy. Nie lubi, żeby ludzie za dużo o nim wiedzieli... - Matias zniżył głos. - Coyote to człowiek-cień, mój drogi. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek naprawdę go znał...

Poza mną, pomyślałem z dumą. Ja znam go lepiej niż wszyscy, lepiej nawet niż moja matka.

Matias oprowadził mnie po sklepie i opowiedział o pochodzeniu niektórych przedmiotów. Ciekawiły mnie prawie wszystkie - „czarodziejski dywan” z Turcji, który według Matiasa kiedyś był latającym dywanem, komplet miniaturowych krzesełek z Anglii, podobno tych samych, które należały do Szalonego Kapelusznika z Alicji w krainie czarów, zbroja, która chyba pasowała na rycerza mojego wzrostu.

- W średniowieczu ludzie nie byli tacy rośli jak teraz - wyjaśnił mi Matias. - Popatrz, tu leży tarcza i miecz od tej zbroi, też niewielkie, prawda? Sam jesteś prawie rycerzem, więc powinieneś wiedzieć takie rzeczy!

Roześmiał się i klepnął mnie w plecy z taką siłą, że o mało nie wpadłem między stojące pod ścianą sprzęty. Na ścianie rozpięta była tkanina z wizerunkiem Bachusa, bożka winorośli i wina, w otoczeniu nimf i jednoroźca na tle cudownie zielonego lasu. Kolory nici były pięknie dobrane, głębokie, chociaż nieco spłowiałe. Matias z dumą postukał palcem w tkaninę.

- Ten gobelin znaleziono we Francji na początku wojny - powiedział.

- Piękny - przyznałem szczerze. Podobny gobelin wisiał w holu chateau.

- Wiesz, co to jest? - Matias powoli rozwinął długą, zszywaną z kawałków ni to pelerynę, ni to narzutę.

Szeroko otworzyłem oczy ze zdziwienia.

- Płaszcz starca z Wirginii! - zawołałem bez tchu.

Matias spojrzał na mnie spod ściągniętych brwi.

- Ten płaszcz jest starszy niż Stany Zjednoczone Ameryki Północnej... - zaczął, lecz zaraz przerwał, bo do sklepu weszła kobieta w średnim wieku z synem. - W czym mogę pomóc? - zagadnął, rozkładając ramiona jak ojciec, który wita powracającą do domu rodzinę.

- Szukam prezentu dla mojej synowej - odparła klientka. Nie wyglądała na szczególnie zachwyconą tym zadaniem.

- Jaka jest pani synowa? - spytał Matias.

- Niech pan zapyta jego, to on się z nią ożenił - kobieta wzruszyła ramionami.

Z piersi młodego mężczyzny wyrwało się ciężkie westchnienie. Był wysoki jak Matias, lecz bardzo szczupły i górował nad matką niczym wątłe drzewo.

- Zamierzają przyjechać do mnie na Święto Dziękczynienia i właśnie wtedy będziemy obchodzić jej urodziny - ciągnęła kobieta. Miała dużą, pulchną twarz, obwisłe policzki i podbródek. - Najlepiej sam opowiedz o swojej żonie, Antonio!

- Jest bardzo kobieca - zaczął syn.

Kobieta prychnęła pogardliwie, ale on postanowił się nie poddawać.

- Lubi ładne przedmioty - ciągnął. - Może moglibyśmy wybrać dla niej coś do domu...

- Mam tu coś naprawdę wyjątkowego - powiedział Matias, ruszając w głąb sklepu. - Proszę chwilę poczekać, zaraz pokażę...

Matka i syn nie zauważyli mnie, bo ukryłem się za nogą słonia. Kobieta ze złością odwróciła się do młodego człowieka.

- Nie dzwonisz, nie piszesz, odwiedzasz mnie tak rzadko, że szkoda gadać! - zasyczała. - Można by pomyśleć, że mieszkacie za granicą, a nie w tym samym stanie, na miłość boską! Ciekawe, co powiedziałyby na to twoja babka, gdyby jeszcze żyła! Staralam się wychować cię w taki sposób, żebyś przede wszystkim cenił sobie rodzinę, ale widzę, że nic z tego nie wyszło!

Antonio próbował ułagodzić matkę, lecz ona tylko wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się, po prostu umrę w samotności, i tyle! - ciągnęła zjadliwym tonem. - Wszystko w porządku, nie martw się!

- Ale przecież...

- Twój ojciec? Nigdy nie ma go w domu! Nie waż się mówić mi o twoim ojcu, Antonio. Twierdzi, że dużo pracuje, ale moim zdaniem ma inną kobietę. Zniosę i to, bo niby co innego mogę zrobić?

Dumnie podniosła głowę i zaczęła głośno oddychać przez nos.

Matias wrócił z antyczną szkatułką pełną buteleczek z pięknie ciętego szkła, z okrągłymi srebrnymi zakrętkami.

- Och, to na pewno jej się spodoba! - Oczy Antonia zabłyśły.

- Ale taka szkatułka to zbyt cenna rzecz jak dla twojej żony! - warknęła jego matka.

- Mamo...

- Po co jej tyle tych buteleczek? Chyba i tak ma dosyć toników i kremów, może nie?

Matias kiwnął na mnie palcem.

- Mischa, przyjrzyj się tej szkatułce - powiedział zachęcająco.

Wyłoniłem się zza słoniowej nogi. Ręce trzymałem w kieszeniach i starałem się sprawiać wrażenie, że byłem czymś bardzo zajęty.

- Co to takiego? - zapytałem, zaglądając do kasetki.

- Kiedyś należała do pewnej damy, która żyła w epoce wiktoriańskiej. Widzisz ten inicjał, duże „W”? Szkatułka była własnością księżnej Wellington. To cudencko, szanowna pani, to prawdziwy antyk dużej wartości, sprowadzony prosto z Anglii...

- Prześliczna rzecz... - Antonio z uznaniem pokiwał głową. - Ile kosztuje?

- I tak jest za droga, Antonio. Należała do księżnej, nie słyszałeś?

- Sprzedam ją pani za dwanaście dolarów, jeśli tylko obdarzy mnie pani uśmiechem. - Matias uśmiechnął się szeroko do zgorzkniałej, nieznośnej kobiety.

- Niby dlaczego miałabym się uśmiechać? - spytała ponuro. - Prawie nigdy nie widuję syna. Gdybym wiedziała, że pisana jest mi śmierć w samotności, na

pewno nie męczyłabym się dwadzieścia cztery godziny, żeby wydać go na świat!

- Ależ, mamoo...

- Kochasz swoją matkę? - zwróciła się do mnie.

- Tak - odparłem.

- Więc nie zapomnij o niej, tak jak Antonio zapomniał o mnie, kiedy się zakochał! Nie zapomnij swojej starej matki, chłopcze, zawsze pamiętaj, że to ona dała ci życie!

Antonio posłał mi przepaszający uśmiech.

- Naprawdę sprzeda mi pan tę szkatułkę za dwanaście dolarów? - Kobieta odwróciła się do Matiasa.

- Tak jest, to wyjątkowo niska cena, specjalnie dla pani.

- Załatwione! - Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu. - Miło jest dotknąć czegoś, co należało do księżnej! - Roześmiała się, nieoczekiwanie pogodnie i dźwięcznie. - Możesz powiedzieć swojej żonie, że kasetkę trzymała na toaletce dama królewskiego rodu, Antonio! To na pewno bardzo jej się spodoba!

- I na pewno polubi panią za taki wspaniały prezent - rzekł Matias.

- Gdyby przyszła tu drobna kobietka o ostrych rysach i jasnych włosach, proszę powiedzieć jej, że ja chętnie dostałabym w prezencie tego chłopca! - oświadczyła matka Antonia żartobliwym tonem.

Matias roześmiał się serdecznie, lecz ja trochę się przestraszyłem.

- Jeżeli zaproponuje mi odpowiednią cenę, może go sprzedam, kto wie... - Matias poklepał mnie po plecach.

Kobieta pochyliła się i uszczypnęła mnie w policzek, oczywiście za mocno.

- Byłbyś dla mnie za dobry - powiedziała. - 1 za drogi. Jesteś wart tyle złota, ile ważysz, wiesz? Na dodatek masz ładne rysy... Antonio nigdy nie był ładny, nawet jako całkiem małe dziecko. Cóż, wszyscy musimy cieszyć się tym, co dostajemy od dobrego Boga, prawda? Policzek bolał mnie jeszcze przez godzinę po jej wyjściu.

- Twój pierwszy klienci! - zauważył Matias ze śmiechem. — Na szczęście z pewnością nie ostatni...

- Jej syn prawie nic nie mówił!

- Zwykle tak bywa. Ci biedni Włosi najczęściej są kompletnie zdominowani przez tyranizujące ich matki, które widzą w synowych rywalki. Sporo bym dał, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądał ich świąteczny obiad...

- Czy ta szkatułka z buteleczkami naprawdę należała do angielskiej księżnej?

- Oczywiście - odrzekł Matias, lecz jego oczy zabłyśły łobuzersko.

- Dlaczego nie sprzedałeś jej drożej?

- Bo wszystko jest względne. To, co jednemu człowiekowi wydaje się bardzo wysoką ceną, dla innego jest ceną okazijną...

- Tak czy inaczej, uśmiechnęła się, kiedy podałeś cenę.

- Si, señor, naprawdę się uśmiechnęła. Dam głowę, że pod materacem ma ukryte grube tysiące. Znam ten typ.

- Myślisz, że jej synowa rzeczywiście tu przyjdzie? - zapytałem.

Matias roześmiał się, widząc niepokój na mojej twarzy.

- Musisz nauczyć się żartować, Miguelito - powiedział łagodnie.

Skąd mógł wiedzieć, że tego rodzaju groźby w chdteau nigdy nie były wypowiedane żartem.

Zostawiłem Matiasa i wyruszyłem na poszukiwanie mamy i Coyote'a. Przemknąłem przez sklep na palcach, starając się poruszać lekko i sprężyć się jak pantera. Nie otworzyłem drzwi biura, lecz ostrożnie zajrzałem przez okienko do środka. Moja matka siedziała na kolanach Coyote'a. Całowali się. Stałem tak dłuższy czas i obserwowałem ich. Miałem dziwne uczucie déjà vu - wróciłem myślami do dnia, kiedy razem z Pistou podglądałem Jacques'a Reynarda i Yvette w altanie na wzgórzu. Dłoń Coyote'a wędrowała po udzie mamy, potem wsunęła się pod spódnicę. Śmiali się między pocałunkami i nie ulegało wątpliwości, że naprawdę się pogodzili. Pierścionek z brylantem połyskiwał na palcu mamy. Na głowie wciąż miała malutki kapelusz, jej zielony sweter był porządnie zapięty, pod szyją widać było sznurek pereł. Palce Coyote'a bawiły się podwiązką. Na jego kolanach wyglądała bardzo delikatnie, zupełnie jak mała dziewczynka, chociaż w ich pocałunkach nie było nic niewinnego. Przyglądałem się im, zafascynowany tajemnicami świata dorosłych, lecz w końcu przestraszyłem się, że ktoś - Matias albo, co gorsza, mama - przyłapie mnie na podglądaniu i wycofałem się do sklepu, aby pomóc w obsłudze właśnie przybyłej dużej grupy klientów.

Moje życie w Jupiter kwitło. Przyzwyczałem się do nowej skóry, która leżała na mnie jak ulał. Byłem szczęśliwy, że jestem sobą. Święto Dziękczynienia obchodziliśmy z Matiasem oraz jego żoną Marią Eleną. Na stole pysznił się wielki pieczony indyk, którego Coyote podobno sam zabił, w każdym razie tak utrzymywał. Siedziałem nad talerzem z pysznym jedzeniem i czułem, że stanowią część rodziny, najprawdziwszej rodziny.

- Chcesz wiedzieć, skąd wzięło się Święto Dziękczynienia, Juniorze? - zapytał Coyote, pociągając łyk ciepłego czerwonego wina.

Skinąłem głową. Pragnąłem dowiedzieć się jak najwięcej o tym wspaniałym kraju, który teraz uważałem już za własny.

- W północno-wschodniej części Ameryki mieszkało wiele rdzennych indiańskich plemion, które od tysięcy lat uprawiały tu ziemię, polowały i łowiły ryby. W szesnastym wieku przyплыnęli osadnicy z Europy, którzy wymordowali większość tych biedaków. Indianie, którzy nie zginęli w walce, umierali na przywleczone przez białych choroby. Wielu pierwszych osadników było purytanami - pierwsza grupa przybiła do brzegu na pokładzie sławnego statku „Mayfloyjer”, o czym na pewno już wiesz. Byli to Anglicy prześladowani z powodu religii i zdeterminowani stworzyć w Ameryce nowy wspaniały świat. Świeżo odkryte ziemie nazwali nową Anglią. Wszyscy Amerykanie obchodzą Święto Dziękczynienia na pamiątkę dnia, w którym Anglicy obchodzili pierwszą rocznicę swojego przybycia do Nowej Anglii i świętowali obfite zbiory... - Coyote przerwał na chwilę, żeby napić się wina i z czułością popatrzył na moją matkę. - Wznoszę toast za nowych osadników, nowych obywateli wspaniałego nowego świata... Uciekli z Francji i szczęśliwie przybyli tutaj. Życzymy im zdrowia, szczęścia i pełnego wykorzystania możliwości, jakie daje ten kraj. Bo Ameryka jest dla mnie krainą nieskończonych możliwości, moi drodzy.

Nie było sposobu, aby uniknąć udziału w godzinnej audycji Gray Thistlewaite w lokalnym radiu Jeszcze jedna prawdziwa historia. Na początku mama odmówiła. Uważała, że rzeczą poniżej jej godności byłoby opowiadanie o swoim życiu rzeszom obcych ludzi. Bardzo ceniła swoją prywatność, fakt, że ci obcy praktycznie nic o niej nie wiedzieli. Kochała anonimowość, ponieważ jeszcze do niedawna nie mogła cieszyć się tym luksusem, lecz szybko się okazało, że Gray Thistlewaite nie należy do osób, którym się odmawia. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie dobrodusznej, łagodnej babci - niska, drobna, ze szpakowatymi włosami, zebranymi w gładki koczek; szeroką, ładną twarz, jasno-błękitne oczy o odcieniu pogodnego jesiennego nieba nad Jupiter, pełne, różowe wargi i jasną skórę, którą pielęgnowała pudrem o zapachu konwalii. Cechą, która zdradzała niezłomną wolę, była dość mocno wysunięta do przodu szczęka, odrobinę zbyt ostro zarysowana w tak łagodnej twarzy. Gray nie była także osobą, którą można bezkarnie obrażać. Na lekceważenie czy arogancję reagowała jeszcze silniejszym wysunięciem dolnej szczęki i lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu, które sprawiało, że ten, kto zachował się nieuprzejmie wobec niej, czuł się malutki jak mrówka.

Kiedy Gray wpadła na jakiś pomysł, nic nie mogło jej od niego odwieść. Był początek grudnia, przyjechaliśmy do Jupiter przed prawie trzema miesiącami i Gray od pewnego czasu miała nas na celowniku. Nie mogliśmy jej odmówić, byłoby to najzwyczajniej w świecie niegrzeczne.

Coyote rozumiał sytuację mamy i był na tyle mądry, że do niczego jej nie namawiał. Raz był już świadkiem jej gwałtownej reakcji i nie śpieszyło mu się, aby powtórzyć to doświadczenie. Do tej pory jemu samemu także udało się uniknąć udziału w audycji Gray i chciał, aby tak pozostało, więc w gruncie rzeczy opcja była tylko jedna - ja musiałem zmierzyć się z tym trudnym zadaniem. Byłem zachwycony tą perspektywą. Yvette zawsze słuchała radia we Francji, więc teraz bardzo ekscytowała mnie myśl, że sam wystąpię w audycji radiowej i że słuchać będą mnie setki ludzi.

- Gray chce się tylko dowiedzieć, jak podoba ci się w Jupiter - powiedziała mama, wygładzając moją koszulę. - Możesz opowiedzieć o chateau, o winobranii i winie, a także o Jacques'u Reynardzie i Joy Springtoe, oczywiście jeśli chcesz...

- Nie wydaje ci się, że powinnaś powiedzieć mu, o czym ma nie mówić? - zapytał Coyote.

- Nie - odparła spokojnie. - On sam wie, czego nie mówić, prawda, Mischa? Miała rację, wiedziałem. Istniały rzeczy, o których nigdy nie rozmawialiśmy, nawet tylko we dwoje, sprawy, o których pragnęliśmy zapomnieć. Moją matkę i mnie łączył milczący pakt.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu? - spytała, lekko marszcząc brwi. Może czuła się winna, że mam wystąpić w radiu zamiast niej.

- Na pewno - odparłem.

Nerwowo przestępowałem z nogi na nogę, żeby tylko nie próbowała mnie zatrzymać. Nie miała pojęcia, jakie znaczenie miał dla mnie występ w audycji.

- Chcę tam iść - oświadczyłem z naciskiem.

- Więc idź - powiedział Coyote. - Tylko pamiętaj, żebyś zawsze miał szpadę w pogotowiu, tak na wszelki wypadek...

Dom Gray Thistlewaite był nieduży i schludny, właśnie taki, jaki powinien być domek babci. Panowała w nim miła atmosfera, w kominku płonął ogień, na stolikach i szafkach stały oprawione w ozdobne srebrne ramki fotografie synów pani domu w mundurach oraz uśmiechniętych dzieci, pewnie wnuków. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające statki, a także sceny z polowania na lisa na tle typowo angielskich krajobrazów. Nie było tu chyba ani kawałka powierzchni, na którym nie wyeksponowano by jakiejś pamiątki o wartości sentymentalnej, na przykład emaliowanego pudełeczka, bukietu zasuszonych kwiatów, porcelanowej laleczki czy figurynek ze szkła. Powietrze pachniało drewnem i konwaliami, ukochanym zapachem Gray. Pod jedną ścianą stał regał pełen książek. Na okrągłym stoliku w kącie między dwoma oknami z koronkowymi firankami spoczywała czarna skrzynka i mikrofony - narzędzia działania powołanej przez Gray do życia stacji radiowej.

Zgodnie z ustaleniami na miejsce zaprowadziła mnie Maria Elena, żona Matiasa, nie mama ani Coyote, by uniknąć sytuacji, w której Gray mogłaby próbować namówić ich na udział w programie. Maria Elena została więc zaproszona na filiżankę herbaty i usiadła na niebieskiej kanapie w kwiatowy wzór, natomiast ja poszedłem za Gray do stolika między oknami.

- Siadaj, Mischa. - Gospodyni przysunęła drugie krzesło dla mnie. - To jest moja skromna stacja radiowa. Nie wygląda zbyt imponująco, ale poprzez nią komunikuję się z mieszkańcami Jupiter i daję dużo przyjemności starszym ludziom, którzy nie mogą już wychodzić z domów...

Najwyraźniej sama wcale się nie uważała za starszą osobę. Przyglądałem się, jak siada i wygląda tweedową spódnicę i białą bluzkę. Włożyła małe okulary w srebrnych oprawkach, które nosiła na łańcuszku, pociągnęła nosem i lekko postukała w mikrofon.

- Mischa, zanim zaczniemy, chciałabym prosić cię, żebyś po prostu był sobą - powiedziała. - Nie denerwuj się, słuchacze są naszymi przyjaciółmi. Chcą usłyszeć twoją historię, podobnie jak ja, i to wszystko. Szkoda, że nie mogą zobaczyć, jaki jesteś przystojny, ale postaram się dokładnie cię opisać. Teraz włóż słuchawki... - podała mi parę dużych czarnych słuchawek, które włożyłem na uszy i ustawiła tuż przede mną mikrofon na stojaczkę. - Słyszysz mnie? - spytała.

Kiwnąłem głową.

- Nie, mój drogi, musisz coś do mnie powiedzieć...

- Słyszę panią - odparłem posłusznie.

- Doskonale! - Gray spojrzała na duży zegar na stole. - Zacznę za parę minut. Przed wywiadem z tobą mam do przekazania kilka informacji, więc bądź cierpliwy, dobrze?

Serce biło mi coraz szybciej, dygotałem z tremy. Maria Elena uśmiechnęła się uspokajająco. Siedzieliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na zegar. Dłuższa wskazówka poruszała się strasznie wolno... W końcu Gray wcisnęła guzik w tajemniczej czarnej skrzynce i zaczęła mówić cichym głosem, prawie szeptem.

- Witajcie, mieszkańcy Jupiter! Witam was w moim programie. Ewentualnych nowych słuchaczy informuję, że ta audycja nosi tytuł Jeszcze jedna prawdziwa historia, a ja nazywam się Gray Thistlewaite i odwiedzam was w waszych domach, w waszych kuchniach i salonach, by w miarę moich skromnych możliwości uprzyjemnić wam codzienne życie. Mamy dzisiaj bardzo interesującego gościa. Jest czarujący i przystojny, ale zanim go przedstawię, chciałabym podzielić się z wami kilkoma wiadomościami. Hilary Winter wydaje małe przedświąteczne przyjęcie w swoim sklepie „Toad Hall” przy Main Street, w czwartek wieczorem o szóstej - wszyscy są zaproszeni. Zjrzyj tam Święty Mikołaj, co na pewno spodoba się dzieciom - wypatrujcie go, żeby przedstawić mu prośby o gwiazdkowe prezenty. Deborze i Johnowi Trichettom urodził się synek, który będzie nosił imię Huckelberry - proszę, nie wysyłajcie kwiatów, ponieważ Debora jest alergiczką, a chyba nie chcemy, żeby bez przerwy kichała nad malutkim przybyszem, prawda? Ubranka i zabawki mile widziane, Hilary Winter ma duży wybór nowych, prześlicznych kocyków, czapeczek i rękawiczek w pięknych odcieniach błękitu, wprost idealnych dla małego chłopczyka. Hazel, suczka Margaret Gilligan, ma cieczkę, więc prosimy pilnować psów. Margaret nie życzy sobie następnego miotu kundelków. Stanford Johnson sprzedaje już choinki na Mapie Farm. Kto pierwszy, ten lepszy - pośpieszcie się, bo pewnie szybko się skończą, a w okresie świątecznym nikt nie powinien być narażony na rozczarowanie, to

niezdrowe. Nie zapomnijcie wpaść do „Sklepu z Różnościami Kapitana Crumble'a" - każdy znajdzie tam wymarzone prezenty dla swoich bliskich. A skoro mówimy o „Sklepie z Różnościami", to chciałabym skorzystać z okazji i przedstawić wam pasierba Coyote'a, Mischę Fontaine'a. Mischa jest tutaj ze mną i chętnie z nami porozmawia. Witaj, Mischa...

- Dzień dobry, madame... - odparłem, nie bardzo wiedząc, jak się do niej zwracać.

- Mów mi po imieniu, wszyscy tak robią - powiedziała z uśmiechem. - Jak podoba ci się Jupiter?

- Bardzo! - odrzekłem z entuzjazmem.

- Miło nam to słyszeć, prawda? My także bardzo lubimy nasze miasto. Powiedz teraz słuchaczom, ile masz lat...

- Niedawno skończyłem siedem.

- Siedem, więc już nie jesteś taki młody i starzejesz się z każdą chwilą... Jak na Francuza, doskonale mówisz po angielsku, Mischa.

- Mój dziadek był Irlandczykiem.

- A jeden z moich prapradziadków należał do pierwszej grupy Anglików, którzy tutaj się osiedlili, wiesz? Był lordem.

- Przypłynął na „Mayflower"? - zapytałem.

Gray uniosła brwi, mile zaskoczona moim zasobem wiedzy.

- Tak jest, mój drogi, rzeczywiście przypłynął do Ameryki na pokładzie „Mayflower" ... - roześmiała się, jej oczy zabłyśły.

Poczułem, że ją lubię, usiadłem wygodniej i rozluźniłem się.

- Opowiedz nam, jak wyglądało twoje życie we Francji - poprosiła gospodyni programu.

- Mieszkaliśmy w chateau, w małym miasteczku Mauriac.

- Może nie wszyscy słuchacze wiedzą, że chateau to zamek, prawda?

- Raczej duży dom - sprostowałem.

- Wspaniale! Na pewno wszyscy jesteśmy dumni, że mamy w Jupiter najprawdziwszego francuskiego arystokratę. Opowiedz nam o chateau, Mischa...

- Była tam winnica. Raz w roku zbieraliśmy winogrona i robiliśmy wino.

- Założę się, że było doskonale!

- Wychowałem się na tym winie - powiedziałem, ponieważ pamiętałem wybuch wesołości, jaki ta uwaga wywołała u pani Slade.

Gray Thistlewaite także się roześmiała i z rozbawieniem potrząsnęła głową. Czułem się już dużo pewniej niż na początku wywiadu.

- Tęsknisz za Francją?

- Nie myślę o tym zbyt często, bo mam tu mnóstwo zajęć. Tęsknię za winnicą, rzeką i moją przyjaciółką Claudine, może też trochę za altaną na szczycie wzgórza, z której roztacza się piękny widok na całą dolinę, zwłaszcza o zachodzie słońca... Widziałem kiedyś jak Yvette i Jacques Reynard całowali się w tej altanie.

- Yvette i Jacques Reynard? Kto to taki?

- Jacques zarządza winnicą, a Yvette jest kucharką. Są w sobie zakochani.

- We Francji nie można narzekać na brak miłości, prawda? Powiedz mi, jak twoja mama poznała Coyote'a.

- Coyote przyjechał do Mauriac z gitarą i swoimi czarami, i mama po prostu się w nim zakochała...

Zaczerwieniłem się. Miałem nadzieję, że matka nie uzna tych słów za niedyskrecję.

- Coyote jest czarodziejem?

- Och, tak!

- Skąd wiesz?

- Wiem i już - oświadczyłem, nie chcąc zdradzić przyjaciela.

- Musisz nam powiedzieć! Coyote jest jednym z najbardziej lubianych i popularnych mieszkańców Jupiter, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jest także czarodziejem...

- Ma wyjątkowy dar.

- Naprawdę? - Gray uniosła brwi. - Jaki?

- No... - zawahałem się.

- No? - powtórzyła pytająco, wysuwając do przodu szczękę. - Czekamy, Mischa...

- Oddał mi mój głos.

- Straciłeś głos? - spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Nie mówiłem. Gray ściągnęła brwi.

- Nie mówiłeś? Byłeś niemową?

- Tak. Coyote przyjechał do chateau i sprawił, że odzyskałem głos.

- Niesamowite! Jak tego dokonał?

- Powiedział mi, że z czasem na pewno odzyskam głos i tak się stało...

Widziałem, że Gray nie jest przekonana, czy może mi wierzyć.

- Tak po prostu? - spytała.

- Tak po prostu. Stąd wiem, że Coyote jest czarodziejem. Kusilo mnie, żeby opowiedzieć jej o Pistou, ale zrezygnowałem. Skoro nie uwierzyła, że Coyote jest czarodziejem, to tym bardziej nie uwierzy w istnienie Pistou, pomyślałem.

Podejrzewałem, że Gray nie uwierzyłaby także w to, że wiatr przynosi zmiany, chociaż sama była babcią.

- Wszyscy w Mauriac uznali to za cud. I może faktycznie był to cud, ale ja nie jestem świętym. Maman uważa, że to Bóg oddał mi głos, lecz tak naprawdę zawdzięczam to Coyote'owi. Coyote użył czarów.

- Opowiedz nam o ślubie - powiedziała, zmieniając temat.

- Odbył się w Paryżu... - zacząłem.

Wiedziałem, że wkraczam na grząski grunt. Przypomniałem sobie o szpadzie i w myślach trochę wyciągnąłem ją z pochwy, tak na wszelki wypadek.

- Jak romantycznie... - uśmiechnęła się do mnie serdecznie. - Założę się, że byłeś drużbą!

- Właściwie to nie wiem... - lekko zmarszczyłem brwi. Nie byłem pewny, o co jej chodzi, bo przecież nigdy nie byłem na żadnym ślubie.

- Ale w gruncie rzeczy to bez znaczenia - podjąłem. - Tego dnia główną rolę i tak grali Coyote i moja mama...

Gray roześmiała się miło. Zawtórowałem jej, zadowolony, że znowu udało mi się ją rozbawić.

- Powiedz mi, co stało się z twoim ojcem...

- Zginął na wojnie - odparłem.

- Tak mi przykro... - wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni.

- Mnie także. Na pewno polubiłby Coyote'a...

W swojej dziecięcej niewinności nie bardzo zdawałem sobie sprawę, jak można odczytać moje słowa.

- Na pewno! - przytaknęła Gray ze śmiechem. - Nie wiem, czy przypadkiem trochę się ze mną nie droczyłeś, ale rozmowa z tobą była dla mnie wielką przyjemnością. Może zgodzisz się jeszcze raz wziąć udział w mojej audycji?

- Oczywiście - odparłem szczerze.

- Słuchajcie, moi drodzy, nikt z nas nie jest za stary ani za cyniczny, aby uwierzyć w magię. Dobrze jest mieć żywą wyobraźnię, bo ten dar pozwala nam uszczęśliwiać nie tylko siebie, ale i innych. Teraz dopilnuję, żeby Mischa wsiadł na swój czarodziejski dywan i poleciał do „Sklepu z Różnościami Kapitana Crumble'a", do swego ojczyma Coyote'a. Jeśli ktoś z was chce doprawić swoje życie szczyptą magii, wiecie, gdzie jej szukać, prawda? I nie zapomnijcie, gdzie się tego dowiedzieliście! Mówiła Gray Thistlewaite, która zawsze bardzo się stara uprzyjemnić waszą codzienność... Dziękuję wam za uwagę.

Maria Elena zabrała mnie na lody. Lubiłem ją - była serdeczna, miła i łagodna, i mówiła z akcentem, który miał w sobie posmak egzotycznych krajów.

- Świetnie sobie poradziłeś - powiedziała, patrząc na mnie z prawie macierzyńską dumą. - Gray nie wierzy w magię, ale ja tak. Uważam, że każdy nosi ją w sobie, ty także, masz jej więcej, niż przypuszczasz...

- Coyote jest prawdziwym czarodziejem - oświadczyłem z przekonaniem.

- Wszystkie dzieci są czarodziejami, a Coyote to po prostu duży chłopiec.

- Widział Pistou, chociaż nie chce się do tego przyznać... - wyznałem.

Nigdy nie dzieliłem się z nikim tą myślą.

- Kto to jest Pistou?

Zrobiło mi się wstyd, że w ogóle o nim wspomniałem, ale skoro już zacząłem, nie mogłem się wycofać.

- Mój przyjaciel. Nie widzi go nikt poza mną. Mieszka w chateau. Nie zdążyłem pożegnać się z nim przed wyjazdem...

- I Coyote go widział?

Maria Elena nie zbyła mnie pełnym niedowierzania uśmiechem, ale utkwiała w mojej twarzy poważne, wyczekujące spojrzenie.

- Tak. Wiem, że naprawdę go widział.

- Na pewno masz rację... Nie martw się, że nie zdążyłeś pożegnać się z Pistou, twój przyjaciel rozumie, dlaczego tak się stało.

- Tak myślisz?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. - Delikatnie przesunęła palcami po moim policzku. - Duchy rozumieją świat znacznie lepiej niż my.

Nie miałem pojęcia, o co jej chodziło. Pistou nie był przecież duchem, tylko chłopcem, który żył w świecie czarów.

- Któregoś dnia wrócę do Mauriac i zobaczę się z nim, prawda? - spytałem.

- Oczywiście! Do Francji można w każdej chwili dostać się samolotem, podobnie jak do Chile. Tęsknię za moim krajem tak samo jak ty za Francją, dlatego często powtarzam sobie, że zawsze mogę tam wrócić. Pistou będzie na ciebie czekał, możesz mi wierzyć.

Po wywiadzie, który przeprowadziła ze mną Gray Thistlewaite, wszyscy chcieli się dowiedzieć czegoś więcej o tym, jak w cudowny sposób odzyskałem głos. Coyote wruszał ramionami, kiedy ludzie wypytywali go o czarodziejskie umiejętności, i mówił, że mali chłopcy miewają zbyt żywą wyobraźnię, ale ja wiedziałem swoje. Coyote był czarodziejem, chociaż za nic nie chciał się do tego przyznać. On także zdawał sobie z tego sprawę, bo czasami uśmiechał się do mnie porozumiewawczo, z łobuzerskim błyskiem w oku. Mama była

zadowolona z mojego występu, chociaż oczywiście jeszcze tego samego dnia wytłumaczyła mi, na czym polega rola drużby. Niepokoilo ją, że kłamie ze względu na nią i Coyote'a.

- Nie powinieneś mówić o naszym „małżeństwie”, jeśli przy okazji musisz mijać się z prawdą - powiedziała zdecydowanym tonem.

Tak czy inaczej, po pewnym czasie nie miało to już znaczenia, bo mieszkańcy Jupiter przestali zadawać pytania dotyczące ślubu. Jeśli o nich chodziło, moja matka i Coyote pobrali się w Paryżu - nikt w to nie wątpił. Dużo bardziej interesowali się mną. Nie zamierzałem przywozić swoich kłamstw z Francji do Ameryki, naprawdę chciałem zacząć wszystko od nowa, z czystym kontem, ale po wywiadzie nic już nie mogłem na to poradzić. W przeciwieństwie do Mauriac, tutaj nikt nie uważał mnie za świętego. Ludzie uśmiechali się wyrozumiale, kręcili głowami i zachwycali się niezwykle żywą wyobraźnią małego chłopca, który stracił ojca w czasie wojny, potem zaś został wyrwany z korzeniami z miejsca, gdzie się wychowywał, i wywieziony do obcego kraju. Mieszkańcy Jupiter traktowali mnie z ogromną serdecznością, ale mi nie wierzyli.

- Taki ładny chłopiec! - powtarzali, jakby to wszystko wyjaśniało.

Wierzyły mi tylko dzieci, dlatego często opowiadałem im o swojej wizji, kiedy w czasie przerwy wybiegaliśmy na boisko.

Pierwszy rok w Jupiter był najszcześniejszym w moim dotychczasowym życiu, a już z pewnością tym, który najlepiej zapamiętałem. Kiedy sklep przynosił dochody, często chodziliśmy we troje do kina. Oglądaliśmy film, zjadaliśmy kolację w restauracji, czasem spędzaliśmy cały dzień na plaży. Coyote jednego dnia był bogaty, a następnego nie miał złamanego grosza przy duszy.

- Żyję z dnia na dzień - powiedział kiedyś, wicherząc mi włosy. - Kiedy będziesz starszy, zrozumiesz, co mam na myśli...

Dużo podróżował, bardzo często nie było go w domu. Brakowało mi go, ale nasz domek był tak przytulny i wesoły, że tęsknota wydawała się w nim do zniesienia. Mnóstwo czasu spędzałem u Matiasa i Marii Eleny, którzy stali się dla mnie drugimi rodzicami. Rozpieszczali mnie bezwstydnie, kupując mi zabawki i gry, dużo ze mną rozmawiali i śmiali się. Z czasem zyskałem niezachwiane poczucie, że kochają mnie i rozumieją. Maria Elena czytywała mi wiersze oraz opowieści o czarach i tajemnicach, które wręcz uwielbiałem. Siadałem tuż obok niej, oddychałem ciepłym, korzennym zapachem jej skóry i delectowałem się miłością drugiej kobiety w moim życiu.

Nauczyłem się dobrze grać na gitarze i zacząłem komponować własne piosenki. Stworzyłem grupę z kilkoma kolegami ze szkoły i po lekcjach często wspólnie muzykowaliśmy. Joe Lampton grał na saksofonie, Frank Mullet na perkusji, a Solly Halpstein na fortepianie. Spotykaliśmy się u Joego, ponieważ jego matka miała fortepian. Nie szło nam zbyt dobrze, szczerze mówiąc, byliśmy fatalnym zespołem, ale czuliśmy, że komponujemy muzykę i niewątpliwie było to lepsze niż włóczenie się po mieście w deszczu czy śniegu.

Mama prowadziła księgowość „Sklepu z Różnościami”, a Maria Elena została jej najbliższą przyjaciółką. Ona i Matias często przychodzili do nas na kolację albo my wybieraliśmy się do nich. Czasami zasypiałem w ich domu i wtedy Coyote wynosił mnie do samochodu, a potem wnosił do mojego pokoju. Maria Elena, Matias, Coyote i mama robili wszystko razem, a ja im towarzyszyłem. Matias i Maria Elena nie mieli dzieci. Czasami zastanawiałem się, czy może przeżyli taką tragedię jak Daphne Halifax, wiedziałem jednak, że nie należy ich o to pytać.

Latem do Jupiter ściągali turyści. Małe kawiarenki i pensjonaty wibrowały gwarem, na plaży przelewały się tłumy, sklepy pękały w szwach od klientów. Zakochane pary spacerowały po molo, dzieci bawiły się w piasku, psy z histerycznym ujadaniem wbiegały do wody i wszyscy byli szczęśliwi. Coyote pojawiał się i znikał, napełniając nas miłością i radością, i zawsze przywoził ze swoich wypraw niezwykle rzeczy. Opowiadał nam o ludziach, których spotkał, i miejscach, które odwiedził, ja jednak nadal najbardziej lubiłem historie o Starcu z Wirginii i mogłem słuchać ich w nieskończoność. Zdarzało się, że wracał z brodą, kiedy indziej gładko ogolony i elegancki, w wyczyszczonych do połysku butach i świeżo wyprasowanym garniturze. Czasami wielodniowy, gęsty zarost na jego twarzy przypominał rżysko wczesną jesienią, czasami policzki miał gładkie jak zamsz. Niezależnie od tego, w jakim wracał stanie, zawsze przywoził nam podarunki, nigdy nie zjawiał się z pustymi rękami. Niekiedy wyjmował z torby piękny materiał dla mamy, która znowu zaczęła szyć sobie sukienki, i zabawki dla mnie, kiedy indziej buty, biżuterię, jakąś szkatułkę czy książkę. Mama przyjmowała te prezenty z wielkim zadowoleniem i potrafiła okazać, że sprawiają jej radość.

Zauważyłem, że łączące ich uczucie rosło, podobnie jak korzenie drzewa, które coraz mocniej osiadają w ziemi, w miarę jak gałęzie wyciągają się coraz wyżej ku niebu. Ich miłość była widoczna w spojrzeniach i uśmiechach, które wymieniali, w sposobie, w jaki niby przypadkiem ocierali się o siebie lub z czułością dotykali. Twarz Coyote'a zmieniała się całkowicie, kiedy mama wchodziła do pokoju - rozświeślała się radością, tak jak czerwone jedwabne

lampiony, które przywiózł z Chin, zaczynały sączyć blask, gdy włożyło się do nich oliwną lampkę lub świecę. Nie odrywał od niej pełnych miłości oczu, a jego wargi w jakiś niewytłumaczalny sposób stawały się bardziej zmysłowe niż zwykle. Mama flirtowała z nim i przybierała wdzięczne pozy, zupełnie jakby w każdej sytuacji czuła na sobie jego wzrok i była w pełni świadoma jego zachwyty.

Gdy wyruszał w podróż, zwykle kładła na stole talerz dla niego, od dnia wyjazdu do powrotu. Coyote nigdy nie uprzedzał, kiedy wróci. Mama ciężko pracowała w sklepie, żeby ciągle o nim nie myśleć, lecz wieczorami siadywała przy oknie i wpatrywała się w gwiazdy, tak jak robiła to w naszym pokoju nad stajnią, zupełnie jakby miała nadzieję, że jasne, błyszczące punkciki mogą sprawić, by wrócił do domu. Kiedy o nim mówiła, a robiła to ciągle, jej twarz oblewał różowy blask miłości, a gdy w końcu stawał w drzwiach, padała mu w objęcia, obsypywała pocałunkami i zupełnie zapominała, że ja jestem obok i patrzę na nich. Po chwili Coyote podchodził do mnie i chwycił mnie w ramiona.

- Co porabiałeś, Juniorze? - pytał, wtulając twarz w moją szyję. - Tęskniłeś za mną?

Wcześniej szli do łóżka, a ja przez ścianę słyszałem ich śmiech. Och, oczywiście czasami kłócili się do upadłego.

Niektóre z przedstawianych przez Coyote'a rachunków doprowadzały mamę do ataków furii - krzyczała wtedy na niego i tupała, potrząsając rozsypanymi włosami. Zawsze bardzo szybko się godzili. Coyote ze wszystkich sił się starał, żeby nigdy więcej nie zamknęła się przed nim, tak jak zrobiła to tamtego dnia, gdy dowiedziała się o „ślubie”. Byliśmy bardzo szczęśliwi, i oni, i ja, dopóki pewnego dnia zupełnie niespodziewane wydarzenie nie zniszczyło naszej małej rodziny.

Wszystko zaczęło się jesienią 1951 roku. Może symboliczne było to, że decydujące wydarzenie miało miejsce w przeddzień moich dziesiątych urodzin, a więc niejako zapowiedziało koniec mojego dzieciństwa. Kiedy dziś patrzę wstecz, potrafię dokładnie przypomnieć sobie tamten wieczór i mogę powiedzieć: Tak, tamte godziny odmieniły mnie raz na zawsze. Wydarzenia 1944 roku wywarły ogromny wpływ na moją psychikę, ale jakoś zdołałem się z tym uporać. Z pomocą Coyote'a zniszczyłem klatkę, która mnie więziła, lecz tym razem mojego przyjaciela zabrakło w chwilach, gdy najbardziej go potrzebowałem.

Mama była przyjemnie podekscytowana. Maria Elena zaprosiła nas na kolację i uparła się, że upiecze dla mnie tort. Mama była bardzo zajęta w sklepie i nie miała czasu myśleć o zorganizowaniu przyjęcia. Lato, które dobiegło już końca, przyniosło mnóstwo zajęć dla nas wszystkich. Na molo dosłownie roiło się od turystów, na plaży nie można było znaleźć wolnego miejsca, a popołudniami wszyscy urlopowicze ruszali na zakupy. Przez całe wakacje pomagałem w sklepie? lecz teraz w miasteczku zapanował już spokój. Turyści wyjechali, plaża opustoszała, zaczęła się szkoła. W Jupiter zostali tylko miejscowi. W czasie letnich miesięcy poznałem chyba cały asortyment towaru, jakim dysponowaliśmy, i stałem się niemal kompetentnym sprzedawcą. Bardzo mi się to podobało. Przerzucałem się żarcikami z Matiasem, często pokpiwaliśmy z klientów, oczywiście za ich plecami. Czułem się jak członek zespołu, nie jak mały chłopiec, który nieśmiało czeka, aż dorośli dopuszczą go do swego grona, zresztą wszyscy moi bliscy traktowali mnie jak równego sobie. Wieczorami, po zamknięciu sklepu, Coyote brał gitarę, a my siadaliśmy dookoła niego na trawie, w cieniu dużego klonu i śpiewaliśmy stare kowbojskie piosenki. Gdy poszło nam wyjątkowo dobrze, dostawałem nawet czasami małą szklaneczkę czerwonego wina. Jeżeli miałem szczęście, Coyote opowiadał mi o Starcu z Wirginii.

Zawsze bardzo lubiłem swoje urodziny, wyjątkowy dzień, który należy wyłącznie do mnie. Gdy wytężam pamięć, zamykam oczy i dokonuję przeglądu najdawniejszych wspomnień, przypominam sobie moje trzecie urodziny, obchodzone w chateau. Ojca nie było, ale nie wydaje mi się, abym wtedy cierpiał z tego powodu. Nie pamiętam też, czy mama była nieszczęśliwa. Byłem za mały, by zwracać uwagę na cokolwiek poza tortem w kształcie samolotu, który mama jakimś cudem upiekła, i na twarze gości, czekających, aż

zdmuchnę trzy świece. Pamiętam jednak poczucie ważności, jakie dało mi przyjęcie wydane na moją cześć i kojący zapach wanilii.

Kamienne mury chateau były dla mnie symbolem bezpieczeństwa, ramiona matki schronieniem, w którym szukałem ratunku, gdy wróg przedarł się przez zewnętrzne linie obrony. Jednak w moje trzecie urodziny, podobnie jak w dziesiąte, intuicja nie podpowiadała mi, że niebezpieczeństwo czai się tuż za progiem.

Matias uwielbiał grillować. Mówił, że w Chile barbecue nazywa się asado i że mięso w jego ojczyźnie jest najlepsze na świecie. Na moje urodziny zaprosił przyjaciół i znajomych z sąsiedztwa i wszyscy siedzieliśmy w ogrodzie, wdychając zapach żarzącego się węgla i słodki aromat jesieni. Matias zawiązał sobie na brzuchu fartuch Marii Eleny, co wyglądało komicznie, bo tasiemki ledwo łączyły mu się na plecach, i kręcił potężnym zadem w rytm granych przez Coyote'a na gitarze melodii. Maria Elena podeszła z tyłu, objęła go w pasie, czy też raczej starała się go objąć, i oboje zgodnie kołysali się w leniwym tańcu. Coyote siedział oparty o drzewo, tak jak na małej polance nad rzeką we Francji, w kapeluszu na bakier i z gitarą opartą o kolano. Mama, w białych spodniach i niebieskiej bluzce, z apaszką podtrzymującą włosy, założyła nogę na nogę i uśmiechała się do Coyote'a. Słońce uwydatniło piegi na jej nosie i podkreślało karmelowy odcień karnacji.

Zaproszeni zostali także moi szkolni koledzy, Joe, Frank i Solly, było również kilka dziewczynek, które przyszły razem ze swoimi rodzicami, przyjaciółmi Marii Eleny i Matiasa. Dopiero w towarzystwie Marii Eleny i Matiasa, otoczonych liczną grupą bliskich znajomych, uświadomiłem sobie, że mama i Coyote właściwie nie mają przyjaciół. Coyote cieszył się sympatią wszystkich, ale był postacią enigmatyczną, nieco tajemniczą, niczym promień światła, który przyciąga uwagę i kusi, chociaż nie można go dotknąć. Wszyscy go znali. W sklepie klienci stale się domagali, aby właśnie on ich obsługiwał, szczególnie kobiety z grubymi od tuszu rzęsami i wymalowanymi ustami, lecz on nikogo nie dopuszczał zbyt blisko. Tylko mama i ja mieliśmy dostęp do jego serca. Ja dostrzegałem tylko uśmiech Coyote'a, natomiast mama widziała o wiele więcej. Usłyszała cichy krzyk, echo z jego dzieciństwa - głos małego chłopca natychmiast trafił do macierzyńskiego pierwiastka jej serca i został zrozumiany. Mama robiła, co mogła, wiem, że tak było, ale to nie wystarczało, bo Coyote nie otworzył się do końca nawet przed nią. Dziś wydaje mi się, że była zbyt pochłonięta próbami zrozumienia Coyote'a, aby zawrzeć jakieś inne przyjaźnie, poza przyjaźnią z Marią Eleną.

Kręciłem się po ogrodzie z kolegami, popisując się przed dziewczynkami, które chichotały, zerkwały na nas i szeptem przekazywały sobie uwagi na temat naszego zachowania i wyglądu. Nie czułem się już jak obcy. Czasy, kiedy całym sercem pragnąłem dołączyć do grupy rówieśników należały już do przeszłości, a wspomnienie Claudine coraz bardziej zacierało mi się w pamięci. Teraz miałem innych przyjaciół i górowałem nad nimi, przynajmniej pod dwoma względami - miałem dobrą prezencję oraz wiedzę. Mama, sama dość dogłębnie wykształcona, nauczyła mnie wielu rzeczy, które bardzo mi się przydawały. Byłem naprawdę dobry z historii, geografii i stosunków międzynarodowych, wiedziałem o tych sprawach dużo więcej od moich kolegów. Co jeszcze ważniejsze, żywo interesowałem się światem. Zazdrościłem Coyote'owi jego zagranicznych podróży, chciałem odwiedzić z nim wszystkie kraje, których symbole znalazły się na zszywanym z kawałków płaszczu Starca z Wirginii. Coyote obiecał mi, że któregoś dnia, gdy będę starszy, zabierze mnie ze sobą, żebym nauczył się zarządzania sklepem, ale nie dotrzymał obietnicy i zniknął na długo, zanim dorosłem.

My, dzieci, jedliśmy na trawie. Przy starannie nakrytych obrusami w kratkę stołach siedzieli dorośli, którzy przy winie dyskutowali o swoim świecie, natomiast my siedzieliśmy pod drzewami, razem z dwoma buli terrierami Matiasa, i zażeraliśmy się hot dogami oraz burgerami. Kiedy mama i Maria Elena wniosły tort, wszyscy stali i odśpiewali Happy Birthday. Matias kazał mi usiąść u szczytu stołu, a jego żona postawiła tuż przede mną tort z dziesięcioma świeczkami.

- Dmuchaaj! - wołali wszyscy. - Zdmuchnij świeczki, Mischa!

Potoczyłem rozpromienionym wzrokiem po ich uśmiechniętych twarzach, wziąłem głęboki oddech i zdmuchnąłem wszystkie płomyczki.

- W twoim życiu liczyć się będzie tylko jedna kobieta! - roześmiał się Coyote.

Chodziło mu o to, że zdmuchnąłem świeczki od razu.

- Mam nadzieję! - zawołała Maria Elena, głośno klaszcząc w dłonie.

- Jedna kobieta, co za tragedia! - gromki głos Matiasa zagłuszył życzenia, które mi składano. - Nie skazujcie nieszczęsnego chłopca na życie w czystcu!

- Och, nie żartuj sobie, mi amoń - zaśmiała się jego żona. - Mischa ma dopiero dziesięć lat, uważaj, co mówisz!

- I ma przed sobą kilkadziesiąt. - Matias uniósł kieliszek z winem. - Obyś w przyszłości nigdy nie skarżył się na brak wina, kobiet i czekoladowych ciast, mój przyjacielu!

Wszyscy wesoło wzniesli toast, a mama mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Widziałem, że jest ze mnie dumna.

Bawiliśmy się na trawie wśród powoli wydłużających się cieni. Coyote siedział przy stole, palił i przysłuchiwał się toczącym się wokół niego rozmowom. Jego oczy przybierały czasami odległy wyraz, jakby gonił za jakimś marzeniem. Mama oparła głowę na jego ramieniu. Od czasu do czasu całował jej włosy i przytulał policzek do jej policzka. W środku całego tego gwaru i zamieszania wydawali się samotni i spokojni w swoim własnym świecie. Stanowili wyspę. Zawsze byliśmy wyspą - moja matka, Coyote i ja.

Wreszcie trzeba było się rozejść. Słońce opadło za horyzontem, do końca dnia moich urodzin zostało tylko kilka godzin. Dostałem pięknie opakowane prezenty od wszystkich gości, lecz niektórych paczek jeszcze nie otworzyłem. Mama i Maria Elena powkładały je do wielkiej firmowej torby na zakupy z nadrukiem „Toad Hall” - tak nazywał się sklep Hilary Winter na Main Street. Widok tylu nowych zabawek sprawiał, że z podniecenia nie mogłem spokojnie ustać w miejscu.

- Och, Boże... - westchnęła mama. - Mischa chyba dzisiaj w ogóle nie pójdzie spać...

- Moim zdaniem, wcale nie powinnaś się tym martwić - powiedziała Maria Elena. - Ostatecznie urodziny zdarzają się tylko raz w roku...

- Cieszę się, że jest taki szczęśliwy. - Mama zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń, może nawet zapomniała, że stoję obok niej. - Po tym wszystkim, co przeszedł, ty i Matias przyjęliście nas tutaj jak najbliższa rodzina... Dzięki wam zyskał poczucie bezpieczeństwa. Zawsze pragnęłam, żeby odnalazł swoje miejsce w świecie, i moje marzenie w końcu się spełniło... Kiedy człowiek czuje się bezpiecznie i pewnie, może zrobić wszystko, absolutnie wszystko...

Z jakiegoś powodu mówiła z wyraźniejszym francuskim akcentem niż zwykle. Maria Elena delikatnie dotknęła jej ręki.

- Jesteś wspaniałą matką, Anouk...

- Robię, co w mojej mocy.

- Jestem szczęśliwa, że Coyote was tu przywiózł. Wzbogaciliście nasze życie, chociaż ty może nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy... Cieszę się, że zostałam moją przyjaciółką - Maria Elena zamrugnęła, wyraźnie wzruszona. - Jak wiesz, Matias i ja nie możemy mieć dzieci, więc obecność Mischy jest dla nas prawdziwym błogosławieństwem... Codziennie dziękujemy za niego Bogu...

- Możecie go sobie czasem pożyczać, proszę bardzo - powiedziała mama.

Obie roześmiały się i popatrzyły na mnie. Oczy mamy były błyszczące i mokre.

- Chodź, Mischa, najwyższy czas zapakować cię do łóżka! Pomyślałem, że to raczej ona powinna jak najszybciej się położyć. Pojechaliśmy do domu samochodem Coyote'a. Noc była pogodna i jasna, duży okrągły księżyc niczym boja unosił się wśród morza gwiazd. Coyote trzymał mamę za rękę i puszczał ją tylko wtedy, gdy musiał zmienić biegi.

- Cudowny wieczór - uśmiechnęła się mama. - Jak to miło ze strony Marii Eleny, że upiekła tort i pomogła nam zorganizować przyjęcie...

- Junior dobrze się bawił, prawda, synu?

- Dostałem mnóstwo prezentów - oświadczyłem, ustawiając nowe samochodziki rzędem na tylnym siedzeniu.

Postanowiłem schować je do tego samego pudełka, w którym trzymałem żółtego citroena od Joy Springtoe. Często myślałem o Joy - mieszkaliśmy teraz w Ameryce, więc właściwie w każdej chwili mogliśmy na nią wpaść.

- Resztę prezentów rozpakujesz jutro przy śniadaniu, Mischa - odezwała się mama. - Jest już naprawdę bardzo późno, od dawna powinieneś być w łóżku...

- My także - zauważył Coyote, lekko ściskając jej rękę. Ale kiedy dojechaliśmy na miejsce, żadne z nas nie poszło spać.

Gdy zatrzymaliśmy się na podjeździe, Coyote wyczuł, że coś jest nie tak. Uniósł głowę i wciągnął powietrze, zupełnie jak czujny pies.

- Zostańcie w samochodzie - polecił. - I bądźcie cicho...

Nie zatrasnął drzwiczek, żeby nie robić hałasu i ostrożnie ruszył w stronę domu. Pchnął drzwi, które otworzyły się szeroko.

- Mon Dieul - wyszeptała mama.

- Co się stało? - zapytałem. Serce mocno obijało mi się o żebra.

- Ktoś chyba włamał się do domu - odparła po francusku, co zdarzało jej się tylko wtedy, gdy coś wyprowadziło ją z równowagi. - Mam nadzieję, że włamywacze już uciekli...

Była bardzo zaniepokojona, widziałem, jak zmarszczyła brwi i mocno przygryzła wargi. Oboje czekaliśmy w milczeniu, z nadzieją, że mimo wszystko nie stało się nic złego. Powietrze w samochodzie wibrowało napięciem, zupełnie jakby ładunki elektryczności przedostawały się do środka razem z drobinami kurzu. Czekaliśmy i czekaliśmy, zastanawiając się, co Coyote tak długo robi w domu. W końcu wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Jego twarz była poważna, poważniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Bez słowa usiadł za kierownicą.

- Co się stało? - Policzki mamy były przejrzyście blade w świetle księżyca.

- Ktoś wywrócił wszystko do góry nogami - odparł Coyote dziwnym, obcym głosem.

- Co ukradli?
- Nic, o ile zdążyłem się zorientować.
- To dobrze! - Mama trochę się rozpogodziła. - Możemy przecież naprawić to, co zepsuli...

Coyote przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Chcę pojechać do sklepu i sprawdzić, co się tam dzieje.
- Myślisz, że tam też byli? Nie wiem, wolę się upewnić...
- Byli w moim pokoju? - zapytałem, zaniepokojony, czy nic złego nie stało się z moimi zabawkami.
- Byli wszędzie, Juniorze. Nie ma chyba w domu takiej szuflady, której by nie przeszukali.

Pod sklepem wyciągnął ze schowka pistolet. Mama głośno wciągnęła powietrze.

- Nie martw się, kochanie, użyję go tylko w razie konieczności - rzekł Coyote.

- Dlaczego nie wezwiemy policji?!

- Nie zamierzam wzywać policji ani nikogo innego, rozumiesz? To nasza sprawa, wyłącznie nasza. Sami poradzimy sobie z tą sytuacją, nie ma powodu mieszać do tego przedstawicieli prawa...

W jego głosie zabrzmiała stalowa nuta.

- Nie rób nic głupiego, Coyote - z przestrochaniem powiedziała mama. - Bądź ostrożny, na miłość boską! Ze względu na Mischę...

Pocałował ją.

- Jeżeli nasz włamywacz tam jest, postaram się, żeby tego pożałował!

Wysiadł z samochodu, kazał nam się położyć na siedzeniach, żeby nikt nas z zewnątrz nie zobaczył i zamknął drzwiczki.

- Wszystko w porządku, Mischa? - odezwała się mama, kiedy odszedł.
- Tak - odpowiedziałem.

W gruncie rzeczy ta dramatyczna przygoda dosyć mi się podobała.

- Nie boisz się?
- Nie...

Nie nazywała mnie już swoim małym cheualier, ale tamtej nocy czułem się jak jej obrońca. Wyobrażałem sobie, że opieram rękę na uchwycie szpady, gotowy w każdej chwili wyciągnąć ją z pochwy.

Minuty mijały powoli, a Coyote'a wciąż nie było. Leżeliśmy w mroku, wsłuchani w swoje oddechy.

- Mam nadzieję, że nie będzie musiał użyć broni... - westchnęła mama.
- Wiedziałaś, że ma pistolet?

- Nie.

- Myślisz, że już kiedyś kogoś zabił?

- Nie wygaduj głupstw, Mischa! Oczywiście, że Coyote nikogo nie zabił!

- Ale nie wiesz tego na pewno, prawda?

- Nie, nie wiem, ale przecież dobrze go znam!

- Na pewno zabijał ludzi, kiedy był na wojnie...

- To co innego!

- Czego ci złodzieje szukali? - zapytałem.

- Wartościowych rzeczy, naturalnie. Nie zabrali nic, bo nie mamy w domu nic cennego.

- Ale tutaj tak.

- Raczej nie, synku. Tak naprawdę to kupa śmieci.

- Tak uważasz? W sklepie nie ma nic wartościowego?

- Och, jest tu trochę oryginalnych przedmiotów i może niektóre są coś warte, ale niedużo. Gdybyśmy mieli drogie rzeczy, bylibyśmy bogaci.

- Matias mówi, że to są skarby. Coyote ściąga je do sklepu z całego świata. Roześmiała się cynicznie.

- Nie można jednak powiedzieć, że to klejnoty koronne, prawda? Coyote znajduje te rzeczy na targach, są interesujące głównie dlatego, że w Ameryce trudno byłoby je gdzie indziej kupić. Pomyśl choćby o tej idiotycznej nodze słonia...

- A gobelin?

- Nie wiem, skąd go przywiózł - odparła szybko. - Nie wtrącam się w to, co robi Coyote, gdy wyjeżdża za granicę...

Zgrzyt kluczyka w zamku wyrwał mnie z zamyślenia.

- Możecie wysiąść - powiedział Coyote. Znowu miał normalny głos.

- Wszystko w porządku? - zapytała mama.

- Tutaj też zrobili straszny bałagan, ale nie zabrali nic ważnego.

- Bogu niech będą dzięki!

- Czego szukali? - spytałem, gramoląc się z samochodu.

- Nie wiem, Juniorze, ale najwyraźniej nie znaleźli tego, czego szukali.

Weszliśmy do sklepu. Na moment wstrzymałem oddech, przerażony chaosem, jaki tu panował. Włamywacze rozpełzli się po całym magazynie, zupełnie jak armia mrówek. Na podłodze leżały odłamki szkła, kawałki drewna i fragmenty połamanych mebli i sprzętów. Po prostu rzucali wszystko na ziemię, przeglądając stosy towaru.

- Minie parę tygodni, zanim doprowadzimy sklep do porządku - odezwała się mama z rozpaczą. - Zrujnowali nas...

Najwyraźniej nagle doszła do wniosku, że jednak nie była to „kupa śmieci”, tylko źródło godziwego zarobku. Chciałem zwrócić jej na to uwagę, ale pomyślałem, że to chyba nie najlepsza chwila.

- Nie martw się, aniołku, wcale nas nie zrujnowali... - rzekł Coyote, z namysłem pocierając brodę. - Wszystko da się naprawić, zobaczysz...

- Przecież tyle rzeczy zniszczyli!

- Nie przejmuj się, naprawdę. Pojedziemy teraz do domu, a jutro od rana weźmiemy się do pracy.

- Naprawdę powinniśmy zadzwonić na policję - powiedziała mama.

- Nie - odparł twardo Coyote. - Żadnej policji i nikomu ani słowa, rozumiecie?

Powoli skinęła głową. Brwi miała ściągnięte.

- Słyszysz, Juniorze? Nikomu ani słowa!

- Ani słowa - powtórzyłem, znowu czując się jak szpieg. - Wiesz, kto to zrobił?

- Nie.

Czułem, że nie mówi prawdy. Mógł sobie zaprzeczać do woli.

- Wrócą tu? - spytała mama.

- Postaram się, żeby nie wrócili...

W domu zastaliśmy taki sam potworny bałagan. Złodzieje byli we wszystkich pokojach, w niektórych miejscach pozrywali nawet deski podłogi. Mama zakryła twarz dłońmi i rozplakała się.

- Nasz piękny dom... - szlochała. - Zniszczyli nasz piękny dom...

Byłem w szoku, nie miałem pojęcia, co zrobić ani co powiedzieć. Po raz pierwszy tego wieczoru ogarnął mnie strach. Przed oczami miałem twarz księdza Abła-Louisa, świeżo nabyte poczucie bezpieczeństwa zniknęło bez śladu. Skoro ci ludzie mogli włamać się do domu Coyote'a i wyprowadzić go z równowagi, to nie ulegało wątpliwości, że byli bardzo potężni. Zatrzęśli fundamentami mojego nowego, spokojnego świata.

Tę noc spędziliśmy u Matiasa. Leżałem w obcym łóżku, otoczony nowymi zabawkami, które dostałem zaledwie kilka godzin wcześniej, i słuchałem, jak dorośli rozmawiają w kuchni na dole. Nie rozróżniałem słów, docierał do mnie tylko szmer przyciszonych głosów. Moja wyobraźnia szalała. Może to ksiądz Abel-Louis wpadł na mój trop... A jeżeli faktycznie byli to złodzieje, którzy nie znaleźli tego, na czym im zależało, to może jeszcze wrócą... Może szukali Coyote'a... Może wrócą po niego... Chciałem natychmiast usłyszeć odpowiedzi na te pytania, ale byłem sam i chyba nie miałem na co liczyć.

Następnego dnia Maria Elena i moja matka zabrały się do sprzątanania domu. Matias i Coyote pojechali do sklepu.

- Nie mam pojęcia, dlaczego Coyote po prostu nie zadzwoni na policję - powiedziała mama, bezradnie rozkładając ręce.

- To cały on. - Jej przyjaciółka pokiwała głową. - Uważa, że sam wszystko naprawi...

- Może sobie tak myśleć, ale jest oczywiste, że mu się to nie uda!

- Nie martw się, Coyote wie, co robi...

Mama nagle przerwała pracę i przysiadła na piętach.

- Nie sądzisz, że on wie, kto to zrobił?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytała Maria Elena. Ona także przestała sprzątać. Udawałem, że nie słucham, i dalej układałem rzeczy w szufladzie zgodnie z poleceniem mamy.

- Nie wiem... Takie mam wrażenie...

- Intuicja? - Maria Elena uniosła brwi.

- Tak, intuicja. Wydaje mi się, że Coyote wie, czego szukali włamywacze.

- Czego?

- Skąd miałabym wiedzieć, Coyote nic mi nie powiedział. Wczoraj wieczorem, kiedy wyszedł ze sklepu, wyglądał na całkiem zadowolonego. Wszystko porozwalane, dom w ruinie, a on uśmiechał się od ucha do ucha...

- Matias pracuje z nim niemal od początku. Gdyby w sklepie znajdowało się coś naprawdę wartościowego, na pewno by o tym wiedział.

- Może wcale nie chodzi o rzecz cenną w potocznym znaczeniu tego słowa...

- mama potrząsnęła głową. - Sama nie wiem, chyba gadam głupstwa... Po prostu chciałabym wiedzieć, dlaczego Coyote nie wzywa policji, to wszystko...

- Matias też nie chciał dzwonić na policję. - Maria Elena znowu uklękła na podłodze. - Ach, ci mężczyźni! Nie znoszą myśli, że czegoś nie potrafią! Jeżeli nie mogą załatwić jakiejś sprawy sami, uważają, że ich męskość traci na wartości. W Chile takie podejście do rzeczywistości nosi nazwę machismo...

- Tylko słabe kobiety zwracają się o pomoc do przedstawicieli prawa, tak?

- Tak jest!

Roześmiały się głośno.

Pomyślałem, że to, co powiedziała mama, brzmiało bardzo sensownie. Może jednak w sklepie było coś jeszcze poza „kupą śmieci”, kto wie...

Tydzień później Coyote oznajmił, że znowu wyjeżdża. Tak wiele rzeczy zostało zniszczonych, że musi poszukać świeżego towaru, nie ma wyboru. Pocałował mamę, z wyrazem dziwnego napięcia na twarzy, przyciskając wargi do jej ust, a potem objął mnie mocno.

- Opiekuj się mamą w moim imieniu, dobrze, Juniorze? - Zwichrzył mi żartobliwie włosy nad czołem.

Gdy się uśmiechnął, kąciki jego ust uniosły się wysoko, ale matka musiała dostrzec coś w jego oczach, bo szybko wyciągnęła do niego obie ręce.

- Bądź ostrożny, kochany - powiedziała. - Nie rób nic głupiego...

Patrzyliśmy, jak wrzucał na tylne siedzenie torbę z rzeczami i gitarę. Mama nerwowo ogryzała skórki wokół paznokcia. Coyote usiadł za kierownicą i skinął ręką. Pomachaliśmy mu z zapalem, jak zawsze, chociaż oboje czuliśmy, że to pożegnanie jest inne. Nie wiedzieliśmy tylko, na czym polega różnica.

Znowu zostaliśmy sami, tylko we dwoje. Moja matka i ja.

To wtedy ostatni raz widziałem Coyote'a. Następnym razem zobaczyłem go dopiero w swoim biurze, po trzydziestu latach. Był brudnym, zaniedbanym, cuchnącym włóczęgą. Okręcałem w palcach zielone pióro i wpatrywałem się w nie w skupieniu, a stary żal i poczucie odrzucenia od nowa raniły moje serce. Zraniło mnie nie to, że Coyote wyjechał - wcześniej wyjeżdżał przecież wiele razy, ale to, że nie wrócił.

Z początku żyliśmy jak przed jego wyjazdem. Mama co wieczór kładła na obrusie nakrycie dla niego, na wszelki wypadek. Pamiętam obrus z białego płótna w czerwone wisienki i serwetki z tego samego materiału. Serwetka Coyote'a zawsze była nieskazitelnie czysta i wyprasowana, nasze pogniecione i miejscami poplamione. Widok tej serwetki w srebrnym pierścieniu, dzień w dzień kładzionej obok talerza, wciąż od nowa uświadamiał mi jego nieobecność. W końcu miejsce Coyote'a stało się czymś w rodzaju świątyni.

Pamiętam cytrynową wodę toaletową mamy, jej błyszczące włosy i wyraz oczekiwania na twarzy, jej lekki, sprężysty krok i lśniące oczy... Wiedziała, że Coyote ją kocha i ani przez chwilę nie wątpiła w jego powrót. Przecież zawsze do niej wracał, prawda?

Jednak tym razem nie wrócił. Minęło kilka miesięcy, zanim otrzymaliśmy od niego wiadomość. Wyjąłem z kufra pocztówki od Coyote'a. Nie zdziwiło mnie, że mama je zachowała - nadawały sens naszym dniom, sprowadzały do domu tęczę, która świeciła tylko chwilę, ale ta chwila była pełna radości. Wiedziałem już zresztą, że mama przechowała wszystkie pamiątki. Policzyłem związane sznurkiem pocztówki - było ich osiem. Przez pierwsze dwa lata dodawały nam siłę, a potem, kiedy przestały przychodzić, lukę wypełniły nadzieja i wiara, dzięki którym od czasu do czasu udawało nam się dostrzec kolejną tęczę. Później przekroczyłem granicę, za którą nie było słońca, światła ani tęczy. Nienawidziłem świata i nienawidziłem matki, ale przede wszystkim nienawidziłem Coyote'a za to, co mi zrobił.

Nie lubiłem wracać myślami do tamtych lat, ponieważ były pełne bólu, zawsze natomiast chętnie wspominałem ostatnie lato w chateau, kiedy Coyote zjawił się w Mauriac ze swoją tajemnicą i magią i całkowicie odmienił nasze życie. Obdarzył nas miłością i sprawił, że rany przeszłości wreszcie się zagoiły. Nauczył mnie, że można ufać człowiekowi, a ja powierzyłem mu swoje serce, duszę, wiarę - całego siebie. Pierwsze trzy lata w Jupiter były epoką światła. Cudowne słońce ogrzewało moją twarz i czułem, że jestem wyjątkowy,

kochany, wart miłości i uwagi. Potem Coyote wyjechał i najwyraźniej uznał, że już nie jestem dość dobry ani kochany, bo nie wrócił. Miłość matki zawsze uważałem za rzecz pewną i oczywistą, ale swoją wartość oceniałem miarą miłości Coyote'a. Coyote odrzucił mnie i wtedy nastąpiły lata ciemności, buntu i nienawiści do samego siebie. Chevalier musiał stoczyć najcięższe bitwy swego życia z najgorszym, najbardziej zajadłym z wrogów - z sobą samym.

Głos powinien być moim środkiem komunikacji z innymi - jako mały chłopiec tak bardzo pragnąłem go odzyskać i wierzyłem, że okaże się kluczem do rozwiązania wszystkich problemów. Zakładałem, że kiedy już będę mógł się nim posługiwać, otaczający mnie świat w jakiś cudowny sposób zyska dawne, przyjazne oblicze i już nie będę musiał się z nim zmagać. I początkowo rzeczywiście tak było. W Mauriac uznano mnie za świętego, w Jupiter wszyscy lubili mnie i cenili. Później Coyote nas opuścił i zgnilizna zaczęła pożerać mi serce, aż w końcu znienawidziłem się tak bardzo, że nie mogłem patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Wojna zabrała mi ojca, lecz Coyote odszedł sam. Ojciec mnie nie opuścił, zginął, natomiast Coyote postanowił nie wracać, ponieważ przestał mnie kochać. Nic dla niego nie znaczyłem. Rozpoczął następny etap życia i po prostu zostawił mnie na poboczu drogi jak niechciany, zbyteczny bagaż.

Mój głos okazał się bezużyteczny, bo i tak nie wiedziałem, jak wyrazić cierpienie. Żadne słowa nie przychodziły mi do głowy. Dziś wiem, że nie ma słów, którymi można opisać taki ból, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. A ponieważ nie mogłem o tym mówić, zacząłem posługiwać się przemocą. Kiedy pierwszy raz rozbiłem szybę, towarzyszące temu uczucie uwolnienia tak mnie oszołomiło, że na jakiś czas zostałem uleczony. Pobiegłem do domu, zadowolony i pogodny, pijany uczuciem władzy i kontroli, które dało mi to doświadczenie. Miałem wrażenie, że wraz z płynącą z rany krwią, uwalniam się cały od trucizny i jadu, że doznaję oczyszczenia duszy i ciała. Rozdygotana mama zawiozła mnie do szpitala, a ja spokojnie leżałem na tylnym siedzeniu samochodu, blady jak prześcieradło, lecz uśmiechnięty. Kiedy spojrzałem jej w oczy, dostrzegłem w nich jakiś nowy wyraz - patrzyła na mnie tak, jakbym był obcym człowiekiem, którego należy się bać.

Przez pierwsze dwa lata dokonywałem tylko drobnych aktów przemocy. Poznałem kilkoro innych zagubionych dzieciaków, stworzyłem z nimi bandę i po szkole często wyruszaliśmy na poszukiwanie kłopotów. Ochlapywaliśmy mury farbą, gwoździami zdrapywaliśmy lakier z samochodów, dopuszczaliśmy się kradzieży w sklepach, ale głównie z przejęciem gadaliśmy o swoich przestępstwach. Planowaliśmy poważniejsze wykroczenia, paliliśmy

podkradane starszym papierosy i popijaliśmy kradziony alkohol. Chichotaliśmy nad fotografiami roznegliżowanych młodych kobiet i rozmawialiśmy o seksie, chociaż oczywiście nie mieliśmy pojęcia, o czym tak naprawdę mówimy. Ja, który wcześniej byłem ulubieńcem całego Jupiter, teraz stałem się postrachem słabszych, potworem, na którego widok ludzie pośpiesznie przechodzili na drugą stronę ulicy. Jasne włosy i niebieskie oczy nie wystarczały już, aby ukryć fakt, że stałem się przestępcą, ale nic mnie to nie obchodziło. Nienawidziłem samego siebie, więc niby dlaczego inni mieliby mnie lubić... W liceum wpadłem w poważniejsze tarapaty, związane z seksem, narkotykami i przemocą. Mając piętnaście lat, wyglądałem na dwudziestolatka. Jeszcze niedawno byłem dość drobnym chłopcem, ale teraz, być może dzięki obfitości dobrego amerykańskiego jedzenia, wystrzeliłem w górę jak starannie pielęgnowana sadzonka. Byłem wysoki, silny, szeroki w ramionach, a szalejąca w sercu furia czyniła mnie odważnym. Przyłączyłem się do gangu starszych chłopców, którzy po lekcjach spotykali się w opuszczonym, zaniedbanym mieszkaniu głównie po to, aby palić marihuanę. Nazywali się „Czarnymi Jastrzębiami”. W szkole wszyscy się ich bali, bo prześladowali i dręczyli młodsze, słabsze dzieci, często okradając je z kieszonkowego. W ten sposób zdobywali pieniądze na marihuanę, kupowaną od dilerów, którzy wtedy jeszcze bardzo nieśmiało kręcili się w okolicy szkół. Nie podobało mi się to, ponieważ w Mauriac sam byłem tym słabszym i dokładnie wiedziałem, jak to jest. Dużo bardziej interesował mnie seks i przemoc, te dziedziny nowego życia, w których mogłem się całkowicie zatracić.

Udział w ulicznych bójkach, w które często wdawali się członkowie gangu, znacznie podniósł mój status w grupie. Poczuję się pewniej niż kiedykolwiek, byłem wyższy, mocniej zbudowany i silniejszy od innych. Potrafiłem sprać na miazgę nawet olbrzyma. Kiedy zaczynałem się bić, przed oczami miałem czerwoną mgłę i widziałem tylko przeciwnika. Pojawiałem się wszędzie, kopalem, wymierzałem ciosy, warczałem. Uczucie wyzwolenia uderzało mi do głowy, było tak, jakbym przeciął wrzód, obolałe miejsce w głębi duszy, w którym od dawna zbierał się trujący jad. Widok lęku w oczach chłopców sprawiał mi przyjemność, bo przecież to ja zawsze byłem tym, który bał się wszystkich. Często wyobrażałem sobie, że mój przeciwnik ma twarz pana Cezade'a i z rozmachem waliłem go pięścią między oczy. Przemoc uwalniała mój gniew i zacierała nękający serce ból, natomiast seks pozwalał mi zapomnieć o małym zagubionym chłopcu, jakim w gruncie rzeczy nadal byłem.

Pierwszy raz pieprzyłem się z dziewczyną, gdy miałem trzynaście lat. Nazywała się May i spała chyba ze wszystkimi chętnymi z Jupiter. Była dość

ładna, z kręconymi brązowymi włosami i skórą zbyt zszarzałą od papierosowego dymu i alkoholu, aby można ją uznać za zdrową. Miała miękkie, pulchne i mocno wyperfumowane ciało. Nie wiem, w jakim była wieku, wtedy nic mnie to nie obchodziło; chciałem tylko jak najszybciej stracić niewinność i stać się mężczyzną. Nie bez znaczenia było też to, że May nie należała do dziewczyn kosztownych - zapłaciłem jej z zaoszczędzonego z paru tygodni kieszonkowego oraz pieniędzy, które dostawałem za pomoc w sklepie. Dała mi rabat, jak to określiła, ponieważ byłem bardzo młody i przystojny.

Spodziewała się, że będzie miała do czynienia z zarumienionym prawiczkim, ale pomyliła się. Bez zażenowania oglądałem jej ciało, z entuzjazmem gładząc białe równiny ud, zatapiając palce w gorącej wilgoci między nogami i biorąc w usta sutki. W końcu, odsunęła się i zagroziła, że wyrzuci mnie, jeśli nie pozwolę, by pokazała mi, jak to się robi.

- Zachowujesz się jak wygłodniały pies - oświadczyła z niezadowoleniem, ujmując moją dłoń i przesuwając nią po swoim ciele. - Dotykaj mnie powoli i delikatnie, nie jestem gnatem do ogryzania!

Okazałem się pojętnym, zdolnym uczniem. Kiedy delektowałem się jej ciałem, mogłem na chwilę zapomnieć o nękającym mnie poczuciu odrzucenia i cieszyć się złudzeniem, że ktoś mnie kocha i podziwia.

Tajemnica rozwiązała się i po tym pierwszym doświadczeniu ciągle szukałem nowych doznań seksualnych. Niedługo potem przyłączyłem się do „Czarnych Jastrzębi” i odtąd mogłem mieć każdą dziewczynę, na jaką miałem ochotę, oczywiście poza bogatymi, eleganckimi panienkami, które uważały, że seks będą uprawiać dopiero po ślubie. Byłem atrakcyjny fizycznie i należałem do „Czarnych Jastrzębi”, co miało ogromne znaczenie. Dużo dziewcząt tylko czekało, żebym na nie spojrział.

Łatwe dziewczyny można było podzielić na dwie kategorie: te, które pieprzyły się bez zahamowań, oraz takie, które potrzebowały poczucia bezpieczeństwa, płynącego z trwalszego związku z chłopakiem. Nie muszę chyba tłumaczyć, że bardziej odpowiadały mi dziewczyny z pierwszej grupy. W moich oczach kobiety były jak kraje, które należy podbić i zbadać - gdy zaspokoilem ciekawość, rozglądałem się za następną zdobyczą. Nie znosiłem powrotów do raz już zbadanych terytoriów, chyba że nie miałem innego wyjścia. Skakałem więc z kwiatka na kwiatek, co było ciężką pracą, ale też i przyjemnym wyzwaniem. W krótkim czasie zyskałem opinię kobieciarza, lecz to bynajmniej nie przyćmiło mojej atrakcyjności. Byłem gniewny i wyniosły, a w Jupiter nie brakowało dziewcząt, które kusila perspektywa oswojenia chłopaka o mrocznej, pełnej tajemnic duszy.

Jeżeli nawet matka wiedziała, co robię po szkole, to nigdy się z tym nie zdradziła. Przypuszczam, że była zbyt zajęta prowadzeniem „Sklepu z Różnościami Kapitana Crumble'a”, aby martwić się moimi marnymi ocenami i wagarowaniem. Rzadko bywała w domu. Nie zauważyłem, że coraz bardziej oddalamy się od siebie, a nawet płyniemy w przeciwnych kierunkach. Oboje cierpieliśmy, ale ja myślałem wyłącznie o swoim bólu i koncentrowałem się na poszukiwaniu chwilowej ulgi w ramionach ładnych dziewczyn i wśród kumpli z gangu. W soboty coraz rzadziej pomagałem w sklepie, coraz więcej czasu spędzałem poza domem, wdając się w bójki i planując kolejne drobne kradzieże. Jedynym miejscem, gdzie zawsze i nieodmiennie czułem się dobrze, był dom Marii Eleny. Prawdopodobnie właśnie jej zawdzięczam, że nikogo nie zabiłem, bo z nią zawsze potrafiłem się porozumieć, co sprawiało, że jedną nogą wciąż byłem w normalnym, zdrowym i trzeźwym świecie.

- Naprawdę powinieneś porozmawiać z matką - powiedziała pewnego dnia. - Bardzo się o ciebie martwi...

- Nie wydaje mi się, żeby obchodziło ją, co się ze mną dzieje - wzruszyłem ramionami.

- Nie wiesz, co mówisz. Bardzo ją to obchodzi.

- O czym niby miałbym z nią rozmawiać? - mruknąłem, odwracając się do Marii plecami.

Usiadła na kanapie obok mnie i wyjęła mi z ręki butelkę z wodą mineralną.

- Wpakowałeś się w kłopoty, Mischa, a my chcemy ci pomóc, nic więcej - rzekła poważnie. - Popatrz na mnie...

Niechętnie spełniłem jej prośbę.

- Nie wyobrażaj sobie, że nie wiemy o twoich pozaszkolnych zajęciach, nie jesteśmy aż tacy naiwni, a ten siniak pod twoim okiem nie pojawił się po zderzeniu z poduszką... - Jej twarz złagodniała, w oczach miała głęboki smutek.

- Byłeś takim kochanym malcem... Co się stało z tym miłym chłopcem?

Nie mogłem wykrztusić ani słowa. Ze wszystkich sił próbowałem powstrzymać łzy, gardło ścisnęło mi się boleśnie.

- Twoja matka tęskni za Coyote'em tak samo jak ty... Wystarczyło, że wymieniła jego imię, a już wyprostowałem się i rzuciłem jej gniewne spojrzenie.

- Wcale za nim nie tęsknię - oznajmiłem ostro.

Maria Elena uśmiechnęła się, rozbawiona tak oczywistym kłamstwem.

- Wszyscy za nim tęsknimy. Ciekawe, co by powiedział, gdyby cię teraz zobaczył...

- Nic mnie to nie obchodzi!

- Ale nas obchodzi, co się z tobą dzieje! - mocno ścisnęła mi rękę. - Dla mnie i Matiasa jesteś jak rodzone dziecko, nie chcemy, żebyś stoczył się w świat narkotyków i zbrodni. Jeśli raz przekroczysz jego granicę, już stamtąd nie wrócisz. Istnieją gangi dużo gorsze od twoich „Czarnych Jastrzębi”, gangi, dla których zabić człowieka to tyle, co splunąć. Jesteś dobrym człowiekiem, mały, za dobrym na takie życie. Powinieneś skupić się na nauce, pomyśleć, co będziesz robił po skończeniu szkoły. Nic nie dzieje się samo z siebie, chyba o tym już wiesz. Wszyscy mamy swoje troski, cierpienia i rozczarowania, ale musimy jakoś sobie z nimi radzić. To my decydujemy, jak reagować na pewne sytuacje. Coyote nie wrócił, trudno. Możesz albo pójść na dno i pewnego dnia skończyć w przydrożnym rowie, albo pokonać cierpienie i żyć dalej...

Siedziałem bez ruchu i zastanawiałem się nad jej słowami. Dotknęła bolesnego miejsca, musiałem z całej siły przygryźć wewnętrzną stronę policzka, żeby nie stracić panowania nad sobą i nie powyrzucać za okno wszystkich pięknych drobiazgów, zdobiących jej mały salonik.

- Twoja mama jest bardzo samotna. Straciła męża, a teraz traci syna. Obejrzyj się na chwilę i pomyśl o niej... To nie jej wina, że Coyote odszedł. Porzucił was oboje, nie tylko ciebie...

Pamięć natychmiast podsunęła mi obraz matki, nagiej i ogolonej, wstrząsanej dreszczami na wybrukowanym Place de l'Eglise w Mauriac, i moje serce zmiękło. Zawsze mieliśmy tylko siebie, byliśmy tylko we dwoje, Maman i jej mały chevalier... Łzy zakręciły mi się w oczach.

- Muszę wyjść. - Maria Elena podniosła się z kanapy. Usłyszałem trzask zamykanych drzwi i echo ciszy, która wypełniła cały dom. Oparłem łokcie na kolanach, ukryłem twarz w dłoniach i rozplakałem się. Nigdy nie czułem się taki samotny.

Tamtej nocy wpakowałem się w naprawdę poważne kłopoty. Mieliśmy stoczyć walkę z konkurencyjnym gangiem na parkingu pod Jupiter. Właściwie był to nie tyle parking, ile wyasfaltowane pole, idealne miejsce na bitwę. Noc była wyjątkowo ciemna, parking fatalnie oświetlony, a świszczący wśród magazynów wiatr ostry i lodowaty. Czułem się jak uwięziony w zagrodzie byk, pragnąłem dać ujście furii i rozgoryczeniu. Nie spodziewałem się, że tamci będą uzbrojeni w noże. Wszystko rozegrało się bardzo szybko. Byłem absolutnie pewny siebie, arogancki, uważałem się za śmiercionośną broń „Czarnych Jastrzębi”, a przeciwnicy postanowili dać mi nauczkę. W jednej chwili rzuciło się na mnie trzech roślących chłopaków. Jednego uderzyłem w nos i usłyszałem trzask chrząstki pod pięścią, drugiego kopnąłem w krocze i kątem oka dostrzegłem, jak zwija się z bólu na asfalcie, lecz sekundę później ostry ból

przeszył moje ciało i nogi załamały się pode mną. Spojrzałem w dół i zobaczyłem błysk światła na ostrzu noża, który przeciwnik właśnie wyrwał z mojej kurtki. Przyłożyłem do tego miejsca rękę, która natychmiast zrobiła się czerwona. Z głuchym jękiem osunąłem się na ziemię. Ktoś przebiegł obok mnie, lecz odgłos kroków szybko ucichł w oddali.

- Cholera, nie jest dobrze... - Ktoś oderwał moją dłoń od rany i zaraz znowu umieścił ją na poprzednim miejscu. - Krew... Kurwa, chyba już po nim! I co my teraz zrobimy?

Nie musieli nic robić. Nocny strażnik widział całe wydarzenie i zadzwonił na policję. Kiedy światła samochodu rozcięły ciemność, Czarne Jastrzębie zostawiły mnie samego. Uciekli wszyscy, co do jednego. Leżałem na mokrym asfalcie i myślałem o matce. Ona na pewno by mnie nie opuściła, w żadnym razie. Kiedy tak powoli zapadałem w ciemność, moje myśli krążyły wokół niej. W ostatniej chwili przytomności pomyślałem, że muszę przeżyć, tylko po to, aby ją przeprosić.

Kiedy się ocknąłem, leżałem w szpitalnym łóżku, a mama siedziała obok. Trzymała moją rękę i wpatrywała się we mnie z wyrazem troski; jej czoło przecinała głęboka bruzda. Gdy zobaczyła, że otwieram oczy, uśmiechnęła się.

- Ty głupi chłopcze! - powiedziała. - Jak mogłeś zapomnieć, że prawdziwy chevalier staje do walki tylko w dobrej sprawie?

- Przepraszam... - wyszeptałem.

- Wszystko będzie dobrze! - Jej twarz rozjaśniła się nagle. - Przeprowadzimy się do Nowego Jorku. Mam już dosyć Jupiter. Przyda nam się zmiana, nie sądzisz?

Zrobiło mi się zimno z przerażenia.

- Ale jak on nas tam znajdzie? - spytałem ochryple. Oczy mamy zabłyśły, kąciki jej ust zadrgały z wysiłku, jakiego wymagało rozpaczliwe podtrzymywanie uśmiechu.

- Jeżeli będzie chciał nas znaleźć, to na pewno mu się uda...

- Myślisz, że wróci?

- Wiem, że wróci!

W jej głosie brzmiała taka pewność... Sam nie wiedziałem, czy jej wierzyć, czy nie.

- Skąd wiesz? - spytałem.

- Bo wiem, i już! Chyba można to nazwać przecuciem. Wiatr przyniósł go nam kilka lat temu i za jakiś czas przyprowadzi znowu, wierz mi!

- Wydawało mi się, że nie wierzysz w czary... Nachyliła się nade mną i lekko pogładziła mnie po czole.

- Powinieneś się wstydzić, synku. Nauczyłam cię wszystkich czarów, jakie znasz.

Tak więc spakowaliśmy rzeczy i przeprowadziliśmy się do Nowego Jorku.

Manhattan od razu przypadł mi do gustu. Z pieniędzy, jakie mama dostała ze sprzedaży sklepu i wszystkich zwariowanych rzeczy, jakie w nim były, kupiliśmy małe mieszkanie w centrum Nowego Jorku, obok pana Halpsteina, ekscentrycznego zegarmistrza. Mieszkanie było zupełnie zwyczajne i wymagało remontu, ale nam to nie przeszkadzało. Oboje mieliśmy uczucie wyzwolenia, jakbyśmy zrzucili starą skórę i rozpoczęli nowe życie.

Podobała mi się atmosfera anonimowości, panująca w wielkim mieście. Dzięki niej mogłem zapomnieć o „Czarnych Jastrzębiach” i przemocy, odnaleźć się w miejscu, gdzie nikt nie znał mnie ani mojej historii. Ludzie wreszcie nie przechodzili na mój widok na drugą stronę ulicy i nie zerkali z podejrzliwym lękiem, jakbym był wilkiem wśród stada gołębi.

Mama zajęła się budowaniem od podstaw nowej firmy. Nazwała ją naszym nazwiskiem, „Fontaine”, i zaczęła skupować i sprzedawać prawdziwe antyki, nie bezwartościowe przedmioty, jakie Coyote gromadził w „Sklepie z Różnościami”. Brała udział w aukcjach i prywatnych wyprzedażach i powoli tworzyła firmę o doskonałej reputacji. Miała doskonały gust - była przecież Francuzką i długo mieszkała w chateau, którego przedwojenni właściciele byli ludźmi wielkiej kultury i obycia. Co więcej, jako kobieta inteligentna, bardzo szybko przyswoiła sobie zasady prowadzenia firmy. Kiedy chciała, potrafiła być tak czarująca, że niewiele osób mogło oprzeć się jej urokowi i darowi przekonywania. Szybko zdobyła opinię osoby rozsądnej i obdarzonej świetnym wyczuciem. Myślę, że możliwość posługiwania się sprawnym, byстрыm umysłem dawała jej ogromną satysfakcję. Marnowała swoje zdolności, pracując w pralni chateau i pomagając Coyote'owi w prowadzeniu księgowości sklepu. Teraz miała własną firmę i kierowała się własnym instynktem. Nawiązywała kontakty, lecz nie przyjaźnie.

Bardzo brakowało mi jedynych przyjaciół, jakich mieliśmy - Marii Eleny i Matiasa. Na początku odwiedzili nas kilka razy, lecz ja nigdy nie wybrałem się do Jupiter. Postanowiłem się zmienić i nie chciałem wracać do tamtego okropnego okresu. Jednak nawet Maria Elena i Matias w końcu się poddali. Mama zmieniła się w stosunku do przyjaciółki, nie była już tak serdeczna jak dawniej i chętna do zwierzeń. Nie śmiały się, nie plotkowały. Wyczułem, że coś, co je łączyło, uleciało, przestało istnieć, i to raz na zawsze. W Jupiter wydawało mi się, że ja i mama oddaliliśmy się od siebie, lecz teraz zrozumiałem, że to mama odsuwała się od nas. Maria Elena i Matias wrócili do

Chile. Ich wyjazd nie oznaczał odrzucenia naszej przyjaźni, lecz ja znowu poczułem się osamotniony.

Mama nauczyła mnie prawie wszystkiego, co wiem. Teraz dała mi pracę i ponownie staliśmy się sobie bliscy.

- Kiedyś firma będzie twoja - powiedziała.

Starałem się nauczyć, jak odróżniać meble w stylu Ludwika XIV od stylu Jerzego V, ale zupełnie nie wyobrażałem sobie, że któregoś dnia rzeczywiście przejmę biznes. Matka zawsze była ze mną i myśl o życiu bez niej wydawała mi się kompletnie nierzeczywista.

Zainteresowanie, z jakim dawniej jako mały chłopiec rozglądałem się po imponującym magazynie Coyote'a, w „Fontaine” zostało ponownie rozbudzone i właściwie ukierunkowane. Z czasem nauczyłem się kochać te stare krzesła i stoły bardziej niż ludzi. Dlaczego miałbym ufać ludziom, skoro ci, których znałem, nigdy przy mnie nie wytrwali? Kiedy obdarzałem kogoś miłością, przegrywałem i z każdą przegraną stawałem się bardziej cyniczny. Ludzie pojawiali się w moim życiu i znikali. Nikt nie zapuścił przy mnie korzeni, chociaż gleba była przygotowana i spragniona roślin. Miałem tylko matkę i meble, w których renowację i utrzymanie wkładaliśmy całe serce.

Nie należałem już do „Czarnych Jastrzębi”, ale nadal byłem pełen gniewu i agresji, a przede wszystkim rozpaczliwie samotny. W Nowym Jorku było mnóstwo gangów, poczynając od grup towarzyskich, aż po prawdziwe bandy, lecz nie chciałem do nich dołączać. Tamta zadana nożem rana nauczyła mnie dwóch ważnych rzeczy: po pierwsze, że wśród członków gangu nie istnieje żadna lojalność, a po drugie, że wolę być żywy niż martwy. Tak więc odrzuciłem przemoc i skupiłem się na pracy. Praca była wszystkim, co mi pozostało.

Mijały lata. Z czasem stałem się mniej agresywny, nauczyłem się ukrywać gniew i zacząłem zawierać znajomości. Moja dobra prezencja przyciągała ludzi. Stwarzałem pozory wesołości - poczucie humoru stało się dla mnie sposobem maskowania smutku i rozgoryczenia. Drwiłem z życia i z siebie. Mój sarkastyczny dowcip rozśmieszał ludzi do łez, a śmiech z całą pewnością tworzy więzi trwalsze od wszelkich innych. Podobnie jak matka, potrafiłem być czarujący, kiedy mi na tym zależało, ale pod zewnętrzną warstwą uroku czaił się ból i strach, taki sam, jaki odczuwałem w dzieciństwie.

Za rogiem naszej ulicy mieścił się klub „U Grubego Sama”. Chodziłem tam wieczorami i poznawałem nowe dziewczyny. Ciągłe zmieniałem partnerki, szukając czegoś nieuchwytnego, czego nawet nie umiałem nazwać. Każda dziewczyna zapewniała mi chwilowe ukojenie, lecz rankiem znowu zaczynało

mnie nękać uczucie dziwnego niespełnienia. Czułem ból, ale nie wiedziałem, co jest jego przyczyną i jak mu przeciwdziałać.

Pewnego popołudnia szedłem przez Central Park. Był środek wyjątkowo upalnego lata. Dzieci bawiły się, psy goniły za piłkami, całe rodziny odpoczywały na trawie, beztroski śmiech rozbrzmiewał w dusznym, ciężkim powietrzu. Trzymałem ręce w kieszeniach i przyglądałem się im z zazdrością, czując się tak, jakbym przebywał w jakimś mrocznym, ponurym miejscu. Dobiegałem trzydziestki i co osiągnąłem w życiu prywatnym? Nie miałem żadnych głębokich związków, jeśli nie liczyć więzi łączącej mnie z matką. Mogłem pochwalić się tylko świetnie prosperującą firmą, którą razem prowadziliśmy, oraz umiejętnością kupowania i sprzedawania pięknych, lecz obojętnie przyjmujących uczucie przedmiotów. Patrzyłem na ludzi, każdy miał kogoś bliskiego, i czułem głębokie pragnienie, aby znowu kogoś pokochać. Często wspominałem Joy Springtoe, Jacques'a Reynarda i Claudine - nie chciałem tylko myśleć o Coyocie, bo te wspomnienia były bardzo bolesne. Nagle zauważyłem zmierzającą w moim kierunku młodą kobietę. Była wyraźnie zdenerwowana, twarz miała zaczerwienioną, uczesane w koński ogon kasztanowe włosy potargane, duże oczy błyszczące i niespokojne.

- Bardzo przepraszam, ale czy nie widział pan gdzieś tutaj małego białego pieska? - spytała.

Od razu zwróciłem uwagę, że mówi z francuskim akcentem.

- Niestety, nie - odparłem po francusku. Spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem.

- Wszędzie go już szukałam - podjęła w tym samym języku. - Strasznie się martwię... Jest taki malutki...

Nie wiem, czy sprawił to język francuski, czy też błagalny wyraz oczu dziewczyny obudził we mnie rycerskiego ducha, w każdym razie bez wahania zaproponowałem jej pomoc.

- Bardzo dziękuję... - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - Mam na imię Isabel...

Przedstawiłem się i ruszyliśmy przez park, nawołując pieska.

- Skąd jesteś? - spytałem.

- Z Paryża - odparła. - Przyjechałam tutaj kilka lat temu. Pracuję jako fotograf... Bandit! Bandit! Mam nadzieję, że nikt go nie ukradł, to taki piękny pies...

- Znajdziemy go. Będziemy chodzić po parku i wołać tak długo, aż przybiegnie.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście się znajdzie... Spojrzała na mnie niespokojnie. Skóra dookoła jej oczu była napięta ze zdenerwowania. Była śliczna, drobna, jak większość Francuzek, bardzo zgrabna i proporcjonalnie zbudowana, wąska w talii, z pełnymi piersiami, skromnie ukrytymi pod świeżo wyprasowaną białą koszulową bluzką, z oczami koloru toffi.

- Na pewno - powiedziałem zdecydowanym tonem. Isabel trochę się rozluźniła. Wyczułem, że nabrała pewności, bo nie była już sama.

Przeszukaliśmy cały park. Wiedziałem, że znajdziemy psa, podpowiadała mi to intuicja, która nie opuszczała mnie od wczesnego dzieciństwa. Wiedziałem też, że Isabel i ja zostaniemy kochankami. Już teraz czułem smak jej skóry, zupełnie jakbym wcześniej dotykał jej wargami i językiem. Isabel wydawała mi się równie dobrze znana jak winnica, po której biegałem razem z Pistou. Moje opanowanie uspokoiło ją, mogliśmy więc rozmawiać w czasie wędrówki alejkami.

- Od dawna masz psa? - zapytałem.

Wiedziałem, że dziewczyna będzie chciała mówić przede wszystkim o swoim ulubieńcu.

- Bandit ma trzy lata, dostałam go jako małego szczeniaczka. Jest dla mnie największym skarbem...

- Uciekał już wcześniej?

- Nigdy. Nie mam pojęcia, co go napadło. Bandit!

- Lubi uganiać się za sukami?

Zerknęła w górę i przyłapała mnie na uśmiechu.

- A czy jest na świecie pies, który nie lubi uganiać się za sukami? - uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Może po parku spaceruje suka, która ma cieczkę - powiedziałem. - Wiesz, jakie są psy - kiedy to wyczują, nie odstąpią suki, dopóki sama ich nie przegoni...

Trochę jak mężczyźni, pomyślałem. Bardzo podobał mi się zapach Isabel.

- Więc co mam zrobić? Nie ma przecież burdeli dla psów, prawda? Bandit!

- Każdy kogoś potrzebuje - mruknąłem.

Te słowa wymknęły mi się z ust niemal bezwiednie. Całe moje ciało pulsowało podnieceniem. Potrzebowałem kogoś, kogo mógłbym kochać - proste, prawda? Wreszcie zdiagnozowałem, że moje cierpienie brało się z serca. Samo rozpoznanie problemu sprawiło, że nagle zniknął, jakby go nigdy nie było. Spojrzałem w jasne popołudniowe słońce i poczułem, jak robi mi się lekko na duszy.

Nie zaskoczyło mnie, że mały Bandit w końcu przybiegł do swojej pani, zakurzony, ale szczęśliwy. Isabel uklękła i chwyciła psa w objęcia, całując go po całej mordce.

- Ach ty, niegrzeczny! - zawołała, chociaż wyraźnie nie miała mu za złe tej eskapady.

Bandit kompletnie nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo Isabel martwiła się z jego powodu, bo wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego i merdał ogonem z ogromnym entuzjazmem.

- Jak ja ci się odwdzięczę za pomoc? - Dziewczyna podniosła się, wciąż trzymając ulubieńca w ramionach.

Jej twarz promieniała, policzki miała zaróżowione, oczy błyszczące, oczywiście nie od łez. Doskonale wiedziałem, w jaki sposób mogłaby mi się odwdzięczyć, ale postanowiłem wykazać się delikatnością i nie mówić jej tego wprost.

- Pozwól, że zaproszę cię na herbatę. Nie wiem, jak ty, ale ja konam z głodu...

- Och, znam idealne miejsce, małą francuską kawiarnię na West Fifty-fifth, gdzie podają świeżutkie croissanty i ciastka z czekoladą własnego wypieku! - ucieszyła się.

- Chocolatines? - W głowie zakręciło mi się nagle na wspomnienie cukierni w Mauriac.

- To moje ulubione ciastka...

- Moje także - powiedziałem. - Mógłbym zabić za dobrze wypieczoną chokolatinel

Smak ciasta i czekolady, zapach papierosów i kawy przeniosły mnie w lata wczesnego dzieciństwa. Prawie czułem dotyk pachnącego eukaliptusami wiatru na twarzy i słyszałem grające w trawie cykady. Rozmawialiśmy po francusku, tworząc małą wyspę z okrągłego stolika, nad którym nachylaliśmy się ku sobie niczym starzy przyjaciele. Byłem przekonany, że już ją znam. Znałem już jej zapach, dźwięk głosu, gęstość kasztanowych włosów... Przybyła do mnie z odległego miejsca i czasu, a ja powitałem ją jak rozbitek spragniony kontaktu z drugim człowiekiem.

Na policzkach i nosie miała piegi, a kiedy się uśmiechała, cała jej twarz otwierała się i promieniała. Budziła we mnie takie uczucie, jakbym wypił butelkę dobrego francuskiego wina i zatonął w nostalgicznych wspomnieniach. Śmiałyśmy się do bólu brzucha, po prostu z niczego, lecz wszystko, co mówiłem, Isabel uznawała za błyskotliwie dowcipne i ogromnie zabawne. Bandit siedział na kolanach swojej pani i jadł herbatniki z jej ręki, zupełnie jak

Rex, zabawny i rozpieszczony piesek Daphne Halifax. Dziewczyna głaskała go po głowie i całowała jak ukochane dziecko.

Zaprosiła mnie do swojego mieszkania i kochaliśmy się przez całe popołudnie. Jako Francuzka uważała, że miłość fizyczna jest przyjemnością, z której należy korzystać, kiedy ma się na nią ochotę. W przeciwieństwie do wielu znanych mi młodych Amerykanek, nie czekała na ślub. Miała już niejednego kochanka i wydawała się wręcz stworzona do uprawiania miłości. Śmiała, bezwstydną i nonszalancką, próbowała wszystkiego i im więcej ją pieściłem, tym więcej chciała ode mnie dostać.

Pod ubraniem nosiła śliczne jedwabne figi obszyte koronką i taki sam biustonosz. Jej skóra była gładka, pachnąca ruberozami. Padliśmy na kanapę i powoli przesuwałem dłońmi po całym jej ciele, delektując się leciutką warstewką wilgoci, która pozostawała na moich palcach, zupełnie jak poranna rosa w ogrodzie dookoła chateau. Wylizałem ją dokładnie, czując słonawy, morski smak jej potu, a potem wziąłem w ramiona i odzyskałem kraj, który utraciłem dawno temu. W brązowawej, słodkiej miękkości jej skóry odnalazłem Francję.

Tamtej nocy przyśniła mi się Claudine. Staliśmy na mostku w gorący, letni dzień. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Nad wodą unosiły się stada małych muszek, wśród gałęzi drzew wesoło pogwizdywały ptaki. Czułem się całkowicie bezpiecznie. Nie musieliśmy nic mówić, ponieważ doskonale rozumieliśmy się bez słów. Wpatrywaliśmy się w niewielkie fale na wodzie i pływające blisko dna ryby. Przypomniałem sobie pana Cezade'a i zdechłą rybę, a w tej samej chwili Claudine spojrzała na mnie, jakby także o tym pomyślała. Uśmiechnęła się, odsłaniając trochę za duże zęby, jej twarz była ciepła i łagodna. Wzięła mnie za rękę. „Jestem przy tobie - mówiły jej oczy. - Nigdy cię nie opuszczę".. Delikatnie ścisnąłem jej dłoń i poczułem gorące łzy pod powiekami.

Kiedy się obudziłem, objąłem Isabel i pocałowałem ją. Jej pocałunek miał smak Francji.

Sądziłem, że mama będzie zadowolona, bo przecież wreszcie znalazłem miłość. Powinna była cieszyć się moim szczęściem, ale może emanujące ze mnie uczucie spełnienia podkreślało pustkę w jej sercu... Pustkę pozostałą po Coyocie, pustkę, której nikt nie mógł zapełnić... Myślałem, że mama pokocha Isabel, nie tylko ze względu na mnie, ale także dlatego, że moja ukochana była Francuzką, dziewczyną z kraju, który oboje kochaliśmy i porzuciliśmy. Francję mieliśmy we krwi i Ameryka nie mogła jej zastąpić, było to po prostu nie do pomyślenia. Tak czy inaczej, mama nawet nie polubiła Isabel. Zamknęła się jak

kwiat pod wpływem mrozu, zwinęła płatki i znieruchomiła. Nie zachowywała się nieuprzejmie, lecz jej widoczna niechęć do pełnego zaakceptowania Isabel była obraźliwa. Nigdy nie wymieniała imienia mojej dziewczyny, nigdy w ogóle o niej nie wspominała. Pragnąłem podzielić się z nią moim szczęściem, ale czułem, że mama wcale tego nie chce.

Zachęcałem ją, żeby umawiała się z mężczyznami, którzy próbowali się do niej zalecać. Była piękną kobietą i miała wielu adoratorów, lecz wciąż powtarzała, że Coyote wróci, że to tylko kwestia czasu. Z ponurą determinacją codziennie nakrywała dla niego do stołu, zupełnie jakby talerz i sztućce mogły w magiczny sposób przyciągnąć go do jej domu, wiem też, że codziennie gorąco modliła się o jego powrót. Klękała przy łóżku i kryła twarz w dłoniach, tak samo jak w kościele w Mauriac. Może wierzyła, że moc modlitwy przyprowadzi Coyote'a do nas. Czasami siadała na parapecie i długo wpatrywała się w niebo, może w nadziei, że ten sam wiatr, który sprowadził go do Mauriac, teraz przywiedzie go do Nowego Jorku. Czekala na niego i nawet nie chciała myśleć o innych mężczyznach, lecz on nie wrócił.

Moja matka kochała dwa razy, najpierw mojego ojca, potem Coyote'a - obaj zostawili ją samą, zdaną na łaskę losu. Czy to pod wpływem szaleństwa tańczyła w rytm muzyki z gramofonu w środku nocy, w swojej ciemnej sypialni? Czy mój ojciec i Coyote stopili się w jej wyobraźni w jednego mężczyznę? Czy to uczucie totalnego zagubienia spowodowało powstanie guza, który ostatecznie ją zabił? Mama potrzebowała mnie, musiałem się nią zaopiekować, a w tym czasie straciłem z oczu Isabel. Myślałem, że kocham tę dziewczynę, ale może tak naprawdę kochałem Francję... Może wcale nie byłem gotowy, żeby znowu obdarzyć kogoś zaufaniem... Stałem się zaborczy, podejrzliwy i początkowe podniecenie zbladło, przerodziło się w kłótnie i oskarżenia.

- Nie potrafię się do ciebie zbliżyć, Mischa - powtarzała Isabel, a we mnie narastała chęć przerwania jej w pół słowa. - Nie chcesz mnie do siebie dopuścić...

Jej oskarżenia nie były bezpodstawne. To prawda, nie zwierzałem się jej. Nie dzieliłem się przeszłością. Myślałem, że uda mi się to zrobić, ale okazało się, że nie potrafię. Zatrzymałem wszystkie wspomnienia dla siebie i znowu zostałem sam. Znowu byliśmy tylko we dwoje - Maman i jej chevalier.

Nowy Jork, 1985

Wszystko to należało już do przeszłości. Dźwignąłem się z podłogi i przeciągnąłem, ociężały ze smutku. Powoli rozprostowując stawy, sztywno podszedłem do okna i oparłem ręce na parapecie. Leżący na chodniku śnieg nadal był świeży i biały, tylko na jezdni koła samochodów zmieniły go w szarą breję. Przezierające spomiędzy chmur fragmenty zimowego nieba nad Nowym Jorkiem były popielatoniebieskie, nagie drzewa wydawały się skulone z zimna. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie letni upalny dzień we Francji.

Z zamyślenia wyrwał mnie głośny, natarczywy dzwonek telefonu. Podskoczyłem nerwowo, jakbym się bał, że donośny dźwięk obudzi Śmierć, drzemiącą w pustym mieszkaniu.

- Halo?

- Stan powiedział mi, że tutaj cię zastanę... Dzwoniła Linda, dziewczyna, z którą dzieliłem życie przez ostatnie dziewięć lat.

- Powinienem wreszcie przejrzeć jej rzeczy - powiedziałem. - Równie dobrze mogę zrobić to właśnie teraz...

- Rozumiem... - W jej głosie usłyszałem napięcie. - Chcesz, żebym ci pomogła?

- Dziękuję, chyba lepiej, żebym zajął się tym sam. Nastąpiła chwila milczenia. Nie ulegało wątpliwości, że Linda jest rozczarowana. Czuję się winny, bo ostatnio prawie się do niej nie odzywałem.

- Oczywiście możesz wpaść, jeśli nie masz nic innego do roboty - dodałem niechętnie.

- Zaraz tam będę - odparła pogodnie.

Odłożyłem słuchawkę i westchnąłem. Nie miałem najmniejszej ochoty dzielić się tymi przeżyciami ani z Lindą, ani z kimkolwiek innym. Moja matka raz na zawsze zamknęła pewne rozdziały swego życia, a ja poszedłem w jej ślady. Znalazłem jakąś torbę i włożyłem do niej album ze zdjęciami oraz listy, które chciałem przeczytać w domu. Małą gumową piłkę wsunąłem do kieszeni.

Byłem w holu, kiedy Linda zadzwoniła do drzwi. Przyszła pieszo. Policzki miała zaczerwienione, a jej błękitne oczy błyszczały z zimna. Zdjęła wełniane rękawiczki i czapeczkę i potrząsnęła grzywą jasnych włosów.

- Potworny ziąb! - zawołała, pociągając nosem.

- Zrobić ci drinka? - spytałem.

- Jasne! - ucieszyła się. - Co masz do picia? Poszła za mną do salonu i zajrzała do barku.

- Strasznie tu ponuro - powiedziała. - Dlaczego nie odślonisz okien i nie wpuścisz trochę światła?

Wzruszyłem ramionami.

- Ten półmrok jeszcze bardziej cię przygnębia, Mischa... Uwaga o przygnębieniu mocno mnie zirytowała. Byłem przygnębiony, to chyba naturalne, ostatecznie dopiero co umarła mi matka... Nalałem Lindzie szklaneczkę cytrynowki.

- To naprawdę dziwne... - ciągnęła. - Właściwie nic się tu nie zmieniło, chodzi mi o to, że wszystkie rzeczy są na swoim miejscu, a jednak mieszkanie ma inną atmosferę, zupełnie jakby nagle uszło z niego powietrze...

- Bo tak właśnie jest - odparłem, pociągając łyk dżinu.

- Widzę, że poczta nadal do niej przychodzi. Chcesz, żebym ją przejrzała?

- Nie, zaraz się tym zajmę.

- Chciałabym ci pomóc - powiedziała błagalnie. Wiedziałem już, co mnie teraz czeka.

- Nie wzruszaj ramionami - ciągnęła. - To takie nieuprzejme, zupełnie jakbym była twoim wrogiem...

Stłumiła szloch i odsłoniła okno, ściągając przytrzymujące zasłonę kółka na bok. Jasne światło chlusnęło falą do środka, ukazując warstwę kurzu na meblach. Oślepiiony rzuciłem się do tyłu, trochę jak wampir.

- Dużo lepiej, nie uważasz? - rzuciła, głęboko wciągając powietrze.

Przeszła przez pokój, stukając o podłogę obcasami wysokich skórzanych butów.

- Musimy zorganizować to z wojskową precyzją - oświadczyła. - Przyniosę kilka worków na śmieci...

Słyszałem, jak w kuchni otwiera i zamyka drzwi szafek, jak szeleści folią. Ogarnęła mnie fala irytacji. Gdy podniosłem wzrok, Linda stała w progu i podwijała rękawy swetra.

- Uporządkuję kuchnię, bo tam raczej nie ma przedmiotów o wartości sentymentalnej - powiedziała. - Ty zacznij od sypialni...

Nie udało mi się zapanować nad zdenerwowaniem.

- Przestań! - przerwałem jej. - Nie chcę, żebyś sprzątała kuchnię czy robiła cokolwiek innego! Nie powinienem był cię tu zapraszać!

Nie rzuciła mi przepaszającego spojrzenia, jak zwykle, gdy na nią krzyczałem, lecz skrzywiła się ze złością i eksplodowała niczym przegrzany szybkar.

- Nie, Mischa, to ty przestań! Nie zniosę tego ani chwili dłużej! Zachowujesz się jak struś, bez przerwy chowasz głowę w piasek! Jeżeli ci nie pomogę, nie zrobisz tu porządku jeszcze przez wiele miesięcy! Musisz wziąć się w garść i zająć się tym mieszkaniem! Zatrzymaj wszystko, co chcesz stąd zabrać, wyrzuć resztę i sprzedaj tę norę! Pozbądź się niepotrzebnych rzeczy i zacznij wreszcie normalnie żyć!

Milczałem, kompletnie zaskoczony wybuchem, który wydawał się zupełnie do niej niepodobny.

- Jesteś wiecznie nachmurzony i opryskliwy! Mam dosyć twoich humorów, czuję się jak niewolnica, która musi bez przerwy uważać, aby przypadkiem nie rozgniewać czymś pana! Jesteś największym egoistą, jakiego w życiu spotkałam, słowo daję! Myślisz wyłącznie o sobie, nikt inny cię nie obchodzi! I wiesz co? Teraz po prostu rozczulasz się nad sobą, i tyle! Tak głęboko wlałeś w litowanie się nad biednym Mischą, że już nie widzisz wyjścia z tej sytuacji! Ale ja mam własne potrzeby, mój drogi! Ja też potrzebuję kogoś, kto się mną zaopiekuje i zajmie!

Bez słowa patrzyłem na nią, a ona rzucała we mnie jednym oskarżeniem po drugim, zupełnie jakby obrywała kolejne listki karczocha, aż w końcu dotarła do sedna sprawy.

- Nie potrafię się z tobą porozumieć - powiedziała cicho. - Próbowałam, naprawdę, i byłabym gotowa próbować dalej, ale widzę, że to nie ma sensu... Nie mogę się do ciebie zbliżyć... Nic na to nie poradzę...

Usiadłem, oparłem łokcie na kolanach i powoli potarłem skronie czubkami palców. Ta scena z całą pewnością nie była mi teraz potrzebna, ale cóż...

Linda osunęła się na kanapę i zaczęła płakać.

- Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz... - wymamrotałem, chociaż oczywiście nie była to prawda.

Chciała, żebym wyznał jej miłość, ale jak mógłbym to zrobić... Nie byłem zdolny do miłości. Linda pragnęła trwałego związku, jak wszystkie kobiety. Chciała porozumieć się ze mną, sięgnąć w głąb mojego serca, lecz ja nie zgadzałem się na taki układ. Nie mogłem dać jej tego, co spodziewała się znaleźć, a co więcej, wcale nie chciałem próbować.

- Gdybyś tylko pozwolił, żebym cię kochała, gdybyś tylko przyjął moje uczucie... - szepnęła, podciągając kolana do piersi. - Niczego więcej nie chcę...

Wierzchem dłoni otarła mokrą od łez twarz.

- Dlaczego tak ci na tym zależy, skoro jestem pozbawionym serca draniem?

- Kiedy poznaliśmy się dziewięć lat temu, ujrzałam gniewnego olbrzyma o płonących niebieskich oczach i tak ognistym uroku, że można by podpalić nim

całe miasto. Byłeś też zabawny, zwłaszcza gdy nie wściekałeś się na życie. Później, kiedy poznałam cię trochę lepiej i spostrzegłam, jaki jesteś wrażliwy, zrozumiałem, że warstwa gniewu maskuje tłący się w twoim sercu ból. Teraz brzmi to idiotycznie, ale wtedy wierzyłam, że zdołam cię uratować. Byłam młoda, miałam zaledwie dwadzieścia osiem lat i zależało mi głównie na tym, żeby cię uszczęśliwić. Myślałam, że z czasem pozwolisz mi do siebie dotrzeć... - pokręciła głową i lekko ściągnęła brwi. - Ale bardzo się pomyliłam...

- Przykro mi...

- Czasami miłość nie wystarcza. Można dawać i dawać bez końca, lecz jeśli nie dostajesz czegokolwiek w zamian, źródło miłości wyschnie... Nie mam już siły, Mischa. Nie stać mnie na wysiłek, jakiego wymaga ciągle odkopywanie źródła...

- Jesteś za dobra dla mnie.

- Och, nie mów tego takim krytycznym tonem, zresztą, to nie ma nic wspólnego z prawdą! Nie jestem za dobra, po prostu zabrakło mi cierpliwości, moje rezerwy wyschły. Sądziłam, że po śmierci twojej matki coś się między nami zmieni, bo ona nigdy mnie nie lubiła. Chciała cię mieć dla siebie, lecz co z tego, że odeszła, skoro wszystko zostało po staremu... Nawet po śmierci nie chce cię uwolnić, a ty chyba też wcale tego nie pragniesz... Nie chcesz pozwolić jej odejść, prawda? Nadal jest ci potrzebna, nie możesz się bez niej obyć... Trudno mi uwierzyć, że byliśmy ze sobą całe dziewięć lat... To kawał czasu, ale chyba nie znam cię dużo lepiej niż w dniu, kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz...

- Niezbyt dobrze wychodzą mi rozmowy o przeszłości - powiedziałem. - Najczęściej wolę nawet o niej nie myśleć...

- Cóż, nie zaczniesz żyć normalnie, jeśli nie uporasz się z przeszłością - rzuciła twardo. - Musisz podzielić się przeżyciami z kimś, kto jest ci bliski, a potem iść dalej. Jeśli nie możesz rozmawiać ze mną, umów się z psychiatrą...

Zrozumiała, że nie mam nic więcej do powiedzenia i przystąpiła do ostatniego ataku. Wstała, oparła rękę na biodrach i odrzuciła włosy do tyłu.

- Może ty potrzebujesz dalej nurzać się w tym swoim cuchnącym stawie ze wspomnieniami, ale ja zamierzam zająć się swoim życiem. Chcę wyjść za mąż, urodzić dzieci, urządzić sobie dom. Chcę zestarzeć się w otoczeniu wnuków. Oddałam ci najlepsze lata, lecz na tym koniec. Gdybym zdecydowała się zostać z tobą, oznaczałoby to samobójstwo. Jestem jeszcze młoda i mam kogoś, kto zasługuje na moją miłość!

Z tymi słowami opuściła mieszkanie i moje życie. Nie mogę nawet powiedzieć, aby było mi przykro z tego powodu.

Osuszyłem szklaneczkę i zamyśliłem się. Oczywiście Linda miała rację. Utknąłem w martwym punkcie, w moim życiu nic się nie działo, kompletnie nic. Chciałem coś z tym zrobić, ale nie miałem pojęcia, jakie decyzje powinienem podjąć, od czego zacząć. Z całą pewnością nie chodziło o to, abym związał się z kobietą, założył rodzinę czy zbudował dom, ponieważ stagnacja tkwiła wewnątrz mnie. Polegało to na stanie umysłu, uczuć czy też, w tym wypadku, braku uczuć. Moje życie wewnętrzne wróciło do stanu sprzed wielu lat, zanim Coyote wkroczył w nasz świat i ogrzał moje serce miłością. Nikomu nie ufałem. Stałem się samotną wyspą, tak jak wtedy, tyle że teraz nie byłem już rycerzem mojej matki, bo ona umarła, odeszła, pozostawiając mnie zupełnie samego.

Kiedy wróciłem do domu, okazało się, że Linda spakowała swoje rzeczy i znikła. Poświęciła mi dziewięć lat życia. Raz już rozstaliśmy się po gwałtownej kłótni i w jakiś czas potem zesłaliśmy się znowu, ale nie miałem cienia wątpliwości, że teraz Linda nie wróci. Ogarnęło mnie uczucie osamotnienia. Chodziłem po mieszkaniu jak opuszczony pies, żałowałem swoich słów i powtarzałem sobie, że może jednak mamy jeszcze jakąś szansę. Własne mieszkanie wydawało mi się równie puste, jak mieszkanie matki. Było czyste, wysprzątane i całkowicie pozbawione duszy. Szybko zdałem sobie sprawę, że chociaż zewsząd dobiegają mnie echa przeżytych z Lindą chwil, wszystkie te lata zlewają się w szarą, pozbawioną znaków szczególnych całość. Zainwestowałem w ten związek czas, ale nie serce. Linda weszła w moje życie i wyszła, nie pozostawiła po sobie żadnego śladu, podobnie jak krople deszczu na piórach kaczki. Dlaczego tak się stało? Ponieważ nie pozwoliłem, aby wywarła jakikolwiek, choćby najmniejszy wpływ na moje życie.

Położyłem album i listy na biurku. Przyniosłem też ze sobą pocztę matki, lecz teraz nie miałem siły ani ochoty jej przeglądać.

Nagle zabrzączał telefon. Dzwonił Harvey Wyatt, mój adwokat.

- Jak się czujesz, Mischa? - .Dobrze. Czemu dzwonisz?

- W końcu dostałem odpowiedź z Metropolitan Museum.

- I?

- Nie mogą przyjąć Tycjana jako podarunku, bo pochodzenie obrazu jest nieznane. Badania potwierdzają jego autentyczność, ale brak informacji o poprzednich właścicielach poważnie utrudnia sprawę...

- Niestety, nie potrafię im pomóc.

- Twoja matka nigdy ci nic nie mówiła?

- Nie wiedziałem o istnieniu obrazu, ponieważ ani słowem mi o nim nie wspomniała.

- Ach, ci nasi kochani bliscy! - westchnął nieco teatralnie.
- Nie miałem zielonego pojęcia, że ma Tycjana - uzupełniłem.
- Chyba go nie ukradła, co?
- Nie bądź śmieszny, Harvey! Moja matka nie umiała nawet kłamać, a co dopiero mówić o kradzieży!
- Żartuję, żartuję...
- I niby skąd miałyby go ukraść, do diabła? - zirytowałem się.
- Skoro ty o niczym nie wiesz, to ja tym bardziej.
- Więc co zamierzają zrobić z obrazem?
- Przyjmą go jako „eksponat wypożyczony”, na wypadek, gdyby pewnego dnia zgłosili się prawdziwi właściciele...
- Niczego się nie dowiedzieli? Niemożliwe przecież, żeby Tycjan wziął się znikąd! Taki obraz musi mieć jakąś historię!
- Robert Champion, główny kustosz muzeum, przypuszcza, że Cygańska Madonna twojej matki jest wcześniejszą wersją innego obrazu, wersją, która zaginęła lub została skradziona. Malarze często powtarzali pewne motywy. Wersja późniejsza, którą wszyscy znamy, namalowana w 1511 roku, wisi w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum. Obrazy nie są identyczne, ale bardzo podobne. Sęk w tym, że w żadnych źródłach historycznych nie udało się znaleźć informacji potwierdzających istnienie wersji, która znalazła się w posiadaniu twojej matki. Najprawdopodobniej oznacza to, że obraz przez kilkaset lat był w rękach prywatnych kolekcjonerów. Jeżeli teraz pojawi się w Metropolitan Museum, ktoś może wystąpić o jego zwrot, rozumiesz? Dla muzeum może to oznaczać kłopoty, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Nie wiesz, jak długo ten Tycjan przebywał w rękach twojej matki?
- Mówiłem ci już, że w ogóle nie wiedziałem o jego istnieniu, do cholery!
- Uspokój się, Mischa... Wziąłem głęboki oddech.
- To naprawdę nie przelewki, mój drogi - ciągnął Harvey. - Obraz tak sławnego malarza nagle pojawia się na rynku, chociaż przez blisko pięćset lat nikt go nie wystawiał... Historycy sztuki i kolekcjonerzy po prostu oszaleją!
- Na pewno jest autentyczny?
- Na pewno. Eksperti Metropolitan przeprowadzili szczegółowe badania.
- Dlaczego go ukrywała, do diabła?! - W jednej chwili ogarnęła mnie wściekłość. - Dlaczego go nie sprzedała? Bylibyśmy bogaci! - Roześmiałem się gorzko.
- Pewnie wiedziała, że sprzedanie bezcennego dzieła sztuki to nie lada problem... - westchnął Harvey.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem... - mruknąłem. - A teraz, kiedy już nie żyje, nigdy nie dowiem się, skąd go miała...

I wtedy wreszcie mnie olśniło. Być może żył jeszcze człowiek, który mógł wiedzieć coś o tajemniczym Tycjanie. Otwartą dłonią klepnąłem się w czoło, zdumiony, że nie pomyślałem o nim wcześniej.

- Słuchaj, teraz nie bardzo mogę rozmawiać, śpieszy mi się - rzuciłem do słuchawki. - Zadzwoń, jeżeli dowiesz się czegoś nowego...

Natychmiast zacząłem przeglądać stary notes w poszukiwaniu numeru telefonu, który zapisałem przed wielu laty. Matias i jego żona wyjechali do Chile w 1960 roku - nie byłem nawet pewny, czy oboje nie przenieśli się już do lepszego świata.

Tamtego wieczoru wyszedłem z domu, nie mogąc znieść samotności. Zwykle wpadałem na drinka do małego baru za rogiem, ale wszyscy tam znali mnie i Lindę, dlatego postanowiłem pójść gdzieś indziej. Nie przeczytałem nawet nazwy lokalu, po prostu usiadłem na stołku przy barze i zamówiłem drinka. Nigdy nie paliłem, lecz nagle opanowało mnie silne pragnienie, aby sięgnąć po papierosy. Wciąż czułem zapach gauloise'ów Coyote'a, zapach, który wytrącał mnie z równowagi i ciągnął w przeszłość. Nie znałem odpowiedzi na tyle różnych pytań... Nie miałem ochoty zastanawiać się nad nimi, ponieważ nie chciałem szukać rozwiązań. Znacznie lepiej wychodziło mi chowanie głowy w piasek, jak powiedziała Linda. W gruncie rzeczy wcale nie chciałem wiedzieć, dlaczego Coyote nie wrócił - mały chłopiec, który krył się w moim sercu, wciąż cierpiał z powodu odrzucenia.

Po chwili alkohol rozluźnił napięte mięśnie karku i barków i zacząłem oddychać spokojniej. Rozejrzałem się dookoła. Jakiś mężczyzna grał na gitarze, a młoda ładna kobieta śpiewała przyjemną piosenkę. W barze panował łagodny, miły nastrój, światło było przyćmione, w powietrzu wisiał gęsty zapach papierosowego dymu i perfum. Pomyślałem, że tutaj nikt nie będzie stawiał mi żadnych pytań ani wymagań i od razu poczułem się trochę lepiej. Może powinienem podziękować losowi za odejście Lindy... Teraz będę musiał sam robić sobie pranie, ale co z tego? Chwilę zastanawiałem się nad świeżo odzyskaną wolnością i uznałem, że chyba jednak nie będzie mi tak źle. Zrozumiałem, że powinienem wyjechać, zostawić Nowy Jork, wybrać się na zagraniczną wycieczkę. Od lat nie podróżowałem. Rutyna pracy pochłonięła mnie bez reszty, upodobiłem się do konia pociągowego, któremu właściciel zasłania oczy, aby nie mógł zerkać na boki. Postanowiłem, że odnajdę Matiasa i przy okazji zrobię sobie wakacje. Uśmiechnąłem się do siebie i zamówiłem jeszcze jednego drinka.

- Cześć...

Odwrociłem się i zobaczyłem siedzącą na sąsiednim stolku kobietę.

- Cześć - odparłem.

- Jesteś sam?

Kiwnąłem głową. Oszacowałem ją szybkim spojrzeniem - miała gęste rude włosy, opadające falą na gładkie jak krem ramiona, pełne piersi, podkreślone dużym dekoltem czarnej sukienki i łagodną, pulchną twarz.

- Ty także? - spytałem, wmawiając sobie, że jej orzechowe oczy są naprawdę piękne.

- Nie, wszyscy moi przyjaciele są tutaj - odparła.

Gdy uniosłem brwi, parsknęła śmiechem i położyła mi dłoń na ramieniu.

- Ten bar należy do mnie - wyjaśniła. - Mam na imię Lut lu... Jesteś tu pierwszy raz, prawda?

- Tak.

- Jasne! - pokiwała głową. - W przeciwnym razie na pewno zauważyłabym cię już wcześniej... - Popatrzyła na mnie z nieskrywanym zainteresowaniem. - Masz jakieś imię, czy też wszyscy nazywają cię przystojniakiem?

Gdy roześmiałem się w odpowiedzi na ten kulawy żart, uświadomiłem sobie, że alkohol uderzył mi do głowy.

- Nazywam się Mischa, Mischa Fontaine. - Wyciągnąłem do niej rękę.

Podąła mi swoją, miękką i wilgotną.

- Bardzo mi miło, że mogę gościć cię w moim barze - powiedziała. - Jesteś wysoki, prawda? Lubię wysokich facetów... No i nie pochodzisz stąd, jesteś obcokrajowcem, zgadłam? Masz ciekawy akcent...

Potrząsnąłem głową.

- Błąd! - zaśmiałem się. - Mieszkam niedaleko, i to od dawna!

W wyrazie jej oczu było coś, co pobudzało mnie do śmiechu. Miałem wrażenie, że nie traktuje siebie poważnie - zachowywała się tak, jakby flirt był jedynie przyjemną grą.

- Może i tak, ale na pewno tu nie dorastałeś! - oświadczyła.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Widzę to - w twoich oczach jest inny świat i bardzo mi się podoba, że nic o nim nie wiem...

Roześmiałem się znowu i uniosłem szklaneczkę.

- Pewnie to sprawka tego drinka - powiedziałem teatralnym szeptem.

- Och, alkohol nie zawsze dobrze działa na mężczyzn... - Lulu musnęła dłonią moje krocze. - Dlatego lepiej nie pij więcej, co ty na to? Widzę, że jesteś jak ta cicha woda, co brzegi rwie... Nie wiadomo, co znajduje się na dnie -

może inny świat... - zbliżyła wargi do mojego ucha. - Pozwolisz, żebym zaprosiła cię do siebie? - spytała szeptem, wsuwając długi czerwony paznokieć w przerwę między guzikami mojej koszuli. - Mam ochotę pieprzyć się z tobą, Mischa... Przyszedłeś do mojego baru, jesteś moim gościem, więc chyba powinnam zaprezentować ci pełną ofertę moich usług...

Przyjąłem jej zaproszenie. Mieszkanie było małe, ale schludne i przyjemne, powietrze przesycone zapachem kwiatów i tanich perfum. Nie tracąc czasu, chwyciłem ją w ramiona i zaniósłem do sypialni, chociaż wcześniej usiłowałem wdrzeć się do garderoby, co doprowadziło ją do wybuchu śmiechu. W łóżku smakowała po prostu cudownie - duża, miękka i soczysta. Miała ogromny apetyt na rozkosz i bez cienia wstydu rozkładała nogi, abym mógł ją tam dotykać. Wiła się pod moją dłoń jak kot, jęczała, miauczała i kręciła biodrami, dopóki nie zagłębiłem języka między jej udami. Seks od lat nie był dla mnie tak wielką przyjemnością. Lulu okazała się kobietą doświadczoną i cieszącą się rozkoszą niczym wyjątkowo smakowitym posiłkiem. Później długo leżeliśmy objęci, wsłuchani w szybki rytm swoich serc, które wciąż pompowały adrenalinę.

- Wiedziałaś, że jesteś dobrym kochankiem... - zamruczała, sunąc wargami po mojej klatce piersiowej.

- Skąd wiedziałaś?

- Wszyscy Francuzi potrafią się kochać...

- Odgadłaś, że jestem Francuzem?

- Tak, zdradził cię akcent... Słysząc w nim echo Francji.

- Dawno temu rzeczywiście byłem Francuzem - przyznałem.

Nagle ogarnęła mnie tęsknota za winnicą i ciepłym, pachnącym sosnową żywicą powietrzem wokół chateau.

- No, właśnie... Mówiłam, że w twoich oczach widać inny świat...

- To stracony świat, chociaż ty oczywiście nie możesz o tym wiedzieć.

- Nic nigdy nie jest do końca stracone - powiedziała mądrze. - Jeżeli naprawdę tego chcesz, możesz odzyskać swój świat...

- Jakoś nie bardzo w to wierzę.

- I to ten brak wiary, mój przystojniaku, uniemożliwia ci walkę o spełnienie pragnień.

Następnego dnia rano poszedłem do pracy lekkim, sprężystym krokiem. Stanley obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem, zupełnie jakby nagle wyrosła mi druga głowa czy coś w tym rodzaju.

- Hej, dobrze się czujesz? - zagadnął.

Esther zerwała się z miejsca i podeszła do mnie.

- Słyszałam, że Linda cię zostawiła - powiedziała, splatając ręce na piersi i kręcąc głową. - Bardzo mi przykro...

Stanley chrząknął znacząco, dając wyraz dezaprobacie dla nadmiernej szczerości Esther. Uśmiechnąłem się do nich obojga.

- Biorę urlop - oświadczyłem. Stanley zdjął okulary.

- Urlop? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak, taką przerwę w pracy, jaką ludzie robią sobie od czasu do czasu, żeby odpocząć - wyjaśniłem sarkastycznie.

- Ale przecież ty nigdy nie wyjeżdżasz na urlop!

- Przestań gadać bzdury, Stanley - skarciła go Esther i popatrzyła na mnie ze współczuciem. - Nie przejmuj się tym, co on mówi, Mischa... Umarła ci matka, twoja dziewczyna odeszła, Nowy Jork jest zimny, zasypany śniegiem i ponury. Dokąd się wybierasz?

- Do jakiegoś przyjemnie gorącego kraju... - wzruszyłem lekko ramionami. - Na przykład do Chile...

- Naprawdę jest taki kraj? - zażartowała Esther.

- Wyjeżdżam jutro, więc chciałbym, żebyście w czasie mojej nieobecności pilnowali interesu.

- Już teraz wyglądasz lepiej niż wczoraj. - Esther uśmiechnęła się szeroko. - Masz promienną twarz, naprawdę! Zakochałeś się albo ktoś zrobił ci dobrze w łóżku, innej możliwości nie widzę! Tak czy inaczej, szkoda, że częściej nie pozwalasz sobie na taką frajdę!

Potrząsnąłem głową.

- Po prostu dopiero wczoraj zdałem sobie sprawę, że faktycznie muszę na chwilę oderwać się od codzienności - wyjaśniłem.

- Jeżeli wpadnie ci w oko coś ciekawego, kupuj bez wahania - przykazał mi Stanley, przecierając okulary końcem krawata. - Może lepiej pojedź do Europy, bo w Chile raczej trudno o interesujące dzieła sztuki...

- Ach, do Europy... - rozmarzyła się Esther. - Ile ja bym dała, żeby odwiedzić Stary Kontynent... Na pewno nie chciałbyś zabrać mnie ze sobą,

Mischa? Doskonale sprawdzam się w podróży, mówię ci! Może dużo gadam, ale nie sposób się ze mną nudzić...

- Zastanowię się i dam ci znać - uśmiechnąłem się, udając, że popadam w zamyślenie. - Nie, dzięki za propozycję, ale chyba jednak pojedę sam...

Esther parsknęła śmiechem.

- Jesteś kompletnie zwariowany! Cieszę się, że dawny Mischa w końcu do nas wrócił, bo niemal straciłam cierpliwość do tego starego zrzędy, który zajął jego miejsce! Mam nadzieję, że porządnie odpoczniesz. Bardzo ci tego potrzeba, mój drogi. Od razu ubędzie ci parę latek, sam zobaczysz. Mój Boże, teraz nikt by nie uwierzył, że jesteś dopiero po czterdziestce...

Resztę dnia poświęciłem na porządkowanie biurka, aby Stanley i Esther mogli spokojnie i bez przeszkód pracować w czasie mojego urlopu. Firma była w doskonałej kondycji. Matka dawno temu wyprzedala śmieci, które zbierał Coyote, i zajęła się skupowaniem prawdziwych antyków. Uczyła się sama, słuchała ekspertów, korzystała z ich rad i dzięki swojej wiedzy, wyczuciu oraz urokowi osobistemu weszła na rynek i zdobyła dobrą opinię. Kiedy byłem małym chłopcem, nauczyła mnie czytać i pisać; później pokazała mi, jak prowadzić interesy, żebym w razie jej choroby mógł przejąć firmę. Miała dużo cierpliwości, a poświęcenie, z jakim wprowadzała mnie w tajniki fachu, przywodziło mi na myśl tamte spokojne wieczory w pokoiku nad stajnią, gdy mozolnie zapisywałem pierwsze litery, ona zaś zachęcała mnie łagodnie, lecz stanowczo, z miłością i zapałem. Młodość miałem dość burzliwą, więc pracowałem z nią, ponieważ nie wiedziałem, co innego mógłbym robić, a to zajęcie odpowiadało mojej naturze. Zawsze byłem samotnikiem i często czułem się zagubiony. Sklep matki był dla mnie schronieniem, miejscem, gdzie mogłem ukryć się wśród martwych przedmiotów, które mnie nie osądzały, nie kochały, ale też i nie sprawiały zawodu. Później, kiedy okres młodzieńczego buntu stał się tylko bolesnym wspomnieniem, nauczyłem się kochać te rzeczy tak samo, jak dawniej kochałem dziwaczną zbieraninę przedmiotów w „Sklepie z Różnościami Kapitana Crumble'a”. Antyki, w przeciwieństwie do ludzi, nigdy mnie nie rozczarowywały.

Wyjrzałem na ośnieżoną ulicę. Zegarmistrz Zebedee stał na chodniku i rozmawiał z młodą kobietą z dwójką małych dzieci, jednym jeszcze w wózku, drugim uczeptionym ręki matki. Maluchy miały zdrowo zaróżowione policzki i błyszczące oczy, ich oddech tworzył gęste białe obłoczki w zimnym powietrzu. Pomyślałem o Lindzie. Nie wątpiłem, że byłaby dobrą żoną i matką, i przyszło mi do głowy, że może postąpiłem jak idiota, pozwalając jej odejść. Czyżbym wypuścił z dłoni łatwą do zaakceptowania, przyjemnie ciepłą przyszłość? Czy

los podaruje mi jeszcze jedną szansę? Zebedee wymachiwał rękami, dzieci zaśmiewały się głośno, matka patrzyła na nie z czułością, zadowolona, że są szczęśliwe. Czyżby miłość naprawdę mogła być tak prosta i nieskomplikowana?

Wytropiłem Matiasa. Okazało się to znacznie łatwiejsze, niż przypuszczałem. Numer telefonu w moim notesie był już nieaktualny, co specjalnie mnie nie zaskoczyło, gdyż pochodził sprzed ponad dwudziestu lat, ale kobieta, która podniosła słuchawkę, po krótkiej rozmowie poradziła mi, żebym zadzwonił do ptaszarni w Valparaiso. Mężczyzna, który odebrał mój telefon, zaśmiał się, gdy wymieniłem nazwisko Matiasa.

- El gordo loco? - spytał. - Ten gruby wariat?

Bez wahania podał mi numer telefonu oraz adres starego przyjaciela. Uśmiechnąłem się na myśl, że najwyraźniej Matiasa nadal nie sposób pomylić z kim innym. Był imponujący, niezapomniany, dlatego tak łatwo było go odnaleźć, niezależnie od tego, gdzie mieszkał.

Gdy usłyszałem głos Matiasa, przekonałem się, że mimo upływu lat w ogóle się nie zmienił.

- Hola? - odezwał się głębokim, wibrującym basem, a mnie nagle ogarnęło uczucie, że wreszcie wróciłem do domu.

- Matias, to ja, Mischa...

Nie zastanawiał się ani chwili, nie musiał szukać mnie w zakamarkach pamięci. Przywitał się ze mną z takim entuzjazmem, jakbyśmy rozmawiali przed paroma dniami.

- Mischa, musisz już być dorosłym mężczyzną!

- Starym mężczyzną! - roześmiałem się.

- Jeżeli ty jesteś stary, to ja powinienem od dawna leżeć w grobie! Jak się czuje twoja matka?

- Umarła - odparłem po krótkiej chwili milczenia. Wreszcie dotarło do mnie, że powinienem był zadzwonić do Matiasa dużo wcześniej.

- Bardzo mi przykro, Mischa...

Gardło ścisnęło mi się boleśnie, z trudem powstrzymałem łzy. Mama i ja zawsze unosiliśmy się na zdradliwych falach życia niczym mała, solidna łódka. Coyote był skałą, przy której na pewien czas rzuciliśmy kotwicę, lecz Matias okazał się bezpieczną zatoką, gdy skała osunęła się na dno morza. Pragnąłem znowu znaleźć schronienie w jego potężnych ramionach, wypłakać w nich tęsknotę i żal za matką i moim własnym martwym sercem. Zdałem sobie sprawę, że wcale nie chcę być sam.

- Chciałbym do ciebie przyjechać - wychrypiałem.

- Zawsze jesteś tu mile widziany, Mischa. Wiesz przecież, że jesteś dla mnie synem, którego nigdy nie miałem...

Musiał wyczuć mój smutek, bo w jego głosie zabrzmiała nuta łagodnej czułości.

- Przyjedź szybko, najlepiej jutro, dobrze? - powiedział. - Przyjadę po ciebie na lotnisko w Santiago...

Postanowiłem nie marnować czasu. Pośpiesznie spakowałem małą walizkę. Nagle ogarnęło mnie gorączkowe pragnienie, aby jak najprędzej wyjechać z wielkiego miasta, którego powietrzem prawie nie mogłem już oddychać. Zostawiłem mieszkanie matki nieuporządkowane, listy, które nadeszły po jej śmierci nieprzejrzane, pełną wspomnień torbę nietkniętą na moim łóżku. Zabrałem tylko małą gumową piłeczkę, symbol najlepszych lat mojego życia.

Odetchnąłem pełną piersią dopiero w samolocie. Teraz już nie wystarczało mi chowanie głowy w piasek, teraz świadomie uciekałem do życia. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że ta ucieczka zmusi mnie, bym stawił czoło demonom mojej przeszłości.

Samolot powoli wzbijał się w górę, a ja z rosnącym optymizmem patrzyłem na znikające światła Nowego Jorku. Może Matias rzuci jakieś światło na zniknięcie Coyote'a, pomyślałem. Nigdy o tym ze mną nie rozmawiał, a jeżeli nawet udzielił jakichś wyjaśnień mamie, to ona nic mi nie powiedziała. Cóż, byłem wtedy chłopcem, a gdy podrosłem, nie chciałem już wiedzieć, co było przyczyną odejścia Coyote'a. Kierując się odruchem obronnym, pokonałem pragnienie odkrycia prawdy. Uważałem, że jeśli nie spojrzę faktom w oczy, nie będę też cierpieć, problem polegał jednak na tym, że rana, jakiej doznałem, była bardzo głęboka. Skóra zrosła się, ale pod spodem pulsował zropiały wrzód. Opuściłem Nowy Jork z intencją odnalezienia Coyote'a, lecz w gruncie rzeczy pragnąłem po prostu wrócić do domu.

Lot był długi, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Wykorzystałem ten czas na przemyślenie wielu trudnych spraw. Czułem, że znajduję się w stanie zawieszenia między dwoma światami - teraźniejszością, którą symbolizował Nowy Jork, oraz przyszłością, która tak naprawdę była powrotem do przeszłości. Ożywiłem się, kiedy samolot zszedł nad brunatne, zamszowo gładkie Andy. Niebo było cudownie błękitne, wschodzące słońce oślepiająco jasne. Nad suchą sierrą wibrowało rozgrzane powietrze. Dopiero gdy zaczęliśmy podchodzić do lądowania w Santiago, zauważyłem słynny smog, wiszący w dolinie między górami i czekający, aż rozwieje go wiatr. Wyglądało to trochę jak miska pełna parującej zupy.

Szybko przeszedłem odprawę i gdy ujrzałem czekającego w hali przylotów Matiasa, w całej pełni uświadomiłem sobie, jak bardzo byłem zagubiony.

Lata prawie nie odcisnęły swego piętna na skórze Matiasa, tylko jego czarne jak smoła kręcone włosy pokryły się szronem siwizny. Na mój widok policzki przyjaciela zaróżowiły się, jego jowialną twarz rozpromienił szeroki uśmiech. Padliśmy sobie w ramiona i chociaż byłem teraz wyższy od niego, wciąż czułem się przy nim bezpiecznie, jak w domu.

- Dios, jesteś wysoki i chudy jak tyczka od fasoli! - wykrzyknął radośnie, klepiąc mnie po plecach tak mocno, że aż się skrzywiłem z bólu. - Czym ty się żywiłeś, na miłość boską?!

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę... - westchnąłem głośno.

Oparłem dłonie na jego potężnych ramionach i długo wpatrywałem się w przyjazne oczy koloru toffi.

- Doskonale wiem, co czujesz, bo ja też bardzo się cieszę - odparł, kręcąc głową. - Nie mam pojęcia, dlaczego pozwoliliśmy, żeby czas pokonał naszą przyjaźń... Najlepiej będzie uznać, że to przez Marię Elenę, bo przecież zawsze łatwiej jest zwalić winę na kobietę!

Chwycił walizkę, zdziwił się, że jest taka lekka, i zaprowadził mnie na parking przed lotniskiem.

Z zaciekawieniem i wielką przyjemnością rozglądałem się dookoła. Jeszcze niedawno byłem w pokrytym śniegiem i lodem Nowym Jorku, a teraz czułem na skórze gorące promienie słońca i oddychałem kwiatowym zapachem środka lata. Było wcześniej, lecz duża wilgotność powietrza sprawiała, że stawało się ono gęste jak syrop. Ptaki śpiewały wśród mięsistych liści palm, nad kwietnikami unosiły się pszczoły. Matias zatrzymał się przy brudnej białej półciężarówce. Z tyłu znajdowały się puste drewniane klatki na ptaki, powrzucone jedna na drugą, pełne ziarna płócienne worki i mnóstwo innych rzeczy. Matias postawił walizkę obok klatek. Wnętrze kabiny pachniało rozgrzaną skórą i kurzem. W fotelu pasażera ziała wielka dziura, a złamana dźwignia biegów została związana czerwoną skarpetką. Matias włożył ciemne okulary i usiadł za kierownicą.

- Po co ci tyle klatek? - spytałem, starając się w miarę wygodnie ułożyć długie nogi.

- Kupuję ptaki w ptaszarni w Valparaiso i potem puszczam je wolno w naszym ogrodzie - odparł, lekko wzruszając ramionami.

- I rzeczywiście odlatują?

- Niektóre tak, inne nie. Codziennie przygotowuję dla nich prawdziwą ucztę, a ponieważ większość jest równie łakoma jak ja, napychają brzuchy i zostają...

- Dostałem twój numer właśnie w ptaszarni.
- Wydawało mi się, że Maria Elena wysłała twojej matce nasz nowy adres. Przeprowadziliśmy się piętnaście lat temu.

- Zawsze mówiłeś, że na emeryturze będziesz hodował ptaki...
- Miło, że nie zapomniałeś - poklepał mnie po kolanie. Zauważyłem, że chociaż jego twarz wciąż wyglądała młodo, skóra dłoni usiana była brązowymi plamami, charakterystycznymi dla starych ludzi.

- I cieszę się, że zadałeś sobie trochę trudu, by mnie odszukać, hijo - dodał.
Zawsze wtrącał do rozmowy hiszpańskie słowa. W jakiś czas po zniknięciu Coyote'a zaczął nazywać mnie „synem”, hijo.

- W ogóle się nie zmieniłeś - powiedziałem, patrząc na coraz rzadziej rozsiane białe domy Santiago.

Jechaliśmy przez pustynię w kierunku wybrzeża. Ciepłe powietrze wpadało do kabiny, targając mi włosy i przyjemnie owiewając skórę. Czułem się jak nowo narodzony.

- Może tylko trochę utylłem! - Matias znowu wzruszył ramionami. - Pod każdym innym względem nadal jestem sobą, i dobrze, że tak jest, bo w żadnym razie nie chciałbym być kimś innym! - Wybuchnął gromkim śmiechem, który tak dobrze pamiętałem, unosząc podbródek i wypychając do przodu potężną pierś. - Natomiast ty, hijo, wyglądasz teraz jak mężczyzna! - Z entuzjazmem klepnął mnie w udo, aż zabolalo. - Jak mężczyzna, słowo daję! Śliczny mały chłopaczek w końcu dorósł!

Po godzinie jazdy Matias zatrzymał się przed małym, marnie wyglądającym domkiem. Pod parasolem utworzonym przez gałęzie potężnego drzewa w pyle bawiła się grupka małych dzieci o umorusanych buziach; obok na stojąco drzemał przywiązany do pnia osiołek. Lekki wietrzyk poruszał płatkami jaskrawo ubarwionych kwiatów, na ustawionym na trawniku krześle siedziała stara kobieta w czerni i wachlowała się kolorowym czasopismem.

- Napijemy się soku - oświadczył Matias, wysiadając z półciężarówki.
Ruchem ręki pozdrowił staruszkę, która w odpowiedzi z uśmiechem skinęła głową. Dzieci przerwały zabawę i zapatrzyły się na mnie - na pewno zafascynowały je moje jasne włosy i skóra. Mały chłopiec z rozmachem kopnął pustą puszkę po coli, która z brzękiem potoczyła się po ziemi i znieruchomiła tuż przed moimi stopami. Dzieciaki wstrzymały oddech w oczekiwaniu na mój ruch. Kiedy odkopnąłem puszkę, zaniósł się radosnym, piskliwym śmiechem. Matias powiedział coś po hiszpańsku i także roześmiał się głośno.

- Uznały cię za olbrzyma - powiedział, wchodząc do domku. - Niepokoją się, czy ich nie zjesz...

- Co im powiedziałaś? - spytałem z zaciekawieniem, ponieważ maluchy wciąż szalały z podniecenia.

- Że jadasz wyłącznie psy i że tam, gdzie mieszkasz, nie ma już ani jednego kundla, dlatego przyjechałeś tutaj!

Przewróciłem oczami i wszedłem za nim do środka.

Wewnątrz panował półmrok, dlatego minęła dłuższa chwila, zanim oczy przyzwyczyły mi się do innego światła. Za szeroką ladą siedział młody człowiek i słuchał radia. Pod ścianą stała lodówka, a w niej zimne napoje i duży wybór kanapek, na ich widok pociekła mi ślina.

- Polecam te z awokado - rzekł Matias. - I koniecznie weź jakiś sok, mają tu najlepsze w całym Chile...

Zza zasłony z koralików wyłoniła się ładna młoda kobieta o brązowej skórze i długich czarnych włosach, splecionych w warkocz sięgający prawie do pośladków. Zauważyłem, że na mój widok lekko się zarumieniła. Matias przywitał się z nią po hiszpańsku i wdał w krótką rozmowę. Chociaż mówiła do Matiasa, jej duże uśmiechnięte oczy co chwilę wędrowały w moją stronę, jakby nie była w stanie oderwać ich ode mnie. Bardzo mi to pochlebilo, chociaż byłem też nieco zaskoczony, bo po długim locie nie zdążyłem się jeszcze umyć ani ogolić i na pewno wyglądałem nie najlepiej.

Matias zamówił dwa soki malinowe i dwie kanapki z awokado. Usiedliśmy przy drewnianym stoliku przed sklepem.

- Nadal bez trudu podbijasz serca dam... - Matias żartobliwie szturchnął mnie łokciem w bok. - Już jako mały chłopiec owijałeś je sobie dookoła małego palca, pewnie dlatego, że byłeś taki ładny... Teraz jesteś nieogolony, brudny i wyglądasz, jakbyś przed chwilą przedarł się przez gęste krzaki, ale one wciąż jedzą ci z ręki...

- Nie zasługuję na takie pochwały - uśmiechnąłem się.

- Masz dziewczynę?

- Już nie.

- Que penal Taki przystojniak, a nie ma dziewczyny... Cóż, mimo wszystko raczej mnie to nie dziwi. No, nieważne... Muszę ci powiedzieć, że ten sklepik to prawdziwy klejnot, Mischa. Zawsze wstępuję tu w drodze do Santiago. Ta stara kobieta to matka Jose.

- Musi jej być gorąco w tej czarnej sukni - zauważyłem.

- Jest w żałobie - wyjaśnił Matias, wbijając zęby w kanapkę.

- Umarł jej mąż, tak? Kiedy?

- Jakies czterdzieści lat temu...

Zobaczył zdumienie na mojej twarzy i zatrzęsł się ze śmiechu.

- Nie pytaj mnie, jak umarł, bo nie mam pojęcia! - zachichotał. - Matka Jose będzie nosiła żałobę do końca życia, dopóki nie połączy się z małżonkiem...

Nagle spoważniał i odłożył kanapkę na talerzyk.

- Nie miałem odwagi pytać, ale wydaje mi się, że teraz jest odpowiednia chwila... - westchnął. - Jak umarła twoja matka?

- Na raka.

Ze smutkiem potrząsnął głową.

- Dobrzy ludzie zawsze umierają młodo... - mruknął.

- Wiedziała, że odejdzie. Przed śmiercią przekazała mi firmę i załatwiła wszystkie swoje sprawy. Jest tylko jedna rzecz, która bardzo mnie zaskoczyła... Pomyślałem sobie, że może ty coś o tym wiesz...

- O czym?

- Matka miała obraz Tycjana.

- Obraz Tycjana? - Matias uniósł brwi.

- Tak, Cygańską Madonnę...

- Autentycznego Tycjana?

- Tak. Podarowała go Metropolitan Museum.

- Cóż, najwyraźniej miała świetną orientację, знаła rynek dzieł sztuki jak własną kieszeń i wiedziała, w co inwestować...

- Właśnie o to mi chodzi! - zawołałem. - Nic nie wiedziałem o tym Tycjanie, ale znałem stan jej finansów i nie mam cienia wątpliwości, że nie byłoby jej stać na kupno tak cennego obrazu!

Matias wyprostował się i zmarszczył brwi.

- Więc w jaki sposób go zdobyła?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, skąd go miała.

- Nie zapytałeś ją?

- Nie chciała o tym rozmawiać. Powiedziała mi tylko, że musi zwrócić obraz. Ciągle to powtarzała, z ogromną determinacją... A już pod koniec była taka smutna... Strasznie smutna, zupełnie jakby oddając tego Tycjana, wyrzekała się własnej duszy... Może brzmi to dziwnie, lecz widziałem, że dużo ją to kosztowało, naprawdę dużo. Radziłem jej, żeby zatrzymała obraz, ale tylko z rezygnacją pokręciła głową i powiedziała, że musi go oddać, choć nie może mi wyjaśnić, dlaczego...

- Może ktoś jej go podarował? Czy w jej życiu był jakiś mężczyzna? Miewała kochanków?

Z rozczarowaniem potrząsnąłem głową. Miałem nadzieję, że Matias rzuci jakieś światło na tę tajemniczą sprawę, ale nic z tego nie wyszło.

- Nie miała nikogo. Mówię ci o tym, bo przyszło mi do głowy, że może cała ta sprawa ma jakiś związek z Jupiter...

Matias ugryzł kolejny kęs kanapki.

- W Jupiter nigdy nie było czegoś tak cennego... Dios mio, gdybym miał w sklepie tego rodzaju towar, kupiłbym sobie na starość pałac, nie nędzny bungalow nad morzem. Przykro mi, hijo, nie mogę ci pomóc. Szkoda, bo to naprawdę intrygująca sprawa... Może Maria Elena coś sobie przypomni, zobaczymy. Kiedyś bardzo przyjaźniła się z twoją matką, były sobie naprawdę bliskie, ale nie sądzę, by Maria nie powiedziała mi o czymś tak ważnym i niezwykłym. To wspaniała kobieta i świetnie radzi sobie z wieloma rzeczami, lecz trzymanie języka za zębami to nie jej specjalność, słowo daję...

Pojechaliśmy dalej przez pustynię. Droga była długa i prosta. Czasami mijaliśmy zaprzężone w konie wozy i małe osady drewnianych, byle jak skleconych domków z zardzewiałymi metalowymi dachami, gdzie wśród drzew bawiły się dzieci. Wychudzone psy snuły się leniwie w poszukiwaniu jedzenia, raczej bez powodzenia wodząc nosami przy ziemi. Wielkie billboardy reklamowały pieluszki i płyny do zmywania, a pustynia, którą powoli zostawialiśmy za sobą, była naga, bezpłodna i surowa. W końcu ze szczytu sporego wzgórza dostrzegliśmy ciemnoniebieski, połyskliwy jak jedwab Pacyfik. Teraz droga zbiegała w dół, aż do Valparaiso, dużego portowego miasta, pełnego wysokich biurowców i soczycie zielonych parków, których palmy sięgały aż pod niebo. Zapchane samochodami uliczki biegły między rozsypującymi się w gruzy murami i niegdyś wspaniałymi willami o eleganckich podjazdach oraz imponujących portykach. Dekadenckie zaniedbanie miasta w moich oczach miało ogromny urok. Popękane chodniki, nierówne jezdnie, osypujące się tynki - wszędzie widać było ostre blizny regularnie nawiedzających Chile trzęsień ziemi.

Sunęliśmy wijącą się drogą wzdłuż wybrzeża. Skąpane w słońcu czarne skały miejscami podparto betonowymi stemplami, a kobiety i dzieci bawiły się na piasku w małych zatoczkach. Nad oceanem było wyraźnie chłodniej. Wreszcie Matias pokonał strome zbocze wzgórza i wjechał na podjazd obsadzony dużymi, zielonymi krzewami gardenii. Kilka razy nacisnął klakson.

- Witaj w domu, Mischa! - powiedział z uśmiechem. - Jak to dobrze, że w końcu zdecydowałaś się nas odwiedzić!

Kiedy przed dom wyszła Maria Elena w jasnoniebieskiej sukience, z posiwiałymi włosami splecionymi w luźny warkocz, radość, jaką odczuwałem, skaził cień smutku. Wyskoczyłem z samochodu i chwyciłem ją w objęcia. Była zbudowana dość solidnie, lecz mimo tego wydała mi się dziwnie drobna i

krucha. Ukryła twarz na mojej piersi i przytuliła mnie tak mocno, że knykcie zupełnie jej zbieleły. Była tak wzruszona, że nie mogła wykrztusić ani słowa, oddychała szybko i płytko. Gdy się cofnęła, koszulę miałem moką od łez. Odwróciłem się do Matiasa, lecz on wyglądał teraz na nie mniej poruszonego od żony. Wziął walizkę, podszedł do nas i poklepał mnie po plecach, jak zwykle tak mocno, że na moment zabrakło mi tchu.

- Bardzo się cieszymy, że przyjechałeś - powiedział. Maria Elena skinęła głową i uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Wreszcie... - wyszeptała. - Czekałam na tę chwilę dwadzieścia pięć lat... Całe dwadzieścia pięć lat. Nie rozumiesz, co czułam, Mischa, bo niby dlaczego miałbyś to rozumieć...

Ujęła moją twarz między dłonie i pociągnęła ku sobie. Poczułem jej wilgotne wargi na policzku. Miała rację, nie rozumiałem, ale mimo wszystko także byłem szczęśliwy.

Siedzieliśmy na zabudowanym tarasie, z którego rozciągał się wspaniały widok na ogród i szumiące niżej morze. Powietrze przesycone było słodkim zapachem gardenii i nieco bagnistym aromatem oceanu. Ptaki wszystkich kolorów i wielkości fruwały wśród drzew, krzycząc tak głośno, jakby rywalizowały o uwagę dorosłych z dziećmi, które bawiły się na ulicy za domem. Na oparciu krzesła Matiasa siedziała zielona papuga. Ptak co jakiś czas przechodził na ramię Matiasa, stawiając nogi z gracją godną doświadczonej tancerki. Matias karmił papugę orzechami, a ona chwyciła je dziobem, ani na chwilę nie spuszczać z nas zaciekawionych czarnych, błyszczących oczu.

Dom Marii Eleny i Matiasa był biały, kryty czerwoną dachówką, z zielonymi okiennicami. Wymagał otynkowania, jedną ścianę przecinała poszarpana, szeroka rysa, lecz pnące się aż do dachu kwiaty były piękne i tak barwne, że patrzący raczej nie zwracał uwagi na ślady zniszczenia. Dom spodobał mi się od pierwszej chwili, gdyż otaczające go krzewy gardenii i gęste palmy tworzyły atmosferę bezpieczeństwa i spokoju.

Niska, niemłoda pokojówka w jasnoniebieskim uniformie wyniosła na taras tacę z drinkami.

- Musisz spróbować pisco sour - odezwała się Maria Elena. - To tradycyjny chilijski koktajl z cytryną, chyba będzie ci smakował...

Służąca zostawiła dzbanek i szklaneczki na stole i zniknęła w otwartych drzwiach salonu.

- Tak się cieszę, że tu jesteś - gospodyni napełniła szklanekę i podała mi.

- Boże, jakie to dobre! - zawołałem, przelękając mocno kwaśny napój.

- Kiedy wyjechaliście, byłeś jeszcze chłopcem - ciągnęła Maria Elena. - Wysokim, chudym chłopcem o niewiarygodnie długich nogach i rękach... Bardzo zmieniłeś się od tamtego czasu.

- Na szczęście o was nie można tego powiedzieć - uśmiechnąłem się. - Oboje nie zmieniliście się ani trochę, jesteście dokładnie tacy, jakimi was zapamiętałem...

- Tylko sporo starsi, niestety... - westchnęła.

- Czas nie oszczędza nikogo - mruknął Matias, podając papudze następny orzeszek.

- Jak nazywa się ten ptak? - zapytałem.

- Alfredo. Kupiłem drania w sklepie ze zwierzętami i w ten sposób go uratowałem.

- Twoje ptaki mają tutaj cudowne życie - zauważyłem. Roześmiał się.
- Są tłuste i szczęśliwe jak ich właściciel.
- Strasznie brudzą. - Maria Elena bezradnie rozłożyła ręce. - Ale co można na to poradzić...

- Milcz, kobieto! Dobrze wiem, że ty też je lubisz, bo kilka razy widziałem, jak je karmiłaś! Patrzyłaś na nie z taką czułością, jakby to były twoje ukochane dzieci!

Maria Elena parsknęła śmiechem.

- Och, ty stary głuptasie...

Rozmawialiśmy, popijaliśmy pisco sour, a upał powoli rozwiązywał mi język. Byłem szczęśliwy, że jestem daleko od Nowego Jorku i śniegu, od Lindy i pustego mieszkania mojej matki. Po paru godzinach zapytałem Marię Elenę o obraz.

- Tycjan? - wykrzyknęła ze zdziwieniem. - Prawdziwy Tycjan?

- Tak - wzruszyłem ramionami. - Powiedziała mi o nim dopiero tuż przed śmiercią. Oświadczyła, że musi ofiarować obraz miastu.

- Miastu? - Maria Elena zmarszczyła brwi.

- Ujęła to trochę inaczej, powiedziała, że musi go „oddać”. I podarowała Tycjana Metropolitan Museum.

Maria Elena zamyśliła się głęboko.

- Oddać? - powtórzyła znowu. - Ale komu?

- Nie wiem, ponieważ nie mam pojęcia, od kogo go dostała. Miałem nadzieję, że może ty i Matias coś o tym wiesz...

- Jeżeli obraz należał do osoby prywatnej albo do rodziny, na pewno zwróciłaby go właścicielom. Sprawa przedstawia się inaczej, jeżeli został ukradziony...

- Nie sądzisz chyba, że matka go ukradła?

- Nie, nic z tych rzeczy! Twoja matka była uczciwą kobietą, zresztą niby jak mogłaby ukraść obraz Tycjana, na miłość boską... To nie do pomyślenia! I po co miałyby podejmować takie ryzyko? Dla obrazu pędzla jednego z najświetniejszych malarzy świata, obrazu, którego potem i tak nie mogłaby sprzedać? - Maria Elena pośpiesznie spojrzała na Matiasa. - Przykro mi, że cierpiała... - dodała, spuszczaając oczy. - Oddaliśmy się od siebie, ale nigdy nie przestałam jej lubić...

Pomyślałem, że chyba nie mówią mi wszystkiego.

- Widziałem Coyote'a - powiedziałem, odstawiając pustą szklanę.

Oboje popatrzyli na mnie ze zdziwieniem.

- Kilka dni temu zjawił się w moim biurze...

- Co się z nim dzieje? - zapytała Maria Elena.

- Z trudem go poznałem - odparłem. - Wyglądał jak włóczęga, w niczym nie przypominał eleganckiego, czarującego człowieka, który kiedyś był mi bliski...

- Dios mio! - Matias z niedowierzaniem pokręcił głową. Alfredo wdrapał się na jego pierś i zaczął skubać dziobem guzik koszuli, lecz Matias nawet tego nie zauważył. - Co się z nim stało?

- Nie wiem, nic mi nie powiedział.

- Nie pytałeś?

- Byłem wściekły.

- Oczywiście... - powiedziała współczująco Maria Elena i napełniła moją szklankę. - Ostatni raz widziałeś go... Zaraz, zaraz, kiedy to było... Ponad trzydzieści lat temu, prawda?

- Dopiero gdy sobie poszedł, pożałowałem, że o nic go nie zapytałem. Wybiegłem za nim na ulicę, ale zniknął. Wszystko wskazuje na to, że znowu go straciłem.

- Dlaczego wrócił, jak myślisz? - spytała cicho Maria Elena.

- Przeczytał w gazecie o Tycjanie. Nie wiedział, że mama nie żyje, był wstrząśnięty. Cóż, wszystkie dzienniki i czasopisma rozpisywały się o tym obrazie, możecie sobie chyba wyobrazić... Nieskatalogowane dzieło sztuki tej klasy, obraz tak znanego artysty - wszyscy chcą wiedzieć, skąd wziął się Tycjan... Pewnie Coyote'a też to zainteresowało.

- Twoja matka nie zostawiła żadnej wskazówki, zupełnie nic?

- Nic.

- Za to Coyote wyskoczył jak diabeł z pudełka... - Matias z pogardą pokiwał głową. - Możemy przestać go szukać, skoro sam się zjawił. Cóż, gdyby miał cokolwiek wspólnego z tym obrazem, na pewno odwiedziłby cię wcześniej... Z drugiej strony, wcale nie uważam, aby kradzież Tycjana przekraczała jego możliwości...

- Nie był aż taki dobry! - prychnęła Maria Elena.

- Gdzie był przez cały ten czas? - spytałem. Na mojej twarzy musiał odmalować się wyraz dręczącego mnie bólu, bo gospodarze znowu wymienili porozumiewawcze spojrzenia. - Wiecie coś, prawda? Teraz możecie mi już powiedzieć, i tak niczego to nie zmieni... Wyobrażałem sobie najgorsze rzeczy, a nawet uwierzyłem, że nie żyje, że przydarzyło mu się coś strasznego...

Matias oderwał szpony Alfreda od swojej koszuli i postawił papugę na podłodze. Dużym, podobnym do parówki palcem delikatnie pogładził ją po głowie, potem sięgnął po dzbanek i dolał sobie napoju. Wszyscy troje byliśmy

na lekkim rauszu. Upał i alkohol stworzyły uspokajającą, rozluźniającą mieszankę. Nagle zrozumiałem, że wreszcie usłyszę prawdę.

- Coyote był już żonaty, kiedy poznał twoją mamę - rzekł Matias.

Byłem wstrząśnięty. W jednej chwili przypomniałem sobie dzień, kiedy mama zamknęła się w sypialni. Teraz wiedziałem, o co jej wtedy chodziło, dlaczego tak przeżywała to, co ja uznałem za nieprzemyślany żart Coyote'a.

- Jezu, wtedy kompletnie to do mnie nie dotarło... - westchnąłem. - Wciąż nie mogłem zrozumieć, dlaczego wpadła w taką wściekłość, kiedy się dowiedziała, że Coyote opowiada wszystkim o ich ślubie w Paryżu... Uważałem, że to taki romantyczny pomysł, bo trudno byłoby znaleźć piękniejsze miejsce na ślub... Teraz rozumiem, że po prostu nie mógł się z nią ożenić...

- Miał rodzinę w Wirginii, pod Richmond. Potarłem dłonią czoło.

- Mama była zrozpaczona. Na trzy dni zamknęła się w sypialni i nie chciała wyjść, ale w końcu zeszła na dół i powiedziała, że nie chce o tym więcej rozmawiać... Pamiętam, że kazała mu kupić obrączkę, ze względu na mnie, tak to wyjaśniła...

- Nie chciała, by ktoś zaczął podejrzewać, że jej związek z Coyote'em nie jest formalny. Ludzie potrafią bardzo surowo osądzać tych, którzy żyją wbrew ogólnie przyjętym regułom.

- Doskonale to wiem... - mruknąłem.

Byłem niemal pewny, że moi przyjaciele nie wiedzą, co przeżyliśmy we Francji. Mama zawsze była bardzo ostrożna.

- Więc kiedy wyjeżdżał w interesach, jechał do nich, do Richmond, prawda? - podjąłem.

- Tak mi się wydaje - odparł Matias poważnie. - Tak czy inaczej, co do jednego nie mam najmniejszych wątpliwości - Coyote naprawdę kochał twoją matkę bardziej niż kogokolwiek innego.

Długą chwilę w milczeniu obserwowałem otaczający mnie miniaturowy raj. Zastanawiałem się, czy ktoś w ogóle wiedział, co kryło się w sercu Coyote'a.

- Skoro była miłością jego życia, to dlaczego ją zostawił?

- Coyote stanowił zagadkę nawet dla tych, którzy znali go najlepiej. Niewiele wiem o jego dzieciństwie i wczesnej młodości w Wirginii, mogę ci jednak powiedzieć, że nie miał i łatwego życia. Jego ojciec pił i bił go, matki niemal nie było w domu, bo ciężko harowała na utrzymanie rodziny. Coyote żył trochę jak dzikie zwierzątko. Nie wiem, czy miał rodzeństwo, kiedyś powiedział mi tylko, że prawie nie chodził do szkoły. Nikt nie interesował się, co się z nim działo, rodzice go zostawili... Jak on to określał?

- Na łasce losu - dokończyłem.

W uszach wciąż brzmiał mi głos Coyote'a, jego pozornie poważny, zaprawiony ironią ton.

- Na łasce losu - powtórzył powoli Matias i zaśmiał się cicho. - Ożenił się młodo, ale nie znosił uczucia, że jest w jakikolwiek sposób związany. Był wolnym duchem, więc podróżował po całym kraju, z gitarą i tym swoim nieprawdopodobnym magnetyzmem... Poznałem go w Meksyku. Nazywał się Jack Magellan, ot, dość zwyczajnie, prawda? Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie przeciętnego faceta, ale kobiety już wtedy traciły dla niego głowę... Byliśmy młodzi, mieliśmy po dwadzieścia lat. Przypadliśmy sobie do gustu, więc razem założyliśmy sklep w New Jersey. Jack zmienił imię na Coyote, ponieważ tak nazywał go ten stary Murzyn, z którym zaprzyjaźnił się, gdy był zdziczałym dzieciakiem...

- Starzec z Wirginii... - wymamrotałem. Następny kawałek układanki znalazł się na swoim miejscu. - Ten sam, który nauczył go grać na gitarze... Dlaczego wybraliście akurat New Jersey?

Oczy Matiasa na moment powlokła mgiełka nostalgii.

- Coyote niczego nie robił w konwencjonalny sposób... Tamtego dnia rozłożył mapę Ameryki i zamknął oczy, a ja zakreśliłem go kilka razy... Potem położył palec na mapie i okazało się, że dotknął New Jersey. Tak podjęliśmy decyzję.

- Ale w czasie wojny walczył w Europie, tak? - zapytałem, przypominając sobie twarz z mojego snu.

- Tak, zgłosił się na ochotnika, kiedy Stany przystąpiły do wojny. Chciał coś zrobić, walczyć, zmieniać świat. Uwielbiał przygody.

- Co z jego rodziną?

- Bóg jeden wie, czy jego żona godziła się na takie życie... Coyote nigdy o niej nie mówił, a ja nie pytałem...

- Coyote wiecznie uciekał, Mischa - wtrąciła Maria Elena. - Uciekał od żony i dzieci. Uciekł na wojnę, do Europy. Po powrocie rzadko przebywał dłużej w Jupiter. Ciągłe podróżował w interesach, ściągał różne ciekawostki z całego świata. Myślę, że w gruncie rzeczy uciekał od samego siebie...

- W każdym miejscu, które odwiedzał, był kim innym, hijo - podjął Matias. - Odgrywał różne role, założę się, że tak naprawdę wcale nie nazywał się Jack Magellan. Przydomek Coyote idealnie do niego pasował, bo rzeczywiście miał duszę dzikiego psa, kojota...

- Może nawet sam nie wiedział, kim jest - dorzuciła Maria Elena.

- Więc wtedy po prostu znowu uciekł? - odezwałem się po chwili milczenia.
- Tym razem od nas...

- Właśnie tego zupełnie nie rozumiem, hijo. - Matias potrząsnął kudłatą głową. - Interesy szły świetnie, zarabialiśmy sporo pieniędzy. Był bardzo szczęśliwy z twoją matką i kochał cię...

- Och, kochał cię całym sercem! - zawołała Maria Elena. - Był z ciebie taki dumny!

- W takim razie dlaczego nie wrócił?

- Byłem przekonany, że nie żyje - oświadczył Matias.

- Bo to jedyne logiczne wyjaśnienie - przytaknęła Maria. - Teraz, kiedy wiemy, że wcale nie umarł, tajemnica jeszcze się zagęszcza...

- Wszystko to razem jest naprawdę dziwne - powiedziałem. - Nie sądzicie, że jego zniknięcie miało coś wspólnego z tamtymi włamaniami?

- Może... - mruknął Matias. - Coyote był bardzo zamknięty w sobie, chociaż stwarzał wrażenie, że łatwo go poznać. Przypominał cebulę, nosił wiele warstw i nikt nie wiedział, co kryje się pod kolejną. Przypuszczam, że gdybyśmy poznali jego prawdziwą historię, szczęki by nam opadły... Coyote nigdy nie postępował w konwencjonalny sposób...

- Nie był też szczególnie uczciwy. - Maria Elena uśmiechnęła się lekko. - Przypominał cię, którego nie sposób dotknąć. Powinieneś wiedzieć, że sporo z rzeczy, jakie sprowadzał do sklepu, było fałszywych albo kradzionych.

- Ale nie było wśród nich obrazu Tycjana - zauważyłem.

- Nie. Wierz mi, gdyby Coyote ukrywał tam gdzieś Tycjana, nigdy nie wyjechałby z Jupiter.

Wieczorem pojechaliśmy na kolację do Vina del Mar, do rybnej restauracji, z której tarasu roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na morze. Zauważyłem, że Chilijki były bardzo piękne, ze złocistą skórą, długimi czarnymi włosami i ciemnymi oczami, które tajemniczo lśniły w migotliwym blasku świec. Przyglądałem im się bezwstydnie, z uznaniem szacując ich urodę rozleniwionym wzrokiem. Kiedy napotykały moje spojrzenie, pośpiesznie odwracały głowy lub spuszczały oczy, onieśmiałe i spłoszone jak ptaki, zupełnie niepodobne do kobiet ze Stanów. Linda szybko stawała się odległym wspomnieniem, a procesowi temu sprzyjała dzieląca nas odległość.

- Cieszę się, że stanąłeś na nogi i dobrze sobie radzisz z firmą. - Maria Elena patrzyła na mnie z macierzyńską czułością.

- To mama założyła firmę i nadała jej rozpęd. Ja tylko prowadzę ją dalej i nie jest to trudne zadanie...

- Ale na pewno masz oko do interesujących rzeczy?

- Kocham stare przedmioty, lubię wyczuwać w nich drzemiącą historię. Wszystkie wibrują przeżyciami ludzi, do których należały, i emanują aurą miejsc, w jakich były. Uwielbiam wyobrazać sobie angielskie zamki, francuskie chateaux, włoskie palazzi i wielkie, solidne niemieckie Schlosse... Znamienite rodziny, które w nich mieszkały i przez setki lat gromadziły skarby i arcydzieła z całego świata... W dawnych czasach ludzie wyruszali w podróże trwające po kilka miesięcy, a czasem kilka lat, i wracali z nich z tymi cudownymi odpryskami historii... Zawsze z ogromną przyjemnością dotykam mebli i słucham ich tętna, bo one naprawdę mają serce, wystarczy tylko poświęcić im trochę czasu i myśli...

Uświadomiłem sobie, że nigdy nie otworzyłem się tak bardzo, jak teraz przed Matiasem i Marią Elena. Nigdy nie byłem w stanie mówić o miłości, o żadnej miłości, nawet tej do antyków.

- Kiedy byłeś mały, strasznie podobało ci się takie orzechowe biureczko... - odezwał się Matias.

- Pamiętam je! - przytaknąłem z dziecięcym entuzjazmem. - Miało schowki w szufladach i pod pulpitem! Było niezwykle!

- Zawsze interesowało cię pochodzenie rzeczy. - Matias pociągnął łyk wina. - Fascynował cię gobelin, który mieliśmy w sklepie...

- Tak, ten przedstawiający Bachusa wśród pijanych nimf! Bardzo go lubiłem, bo przypominał mi chateau, w którym spędziłem dzieciństwo!

- Twoja mama nigdy nie mówiła o Francji - zauważyła miękko Maria Elena.

- Zamek nie był naszą własnością. Przed wojną należał do pewnej rodziny, u której mama pracowała, a później zajęli go Niemcy. Mama zakochała się w jednym z niemieckich oficerów i wyszła za niego za mąż.

- Nie miałam pojęcia... - Maria Elena ściągnęła brwi. - Byłam przekonana, że twój ojciec był Francuzem...

- Nie, był Niemcem. Pod koniec wojny mama została okrutnie ukarana za zdradę i kolaborację z wrogiem. Straciłem głos z powodu jej upokorzenia i strachu, bo mieszkańcy miasteczka o mało nas nie zabili...

- Och, mój drogi, nic o tym wszystkim nie wiedziałam! - Oczy Marii Eleny wypełniły się łzami.

Położyła mi rękę na ramieniu, a ja bez zastanowienia przykryłem ją swoją dłonią.

- Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem - powiedziałem ze zdziwieniem. - Nawet z Lindą, dziewczyną, z którą byłem przez dziewięć lat...

- Cały czas trzymałeś tę tragedię zamkniętą w sercu?

- Nie czułem potrzeby, żeby się nią dzielić. Matka świetnie mnie rozumiała i była moim najlepszym przyjacielem.

- Wiem. Kochała cię każdą tkanką swojego ciała.

- Mówiłeś, że Coyote zwrócił ci twój głos - odezwał się Matias. - Pamiętam, jak wystąpiłeś w radiu!

- W audycji Gray Thistlewaite! - zaśmiałem się. - Gray Thistlewaite, która dokładała wszelkich starań, aby dzięki jej radiu życie mieszkańców Jupiter było przyjemniejsze i pogodniejsze...

Ostatnie zdanie wypowiedziałem, usiłując naśladować głos Gray. Matias ryknął śmiechem, zachwycony moimi zdolnościami.

- Naprawdę wierzyłem, że Coyote był czarodziejem - ciągnąłem. - Kiedy przyjechał do Mauriac, nagle wszystko się zmieniło. Nie potrafię opisać, jak tamtejsi ludzie traktowali nas przed jego pojawieniem się w chateau... Byliśmy wyrzutkami społeczeństwa, mnie uważali za coś gorszego niż szczury, na które zastawiali pułapki w piwnicach... Coyote zagrał na gitarze, zaśpiewał kilka starych kowbojskich piosenek i odmroził ludzkie serca. Najpierw dzieci pozwoliły mi dołączyć do swego grona w czasie zabawy, później dorośli zaczęli nam przebaczać... Coyote rzucił na nich czar, a może raczej obudził w nich wstyd i wyrzuty sumienia... Mam pewne wspomnienie, ale nie wiem, czy jest ono prawdziwe, czy stanowi fragment snu - wydaje mi się, że to Coyote uratował nas przed wściekłością tłumu zaraz po wyzwoleniu miasteczka spod niemieckiej okupacji. Zdarli ubranie z mojej matki i zgolili jej włosy, widzę jej twarz, szarą i bladą jak u ducha... Ktoś podnosi mnie wysoko do góry, ze wszystkich stron rozlegają się wrzaski nienawiści... Potem mama trzyma mnie w ramionach, a jakiś Amerykanin okrywa nas swoją kurtką. Jeszcze dziś dałbym sobie rękę uciąć, że to był Coyote...

- To całkiem prawdopodobne - powiedziała Maria Elena. - Może wrócił do waszego miasteczka właśnie dlatego, że w czasie wojny był jednym z tych, którzy je wyzwolili...

- Niewykluczone... - lekko wzruszyłem ramionami. - Cóż, już się chyba tego nie dowiemy, ja miałem wtedy zaledwie trzy lata...

- Opowiadaj dalej - poprosiła. - Chcemy poznać tę historię do końca...

- W którąś niedzielę poszedł z nami na mszę. Nienawidziłem chodzić do kościoła, ponieważ czułem się tak, jakbym stawał na arenie. Ze wszystkich stron wpatrywali się we mnie ci sami ludzie, którzy kilka lat wcześniej domagali się mojej krwi... Przybiegli wtedy na rynek z widłami i cepami, gotowi zatłuc nas na śmierć... Nawet ksiądz odsunął się i obserwował wszystko z boku. Tak czy inaczej, mama co niedzielę chodziła ze mną na mszę, siadała w

ławce przed ołtarzem i modliła się w samym środku tego stada wilków. Nie wiem, dlaczego tak się przy tym upierała - chyba kierowały nią duma i poczucie godności. Nie chciała pozwolić, aby uwierzyli, że ją pokonali, ale ja potwornie się bałem. Kiedy przyszedliśmy do kościoła z Coyote'em, atmosfera od razu się zmieniła. W oczach ludzi z Mauriac dostrzegłem podziw, nienawiść zniknęła. Właśnie tamtego dnia, w połowie mszy nagle wydało mi się, że słyszę głos anioła. Nie był to jednak anioł, lecz ja, mój własny głos, który wreszcie wydobył się na zewnątrz...

Maria Elena otarła oczy rozdygotanymi palcami.

- Mischa, mi amor, tyle wycierpiełeś, a my nic o tym nie wiedzieliśmy...

- Ale Coyote wszystko naprawił... Gdyby nie on, nie wiadomo, jak długo żylibyśmy w cieniu hańby, a ja najprawdopodobniej nigdy nie zacząłbym znowu mówić i normalnie porozumiewać się z ludźmi.

- A kiedy Coyote wyjechał i już nie wrócił... - zaczął Matias.

- Kompletnie się pogubiłem - dokończyłem.

- To zrozumiałe.

- Powinieneś bardziej doceniać to, co sam osiągnąłeś - powiedziała Maria Elena. - Możliwe, że Coyote otworzył twoje serce i pomógł odzyskać głos, ale resztę zrobiłeś sam, mój drogi...

Późnym wieczorem, po powrocie z restauracji, wybrałem się z Marią Eleną na spacer po plaży, tylko we dwoje. Niebo było czyste, przejrzyście granatowe, gwiazdy przypominały oczy, obserwujące nas z innego świata, istniejącego poza dotykem naszych zmysłów, świata, gdzie matka przebywała teraz w spokoju razem z moim ojcem. Być może nadal skrywała w sercu sekrety, które ja miałem powoli odsłaniać i poznawać.

- Teraz rozumiem, dlaczego twoja mama tak bardzo starała się cię ochraniać.

- Maria Elena ujęła moją dłoń i pogłaskała ją z czułością.

- Zawsze byliśmy sami, zdani na siebie, tylko ona i ja...

- Także dlatego, że między wami i wokół was nie było miejsca dla nikogo innego...

Zmarszczyłem brwi. Maria Elena przystanęła i podniosła głowę. Księżyc oświetlał zmarszczki na jej twarzy, tworząc z nich szczególną, jedyną w swoim rodzaju mapę.

- Wiesz, że mam rację - ciągnęła. - Nie wydaje ci się, że Linda mogła czuć się przy was jak ktoś z zewnątrz? Czy aby na pewno mimowolnie nie traktowałeś jej jak obcej?

- Może... Chyba nigdy nie dałem jej szansy...

- Dla nas byłeś synem, którego nigdy nie mieliśmy, i twoja matka doskonale o tym wiedziała. Jak sądzisz, dlaczego wyjechaliście z New Jersey?

- Bo Coyote nie wrócił i mama doszła do wniosku, że już nic nie łączy ją z Jupiter...

- Nie. Anouk nie mogła znieść myśli, że mógłbyś naprawdę pokochać kogoś poza nią.

- To nieprawda! - wykrzyknąłem, ale mój protest zabrzmiał słabiej niż zamierzałem.

- To prawda. Trzymała się ciebie zazdrośnie, jakby ktoś usiłował cię jej zabrać. Kiedy przeprowadziliście się do Nowego Jorku, wiele razy próbowałam się z nią umówić, bo bardzo chciałam się z tobą zobaczyć, ale ona zawsze była czymś zajęta i nie miała dla mnie czasu. I w końcu oddaliliście się od nas...

- Przechodziłem wtedy przez trudny okres! - roześmiałem się gorzko.

- A ja chciałam tylko, żebyś wiedział, że na mnie także możesz liczyć. Miałeś tak mało stabilnych punktów w życiu... Po wyjeździe Coyote'a o mało nie stoczyłeś się na samo dno. Pragnęłam pomóc ci wydobyć się z tego bagna, ale matka nie patrzyła na moje wysiłki przychylnym okiem... Dziś żałuję, że nie starałam się bardziej. Potem przenieśliście się do Nowego Jorku, a my zostaliśmy w Jupiter, całkiem sami. W końcu nie pozostało nam nic innego, jak wrócić do Chile i zacząć żyć od nowa...

- Pamiętam, jak często siedziałem w waszym ogrodzie i bawiłem się z psami. - Nagle ogarnęła mnie fala smutku i tęsknoty za przeszłością.

- Z Gringo i Billym...

- Tak, z Gringo i Billym. Co się z nimi stało?

- Podążyli tą samą drogą, co wszystkie ziemskie istoty. - Maria Elena uniosła oczy ku niebu. - Twoja mama była dobrą kobietą. Teraz, gdy lepiej poznałam waszą historię, rozumiem, dlaczego nie umiała wypuścić cię z ramion... Byłeś dla niej wszystkim, co miała.

- Ona również była dla mnie wszystkim - odparłem.

I wtedy coś we mnie pękło. Prawie usłyszałem trzask, na prawdę, ale było już za późno, żeby powstrzymać powódź. Usiedliśmy na piasku i Maria Elena otoczyła mnie ramionami. Musiało to wyglądać dość zabawnie, bo ja byłem bardzo wysoki, a ona, w porównaniu ze mną raczej drobna, lecz nie przejmowałem się tym. Szlochałem jak dziecko i wyrzucałem z siebie cały nagromadzony przez lata smutek, aby bolesne rany wreszcie mogły się zablźnić.

Spędziłem u Matiasa i Marii Eleny dwa tygodnie. Te długie letnie dni poświęciliśmy głównie na to, aby od nowa dobrze się poznać. Wypiliśmy całe morze pisco sour, śmialiśmy się jak szaleni, do bólu brzucha, i oczywiście wspominaliśmy. Niczego przed nimi nie ukrywałem. Otworzyłem się jak ostryga, której muszla, raz rozchylona, już się nie zamyka. Spacerowaliśmy po plaży, boso brodziliśmy w wodzie i patrzyliśmy, jak ciepły, bursztynowy blask zachodzącego słońca obmywa brzeg oceanu i znikając, zabiera ze sobą mój żal i rozpacz. Obserwowałem Matiasa z jego ptakami, patrzyłem, jak głaskał je, karmił i bawił się z nimi, i zrozumiałem, że są dla niego jak dzieci, których nie dane mu było mieć. Byliśmy znowu razem, ale nie mogłem zostać w Chile, chociaż chwilami miałem na to ogromną ochotę. Musiałem jeszcze wrócić do Mauriac i odkopać tajemnice przeszłości, Matias i Maria Elena natchnęli mnie odwagą, aby to zrobić.

Nienawidziłem pożegnań, a to było dla mnie naprawdę wyjątkowo bolesne, zwłaszcza że w ich oczach także widziałem ból. Matias za mocno klepnął mnie w plecy, potem zamknął na parę sekund w uścisku tak potężnym, że o mało się nie udusiłem. Maria Elena musnęła mój policzek pocałunkiem, który czułem przez całą podróż do Francji, niczym łagodny szept. Powiedzieli, że zawsze będą na mnie czekać, ale przecież wiedziałem, że nic w życiu nie trwa wiecznie. Czas mógł nas nieść jeszcze na grzbiecie swojej fali, ale byłem świadomy, że kiedyś pobyt moich przyjaciół na ziemi dobiegnie końca i wtedy znowu zostanę sam. Zawsze sam, samotny chevalier.

Perspektywa powrotu do Francji nappełniała mnie niepokojem. Logika podpowiadała, że demony przeszłości, monsieur Cezade czy ksiądz Abel-Louis, na pewno powymierali albo stracili moc i nie przedstawiają już żadnego zagrożenia. Byłem czterdziestoparoletnim mężczyzną, a jednak pozostało we mnie coś z małego chłopca, który chował się za krzesłem w korytarzu chateau z nadzieją, że uda mu się zobaczyć Joy Springtoe lub Daphne Halifax.

Pamiętałem wszystko i obawiałem się zmian. Pragnąłem, aby winnica wciąż była taka sama jak w dniach, kiedy razem z Pistou biegałem wąskimi alejkami, aby Jacques Reynard nadal pracował w swoim warsztacie, we włożonej na bakier czapce i z łobuzerskim błyskiem w oczach, ale skoro monsieur Cezade i ksiądz Abel-Louis postarzelili się i osłabli, to z pewnością ten sam los spotkał mojego przyjaciela. Zastanawiałem się, czy teraz, jako mężczyzna, będę patrzył na nich wszystkich innymi oczami, tak jak na mojego starego nauczyciela z

New Jersey, którego kiedyś przypadkiem spotkałem w Nowym Jorku. Gdy byłem jego uczniem, nigdy go nie lubiłem, ale kiedy jako dorosły człowiek poszedłem z nim na kawę, z wielkim zdziwieniem odkryłem, że mamy ze sobą dużo więcej wspólnego, niż mógłbym się spodziewać. Czy tamto doświadczenie oznaczało, że byłbym w stanie żartować z panem Cezade'em albo wejść w położenie księdza Abla-Louisa i zrozumieć jego postępowanie?

Zdawałem sobie sprawę, że najprawdopodobniej nikogo nie rozpoznam. Kiedy wyjechaliśmy, miałem dopiero sześć lat i twarze z przeszłości zbladły w mojej pamięci niczym leżące przez długi czas na słońcu fotografie. Kilka osób, które odgrywały główne role w moich koszmarach pamiętałem aż zbyt dobrze, ale inne najzwyczajniej w świecie zapomniałem. W czasie mojej nieobecności w Mauriac musiało dorosnąć nowe pokolenie, wokół place de l'Eglise na pewno pojawiły się nowe sklepy, a wśród drzew, w cieniu kościoła zaczęły bawić się dzieci, których nigdy nie widziałem. Na pewno biegają po placu do zachodu słońca, a potem rozpraszają się jak stadko gołębi i wracają na kolację do domu... Pomyślałem, że może rozpoznam Claudine w rysach twarzy jakiejś dziewczynki albo Laurenta w ciemnowłosym i ciemnookim chłopcu. Gdybym nie wyjechał, niewykluczone, że teraz moje dzieci bawiłyby się razem z nimi. A mieszkańcy Mauriac? Czy czas stępił ich noże i uspił pamięć? Wojna skończyła się czterdzieści lat temu, ale czy tak długi okres wystarczy, aby zmyć nienawiść i pogardę?

Nie byłem zaskoczony, że Coyote nie zapłacił rachunku za pobyt w chateau. Sprawiał wrażenie zamożnego człowieka, ale właśnie na tym polegał jego geniusz - Coyote mógł przywdziać dowolną tożsamość jak dobry aktor. Trochę wbrew wszystkiemu, co powiedzieli mi o nim Matias i Maria Elena, wcale nie przestałem wierzyć, że Coyote, którego znałem, był człowiekiem z krwi i kości, nie pracowicie stworzonym wizerunkiem. Nie wierzyłem, że można udawać miłość. Zapamiętałem wyraz jego oczu, dotyk dłoni - wyczuwałem w tym miłość, uczucie tak ciepłe i cudownie sycące jak gęsty karmel. Nie, mój Coyote kochał mnie naprawdę i szczerze...

Miałem nadzieję, że uda mi się zobaczyć Claudine, oczywiście jeżeli nie wyjechała z Mauriac, co oczywiście łatwo mogło się zdarzyć, gdyż w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych bardzo wielu Francuzów przenosiło się z prowincji do dużych miast. Zastanawiałem się, czy bym ją rozpoznał. W samolocie zamknąłem oczy i przywołałem z pamięci szeroki uśmiech, długie kasztanowe włosy i zielone oczy. Claudine czerpała przewrotną przyjemność z łamania określonych przez dorosłych reguł postępowania oraz ze sprzeciwiania się matce. Zawierając ze mną przyjaźń, wykazała się ogromną odwagą.

Pamiętałem, jak bawiliśmy się na kamiennym mostku, rzucając kamyczki do rzeki, jak zerwałem jej z głowy kapelusz i pogałem przed siebie, dusząc się ze śmiechu. Pamiętałem, jak dodawała mi odwagi na szkolnym podwórku i jak uknuliśmy nieudany spisek, którego głównym celem było podrzucenie zdechłej ryby do piekarni pana Cezade'a. Pamiętałem też swoją konfrontację z Laurentem. Pragnąłem znowu zobaczyć Claudine i serdecznie jej podziękować. Była jedyną osobą w moim wieku, z którą przyjaźniłem się w Mauriac, oczywiście nie licząc Pistou. A właśnie, jak to właściwie było z Pistou...

Chłopiec o ciemnych włosach, łobuzerskim spojrzeniu głęboko osadzonych orzechowych oczu zjawiał się pewnej nocy, aby pocieszyć mnie i uspokoić po przebudzeniu z koszmarnego snu, tego samego, co zwykle. Pamiętałem go bardzo wyraźnie, jakby był żywym, prawdziwym dzieckiem, nie owocem mojej wyobraźni. Naturalnie, teraz wiedziałem, że Pistou nie istniał, bo sam go stworzyłem. Nie wierzyłem w duchy. W tamtym okresie byłem tak bardzo samotny i tak cierpiałem z tego powodu, że wymyśliłem sobie małego przyjaciela, który miał dotrzymywać mi towarzystwa. Otoczony wrogami, zapewniłem sobie sojusznika. Inni mnie nie rozumieli, ale Pistou świetnie wiedział, co działo się w moim sercu i szczerze mi współczuł. Nie musiałem z nim rozmawiać, ponieważ bez trudu słyszał mój wewnętrzny głos. W gruncie rzeczy nie było nic szczególnie dziwnego w tym, że stworzyłem dość podobnego do mnie chłopca, który robił wszystko, co ja mogłem przeżywać wyłącznie w wyobraźni, na przykład szczypać w pupę madame Duval, chować jej okulary i podkradać cygara jej męża. Uwierzyłem, że Coyote także go widział, ponieważ bardzo zależało mi, aby coś mnie z nim łączyło, nawet jeżeli miałyby to być tylko wspólna, nieważna dla innych tajemnica. Tak czy inaczej, w moich wspomnieniach Pistou był jak najbardziej realną postacią. Zapamiętałem jego dotyk, zapach skóry, głos i śmiech, lecz umysł człowieka dorosłego mówił mi, że to najzwyczajniej w świecie niemożliwe. Jeżeli okazałbym się na tyle naiwny, by liczyć na ponowne spotkanie z Pistou, czekałoby mnie gorzkie rozczarowanie.

Podróż trwała długo. Samolot przeskakiwał z kraju do kraju niczym konik polny, zanim w końcu znalazłem się w Bordeaux. W chwili, gdy stanąłem na płycie lotniska, poczułem charakterystyczny dla Francji zapach i serce ścisnęło mi się ze wzruszenia. Był luty, a więc niezbyt ciepło. Nad lotniskiem wisiało szare niebo, z którego sączyła się lekka mżawka, lecz w powietrzu było coś, co kojarzyło mi się z domem, z ojczyzną. Stałem na asfalcie, trochę zagubiony, lecz zupełnie spokojny, a minione lata rozwijały się przede mną jak kłębek

sznurka. Musiałem wyglądać nie najlepiej, bo po chwili podeszła do mnie miła stewardesa.

- Dobrze się pan czuje, monsieur? - zagadnęła.

- Tak, jak najbardziej - odparłem po francusku. - Chyba po prostu powinienem na chwilę usiąść...

Zaprowadziła mnie do hali odbioru bagażu, gdzie ciężko osunąłem się na krzesło.

- Może przynieść panu szklankę wody?

- Będę bardzo wdzięczny. - Nagle zupełnie zaschło mi w gardle.

Czekając na moją przypadkową opiekunkę, która udała się na poszukiwanie wody, zacząłem rozglądać się dookoła. Nikt nie był tu sam - matki trzymały za ręce dzieci, mężowie towarzyszyli żonom, dziadkowie upominali wnuki. Minęło mnie kilku biznesmenów w garniturach i z aktówkami, ale nawet oni mieli twarze ludzi, którzy śpieszą się do rodziny albo przyjaciół. Tylko ja byłem inny - samotny. Wzniosłem dookoła siebie wysoki mur i stałem się fortecą, nie chciałem wpuścić do środka nikogo, odmówiłem wstępu nawet Lindzie, chociaż tak bardzo się starała. Nikt nie przedostał się przez mur, a ja nie wyszedłem na zewnątrz. Ciesząc się całkowicie mylnym poczuciem bezpieczeństwa, sam stałem się więźniem, zakładnikiem własnych lęków i uprzedzeń.

Stewardesa wróciła ze szklanką wody, którą chciwie wypilem.

- Gdzie zamierza się pan zatrzymać? - zapytała.

- Muszę wynająć samochód, jadę do Mauriac - odparłem, oddając jej plastikowy kubek.

- To bardzo ładna miejscowość, byłem tam. Mieszka tam mój wuj, ale to okropny człowiek, więc staram się widywać go jak najrzadziej... W okolicy jest piękny zamek i winnica.

- Planowałem zatrzymać się właśnie w chateau. Słyszałem, że teraz jest to hotel...

- Tak. Mam nadzieję, że zarezerwował pan pokój, bo podobno trudno tam znaleźć wolne miejsce.

- Nie, nie zarezerwowałem. Myślałem, że po prostu pojedę tam, i już.

Potrząsnęła głową.

- Zatelefonuję do chateau w pana imieniu, tak na wszelki wypadek - obrzuciła mnie zaciekawionym spojrzeniem. - Nie jest pan stąd, prawda?

- Urodziłem się w tych stronach, ale prawie całe życie spędziłem w Ameryce.

- Ach, dlatego ma pan taki niezwykle akcent! Nazywam się Caroline Merchant, mieszkam w Bordeaux...

- Mischa Fontaine - przedstawiłem się, wyciągając do niej rękę.

- Bardzo mi miło... Zaraz, a może pojedzie pan do mnie, ja spróbuję zrobić rezerwację i od razu powiem, czy mi się udało...

Jej bezpośredniość trochę mnie zaskoczyła.

- Oczywiście! - szybko podniosłem się z krzesła. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Boni Mój samochód czeka na parkingu przed lotniskiem!

Caroline miała zielonego niczym limonka citroena deux chevaux, który natychmiast skojarzył mi się z miniaturowym samochodzikiem od Joy Springtoe. Podniosła klapę bagażnika, a ja włożyłem do środka swoją walizkę i jej torbę. W skórzanych obiciach foteli nie było żadnych dziur, nigdzie nie dostrzegłem choćby najcieńszej warstewki kurzu, w bagażniku nie było brudnych klatek dla ptaków... Dziewczyna włożyła okulary i usadowiła się za kierownicą.

- Muszę prowadzić w szklach - powiedziała, maskując zażenowanie śmiechem. - Nie znoszę ich, ale nic nie mogę na to poradzić...

- Moim zdaniem bardzo ci w nich do twarzy - oświadczyłem szczerze.

Z włosami ściągniętymi do tyłu w gładki, nieco surowy kok, przypominała młodą, pełną zapału nauczycielkę. Nagle zapragnąłem uwolnić jej włosy spod gumki i zobaczyć, jak obfitą falą opadają na ramiona. Świadoma mojego uważnego spojrzenia, zaczerwieniła się lekko.

- Skąd przyleciałeś? - spytała.

- Z Chile.

- Zauważyłam cię na pokładzie samolotu...

- Zawsze podrywasz zagubionych Amerykanów? uśmiechnąłem się.

Na jej policzki znowu wypełził rumieniec.

- Nie, po prostu ty wyglądałeś na bardziej zagubionego od innych.

- Masz rację, czuję się zagubiony. Ostatni raz byłem tu ponad trzydzieści lat temu.

- Walczyłeś we Francji w czasie wojny? - obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak okropnie musiałem wyglądać. Odrzuciłem głowę do tyłu i roześmiałem się głośno, przypominając sobie brutalną uwagę Esther, która przed wyjazdem powiedziała mi, że nikt nie wzięłby mnie za czterdziestolatka.

Do mieszkania Caroline wchodziło się przez wewnętrzny dziedziniec. Otworzyła żelazną furtkę kluczem i po starych kamiennych schodach wdrapaliśmy się na pierwsze piętro.

W drodze z lotniska kupiliśmy mleko i croissanty w małym sklepiku na rogu najbliższej przecznicy. Podczas gdy Caroline robiła kawę w kuchni, ja patrzyłem przez okno na brukowane osiemnastowieczne uliczki i domy z piaskowca. Drobny deszczyk spowijał wszystko miękkim, melancholijnym woalem i nagle ogarnął mnie smutek, bo chociaż bardzo chciałem przypomnieć sobie Bordeaux sprzed trzydziestu paru lat, pamięć nie była mi posłuszna.

Usiedliśmy przy oknie, popijając kawą jeszcze ciepłe croissanty z masłem i dżemem.

- Jesteś żonaty? - zapytała Caroline.

- Nie - odparłem, delektując się słodkim smakiem Francji.

- Ja też jestem wolna i chyba nawet nie chciałabym wiązać się z nikim na stałe. Oboje moi rodzice mają już nowych partnerów, więc raczej nie dali mi dobrego przykładu...

Pomyślałem o związku mojej matki i Coyote'a i zupełnie niespodziewanie pojąłem wreszcie, dlaczego małżeństwo mnie także nie wydaje się atrakcyjnym pomysłem na życie.

- Kiedyś jednak na pewno zechcesz wyjść za mąż - powiedziałem cynicznie.

- Kobiety zawsze do tego dążą...

- Cóż, jeżeli nawet masz rację, to sądzę, że jeszcze dużo czasu upłynie, zanim zdecyduję się na takie ryzyko. Mam dopiero dwadzieścia sześć lat i nie muszę się śpieszyć...

Boże, pomyślałem, mógłbym być jej ojcem... Caroline podniosła głowę i posłała mi uśmiech kobiety, która całkowicie panuje nad swoim życiem i poczynaniami.

- Na razie, dopóki nie zechcę się ustatkować, będę miała tylu kochanków, ile mi się zamarzy, a gdy w końcu znajdę tego jedyne, może faktycznie poślubię go i urodzę mu dzieci - oznajmiła. - Natomiast w tej chwili mam ochotę na prysznic...

Zostawiła mnie samego. Chwilę później usłyszałem cichą muzykę i Caroline stanęła w progu. Włosy miała rozpuszczone, wyglądała pięknie i zmysłowo, jak typowa Francuzka.

Rozebraliśmy się w wielkim pośpiechu i nago stanęliśmy naprzeciwko siebie na drewnianej podłodze jej sypialni. Od jasnej, gładkiej skóry Caroline poniżej pępka wyraźnie odcinał się trójkąt czarnych włosów łonowych, moja skóra była

mocno opalona chilijskim słońcem. Górowałem nad dziewczyną wzrostem, ale ona wcale nie wydawała się tym onieśmielona.

Ogarnęła moje ciało taksującym spojrzeniem i uśmiechnęła się z aprobatą.

- Jak na starszego pana masz całkiem niezłe ciało - zauważyła, unosząc lekko brwi. - Skąd to masz? - delikatnie przesunęła palcami wzdłuż blizny po zadanej nożem ranie z prawej strony mojej klatki piersiowej.

- To rezultat wypadku - odparłem machinalnie. Zawsze powtarzałem to samo dziewczynom, z którymi sypiałem, i wszystkim, którzy widzieli mnie bez koszuli. Nigdy nie dzieliłem się z nikim tą częścią mojej przeszłości.

- Taka rana na pewno bardzo bolała, prawda?

- Tak...

- Ale przydaje ci męskości - uśmiechnęła się. - Podoba mi się...

- Cieszę się - odpowiedziałem uśmiechem. - Całe szczęście, że nie da się jej zmyć w czasie kąpieli...

Poszedłem za nią do łazienki. Białe kafelki chłodziły mi stopy. Zauważyłem gęsią skórę na jej ramionach i jasnobrązowe znamię wysoko na pośladku. Nachyliła się i włączyła prysznic. Kiedy stłoczyliśmy się w małej kabinie, ująłem ją pod pachy, podniosłem i pocałowałem. Woda była przyjemnie ciepła. Odwróciłem się, żeby cienkie strumyczki spływały po jej włosach, twarzy i między naszymi ciałami. Czułem się trochę tak, jakbym wyszedł na ulewny letni deszcz. Caroline uniosła nogi i objęła mnie nimi w pasie. Całowałem ją z prawdziwą rozkoszą. Wargi miała miękkie, język spiczasty. Odwzajemniając pocałunki, mruzczała jak zadowolony kot.

- Masz ładnego kutasa - powiedziała, namydlając moje ciało.

Wiele wskazywało na to, że bardzo starała się być ucieleśnieniem francuskiego wyrafinowania, ale jej komentarze podkreślały tylko, jaka jest jeszcze młoda. Dziewczyny mówiły mi takie rzeczy, kiedy byłem nastolatkiem, ponieważ uważały, że tego rodzaju komplementy wzbudzą we mnie jeszcze większy zapal, ja jednak najbardziej lubiłem te, które milczały. Wziąłem Caroline za rękę i wyciągnąłem ją spod prysznic. Gdy owinałem ją ręcznikiem, zachichotała cicho.

- Zanieś mnie do łóżka, mój przystojny Amerykaninie... - poprosiła.

Wulgarne uwagi zupełnie na mnie nie działały, lecz seksualna pewność siebie zawsze budziła moje uznanie. Caroline nie tylko mruzczała i pomiaukiwała jak kot, ale także reagowała w podobny sposób. Przeciągała się, wyginała, poruszała biodrami w powolnym, rytmicznym tańcu i otwierała się szeroko, dysząc szybko i płytko. Kiedy przestała gadać, okazała się prawdziwą uczką dla spragnionego rozkoszy mężczyzny. Jej ciało było jędrne, skóra

aksamitna, tajemnice ukryte pod trójkątem miękkich czarnych włosów młode, różowe i lśniące od wilgoci.

Później leżeliśmy, ciasno objęci, jak kochankowie. Caroline położyła głowę na mojej piersi i czubkami palców gładziła brzuch.

- Jesteś cudowny... - westchnęła. - Wielka szkoda, że musisz jechać do Mauriac... Nie wolałbyś zostać tutaj ze mną? Następny lot mam dopiero pojutrze...

- Niestety, muszę jechać - odparłem.

- Wrócę za trzy tygodnie.

- To kusząca perspektywa! - roześmiałem się.

W głębi duszy wiedziałem jednak, że więcej się nie zobaczymy.

- Byłeś kiedyś zakochany? - spytała, rysując paznokciem falistą linię na mojej skórze.

- Nie, i chyba nigdy się nie zakocham.

- Wcale nie jesteś za stary na miłość - oświadczyła z przejęciem. - Czuję to!

- Wiek nie ma z tym nic wspólnego - wyjaśniłem. - Po prostu nie należę do mężczyzn, którzy się zakochują...

- Ale przecież nie możesz przejść przez życie zupełnie sam!

- Nie jestem sam - skłamałem. - Ostatnie dziewięć lat przeżyłem z pewną kobietą, tyle tylko, że nigdy nie chciałem się z nią ożenić.

- I nie marzysz o tej jednej, jedynej, która mogłaby być z tobą na dobre i złe?

- Nie jestem romantykiem.

- Nie musisz być romantykiem... - zachichotała, wtulając twarz w moją pierś.

- Jesteś przystojny, seksowny i niewiarygodnie dobry w łóżku... Chyba nigdy jeszcze nie miałam tylu orgazmów w czasie jednej sesji, a to coś znaczy, bo szczytuję bez trudu, możesz mi wierzyć...

- Nie jestem zbyt spragniony romantycznej miłości - pogładziłem dłonią jej miękkie włosy. - Może mam zimne serce, nie wiem...

Była taka młoda... Czekają ją wiele poważnych rozczarowań i dobrze, że na razie nawet tego nie przeczuwała.

- Moim zdaniem, nie masz zimnego serca, chodzi tylko o to, że jeszcze nie ogrzała go odpowiednia kobieta... Pewnego dnia ktoś taki się pojawi i twoje serce zapłonie jak wielkie ognisko, zobaczysz! Miłość ma niewiele wspólnego z seksem, to raczej zdolność postawienia drugiego człowieka na pierwszym miejscu, troszczenia się o drugiego bardziej niż o siebie...

- Jeżeli tak jest, to nie mam nic przeciwko temu. Ale mimo wszystko wolałbym nie zestarzeć się w samotności...

Mówiłem prawdę. Chciałem pokochać kogoś tak mocno, jak moja matka kochała Coyote'a, ale wątpię, czy kiedykolwiek przydarzy mi się coś takiego. Jak miałbym rozpoznać tę jedną, jedyłą? Skąd miałbym wiedzieć, że akurat tym razem muszę spuścić zwodzony most i pozwolić jej wejść do mojej twierdzy?

- Cóż, jeżeli przez najbliższe trzy tygodnie nie znajdziesz kobiety swego życia, zadzwoń do mnie i znowu przyjemnie spędzimy parę godzin - zażartowała. - Polubiłam cię, wiesz?

Podoba mi się twój dotyk... Możesz korzystać z tego, kiedy tylko zechcesz!

Tak jak obiecała, zadzwoniła do chateau i zarezerwowała pokój. Potem zapisała swój numer telefonu i podwiozła mnie do firmy zajmującej się wynajmowaniem samochodów. Pocałowaliśmy się jak kochankowie, ale rozstaliśmy jak przyjaciele.

- Wpadnij do mnie, zanim wrócisz do Ameryki - powiedziała.

Byłem przekonany, że nie spełnię jej prośby.

CZEŚĆ TRZECIA

Och, gdy znalazłem się w siodle
Wszyscy patrzyli z zachwytem
Och, gdy znalazłem się w siodle
Wesoło pędziłem przed siebie
Lecz wcześniej zacząłem pić
A potem grać w karty
Postrzelił mnie pokerzysta
I teraz umieram.
Niech ktoś przyniesie mi
Szklanę zimnej wody
Szklanę zimnej wody
Powiedział nieszczęsny kowboj
Ale zanim ją przynieśliśmy
Jego dusza już odeszła
Jego dusza już odeszła
I umarł biedny kowboj.

Zobaczyłem wieże chateau na długo, zanim dotarłem do Mauriac. Ciemnoszare spiczaste dachy górowały nad drzewami tak jak zapamiętałem, i wydawały się kusząco bliskie. Jakiś hałas spłoszył stado gołębi, które niczym rzucona w górę garść kul wzbily się i zaraz rozproszyły na tle jasnego, wodnisteo nieba. Serce zaczęło mi bić szybciej, w małym samochodzie nagle zrobiło się za duszno i za gorąco. Wreszcie wracałem do domu.

Zatrzymałem samochód u stóp wzgórza. Szosa pięła się dalej łagodnym łukiem, trawa po obu stronach jezdni błyszczała w nieco zamglonym świetle. Wiele razy przebywałem tę trasę i chociaż było to dawno temu, prawie w innym życiu, pamiętałem te wyprawy tak dokładnie, jakby miały miejsce poprzedniego dnia. Dorosłem i stałem się mężczyzną, to prawda, ale serce, które nosiłem w piersi, należało do małego chłopca.

Była zima, ziemia skamieniała, przedostający się do wnętrza samochodu wiatr dmuchał mrozem, lecz ja wspominałem letni dzień, kiedy Coyote zawiózł nas na plażę swoim autem ze składanym dachem. Pamiętałem dotyk wiatru, który rozwiewał mi włosy, uczucie wolności, radości i nieskończonych możliwości, rytm serca wezbranego miłością i dumą. Pamiętałem widok dłoni Coyote'a na kolanie mojej matki. Mama nie odepchnęła jej, lecz przykryła ją swoją ręką i lekko ścisnęła. Widziałem i słyszałem wszystko, co się wtedy działo, nie mogłem sobie tylko przypomnieć, jak to było, kiedy nie mówiłem. Czulem zapach upału, chociaż powietrze zamarzało mi w nozdrzach, aromat sosnowych igieł i trawy, topoli i jaśminu. Słyszałem grające cykady, śpiew ptaków, przyciszone brzęczenie pszczół, czulem muśnięcie motyli skrzydeł na policzku, chociaż teraz po ziemi skakały tylko dwie wrony, bezskutecznie szukające robaków. Czulem się równie młody jak wtedy, ale ściskające kierownicę dłonie należały do mężczyzny w średnim wieku. Pragnąłem, żeby przeszłość ożyła, lecz ona była martwa i zimna.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce i pomruk silnika wyrwał mnie z zamyślenia, zakłócił myśli niczym kamień, rzucony w gładką wodę jeziora. Ruszyłem w górę, w kierunku miejsca, które zawsze darzyłem miłością, nie zważając na nienawiść mieszkających w nim ludzi. Zastanawiałem się, czy Yvette jeszcze żyje i co stało się z państwem Duval. Czy poznają mnie, jeżeli nadal mieszkają w chateau, czy też może zmieniłem się nie do poznania? Zerknąłem w lusterko i uznałem, że zapewne by mnie nie poznali. Minęło tyle

lat... Tylko ktoś, kto mnie kochał, dostrzegłby samotnego małego chłopca w oczach dojrzałego, staro wyglądającego mężczyzny.

Zamek wyglądał tak, jak go zapamiętałem, nic tu się nie zmieniło. Zatrzymałem się przed budynkiem o murach z jasnego kamienia, wysokich oknach, jasnoniebieskich okiennicach, otwartych, aby wpuścić do wnętrza słońce, z dachem krytym szarą dachówką, pięknymi w kształcie oknami na poddaszu, smukłymi kominami i dwiema uroczymi wieżami. Nigdy nie zachwyciłem się urodą chateau, ceniłem go tylko za to, co reprezentował. Teraz był symbolem minionej ery, ale zachował piękno i wdzięk.

Gdy wysiadłem z samochodu, młody człowiek w czarno-szarym uniformie wybiegł z holu i zaproponował, że weźmie moją walizkę. Wszedłem za nim do środka i od razu zauważyłem jasne, kamienne płyty podłogi - ohydny niebiesko-złocisty dywan na szczęście zniknął.

Powitał mnie przystojny mężczyzna po trzydziestce, wysoki, wyprostowany, o błyszczących czarnych włosach gładko zaczesanych z czoła. Przedstawił się jako Jean-Luc Lavallo i najwyraźniej założył, że nie jestem Francuzem, ponieważ od początku mówił po angielsku.

- Witamy w chateau Lecrusse... Przyjechał pan z daleka?

Z punktu zirytował mnie swoim landrynkowym uśmiechem i rzucającym się w oczy zarozumiałstwem. Ciekawe, jak by zareagował na informację, że kiedyś czarne oficerki mojego ojca przemierzały korytarze chateau, a ja puszczałem samochodziki po tej kamiennej podłodze, ponieważ ten wielki hotel był moim domem.

- Z Ameryki - odparłem krótko, nie mając najmniejszej ochoty wdawać się w rozmowę.

- Mamy bardzo dużo gości z Ameryki - oznajmił z dumą. - Głównie z powodu historii tego miejsca. Chateau pochodzi z szesnastego wieku, a wy, Amerykanie, praktycznie nie macie własnej historii...

- Skoro pan tak twierdzi, to chyba niewiele pan wie o świecie, monsieur... - rzuciłem.

Moja szorstka odpowiedź bynajmniej go nie zniechęciła.

- Amerykanie uwielbiają kulturę Europy - uzupełnił z zapalem.

- Bo własnej nie mają, prawda? - spytałem sarkastycznie, ale mój rozmówca był zbyt przejęty rolą, by zwrócić uwagę na ton mojego głosu.

- Exactement, właśnie! - ucieszył się z mojej podpowiedzi. - Mauriac na pewno się panu spodoba, bo kultura dosłownie tutaj kwitnie...

- Nie wątpię - powiedziałem. - Jednak teraz chciałbym pójść do swojego pokoju, jeśli to możliwe...

- Naturalnie, monsieur... Oto formularz meldunkowy do wypełnienia, jeśli pan łaskaw... Pana walizka została już wniesiona na górę.

- Proszę mi powiedzieć, do kogo teraz należy hotel... - zagadnąłem, siadając na wskazanym przez niego krześle.

- Jeszcze stosunkowo niedawno cały kompleks był własnością małżeństwa nazwiskiem Duval. Dziesięć lat temu państwo Duval sprzedali go firmie Stellar chdteaux, posiadającej kilka zamków na terenie Francji...

- A pan jest...?

- Dyrektorem hotelu. Gdyby miał pan jakiegokolwiek problemy czy pytania, jestem do usług...

- To bardzo pocieszająca wiadomość - odparłem. - Kto zarządza winnicą? Mężczyzna uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony moimi pytaniami.

- Alexandre Dambrine.

- A kościół w Mauriac? Kto jest proboszczem?

- Ksiądz Robert Denous...

- Ach, tak! Ksiądz Abel-Louis wyjechał z Mauriac?

- Odszedł na emeryturę, ale wciąż mieszka w miasteczku, przy place de l'Eglise... - chwilę przyglądał się, jak wypełniam formularz. - Przepraszam, że pytam, monsieur, ale czy był pan tu już wcześniej?

Uniosłem głowę i spojrzałem mu prosto w oczy.

- Kiedyś tutaj mieszkałem - powiedziałem z lekkim rozbawieniem. - Zanim przyszedł pan na świat...

Oczy Jeana-Luca zabłysły. Wiedziałem, że chętnie zasypałby mnie gradem pytań, ale wyczuł istnienie muru, którym się otoczyłem, i wycofał się. Złożyłem podpis pod dokumentem i poszliśmy do mojego pokoju. W korytarzu zauważyłem krzesło, za którym ukrywałem się w dzieciństwie. Stało w tym samym miejscu, nawet jedwab, którym je obito, pozostał niezmienny, chociaż miejscami wyblakł od słońca, padającego na nie przez znajdujące się naprzeciwko okno. Wydało mi się małe, nie mogłem sobie wyobrazić, jakim cudem kiedykolwiek mieściłem się za jego oparciem. Kiedy Jean-Luc wkładał klucz do zamka, rozejrzałem się po korytarzu i zatrzymałem spojrzenie na drzwiach pokoju, w którym mieszkała Joy Springtoe. Doskonale go pamiętałem. Wsunąłem rękę do kieszeni, wyjąłem gumową piłeczkę, której o mało na zawsze nie zgubiłem pod komodą w pokoju Joy i z nostalgią przypomniałem sobie chwilę, kiedy oddała mi ukochaną piłkę. Nadal czułem zapach jej skóry, zapamiętany w momencie, gdy objęła mnie ostatni raz, i smutek, który dręczył mnie po jej wyjeździe. W dzieciństwie niewiele osób ofiarowało mi miłość i żadnej z nich nie zapomniałem.

- Z okien tego pokoju roztacza się piękny widok na winnicę - odezwał się Jean-Luc. - Oczywiście latem wszystko wygląda dużo ciekawiej, ale przecież panu nie muszę tego mówić...

- Dziękuję - odparłem chłodno.

Widziałem, że dyrektor hotelu ma pytania dosłownie na końcu języka, a ja chciałem zostać sam.

- Doskonale... Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę wybrać zero, pod tym numerem skontaktuje się pan z obsługą. Życzę przyjemnego wypoczynku...

Niechętnie zamknąłem za sobą drzwi.

Podszedłem do okna i popatrzyłem na szeregi winnych krzewów, wśród których kiedyś bawiłem się z Pistou.

Rozpakowałem walizkę, co na szczęście nie trwało długo, bo przywiozłem niewiele rzeczy, a potem postanowiłem wybrać się na spacer po posiadłości. Chciałem jak najszybciej zobaczyć stajnię i resztę chateau. Byłem rozczarowany, że Duvalowie już tu nie mieszkają. Z przyjemnością podręczyłbym ich trochę, korzystając z tego, że i tak by mnie nie poznali. Planowałem, że będę najbardziej dokuczliwym i męczącym gościem, po to tylko, żeby utrudnić im życie, a najlepiej doprowadzić ich do hysterii. Bardzo przyjemnie było znaleźć się po drugiej stronie. Pamiętałem, jak kiedyś madame Duval przyłapała mnie na obserwowaniu wchodzących do hotelu gości i za ucho zawlokła do kuchni, gdzie na oczach Yvette oraz reszty służby zabiła mnie i upokorzyła. Teraz sam byłem gościem, lecz czas zemsty minął. Mimo wszystko miałem nadzieję, że Bóg naprawdę jest nierychliwy, ale sprawiedliwy... Jeśli tak było, to pozbawione litości serca Duvalów na pewno uczyniły z nich istoty nieszczęśliwe, skazane na powolne starzenie się w ponurym mroku.

Zszedłem na dół i zajrzałem do kilku pomieszczeń. Wszystko wydawało mi się dużo mniejsze niż dawniej. Wyrosłem z moich starych kryjówek, a jadalnia, która zapadła mi w pamięć jako ogromna sala, okazała się dość przytulnym pokojem z marną akustyką. Powietrze przesycone było tym samym, przywracającym przeszłość zapachem pasty do podłóg, dymu z kominka w holu i czterystu lat życia chateau. Ten aromat przenikał mnie aż do szpiku kości - czułem się tak, jakbym nagle przeniósł się w czasie. W głowie kręciło mi się od gorzko-słodkiego smutku. Poszedłem do oranżerii i wyjrzałem na zewnątrz. Taras był mokry i miejscami zarośnięty mchem. Brunatne liście leżały na kamieniach w miejscu, gdzie Bażancice pod wielkim parasolem rozmawiały o Coyocie, a ja z Reksem ukrywałem się pod stołem. Teraz, w środku zimy, nie było tu żadnych stolików; rozciągający się aż do granicy pól ogród zasłany był

suchymi liśćmi i połamanymi gałęziami. Pamiętałem, jak razem z Pistou przyglądaliśmy się zza krzewów popijającym herbatę gościom. Nie rozglądałem się w poszukiwaniu Pistou, wiedziałem, że i tak go nie zobaczę. Czułem pustkę, jaką powodowała jego nieobecność. Nie potrafiłem już przywołać swojego niewidzialnego przyjaciela - dorosłem i zostawiłem go daleko za sobą.

Poszedłem do kuchni. Kucharz w białej czapce i fartuchu stał pochylony nad dużym miedzianym garnkiem i próbował zupę, a jeden z jego podwładnych czekał z boku na komentarz szefa. Po chwili kucharz odezwał się cichym głosem, który w niczym nie przypominał donośnego wrzasku Yvette. Gdy mnie zobaczył, wyprostował się i lekko skinął głową. Spojrzałem na ustawione na blatach rondle i wieszak pod sufitem, na którym umieszczono patelnie i kuchenne przyrządy, i uświadomiłem sobie, że teraz zdjąłbym je bez najmniejszego trudu. Uśmiechnąłem się do siebie na wspomnienie dnia, kiedy zostałem wyniesiony do rangi „łapacza” Yvette, co diametralnie odmieniło moje życie, i szybko wyszedłem na dwór.

Ledwo poznałem zamkową stajnię. Maszyny zastąpiły konie i pługi, mieszkanie na pięterku przekształcono na biura, w boksach na dole stały traktory. Warsztat Jacques'a Reynarda wciąż był na dawnym miejscu, ale nic nie pozostało z panującej w nim atmosfery. Ogarnął mnie smutek. Uświadomiłem sobie, że przez te wszystkie lata, które minęły od zniknięcia Coyote'a, nikogo nie dopuściłem do tych zakamarków mojego serca, gdzie przechowywałem wspomnienia o Jacques'u Reynardzie, Daphne Halifax oraz Joy Springtoe. Opuściłem stajnię z uczuciem, że straciłem coś bezpowrotnie.

Długo spacerowałem dookoła chateau, oddychając wspomnieniami, dotykając różnych rzeczy i nasłuchując echa głosów, które docierały do mnie z przeszłości. Pragnąłem porozmawiać z kimś, kto dzielił ze mną tamte przeżycia. Matka odeszła, Pistou istniał tylko w mojej wyobraźni... Duvalowie oraz Yvette wyprowadzili się z zamku, zresztą i tak nie miałbym ochoty na nich patrzeć. Jakaś częśćka mojej duszy wciąż domagała się zemsty, chciałem pokonać swoje demony. Cheimlier pragnął dobyć szpady i położyć trupem wrogów, którzy kiedyś go dręczyli, nacieszyć się ich cierpieniem, jakby w ten sposób mógł zanegować własny ból. Wyruszyłem do miasta z nadzieją, że uda mi się odnaleźć księdza Abla-Louisa.

Słońce stało wysoko. Poczulem głód, choć przecież niedawno Caroline poczęstowała mnie croissantami i kawą. Powietrze było zimne, promienie słońca grzały słabo, lecz ja uparłem się, aby pójść pieszo. Włożyłem palto i kapelusz, wsunąłem ręce do kieszeni i ruszyłem w dół drogą, ponieważ

przecinająca pola ścieżka o tej porze roku była zbyt błotnista. Rozglądałem się, słuchałem ptaków, które od czasu do czasu odzywały się radośnie, na przekór zimie, i wspominałem. Na dworze czułem się zdecydowanie lepiej niż w hotelu - wspomnienia nie osaczały mnie tutaj ze wszystkich stron, chłodne powietrze dodawało energii, a widok sięgających aż po horyzont pól budził zachwyt. Czułem, że jestem gotowy stawić czoło najgorszemu wrogowi.

Miasto niewiele się zmieniło. Na obrzeżach wyrosło sporo nowych domów, miejsce zaprzężonych w konie wozów zajęły samochody. Nie rozpoznałem nikogo. Szedłem w stronę rynku, zaglądając w okna sklepów i małych kawiarni. Uczucie anonimowości wcale mnie nie cieszyło - przywykłem do niego dawno temu, poza tym byłem teraz innym człowiekiem, przynajmniej zewnątrz. Człowiekiem dorosłym, który kroczył przez dzieciństwo i odkrywał, że rzeczy dawniej ogromne i imponujące nagle stały się dziwnie małe i nieważne.

Dotarłem na place de l'Eglise i usiadłem na cembrowinie fontanny. Z pyska ryby, spoczywającej u stóp świętego, nie leciała woda. Na placu bawiły się dzieci, ich matki plotkowały i grzały się w słońcu, gołębie dziobały okruchy chleba. Trudno było wyobrazić sobie, że właśnie w tym miejscu, w cieniu nadal górującego nad placem kościoła, moją matkę obnażono, ogolono i upokorzono na oczach wyjącego tłumu, a mnie uniesiono wysoko, aby wszyscy mogli zobaczyć przeznaczone na ofiarę jagnię... Oczywiście nie było to wyłącznie nasze doświadczenie, byli i inni, których ukarano w ten sam sposób, czyniąc z nich odarte z godności zwierzęta, ale ja ich nie znałem, pamiętałem tylko własny paraliżujący strach. Teraz plac wibrował życiem i pogodą. Mauriac zapomniało o swojej historii. Nigdzie nie widziałem figurki małego Mischy Fontaine'a, chłopca, który miał wizję i doznał uzdrowienia. Na rynku nie było pielgrzymów, którzy przyjeżdżaliby tu z nadzieją na podobne cuda, na placu nie wystawiono kaplicy. Wszyscy zapomnieli o dawnych wydarzeniach, w każdym razie tak mi się wydawało.

Kościół pod wezwaniem świętego Wincentego a Paulo nie budził już we mnie lęku. Kiedyś padał gęstym, groźnym cieniem na moje dzieciństwo, teraz emanował spokojem i nadzieją. Figury świętych nie pochylały się nade mną ze swoich piedestałów z wyrazem potępienia, lecz łagodnego, głębokiego zamyślenia. Były z kamienia, nie z ciała, co w dzieciństwie trudno mi było zrozumieć. Słońce wpadało do środka przez wysokie okna i oświetlało ławki oraz krzesła, także te miejsca, które w każdą niedzielę my zajmowaliśmy. Usiadłem, zupełnie sam w cichym wnętrzu. Spodziewałem się, że teraz, kiedy ksiądz Abel-Louis przestał już sprawować tu swoje rządy, poczuję obecność Boga, ale doznałem zawodu. Jeżeli gdzieś w ogóle czułem Jego bliskość, to wśród pól, w otwartej przestrzeni, pod sklepieniem nieba. Kiedy wyteżalem wzrok i patrzyłem daleko, jak najdalej, wydawało mi się, że postrzegam siłę wyższą, dotykam nieskończoności, ale tutaj, w tych zimnych kamiennych murach, niczego takiego nie czułem.

Trwałem tak dłuższą chwilę. Zapomniałem o burczeniu w brzuchu i zatraciłem się w ciszy i samotności. Niestety, moje długie nogi szybko zeszywniały. Ławka była niewygodna, drewno twarde, powietrze przesycone zapachem stęchlizny i starości, jak ciało zgrzybiałego człowieka. Wiedziałem, że pod moimi stopami spoczywają kości pogrzebanych w krypcie, i byłem pewny, że czuję ich odór. Zdobiące ołtarz kwiaty były ładne, ale mnie nie cieszyły, bo zdarzyło się tu zbyt wiele smutnych rzeczy. Pod warstwą łagodnej ciszy wibrował niespokojny ton historii, której nie da się wymazać. Podniosłem się i środkiem głównej nawy ruszyłem w kierunku wyjścia. Ksiądz Abel-Louis wygnał Boga z Jego domu i Bóg już tu nie powrócił.

Zjadłem posiłek w restauracji, której okna wychodziły na plac. Miejscowi byli przyzwyczajeni do turystów i chociaż przyglądali mi się ostrożnie, spod oka, jak ludzie, którzy nigdy nie opuszczali swojego miasteczka, dali mi zjeść w spokoju. Jedzenie było dobre. Przed laty byłem tu z Coyote'em, lecz tamto bistro już nie istniało, jego miejsce zajęła elegancka restauracja, w której podawano fois gras i szampana. Właśnie zabierałem się do deseru, kiedy moją uwagę przykuła wychodząca para. Kobiętę widziałem tylko z profilu. W jednej chwili była przy wyjściu, a w następnej na placu przed restauracją, ale poznałem ją od razu. Była to Claudine. Zamarłem z wzrokiem utkwionym w oknie, pełen nadziei, że odwróci się, abym mógł dokładniej się jej przyjrzeć i zyskać całkowitą pewność. Włosy miała krótsze, tylko do ramion, i trochę

garbiła się w ciężkim palcie, rozpoznałem jednak jej nos, uniesioną, jakby za krótką górną wargę i linię ust. Jej przednie zęby nie sprawiały teraz wrażenia zbyt dużych, ale nie miałem wątpliwości, że to ona. I nic nie mogłem zrobić - zanim dotarłem do drzwi, już jej nie było.

Wypiłem kawę i poczułem przyływ świeżej energii. Krew pulsowała mi w żyłach, serce biło szybciej. Nagle zrobiło mi się gorąco, zdjąłem więc sweter i rozpiąłem kołnierzyk koszuli. Claudine nadal była w Mauriac... Nie miałem cienia wątpliwości, że uda mi się ją wytropić, i to bez trudu. Mauriac było małym miastem, wiedziałem, że jeśli poczekam do niedzieli, na pewno znajdę ją w kościele. Jako dziecko Claudine nigdy nie opuszczała niedzielnej mszy. Zawsze przyprowadzała ją matka, podobnie jak mnie. Oboje szczerze nienawidziliśmy księdza Abla-Louisa i często śmialiśmy się z niego na kamiennym moście. Pragnąłem porozmawiać z nią o przeszłości. Była jedną z niewielu osób, które mnie rozumiały, i nie skąpiła mi swego czasu, tak samo jak Coyote i Jacques Reynard.

Zapłaciłem rachunek i zapytałem, gdzie mieszka ksiądz Abel-Louis. Kelner nieco podejrzliwie zapytał, dlaczego szukam dawnego proboszcza.

- Jestem jego starym znajomym - odparłem. Mężczyzna wahał się chwilę, ale w końcu podał mi adres.

- Muszę pana uprzedzić, że ksiądz jest bardzo chory - popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek. - I raczej niechętnie przyjmuje gości...

- Och, moja wizyta na pewno sprawi mu przyjemność! - uśmiechnąłem się.

Kelner wzruszył ramionami i zapisał adres księdza na kartce. Dałem mu duży napiwek.

Drzwi mieszkania księdza Abla-Louisa były zupełnie zwyczajne, jakby szara prostota miała zapewnić mu spokojne odejście w zapomnienie. Nie była to imponująca rezydencja byłego proboszcza, najważniejszej figury w mieście. Stałem tam chwilę, zbierając myśli, ponieważ uświadomiłem sobie, że nie bardzo wiem, co chcę mu powiedzieć. Czułem tylko, że muszę go zobaczyć, na własne oczy przekonać się, że jest stary i ledwo żywy, najlepiej chwiejący się na granicy życia i śmierci. Podniosłem rękę i zapukałem, a gdy nikt nie odpowiedział, zapukałem znowu, tym razem mocniej. Z wewnątrz dobiegł mnie jakiś szmer, potem brzęk kluczy i zasuw. Natychmiast skojarzyło mi się to z otwieraniem bramy więzienia. Zastanawiałem się, dlaczego ksiądz Abel-Louis chroni się przed ludźmi tyloma zamkami i przed kim się ukrywa.

Zasuszony staruszek zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem. Poznałem go. Spod przeredzonych, zupełnie siwych włosów wyglądała czerwona skóra czaszki, twarz miał poszarzałą i wychudzoną, policzki zapadnięte, wargi

wąziutkie i wykrzywione, ale oczy pozostały tymi samymi pozbawionymi wszelkiego uczucia szklanymi kulkami, które kiedyś wypalały dziury w murze mojego wewnętrznego oporu. Przesunął suchym językiem po wargach i popatrzył na mnie pytająco. Było oczywiste, że nie wiedział, kto przed nim stoi.

- Ksiądz Abel-Louis... - odezwałem się. Odpowiedział potakującym chrząknięciem.

- Kim pan jest?

- Mischa Fontaine - powiedziałem. Szybko zamknął usta i zamrugał nerwowo.

- Nie znam nikogo takiego... - odparł, próbując zatrzaskać drzwi.

Błyskawicznie wsunąłem but w szczelinę.

- Myślę, że jednak ksiądz mnie zna...

- Jestem chory!

- A ja przyszedłem księdza odwiedzić!

Pchnąłem drzwi. Był słaby, nie musiałem nawet sięgać po szpadę.

- Nie chcę nikogo widzieć! Kto dał panu mój adres? Dlaczego pan nie zadzwonił, żeby mnie uprzedzić? Nie wie pan, jak należy się zachować?

Wszedłem do środka i zamknąłem drzwi. Pokuśtykał przede mną w głąb korytarza, podpierając się laską. Kiedyś był wysoki, ale teraz to ja górowałem nad nim. Zauważyłem, że cały drży. Czyżby nie wiedział, że mali chłopcy dorastają i stają się mężczyznami?

Prawie bezwładnie osunął się na fotel. Pokój pogrążony był w półmroku, przez przymknięte żaluzje przedostawało się niewiele światła. Powietrze było duszne, gęste od odoru brudnego, zanieczyszczonego ciała i śmierci. Pociągnąłem za sznurek i deszczułki żaluzji uniosły się. Ksiądz skrzywił się boleśnie, kiedy słońce zalało pokój, zasłonił oczy dłonią. Z jego piersi wyrwał się słaby okrzyk.

- Czego pan chce?

- Chciałem księdza zobaczyć, zemścić się za zniszczone dzieciństwo i życie, ale widzę, że ksiądz umiera...

- Jestem stary i słaby, proszę zostawić mnie w spokoju! Proszę pozwolić mi spokojnie umrzeć!

Prawie słyszałem grzechot jego kości, ale nie mogłem znaleźć w swoim sercu ani odrobiny współczucia. Wciąż go nienawidziłem.

- Ale przecież ksiądz jest sługą Boga, czy nie tak? Jego wargi zadrżały, pośpiesznie odwrócił twarz.

- Nie zastanawia się ksiądz nad tym, jak Bóg go osądzi? - nie ustępowałem.

- Bóg dokonał cudu w moim kościele.

- Dobrze ksiądz wie, że to nie miało z nim nic wspólnego! Ksiądz zawłaszczył ten cud, próbował odebrać go Bogu!

- Przebaczyłem ci, czego jeszcze chcesz?!

- Mówi ksiądz o przebaczeniu? Ksiądz przebaczył mi moje winy?!

Mój śmiech go przeraził. Zatoczył oczami jak schwywane w pułapkę zwierzę, jego wargi drgały, w kącikach pokazała się biała, spieniona ślina. Oddychał z wyraźnym trudem.

- Pozwolił ksiądz, żeby ukarali moją matkę i torturowali mnie, trzyletnie dziecko! Powtarzam, jest ksiądz sługą Boga, więc jak to można wyjaśnić?

Kiedy popatrzył na mnie, jego oczy nie były już szkliste, ale przekrwione i oszalałe.

- Dręczysz słabego człowieka, który nie może się bronić? - wybełkotał.

- Ksiądz dręczył dziecko, zbyt małe, aby się bronić!

- To było dawno temu, na miłość boską!

- I uważa ksiądz, że dlatego można o tym spokojnie zapomnieć?

- Robiłem tylko to, co uważałem za słuszne...

- Ilu niewinnych ludzi zginęło dlatego, że ksiądz wolał nie widzieć, co im grozi? Niech ksiądz odpowie, czekam! Ile aktów zbrodni dokonało się w cieniu księdza kościoła?

- Nie wiem, o czym mówisz...

Natychmiast się zorientowałem, że dotknąłem czułego punktu, chociaż nie miałem pojęcia, czemu akurat te moje słowa tak go poruszyły. Siedział przede mną, podobny do rozdygotanego szkieletu.

- Niech diabeł weźmie księdza duszę - powiedziałem cicho. - Bo przecież już dawno mu ją ksiądz obiecał, prawda?

- Boże, wybacz mi! - wykrzyknął nagle, z przerażeniem w oczach, czerwony na twarzy. - Przebacz mi, Mischa...

Zamknął oczy i znieruchomiał. W pokoju nagle zrobiło się gorąco i bardzo duszno, jakby ognisty powiew wyssał z niego powietrze i z całej siły naparł na ściany. Zdjąłem palto i usiadłem na kanapie. Mieszkanie było zaniedbane, ksiądz Abel-Louis żył w brudzie.

- Żałuję przeszłości - wyszeptał. - Ukrywałem się przed nią przez większą część mojego życia... Zamykałem drzwi, rzadko wychodziłem... Niecierpliwie czekam na śmierć, bo nie mogę dłużej znieść samego siebie i rzeczy, które zrobiłem...

- Jest jeszcze czas na pokutę - mruknąłem. - Przecież Jezus z otwartymi ramionami czeka na grzesznika, który żałuje za swoje winy...

Oczy księdza wezbrały łzami.

- Ale ja popełniłem niewyobrażalne grzechy, Mischa... Pożądałem ziemskich dóbr, lecz teraz, w obliczu śmierci, widzę, że nie mają one żadnej wartości... Stanę przed Bogiem nagi i samotny. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, nic... Nie rozumiesz tego, byłeś wtedy małym chłopcem...

- Teraz jestem mężczyzną i wiele rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz, pozwól jednak, że opowiem ci, jak to było... Potem wyjdź stąd i więcej nie wracaj, obiecaj mi, że dasz mi spokój... Nie chcę cię więcej widzieć. Wiedziałem, że któregoś dnia przeszłość mnie doścignie, lecz teraz, kiedy to się stało, już się jej nie boję...

- Obiecuję - powiedziałem.

Serce zaczęło mocno walić mi w piersi, dłonie pokryły się potem. W przeciwieństwie do księdza, obawiałem się przeszłości, bałem się tego, co od niego usłyszę.

- Kiedy przyszli tu Niemcy, musiałem przywitać ich i pogodzić się z ich obecnością, nie miałem wyboru. Nie wiedzieliśmy, jak długo zostaną i czy alianci zdołają ich pokonać. Ja wierzyłem, że Niemcy nigdy stąd nie odejdą. Cóż, postawiłem na marnego konia... Zachowywali się dość miło, odnosili się do nas z szacunkiem, nikomu nie stała się krzywda. Po prostu weszli do miasteczka i zajęli chateau. Twoja matka pracowała tam u Rosenfeldów, a po ich wyjeździe została, żeby razem z Jakiem Reynardem pilnować majątku. Myślała, że Rosenfeldowie wrócą po zakończeniu wojny. Niemcy byli sprytni, wiedzieli, że klucz do spokoju spoczywa w moich rękach. To ja byłem pasterzem tego stada... Zdawali sobie sprawę, że jeżeli zdołają mnie przekabacić, reszta społeczności pójdzie za moim przykładem. Dlatego zapraszali mnie na obiady, przychodzili na mszę do kościoła i byli bardzo hojni. Dla Francuzów nadeszły ciężkie czasy, ale Niemcy dbali, aby moje życie nie było trudne. Twój rodzice zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, było to jasne jak słońce, ale oni starali się zachować swoją miłość w tajemnicy. Tylko ja wiedziałem, co się stało, ponieważ widziałem to na własne oczy. Gdy Anouk zaszła w ciążę, twój ojciec poprosił mnie, abym udzielił im ślubu. Nie chcieli, żebyś przyszedł na świat jako bękart. Ceremonia ślubu odbyła się w małej kaplicy w zamku. Byliście normalną rodziną, tyle że oczywiście twój ojciec był człowiekiem, który dzierżył w rękach ogromną władzę. Lubiałem twoją matkę. Miała mnóstwo uroku, duże poczucie humoru i oczywiście rzadką urodę...

Przerwał na chwilę i odchrząknął, aby oczyścić gardło z flegmy. Poprosił o szklankę wody, którą przyniosłem mu ze znajdującej się z tyłu kuchni.

- Widzisz, Anouk i ja byliśmy przyjaciółmi, chociaż na pewno nie potrafisz sobie tego wyobrazić...

- Co się stało?

- Przyszli alianci i wygnali stąd Niemców. Twoja matka za dużo wiedziała.

- I dlatego ksiądz ją ukarał? ,

- Zdradziłem ją. Powiedziałem ludziom, że wyszła za Dietera Schulza i że jej dziecko jest półkrwi Niemcem, szatańskim pomiotem...

Serce ścisnęło mi się boleśnie na dźwięk imienia ojca.

- Więc pozwolił ksiądz, żeby tak ją upokorzyli?

- Stałem z boku i pozwoliłem im ją ukarać, tak.

- A ja? Miałem trzy lata...

- Byłeś małym dzieckiem... - westchnął ciężko, jakby jego pierś przygniatał wielki głaz. Powietrze zagrzechotało w jego krtani, odchrząknął. - Zrobiłem to, żeby się ratować. Liczyłem, że Anouk wyjedzie, ale ona została, żeby dręczyć mnie swoją obecnością... Wiedziała, jakie układy zawierałem z Niemcami, znała ludzi, których zdradziłem. Zdawała sobie sprawę, że moje ręce splamione są krwią niewinnych, lecz nic nie powiedziała...

- Dlaczego?

- Ponieważ i tak nikt by jej nie uwierzył. Ja byłem kapłanem, szanowanym proboszczem tutejszej parafii, ona upadłą kobietą, kolaborantką, zdrajczynią. Kto dałby wiarę jej słowom?

Oparłem łokcie na kolanach i potarłem czoło dłonią. Więc ksiądz Abel-Louis poświęcił mnie i moją matkę, aby ratować własną skórę... Teraz już wiedziałem, dlaczego mama z takim uporem co niedzielę przychodziła na mszę - jej obecność przypominała księdzu jego grzechy, a ona była pewna, że świadomość tych grzechów będzie go bezustannie dręczyła. Nie chciała wyjechać, postanowiła pokonać księdza na swój własny sposób. Byłem zaskoczony, że nigdy nie powiedziała mi prawdy, nawet kiedy się zestarzała, a przeszłość przybrała formę odległych wspomnień. Nigdy nie rozmawiała ze mną o wojnie, moim ojcu i księdzu Ablu-Louisie. Być może właśnie to milczenie przeistoczyło się w truciznę, ta zaś z kolei stała się pożywką dla raka, który ostatecznie ją zabił. Niewykluczone, że gdyby podzieliła się ze mną swoimi przeżyciami, przedłużyłaby sobie życie.

- Straciłem głos, proszę księdza. Traktowano nas jak wyrzutków...

- Nie miałem wyboru! - syknął, odwracając oczy, aby nie patrzeć mi w twarz.

- Mógł ksiądz porozmawiać z moją matką. Jeżeli rzeczywiście byliście bliskimi przyjaciółmi, na pewno byście ustalili, jakie informacje wolałby ksiądz zachować w tajemnicy...

- Nie z Anouk. Ona była dumna, niezależna, uparta...

- Ale kochała Niemców... - mruknąłem.

- Nie! - rzucił ostro, zdecydowanie. - Kochała Niemca, jednego Niemca, twojego ojca! Sercem i duszą oddana była Francji i Francuzom. Kiedy przyszli alianci, cieszyła się razem z innymi. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że wcześniej czy później ujawni moje grzechy, więc musiałem myśleć przede wszystkim o sobie... Mauriac potrzebowało duchowego przewodnika, pasterza, nie mogłem zawieść tych ludzi...

- Nie był ksiądz godny im służyć!

- Beze mnie zupełnie by się pogubili, nie wiedzieliby, co robić...

- I wskazał im ksiądz drogę nienawiści i zemsty!

- Sam czułem się zagubiony, bałem się. Nigdy tego nie zrozumiesz.

Instykt podpowiadał mi, że ksiądz Abel-Louis nadal coś przede mną ukrywa. Jego oczy nerwowo biegały po pokoju, wyraźnie unikał kontaktu wzrokowego. Świadomie nie poruszał jakiegoś tematu - budziło to we mnie głęboki lęk.

- W takim razie proszę pomóc mi zrozumieć, żebym mógł księdzu przebaczyć...

Znowu zamknął oczy. Był blady, miałem wrażenie, że jego policzki zapadły się jeszcze bardziej, białe, nieruchome dłonie leżały na kolanach. Siedział przygarbiony, bezbronny, jakby śmierć wreszcie przyszła po niego i pożerała go powoli. Wiedziałem, że nic więcej mi już nie powie.

Wyszedłem, zostawiłem go w spokoju, dotrzymując danej obietnicy. Czułem, że już niedługo dołączy do tych, których zdradził, i będzie musiał wysłuchać wyroku, jaki na niego wydadzą. W tym momencie całym sercem pragnąłem wierzyć w niebo i Boga, i boską sprawiedliwość. Oparłem się o ścianę i głęboko wciągałem do płuc świeże, zimne powietrze. Paliło mnie w gardle, ale może właśnie dzięki temu szybko odzyskałem równowagę.

Idąc w kierunku placu, myślałem, jak dobrze byłoby podzielić się z kimś najświeższymi przeżyciami. Pragnąłem odnaleźć Jacques'a Reynarda, ale bałem się, że mój stary przyjaciel nie żyje. Nie zniósłbym takiej wiadomości teraz, po konfrontacji z księdzem Ablem-Louisem. Dopóki nie wiedziałem, co dzieje się z Jakiem, mogłem mieć nadzieję, że nadal żyje i że znajdę go w Mauriac. Chyba nie dałbym sobie rady ze świadomością, że zły ksiądz jest wszystkim, co zostało z mojej przeszłości. Nie dawałem już nawet wiary świadectwu

własnych oczu. Z rezygnacją myślałem, że kobieta, którą uznałem za Claudine, najprawdopodobniej była tylko do niej podobna. Rozpiąłem palto, wsunąłem rękę do kieszeni spodni, wyjąłem gumową piłeczkę, którą dawno temu podarował mi ojciec, i zacząłem obracać ją w palcach. Może nie trzeba było tu przyjeżdżać, pomyślałem. Może popełniłem błąd... Odsłoniłem jedynie bolesne wspomnienia, niczego nie osiągnąłem. Ksiądz Abel-Louis oczyścił swoje sumienie, ale co ze mną... Jego wyznania zmieniły tylko wizerunek matki, który nosiłem w sercu, lecz w gruncie rzeczy to także nie miało wielkiego sensu, bo przecież ona już nie żyła.

Nagle usłyszałem znajomy głos, głos z odległej przeszłości, z okresu, kiedy byłem smutny i samotny. Lata rozwiały się jak mgła i oto znowu byłem małym chłopcem, którego serce biło rytmem pierwszej miłości. Odwróciłem się powoli, niepewny, czy jej okrzyk nie jest jedynie echem mojej tęsknoty.

- Mischa?

- Claudine, to naprawdę ty!

Stała przed budynkiem poczty, jej oczy lśniły z zimna, na twarzy malował się wyraz niedowierzania.

- Co tutaj robisz? - zapytała. Wzruszyłem ramionami.

- Musiałem wrócić - odparłem, oszołomiony widokiem kobiety, która patrzyła na mnie jak na ducha.

Claudine potrząsnęła głową, jakby chciała uwolnić się z objęć snu.

- Wyrosłeś... - powiedziała z uśmiechem.

Jej przednie zęby nadal trochę wystawały, wypychając górną wargę do przodu. Przed oczami miałem roześmianą buzię dziewczynki, która zaprzyjaźniła się ze mną na kamiennym mostku.

- Ty także, Claudine...

- Ale nadal jesteś tym samym Mischą!

- A ty nadal jesteś Claudine...

Ściągnęła brwi, które utworzyły prawie prostą linię nad nosem.

- Nie... - powiedziała z westchnieniem i odwróciła wzrok. - Nie jestem już tamtą Claudine i bardzo tego żałuję...

W tej chwili po schodach poczty zbiegł wysoki, szeroki w ramionach ciemnowłosy mężczyzna o oliwkowej cerze i kilkudniowym zarostu na policzkach. W rysunku jego warg kryło się coś niemiłego.

- Bonjour... - rzucił.

Jego arogancki ton od razu mnie zdenerwował. Nie poznał mnie, natomiast ja bez trudu rozpoznałem w nim Laurenta. Był taki sam jak dawniej, tylko starszy.

- Pamiętasz Laurenta, prawda, Mischa? - odezwała się Claudine. - Laurent jest moim mężem.

Długo odprowadzałem ich wzrokiem. Szli obok siebie, mąż i żona, pozostawiwszy mnie samego i oszołomionego na chodniku. Jej pożegnalne spojrzenie nie zdołało uciszyć mojego gniewu, mimo czułości, która zaparła mi dech w piersiach. Moja wściekłość nie miała żadnego usprawiedliwienia, bo przecież gdy połączyła nas przyjaźń, byliśmy dziećmi. Nie tłumaczyło mnie nawet to, że Claudine była moją najbliższą, wyjątkową przyjaciółką, a Laurent moim wrogiem. Zdziwiło mnie, że czas w gruncie rzeczy wcale nie goi ran, choćby były to rany małego dziecka. Teraz byłem już pewny, że nigdy wcześniej nie byłem zakochany. Nigdy nie kręciło mi się w głowie z zachwytem nad drugą osobą, nigdy nie czułem, że krew szybciej krąży mi w żyłach, żołądek ściska się z niepewności i zdenerwowania, nigdy nie czułem potrzeby, aby chwycić tego kogoś w ramiona i trzymać mocno, z całych sił. Teraz tak właśnie się czułem. Claudine nigdy do mnie nie należała, ale nie umiałem zapanować nad pragnieniem, aby zatrzymać ją przy sobie.

Wsunąłem ręce do kieszeni i przygarbiłem się, bo nagle zrobiło mi się zimno. Z żalem patrzyłem, jak znikają za rogiem. Claudine nawet się nie obejrzała. Byłem dla niej starym znajomym, nikim więcej. Pomyślałem, że może jeszcze wpadniemy na siebie któregoś dnia, ale później ja wrócę do swojego życia w Ameryce, ona natomiast zostanie tutaj, wśród tak drogich mi wspomnień o wydarzeniach, które kiedyś nas połączyły, a o których ona niewątpliwie dawno zapomniała. Z sercem ociążałym od smutku ruszyłem drogą w kierunku chateau.

Kiedy dotarłem do hotelu, całkowicie zignorowałem serdeczne pozdrowienia personelu. Na szczęście Jean-Luc pracował na innej zmianie, nie byłem bowiem w odpowiednim nastroju, by spokojnie wysłuchiwać jego ignoranckich spostrzeżeń.

Ukryłem się w pokoju, zostawiając za sobą szarą chmurę przygnębienia i niechęci do jakichkolwiek kontaktów z ludźmi. Usiadłem na łóżku i oparłem czoło na splecionych dłoniach. Zapomniałem już o spotkaniu z księdzem Ablem-Louisem, wszystko zbladło w jasnym świetle przypadkowego spotkania z Claudine. Przywołałem tę chwilę, wciąż do niej wracałem. Odwróciłem się i zobaczyłem ją - stała przede mną, dawne dziecko z za dużymi zębami, które stało się atrakcyjną kobietą. Uśmiechnęła się, dłonią w rękawiczce odgarnęła z twarzy włosy i spojrzała na mnie nieśmiało. W jej łagodnych zielonych oczach lśniło niedowierzanie i radość. I właśnie wtedy to poczułem, ogarnęło mnie

dziwne uczucie, jakbym po długiej, ciemnej nocy wreszcie doczekał świtu. W ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że na całym świecie istnieje dla mnie tylko jedna kobieta, ta, która wpatrywała się we mnie z takim wyrazem twarzy, jakby doskonale znała moje myśli. A potem z przerażeniem zobaczyłem Laurenta... Wydawało mi się, że chwieję się i zaraz spadnę z dużej wysokości, rozpaczliwie walczyłem o zachowanie równowagi. Uścisnąłem jego rękę, ale nie zdobyłem się na uśmiech. Nie potrafiłem udawać, że cieszy mnie spotkanie z nim. Nie umiałem ukryć zazdrości o kobietę, której pragnąłem. Zapomniałem o zasadach dobrego wychowania, opuściła mnie umiejętność rozważnej oceny sytuacji. Spotkanie z Claudine wstrząsnęło fundamentami mojego świata i nic już nie było na swoim miejscu.

Musiałem się z nią zobaczyć, ale jak miałem to zrobić? Laurent nie był głupi, znał moje motywy. Mogłem kręcić się w pobliżu place de l'Eglise z nadzieją, że uda mi się porozmawiać z nią na osobności. Mogłem pójść pod jej dom i zaczekać, aż Laurent wyjdzie do pracy czy gdziekolwiek indziej. Mogłem zastosować jakiś podstęp, ostatecznie kiedyś byłem podobno zdolnym szpiegiem, ale co miałyby z tego wynikać? Claudine była mężatką, miała własne życie. Wiedziałem, że za jakiś czas będę musiał wrócić do Nowego Jorku, niezależnie od tego, jak bardzo pusta była moja egzystencja, i próbować zapomnieć o Claudine.

Zrobiło się ciemno, zerwał się silny wiatr. Stałem przy oknie, wpatrując się w trawnik i ścianę mroku, zasłaniającą winnicę. Przypomniałem sobie przekonanie mojej babki, jakoby wiatr przynosił zmiany. Cóż, właśnie rozpętała się prawdziwa wichura... Byłem niezadowolony i rozczarowany, znowu zacząłem żałować, że w ogóle przyjechałem do Mauriac. Moim jedynym „osiągnięciem” było zadanie bólu księdzu Ablowi-Louisowi. Puste zwycięstwo, niepotrzebne nikomu, a najmniej mnie. Wcale nie czułem się lepiej, przeszłość nadal mnie dręczyła, może nawet dotkliwiej niż poprzednio. Moje demony miały się doskonale, nie pokonałem żadnego z nich, natomiast zakochałem się w kobiecie, której nie mogłem mieć.

Wykąpałem się i przebrałem do kolacji. Wiedziałem, że i tym razem zjem sam, chociaż byłem już mocno zmęczony własnym towarzystwem. Mimo tego nie chciałem pozwolić, aby moja samotność wzbudziła litość innych, bo litość musiała zaowocować zaproszeniami, dołożyłem więc starań, żeby sprawiać jak najmniej sympatyczne wrażenie. Zszedłem na dół i ruszyłem holem w kierunku biblioteki, gdzie zamierzałem wypić drinka przed kolacją. Gdy szedłem ze wzrokiem wbitym w podłogę z kamiennych płyt, na której jako dziecko puszczałem samochodziki, zatrzymał mnie głos recepcjonisty.

- Przepraszam bardzo, monsieur...

Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Wyraźnie przestraszony moją groźną miną, drżącą ręką podał mi kopertę. Wziąłem ją i zmarszczyłem brwi. Moje imię i nazwisko wypisane było ładnymi, równymi, pochyłymi literami - większość Francuzów miała podobny charakter pisma, ponieważ w szkołach jeszcze stosunkowo niedawno uczono kaligrafii. Dopiero kiedy usiadłem w fotelu w bibliotece, uświadomiłem sobie, że nawet nie podziękowałem wystraszonemu młodemu człowiekowi w recepcji.

W kominku wesoło trzaskał ogień. Zamówiłem martini i rozejrzałem się dookoła. Kilka osób siedziało przy stolikach i czytało gazety. W pokoju panowała przyjemna cisza. Rozerwałem kopertę i przeczytałem krótki list: Mischa, proszę, czekaj na mnie jutro rano na mostku, o dziewiątej trzydzieści. Twoja dawna przyjaciółka, Claudine. Z niedowierzaniem wpatrywałem się w kartkę. Czyżby Claudine także poczuła dotyk przeznaczenia? Przeczytałem liścik jeszcze raz, z przyjemnością przyglądając się napisanym przez Claudine literom, jakby w nich zawierała się esencja jej osobowości. Kelner przyniósł mi martini. Pociągnąłem łyk i usiadłem wygodniej. Wiadomość od Claudine sprawiła, że z dużo lżejszym sercem patrzyłem w przyszłość.

- Bonsoir, monsieur...

Podniosłem wzrok i ujrzałem Jean-Luca, dyrektora hotelu. Gdyby nie list, który przed chwilą otrzymałem, odmruknąłbym coś pod nosem i czym prędzej rozłożył gazetę, żeby uniknąć pogawędki, ale teraz, podekscytowany i szczęśliwy, wskazałem mu krzesło po drugiej stronie stolika.

- Mam nadzieję, że nie zawiedliśmy pańskich oczekiwań - powiedział, siadając.

- W żadnym razie. - Złożyłem list i wsunąłem go do kieszeni marynarki. - Wszystko jest w jak najlepszym porządku...

- Chciałem zapytać o pańskie dzieciństwo tutaj, w chateau, jeżeli można...

- Urodziłem się tutaj - odparłem, pociągając łyk martini.

- Więc może zainteresują pana stare zdjęcia zamku, z okresu, kiedy jeszcze nie było tu hotelu. Pewnie pan wie, że przed wojną był to po prostu prywatny dom...

- Bardzo chętnie je obejrzę...

Starałem się przybrać zaciekawiony wyraz twarzy, ale byłem w stanie myśleć tylko o Claudine.

- Duwalowie wszystko zachowali, na szczęście, ponieważ archiwum jest pełne dokumentów, albumów z fotografiami, ksiąg z wpisami przyjaciół i znajomych, inwentarzy, zeszytów, nawet list zakupów. Kiedy dowiedziałem

się, że pan tu mieszkał, przyszło mi do głowy, że może są tu zdjęcia pańskich krewnych albo przyjaciół rodziny...

Jego ocena mojego wieku bynajmniej mnie nie uraziła. Uśmiechnąłem się lekko.

- Urodziłem się w 1941 roku, Jean-Luc. Nie jestem jeszcze aż taki stary, a moja rodzina nie mieszkała tutaj na stałe. Moja matka pracowała w chateau, to wszystko, natomiast ja sam niemal nie pamiętam, jak tu było przed założeniem hotelu.

Nie zamierzałem go informować, że mój ojciec był Niemcem i razem z innymi oficerami stacjonował w Mauriac w czasie okupacji.

- Bardzo pana przepraszam...

- Nie ma za co - odparłem. - Cieszę się, że pozbyliście się tego szkaradnego dywanu, który leżał na podłodze w holu.

- Piękno starych chateau kryje się w ich oryginalnej formie. Im mniej zmian, tym lepiej, nie sądzi pan?

- Ma pan absolutną rację - pokiwałem głową. - Kiedy byłem chłopcem, winnicą zajmował się Jacques Reynard. Czy wie pan może...

Zawahałem się. Martini i wiadomość od Claudine dodały mi odwagi, lecz nadal trochę bałem się tego, co mogę usłyszeć.

Jean-Luc się uśmiechnął.

- Jacques Reynard mieszka niedaleko Mauriac, jakieś czterdzieści minut drogi od chateau.

Mało brakowało, a otworzyłbym usta ze zdziwienia.

- Więc jeszcze żyje?

- Oczywiście. Kupił małą farmę i przeszedł na emeryturę, ale nadal uprawia swoją ziemię.

- Dlaczego odszedł z chateau? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odparł. - Chyba dlatego, że się postarzał.

- Jacques kochał to miejsce... - powiedziałem. - Sądziłbym raczej, że zamieszka w jednym z domków na terenie posiadłości albo w najgorszym razie przeprowadzi się do Mauriac...

- Będzie pan musiał sam zapytać go o przyczynę tej decyzji...

- Na pewno to zrobię. Jest żonaty?

- Jego żona zmarła mniej więcej osiem lat temu.

- Pamięta pan, jak miała na imię? - spytałem.

- Zaraz, zaraz... Chyba Yvette... Tak, Yvette. Uśmiechnąłem się.

- Pracowała tu jako kucharka. Tak, znałem ją... A niech mnie, kto by pomyślał...

Przywołałem z pamięci obraz ich dwojga w starej altanie na szczycie wzgórza. Dla małego chłopca stanowili niesamowity widok... Jacques nazywał ją jakoś tak zabawnie... Usiłowałem sobie przypomnieć, co to było za określenie, ale bezskutecznie.

- Spotkałem ją kilka razy - ciągnął Jean-Luc. - Urocza kobieta...

Nie odpowiedziałem. Mimo tego, że Yvette wyniosła mnie do rangi „łapacza”, zawsze budziła we mnie strach i niechęć.

W nocy nie mogłem zasnąć. Leżałem ze wzrokiem wbitym w sufit i wspominałem dzieciństwo. Zapamiętane sceny rozwijały się przed moimi oczami niczym film, mogłem cofać niektóre ujęcia albo przesuwać je do przodu. Nie mogłem powstrzymać zdziwienia, że chociaż wszystko to należało do przeszłości, nadal tak silnie wiązało się z terażniejszością. Rozpoznałem znajomy błysk w oczach Claudine, lecz dostrzegłem także ciepłą dojrzałość i, jeśli się nie omyliłem, cień bólu. Pod warstwami doświadczenia nabytego przez te wszystkie lata, była tą samą osobą, tyle że starszą, mądrzejszą i chyba wiele razy zranioną.

Nie mogłem doczekać się świtu. Z całego serca pragnąłem ją zobaczyć. Nie wiedziałem, czy nasze spotkanie cokolwiek zmieni, ale tej nocy serce tłukło mi się w piersi, godziny wlokły bez końca, a ja chciałem po prostu z nią porozmawiać.

W pewnym momencie musiałem jednak zasnąć, bo obudziłem się o ósmej. Na dworze było już jasno. Odsunąłem zasłony i zobaczyłem, że ziemię przykryła cienka warstwa szronu. Między drzewami snuła się mgła, trawnik i rozciągające się dalej pola spowite były welonem magicznego, perłowego światła. Dzień wydawał się pełen obietnic. Ubrałem się i ogoliłem, spróbowałem także uczesać siwiejące na skroniach włosy koloru wilgotnego piasku, dość długie i niechętnie poddające się grzebieniowi.

Cóż, nie dało się ukryć, że atrakcyjny młody chłopak z jasną czupryną wcale nie wyrósł na tak przystojnego mężczyznę, jak wszyscy oczekiwali. Zszedłem na śniadanie do jadalni i przejrzałem gazety, chociaż słowa i zdania chłoneły tylko moje oczy - umysł czekał już na Claudine na mostku.

Włożyłem palto i kapelusz i przez oranżerię wyszedłem na trawnik. Ziemia była tak mocno zamarznięta, że nie musiałem się przejmować, iż moje buty nie bardzo nadają się na wiejskie spacery. Policzki szczypały od zimna, oddech wydobywał się z ust w postaci białych obłoczków. Włożyłem! ręce do kieszeni i ruszyłem w stronę ścieżki prowadzącej! nad rzekę. Ileż to razy biegałem tędy z Pistou... Goniliśmy! króliki i ptaki, rzucaliśmy do siebie piłeczkę albo kopaliśmy kamyki. W czasie mojej długiej nieobecności krajobraz wcale się nie

zmienił. Wzgórze zachowało łagodny kąt nachylenia zbocza, las nadal pachniał sosnową żywicą, rzeka wciąż płynęła dnem doliny, mostek był na swoim miejscu... Tylko życie okazało się niestałe i podatne na zmiany jak liście, które pojawiają się na gałęziach i opadają na ziemię, smagane wichrem losu i deszczem, ogrzewane słońcem. Stojąc na tym kamiennym ogniwie, spinającym dwa kawałki ziemi, wyraźniej niż kiedykolwiek czułem własną śmiertelność. Jeżeli przeszłość okazała się tylko mgnieniem oka, to taka sama będzie przyszłość. Któregoś dnia odejdę, lecz to wszystko pozostanie, choć beze mnie. Gdzie wtedy będę i co będzie się ze mną działo? Pogrążony w wiecznym śnie czy żyjący innym życiem w świecie duchów, razem z tymi, którzy odeszli przede mną? Zmarnowałem już tyle czasu... Tyle lat, które z własnej woli wypełniłem gniewem i goryczą... Teraz przejmowało mnie to przerażeniem. Postanowiłem nie tracić ani chwili więcej.

Spojrzałem na zegarek. Dziewiąta trzydzieści minęła. Wyteżyłem wzrok, próbując wypatrzyć ją w oddali. Mgła zwisała nad ziemią nisko i ciężko jak kawał płótna, ograniczała widoczność do najwyżej pięćdziesięciu metrów. Wyobraziłem sobie, jak Claudine biegnie co sił, śmieje się i woła, żebym oddał jej kapelusz. Raz czy dwa wydawało mi się, że słyszę jej kroki, ale to pewnie tylko jakieś zwierzę nadepnęło na gałązkę, może zając albo jelen. W powietrze wzbila się chmara ptaków, spłoszonych głośnym trzaskiem. Claudine nie nadchodziła. Nagle przyszło mi do głowy, że może pomyliłem godzinę i zacząłem gorączkowo grzebać w kieszeniach, zaraz jednak przypomniałem sobie, że poprzedniego wieczoru miałem na sobie marynarkę od eleganckiego garnituru. Wsunąłem kartkę do kieszeni na piersi i już jej stamtąd nie wyjmowałem. Może chodziło jej o dziewiątą trzydzieści wieczorem, nie rano... Może najzwyczajniej w świecie rozmyśliła się albo Laurent zatrzymał ją w domu... Zacząłem spacerować po mostku, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, co jakiś czas przytupując, żeby rozgrzać stopy. Minuty wlokły się powoli, ale w miarę jak mijały, prawdopodobieństwo pojawienia się Claudine coraz bardziej malało.

O dziesiątej mgła zaczęła się podnosić i wyjrzało słońce Piękno poranka uraziło mnie do głębi. Rosa lśniła na liściach resztki mgły połyskiwały w słońcu, a kurczowo trzymając się trawy szron błyszczał jak rozsypane na ziemi drobniutkie brylanciki. Łatwiej byłoby mi znieść rozczarowanie, gdyby dzień nie był taki zachwycający. Smutek wydawał się wprost nie do zniesienia w samym środku tego cudownego spektaklu. Moje marzenia rozwiały się razem z mgłą i znowu musiałem zmierzyć się z możliwością, że wyjadę z Mauriac i nie spotkam się z Claudine. Szczerze żałowałem, że w ogóle ją

zobaczyłem, bo gdyby się tak nie stało, zawód byłby mniej dotkliwy. Tamto przelotne spotkanie na placu kryło w sobie obietnicę czegoś wspaniałego, tymczasem teraz życie wydawało mi się nieznośnie nudne, monotonne i z całą pewnością bardziej samotne niż kiedykolwiek. Odj wróciłem się i ruszyłem w stronę hotelu.

- Mischa!

Usłyszałem jej głos i odwróciłem się gwałtownie. Biegła ścieżką wzdłuż rzeki.

- Mischa, zaczekaj!

Ruszyłem ku niej, coraz szybciej i szybciej, prawie biegiem. Byłem tak wzruszony i rozradowany, że cień jakiegokolwiek formalności, który mógłby towarzyszyć naszemu spotkaniu, rozwiął się w jednej chwili. Porwałem ją w ramiona i uniosłem, tak że jej stopy znalazły się wysoko nad ziemią.

- Claudine! - szepnąłem, wtulając twarz w załomek między jej szyją i barkiem. - Tak się cieszę, że cię widzę!

- Przepraszam, że się spóźniłam... Nie udało mi się wcześniej wyrwać...

- W porządku, nie szkodzi... Jesteś ze mną i nie masz pojęcia, jak mnie tym uszczęśliwiłaś...

Roześmiała się i moje serce ścisnęło się z zaprawionej smutkiem radości. Jej śmiech gulgotał cudownie, zupełnie jak śmiech dziecka. Natychmiast zawtórowałem. Ostrożnie postawiłem ją na ziemi, ale nadal się obejmowaliśmy. Długą chwilę po prostu patrzyliśmy na siebie, badając wzrokiem wyrzeźbione przez czas i dojrzałość twarze, i odkrywając, że mimo wszystko wcale tak bardzo się nie zmieniliśmy.

- Nadal jesteś Mischą! - odezwała się w końcu, z pełnym niedowierzania uśmiechem.

- A ty nadal jesteś Claudine... Tylko twoje zęby robią teraz wrażenie mniejszych...

- I dzięki Bogu! Jako dziecko wyglądałam przecież jak osioł!

- Nieprawda! Mnie twoje zęby bardzo się podobały!

- Nadal mam krzywy zgryz, ale od czasu dzieciństwa zęby trochę się wyrównały, albo może ja w końcu do nich przywykłam i tylko mi się wydaje, że nie są już takie ogromne i wystające... Ale dlaczego mówię o zębach, na miłość boską?! - ze śmiechem pokręciła głową. - Dobry Boże, minęło prawie czterdzieści lat, Mischa... Gdzie się podziewałeś? Co się z tobą działo, co robiłeś?

Jej spojrzenie było pieśczętą, która przemieniła moją krew w ciepły, płynny miód. Nagle uświadomiłem sobie, że wcale nie utraciłem daru wyczuwania ludzkich nastrojów i uczuć, na którym całkowicie polegałem w dzieciństwie - po prostu przez jakiś czas z niego nie korzystałem, bo nie był mi potrzebny.

Jako nieme dziecko egzystowałem w podtekście życia; jakaś część mnie nadal tam była i odczytywała w ludzkich oczach słowa, które nie zostały wypowiedziane.

Poszliśmy brzegiem rzeki w kierunku starej żelaznej ławki, która dawno temu, w czasie moich zabaw z Pistou, odgrywała rolę statku pirackiego.

- To długa historia. - Ująłem rękę, którą Claudine wsunęła pod moje ramię. - Prawie siedem lat mieszkaliśmy w New Jersey, a potem przeprowadziliśmy się do Nowego Jorku, moja matka i ja...

- Jak ona się czuje?

- Umarła na raka.

- Tak mi przykro... Musiał to być dla ciebie straszny cios... Dopiero kiedy dorosłam, dotarła do mnie prawda o waszej przeszłości. Och, naturalnie wiedziałam, kim był twój ojciec i dlaczego ludzie traktowali twoją matkę jak zdrajczynię, ale nigdy w pełni nie rozumiałam, co to właściwie znaczyło... Łącząca was więź musiała być niewyobrażalnie silna, bo przecież tyle razem przeżyliście... Naprawdę bardzo mi przykro, że odeszła. Jesteś żonaty?

Bez trudu zauważyłem zmianę w tonie jej głosu - starała się, aby pytanie zabrzmiało pogodnie, lecz w głębi duszy bała się mojej odpowiedzi.

- Nigdy się nie ożeniłem - odparłem.

- Taki przystojniak jak ty? - roześmiała się, znowu pogodna i prawie beztroska.

- Nie żartuj. Dobrze wiem, że wyglądam jak siedem nieszczęść...

- Ale nadal jesteś Miszą! Boże, wydaje mi się, że to wszystko wydarzyło się wczoraj!

Z westchnieniem usiadła na ławce.

- Byliśmy dziećmi, od tamtego czasu minęły wieki, lecz przy tobie wcale nie czuję, że się zmieniłam. Kiedy zobaczyłam cię wczoraj, było tak, jakbyśmy nigdy nie stracili ze sobą kontaktu. Nie patrzyłam na obcego człowieka, tylko na starego przyjaciela... - Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła nieśmiało. - Nadal jesteś moim najlepszym przyjacielem... Wiesz, że zawsze zajmowałeś w moim sercu pierwsze miejsce, prawda?

- Dlaczego? Już wtedy chciałem cię o to zapytać... Dlaczego się mną przejmowałaś? Przecież nawet nie umiałem mówić...

- Sama nie wiem... Wydaje mi się, że patrzyłam na ciebie jak na człowieka, nie jak na dziwadło. Wszyscy mówili o twojej matce jak o najgorszej z najgorszych i powtarzali, że w twoich żyłach płynie diabelska krew, lecz ja doskonale wiedziałam, że to nieprawda - twoja krew niczym nie różniła się od mojej. Uważałam, że dorośli są głupi i przesądni, a dzieci to żałosne, bezwolne

owce, które o niczym nie potrafią zdecydować same. Nie lubiłam ich, więcej, gardziłam nimi. Chciałam pokazać im, jakimi są idiotami. Z początku uśmiechałam się do ciebie trochę po to, aby zmanifestować swój bunt, ale później, kiedy spojrzałeś na mnie oczami pełnymi strachu, zupełnie jakbyś był dzikim, zgonionym zwierzątkiem, serce ścisnęło mi się z bólu i współczucia. Nie miało dla mnie żadnego znaczenia, że nie możesz mówić, właśnie z tego powodu polubiłam cię jeszcze bardziej. Było mi cię żal, a jednocześnie podziwiałam cię za to, że jesteś tak zupełnie inny niż wszyscy. Miałeś niewiarygodną charyzmę i byłeś przystojny, z tymi jasnobłękitnymi oczami i jasnymi włosami... Ludzie rozmawiali o tobie szeptem, byłeś czymś w rodzaju zakazanego owocu, a mnie zawsze pociągało wszystko, o czym podobno nie powinnam była nawet myśleć...

- Na przykład Laurent? - rzuciłem wrogo.

Me umiałem opanować zazdrości. Z trudem przełknąłem ślinę. W moim głosie było tyle gorzkości, sam słyszałem to aż nazbyt wyraźnie...

Claudine potrząsnęła głową.

- Byłam bardzo młoda, kiedy wyszłam za Laurenta. Przyjaźniliśmy się od wielu lat, więc wydawało mi się to bardzo logicznym rozwiązaniem...

- Macie dzieci?

- Dwójkę. Mój syn Joel ma dwadzieścia pięć lat i pracuje teraz w Londynie dla firmy Moët&Chandon. Córka Delphine ma dwadzieścia trzy lata i mieszka w Paryżu, gdzie pracuje w redakcji magazynu mody. Oboje są już dorośli...

Claudine westchnęła i spuściła wzrok.

- A co z tobą?

- Och, nie robię nic szczególnego, po prostu dbam o Laurenta...

- To czasochłonne zajęcie?

- Cóż, Laurent jest bardziej wymagający niż dwoje moich dzieci razem wziętych... Wszyscy biegamy dookoła Laurenta, on znajduje się w centrum naszych myśli i wysiłków...

Znowu zauważyłem szary cień wokół jej oczu, który wcześniej na chwilę zniknął.

- Jesteś szczęśliwa, Claudine?

To pytanie wyrwało mi się prawie mimo woli. Spojrzała na mnie z twarzą zaróżowioną ze wstydu.

- Nie powinienesz zadawać mi takich pytań! - oburzyła się. - Nie możesz wymagać, żebym zwierzała ci się, czy jestem szczęśliwa z mężem, czy nie! To okropnie nieuprzejme, Mischa!

- Dlaczego? Ja nie boję się powiedzieć ci, że nie jestem szczęśliwy. Do wczoraj myślałem, że wszystko ze mną w porządku, lecz gdy cię zobaczyłem, uświadomiłem sobie, że od lat byłem zgorzkniały i smutny, tylko po prostu tego nie dostrzegłem... Brak radości stał się częścią mojego życia, wtopił się w nie, więc przestałem zauważać, że coś jest nie tak... A teraz ty wszystko zmieniałaś... Już nigdy nie będę taki, jak przed przyjazdem do Mauriac...

- Co ty wygadujesz, na miłość boską! Przecież nawet mnie nie znasz!

- Doskonale wiesz, że to kłamstwo! Odwróciła się i gwałtownie potrząsnęła głową.

- Czy napisałabyś do mnie ten list, gdybyś była naprawdę szczęśliwa? - ciągnąłem. - Zrobiłabyś to, gdybyś ty także czegoś wtedy nie poczuła?

- Chciałam się z tobą spotkać, to wszystko... - bezradnie wzruszyła ramionami. - Laurent uważa, że nie powinnam mieć przyjaciół mężczyzn... Mówi, że to niewłaściwe. Bałam się, że wyjedziesz i nie zdążymy nawet porozmawiać...

- Nieprawda, napisałaś do mnie, bo ty także to poczułaś! Spojrzała na mnie. W jej oczach błyszczały łzy.

- Też to poczułaś, prawda? - powtórzyłem cicho.

Głęboko wciągnęła lodowate powietrze. Jej pobladłe wargi drżały, na białych jak śnieg policzkach wyraźnie odcinały się dwie czerwone plamy, podobne do śladów po ukąszeniu pszczoły. Miałem wrażenie, że odrywam się od rzeczywistości, zupełnie jakbym unosił się wysoko, na białym obłoku, który powoli wędruje po niebie.

- Wiem, że wydaje ci się to idiotyczne - podjąłem. - Nie widziałem cię przez czterdzieści lat, ale wcale nie czuję upływu czasu. Wydaje mi się, że znam cię od zawsze, i to tak dobrze jak nikt inny. Powiedz mi, że ty także poczułaś dotknięcie losu...

- Masz rację - szepnęła. - Ja też je poczułam... Wziąłem ją w ramiona i pocałowałem ciepłe usta. Twarz miała zziębniętą, nos czerwony, lecz jej wargi były ciepłe i delikatne, odrobinę rozchylone, zapraszające. Nie opierała się, zupełnie jakby sama również przewidziała tę chwilę. Jakby jej całe życie prowadziło ją ku rozstajom dróg, do punktu, w którym teraz się znalazła, podobnie jak ja. Miała na sobie ciepłe palto i wysokie buty, bluzkę z kołnierzykiem i szalik, rękawiczki i kapelusz. Mogłem dotknąć tylko jej twarzy. Aby zbliżyć się do niej choć trochę, zdjąłem jej kapelusz z głowy i wsunąłem palce we włosy, gęste, rozgrzane i spocone tuż nad czołem. Nie odzywaliśmy się, nawet nie próbowaliśmy. Przywarliśmy do siebie z całej siły.

Wdychałem jej aromat, smakowałem sól jej łez. Wreszcie zrozumiałem, że to jej szukałem przez całe życie.

- Czy to możliwe? - spytała po chwili, uwalniając się z moich ramion.

Uważnie wpatrywała się w moją twarz, a w jej oczach malowało się niedowierzenie.

- Gdyby ktoś zadał mi to pytanie tydzień temu, zaprzeczyłbym - odparłem. - Roześmiałbym się i powiedział, że nie można zakochać się ot tak, od pierwszego wejrzenia, że nie wierzę w takie rzeczy... Zawsze uważałem, że takie romantyczne historyjki to materiał dla marnych powieści i filmów. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że coś podobnego może przydarzyć się właśnie mnie...

Z piersi Claudine wyrwało się drżące westchnienie.

- Ja też nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że znam cię od zawsze, że jesteś mi przeznaczony. Często o tobie myślałam, wiesz? Tęskniłam za tobą, zwłaszcza że wyjechałeś tak bez słowa i mój świat nagle okazał się dziwnie pusty... Czułam się opuszczona, wszystko przypominało mi ciebie. Wszyscy mówili o tobie. Zdominowałeś życie w miasteczku i zniknąłeś bez pożegnania...

- Nie tyle wyjechałem, ile raczej zostałem wywieziony, na dodatek w środku nocy. Nie miałem czasu. Przeplakałem całą podróż do Ameryki.

- Ja też płakałam. Byłeś moim przyjacielem. Zdawałam sobie sprawę, że jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, ale dopiero po twoim wyjeździe dotarło do mnie, jak bardzo wyjątkowym, bo długo cierpiałam, tęskniłam i nigdy o tobie nie zapomniałam.

- Ja z czasem zacząłem myśleć o tobie coraz częściej. Na początku Ameryka wydała mi się tak barwna i zachwycająca, że zostawiłem Mauriac daleko za sobą i starałem się prawie w ogóle nie wracać tam myślami, ale później, po zniknięciu Coyote'a, kiedy znenawidziłem siebie i cały świat, zacząłem cię szukać, chociaż pozornie nie wiedziałem, co robię. Podświadomie rozglądałem się za Francuzkami, lecz gdy zawierałem z nimi znajomość, kończyło się rozczarowaniem. Nigdy nie oddałem serca żadnej kobiecie, nie pozwoliłem sobie na to, ponieważ w jakiś niewytłumaczalny sposób wydawało mi się to po prostu złe. Och, Claudine, gdzie podziały się te wszystkie lata? Teraz wydaje mi się, że minęły dosłownie w mgnieniu oka... Czuję się tak, jakbyśmy nie rozstali się nawet na jeden dzień, tymczasem okazuje się, że jesteśmy już w średnim wieku...

- To nie ma znaczenia, zresztą tak naprawdę nic nie ma znaczenia! Jesteś tutaj i wreszcie wszystko jest tak, jak powinno być... To złe, że wyjechałeś. Los

dał nam siebie, przeznaczył nas sobie, więc nie powinniśmy byli się rozstawać...

- Wiem. Żałuję, że nie starczyło mi odwagi, aby wrócić wcześniej. Aż do teraz żyłem jak we śnie, ale tak naprawdę po prostu cały ten czas czekałem na ciebie... I w końcu cię odnalazłem...

Żadne z nas nie ośmieliło się zadać nieuniknionego pytania: Co mamy zrobić?

- Dlaczego wróciłeś do Mauriac? - spytała po chwili milczenia.

- To długa historia...

- Mam cały dzień. Laurent pracuje w Bordeaux, jest adwokatem. Wróci dopiero wieczorem.

- W takim razie będę cię trzymał w ramionach aż do zachodu słońca!

- Dlaczego wróciłeś? - powtórzyła. - I dlaczego tak długo się nad tym zastanawiałeś?

- Bałem się.

- Bałeś się? Ale przecież byłeś chłopcem, dla którego Bóg dokonał cudu, miasteczko leżało u twoich stóp!

- Ale jednocześnie byłem dziwadłem, odmieńcem. Byłem inny niż wszyscy. Byłem szwabskim dzieciakiem, którego matka kolaborowała z wrogiem. Żaden cud nie mógł zmyć tej plamy, nawet aprobata księdza Abła-Louisa. Ciągle śniłem o Mauriac, wiesz? Czasami się budziłem, czując zapach lata w moim dawnym pokoju... - W gruncie rzeczy sam nie znałem odpowiedzi na pytania Claudine. - Cóż, myślę, że zadziało tu kilka przyczyn naraz... Umarła moja matka, zabierając ze sobą jedyne ogniwo, jakie łączyło mnie z przeszłością. Mam mnóstwo wątpliwości, które muszę wyjaśnić, wiele mrocznych miejsc, na które najwyższy czas rzucić światło... I wreszcie dotarło do mnie, że przeszłość będzie dręczyć mnie bez końca, jeśli nie stawię jej czoła.

- Widziałeś księdza?

- Tak. Kiedyś był moim największym wrogiem, teraz jest smutnym, zniszczonym przez życie starcem, jedną nogą już w grobie... Nie mam pojęcia, dlaczego dawniej tak strasznie się go bałem.

- Rozmawiałeś z nim? - popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Złożyłem mu wizytę.

- I co powiedział? Poznał cię? Był zaskoczony, że do niego przyszedłeś?

- Nie, nie poznał mnie, dopóki mu się nie przedstawiłem, a potem próbował udawać, że nie wie, z kim ma do czynienia. Wpadł w panikę.

- Nienawidziłam go z całego serca! To zły człowiek!

- Gorszy, niż potrafisz sobie wyobrazić - westchnąłem. - Kolaborował z Niemcami. W sekrecie udzielił ślubu moim rodzicom, a później, kiedy alianci wyzwolili Mauriac, zwrócił się przeciwko mojej matce, ponieważ za dużo o nim wiedziała.

- Stał z boku i pozwolił was torturować, żeby ocalić siebie?

Skinąłem głową.

- Wiedział, że gdy mama zostanie uznana za kolaborantkę i publicznie potępiona, nikt nie uwierzy jej słowom, choćby nawet wydały się komuś wiarygodne. Ksiądz Abel-Louis ma krew na rękach, mówię ci. Nie chciał powiedzieć mi wszystkiego, a ja nie chcę wiedzieć, co jeszcze zrobił. Jeśli o mnie chodzi, ten człowiek już leży w grobie. Nie istnieje, i tyle.

- Założę się, że wydawał Niemcom członków Resistance w zamian za rozmaite przywileje i luksusy! Wszyscy mu ufali, powierzali swoje najgłębiej ukryte myśli, czy to w czasie rozmów, czy może nawet spowiedzi... Znał tajemnice wszystkich, no, może prawie wszystkich... Boże, co za ohyda! Mam nadzieję, że będzie się smażył w piekle!

- Nie martw się, on już jest w piekle - powiedziałem, przypominając sobie zamki i zasuwę na drzwiach oraz panujący w mieszkaniu ostry, kwaśny zapach strachu. - Przebywa tam od lat...

- Wstydzę się, że jestem częścią tego miasteczka i wstydzę się roli, jaką moja rodzina odegrała w jego historii... Świetnie rozumiem, dlaczego nie chciałeś tutaj wracać, i szczerze podziwiam twoją odwagę...

- Jest coś jeszcze... - zdecydowałem się zrzucić z siebie wszystkie ciężary, całkowicie otworzyć się przed Claudine.

- Co takiego?

- Moja matka tuż przed śmiercią oddała do nowojorskiego Metropolitan Museum bardzo cenny obraz. Podarowała go, nie sprzedała.

- Piękny gest...

- Nie wiedziałem, że miała ten obraz. To dzieło Tycjana, Cygańska Madonna, najprawdopodobniej oryginalna wersja tego, który wisi w muzeum w Wiedniu. Historycy sztuki twierdzą, że pierwszy obraz został skradziony i dlatego Tycjan namalował drugi. Nie muszę ci chyba mówić, że to bezcenna rzecz...

- Skąd się u niej wzięł? - spytała Claudine.

- Ba, właśnie tego chciałbym się dowiedzieć...

- Sądzisz, że znalazła go tutaj?

Wzruszyłem ramionami, ale nagle pojąłem, że sugestii Claudine może być słuszna.

- Na pewno go nie ukradła... - mruknąłem.

Jednak w gruncie rzeczy nawet o tym nie byłem do końca przekonany. Zakręciło mi się w głowie, bo dopiero w tej chwili dotarło do mnie, że mimo wszystko nie mogę całkowicie wykluczyć takiej możliwości.

- Więc kto jej go podarował?

- Nie mam pojęcia...

- Utrzymywała znajomości z ludźmi ze świata sztuki?

- Tak, oczywiście. Spotykała różnych ludzi, którzy sprzei dawali jej dzieła sztuki i kupowali je od niej, na tym polegała jej praca.

- W czym się specjalizowała?

- W antykach.

- Także w starych obrazach?

- Nie, była specem od mebli. Claudine z namysłem zmarszczyła brwi.

- W takim razie na pewno przechowywała obraz dla kogoś innego - oświadczyła. - Nie ofiarowałyby przecież muzeum skradzionego obrazu, prawda? To byłoby idiotyczne posunięcie, narobiłyby sobie tylko kłopotów, a przecież nikt nie zmusił ją do podjęcia takiej decyzji... - zawiesiła głos. - Zaraz, co stało się z Coyote'em?

Sam dźwięk jego imienia nadal wywoływał ból, zupełnie jakby ktoś połał otwartą ranę sokiem z cytryny.

- Ach, ten znikający Coyote! - potrząsnąłem głową i zaśmiałem się gorzko. - Coyote zniknął, kiedy miałem dziesięć lat. Jednego dnia był z nami, następnego wyjechał i już nie wrócił, ot, tak po prostu... Dziś wiem, że prowadził podwójne życie, miał żonę i dzieci w Wirginii. Nie był dokładnie taki, jak nam się wydawało... Tak czy inaczej, gdyby obraz należał do Coyote'a, na pewno nie wyjechałby bez niego, w każdym razie wróciłby, żeby go odzyskać.

- Masz nadzieję, że tutaj uda ci się znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania?

- Intuicja podpowiada mi, że z Mauriac wiąże się coś ważnego, jakaś tajemnica... Mam niejasne wspomnienia, coś w rodzaju oderwanych fragmentów, które pojawiają się i znikają. Gdybym mógł zobaczyć cały obraz, na pewno odkryłbym coś, co ma duże znaczenie dla tej sprawy.

- Nie mogę uwierzyć, że matka nic nie powiedziała ci o tym Tycjanie, nawet kiedy umierała...

- Nie wspomniała... - rzuciłem Claudine niespokojne spojrzenie. - To mogło wynikać z poczucia winy, prawda?

Claudine wzięła mnie za rękę i lekko ją ścisnęła.

- Gdyby Tycjan trafił w jej ręce w legalny sposób, na pewno podzieliłaby się z tobą wiadomością, że zdobyła tak wspaniały obraz, nie sądzisz? Takie arcydzieło pokazuje się innym, a nie ukrywa. Może ktoś dał jej go na przechowanie, a potem umarł albo zginął... W czasie wojny mogło zdarzyć się wszystko, sam o tym dobrze wiesz. Może znalazła go i dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę z jego wartości... Istnieje mnóstwo możliwości, ale moim zdaniem nie powinieneś tym się zamartwiać. To nie twój problem. Gdyby twoja mama chciała ci o nim powiedzieć, nie wahałaby się, prawda?

- Masz rację... Ta historia ma jeszcze jeden rozdział.

- Jaki?

- Parę tygodni temu w moim biurze zjawił się Coyote. Zupełnie nagle, po ponad trzydziestu latach, rozumiesz?

- Powiedział, gdzie był?

- Nie, ale wyglądał jak włóczęga. Nie mył się od wielu dni, miał na sobie jakieś straszne szmaty...

- Zapamiętałam go z gitarą, w eleganckim kapeluszu... W tamtym czasie był naprawdę imponujący, kojarzył mi się z gwiazdorem filmowym... Poruszył całe miasto, po jego wyjeździe ludzie gadali o nim jeszcze przez wiele następnych lat, zwłaszcza że podobno nie zapłacił rachunku za pobyt w chateau. Sprawiał wrażenie bogatego człowieka...

- Ale daleko mu było do bogactwa. Korzystał ze swojego wielkiego uroku i wychodziło mu to na dobre...

- Oczarował twoją matkę...

- Wierzę, że ją kochał. I mnie także...

- Dzięki niemu odzyskałeś głos.

- Tak, pamiętasz? To wcale nie był cud... Uśmiechnęła się i moje serce zadrżało z zachwyty.

- Pamiętam wszystko, co cię dotyczy, Mischa... - zarumieniła się.

Wziąłem ją za rękę. Nie mogłem oderwać wzroku od jej twarzy.

- Czego chciał Coyote? - zapytała.

- Pytał o mamę. Nie wiedział o jej śmierci. Nie wiedział też, że do końca nie przestała go kochać, a ja nie powiedziałem mu o tym, bo niby po co... Widzisz, on wcale nie wrócił do niej, ale po obraz, po ten cholerny obraz! Prasa rozpisywała się o nowo odkrytym Tycjanie, Coyote dowiedział się o nim z jakiegoś artykułu i przyjechał. Wyłącznie dlatego.

- Ale nie twierdził, że to jego obraz?

- Nie. Myślał, że jesteśmy bogaci, więc przyleciał jak sęp.

- Chyba wyjaśnił jakoś swoje pojawienie się?

- Powiedział, że niczego ode mnie nie chce. Że zawsze „gonił za tęczę”, czy coś w tym rodzaju...

- O co mu chodziło?

- Nie mam pojęcia... - potrząsnąłem głową i pocałowałem Claudine w czoło.
- Wiem jednak, dlaczego ja wróciłem... Los znowu postawił mnie przed tobą, kochanie. I to z twojego powodu jeszcze stąd nie wyjechałem...

Bez pośpiechu poszliśmy na szczyt wzgórza, do starej altany. Trzymaliśmy się za ręce jak młodzi kochankowie, wcale nie jak dwoje starych przyjaciół na progu cudzołóstwa. Wspominaliśmy dawne dni. Claudine opowiedziała mi trochę o swoim życiu, ale to mnie oczywiście nie zadowoliło, bo chciałem poznać każdy jego szczegół. Pragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej o Laurencie, lecz ona nie chciała o nim rozmawiać. Chciałem wiedzieć, czy go kocha i czy on dobrze ją traktuje. Zdawałem sobie sprawę, że nie jest szczęśliwa, ale nie było dla mnie jasne, czy może żyć z tym brakiem szczęścia, czy może jest to stan, który wcześniej czy później skłoni ją do porzucenia męża. Pragnąłem, aby wyjechała ze mną do Ameryki, ale nie śmiałem jej o to poprosić. Wydawało mi się, że jest jeszcze za wcześnie, poza tym najzwyczajniej w świecie nie zniósłbym odmowy.

Dotarliśmy do niewielkiego okrągłego budynku, skąd przez okna podglądaliśmy z Pistou Jacques'a Reynarda i Yvette. Stał na szczycie wzgórza i trochę przypominał zimowy pałac jakiegoś dawno zmarłego księcia, dumny, dyskretny i rzucony na pastwę losu i upływu czasu. Jasny kamień zszarzał na tle oszronionych drzew i traw, okrył się welonem mgły, która wychwytywała światło i migotała jak czarodziejska tkanina. Las zbliżył się do altany i teraz wężowe pnącza powoju wspinały się po kolumnkach, a krzaki jeżyn rozrosły się i przygłuszyły inne rośliny. Gdyby nie szron, altanka wyglądałaby żałośnie, lecz srebrzystobiałe drobinki miały tajemniczą urodę, którą jeszcze podkreślało ulotne, zmienne światło poranka. Wiedziałem, że słońce szybko stopi kryształki lodu, które zmieniają się w wodę, a czar pryśnie, gdy mgła uniesie się i rozwieje.

- Piękno tego miejsca wprawia mnie w melancholię - odezwała się Claudine.
- Starzejemy się i aż boję się odpowiedzieć sobie na pytanie, co zrobiłam ze swoim życiem...

- Wydałaś na świat dwoje dzieci, to triumf sam w sobie - odparłem, odwracając ją twarzą do siebie.

Przyłożyłem dłonie do jej zaczerwienionych policzków i delikatnie potarłem je kciukami. Przez chwilę była zbyt onieśmielona, aby spojrzeć mi w oczy.

- Nie powinnam tego robić... - wymamrotała niewyraźnie. - Jestem mężatką...

- Popatrz na mnie - poprosiłem.

Zwróciła twarz ku mnie i zamrugła bezradnie.

- Gdyby moje uczucie nie było tak silne, nigdy nie naraziłbym cię na taką sytuację. Przemierzyłem prawie cały świat z wielką dziurą w sercu. Próbowałem wypełnić ją różnymi osobami, ale nikt nie pasował do niej idealnie, a wiesz dlaczego? Dlatego, że ta rana powstała z twojego powodu, przez twoją nieobecność i tylko ty możesz ją uzdrowić. Już kiedy byłem chłopcem, wiedziałem, że jesteś wyjątkowa. Miałaś odwagę, nie bałaś się sprzeciwiać ludziom, którzy posiadali władzę, nie obawiałaś się braku popularności ani ośmieszenia, i zaprzyjaźniłaś się ze mną, chociaż inni nie chcieli na mnie nawet patrzeć. Ta rana powiększa się i tylko ty możesz mi pomóc. Kocham cię...

Ujęła przeguby moich dłoni i zacisnęła na nich palce. Uśmiechnęła się niepewnie, z onieśmieleniem.

- Nie żałuję tego - powiedziała. - Nie żałuję, że umówiłam się z tobą na spotkanie i że cię pocałowałam. Żałuję tylko jednego - że los zabrał cię do Ameryki. Wyszłam za męża za niewłaściwego mężczyznę...

- Nie musisz trwać przy nim do końca życia!

- Ale ciebie spotkałam dopiero wczoraj! Prawie cię nie znam!

- Zaufaj mi...

- Boję się. Jeżeli Laurent dowie się o nas, wpadnie w furję. Boję się, naprawdę...

Pocałowałem jej blade wargi z nadzieją, że zrozumie, iż moja miłość jest niezachwiana. Jak miałem jej wytłumaczyć, że aż do naszego spotkania na rynku nikomu nie oddałem serca... Jako mały chłopiec kochałem tych, którzy także obdarzali mnie miłością - Joy Springtoe, Jacques'a Reynarda, Daphne Halifax i oczywiście matkę. Nigdy nie kochałem kobiety tak, jak powinien ją kochać mężczyzna. Isabel dała mi posmak Francji, i to wszystko. Linda nie była w stanie do mnie dotrzeć. Podarowała mi najlepsze lata swojego życia, lecz w końcu przyznała, że w chwili rozstania wcale nie знаła mnie lepiej niż na początku naszego związku. Tymczasem jedno spojrzenie na Claudine wystarczyło, aby mur, który wybudowałem wokół siebie, runął. Dotknęła mojego serca mocniej i głębiej niż jakakolwiek inna kobieta. Wpuściłem ją do środka. Gdyby znała mnie choć trochę lepiej, wiedziałaby, że już nigdy nie wypuszczę jej z serca i ramion.

- Nie zostawiaj mnie - powiedziałem bardzo cicho, prawie szeptem. - Potrzebuję cię, najdroższa...

Nie odpowiedziała, otoczyła tylko moją szyję ramionami i przytuliła się do mnie.

Wyprawa do Chile odnowiła więź łączącą mnie z Matiasem i Marią Eleną. Przybycie do chateau uświadomiło mi, że przeszłości nigdy nie da się całkowicie odzyskać, choćbyśmy zaklinali gwiazdy i niebiosy. Claudine była miłością mojego życia, miłością, którą pragnąłem zabrać ze sobą. Była domem, którego szukałem przez długie lata.

W ciągu następnych dwóch dni staraliśmy się spędzać jak najwięcej czasu razem. Nocami nie mogłem zasnąć, bo pragnąłem poczuć ją tuż obok siebie, i ta tęsknota sprawiała, że bolało mnie całe ciało. Chciałem trzymać ją w ramionach, całować bez końca, posiąść bez reszty. Pragnąłem mieć ją przy sobie i cieszyć się świadomością, że jest moja. Chwilami chodziłem po pokoju jak zamknięte w klatce zwierzę, wyobrażając sobie Claudine dzielącą łożę małżeńskie z Laurentem. Dręczyłem się, rozmyślając, czy się kochają, leżą spleceni w uścisku, czy oddaleni od siebie, czy Laurent zmusza ją do miłości fizycznej. Czy egzekwuje swoje małżeńskie prawa i czy Claudine stawia mu opór, czy też może za bardzo się boi... Boi się go zranić, a może obawia się, by to on jej nie zranił, nie zrobił jej krzywdy... Czułem, że muszę się dowiedzieć, co się z nią dzieje, kiedy nie przebywa ze mną.

Przysięgałem sobie, że wyciągnę szpadę, jeżeli Laurent choćby tknie ją palcem. Wyobrażałem sobie, jak wymierzam mu prawy sierpowy, jednym ciosem miażdżąc tę jego cholerną arogancję. Byłem mocniej zbudowany, wyższy i szerszy w ramionach i miałem w tej dziedzinie większe doświadczenie, niż przysłoby mu do głowy. Laurent nie miał najmniejszych szans w walce ze mną. Oczami wyobraźni już widziałem, jak chwytam Claudine w ramiona i spokojnie przechodzę nad jego posiniaczonym, zbitym na krwawą miazgę ciałem. Chciałem uratować ją od smutku i razem z nią zacząć nowe życie w Ameryce.

Ogarnięty gorączkowym pragnieniem, aby spojrzeć wrogowi w twarz, oraz głęboką frustracją, zrodzoną z niezrealizowanych snów na jawie, poszedłem na mszę. Nie byłem pobożny i zawsze bałem się Kościoła, który w moich oczach miał w sobie mroczny, tajemniczy urok, jednocześnie pociągający i odstrasżający. Uważałem, że instytucja religii zorganizowanej musi produkować kapłanów lojalnych wyłącznie wobec Kościoła, pragnących dominacji nad słabymi ludźmi. Nie chciałem stać się jednym z ich stada, lecz pragnienie, aby ujrzeć Claudine i dowiedzieć się czegoś więcej o Laurencie, przewyciężyła mój lęk i dlatego postanowiłem wybrać się do kościoła w Mauriac. Usiadłem w ostatniej ławce i zająłem się obserwacją wchodzących do świątyni ludzi. Rozpoznawałem niektóre twarze, lecz większość była kompletnie obca. W uszach wciąż brzmiało mi echo ich głosów, słyszałem, jak z satysfakcją nazywali mnie szwabskim bękartem i szatańskim pomiotem, ale w rzeczywistości nikt na mnie nie patrzył, nawet ci, których zapamiętałem i

teraz poznawałem. Ci ostatni byli już starzy i mieli słaby wzrok. Podobnie jak ksiądz Abel-Louis, koncentrowali się na życiu, które miało nadejść, nie na przeszłości. Nie przyszło im do głowy, aby obdarzyć mnie specjalną uwagą - chłopiec, który kiedyś tak wyraźnie różnił się od reszty miejscowej społeczności dorósł i wtopił się w tło, dopasował się do niego.

Czekałem na Claudine i Laurenta. Wiedziałem, że przyjdą. Kiedy w ostatnich dniach śmialiśmy się, wspominając nasz bunt wobec księdza Abla-Louisa, Claudine powiedziała mi, że obecny proboszcz Mauriac jest ideałem kapłana - godnym szacunku sługą bożym. Mimo buntowniczych tendencji, jakie zdradzała już od dzieciństwa, Claudine była przykładną katoliczką. Zastanawiałem się, jakie tajemniej swego życia powierzała konfesjonałowi i jak wielki wpływ miał na nią ksiądz Robert.

W końcu weszli, tuż za matką z pięciorgiem małych dzieci, które do tego stopnia pochłonęły moją uwagę, że prawie ich nie zauważyłem. Przez chwilę czułem ogromny żal, że sam nie mam dzieci. Laurent kroczył wyprostowany, z wysoko uniesioną głową, Claudine szła u jego boku, trochę przygarbiona, ze wzrokiem utkwionym w grupkę maluchów przed nią. Jej twarz była spokojna, skupiona, poważna. Ręce miała ukryte w kieszeniach, w przeciwieństwie do Laurenta. Nie dotykali się. Znaleźli miejsca po drugiej stronie nawy, mniej więcej osiem ławek przede mną. Nie musiałem się obawiać, że mnie zauważą, zresztą niby dlaczego miałyby mnie to niepokoić... Miałem przecież prawo przyjść na mszę, prawda? Przyszło mi do głowy, żeby zatrzymać ich przy wyjściu i rozpocząć rozmowę, ale ostatecznie zwyciężył we mnie duch doskonałego szpiega, którego przed laty powołał do życia Coyote. Postanowiłem pójść za nimi aż do domu i poddać ich czujnej obserwacji. Bardzo mi zależało żeby poznać wroga i opracować odpowiednią strategię. Nie zamierzałem wyjeżdżać z Mauriac bez Claudine i chyba najzwyczajniej w świecie nie umiałbym tego zrobić.

Ksiądz Robert Denous okazał się młodym, tryskającym energią człowiekiem. Jego osobowość sprawiała, że wewnątrz kościoła wibrowało witalnością jak wiosna po bezpłodnej zimie. Zniknęła ponura, szara aura, jaką roztaczał ksiądz Abel-Louis. Obecny proboszcz miał łagodne, głęboko osadzone oczy i miły głos. Odprawiał mszę po francusku, nie po łacinie, i wygłosił pełne pozytywnych myśli kazanie, dodające wiernym odwagi. Chociaż moja uwaga na początku skoncentrowana była na Claudine i Laurencie, trochę mimo woli zacząłem z zainteresowaniem słuchać słów księdza. Teraz rozumiałem, dlaczego ludzie chętnie przychodzą do kościoła w każdą niedzielę. Jeżeli ksiądz Robert miał być bramą wiodącą do nieba, to z

pewnością był bramą szeroko otwartą, bramą, przez którą mógł przejść każdy, kto tego pragnął, pomyślałem, że gdyby ksiądz Abel-Louis był choć trochę podobny do swego następcy, moje dzieciństwo wyglądałoby zupełnie inaczej.

Po zakończeniu mszy wyszedłem z kościoła razem z kilkoma osobami, uścisnąłem dłoń stojącego w drzwiach księdza i przystanąłem z boku, w takim miejscu, żeby Laurent i Claudine nie mogli mnie zauważyć. Nie czekałem długo. Oni także pożegnali się z księdzem, Laurent bez cienia uśmiechu, z wąskimi wargami zaciśniętymi w nieprzyjemnym grymasie, Claudine miło uśmiechnięta i serdeczna. Zamieniła parę słów z proboszczem, patrząc na niego z wielkim szacunkiem. Ksiądz odpowiedział równie szczerym uśmiechem, a ja odniosłem wrażenie, że Claudine zna kapłana dużo lepiej niż jej mąż. Może właśnie w Kościele szukała pocieszenia, aby wytrwać w nieszczęśliwym związku małżeńskim. Claudine rzuciła jakiś żart, lecz Laurent się nie uśmiechnął, właściwie w ogóle nie zareagował. Trzymał się odrobinę na uboczu, zupełnie jakby, podobnie jak ja, nie darzył zbyt dużym szacunkiem instytucji, która tyle znaczyła dla jego żony. Ujął Claudine pod ramię i zeszli po schodach na plac przed kościołem.

Ruszyłem za nimi, oczywiście trzymając się bezpiecznej odległości. Laurent wyjął rękę spod ramienia żony i teraz szli osobno. Nie rozmawiali ze szczególnym ożywieniem, właściwie za każdym razem to Claudine inicjowała rozmowę, natomiast Laurent odpowiadał monosylabami i znowu popadał w milczenie, i tak aż do następnej próby, podejmowanej przez żonę. Idąc za nimi przez miasto, głównie bocznymi uliczkami, zastanawiałem się, co stało się z łączącą ich kiedyś przyjaźnią, ponieważ panująca między nimi cisza nie była ani ciepła, ani przyjazna, lecz przesycona napięciem typowym dla par, które już dawno przestały darzyć się miłością.

W końcu zatrzymali się przed ładnym domem, zbudowanym z tego samego jasnego piaskowca, jak większość budynków w mieście, krytym czerwoną dachówką i z białymi okiennicami. Nie sprawiał wrażenia przytulnego rodzinnego gniazda, wydawał się równie pusty jak skrzynki na kwiaty, wiszące na pomalowanych czarną farbą żelaznych balkonach na pierwszym piętrze. Ukryłem się za rogiem, obok nieciekawie wyglądającego salonu fryzjerskiego i stamtąd patrzyłem, jak Laurent otwiera drzwi kluczem i wchodzi do środka. Claudine obejrzała się i ogarnęła wzrokiem ulicę, potem zaś, z lekko zmarszczonymi brwiami, pośpieszyła za mężem. Pomyślałem, że może poczuła na sobie moje spojrzenie.

Ranek był ponury i szary, więc zapalili światło, dzięki czemu wyraźnie widziałem salon. Oboje na chwilę zniknęli. Czekałem, ostrożny i przyczajony

jak lew, polujący na parę antylop. Laurent rozpałił ogień w kominku, a Claudine stanęła przy oknie i zaczęła ogryzać skórę przy paznokciu, wyraźnie zdenerwowana. Wiedziałem, że myśli o mnie. Na jej twarzy pojawił się wyraz refleksji i tęsknoty, który doskonale znałem, ponieważ bardzo często widywałem go w lustrze.

Laurent pojawił się za plecami żony jak mroczny cień i położył dłoń na jej ramieniu. Strąciła ją zdecydowanym ruchem, co bardzo go rozgniewało. Uniósł obie ręce ku górze i wypuścił z ust strumień słów, których nie mogłem usłyszeć. Claudine potrząsnęła głową i odsunęła się. Po kilku minutach w oknie na piętrze zapaliło się światło. Claudine znowu wyjrzała na ulicę, a potem zasunęła zasłony. Laurent został na dole, przy oknie, z rękami opartymi na biodrach. Później także zniknął. Nie wiem, co działo się dalej. Wpatrywałem się w ich okna tak długo, dopóki nie zmarzłem na kość i dopóki nie zaczęło mi burczeć w brzuchu z głodu. Dopiero wtedy niechętnie wróciłem do chateau.

Jadłem sam. Nie mogłem przestać myśleć o Claudine. Wciąż martwiłem się jej losem, więc posiłek stał się tylko formą spędzenia długich, pustych godzin, dzielących mnie od naszego następnego spotkania. Próbowałem się zastanawiać, czy nie dałoby się w jakiś sposób przeszmyglować Claudine do hotelu, ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że byłoby to zbyt ryzykowne - ktoś mógłby ją rozpoznać i nasz sekret zostałby ujawniony. Nie przychodziło mi do głowy, gdzie jeszcze moglibyśmy znaleźć bezpieczne schronienie. Czułem, że gdybyśmy mogli położyć się obok siebie zupełnie nadsy i kochać się długo i namiętnie, ten akt przypieczętowałby nasz związek. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wtedy Claudine już nie mogłaby zostać sama w Mauriac. Tak bardzo pragnąłem zabrać ją ze sobą do Ameryki...

Po lunchu usiadłem w bibliotece i zająłem się przeglądaniem książek, których wcale nie miałem ochoty czytać. Spalały mnie dwa uczucia - niepokój i zazdrość. W mojej wyobraźni Laurent przeistoczył się w potężnego demona, dokładnie takiego, jakim w okresie dzieciństwa był dla mnie ksiądz Abel-Louis. Mój nastrój pogarszał się w ekspresowym tempie.

Nagle przy moim stoliku jak spod ziemi wyrósł Jean-Luc z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem. W rękach trzymał album obciążony spłówałym zielonym płótnem.

- Przepraszam, że zakłócam panu odpoczynek, ale pomyślałem, że może chciałby pan obejrzeć stare rodzinne fotografie Rosenfeldów, dawnych właścicieli majątku...

Szczerze wdzięczny, że oderwał mnie od ponurych myśli, wskazałem mu fotel po przeciwnej stronie stolika. Podał mi album, który położyłem sobie na kolanach.

- Co stało się z Rosenfeldami? - zapytałem, chociaż w gruncie rzeczy wcale mnie to nie interesowało.

- Wszyscy członkowie rodziny zginęli podczas wojny. Jego słowa pomogły mi do końca otrząsnąć się z zamyślenia.

- Oczywiście, przecież byli Żydami... - mruknąłem. Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad losem Rosenfeldów, a moja matka także właściwie o nich nie wspominała.

- Na pewno zginęli w obozach koncentracyjnych - dodałem.

Z mocno bijącym sercem otworzyłem album i nagle poczułem się tak, jakbym zajrzał do tajemniczego świata, świata, który tak dobrze znała moja matka.

Znalazłem zdjęcia rodziny na wyścigach konnych w Longchamp pod Paryżem - kobiety ubrane były w modne suknie i kapelusze z szerokimi rondami, mężczyźni w jasne, letnie garnitury. Zobaczyłem sceny z wielkich bankietów i bali, wieczornych przyjęć w ogrodach oraz obiadów wydawanych na cele charytatywne. Sceny z wycieczek do Londynu, z wyścigów konnych w Anglii i z wielkiej wystawy kwiatów w Chelsea, z wypraw do Wiednia, Nowego Jorku oraz Indii. Z safari w Afryce i corocznych pielgrzymek do Jerozolimy. Rosenfeldowie mieli szoferów, którzy prowadzili lśniące auta, opierając obleczone w białe rękawiczki dłonie na obciążonych skórą kierownicach, z poważnymi twarzami, ocienionymi daszkami czarnych czapek. Odniosłem wrażenie, że przedwojenni właściciele chateau byli dobrymi ludźmi o wielkich, szczodrych sercach. Wszyscy byli uśmiechnięci, lecz moją uwagę zwróciła przede wszystkim czułość, jaką darzyli dzieci; wydawało mi się nawet, że ta ogromna, otwarcie okazywana serdeczność w jakiś sposób wykraczała poza reguły zachowania, rządzące eleganckim towarzystwem tamtych lat. Rosenfeldowie mieli pięcioro dzieci i prawie na wszystkich fotografiach obejmowali je, całowali, przytulali albo trzymali za ręce. Widziałem zdjęcia całej piątki, tarzającej się w trawie razem z ojcem, żartującej z matką oraz przesycone czułością obrazy chwil spokoju, kiedy dzieci chyba nie wiedziały, że są fotografowane. Żyli w swoim własnym bezpiecznym świecie i na pewno przynajmniej na początku nie zdawali sobie sprawy, że za granicą ich kraju zbiera siły potężna dyktatura, która miała wkrótce unicestwić ich wszystkich, ja jednak wiedziałem, co ich czekało, i serce ścisnęło mi się z bólu. Całe moje jestestwo buntowało się przeciwko świadomości, że te śliczne,

niewinne dzieci miały doznać niewyobrażalnego cierpienia z rąk nazistów, lecz wyobraźnia podsuwała mi obrazy ich beztroskich twarzyczek, poszarzałych ze strachu i beznadziei, obrazy ich prężnych, krzepkich, pulsujących energią ciał, zamienionych w białawy popiół.

Moja matka знаła tych ludzi. Brała na ręce ich dzieci, należała do ich intymnego świata. Teraz wiedziałem już, dlaczego nigdy o tym nie mówiła. Dotyczące Rosenfeldów wspomnienia musiały być dla niej zbyt bolesne. Nadal nie mogłem jednak pojąć, dlaczego pozostała w chateau, kiedy świat, w którym czuła się tak dobrze, nieodwracalnie obrócił się w ruinę.

Z wielkim zaciekawieniem i wzruszeniem oglądałem fotografie zamku z okresu, gdy był rodzinnym domem, nie hotelem. Płaskorzeźby na ścianach i reliefy na suficie były takie same jak teraz, w dużym kominku w holu wesoło huczał ogień. Posadzki z kamiennych płyt zarzucone były dywanami i chodnikami, na których wylegiwały się psy o czarnej sierści, zmęczone gonitwą wśród krzewów winnicy. Później przyszli Niemcy i wszystko się zmieniło. Sercem wierzyłem w niewinność mojego ojca, chociaż rozum podpowiadał mi zupełnie odmienną wersję wydarzeń. Najzwyczajniej w świecie nie chciałem wierzyć, że stanowił część reżimu, który torturował i skazał na zagładę miliony niewinnych ludzi.

Miałem już zamknąć album, bo okno, przez które dane mi było zajrzeć do świata Rosenfeldów zasnuło się zbyt gęstą mgłą smutku, kiedy nagle drgnąłem nerwowo. Na ścianie dużej bawialni, za plecami upozowanej do formalnego portretu rodziny, wisiała Cygańska Madonna. To był straszny cios, dosłownie zamarłem z przerażenia. Czułem, jak moje policzki oblewa krwawy rumieniec, mięśnie twarzy napięły mi się aż do bólu. Jean-Luc z niepokojem nachylił się ku mnie przez stół.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał.

Kiwnąłem głową. Nie byłem w stanie wykrztusić choćby słowa.

- Zaraz przyniosę panu szklanekę wody...

Jak przez mgłę widziałem dyrektora, który szybko podniósł się z fotela i wyszedł z biblioteki. Fotografia pochłonęła mnie całkowicie, z mojego umysłu wylewały się najrozmaitsze scenariusze, jak lava z rozbudzonego wulkanu. Czy moja matka jednak ukradła obraz? A może ukryła go przed hitlerowcami, wierząc, że Rosenfeldowie wrócą do domu po zakończeniu wojny... Czy mój ojciec potraktował obraz jako należny mu łup i podarował go ukochanej kobiecie? Jedno było pewne - obraz należał przed wojną do żydowskiej rodziny. Był bezcennym dziełem sztuki, skradzionym Żydom i dlatego jego posiadanie było zbrodnią wojenną. Nagle zrobiło mi się niedobrze ze

zdenerwowania, ogarnął mnie wielki smutek. Nic dziwnego, że mama nigdy nawet słowem nie wspomniała o tym obrazie - musiała się bardzo wstydzić...

Jean-Luc wrócił ze szklanką wody, którą wypilem jednym haustem.

- Na pewno ciężko jest panu patrzeć na własną przeszłość - odezwał się cicho. - Tyle się tu zmieniło...

- Zdziwiłby się pan, gdybym mu powiedział, jak mało się zmieniło - rzekłem, zamykając album.

- Przepraszam... Może nie należało pokazywać panu tych zdjęć...

- Proszę sobie nie robić żadnych wyrzutów! Cieszę się, że mogłem je obejrzeć, naprawdę. Teraz chętnie napiłbym się jednak czegoś mocniejszego...

- Absolut, naturalnie! - Jean-Luc zerwał się na równe nogi i wyjął album z moich rąk.

Zapatrzyłem się w ogień, rozmyślając o wszystkim, co Rosenfeldowie stracili w czasie wojny. Nie miałem cienia wątpliwości, że wiem o nich bardzo mało. Moja matka nigdy mi o nich nie opowiadała; podobnie jak wiele innych osób, które ucierpiały w wyniku wojny, nie potrafiła, a może i nie chciała dzielić się swoimi przeżyciami. Jednak chateau było fundamentem, na którym zacząłem budować życie. Tutaj poznali się moi rodzice i tutaj wzięli ślub. Tutaj przyszedłem na świat. Moje najwcześniejsze wspomnienia związane były z holem, w którym wciąż wyczuwałem duchową obecność ojca. Pomyślałem, że chyba zasługuję na to, aby poznać wydarzenia, które rozegrały się w tych murach, jakkolwiek okropne i pozbawiające wszelkich złudzeń miało być to doświadczenie.

Wypilem whisky, która ognistym strumieniem spłynęła wprost do mojego żołądka, i natychmiast poczułem się lepiej.

- Mówił pan, że Jacques Reynard mieszka niedaleko stąd - odezwałem się. - Mógłby pan powiedzieć mi, jak dojechać do jego farmy?

- Oczywiście, z przyjemnością - odparł Jean-Luc. Ogarnęło mnie gorączkowe pragnienie, aby dokładniej poznać przeszłość mojej matki, a Jacques był jedyną osobą, która mogła znać odpowiedzi na moje pytania. Jean-Luc poszedł do holu, żeby zapisać mi adres Jacques'a oraz wskazówki, jak do niego dotrzeć, natomiast ja wróciłem do pokoju po portfel i kluczyki do samochodu. Popatrzyłem przez okno na szeregi winnych krzewów, rozciągające się pod szarym zimowym niebem i pomyślałem o Jacques'u. Jakże musiał tęsknić za swoją ukochaną winnicą... Niespodziewanie uświadomiłem sobie, że przynajmniej od paru chwil nie myślałem o Claudine, a moja zazdrość o Laurenta nieco przygasła. W tej chwili cieszyłem się, że Claudine żyje i że ją odnalazłem. Naprawdę mogłem uważać się za szczęściarza.

Panujące na dworze zimno uderzyło mnie w twarz jak twarda pięść. Wciągnąłem w płuca lodowate powietrze. Mając przed sobą perspektywę rozwikłania tajemnicy matki, doznałem przyływu energii. Chyba nigdy wcześniej aż tak mocno nie pragnąłem poznać przeszłości, która nagle przestała mnie przerażać, a zaczęła intrygować.

Jazda wśród pól była przyjemna mimo zimowej monotonii krajobrazu. Wciąż wracałem myślami do albumu ze zdjęciami i wstrząsu, jakim było poznanie pochodzenia Cygańskiej Madonny. Teraz mocno wierzyłem, że mama ofiarowała obraz Metropolitan Museum, ponieważ ugruntowało się w niej przekonanie, że wszyscy Rosenfeldowie nie żyją. Właśnie dlatego powiedziała, że musi zwrócić obraz, oddać go we właściwe ręce. Prawdopodobnie przechowywała go przez te wszystkie lata z nadzieją, że ktoś z Rosenfeldów w jakiś cudowny sposób pojawi się w Nowym Jorku, aby odzyskać dzieło Tycjana, musiałem jednak także brać pod uwagę możliwość, że ujawniła fakt posiadania obrazu dopiero tuż przed śmiercią, ponieważ uznała, że jest już poza zasięgiem prawa. Postanowiłem, że po powrocie do Nowego Jorku zadzwonię do naszego adwokata i wszystko mu wyjaśnię.

W końcu znalazłem się na podwórku farmy. Po obu stronach stały obory o jasnych ścianach i czerwonych dachach, typowych dla tej okolicy. Zauważyłem czerwony traktor i uśmiechnąłem się lekko - kiedy jeszcze mieszkałem w pokoiku nad stajnią, Jacques posługiwał się końmi. Zatrzymałem się przed domem, ładnym budynkiem z dwoma smukłymi kominami na dachu i białymi okiennicami. Po murze piał się powój, gęsty jak broda dumnego ze swego zarostu starca. Wyłączyłem silnik i wysiadłem. Chwilę stałem na zwirowanej ścieżce, rozglądając się dookoła i chłonąc ciepło domu Jacques'a. Byłem przekonany, że jest u siebie, ponieważ czułem jego bliskość. Parę sekund później Jacques stanął w drzwiach. Jego pomarszczona, ogorzała twarz rozjaśniła się pełnym wzruszenia uśmiechem i ze łzami w oczach wyciągnął do mnie ramiona. Mówiłem już, że ci, którzy darzyli mnie miłością, poznawali mnie bez trudu, prawda?

Jacques zdjął beret i uściskał mnie jak syna. Górowałem nad nim wzrostem, lecz on mimo wszystko trzymał mnie w ramionach i płakał, obficie mocząc łzami moją koszulę. Obaj milczeliśmy i na pewno myśleliśmy o tym samym: dlaczego tak długo trzymałem się z dala od starych przyjaciół i Mauriac...

Wiek przygiął Jacques'a do ziemi niczym stare, powykręcane przez burze i nawałnice drzewo. Nie miałem wątpliwości, że mój przyjaciel liczy sobie co najmniej osiemdziesiąt parę lat, a może i trochę więcej, ale kiedy odsunął się ode mnie na odległość wyciągniętych ramion i spojrzałem w jego twarz, zobaczyłem, że światło, które zwykle rozjaśniało ją od środka nawet nie przygasło.

- Jak to dobrze, że wreszcie cię widzę - powiedziałem. Roześmiał się, otarł oczy i pokręcił głową.

- Powiniennem udzielić ci surowej reprimendy za to, że nawet do mnie nie pisałeś, Mischa.

- Bardzo się tego wstydzę - odparłem szczerze.

- Zniknęliście w środku nocy, jakby nigdy was tutaj nie było!

- Byłem małym chłopcem, niewiele miałem do powiedzenia...

- I dlatego ci wybaczam... - Jacques westchnął i spoważniał. - Ale nie zamierzam wybaczyć twojej matce...

- Wejdźmy do środka - nerwowo zatarłem zgrabiąle dłonie. - Strasznie zmarzłem!

Przez niewielki hol wprowadził mnie do salonu, gdzie w kominku wesoło trzaskał ogień. W przeciwieństwie do nieco napuszonej teraz wspaniałości chateau, dom Jacques'a był przytulny, prosto urządzone i pełen przedmiotów oraz książek o wyłącznie sentymentalnej wartości. Podobnie jak na zewnątrz, wszędzie panował tu idealny porządek. Zatonąłem w wygodnym, miękkim fotelu i wyciągnąłem dłonie do pomarańczowych płomieni. Jacques nalał mi drinka i dorzucił drewna do ognia. Przyklęknął sztywno z pewnym trudem i żelaznym pogrzebaczem podgarnął szczapy do środka.

- Zaraz się ogrzejesz - powiedział. - Mamy surową zimą...

- Na dobre wyjechałeś z Mauriac? - spytałem. Skinął głową.

- Nic nie łączyło mnie już z tym miejscem, a poza tym zrobiłem się za stary, żeby tak ciężko pracować.

- Więc kupiłeś farmę i osiadłeś tu razem z Yvette...

- Ach, Yvette... - Jacques zaśmiał się i spojrzał na mnie z błyskiem w oku. - Była dla mnie dobrą żoną. Codziennie dobrze jadłem i wyhodowałem sobie brzuszysko zadowolonego z życia człowieka... Yvette była kobietą, która mocno stała na ziemi, ale miło też było się na niej położyć...

- Podglądałem was, wiesz?

Podniósł się i z westchnieniem ulgi opadł na fotel naprzeciwko mnie.

- Naprawdę?

- Tak, widziałem, jak kochaliście się w altanie na wzgórzu.

- Ach, ty diable wcielony! - zawarczał, wyraźnie szczęśliwy, że przywołałem to wspomnienie.

- Przypomniałem sobie - mówiłeś, że jest tak soczysta jak dojrzałe winogrono...

- Darzyłem ją bardzo serdecznym uczuciem - wyznał.

Oczywiście nie powiedziałem mu, jak mocno nienawidziłem kucharki. Najwyraźniej Jacques dostrzegł w niej cechy, których ja nigdy nie widziałem. I wtedy wyjawiał mi coś, co całkowicie mnie zaskoczyło.

- Yvette bardzo cię lubiła - rzekł.

- Nie znosiła mnie - sprostowałem.

- Raczej nie znosiła tego, czego byłeś symbolem, ale ja wszystko jej wyjaśniłem i wtedy zmieniła zdanie.

- Zaczęła traktować mnie lepiej, kiedy zostałem jej „łapaczem” - oświadczyłem.

- „Łapaczem”?

- Podnosiła mnie na rękach, żebym ściągał dla niej zawieszony pod sufitem rondle i patelnie, a także inne rzeczy, które zwykle stały na kredensach. Miała lęk wysokości.

- Z trudem zmuszała się do antypatii wobec ciebie, chociaż szczerze chciała cię nie lubić. Musisz zrozumieć, że ten kraj wstydził się rzeczy, które miały tu miejsce w czasie wojny. Byłeś niewinny, ale przypominałeś ludziom o narodowej hańbie, o klęsce i gwałcie dokonanych na Francji. Przede wszystkim byłeś jednak kochanym małym chłopcem i ja kochałem cię jak własne dziecko. Może trudno będzie ci w to uwierzyć, ale po twoim wyjeździe Yvette płakała jak bóbr... - w zamyśleniu pociągnął łyk kawy. - Zresztą ja także, co tu dużo mówić...

- Ty i Daphne Halifax byliście jedynymi ludźmi, którzy okazali mi serce - powiedziałem. - Była jeszcze pewna Amerykanka, Joy Springtoe... - popatrzyłem na niego poważnie. - Sam widzisz, że nie zapominam przyjaciół...

- Jak czuje się twoja matka?

Nagle atmosfera w saloniku uległa gwałtownej zmianie. Można było odnieść wrażenie, że ktoś wyssał powietrze przez okno, bo zabrakło mi tchu. Zawahałem się. Zupełnie nieoczekiwanie doznałem oświecenia, poczułem się tak, jakbym patrzył na wschód słońca, na narodziny letniego dnia. Jacques był tak smutny, tak zagubiony, że wreszcie dotarło do mnie, kogo zawsze kochał całym sercem. Tą osobą była moja matka. Odwróciłem wzrok, ponieważ nie mogłem dalej patrzeć mu w oczy.

- Nie żyje - odparłem.

Smutek przygniół moje barki, wycisnął łzy z oczu. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem mokre ślady na policzkach starego przyjaciela.

- Wiedziała, że ją kochałeś? - spytałem cicho. Pokiwał głową.

- Wiedziała.

- Dlatego zawsze nas wspierałeś...

- Tak, z tego powodu, ale i z wielu innych - rzekł. Wyczułem, że chce o niej mówić, więc ostrożnie zadałem kolejne pytanie.

- Długo ją znałeś?

- Od dziecka.

Matka nigdy mi o tym nie wspominała. Zawsze zakładałem, że poznali się dużo później, i tylko dlatego, że oboje pracowali w chateau.

- Dorastaliśmy tu razem, Anouk i ja - dodał. - Kiedy wyjechała, nie mogłem patrzeć na zamek i wszystko, co go otaczało, więc także się wyniosłem, chociaż może niezbyt daleko...

- Opowiedz mi o niej, Jacques...

- Anouk była dziewczyną, z którą wszyscy chcieli się żenić - zaczął i wewnętrzne światło znowu rozjaśniło mu twarz. - Była kokietką, flirtiarą, może nawet miała w sobie sporo próżności... Była bardzo piękna i miała cudowne poczucie humoru. Byłem piętnaście lat starszy od niej, ale się zaprzyjaźniliśmy. Śmiałyśmy się ze wszystkiego, dosłownie ze wszystkiego. Anouk potrafiła też współczuć ludziom, miała serce pełne miłości... Kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, połączył nas romans. W wieku szesnastu lat zacząłem pracować dla ojca Gustave'a Rosenfelda i kiedy Gustave oraz jego żona Pauline odziedziczyli chateau, pomogłem Anouk znaleźć tu pracę. Rosenfeldowie byli młodzi, mieli dzieci, więc Anouk dostała posadę jeune filie, trochę opiekunki do dzieci, a trochę osoby zajmującej się domem i organizującej czas całej rodzinie. Rosenfeldowie byli ważnymi ludźmi, ich wina cieszyły się doskonałą opinią w całej Francji i Europie. Bardzo często odwiedzali ich zagraniczni klienci, więc Anouk bywała naprawdę zajęta. Kochała swoją pracę i rodzinę, zwłaszcza drugą w kolejności córkę Gustave'a i

Pauline, Françoise... - Jacques zapatrzył się w ogień; miałem wrażenie, że przywołuje wspomnienia nie tylko ze względu na mnie, ale i na siebie. - Przez trzy lata przed wybuchem wojny w dzień pracowaliśmy, a w nocy się kochaliśmy. Poprosiłem ją o rękę, ale uznała, że jest jeszcze za młoda na małżeństwo. Oczywiście zgodziłem się poczekać... - lekko wzruszył ramionami. - Kto nie chciałby poczekać na Anouk...

- A potem przyszli Niemcy... - pokiwałem głową.

- Najpierw dokonali aneksji Austrii, potem zajęli Czechy i wkroczyli do Pragi. Kiedy Hitler zaatakował Polskę, rozpętała się wojna. Myśleliśmy, że ich pobijemy, wszyscy byliśmy pewni, że potrwa to parę dni. Jak Hitler mógłby zgnieść potęgę Francji? To było nie do pomyślenia. Zbiory 1939 roku spływały z deszczem, wino było marne, wodniste. Tutejsi chłopcy powtarzali wtedy legendę o winie i wojnie - aby zapowiedzieć początek wojny, Bóg zsyła skąpe zbiory, dopóki wojna trwa, są one mierne, ale na jej koniec Bóg nie skąpi słońca i pysznych winogron. Zbiory początku wojny były najgorsze od stu lat... Rosenfeldowie zostali w chateau. Odkąd Hitler doszedł do władzy, z Niemiec ciągle wyciekał strumień żydowskich uchodźców, którzy szukali schronienia we Francji, w Anglii oraz w krajach Europy Wschodniej. Już przed wybuchem wojny pojawiały się pogłoski, że Niemcy mordują Żydów, ale nikt nie dawał temu wiary, aż wreszcie w listopadzie 1938 roku hitlerowcy w ciągu jednej nocy zabili prawie stu Żydów, najzupełniej jawnie...

- Kryształowa noc - powiedziałem. Jacques przytaknął ponuro.

- Mimo tego Rosenfeldowie czuli się we Francji całkiem bezpiecznie. Myśleli głównie o tym, aby na wypadek wojny w jakiś sposób uratować i przechować przynajmniej część swojego składu win. W tworzących labirynt lochach pod chateau mieli dziesiątki tysięcy najlepszych win. Dlatego Gustave Rosenfeld postanowił zamurować najwspanialsze, najcenniejsze roczniki, szczególnie te z lat 1928 i 1938. Dla dzieci była to ekscytująca przygoda. Uważaliśmy, że zamurujemy wina tylko na wszelki wypadek, ot tak, aby zachować najdalej posuniętą ostrożność. Nikt z nas nie wierzył, że Hitler przekroczy granicę, słowo ci daję, chociaż dziś pewno wydaje się to przerażającą głupotą... Gustave i ja kładliśmy cegły, natomiast Pauline, Anouk, Françoise i reszta dzieci zbierali pająki, aby umieścić je w załomkach muru. Zależało nam, żeby rozsnuły na nim swoje sieci, bo wtedy wyglądałby na znacznie starszy. Niektóre części lochów mają blisko czterysta lat, wiesz?

- Dlaczego nie powołali cię do wojska? - zapytałem.

- Ponieważ miałem trzydzieści siedem lat i astmę. Pozwolili mi zostać i dalej zarządzać winnicą. Chłopcy, z którymi pracowałem, poszli na wojnę z wielkim zapałem i arogancją, ale żaden z nich nie wrócił...

- Co stało się z Rosenfeldami po wkroczeniu Niemców? Jacques potrząsnął prawie zupełnie łysą głową, jedynie po bokach porośniętą rzadkimi białymi włosami, niczym pajęczą nicią, jaka pokryła świeży mur w zamkowych lochach.

- Gustave zgłosił się do armii i pewnie zginął na samym początku, bo nie dostaliśmy od niego żadnej wiadomości, a resztę rodziny wywieźli Niemcy. Pauline i jej dzieci zginęli bez śladu w którymś z obozów koncentracyjnych. Wtedy powtarzaliśmy sobie jeszcze, że zostaną uwolnieni i wrócą po zakończeniu wojny, pracowaliśmy z tą nadzieją... Nie mogę znieść myśli o ich cierpieniach. Mam tylko nadzieję, że ich koniec był w miarę szybki i bezbolesny... chateau zajął pułkownik Dieter Schulz.

- Mój ojciec...

- Był wysoki, przystojny, imponujący. Wcale mnie nie dziwi, że twoja matka zakochała się w nim bez pamięci.

Obiecał, że nie tknie wina i że wszystkich będzie traktował z szacunkiem, ale szybko się okazało, że wino trzeba jednak odesłać do Niemiec specjalnym transportem, a pod koniec wojny wizytę w zamku złożył Göring we własnej osobie. Przyjechał, aby wybrać najcenniejsze dzieła sztuki i swoim prywatnym pociągiem wyprawić je do Berlina. Dziś wszyscy wiedzą, że Göring osobiście zrabował największe żydowskie kolekcje...

- Ukradł kolekcję Rosenfeldów? - zapytałem, marszcząc brwi. - W takim razie dlaczego nie zabrał Cygańskiej Madonny?

- Cygańskiej Madonny?

- To obraz pędzla Tycjana, który kiedyś wisiał w chateau. Tuż przed śmiercią mama podarowała go Metropolitan Museum w Nowym Jorku.

- Pierwsze słyszę! O ile mi wiadomo, Göring splądrował cały zamek i wywiózł wszystko, co przedstawiało sporą wartość. Dobrze pamiętam tego otyłego, pysznego dandysa o jasnych włosach, z niezliczonymi medalami na piersi. Jestem pewny, że co najmniej kilka godzin dziennie podziwiał swoje odbicie w lustrze. Wszędzie chodził z orszakiem oficerów w idiotycznych, operetkowych mundurach. Sączył szampana i przechadzał się po zamku z taką miną, jakby był jego właścicielem. Na moich oczach wybrał trzy czy cztery obrazy, gobelin i srebrną zastawę z jadalni. Nie wiem dokładnie, co zabrał, ale Anouk powiedziała mi, że były to naprawdę najcenniejsze przedmioty...

- Może udało jej się coś ukryć?

- Poza winem? Nie jestem pewny, lecz wcale by mnie to nie zdziwiło. Anouk była doskonale wykształconą, obytą ze sztuką osobą. Potrafiła odróżnić dzieło Michała Anioła od dzieła Rafaela, i to bez trudu.

- Czy w chateau były jeszcze jakieś inne wartościowe obrazy?

- Ja nie potrafię ci tego powiedzieć, ale najwyraźniej Góring tak właśnie uważał.

- A mój ojciec?

- Twoja matka zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, w każdym razie tak mi się wydaje. Miał charyzmę. Był wysoki, jak ty, i szeroki w barach. Naturalnie jako oficer armii Trzeciej Rzeszy roztaczał wokół siebie aurę władzy, a to zwykle pociąga młode kobiety. Znienawidziłem go za to, że ukradł mi moją Anouk, lecz muszę przyznać, że był dżentelmenem i dobrym człowiekiem. On także szczerze się w niej zakochał. Nie mogę go nawet za to winić, bo przecież wszyscy mężczyźni tracili głowę dla Anouk...

- Jednak ty dalej pracowałeś w chateau?

- Ta praca była moim życiem, zresztą nie wyobrażałem sobie, żebym mógł przebywać z dala od Anouk.

- Byłem u księdza Abla-Louisa - wyznałem.

- Niech diabeł porwie jego duszę! - wykrzyknął gniewnie Jacques.

- Wydaje mi się, że stanie się to naprawdę niedługo...

- Po co do niego poszedłeś? - Jacques rzucił mi prawie oskarżycielskie spojrzenie, jakby sam fakt, że wymieniałem imię księdza, oznaczał zdradę.

- Ponieważ chciałem zadać mu ból, ale odkryłem, że i tak bez przerwy torturują go okropne wspomnienia i poczucie winy. Powiedział mi, że w tajemnicy udzielił ślubu moim rodzicom.

- Tak, on także kolaborował z Niemcami. Prowadził z nimi handel żywym towarem, zwierzył ci się z tego?

- Myślałem... - przerwałem, bo nagle usłyszałem potwierdzenie swoich wcześniejszych podejrzeń.

- Pauline Rosenfeld i jej dzieci zginęli w komorze gazowej w Auschwitz przez niego, to on ich wydał. Tym bezbronnym dzieciakom nie pozwolono dorosnąć i zaznać życia... Hannah, Francoise, Mathilde, Andre i Marc... - Jacques wyrzucił z siebie imiona dzieci jak serię pocisków. - Zdradził nie tylko ich, ale także wszystkich innych Żydów, którzy mieszkali w Mauriac. Jak myślisz, dlaczego żył w luksusie, chociaż cała Francja głodowała? Założę się, że tego grzechu ci nie wyznał!

Potrząsnąłem głową, oszołomiony i przerażony.

- Twierdzi, że zdradził moją matkę, żeby nie powiedziała ludziom, co zrobił... - wychrypiałem.

- I pozwolił im wypalić piętno na jej ciele, jakby była zwierzęciem! Tego też ci nie powiedział, prawda? - prychnął gniewnie.

Musiałem wyglądać nietęgo, bo twarz Jacques'a złagodniała.

- Zawlekli ją na place de l'Eglise razem z trzema innymi kobietami, które kolaborowały z Niemcami - ciągnął ciszej. - Obdarto je z ubrań i kazano stać nago na środku placu. Potem ogolili im głowy i rozpalonym żelazem wypalili na pośladkach piętno, jak świniom. Opowiedział ci o tym? Nie? Wiesz, jaki znak im wypalili? Swastykę! Twoja matka miała nosić to przekleństwo na skórze do końca swoich dni, a szlachetny, cieszący się ogólnym szacunkiem proboszcz przyglądał się temu wszystkiemu z boku, w milczeniu. Nie protestował, o, nie! Swoim milczeniem dodawał odwagi katom. Na pewno pamiętasz przynajmniej część tego, co zdarzyło się tamtego dnia, prawda?

- Pamiętam... - wymamrotałem.

- Zabiliby cię, nie mam co do tego cienia wątpliwości. Rzuciłem się na nich, ale wobec tylu przeciwników byłem kompletnie bezradny. To Amerykanie uratowali ciebie i twoją matkę, Mischa. Gdyby nie oni, oboje zostalibyście zamordowani.

- A ty?

- Bronilem was najlepiej jak umialem. Potem także stałem się wyrzutkiem, ale nigdy nie żałowałem tego, co wtedy zrobiłem. Kochałem Anouk, nigdy nie przestałem jej kochać...

- Powiedziałeś, że mój ojciec był dobrym człowiekiem...

- Bo tak było!

- Co się z nim stało?

- Nie wiem, mój drogi. Wyjechał latem 1944 roku i już nie wrócił.

- Mama nie próbowała się dowiedzieć, czy przeżył, czy też zginął?

- Tego także nie wiem, bo nigdy o nim nie mówiła. Po jego wyjeździe musiała jakoś sobie radzić, a nie było jej łatwo, samej z małym dzieckiem... Myślę, że Dieter Schulz zginął na froncie. Chciał zabrać twoją matkę do Niemiec i gdyby przeżył, na pewno dotrzymałby obietnicy...

Jacques patrzył na mnie długą chwilę, potem odstawił kubek z kawą i z głębokim stęknieniem dźwignął się z fotela. Wyglądał teraz dużo starzej, zupełnie jakby otwarcie drzwi, za którymi drzemała przeszłość, pozbawiło go kilku lat życia.

- Chciałbym ci coś pokazać... - powiedział.

Sztywno stawiając nogi, podszedł do komody i wysunął najwyższą szufladę. Chwilę szukał czegoś w środku i wyjął niewielką szarą kopertę. Zanim mi ją podał, pieszczotliwie przesunął po niej poduszką kciuka. Na kopercie, wypisane charakterem pisma mojej matki, widniało jego imię i nazwisko. Natychmiast zrozumiałem, że trzymam w ręku list, który zostawiła dla Jacques'a tamtej nocy, kiedy wyjeżdżaliśmy do Ameryki. Była to ostatnia wiadomość, jaką od niej otrzymał. Drżącymi palcami otworzyłem kopertę i wyjąłem z niej równo złożoną kartkę papieru.

Drogi Jacques'u,

Wyjeżdżam, żeby zacząć nowe życie w Ameryce. Nie mam dość siły i odwagi, aby pożegnać się z Tobą osobiście. Obawiam się, że gdybym musiała powiedzieć Ci prosto w oczy, iż więcej się pewnie nie zobaczymy, po prostu bym się na to nie zdobyła. Wolałabym zostać... Odkąd sięgam pamięcią, zawsze mnie kochałeś, a ja kochałam Ciebie, chociaż nie w taki sposób, jak sobie tego życzyłeś. Moja wdzięczność dla Ciebie jest tak wielka, że zwyczajne słowa nie są w stanie jej wyrazić. Pamiętasz tamte dni, kiedy śmialiśmy się w słońcu, urządzaliśmy pikniki na plaży i piliśmy dobre wino? Pamiętasz, jak budowaliśmy mur w lochach zamku i całowaliśmy się ukradkiem? Nadal odwiedzam ciemne zakamarki mojego serca, ponieważ z ukrytych tam wspomnień jestem najbardziej dumna. Pamiętasz, jak ukrywaliśmy

Żydów w zamkowej piwnicy i jak przeschmuglowaliśmy ich poza granice Francji? Pamiętasz tamten dzień, gdy stanąłeś obok mnie, chociaż byłam łysa i napiętnowana jak zwierzę? Pamiętasz, jak pokochałeś mojego syna niczym własne dziecko? Jak bawiłeś się z nim w winnicy? Jak sadzałeś go na koniu i uczyłeś jeździć w siodle? Pamiętasz, że nawet w najgorszych czasach, mimo bólu, beznadziejności i przerażenia zawsze mieliśmy siebie nawzajem, mogliśmy liczyć na siebie i śmiać się razem? Mój kochany Jacques u, ja nigdy o tym wszystkim nie zapomnę. Nie zapomnij o mnie i o Mischy, bo my nigdy, przenigdy nie zapomnimy o Tobie.

Z wyrazami miłości

Anouk

Przeczytałem list kilka razy, aż w końcu przestałem rozróżniać litery, ponieważ łzy popłynęły mi z oczu. Starannie złożyłem kartkę i schowałem ją do koperty. Jacques w milczeniu wpatrywał się w ogień, na jego twarzy malował się głęboki smutek. Wróciłem myślami do słów matki. Mieszkańcy Mauriac ukarali ją, a przecież przez całą wojnę pracowała dla Resistance i ryzykowała własne życie, aby ratować innych... Nigdy nie powiedziała mi, że wypalili jej piętno. Może sądziła, że zapamiętałem to, nie wzięła jednak pod

uwagę, że w pamięci utkwily mi przede wszystkim moje własne przerażające przeżycia... Gdybyśmy porozmawiali o tym, zamiast zakładać, że świetnie się rozumiemy...

- Ty i mama ratowaliście Żydów, tak? - odezwałem się w końcu.

- W Mauriac mieszkała żydowska rodzina, na którą ksiądz Abel-Louis jeszcze nie zdążył donieść. Kiedy Rosenfeldowie zostali wywiezieni, Anouk przestraszyła się, że tamci będą następni, więc w środku nocy przeprowadziliśmy ich do chateau, gdzie wcześniej przygotowaliśmy dla nich kryjówkę w piwnicach. Przez miesiąc nosiliśmy im jedzenie i przynajmniej od czasu do czasu staraliśmy się z nimi przebywać. Później udało się bezpiecznie przewieźć ich do Szwajcarii.

- Więc ty także pracowałeś dla Ruchu Oporu?

- Na niewielką skalę. Zaczęło się od jednej rodziny, ale potem dawaliśmy schronienie jeszcze wielu innym. Twoja matka nosiła pseudonim „Papillon”... Była bardzo dzielnym motylem... - Popatrzył na mnie zmęczonymi życiem, lecz pełnymi mądrości oczami. - Kiedy powiedziałem, że twój ojciec był dobrym człowiekiem, miałem po temu powody. Wiedział, że ukrywaliśmy Żydów w lochach, ale milczał. Widzisz, bardzo kochał Anouk... Zrobiłby dla niej wszystko, był gotowy nawet narazić swoją pozycję i życie...

- Pamiętam imiona, wyryte na ścianie w piwnicy - wymamrotałem. - Leon, Marthe, Felbc, Benjamin, Oriane...

- Masz lepszą pamięć niż ja - uśmiechnął się.

- Gnębi mnie jeszcze jedna sprawa... - zacząłem, przypomniawszy sobie zdjęcia młodego mężczyzny, na które natknąłem się w albumie matki. - Czy mama miała brata?

- Tak. Miał na imię Michel.

- Co się z nim stało? Mama nigdy o nim nie wspominała...

- Anouk była prawdziwą mistrzynią sztuki przetrwania... Jeśli musiała nieodwołalnie zamknąć jakiś rozdział swojego życia, żeby przetrwać, zamykała go i szła dalej. Tak właśnie było z twoim wujem... Jako dzieci byli nierozłączni, kiedy podrośli, nadal byli sobie bardzo bliscy... Gdy zaczęła się wojna, Michel został zmobilizowany i pojechał na front wraz z kwiatem francuskiej młodzieży...

- I zginął?

Jacques potrząsnął głową.

- Nie, wrócił cały i zdrowy. Po pewnym czasie dowiedział się o związku Anouk z twoim ojcem, powiedział o tym rodzicom, a oni wyrzekli się córki. Kiedyś byli kochającą się, wspaniałą rodziną, ale wojna rozdzieliła ich niczym

bezdenna przepaść. Cóż, niektóre rany nigdy się nie goją... W 1944 roku Michel znowu wyruszył na wojnę i tym razem nie wrócił. Kiedy się urodziłeś, Anouk nadała ci jego imię, Mischa...

- A co z moim dziadkami?

- Wyprowadzili się stąd pod koniec wojny. Ludzie uważali ich za rodziców kolaborantki, więc uznali, że nie mogą dłużej mieszkać w Mauriac. Zniszczyło ich publiczne upokorzenie Anouk, a ty stale przypominałeś im o jej zdradzie. Mieli krewnych we Włoszech i postanowili tam pojechać. O ile mi wiadomo, twoja matka nigdy nie nawiązała z nimi kontaktu. Na pewno teraz już nie żyją, umarli, nie przebaczywszy ukochanej córce... Widzisz, ojciec Anouk walczył w czasie pierwszej wojny światowej, więc w ich oczach miłość do wroga była naprawdę straszliwą zdradą, nie tylko zdradą wobec osobistych wartości etycznych, ale wręcz zdradą stanu. Nie mogli zrozumieć Anouk i z całą pewnością nie potrafili jej wybaczyć.

- Dlaczego nigdy mi tego wszystkiego nie powiedziała?! - wybuchnąłem z rozpaczą.

- Bo chciała zapomnieć o tym, co ją bolało. Chyba uważała, że nie powinna narażać cię na potępienie i zranienie ze strony dziadków... Kochała cię najbardziej na świecie, byłeś dla niej absolutnie wszystkim. Z całego serca pragnęła, żebyś dorastał bez całego tego bolesnego bagażu. Teraz jesteś już dojrzałym mężczyzną, sam odkryłeś prawdę i masz dość siły, aby spojrzeć jej w oczy...

- Wiedziała, że umiera - wyszeptalem. - Walka z chorobą trwała wiele miesięcy, to nie była nagła śmierć... Dlaczego mi wtedy nie powiedziała? Przecież chyba nie wmawiała sobie, że nadal jestem chłopcem, na miłość boską!

Jacques wzruszył ramionami.

- Nie wiem... To wszystko przeszłość, mój drogi. Po co ją rozgrzebywać?

- Więc nie miałem prawa dowiedzieć się czegoś o swoim ojcu?!

- Co więcej mogłaby ci powiedzieć?

- Chociażby to, że ratowaliście Żydów! To powód do dumy, nie sądzisz?

- Może bała się, że kiedy opowie ci, co się z nią działo, zaczniesz zadawać pytania, a wtedy nie będzie mogła przestać mówić. Anouk nigdy nie lubiła rozwodzić się nad rzeczami, które budziły smutek w jej sercu. Powiedziałem ci, że zamykała pewien rozdział i żyła dalej, taki już miała charakter Musisz zaakceptować ją taką, jaką była.

- A ty?

- Miałem dobre życie i Bóg pozwolił mi zaznać szczęścia To, że kochałem twoją matkę, bynajmniej nie oznacza, że odmawiałem sobie przyjemności z innymi. Pod tym względem poszedłem na kompromis i nie było to złe rozwiązanie...

Jacques nachylił się ku mnie i ujął moją rękę. W porównaniu ze mną był nieduży, ale nagle znowu poczułem się jak mały chłopiec.

- Ty jesteś moim pocieszeniem, Mischa... Nie miałem własnych dzieci, lecz mam ciebie. Nie rozmawiajmy już o przeszłości, wolę stać się częścią twojej przyszłości, mój drogi... - zerknął na zegarek. - Nigdy nie jest za wcześnie na szklaneczkę dobrego wina. Wypijmy za twój powrót i za przyszłość, a potem opowiesz mi o swoim życiu. W ten sposób poczuję, że brałem w nim udział, co ty na to?

Zostałem u Jacques'a do północy. Piliśmy razem, topiąc łyzy i śmiech w winie, które jest serdeczną, gorącą krwią, kipiącą w żyłach Bordeaux. Szczerze mówiąc, raczej nie nadawałem się do tego, aby usiąść za kierownicą, ale pamiętałem, że rano mam się spotkać z Claudine, i chciałem być na miejscu. Uściskaliśmy się po raz ostatni. Jacques zdawał sobie chyba sprawę, że prawdopodobnie już mnie więcej nie zobaczy. Był w podeszłym wieku i jego czas powoli dobiegał końca. Obaj czuliśmy, że mogą minąć lata, zanim znowu przyjadę do Francji, jeżeli w ogóle się na to zdecyduję, a wtedy Jacques'a już nie będzie wśród żywych.

- Dlaczego nie miałbyś zamieszkać gdzieś w pobliżu? - zagadnął, wyraźnie próbując zatrzymać mnie blisko siebie.

- Moje życie toczy się w Ameryce - odparłem. Jednak Jacques doskonale znał prawdziwy powód.

- Wydarzyło się tu za dużo strasznych rzeczy - ze zrozumieniem pokiwał głową. - Powietrze jest gęste od smutku i nieszczęść... Masz rację, powinieneś zostawić to wszystko za sobą. Musisz iść dalej, tak jak zrobiła twoja matka. Ja także pójdę prosto przed siebie...

Objęliśmy się mocno, ciesząc się siłą więzi, która pozwoliła nam od nowa zbliżyć się do siebie. Jacques stanął w progu, trzymając beret w rękach i gniotąc go ze wzruszenia. Sprawiał wrażenie starego i kruchego. Pomachałem mu przez okno, przejeżdżając obok obór i wyjeżdżając na drogę. Zobaczyłem go jeszcze we wstecznym lusterku, potem zniknął.

Pędziłem przez ciemność, pochylony do przodu, aby lepiej widzieć. Musiałem się skoncentrować. Buzowało mi w głowie nie tylko od wina, ale również od tego wszystkiego, o czym opowiedział mi Jacques. Najbardziej poruszył mnie fakt, że przez tyle lat kochał moją matkę i nie miał do niej najmniejszego żalu. Na jego oczach zakochała się w moim ojcu i urodziła mu dziecko. Mimo tego Jacques zawsze traktował mnie jak własnego syna. Uświadomiłem sobie, że prawdziwa miłość jest bezwarunkowa i pozbawiona choćby śladu egoizmu. Pomyślałem, że sam nie byłbym w stanie zdobyć się na takie uczucie. Pragnąłem Claudine dla siebie, nie powinienem się oszukiwać. To prawda, że chciałem uratować ją i uszczęśliwić, ale liczyłem także, że przy okazji ukoję własny smutek. Mój szacunek i podziw dla Jacques'a jeszcze wzrosły, ponieważ moja miłość była uczuciem egoisty.

Udało mi się dojechać do hotelu, nie gubiąc się i nie zasypiając nad kierownicą. Nocny portier popatrzył na mnie zdziwiony, gdy wkroczyłem do holu, próbując iść w miarę prosto. Szeroko uśmiechnięty, przywitałem się z nim serdecznie, co najwyraźniej tak do mnie nie pasowało, że biedak zbladł ze strachu. Szczęśliwie dotarłem do swojego pokoju i padłem na łóżko. Postanowiłem odpocząć chwilę i potem się rozebrać, ale kiedy znowu otworzyłem oczy, był już ranek. Zamówiłem kawę do pokoju, a potem rozsunałem zasłony, otworzyłem okna i wpuściłem do środka świeże poranne powietrze. Słońce świeciło jasno i radośnie, wychwytyjąc unoszące się w powietrzu drobinki lodu i budząc w nich błyski. Czuję ogromny spokój. Jacques rzucił światło na wiele tajemnic przeszłości. Lepiej rozumiałem matkę i żałowałem, że nie zdążyliśmy naprawdę otwarcie porozmawiać o jej życiu. Byłem przekonany, że ukryła Cygańską Madonnę i przechowywała ją dla Rosenfeldów w dobrej wierze, spodziewając się ich powrotu po zakończeniu wojny. Nie mogła przecież przewidzieć ich losu... Później zapewne zatrzymała go ze strachu przed oskarżeniem o kradzież. Było to zrozumiałe. Na pewno zacierała ręce z zadowolenia, kiedy Göring przybył do chateau, aby zrabować znajdujące się tam dzieła sztuki. Wbrew swemu przekonaniu, hitlerowski zbrodniarz wcale nie wywiózł z zamku tego, co najcenniejsze. Byłem dumny z dziewczyny, która nosiła pseudonim „Papillon”.

Wziąłem pryznic i ogoliłem się. Myślałem teraz wyłącznie o Claudine, czekałem na jej telefon. Gdy zadzwoniła, jej głos rozpałił moją tęsknotę i znowu opanowała mnie zazdrość.

- Kiedy możemy się spotkać? - zapytałem, w typowy dla mnie, niecierpliwy sposób.

- Dziś rano, na mostku - odparła.

Na myśl o kolejnym spacerze poczułem rozczarowanie, uznałem jednak, że nie należy dawać wyrazu temu uczuciu w rozmowie telefonicznej, więc zgodziłem się.

- Tęskniłem za tobą - powiedziałem. - Przez cały weekend...

- Ja też za tobą tęskniłam...

W jej głosie brzmiała jakaś obca nuta. Wyczułem w nim rezerwę, która mocno mnie zaniepokoiła.

- Przyjdź jak najszybciej - zachęciłem. - Mam ci dużo do powiedzenia, będę czekał...

Nie musiałem czekać długo. Zjawiała się w palcie i kapeluszu, w szaliku zamotanym dookoła szyi i w wysokich butach na kożusku. Pozwoliła mi wziąć się w objęcia, ale jej ciało pozostało napięte i sztywne.

- Wszystko w porządku? - spytałem.

- Usiądźmy - zaproponowała.

Żołądek skurczył mi się boleśnie ze zdenerwowania. Ruszyłem za Claudine ku żelaznej ławce, na której siedzieliśmy tamtego ranka, kiedy umówiliśmy się po raz pierwszy.

- Co się stało? Masz wątpliwości? O co chodzi?

Ujęła moją dłoń i popatrzyła na mnie poważnie. Widziałem, że pod warstwą spokoju i pewności siebie w głębi serca odczuwa lęk.

- Byłeś na mszy - powiedziała. Zaskoczyła mnie.

- Byłem - przyznałem, starając się nie okazywać niepokoju. - Przyszłaś z Laurentem, więc nie chciałem...

- Ale poszedłeś za mną aż pod nasz dom...

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wyznać jej całą prawdę. Pochyliłem się, oparłem łokcie na kolanach i potarłem twarz.

- Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość...

- Dlaczego mnie śledziłeś, Mischa?

- Chciałem sprawdzić, jak Laurent cię traktuje.

- Dlaczego po prostu nie zapytałeś?

- Ponieważ odniosłem wrażenie, że nie chcesz o nim rozmawiać.

- Nie chcę, żeby zepsuł to, co jest między nami... - westchnęła.

- Już sama jego pozycja jako twojego męża wszystko psuje!

- Kiedy jestem z tobą, nie chcę o nim myśleć...

Z ulgą dostrzegłem łzy w jej oczach. Na szczęście jednak jej nie straciłem...

- Kocham cię, Mischa. Gdy jesteśmy razem, mogę udawać, że Laurent nie istnieje.

Wyprostowałem się i chwyciłem jej dłoń.

- Nie musisz udawać, kochanie! Możesz zostawić go i wyjechać ze mną do Ameryki!

- Nie mogę... - odwróciła się i wytarła nos wierzchem dłoni. - Nie rozumiesz tego...

- Ależ możesz! Twoje dzieci są już dorosłe, nic nie wiąże cię z Mauriac! To pustynia! Możemy zacząć nowe życie w Nowym Jorku, szczęśliwe życie we dwoje!

Spojrzała na mnie.

- Jesteś młoda i piękna - szepnąłem, przesuwając palcami po jej zziębniętym policzku.

Ujęła moją rękę i przycisnęła do niej wargi.

- Boję się... - wyznała cicho.

- Laurenta?

- Nie, nie Laurenta. Jest mi go naprawdę żal, współczuję mu. Laurent uspokaja się tylko wtedy, gdy czuje, że ma kontrolę nad swoim światem, włącznie ze mną. Stał się zgorzkniałym, pełnym tłumionego gniewu człowiekiem. Teraz widzi, że odsuwam się od niego, i jest gotowy na wszystko, byle mnie zatrzymać. Nigdy nie chciał się kochać, a teraz bez przerwy mnie pragnie. Zmęczyło mnie już wymyślanie wymówek...

- Więc kogo się boisz?

Ściągnęła brwi i rzuciła mi niepewne spojrzenie.

- Boję się popełnić grzech. Boję się Boga.

- Boga! - O mało się nie roześmiałem pod wpływem nagłej ulgi, ale natychmiast przypomniałem sobie jej serdeczny stosunek do księdza Roberta. - Byłaś u spowiedzi?

Skinęła głową.

- Dlaczego, Claudine? Przecież wiesz, że ksiądz nie może wyrazić aprobaty dla cudzołóstwa!

- Musiałam. Przez tyle lat okazywał mi dobroć... Był dla mnie jedynym wsparciem. Na początku nie umiałam stawić czoła Laurentowi, ale ksiądz Robert nauczył mnie, jak to robić. Nie mogę go okłamywać.

- Nie możesz żyć w nieszczęśliwym małżeństwie tylko po to, aby ksiądz był zadowolony! Musisz słuchać instynktu i postawić własne szczęście na pierwszym miejscu!

- Czuję się winna... Laurent jest ojcem moich dzieci. Znamy się od dziecka, przez dwadzieścia sześć lat dzieliliśmy dom i łóżko, przysięgaliśmy sobie w kościele, przed Bogiem. Jeśli odejdę, złamię jedno z dziesięciorga przykazań. Nigdy wcześniej nie popełniłam tak ciężkiego grzechu...

- Przecież jeszcze nic nie zrobiłaś!

- Liczy się intencja - spojrzała na mnie poważnie.

Nie mogłem uwierzyć, że dała się tak nabrać. Czyżby nie wiedziała, że wszystko to razem było stekiem bzdur, wymyślonych przez księży, aby mieć kontrolę nad ludźmi?

- Na miłość boską, nie dopuszczę, żeby następny ksiądz zniszczył moje szczęście! - Objąłem ją i pocałowałem namiętnie. - Daj spokój, kochanie, przestań szukać wymówki! Jestem w stanie zrozumieć, że boisz się Laurenta, przyszłości, nawet siebie samej, ale nie chowaj się za Kościołem! Kochasz mnie?

- Tak.

- Więc cała reszta nie ma znaczenia! Nie wyjadę stąd bez ciebie!

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Miałem wrażenie, że rozkwitła, widząc moją determinację, jakby dodatkowo potrzebowała dowodu mojego uczucia. Mając porzucić wszystko, co było jej znane, rozpaczliwie szukała potwierdzenia, pewności, że moja miłość jest silna i nigdy jej nie zawiedzie. Wiedziała przecież, że jeśli wyjedzie ze mną, nie będzie mogła już wrócić do Mauriac.

- Chcę się z tobą kochać - powiedziała nagle. - Chcę, żebyś mnie wziął, Mischa. Chcę być cała twoja...

- Gdzie? - spytałem bez wahania. Nie potrzebowałem zachęty.

- Znam takie miejsce... - wstała i wzięła mnie za rękę. - Chodźmy! Rozpocznijmy naszą przyszłość już dzisiaj!

Szliśmy brzegiem rzeki, trzymając się za ręce jak młodzi kochankowie. Dobrze pamiętałem, jak pięknie było tu latem i moje serce zalała fala nostalgii - soczyście zielona, bujna trawa, w której grały świerszcze; drzewa i gruchające leśne gołębie w ich gałęziach; powietrze ciężkie od zapachu żywicy i rozmarynu. Claudine była ucieleśnieniem wszystkich tych rzeczy. Czulem, że jeśli zdecyduje się pojechać ze mną do Ameryki, zabiorę ze sobą te piękne wspomnienia lata w Mauriac. Po pewnym czasie dotarliśmy do jakiejś farmy i od razu przestałem myśleć o przeszłości. Wokół podwórka stały obory i stajnie, ale nigdzie nie dostrzegłem żywej duszy.

- Często bawiłam się tutaj jako dziecko - odezwała się Claudine. - Pamiętasz Antoine'a Baudrona?

Nie mogłem przypomnieć sobie nikogo takiego, ale przypuszczałem, że Antoine był jednym z chłopców, którzy na szkolnym dziedzińcu z zapartym tchem słuchali moich kłamstw o cudach i religijnych wizjach.

- To był jego dom - ciągnęła. - Ożenił się i wyprowadził z Mauriac, lecz jego ojciec nadal zajmuje się farmą.

Z żartobliwym uśmiechem prowadziła mnie wybetonowaną ścieżką między zabudowaniami, co chwilę chowając się, co natychmiast przypomniało mi zabawy z Pistou. W końcu otworzyła drzwi prowadzące do obory.

- Wiosną trzymają tu cieleta, żeby się odchowały. Na górze magazynują siano. Założę się, że trochę go tam jeszcze zostało... Urządzimy sobie całkiem przytulne łóżko... - roześmiała się łobuzersko i gestem kazała mi pójść za sobą.

- Niektórzy ludzie nigdy nie dorastają... - zażartowałem.

- Czyżbyś miał na myśli nas dwoje? - zapytała, wspinając się po drabinie na stryszek.

- Przytul mnie... - poprosiła, przywierając do mnie całym ciałem, gdy położyliśmy się obok siebie. - Musisz mnie rozgrzać...

Leżeliśmy spleceni w przyćmionym, rozproszonym świetle, przedostającym się do środka przez szczeliny w drewnianym dachu i malutkie okienko, którego szyba niemal zarosła pleśnią i grzybem. Zaczęliśmy wymieniać pocałunki, z początku bardzo powoli. Leciutko muskałem wargami jej usta, policzki, pierzaste rzęsy i czoło. Pachniała jak las - zamknąłem oczy, żeby nacieszyć się jej aromatem i poczuć go wszystkimi zmysłami. Ostrożnie wsunęła dłoń pod mój płaszcz i koszulę. Jej lodowate palce wędrowały po mojej skórze.

- Masz zimne ręce - mruknąłem.

- Zaraz się rozgrzeją. Jesteś gorący jak płomień...

Do pierwszej dłoni dołączyła druga i teraz razem sunęły wzdłuż mojego kręgosłupa. Na moment zatrzymały się na bliźnie i zaraz ruszyły dalej. Nasze pocałunki z każdą chwilą stawały się coraz bardziej gorączkowe i poczułem, jak podniecenie ogarnia całe moje ciało. Gorące oddechy omiały nasze rozpalone policzki. Wyciągnąłem bluzkę z jej spódnicy i rozpiąłem biustonosz. Piersi miała miękkie i gąbczaste, nie tak jędrne jak młoda kobieta, która jeszcze nie rodziła, ale mnie bardzo podobała się ich dojrzałość. Od razu pokochałem ślady, jakie czas i macierzyństwo zostawiły na jej ciele, ponieważ to właśnie one czyniły ją prawdziwą i realną, i dodawały jej urodzie wzruszającego patosu. Żałowałem, że dzieci, które urodziła, nie są moje. Żałowałem, że nie dane nam było dorastać razem. Wtuliłem twarz w jej szyję i uniosłem bluzkę, aby dotknąć ustami jej piersi i poczuć smak skóry na języku. Wydała cichy jęk i zanurzyła palce w moich włosach. Miała na sobie tweedową spódnicę do kolan. Zsunąłem ją w dół i odkryłem, że nosi brązowe pończochy z pasem do podwiązek oraz jedwabne majteczki. Zafascynowany, powoli badałem białe wyżyny ud nad koronkowym wykończeniem pończoch. Uśmiechnęła się. Jej oczy lśniły, powieki były ociężałe od rozkoszy. Ostrożnie rozebrałem ją z bielizny, a ona ułożyła się przede mną, naga i bezwstydnie rozluźniona, gotowa przyjąć pieśczęty. Kochaliśmy się przez cały ranek, co jakiś czas robiąc krótką przerwę na rozmowę i znowu wracając do rozkosznych doznań.

- Nie kochałam się z takim zapamiętaniem od młodości - powiedziała, zarumieniona i szczęśliwa. - Myślałam, że zatraciłam całą zmysłowość w banalnej rutynie domowego życia...

- Jesteś niezrównana - uśmiechnąłem się, podziwiając jej piękną twarz. - Seks dobrze ci robi...

- Kto by przypuszczał, że do tego dojdzie, kiedy bawiliśmy się kamykami na place de l'Eglise... - parsknęła śmiechem i wspięła się na mnie.

- Strach myśleć, co powiedziałby monsieur Baudron, gdyby znalazł nas tutaj, w swojej oborze, prawda?

- Musiałabym na zawsze wyjechać z Mauriac...

- W takim razie mam nadzieję, że zaraz się tu zjawi - powiedziałem, poważniejąc.

Długo wpatrywała się w moją twarz. Żałowałem, że nie potrafię czytać w jej myślach.

- Wyjedź ze mną, Claudine. Nie mogę cię tu zostawić.

- Przecież jeszcze się nie dowiedziałeś, co z obrazem twojej matki...

- Dowiedziałem się.

- Naprawdę? Opowiedz...

- Ale musisz mi obiecać, że ze mną wyjedziesz! Przestała się uśmiechać.

- Obiecujesz, że nigdy mnie nie porzucisz? Że będziesz się mną opiekował? Że zestarzejemy się razem i zawsze będziemy się kochać całym sercem, aby nadrobić lata, jakie straciliśmy? Czy możesz mi to wszystko obiecać, Mischa? Jeżeli tak, to ucieknę z tobą...

Chwyciłem ją i przewróciłem tak, aby leżała w kołysce moich ramion.

- Może nie jesteśmy już młodzi, ale mamy przed sobą jeszcze wiele wspólnych lat... Obiecuję ci, Claudine, że będę cię kochał i opiekował się tobą, dopóki śmierć nas nie rozłączy... Proszę tylko o jedno - żebyś mi zaufała. Gdybyś wiedziała, co się ze mną działo przez ostatnich czterdzieści lat, czułabyś się pewniej, bo naprawdę nigdy nie kochałem nikogo tak jak ciebie...

- Skąd masz tę bliznę? - spytała.

- Pamiątka po bójce - odparłem, wiedząc, że wreszcie będę mógł się podzielić z kimś całą grozą mojej zmarnowanej młodości.

- Jak to się stało?

- Wszystko zaczęło się po wyjeździe Coyote'a... Słuchała uważnie, podczas gdy ja stopniowo zrzucałem wszystkie warstwy swojej zrogowaciałej skóry. Przypominały kawałki pancerza - miały chronić mnie przed ludźmi, nie dopuścić, by ktokolwiek mnie dotknął. Teraz zdejmowałem je sam, z własnej woli i z każdą chwilą czułem się lżejszy i szczęśliwszy. Opowiedziałem o „Sklepie z Różnościami Kapitana Crumble'a”; o Matiasie i Marii Elenie; o włamaniu i strasznej chwili, kiedy Coyote objął mnie ostatni raz; o tym, jak matka z uporem codziennie kładła dla niego nakrycie na stole, co w końcu zaczęło mnie irytować; o jej niezłomnej nadziei, o tym, jak powoli oddaliliśmy się od siebie, a ja wszedłem w świat ulicznych gangów oraz przemocy. Opowiedziałem jej o kradzieżach, jakich dokonywałem, o aktach wandalizmu i strachu, jaki zacząłem budzić w mieszkańcach Jupiter. Nie byłem dumny z tego, kim się stałem, ale zależało mi, żeby wiedziała o mnie wszystko. Nie mogłem mieć przed nią żadnych tajemnic. Linda nie zdołała do mnie dotrzeć,

teraz pragnąłem, aby Claudine wzięła moje serce w dłonie i nigdy go nie wypuściła, bo przecież zawsze należało właśnie do niej.

Potem opowiedziałem o bójce, w której o mały włos nie straciłem życia.

- Patrzyłem bezradnie, jak moi kumple uciekają w noc, zostawiając mnie samego, krwawiącego na mokrym asfalcie. Wtedy przed moimi oczami zaczęły przewijać się sceny z całego życia... Zmarnowałem tyle lat, a wszystko z powodu jednego człowieka...

- Nie, Mischa... - Claudine patrzyła na mnie łagodnymi, mądrymi oczami. - On wprowadził w ruch łańcuch wydarzeń, ale nie był przyczyną twojego załamania. Byłeś głęboko zranionym małym chłopcem. Niewykluczone, że postępowałbyś dokładnie tak samo, nawet gdyby Coyote nigdy nie pojawił się w twoim życiu, kto wie...

- Ale Coyote odrzucił mnie i ciągle musiałem dźwigać ten ciężar! Przygniatał mnie coraz bardziej, aż w końcu zrzuciłem jakąś jego część w czasie pierwszej bójki. Potem z każdym występkiem stawał się coraz lżejszy...

- Ta rana najprawdopodobniej uratowała ci życie - powiedziała z lekkim uśmiechem.

- Dzięki niej przemyślałem wszystko i postanowiłem się zmienić. Zacząłem pracować z matką w sklepie i uczyć się, jak rozpoznawać i oceniać antyki...

- Miałaś dziewczyny?

- Tak bardziej na poważnie tylko jedną, Lindę. Byliśmy ze sobą dziewięć lat, ale nigdy się przed nią nie otworzyłem. Od pierwszego dnia ostro walczyła, żeby mnie „uratować”. Myślę, że właśnie z tego powodu tak jej się podobałem - byłem projektem, który za wszelką cenę chciała zrealizować...

- Kochałeś ją?

Zamyśliłem się na chwilę. Teraz, kiedy odnalazłem Claudine, zacząłem dostrzegać różnice między miłością a pożądaniem.

- Było mi z nią wygodnie - odparłem. - Potrzebowałem jej, ale nie, w żadnym razie nie mogę powiedzieć, że ją kochałem.

- Jak odnosiła się do niej twoja matka?

- Niezbyt dobrze. Nie przepadała za dziewczynami, z którymi się spotykałem.

Zaśmiała się cicho.

- To dlatego, że chciała cię mieć dla siebie! Byłeś całym jej światem, nie ma w tym nic dziwnego - pieszczotliwie musnęła mój policzek palcem. - Na jej miejscu zachowywałabym się tak samo, nie mam co tło tego cienia wątpliwości. Szkoda mi Lindy i innych dziewczyn, które przyprowadzałeś do domu... Nie miały najmniejszych szans, biedaczki...

- Pamiętasz moją matkę?

- Tak, zapamiętałam ją jako bardzo piękną, lecz lodowatą kobietę. Zawsze trzymała głowę wysoko, chodziła jak królowa. Miała niewiarygodnie piękne, wysoko sklepione kości policzkowe i nienaganną skórę. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widziała ją uśmiechniętą...

- Kiedy chciała, potrafiła się czarująco uśmiechać. Myślę, że poczułaby do ciebie sympatię.

- Niby dlaczego? - spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Ponieważ byłaś jedynym dzieckiem, które dobrze mnie traktowało. Polubiłaby cię chociażby za to...

Claudine przyniosła ze sobą bagietki. Jedliśmy je, siedząc w słońcu na mostku i patrząc, jak szron znika w ciepłych promieniach. Po południu spacerowaliśmy, żeby nie zmarznąć. Claudine zabrała mnie do małej wioski po drugiej stronie rzeki, ponieważ właśnie tam pochowany był jej ojciec, z którym chciała się pożegnać. Przykucnęła na trawie, żeby z nim porozmawiać, więc zostawiłem ją samą przy grobie. Przechadzałem się za cmentarnym murem, trzymając ręce w kieszeniach i bawiąc się gumową piłeczką. Zastanawiałem się, czy mój ojciec też ma grób gdzieś w Niemczech i nagle także zapragnąłem z nim porozmawiać.

I właśnie wtedy dokonałem naprawdę niezwykłego odkrycia. Był to prosty nagrobek, porośnięty mchem i pnączami, zaniedbany, zniszczony twardą ręką czasu. Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem, z zapartym tchem. Widniał na nim głęboko wyryty napis: PISTOU, a niżej: Florian Riche, 1941-1947, ukochany syn Paula i Annie. Na zawsze pozostanie w naszych sercach. Uklęknałem i powoli zacząłem zdrapywać pleśń z głęboko wyrytych liter. A więc Pistou nie był wytworem mojej wyobraźni... Był małym chłopcem w moim wieku, któremu los nie pozwolił dorosnąć.

Maria Elena od razu zrozumiała, że tak właśnie było. Jako dziecko wierzyłem w jego istnienie, bo przecież wiedziałem, że naprawdę przyszedł bawić się ze mną wśród winnych krzewów. Był przy mnie, kiedy go potrzebowałem, gdy nie miałem nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Byłem przekonany, że już go nie zobaczę, ponieważ zawładnął mną świat ludzi dorosłych i odebrał mi zdolność słyszenia głosu Pistou. Kiedy zabrałem się do porządkowania jego grobu, pomyślałem o nim z miłością, jak szczerze kochanego brata.

- Pistou, mój stary przyjacielu... - wyszeptałem. Oczami wyobraźni ujrzałem, jak stoi obok mnie, kpiąco uśmiechnięty i zadowolony, że zrobił mi takiego psikusa.

- Więc byłeś małym chłopcem, takim jak ja... - ciągnąłem. - Nigdy nie podziękowałem ci za towarzystwo i za to, że bawiłeś się ze mną, kiedy nie miałem nikogo bliskiego w swoim wieku... Mam nadzieję, że dalej biegasz po polach nad rzeką, może teraz z innym chłopcem, który także cię potrzebuje. Sądząc po stanie twojego grobu, jestem pewny, że rodzice dołączyli już do ciebie... Jeśli zobaczysz moją mamę, ucałuj ją ode mnie, dobrze? A jeśli to możliwe, ostatni raz daj mi znać, że jesteś blisko, bym mógł ci podziękować...

Wieczorem spakowałem walizkę. Zamierzaliśmy wyjechać następnego dnia rano. Claudine miała przyjechać do hotelu i stąd planowaliśmy razem wyruszyć na lotnisko. Wszystko wydawało mi się proste i nieskomplikowane, nie wyobrażałem sobie, by coś mogło pójść nie po mojej myśli. Claudine powiedziała, że zostawi Laurentowi list na poduszce w sypialni. Wyznała, że nie mogłaby zawiadomić go o swojej decyzji, patrząc mu prosto w oczy. Rozumiałem ją. Przyjaźnili się od najwcześniejszych lat i chociaż w ich małżeństwie nie było ciepła, wspólnie spędzony czas coś przecież znaczył. Ostatecznie Laurent był ojcem jej dzieci, człowiekiem, z którym dzieliła łóżko przez dwadzieścia sześć lat.

Długo wylegiwałem się w wannie i wyobrażałem sobie nasze życie w Nowym Jorku. Jakże inne stanie się wszystko, kiedy będę miał przy sobie Claudine... Postanowiłem, że wysprzątam mieszkanie mamy, przejrzę jej pocztę, uporządkuję dokumenty i zacznę nowy etap. Zawsze będziemy mieli siebie nawzajem, Claudine i ja.

Zszedłem na dół, zamówiłem kieliszek wina i usadowiłem się w bibliotece przy kominku. Zauważyłem Jeana-Luca, który stanął w progu z zatroskanym wyrazem twarzy, ale zignorowałem go. Wróciłem do lektury czasopisma, które zacząłem przeglądać i z przyjemnością popijałem dobre bordeaux. Czułem głębokie zadowolenie, jakby wreszcie wszystkie fragmenty trudnej układanki, jaką było moje życie, znalazły się na swoim miejscu. Dowiedziałem się, skąd mama miała Cygańską Madonnę. Nie byłem do końca pewny, jakimi motywami się kierowała, ukrywając obraz niemal do śmierci, lecz w gruncie rzeczy nie miało to już znaczenia. Moja ciekawość została zaspokojona, zresztą Claudine stała się dla mnie ważniejsza od wszelkich pytań i wątpliwości.

- Przepraszam pana bardzo...

Podniosłem wzrok i zobaczyłem Jeana-Luca, wpatrującego się we mnie z niepokojem.

- Tak? - zagadnąłem z uśmiechem.

- Zastanawiam się, czy... Czy miałby pan coś przeciwko temu, aby dziś wieczorem dzielić stół z jednym z naszych najbardziej czarujących gości?

- To znaczy?

Myśl, że będę musiał cały wieczór gawędzić o niczym z obcą osobą była mocno zniechęcająca.

- To dama, pani Rainey. Jest sama, a ponieważ przyjechała z Ameryki, tak jak pan, pomyślałem, że byłoby jej miło... To starsza osoba, bardzo miła, nasza stała klientka...

Miałem wielką ochotę odmówić, lecz wiedziałem, że to zwykły egoizm.

- Cała przyjemność po mojej stronie... - powiedziałem i natychmiast zacząłem się zastanawiać, odkąd to stałem się taki zgodny.

Twarz Jeana-Luca rozjaśnił uśmiech.

- Serdecznie panu dziękuję, monsieur. Przedstawię panu panią Rainey o ósmej...

Wróciłem do lektury. Pomyślałem, że mając w perspektywie wyjazd z Claudine, powinienem odwdziaczyć się losowi i być uprzejmym i miłym dla nieszkodliwej starszej pani. Może zresztą pani Rainey okaże się naprawdę miłą towarzyszką, kto wie... Miałem nadzieję, że nie jest potworną nudziarą ani jedną z tych entuzjastycznie nastawionych do świata kobiet, które bez końca zadają pytania. Nie miałem ochoty opowiadać jej o sobie.

Punktualnie o ósmej zjawił się Jean-Luc z panią Rainey. Dopilem wino, odłożyłem ilustrowany magazyn i wstałem, żeby się przywitać.

- Madame, chciałbym przedstawić pani pana Fontaine'a...

Wymieniliśmy uprzejme uśmiechy i wtedy nagle dotarło do nas, że przecież już się znamy, i to od bardzo, bardzo dawna...

- Joy Springtoe! - wykrzyknąłem, otwierając usta ze zdumienia.

Niemal się nie zmieniła, po prostu trochę postarzała...

- Mischa? - zdziwienie, które brzmiało w jej głosie, na pewno nie było mniejsze niż moje.

Potrząsnęła głową, błękitne oczy rozbłysły radością.

- To ty mówisz? - zapytała.

- To długa historia - odrzekłem.

- Bardzo chętnie jej wysłucham!

- A ja chętnie ją pani opowiem...

- Jesteś teraz Amerykaninem?

- Tak. Przeprowadziliśmy się do Stanów, kiedy miałem sześć lat... - ująłem jej dłoń i pocałowałem, bardzo po francusku. - Ale nigdy o pani nie zapomniałem...

Usiedliśmy w rogu jadalni, przy okrągłym stoliku udekorowanym świecami.

- Och, Mischa, tak się cieszę, że cię widzę! - zawołała Joy. Jej twarz nadal była piękna. Poznaczona zmarszczkami!

Skóra wyglądała trochę jak bibułka, ale zarys twarzy pozostał ten sam, łagodny i miękki. Emanowała szczęściem i dobrocią, a oczy, błękitne i duże jak dawniej, patrzyły teraz na mnie z ogromną czułością.

- Jesteś bardzo przystojny... Wiedziałam, że wyrośniesz na atrakcyjnego mężczyznę.

- Co pani tutaj robi? - spytałem, wciąż oszołomiony, że nasze ścieżki przecięły się raz jeszcze. - Nie przypuszczałem, że panią jeszcze zobaczę.

- To moje wakacje! - roześmiała się dźwięcznie, jak młoda dziewczyna. - Raz w roku zostawiam męża i przyjeżdżam tu na tydzień, aby wspominać narzeczonego, który zginął w tej okolicy podczas wojny...

- Pamiętam. Zauważyłem, że pani płakała, wtedy zabrała mnie pani do swojego pokoju i pokazała mi jego zdjęcie.

- Tak, Billy Blake... - uśmiechnęła się i zniżyła głos. - Widzisz, miałam tylko jedną prawdziwie wielką miłość... Och, naturalnie jestem szczęśliwa z Davidem, trudno o lepszego męża, ale Billy był moją wielką miłością i nie chcę o nim zapomnieć...

- Zginął w Mauriac?

- Jego oddział wyzwolił miasteczko, Billy jako pierwszy dotarł do chateau. Następnego dnia napisał do mnie list, ostatni list, jaki od niego dostałam. Niedługo potem zginął w walce.

- Wielka szkoda, bo na pewno był wyjątkowym człowiekiem.

- Najlepszym na świecie. Ale nie rozmawiamy tylko o mnie...

Do naszego stolika zbliżył się kelner i znieruchomiał w wyczekującej pozie. Pośpiesznie wybraliśmy dania oraz wino, pragnąc jak najszybciej wrócić do rozmowy.

- Co cię tutaj sprowadza? - spytała.

Z radością otworzyłem przed nią swoje życie i zaprosiłem ją do środka. Minęło dużo czasu od naszego ostatniego spotkania, ale dla niej drzwi zawsze były otwarte.

- Wszystko zaczęło się od śmierci mojej matki. Umarła na raka...

- Tak mi przykro...

- Chorowała osiemnaście miesięcy. Nie bardzo chciała się leczyć, bo nie zносиła lekarzy i uważała, że niepotrzebnie ingerują w ludzkie życie. Skazała się na powolną śmierć, cały czas udawała, że nic złego się nie dzieje. Obawiam się, że także i pod tym względem jestem do niej podobny... Jakiś czas po jej śmierci zacząłem porządkować rzeczy. Nie sądzę, aby pani o tym wiedziała, ale mój ojciec był niemieckim oficerem, który podczas wojny dokonał rekwizycji chateau. Matka pracowała dla przedwojennych właścicieli zamku i została tu już po tym, jak Gustave Rosenfeld zginął na froncie, a jego żonę wraz z dziećmi wywieziono do obozu koncentracyjnego.

- Byli Żydami?

- Tak. Mama została w zamku, ponieważ miała nadzieję, że po wojnie Rosenfeldowie wrócą do swojej posiadłości.

- Ale oni nigdy nie wrócili, oczywiście...

- Właśnie... W każdym razie mama zakochała się, w tajemnicy poślubiła mojego ojca, a w 1941 roku urodziłem się ja. Pod koniec wojny została surowo ukarana za kolaborację. To właśnie wtedy straciłem głos...

- Teraz wreszcie rozumiem... Biedny chłopcze, musiałeś przeżyć straszne rzeczy! Co stało się z twoim ojcem?

- Poległ.

- Tak jak mój Billy...

- Trochę go pamiętam - wyjąłem z kieszeni małą gumową piłeczkę. - To prezent od niego...

Wzięła ją do ręki i uważnie obejrzała.

- Dobry Boże! Nie zgubiłeś jej przez te wszystkie lata?

- To pamiątka po nim. Jestem starym, sentymentalnym głupcem...

- O, nie, w żadnym razie! Ja także przechowuję pamiątki, mam całą szkatułkę różnych rzeczy związanych z Billym. Programy teatralne, bilety autobusowe, zasuszone kwiaty, listy... Czasami siadam w swoim pokoju i je oglądam. Tak jak twoja piłeczka, łączą mnie z Billym, dzięki nim czuję jego bliskość... Nie boję się śmierci, bo wiem, że po tamtej stronie czeka na mnie Billy. Szczerze mówiąc, jestem trochę podekscytowana, kiedy o tym myślę...

- Sądzę, że jeszcze długo poczeka pani na to spotkanie!

- Starzeję się, Mischa.

- Wcale na to nie wygląda!

- Bo ty widzisz nie zmarszczki, tylko twarz sprzed czterdziestu lat, mój drogi... Dobiegam siedemdziesiątki. Nigdy nie sądziłam, że to tak szybko zleci. Życie naprawdę jest bardzo krótkie... - westchnęła i pociągnęła łyk wina. - A więc wróciłeś tu, żeby przywołać wspomnienia, tak?

- W pewnym sensie.

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

- Jesteś szczęśliwy?

- Teraz już tak, ale to też długa historia...

- Chcę ją usłyszeć! Opowiedz mi wszystko! Mam prawo wiedzieć, ponieważ byłam twoją pierwszą miłością... - zaśmiała się łagodnie.

Z uśmiechem ująłem jej rękę.

- Wiedziała pani?

- Och, tak, oczywiście! Zawsze czerwieniłeś się na mój widok i chodziłeś za mną wszędzie jak mały psiak... Chowaleś się za tym fotelem na górze, zresztą on nadal tam stoi. Zawsze myślę o tobie, kiedy na niego patrzę, chociaż teraz jesteś już trochę za duży, żeby się za nim zmieścić...

- Była pani nie tylko moją pierwszą miłością, ale także pierwszą kobietą, która złamała mi serce. Po pani wyjeździe wpadłem w rozpacz.

- Ja też cierpiałam, nie myśl sobie! Bardzo cię lubiłam, naprawdę. Widziałam w tobie synka, którego nie miałam...

- Ma pani dzieci?

- Tak, cztery dziewczyny. Nie udało mi się urodzić syna - lekko ścisnęła mi rękę. - Zawsze chciałam mieć jasnowłosego chłopczyka o niebieskich oczach... Billy był blondynem. Wydaje mi się, że gdybym za niego wyszła, mielibyśmy właśnie takiego synka, ale cóż, los chciał inaczej. Na szczęście mam trzech wnuków i kocham ich do szaleństwa!

Kelner podał przystawki i zaczęliśmy jeść.

- No, opowiadaj! - ponagliła mnie. - Wszystko, od chwili waszego wyjazdu z Francji. Twoja mama na pewno chciała zacząć życie od nowa w miejscu, gdzie nikt nie znał jej przeszłości...

- Chyba tak... - przytaknąłem, chociaż wciąż się zastanawiałem, czy przypadkiem nie podjęła decyzji o wyjeździe ze względu na obraz Tycjana. - Zakochała się w Amerykaninie, który przyjechał na wakacje do Francji, i to on zabrał nas do New Jersey. On był moją drugą miłością...

I tak opowiedziałem jej o Coyocie, o „Sklepie z Różnościami Kapitana Crumble'a", o Matiasie i Marii Elenie, o włamaniu. Nie wymieniłem imienia, czy raczej przydomku Coyote'a, chociaż nie miałem pojęcia, z jakiego powodu. Najwyraźniej ostrzegł mnie przed tym instynkt. Joy Springtoe słuchała mnie w skupieniu, zafascynowana i poruszona. Opowiedziałem jej o moich czarnych latach, o gangu, bójkach, kradzieżach i nienawiści do samego siebie.

- Co skłoniło cię, żeby się zmienić? - zapytała.

- Kiedy jesteś na dnie, możesz tylko odbić się od niego i wypłynąć na powierzchnię...

- Więc po prostu postanowiłeś, że od następnego dnia się zmienisz, i już?

Nie chciałem mówić o bójkę na parkingu, więc powiedziałem, że pewnego dnia zrozumiałem, w jak trudnej sytuacji znajduje się moja matka.

- Dotarło do mnie, jak bardzo ją raniłem. Winiłem ją za odejście człowieka, który tyle dla mnie znaczył, uważałem, że stało się to przez nią. Chciałem, żeby zrobiła jakiś krok, bym mógł pójść za nią. Pewnego wieczoru wróciłem do domu bardzo późno, pijany i brudny, i zobaczyłem, jak mama sama tańczy w sypialni w rytm muzyki, której dawniej słuchała z moim ojcem. W chateau często puszczały płyty i tańczyli, ot tak, bez szczególnej okazji. Tamtego wieczoru tańczyła tak jak z nim, z jedną ręką opartą na jego niewidzialnym ramieniu i drugą w niewidzialnej dłoni. Z czułością spoglądała na niego, chociaż nie było go tam przecież, a oczy miała pełne łez. Wytrzeźwiałem, usiadłem na podłodze i się rozplakałem. Pierwszy raz od dawna nie myślałem tylko o sobie i o tym, co straciłem, ale też o niej i jej stratach. Została sama, opuszczona przez obu mężczyzn, których kochała, skazana na ostracyzm w miasteczku, gdzie dorastała, wyklęta przez własną rodzinę. Wycierpiała dużo więcej niż ja i nigdy, nawet na chwilę, nie przestała mnie kochać. Mimo mojego gniewu, wyzwisk, jakimi ją obrzucałem i wymierzonych w nią wybuchów wściekłości, nigdy nie zamknęła przede mną drzwi swego serca ani domu. Następnego dnia obudziłem się z mocnym postanowieniem, że zrobię wszystko, aby się zmienić. Nie wróciłem już do gangu i nigdy więcej nie uciekłem się do przemocy. Nie rozmawialiśmy o tym, ale znowu zbliżyliśmy się do siebie i staliśmy się przyjaciółmi...

Potem opowiedziałem Joy o Claudine. Słuchała ze współczuciem i nie próbowała mnie osądzać, co więcej, próbowała dodać mi odwagi.

- Jeżeli Claudine jest twoją wielką miłością, na pewno powinieneś posłuchać instynktu - poradziła. - Życie jest krótkie i każde z nas powinno przeżyć je w całej pełni...

- Wyjeżdżam jutro rano.

- Przykro mi będzie się z tobą pożegnać, ale może spotkalibyśmy się w kraju...

- Z wielką radością! - uśmiechnąłem się. Znowu wzięła mnie za rękę.

- Mnie też sprawi to radość, możesz mi wierzyć...

W nocy nie mogłem zasnąć z podniecenia. Joy Springtoe ponownie pojawiła się w moim życiu, a Claudine podjęła decyzję, że wyjedzie ze mną do Ameryki. Mieliśmy się pobrać, kiedy tylko dostanie rozwód. Nie posiadałem się z

radości, planując naszą wspólną przyszłość. Tyle lat byłem człowiekiem pozbawionym korzeni, lecz teraz postanowiłem kupić dom, w którym razem się zestarzejemy. Smuciło mnie tylko, że jest już za późno, abyśmy mogli mieć dzieci. W głębi serca czułem żal, że nikomu nie przekażę nazwiska i umrę, nie pozostawiając na świecie żadnej części samego siebie.

Na zewnątrz wiatr jęczał w konarach drzew i gwizdał wokół murów zamku. Deszcz chłostał szyby, co jakiś czas rozlegał się głuchy grzmot, a ciemne niebo rozrywały błyskawice. Rozsunąłem zasłony i usiadłem na parapecie. Czarne chmury kłębiły się na niebie, przelewały jedna przez drugą niczym grudy wrzącego budyniu. Przypomniałem sobie, że moja babka wierzyła w przynoszący zmiany wiatr. Podobna burza szalała w noc naszej ucieczki do Ameryki, doskonale pamiętałem, że wichur o mało mnie nie porwał, gdy biegłem przez ogród. I wtedy pamięć podsunęła mi także zapomniany obraz człowieka kopiącego w ogrodzie. Zobaczyłem go bardzo dokładnie - klęczał na ziemi, przemoczony do suchej nitki i wbijał ostrze łopaty w grunt. Słyszałem rytmiczny brzęk metalu, uderzającego o kamień, tak wyraźnie, jakby zdarzyło się to wczoraj. Wtedy doszedłem do wniosku, że mam przed sobą mordercę, który zakopuje ciało ofiary, lecz teraz nie byłem już tego taki pewny. Byłem skłonny uznać to wspomnienie za fantazję z pogranicza snu i jawy, ale przecież podobnie potraktowałem Pistou. Pomyliłem się raz, więc mogłem pomylić się i drugi. Postanowiłem rano zapytać Jeana-Luca, czy w okolicy krążyły kiedykolwiek pogłoski o morderstwie - dyrektor hotelu sprawiał wrażenie człowieka, który wie wszystko o historii chateau.

Obserwowałem burzę, dopóki nie minęła. Nadal lało jak z cebra i wiatr przyginał ogołoczone z liści drzewa do ziemi. Rano miałem pożegnać się z dzieciństwem i na zawsze zostawić je za sobą. W życiu każdego człowieka przychodzi ta chwila, kiedy musi zacząć żyć teraźniejszością albo w ogóle wycofać się ze świata. Wróciłem do łóżka i zamknąłem oczy. Od lat nie spałem tak mocno i od lat nic mi się nie śniło, lecz tamtej nocy miałem tak wyraźny, barwny i wibrujący życiem sen, że niemal mógłbym uznać go za rzeczywistość.

Znowu byłem małym chłopcem. Słońce stało wysoko na niebie, powietrze było ciepłe, pachnące żywicą. Rzeka wesoło gulgotała, tocząc się po kamiennym dnie, tuż nad powierzchnią wody unosiły się stada muszek, cykady grały w trawie, a lekki wietrzyk poruszał główkami żółtych kaczeńców. Siedziałem na brzegu i rzucałem kamyczki do wody. Obok siedział Pistou, który bawił się moją piłeczką. Milczeliśmy, ponieważ zawsze rozumieliśmy się bez słów. Żółty motyl wylądował na dłoni mojego przyjaciela. Pistou odwrócił się do mnie, jego buzię rozjaśnił szeroki uśmiech. Przypomniałem sobie słowa

Jacques'a Reynarda, który powiedział mi, że w Resistance moja matka nosiła pseudonim „Papillon”, Motyl.

- A więc przekonałeś się, że nie byłem tworem twojej wyobraźni - odezwał się Pistou.

Przytaknąłem i powiedziałem:

- Przepraszam. Miałeś mi to za złe?

Rzuciłem kamyk, który dwukrotnie odbił się od powierzchni wody.

- Nie - odparł. - Zdążyłem już do tego przywyknąć.

- Jak jest w niebie?

- Przyjemnie! Sam zobaczysz, kiedy tu przyjdiesz. Można zjeść tyle chokolatines, ile dusza zapagnie...

- Miła perspektywa! Czy proboszcz też tam będzie?

- Abel-Louis zjawi się tu lada chwila. Czekają na niego.

- Spotka go surowa kara? - spytałem.

- Piekło istnieje na ziemi, przyjacielu. Sam go doświadczyłeś, prawda?

- Ale ja chcę, żeby został ukarany! Chcę, żeby cierpiał!

- Będzie cierpiał, kiedy spojrzy na swoje życie i zobaczy, ile zła popełnił.

Pamiętaj, Mischa. To, co dajesz innym, wraca do ciebie - prawo przyczyny i skutku... Nikt przed tym nie ucieknie.

- A moja matka? - patrzyłem, jak motyl rozkłada skrzydła i odlatuje.

- Jest tutaj, podobnie jak twój ojciec.

- Są razem?

- Oczywiście.

- Widzisz ich teraz, Pistou?

- Zawsze ci towarzyszą, czuwają nad tobą. To, że ty ich nie widzisz, wcale nie oznacza, że ich nie ma. - Pistou podniósł się z trawy. - Muszę już iść.

- Zobaczę cię jeszcze?

- Och tak, zobaczysz mnie, wystarczy, że otworzysz oczy! - roześmiał się jak mały łobuziak. - Jesteś cynicznym starym głupcem, wiesz?

Podniosłem się. Górowałem nad nim wzrostem. To wtedy uświadomiłem sobie, że już nie jestem małym chłopcem.

- Dziękuję ci za przyjaźń, Pistou.

- Nieźle się bawiliśmy, co?

- Jasne!

- I nadal możemy się bawić. Nie zapominaj tylko, jak być dzieckiem.

- Postaram się...

Po chwili zniknął wśród drzew. Włożyłem piłeczkę do kieszeni i odwróciłem się do słońca. Świeciło tak jasno, że musiałem zmrużyć powieki.

Ośloniłem oczy ramieniem i nagle się obudziłem. Rozpoczął się nowy, wspaniały dzień. Burza odeszła, niebo było czyste.

Spakowałem resztę rzeczy do walizki, ubrałem się i zszedłem do jadalni na śniadanie. Byłem bardzo podminowany. Claudine obiecała, że spotkamy się w holu o dziesiątej. Z Bordeaux mieliśmy polecieć do Paryża, a stamtąd do Nowego Jorku i czekającego na nas cudownego życia. Nie mogłem się już doczekać, kiedy ją zobaczę. Co chwilę spoglądałem na zegar. Dlaczego czas zawsze tak się wlecze, gdy zależy nam, by mijał jak najprędzej, myślałem.

Posmarowałem croissanty masłem i dżemem. Świeżo zaparzona kawa wspaniale smakowała i pachniała. Próbowałem czytać gazetę, ale słowa układały się w pozbawione sensu zbitki; mogłem myśleć wyłącznie o Claudine. Po śniadaniu poszedłem do oranżerii, aby ostatni raz popatrzeć na ogród. Ku mojemu zaskoczeniu zastałem tam Joy, która stała przy oknie z filiżanką kawy w ręku.

- Co za piękny ranek... - uśmiechnęła się do mnie. - Żałuję, że już wyjeżdżasz... Chętnie wybrałabym się z tobą na spacer...

- Jest trochę za zimno. Szkoda, że to nie lato...

- Zwykle przyjeżdżam tutaj w sierpniu - powiedziała. - To moja pierwsza zimowa wizyta, ale myślę, że sam los tak wszystkim pokierował, abyśmy mogli się spotkać...

- Ten ogród jest piękny nawet zimą - zauważyłem.

- I nawet po burzy! - roześmiała się.

- Nie mogłem spać w nocy, więc siedziałem przy oknie i patrzyłem na szalejącą burzę. Pamiętam, że robiłem to także w dzieciństwie, właśnie tutaj. Mama zawsze powtarzała, że wichura przynosi zmiany...

- Może to prawda, bo przecież dzisiaj zaczynasz nowe życie...

Z westchnieniem spojrzała na ogród.

- Krążą plotki, że gdzieś na terenie tej posiadłości zakopano bezcenne dzieło sztuki, wiesz? - zagadnęła.

Nagle zabrakło mi powietrza.

- Naprawdę? - starałem się, aby mój głos brzmiał naturalnie.

Moje policzki płonęły, zupełnie jakbym sam zakopał ten tajemniczy skarb.

- W ostatnim liście Billy napisał, że razem z dwoma przyjaciółmi jako pierwsi weszli do chateau po wyparciu Niemców. - Joy zniżyła głos. - Jeden z nich, Richard Quigley, trochę znał się na sztuce i rozpoznał obraz Tycjana, jakimś cudem niezrabowany przez Góringa, który miał zwyczaj sam wybierać najcenniejsze obrazy i sprzęty i wysyłać je do Niemiec swoim prywatnym pociągiem. Wszyscy trzej postanowili uchronić obraz przed kradzieżą i

zakopali go w ogrodzie. Billy napisał, że gdyby nie Richard, zniszczyliby to arcydzieło, ponieważ nie mieli pojęcia, jak wyjąć je z ram. Znaleźli jakieś metalowe pudło, włożyli do niego obraz i zakopali, oczywiście z zamiarem wydobywania go po zakończeniu wojny. Niestety, Billy poległ niedługo potem, a Richard... Biedny Richard...

- Co się z nim stało?

Zaschło mi w ustach, miałem wrażenie, że język mam dziwnie obrzmiały. Ostatnie fragmenty trudnej układanki właśnie wskakiwały na swoje miejsce... Pomyślałem, że chyba wolałbym nie oglądać tego obrazu w całości.

- Richard został zamordowany.

- Zamordowany? W czasie wojny?

- Nie, chyba w 1952 roku... Czytałam o tym w lokalnych gazetach, kiedy byłam z wizytą u moich krewnych w Staunton, w zachodniej Wirginii. Pamiętam, że morderca został skazany na dożywocie i osadzony w więzieniu Keen Mountain. Mam szczerą nadzieję, że gnije tam do dziś! Richard był takim miłym człowiekiem, Billy często o nim wspominał... Miałam wrażenie, że to mój dobry znajomy, chociaż nigdy się nie spotkaliśmy...

Odwróciłem głowę, żeby na nią nie patrzeć i zadałem ostatnie pytanie, chociaż i tak wiedziałem już, jaką usłyszę odpowiedź.

- Jak nazywał się ten trzeci żołnierz, z którym weszli do chateau?

- Nazywali go Coyote... - Joy ściągnęła brwi. - Ciekawe, co się z nim stało...

Kręciło mi się w głowie. Usiadłem i próbowałem rozmasować skronie.

- Źle się czujesz? - zapytała Joy, siadając obok i otaczając mnie ramieniem.

- Mam lekkie mdłości - odparłem.

Przed oczami miałem Coyote'a, który w środku burzy wykopywał obraz. Teraz już wiedziałem, dlaczego przyjechał do Mauriac i dlaczego musieliśmy uciekać w nocy jak złodzieje. Byliśmy złodziejami, a w każdym razie złodziejem był Coyote. Przypomniałem sobie włamanie do naszego domu w Jupiter i do sklepu, i zniknięcie Coyote'a. Zabił Richarda Quigleya, który przyjechał do Jupiter, aby znaleźć obraz... Czy zabił także Billy'ego?

Spojrzałem na zegarek. Była za piętnaście dziesiąta.

- Już mi lepiej, naprawdę - powiedziałem, prostując się. - To pewnie ze zdenerwowania... Chyba powinienem napić się wody...

- Myślę, że nikt już nigdy się nie dowie, czy obraz jest zakopany gdzieś tutaj, czy nie - spokojnie ciągnęła Joy. - Tak czy inaczej, miło jest pomyśleć, że na terenie posiadłości spoczywa w ziemi piękny sekret... Lubię tajemnice. - Wstała i dopiła kawę. - Chodź, poprosimy kelnera o szklanekę wody, bo naprawdę strasznie zbladłeś.

Siedziałem w holu i czekałem na Claudine. Po rewelacjach Joy musiałem spędzić parę chwil w samotności. Byłem zrozpaczony. Ufałem Coyote'owi, ale teraz zwątpiłem, czy w ogóle go znałem. Miałem pewne podejrzenia co do tego, gdzie przebywał przez ostatnie trzydzieści lat, ale musiałem jeszcze raz przejrzeć pamiątki mamy, by zyskać potwierdzenie. Wiedziałem, że na razie powinienem wyrzucić z pamięci obraz Coyote'a kopiącego w nocy w ogrodzie, a także przypuszczenia, że zamordował dwóch młodych ludzi, którzy wiedzieli o obrazie Tycjana. Musiałem skupić się na przeszłości, myśleć o Claudine.

Po dziesiątej zacząłem się niepokoić. Przechadzałem się w tę i z powrotem po holu i co chwilę podchodziłem do drzwi, żeby sprawdzić, czy Claudine nadchodzi. Pocieszałem się, że na nasze pierwsze spotkanie na mostku także się spóźniła, a ja straciłem nadzieję i nawet zawróciłem już w stronę chateau. Byłem pewny, że dzisiaj także się zjawi, musiałem jej po prostu ufać i czekać.

Wróciła Joy, wypełniając hol zapachem gardenii. Podszedłem i objąłem ją serdecznie.

- Jesteś taki wysoki! - zaśmiała się. Tymczasem ja wciąż widzę w tobie małego chłopca, który podbił moje serce wiele lat temu...

- Zobaczymy się po powrocie do Stanów, obiecuję - powiedziałem, całując ją w policzek delikatny jak aksamit.

- Bardzo się cieszę, że nasze ścieżki znowu się skrzyżowały... Los stosuje dziwne metody, aby zetknąć ludzi ze sobą, prawda? Nie wierzę w przypadki... - Ujęła moje dłonie. - Życzę ci szczęścia z Claudine. Skoro znalazłeś taką miłość, nie wypuszczaj jej z rąk, bo to rzadkie, bezcenne uczucie. Nie muszę ci tego mówić, prawda? Wiesz już o tym...

Patrzyłem, jak odchodzi, na chwilę oderwawszy się od dręczącego mnie niepokoju, i przypomniałem sobie, jak wyglądała, stojąc w drzwiach łazienki w ślicznej nowej sukience. Kto by uwierzył, że było to czterdzieści lat temu...

Podjąłem spacer po holu, nerwowo obracając w palcach gumową piłeczkę. Czas mijał, a Claudine wciąż nie było. Nie mieściło mi się w głowie, że mogła zmienić zdanie. Poprzedniego dnia była absolutnie pewna swojej decyzji, poza tym, przecież kiedyś rzuciła wyzwanie wszystkim w Mauriac, nawet księdzu Ablowi-Louisowi, wybierając mnie na swego przyjaciela. Wiedziałem, że miała dość siły, aby zakończyć nieszczęśliwe małżeństwo, dlatego nie byłem w stanie wyobrazić sobie, co ją zatrzymało.

Widok zbliżającego się Jeana-Luca wzbudził we mnie wyłącznie irytację. Włosy dyrektora hotelu błyszcząły od wosku, którym je przygładzał.

- Więc dzisiaj opuszcza nas pan, monsieur... - zaczął. - Goszczenie pana w naszym chateau było naprawdę wielką przyjemnością... Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś pan do nas wróci...

- Na pewno - skłamałem.

Byłem potwornie spięty. Wiedziałem, że nigdy więcej nie przyjadę do Mauriac, bo inaczej nie umiałbym raz na zawsze pożegnać się z przeszłością, co tak mądrze radził mi Jacques.

- Czeka pan na taksówkę? - zapytał Jean-Luc.

- Mam samochód.

- Czy polecieć, aby go przyprowadzili z garażu?

- Nie, stoi już przed wejściem...

- W takim razie pozwolę sobie uścisnąć panu dłoń i się pożegnam...

Potrząsnąłem jego ręką. Była miękka i ciepła - pomyślałem, że należy do człowieka, który jeszcze nie zaznał trudów życia.

- Życzę panu bezpiecznego lotu do Ameryki - powiedział z uprzejmym uśmiechem.

Jeszcze chwilę kręcił się w pobliżu, najwyraźniej czekając, aż wyjdę, ale w końcu skłonił się ponownie i poszedł do recepcji.

Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w zegar, widziałem każde drgnięcie wskazówek. Powoli zaczynałem wpadać w panikę. Może Claudine jednak się rozmyśliła... Może mimo wszystko postanowiła zostać w Mauriac... Jedno było pewne - nie miałem najmniejszego zamiaru wyjeżdżać bez niej. Przysięgłem to jej i sobie.

Wyszedłem na podjazd i wsiadłem do samochodu. Skoro Claudine nie przyjechała do mnie, zdecydowałem, że ja pojedę do niej. Przycisnąłem pedał gazu i ruszyłem w dół drogą do Mauriac.

W samochodzie było zimno, ale ja miałem czoło mokre od potu. Myślałem tylko o Claudine, reszta się nie liczyła. Teraz, kiedy ją odnalazłem, byłem gotowy na wszystko, byle tylko ją zatrzymać. Powinienem był przewidzieć, że Laurent okaże się największą przeszkodą na drodze do naszego szczęścia... Laurent, mój wróg sprzed lat... Nie mogłem zapomnieć, jak w klasie nazwał mojego ojca nazistowską świnią. Nie potrafiłem mu tego zapomnieć ani przebaczyć. Pędząc do miasta, przygotowywałem się na stoczenie ostatecznej bitwy. Spodziewałem się, że będę musiał walczyć z Lamentem, ale nie przyszło mi do głowy, że moim przeciwnikiem będzie także Bóg.

Zaparkowałem samochód pod domem Claudine i chwilę siedziałem nieruchomo, usiłując zobaczyć coś przez okno salonu. Nie czekałem długo - Claudine pojawiła się już po paru sekundach. Stała zwrócona twarzą do mnie i nerwowo ogryzała paznokiec kciuka. Chyba płakała... Zaraz potem za jej plecami stanął Laurent i położył rękę na jej ramieniu. Tym razem już jej nie strząsnęła. Z całej siły zacisnąłem palce na kierownicy. Ogarnął mnie gniew, nie mogłem znieść widoku ich dwojga. Wsiadłem z auta i zapukałem do drzwi głośno, z całą siłą, jaką musiałem zmobilizować. Nikt nie odpowiedział.

- Claudine, wiem, że tam jesteś! - krzyknąłem, ze zdwojoną energią dobijając się do drzwi. - Otwórz, proszę!

W końcu drzwi się otworzyły i w progu stanął ksiądz Robert, proboszcz parafii Mauriac.

- Najlepiej będzie, jeżeli wejdzie pan do środka - rzekł spokojnie, odsuwając się na bok.

Górowałem nad nimi, czułem się jak olbrzym w sklepie z zabawkami. Miałem wrażenie, że pokój skulił się, kiedy wszedłem. Czułem, że nie brakuje mi siły fizycznej, ale dosłownie trząsałem się ze strachu. Nie mógłbym znieść życia bez Claudine.

Ominiąłem jej walizkę i podszedłem do okna, przy którym wciąż stali. Laurent obejmował ją, jego palce mocno trzymały jej ramię. Spojrzał na mnie z aroganckim uśmieszkiem, jakby nie miał cienia wątpliwości, że zwyciężył. Nienawidziłem go tak mocno, że musiałem bardzo się skoncentrować, aby jednym ciosem nie powalić go na podłogę. Utkwiłem wzrok w Claudine, która patrzyła na mnie z lękiem. Natychmiast odgadłem, co się stało, wyczytałem to z jej twarzy. Ksiądz Robert wziął na swoje barki obowiązek uratowania ich małżeństwa. Czyżby nie wiedział, że nie było co ratować, że ten związek przypominał poprzecieraną, dziurawą tkaninę?

- Co ty tutaj robisz? - gniewnie prychnął Laurent. Zignorowałem go.

- Nie wyjadę bez ciebie - zwróciłem się odważnie do Claudine.

- Przecież ty jej nawet nie znasz! - wtrącił się Laurent. - Mieliście po sześć lat, kiedy stąd wyjechałeś!

- Claudine zostanie w domu - odezwał się ksiądz. - Podjęła już decyzję...

Obrzuciłem go zimnym spojrzeniem.

- Nie chcę rozmawiać z księdzem - powiedziałem. - Ani z tobą, Laurent!

Popatrzyłem na Claudine i odnalazłem w sercu resztkę nadziei, że mimo wszystko znajdzie w sobie dość siły, aby ze mną odejść.

- Nie zamierzam błagać - rzekłem. - Wiesz, że cię kocham i że będę się tobą opiekował. Czekaliśmy na siebie całe życie, nie każ mi czekać dłużej!

Laurent zaśmiał się cynicznie.

- Myślisz, że udało ci się w ciągu tych kilku dni zniszczyć moje małżeństwo - syknął. - Chyba zwariowałaś, przyjacielu! Claudine jest moją żoną, rozumiesz? Czy też może zapomniała ci powiedzieć o tym drobiazgu?

Nie zamierzałem zaszczyścić go choćby jednym słowem odpowiedzi. Zmarszczyłem brwi.

- Życie jest krótkie, Claudine. Nie marnuj go. Wsunąłem rękę do kieszeni i wyjąłem gumową piłeczkę.

Rzuciłem ją w górę i złapałem. Policzki Claudine zarumieniły się na ten widok, w jej oczach zabłysło światło odwagi. Nagle znowu zobaczyłem małą dziewczynkę z dużymi zębami, która uwielbiała łamać zasady i sprzeciwiać się matce - jedyne dziecko w całym Mauriac, które ośmieliło się ze mną zaprzyjaźnić. Strząsnęła z ramienia dłoń Laurenta, odwróciła się do niego i pocałowała go w policzek. Zamarł, krew odpłynęła mu z twarzy, która nagle stała się szarawa jak wieprzowe tusze, zwisające z haków w boucherie.

- Przykro mi, Laurent, ale naszego małżeństwa nie da się już naprawić... - powiedziała.

Potem spojrzała na księdza i bez słowa potrząsnęła głową. Patrzył z przerażeniem, jak bierze mnie za rękę, wyraźnie oburzony jej bezwstydną. Wziąłem walizkę Claudine i oboje na zawsze opuściliśmy jej dom i Mauriac.

Nowy Jork lśnił w zimowym słońcu. Na chodnikach nie było już śniegu, w powietrzu czuło się łagodny powiew, którego nie było przed moim wyjazdem do Francji. Zbliżała się wiosna, ziemia w Central Parku zaczynała pachnieć w ten jedyny, niepowtarzalny sposób. Byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Claudine i ja postanowiliśmy kupić dom w New Jersey. Zdecydowałem, że przeniosę tam sklep i poprowadzimy go razem. Nie rozmawialiśmy o Laurencie ani o Mauriac. Budowaliśmy naszą przyszłość na teraźniejszości, na nieskażonym, zdrowym fundamencie.

Po przylocie do Nowego Jorku Claudine zatelefonowała do dzieci i powiedziała im, że opuściła ich ojca dla mnie. Joel był zaskoczony, wiedział jednak, że Laurent nie należy do łatwych ludzi. Powiedział, że nade wszystko pragnie szczęścia matki i choć kocha ojca, to zdaje sobie sprawę, że może on winić za powstałą sytuację wyłącznie samego siebie. Z Delphine poszło trudniej. Podobnie jak większość córek, uwielbiała ojca. Martwiła się, kto będzie się nim opiekował i prowadził dom. Uznała, że Claudine zniszczyła mu życie.

- Oboje jesteście już starzy - oświadczyła. - Dlaczego uciekłaś właśnie teraz, jaki to ma sens?

Czym prędzej pojechała do Mauriac, aby pocieszyć Laurenta i przez dwa tygodnie gotowała mu i prała. Wróciła do Paryża wykończona. Pozytywne było to, że wreszcie otworzyły się jej oczy na prawdę o wspólnym życiu rodziców.

- Gdy ja wyjdę za mąż, zatrudnimy kucharkę i pokojówkę - oznajmiła matce przez telefon. - Kiedy będę mogła poznać tego tajemniczego faceta, który porwał dę na drugi koniec świata?

Pogodziwszy się z dziećmi, Claudine musiała jeszcze pojednać się z Bogiem. Katolicyzm miała we krwi, byłoby niegodziwe z mojej strony, gdybym ją zachęcał, aby odwróciła się od swojej religii. Złamała dla mnie małżeńską przysięgę, nie mogłem wymagać od niej niczego więcej. Ku swej wielkiej radości, znalazła w pobliżu katolicki kościół i mądrego, starego włoskiego księdza, zwanego ojcem Gaddo. Poszła na mszę i spędziła przy konfesjonale tyle czasu, że ksiądz musiał poprosić ją, żeby już skończyła, ponieważ za jej plecami ustawiała się kolejka wiernych, którzy także chcieli wyznać Bogu swoje grzechy. Wróciła do mnie lekkim krokiem, uśmiechnięta jak dawniej.

- Zaczynam dzisiaj żyć z czystym kontem - oświadczyła pogodnie. - Wszystkie moje grzechy należą do przeszłości...

- Co ci powiedział? - zapytałem, trochę oszołomiony. Nie mieściło mi się w głowie, jak to się dzieje, że zwykły śmiertelnik z taką łatwością zmywa plamę cudzołóstwa.

- Ze życie to wielka sala treningowa, i że byłoby to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, gdybyśmy uważali, iż Bóg nie wybacza tym, którzy popełniają błędy...

- No, właśnie! - zawołałem, biorąc ją w ramiona. - Bardzo podoba mi się ten ojciec Gaddo! Sądzisz, że udzieli nam ślubu?

Pocałowała mnie gorąco i roześmiała się, chociaż jej oczy błyszczały od łez.

- Tak, myślę, że to zrobi!

Wreszcie zebrałem siły, aby przeczytać dwa listy, które mama przechowywała w szkatułce i przejrzeć jej pocztę. Ostatnie fragmenty układanki znalazły się na swoim miejscu.

Byłem sam w mieszkaniu. Zza okna dobiegał przyciszony szum ruchu ulicznego, podobny do odległego bzyczenia pszczół w środku lata. Słońce wpadało do środka z entuzjazmem typowym dla wczesnego poranka. Siedziałem na kanapie, na stole przede mną stał kubek ze świeżo zaparzoną, aromatyczną kawą, a z głośników magnetofonu rozbrzmiewały dźwięki piosenki Leonarda Cohena.

Z Claudine czułem się pełnym, kompletnym człowiekiem. Wyjechałem z Nowego Jorku z niczym, a wróciłem ze skarbem, o którym wcześniej nawet nie marzyłem. Zanurzyłem się w przeszłość i odkryłem wiele tajemnic, rozplatałem nić minionych lat, poznając prawdę o mojej matce, Jacques'u Reynardzie, księdzu Ablu-Louisie i obrazie Tycjana. Nigdy jednak nie spodziewałem się, że w głębi przeszłości odnajdę samego siebie. Przez całe życie szukałem miłości. Znalazłem ją u Jacques'a, Daphne, Joy i Coyote'a, u ludzi, którzy pojawiali się w moim życiu i znikali niczym wędrujące po niebie chmury, a przede wszystkim u mojej matki, jej uczucie było tak stałe i gorące jak promienie słońca. I wreszcie, na samym końcu poszukiwań, znalazłem ją w sobie.

Wstrzymując oddech, otworzyłem pierwszy z listów. Papier był starannie złożony, słowa nakreślone równo i wyraźnie.

Droga Pani Fontaine,

Całkiem prawdopodobne, że nie pamięta mnie Pani. Nazywam się Leon Egberg i życie własne oraz mojej rodziny zawdzięczam Pani oraz Dieterowi Schulzowi. Razem ze mną uratowaliście Marthe, Felixa, Benjamina i Oriane. Ukryliście nas w piwnicach zamku i zorganizowaliście naszą ucieczkę z

Francji. Najpierw osiedliśmy w Szwajcarii, a pod koniec wojny wyjechaliśmy do Kanady, gdzie mieszkamy do dziś. Moje dzieci dorosły i pozawierały małżeństwa; przy narodzinach każdego wnuka odmawiam modlitwę za Wasze zdrowie. Moja żona, Marthe, i ja zamierzamy przyjechać do Nowego Jorku w maju i korzystając z tej okazji, bardzo chętnie spotkalibyśmy się z Panią i uścisnęli Jej dłoń. Proszę mi wybaczyć, że znowu nieproszony wkraczam w Pani życie i zakłócam Jej spokój. Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami,

Leon Egberg

Byłem zaskoczony, że mama nigdy nie wspomniała o rodzinie Egberów i nie pokazała mi tego listu. W dzieciństwie często powtarzała, że mój ojciec był dobrym człowiekiem, ale później zupełnie przestała o nim mówić. Rozpoznałem imiona, wyryte na ścianie piwnicy chateau. Obok wyryłem swoje własne, ale dopiero teraz zrozumiałem, jak bardzo było to niewłaściwe. List nosił datę z września 1983 roku. Z rosnącym zaciekawieniem otworzyłem drugą kopertę. Drugi list także napisał Leon Egberg, w maju 1984 roku.

Droga Anouk,

Nawet nie wiesz, jaką radością było dla nas ponowne spotkanie z Tobą i możliwość podziękowania Ci za wszystko osobiście. Z radością dowiedzieliśmy się też, że poślubiłaś Dietera Schulza i na pewno zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby dowiedzieć się, co stało się z nim po wyzwoleniu. Fakt, że urodziłaś jego syna, musi być dla Ciebie ogromną pociechą. Sądząc z fotografii, jest bardzo podobny do ojca. Jest sprawą wielkiej wagi, aby ludzie nie zapomnieli o okrucieństwach czasu wojny, przede wszystkim po to, by nie powtórzyły ich młodsze pokolenia. Mam szczerą nadzieję, że kiedyś się jeszcze spotkamy. Proszę, przekaż synowi nasze najlepsze życzenia - liczę, że wie, jaką odwagą wykazała się jego matka podczas wojny i ile istnień ludzkich uratowała. Niech Mg Ci błogosławi, Anouk. Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami,

Leon

Z mocno bijącym sercem sięgnąłem po listy, które przyszły już po śmierci matki. Byłem pewny, że na jednej z kopert widziałem ten sam charakter pisma. Odrzuciłem na bok rachunki i katalogi, i w końcu w mojej drżącej dłoni znalazł się list od Leona Egberga. Czulem, że musiał dowiedzieć się czegoś o moim ojcu i z trudem panowałem nad podnieceniem. Usiadłem, napiłem się kawy i rozdarłem kopertę.

Kochana Anouk,

Mam nadzieję, że mój list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. W końcu się dowiedzieliśmy, co stało się z Twoim mężem pod koniec wojny. Pewnie się nie

zdziwisz, gdy Ci powiem, że Dieter nienawidził nazistów. Wcześniej pokazał już, jakim jest człowiekiem, ratując Żydów. Dziś mogę z dumą powiadomić Cię, że zaangażował się w spisek na życie Hitlera. Do nieudanego zamachu doszło w lecie 1944 roku, a zaraz potem Dieter został skazany na śmierć przez powieszenie. Życie pozwala nam poznać niewielu bohaterów, Anouk, lecz Twój Dieter niewątpliwie był jednym z nich. Gdyby zamach się powiodł, wiele tysięcy ludzi uniknęłoby śmierci. Dieter był bardzo odważnym człowiekiem, a co jeszcze ważniejsze, udowodnił, że życie innych liczyło się dla niego bardziej niż własne. Mam nadzieję, że podzielisz się tą wiadomością z synem. Wiem, że z niechęcią myślałaś o wciąganiu go w przeszłość, ponieważ uważałaś, że i tak dosyć wycierpiał, ale przecież Mischa zasługuje na to, aby poznać prawdę o swoim ojcu i dowiedzieć się, że był on dobrym, szlachetnym człowiekiem oraz prawdziwym bohaterem. Pragniemy oddać cześć Dieterowi, a Tobie, droga Anouk, życzymy zdrowia. Wznieśmy toast za życie... Najserdeczniejsze pozdrowienia dla Ciebie i Twojego syna,

Leon

Siedziałem nieruchomo, oszołomiony tym, co przeczytałem. Wiedziałem o spisku przeciwko Hitlerowi, czytałem historyczne opracowanie na ten temat i widziałem film dokumentalny. Spiskowców powieszono na strunach fortepianu i filmowano ich agonię. Świadomość, że mój ojciec zginął w taki sposób, wstrząsnęła mną do głębi. Ogarnął mnie smutek, że mama nigdy nie dowiedziała się prawdy, bo list Leona przyszedł za późno. Zadawałem sobie pytanie, czy podzieliłaby się ze mną prawdą o ojcu. Może czekała właśnie na ten list, aby ze mną porozmawiać... Wydawało mi się to dość logiczne.

A więc mój ojciec rzeczywiście był bohaterem... Zawsze przypuszczałem, że tak właśnie było. Mama nigdy nie pokochałaby człowieka sympatyzującego z nazistowską ideologią - za bardzo szanowała ludzi, niezależnie od tego, jakiej byli rasy czy pochodzenia. Zewnętrznie nie sprawiała wrażenia osoby ciepłej - ja byłem jedną z niewielu osób, które szukały schronienia w jej ramionach. Wierzyła jednak, że każdy ma swoje miejsce na ziemi i nikomu nie wolno odmawiać prawa do życia. Postanowiłem napisać do Leona Egberga i zawiadomić go o śmierci mamy. Chciałem podziękować, że zadał sobie tyle trudu, aby odkryć prawdę o moim ojcu, a może nawet zobaczyć się z nim. Cóż, potrafiłem uciec z Mauriac, ale nie umiałem do końca przeciąć więzów łączących mnie z przeszłością...

Razem z Claudine wróciłem do mieszkania mamy. Chciałem, żeby pomogła mi je uporządkować. Nie czułem już potrzeby, aby zająć się tym samodzielnie.

Claudine zaczęła od kuchni, pakując do skrzyń garnki i rondle, które postanowiliśmy oddać organizacji dobroczynnej, natomiast ja poszedłem do sypialni, aby spakować ubrania. Pracowaliśmy cały tydzień w jasnym zimowym świetle, które dostawało się do mieszkania przez odsłonięte okna. Bez żalu wyrzuciłem część rzeczy i patrzyłem, jak ciężarówka zabiera pozostałe do magazynów dla ubogich i bezdomnych. Wiedziałem, że robię to z duchową aprobatą mamy. Ostatecznie chodziło tylko o przedmioty, których używała, ale które teraz nie były już potrzebne.

Zachowałem trochę rzeczy - jej biżuterię, notatniki, listy, albumy ze zdjęciami, fortepian, książki, czyli wszystko, co miało dla mnie wartość sentymentalną. W domu wygodnie ułożyliśmy się na łóżku, aby przeczytać pocztówki od Coyote'a. Po tym, jak Joy powiedziała mi o zabójstwie Richarda Quigleya, postanowiłem przeprowadzić prywatne dochodzenie. Moje podejrzenia znalazły potwierdzenie: Coyote, znany niektórym jako Jack Magellan, naprawdę nazywał się Lynton Shaw. Był mężem Kelly i ojcem trojga dzieci, Lauren, Bena oraz Warwicka, z którymi mieszkał w Richmond, w stanie Wirginia. Naprawdę zamordował Richarda Quigleya i został skazany na dożywocie; przez trzydzieści lat odsiadywał wyrok w więzieniu Keen Mountain. Miałem podstawy przypuszczać, że aby zatrzymać obraz, zabił także Billy'ego, narzeczonego Joy. A jaką rolę odegrała w tym wszystkim moja matka? Czy знаła prawdę i po prostu postanowiła ją pogrzebać? Jeśli nie, to dlaczego Coyote nic nam nie powiedział? Jak mógł pozwolić, abyśmy uwierzyli, że nas opuścił? Miałem nadzieję, że pocztówki od niego udzielą mi odpowiedzi na te pytania.

Sypialnia pachniała perfumami Claudine, jej olejkami do kąpieli i waniliowym kremem, który wmasowywała w ciało. Bardzo lubiłem ten kobiecy aromat i widok jej koszuli nocnej, wiszącej na drzwiach łazienki. Claudine, w przeciwieństwie do Lindy, nie była pedantką i beztrąsko rozrzucała ubrania po całym pokoju. Podobało mi się to. Była ciepła, prawdziwa i zmysłowa, zupełnie jak lato we Francji.

- Ta jest bardzo wzruszająca... - Claudine uniosła jedną z kart. - Powiedz Mischy, że jestem w Chicago, w mieście gangsterów. W mrocznych zaułkach czyhają faceci w kapeluszach, z pistoletami za pasem... Wiem, że zrobi to na nim wrażenie!

- Nic więcej nie napisał? - zapytałem. - Biorąc pod uwagę, jak długo go nie było, naprawdę niewiele to mówi...

- Posłuchaj tego: Powiedz Mischy, że jestem w Meksyku. Przed chwilą zsiadłem z białego konia, na którym jechałem przez pustynię. Spię pod

gwiazdami i noszę kapelusz z szerokim rondem, który chroni mnie przed słońcem i moskitami. Fajitas są pyszne, od mojitos po prostu kręci mi się w głowie. Gdy gram na gitarze na rynkach miasteczek, kobiety podchodzą bliżej i tańczą w rytm muzyki. Są najpiękniejsze na świecie, ale nie mogą się równać z tobą, moja cudna Anouk... Tęsknię za wami całym sercem. Pamiętajcie, że kocham was i zawsze będę was kochał. Anouk, powiedz to Mischy ode mnie, przynajmniej raz dziennie mów mi, że go kocham. Nie chcę, żebyście o mnie zapomnieli... - Claudine spojrzała na mnie i zmarszczyła brwi. - Nie wydaje ci się to trochę dziwne? Pisze tak, jakby wiedział, że nie wróci...

W zamyśleniu przeczytałem pocztówkę jeszcze raz.

- Zwróciłaś uwagę, że opisuje miejsca utartymi, banalnymi zwrotami? - odezwałem się po chwili. - Tę napisał w lipcu, posłuchaj: Powiedz Mischy, że jestem w Chile. Jest środek lata, potworny upał. Morze jest lodowate, za zimne dla mnie. Nocami gram na gitarze. Plaża jest wtedy zupełnie pusta, gwiazdy wydają się większe niż u nas. Tęsknię za wami. Niedługo wrócę do domu. Powtórz Mischy, żeby opiekował się swoją mamą w czasie mojej nieobecności, i żeby ćwiczył grę na gitarze. Spodziewam się, że po moim powrocie zagra mi Laredo. Przygotuj dla mnie miejsce przy stole, najdroższa, bo na pewno przyjadę na kolację...

- Co w tym takiego dziwnego? Podałem jej pocztówkę.

- W lipcu w Chile panuje zima. Jest bardzo zimno, naprawdę.

Claudine usiadła.

- Chcesz powiedzieć, że nie wierzysz w to, co pisał? Że wcale nie był w Chile i innych krajach?

- Och, nie twierdzę, że w ogóle tam nie był, ale nie wtedy, kiedy do nas pisał! Popatrz na pieczątki na znaczkach...

- Na wszystkich są takie same...

- Zachodnia Wirginia, prawda? - postukałem palcem w jedną z kartek. - Wiesz, co znajduje się w zachodniej Wirginii? Więzienie stanowe Keen Mountain...

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- O, Boże, siedział w więzieniu...

- Spędził tam trzydzieści lat, skazany za zamordowanie Richarda Quigleya. Podejrzewam, że zabił też Billy'ego, narzeczonego Joy Springtoe.

Położyła mi rękę na ramieniu.

- Dobry Boże, Mischa... Jesteś pewny?

- Tak. Joy czytała o śmierci Quigleya w lokalnych gazetach i powiedziała mi o tym, więc po naszym powrocie przeprowadziłem małe dochodzenie. Coyote

miął drugie życie. Tak naprawdę nie nazywał się Jack Magellan, ale Lynton Shaw. Sądzę, że zabił Billy'ego w czasie wojny, bo chciał mieć pewność, że ten nie wróci później po zakopany obraz. Potem, po włamaniu do naszego domu i sklepu w Jupiter, od razu odgadł, kto to zrobił i czego szukał. Wyjechał, żeby wytropić Richarda Quigleya i uciszyć go raz na zawsze. Dziwię się tylko, że dał się złapać, bo był bardzo inteligentny i przebiegły...

- Podejrzewałeś to już od pewnego czasu, prawda? Z westchnieniem kiwnąłem głową.

- Nie widziałem innego logicznego wyjaśnienia. Z jakiego innego powodu mógł nie wrócić do nas, do Jupiter? Nie rozumiem jednego - dlaczego nam o tym nie powiedział... Odwiedzalibyśmy go w więzieniu, a ja nie czułbym się przynajmniej odrzucony...

Claudine wzięła do ręki kilka pocztówek i przebiegła je wzrokiem.

- Najprawdopodobniej rzeczywiście był wielkim oszustem, ale spójrz, we wszystkich kartkach powtarza się ten sam zwrot: „Powiedz Mischy...”. Moim zdaniem to dość oczywiste, dlaczego nie zawiadomił was, że jest w więzieniu... Nie chciał sprawić ci zawodu, rozumiesz?

Przeczytałem wszystkie pocztówki jeszcze raz. Claudine miała rację. Były przeznaczone dla mnie, miały sprawić mi radość...

- Postawiłeś go na piedestale - ciągnęła. - W twoich oczach był czarodziejem, który oddał ci głos i przywrócił wiarę w siebie. Gdyby powiedział prawdę, przestałbyś mu wierzyć, prawda? Może wręcz bał się, że znowu stracisz głos, kto wie...

- Kochałem go tak, jak on kochał Starca z Wirginii... Wiedział, jak to jest, gdy kocha się iluzję i gdy się ją traci. Wcale nie przyszedł do mojego biura ze względu na Tycjana, przyszedł dla mnie... - Żołądek skurczył mi się z podniecenia. - Odnalazł mnie dzięki artykułom o obrazie, które ukazały się wtedy w prasie... Mama przechowywała obraz tyle lat, ponieważ miała nadzieję, że Coyote wróci po niego. Dlatego tak bardzo cierpiała, gdy w końcu zdecydowała się oddać go do muzeum - dla niej oznaczało to utratę nadziei na powrót Coyote'a. Ale kiedy w końcu rzeczywiście wrócił, wcale nie cht., działo mu o obraz, wrócił do mnie i do mamy... - chwyciłem ją za rękę. - Właśnie to miał na myśli, kiedy powiedział, że wciąż gonił za tęczą... Nie da się wrócić do przeszłości, bo wszystko się zmienia... Mama umarła, a on trzydzieści lat gnął w więzieniu z nadzieją, że kiedyś znowu będziemy razem... I po zwolnieniu odkrył, że jego marzenia były tylko ulotną tęczą, która szybko znika... Boże, jak mogłem wygonić go na ulicę...

- Nie wiedziałeś, jak naprawdę było...

- Myślałem, że chodzi mu o pieniądze, tymczasem on chciał odzyskać syna...
- Ukryłem twarz w dłoniach, czując obrzydzenie do siebie. - Jak mam go teraz odszukać?

- To niemożliwe... - pokręciła głową. - Możemy tylko mieć nadzieję, że on jeszcze raz odszuka ciebie...

Tej nocy usiadłem przy otwartym oknie i zagrałem Laredo. Liczyłem, że jakiś magiczny wiatr zanieś melodię Coyote'owi i powie mu, że nigdy nie przestałem go kochać, ani na chwilę. Dla świata mógł być Lyntonem Shawem, Jackiem Magellanem, złodziejem, oszustem i mordercą, lecz dla mnie był Coyote'em. Coyote'em o intensywnie niebieskich oczach i łobuzerskim uśmiechu, człowiekiem o wielkim sercu i głosie anioła.

Z radością przeprowadziłem się do New Jersey, ponieważ Nowy Jork stał się dla mnie symbolem braku nadziei. W twarzy każdego bezdomnego włóczęgi dopatrywałem się rysów Coyote'a. Nadzieja zapalała się i gasła za każdym razem, kiedy padało na mnie spojrzenie obcych oczu. Kupiliśmy ładny biały dom z ogródkiem otoczonym drewnianym płotem i zapuściliśmy korzenie tak samo jak kwiaty, które posialiśmy pod oknami. Otworzyłem sklep i nazwałem go „Sklepem z Różnościami Kapitana Crumble'a", ponieważ w głębi serca wciąż liczyłem, że Coyote będzie mnie szukał. Pragnąłem powiedzieć mu, że go kocham i zawsze kochałem. Że moja miłość okazała się jedyną trwałą wartością, mimo wszystko.

Przywykliśmy do nowego miejsca, kupiliśmy psa i poznaliśmy sąsiadów. I wtedy, pewnego wietrznego sierpniowego ranka, odebrałem przesyłkę. Było to pudło, duże, ale lekkie, zaadresowane charakterem pisma Esther. Otworzyłem je, rozerwałem szary papier i zobaczyłem gitarę. Serce na chwilę przestało mi bić, ponieważ była to gitara Coyote'a. Szybko przeczytałem krótki list od Esther, chociaż ręce dygotały mi jak w gorączce.

Drogi Mischa,

Ktoś przysłał ci tę gitarę na stary adres. Bóg wie, na co ci ona, ho przecież nie grasz, prawda? Nowy Jork to piekło - jest tu za gorąco, wszędzie kręci się za dużo ludzi, którzy ciągle się śpieszą. Brakuje nam ciebie. Głowa do góry!

Esther

Byłem tak oszołomiony, że nawet się nie uśmiechnąłem. Obejrzałem pudło z nadzieją, że znajdę jakąś wiadomość od Coyote'a, ale nic nie znalazłem. Usiadłem i zacząłem stroić gitarę. Palce drżały mi tak mocno, że z trudem przyciskałem struny. Czulem obecność Coyote'a w nutach, jakie wydobywałem z instrumentu. Słyszałem, jak śpiewa, jego głos niósł ten sam wiatr, który tamtego dnia pod koniec lata przyprowadził go do Mauriac. Nagle zauważyłem

kartkę, która wysunęła się z pudła gitary, zapisaną trudnymi do odczytania bazyliami. Kiedyś była własnością Starca z Wirginii, a od dziś należy do Ciebie. Szanuj ją, Juniorze.

Gardło ścisnęło mi się gwałtownie, w oczach zapiekły łzy. Mocniej trąciłem struny i zaśpiewałem Laredo. Chciałem dowieść mu, że jednak umiem grać.

I tak zawieźliśmy go

Do zielonej doliny

I zagraliśmy mu marsz żałobny

Niosąc go do grobu.

Bo wszyscy kochamy naszych towarzyszy.

Dzielnych, młodych i przystojnych.

Wszyscy kochamy naszych towarzyszy

Nawet jeśli uczynili coś złego.